

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**EUGENIUSZ SUE**

**Żyd wieczny tułacz**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## Prolog

### DWA ŚWIATY

Ocean Lodowaty otacza pasmem wiecznych lodów bezludne wybrzeże Syberii i Ameryki Północnej, te najbardziej na północ wysunięte krańce światów, które przegradza wąska cieśnina Beringa. Miesiąc wrzesień ma się ku schyłkowi. Porównanie dnia z nocą przywróciło pomrokę i burze, właściwe północnej strefie, noc zastąpi wkrótce jeden z owych dni polarnych, tak krótkich, tak żalobnych... Niebo posępnej, fioletowej barwie, jest słabo oświetlone przez zimne słońce, którego tarcza, ledwie wznosząca się nad horyzont, blednie w zestawieniu z oślepiającym blaskiem śniegu, pokrywającego cały obszar stepowy, jak daleko sięgnąć okiem.

Na północy pustynia ta kończy się pobrażem, najeżonym czarnymi, olbrzymimi skałami: u stóp owej tytanicznej gromady uwięziony jest skamieniały ocean, jego nieruchome fale składają ogromne pasma gór odwiecznego lodu, którego modrawe szczyty giną daleko w śnieżnej mgle... Na wschodzie pomiędzy dwoma klinami przylądka Olikińskiego, wschodniego krańca Syberii, można dostrzec ciemnozieloną smugę, gdzie wolno posuwają się ogromne bryły lodu... To cieśnina Beringa. Wreszcie, dalej za cieśniną i górując nad nią, piętrzą się granitowe masy przylądka Galii, ostatniego krańca Ameryki Północnej. Te samotne przestrzenie nie należą już do świata zamieszkałego; wskutek straszliwego zimna, które tu panuje, kamienie pękają, drzewa rozszczepiają się. Żadna istota ludzka nie może, jak się zdaje, wkraść w samotność owych krain mgły i burz, głodu i śmierci... A przecież... rzecz dziwna, widać ślady stóp na śniegu, który okrywa granice dwóch lądów, przegrodzonych cieśniną Beringa...

Od strony amerykańskiego brzegu ślad stopy drobnej i lekkiej, świadczy o przejściu kobiety. Czyje to stopy, które wśród wstrząsów i zwichrzeń natury przemierzają równym, spokojnym krokiem te bezludne przestrzenie? Dążyła ona ku skałom, skąd poprzez cieśninę spostrzec można śnieżyste stopy Syberii. Od strony Syberii ślad większy i głębszy świadczy, iż szedł tędy mężczyzna. Szedł również ku cieśninie. Traf, wola lub fatalność zrzędziły, iż pod podkutym obuwiem mężczyzny siedem wydatnych gwoździ utworzyło krzyż.

Wszędzie ten ślad zostawia na swej drodze...

Ale wkrótce noc bez zmięzchu zastąpiła ponury dzień... Okropna noc... Uroczyste milczenie... Lecz oto koło cieśniny Beringa miga na widnokręgu słabe światelko, łagodne, błękitnawe, jakby poprzedzające wejście księżycy... potem jasność zwiększa się i przybiera różową

barwę. Na horyzoncie rysują się półkola ogromnej światłości. Ze środka tego jaśniejącego ogniska wytryskają ogromne słupy światła, które rozjaśniają niebo, ziemię, morze... Wówczas płomieniste odbłaski niby łuny pożaru ślizgają się po śniegu pustyni, odziewają purpurą błękitnawe wierzchołki lodowych gór i barwią posępną czerwonością wysokie, czarne skały obu lądów. Dosięgnąwszy tak przepyszego promienistego stanu, zorza północna zaczęła blednieć powoli, żywa jej jasność z wolna roztopiła się w połyskliwej mgle.

W tej chwili, dzięki osobliwemu działaniu mirażu, częstego w owych krainach, brzeg amerykański, chociaż oddzielony od Syberii szerokością cieśniny morskiej, zdawał się być tak bliski, iż można by zarzucić most z jednego świata na drugi. Wówczas wśród przeźroczystej, lazururowej mgły, rozpościerającej się nad dwoma lądami, ukazały się dwie postacie ludzkie. Na przylądku syberyjskim... człowiek klęczący wyciągał ręce ku Ameryce, z wyrazem nieskończonej rozpaczki. Na cyplu amerykańskim młoda, piękna kobieta odpowiadała na beznadziejny gest mężczyzny, wskazując na niebo... W ciągu kilku sekund te dwie wielkie postacie rysowały się blade i mgliste przy ostatnich blaskach zorzy polarnej. Lecz gdy mrok gęstniał z wolna, zniknęły wśród ciemności. Skąd pochodzą te dwie istoty, które spotkały się na lodach podbiegunowych, na krawędzi światów? Co to za postacie, zbliżone na chwilę przez złudny miraż, lecz zdające się być rozdzielonymi na wieczne czasy?

## Część pierwsza

# OBERŻA POD BIAŁYM SOKOŁEM

## ROZDZIAŁ I

### MOROK

Październik 1831 roku zbliża się ku końcowi.

Chociaż trwa jeszcze dzień, miedziana lampka oświeca odrapane ściany obszernego poddasza, którego jedyne okno zamknięte jest dla światła; drabina, której koniec sterczy ponad otwór wejścia, służy za schody. Tu i ówdzie leżą, porozrzucone bez ładu na podłodze, kajdany, żelazne kanciaste obręcze, zębate wędzidła, gwoździami najeżone kagańce, długie stalowe laski z drewnianą rękojeścią. W kącie stoi mała przenośna fajerka, podobna do tych, jakich używa się do topienia cyny, węgle ułożone są na suchych wiórach; starczyłoby jednej iskry, żeby w ciągu sekundy zapaliło się wszystko. Niedaleko tego zbioru strasznych narzędzi, podobnych do sprzętów kata, znajduje się broń z wieków dawno minionych; żelazna koszula w oczka tak giętka, tak delikatna i gęsta, że robi wrażenie tkaniny ze stali, leży na kufrze, obok naramienników i nagolenników, dobrze zachowanych, przybranych rzemieniami; czekan, długie, trójgraniaste włócznie o jesionowym drzewcu, mocne a lekkie, na których widać ślady świeżej krwi, dopełniają owej zbrojowni, nieco odmłodzonej dwoma tyrolskimi karabinami, nabitymi, gotowymi do strzału.

Z takim zbiorem morderczego oręża, barbarzyńskich narzędzi, dziwnie mieszały się rozmaite przedmioty, jak: pudełka oszklone, zawierające koronki, różańce, medaliki, baranki, kropielnice i ujęte w ramy obrazy świętych.

Jedno z malowideł na płótnie, jakimi kuglarze przyozdabiają przód swych bud jarmarcznych, zawieszona było u poprzecznej belki dachu, prawdopodobnie dlatego, żeby się obraz nie niszczył, będąc zwiniętym przez długi czas.

Płótno to nosiło napis:

„Prawdziwe i pamiętne nawrócenie się Ignacego Moroka, przezwanego Prorokiem, w roku 1828 we Fryburgu”.

Niedaleko od tych obrazów znajduje się kilka paczek z książkami, które opisują, jakim to osobliwym cudem bałwochwalca Morok, nawróciwszy się, nabył naraz nadprzyrodzonej władzy, której oprzeć się nie mogą najdrapieżniejsze zwierzęta, o czym świadczą przedstawienia, dawane przez pogromcę, a będące najlepszym dowodem prawdziwości tego cudownego faktu.

Przez otwór w poddaszu bucha woń, przykra, ostra i przenikająca. Niekiedy słychać głośnie i mocne chrapanie, głęboki oddech, po którym następuje głuchy łoskot jakby wielkich ciał przewalających się i ciężko wyciągających na podłodze. Jeden tylko człowiek znajduje się na poddaszu. Człowiekiem tym jest Morok, pogromca dzikich zwierząt, przewany Prorokiem.

Liczy przeszło czterdzieści lat, jest średniego wzrostu, nadzwyczaj chudy i cienki. Długie futro krwawo-czerwonego koloru otula go całkowicie; cerę, białą z natury, powlekło miedzianą barwą życie wędrowne, jakie od dzieciństwa prowadzi. Włosy jasno żółtawe, bez połysku, właściwe niektórym ludom krain podbiegunowych, szorstkie i twarde spadają na ramiona; nos mały, ostry, zadarty; długa – nie jasna już, lecz prawie biała broda otacza wypukłe policzki.

Fizjonomię tego człowieka czynią jeszcze osobliwszą rozwarłe powieki, wysoko podniesione, tak iż jego dziką źrenicę otacza jakby biała obrączka... Wzrok ten, nieruchomy i niesamowity, wywierał na zwierzętach fascynujące wrażenie.

Siedząc przy stoliku, mężczyzna otworzył podwójne dno małego pudełka, pełnego koronek i innych drobiazgów, używanych przez pobożne osoby; w tym podwójnym dnie, pod skrytym zameczkiem, znajdowały się zapieczętowane listy, oznaczone jedynie numerem i literą alfabety. Prorok wziął jeden list, włożył do kieszeni futra, potem zamknawszy tajemnicze podwójne dno, postawił pudełko na półce.

Scena ta miała miejsce o godzinie czwartej po południu, w oberży Pod Białym Sokółem, jedynej gospodzie w miasteczku Mockern, niedaleko Lipska. Po chwili chrapliwy i podziemny ryk wstrząsnął poddaszem.

– Judaszu! Bądź cicho! – rzekł prorok groźnym tonem, obróciwszy głowę ku otworowi.

Drugie warczenie, głuche, ale równie straszne jak grzmot oddalony, dało się znowu słyszeć.

– Kainie! Cicho bądź! – krzyknął Morok, podnosząc się.

Nagle ozwał się trzeci ryk, niewypowiedziane dziki, straszliwy.

– Śmierć! Czy ty nie uspokoisz się! – zawołał Prorok i skoczył ku otworowi, przemawiając do trzeciego niewidzialnego zwierza, które nosiło ponure imię śmierci.

Pomimo zwykłej powagi swego głosu, pomimo powtarzanych pogroźek, pogromca zwierząt nie potrafił jednak nakazać milczenia, przeciwnie, wkrótce dołączyło się jeszcze szczekanie kilku brytanów.

Morok, chwyciwszy włócznię, zbliżył się ku drabinie, chciał zejść na dół, lecz wtem ujrzał kogoś wchodzącego przez otwór. Nowo przybyły miał śniadą i ogorzałą cerę; skórzane kamasze, okryte pyłem, świadczyły, iż odbył długą drogę, na plecach miał torbę przywiązaną rzemieniem.

– Do licha, zwierzęta! – zawołał, stając na podłodze. – Można by powiedzieć, że mnie nie poznają, po trzech dniach nieobecności...

Judasz wysunął łapę z klatki... a Śmierć skoczyła jak wściekła... Czy nie poznajesz mnie już?

Było to powiedziane po niemiecku. Morok odpowiedział w tymże języku z lekkim obcym akcentem.

– Dobrze czy złe nowiny, Karolu? – zapytał niespokojnie.

– Dobrze nowiny...

– Spotkałeś ich więc?

– Wczoraj, o dwie mile od Wittenberga.

– Bogu dzięki! – zawołał Morok, składając ręce, z wyrazem wielkiej radości. – A rysopis, zgadza się?

– Najzupełniej! Dwie dziewczyny w żałobie, koń biały, starzec z długimi wąsami, furażerka granatowa, szary płaszcz... i pies sybirski za nim z tyłu.

– Zostawiłeś ich?

– O pół mili... za pół godziny tu będą.

– Czy mówiłeś ze starym?

– Niepodobna... Szedłem za nim aż do wczorajszego noclegu, udając, że spotkałem ich przypadkiem, odezwałem się do starca po niemiecku, mówiąc to, co zwykle mówią do siebie przygodni wędrowcy: „Dzień dobry! I szczęśliwej podróży, kolego!”. Za całą odpowiedź spojrział na mnie z ukosa i końcem kija pokazał mi drugą stronę drogi.

– A na noclegu... nie próbowałeś znowu wdać się w rozmowę?...

– Próbowałem... ale tak mnie po grubiańsku przywitał, że nie chcąc zepsuć wszystkiego, dałem mu spokój. Mówiąc między nami, winienem cię ostrzec, ten człowiek ma minę diabła złą, wierz mi, pomimo siwych wąsów, wygląda na krzepkiego jeszcze i tak śmiałego, że chociaż jest wychudły jak szkielet, nie wiem, kto, czy on, czy mój towarzysz Goliat, wzięłby pierwszeństwo w zapasach... Nie znam twoich zamiarów, ale strzeż się, mój panie... strzeż się...

– Czy przez cały dzień szedłeś za starcem i dziewczętami? – zapytał prorok po chwili milczenia.

– Tak, ale z daleka. Wreszcie, ponieważ szli wielkim gościńcem, a już noc nadchodziła, przyspieszyłem kroku, żeby ich wyprzedzić i przynieść ci to, co nazywasz dobrą nowiną.

– Bardzo dobrą... tak... bardzo dobrą... i będziesz wynagrodzony, bo gdyby ci ludzie mi się wymknęli...

Prorok zadrzał i nie skończył swych słów. Z wyrazu jego twarzy, z tonu mowy można się było domyśleć, jak wielką wagę miała dla niego nowina, którą mu przyniesiono.

– Rzeczywiście – podjął Karol – musi to być godne uwagi, przecież ów kurier rosyjski przybył aż z Petersburga, aby cię, panie, odnaleźć.

Zapewne w celu...

– Któż ci powiedział, że przybycie kuriera ma jakiś związek z tymi podróżnikami? Mylisz się, zresztą, jak ci już mówiłem, nie powinieneś się tym interesować!

– Słusznie, panie, wybac mi. Nie mówmy już o tym.

A teraz muszę zrzucić moją torbę i pójść pomóc Goliatowi karmić zwierzęta, bo zbliża się pora ich wieczerzy, a może nawet już minęła. Czy mój gruby olbrzym nie zapomniał o tym, panie?

– Goliat wyszedł, nie powinien wiedzieć, że już wróciłeś, nade wszystko nie trzeba, żeby wysoki starzec i młode dziewczęta widzieli cię tutaj; to mogłoby obudzić w nich jakieś podejrzenia.

– Co mam więc robić?

– Idź do małej komórki w głębi stajni, tam czekaj na moje rozkazy, bo może jeszcze tej nocy wyjedziesz do Lipska.

– Jak chcesz, mam w torbie resztę żywności, posilę się przeto przez czas odpoczynku.

I wszedłszy na drabinę, zniknął. Skinąwszy przyjaźnie swemu słudze na znak pożegnania, prorok przechadzał się jakiś czas w głębokim zamyśleniu, potem, zbliżywszy się do pudełka z podwójnym dnem, gdzie znajdowały się papiery, wziął stąd dość długi list i przeczytał go kilkakrotnie z największą uwagą.

Od czasu do czasu wstawał, podchodził do zamkniętej okiennicy, wychodzącej na zewnętrzne podwórze oberży i z niepokojem nadstawiał ucha, niecierpliwie bowiem wyglądał przybycia trzech osób, o których odebrał wiadomość.



## ROZDZIAŁ II

### PODRÓŻNI

W czasie, gdy opisana poprzednio scena rozgrywała się w oberży „Pod Białym Sokołem” w Mockern, trzy osoby, których przybycia Morok, pogromca dzikich zwierząt, tak gorąco oczekiwał, zbliżały się spokojnie do oberży, mijając z wolna barwne łąki.

Ścieżką, wydeptaną wśród trawy na łące, jechały na białym koniu dwie młode, piętnastoletnie dziewczyny, siedząc wygodnie na szerokim siodle z łękiem. Wysoki mężczyzna o smagłej twarzy, z długimi siwymi wąsami, prowadził konia za cugle i często obracał się ku dziewczętom z wyrazem rodzicielskiej troski i pokorą wiernego sługi, podpierał się długim kijem, na krzepkich jeszcze ramionach miał żołnierski tornister; zakurzone obuwie, powolny chód, świadczyły, iż dawno wyruszył w drogę. Pies, z rodzaju tych, które północne ludy zaprzęgają do sań, mocne zwierzę, kształtu i sierści wilka, kroczył pilnie za przewodnikiem małej karawany, nie odstępując ani na krok swego pana.

Zwano go Ponurym.

Dwie siostry-bliźnięta, które nosiły imiona Róży i Blanki, były sierotami, o czym świadczyło ich żałobne ubranie, dość już zniszczone. Nadzwyczaj podobne do siebie były jednego wzrostu; trzeba było stale na nie patrzeć, aby odróżnić jedną od drugiej. Jedna tylko zachodziła między nimi różnica w dniu, w którym je poznajemy: Róża czuwała nad siostrą i pełniła obowiązki starszej, obowiązki dzielone między nimi według pomysłu ich przewodnika. Stary żołnierz z czasów cesarstwa, fanatyk karności wojskowej, uważał za stosowny kolejny rozdział między dwiema sierotami, subordynacji i zwierzchnictwa. Greuze'a natchnęłyby widok ślicznych twarzyczek tych dziewcząt, w aksamitnych czarnych czapeczkach, spod których wymykały się obficie kędziory jasno kasztanowatych włosów, spływając na szyję i ramiona i otulając rumiane, atłasowe, świeże twarze; czerwony goździk, zwilżony rosą, nie miał bardziej aksamitnego szkarłatu niż ich kwitnące usta, błękit pierwiosnka wydawałby się ciemny obok lazuru ich dużych oczu, czyste i białe czoło, mały, kształtny nos, dołek na brodzie, nadawały tym powabnym twarzyczkom wyraz niewinności i miłej dobroci.

Przewodnik sierot, mężczyzna lat około pięćdziesięciu pięciu, wojskowej postawy, należał do nieśmiertelnego typu żołnierzy republiki i cesarstwa, tych dzielnych dzieci narodu, które w ciągu jednej kampanii przekształciły się w najdzielniejszych żołnierzy świata; niegdyś grenadier konny gwardii cesarskiej, przewany był Dagobertem, jego surowe oblicze nosiło wydatne cechy; siwe, długie, gęste wąsy zakrywały dolną wargę i łączyły się z brodą; chude policzki ceglatego koloru, zgrubiałe jak pergamin, były starannie wygolone; gęste brwi, jeszcze czarne, prawie zakrywały jasne, błękitne oczy; złote kolczyki spadały na wojskowy kołnierz z białą wypustką, skórzany pas obwijał płaszcz wojskowy z szarego grubego sukna, a granatowa furażerka z czerwoną obwódką, przechylona na lewy bok, okrywała mu łysą głowę.

Niegdyś obdarzony herkulesową siłą, ale zawsze dobry i cierpliwy, Dagobert, mimo surowego oblicza, odnosił się do sierot z niezwykłą troskliwością, uprzedzając ich życzenia z osobliwą, prawie macierzyńską czułością...

Kiedy niekiedy, nie zatrzymując się, odwracał się, aby pogłodzić lub powiedzieć dobre słowo białemu konikowi, dźwigającemu sieroty, którego kresy nad oczyma i długie zęby zdradzały podeszły wiek; dwie głębokie blizny, jedna na boku, druga na piersiach, świadczyły, że koń ten bywał w gorącym ogniu, dlatego też jakby z pewną dumą potrząsał niekiedy starym wojskowym munsztukiem. Chód konia był regularny, uważny i pewny, obfita piana, pokrywająca wędzidło, świadczyła o zdrowiu, jakiego nabywają konie przez ciągły, ale umiarkowany trud długiej, lecz nie spiesznej podróży; chociaż był w drodze od sześciu miesięcy, dzielny koń niósł rażno dwie sieroty i dość ciężki tłumoczek, przywiązany do siodła.

Koń zwał się Jowialny, był też istotnie zabawny i popisывał się figlami, których ofiarą był pies.

Ten ostatni, zapewne dla kontrastu nazwany Ponurym, nie odstępował na krok swego pana, szedł blisko Jowialnego, który czasem brał go z lekka za grzbiet, podnosił w górę i tak trzymał przez chwilę, pies od dawna zapewne nawykły do żartów swego towarzysza, poddawał się temu ze stoicyzmem, niekiedy tylko, gdy zabawa trwała zbyt długo, obracał głowę, warcząc. Jowialny wówczas natychmiast spuszczał go na ziemię. Mała karawana postępowała niecierpliwie, chcąc zdążyć przed nadejściem nocy do miasteczka Mockern, które widniało na górze.

Dagobert czasami spoglądał wkoło siebie i zdawało się, jakby coś sobie przypominał; twarz jego zasepiła się, gdy znalazł się blisko młyna, którego łoskot zwrócił jego uwagę; zatrzymał się, kręcąc długie wąsy dwoma palcami; był to jedyny znak, którym objawiał wzruszenie, mocne i skryte.

Jowialny zatrzymał się nagle za panem, Blanka uniosła głowę, spojrzenie jej zwróciło się na siostrę, potem obie spojrzwały po sobie ze zdziwieniem, widząc Dagoberta nieruchomego, z rękami założonymi na długim kiju, poruszonego czymś głęboko.

Znajdowali się u stóp małego pagórka, którego wierzchołek ginał wśród gęstych liści rosnącego opodal ogromnego dębu. Róża, widząc zamyślnego Dagoberta, wychyliła się z siodła i oparłszy drobną rękę o ramię żołnierza, zapytała łagodnie:

– Co ci jest, Dagobercie?

Weteran obrócił się, obie siostry z wielkim zdziwieniem spostrzegły dużą łzę, która skreśliwszy wilgotną bruzdę po zgrubiałej twarzy, zniknęła w ogromnych wąsach. Po chwili wahania żołnierz przeciągnął spracowaną ręką po oczach i rzekł do sierot wzruszonym głosem, pokazując dąb, przy którym zatrzymał się.

– Zasmucę was, moje biedne dzieci... ale, to rzecz tak święta... to, co wam powiem... A więc! Lat osiemnaście minęło... od dnia przed wielką bitwą pod Lipskiem, kiedy to zaniósłem waszego ojca pod to drzewo... dwa razy był cięty szablą w głowę... kulą raniony w ramię... tutaj, on i ja, co także odebrałem dwie rany piką, zostaliśmy wzięci do niewoli i przez kogo, przez renegata... tak, przez Francuza, zdrajcę, markiza, pułkownika w nieprzyjacielskiej służbie... który później... Zresztą kiedyś... dowiedziecie się o wszystkim...

Słyszając to sieroty, zsunęły się z konia i trzymając się za ręce, podeszły do starego dębu i uklękły. Potem, tuląc się do siebie, zapłakały, a stojący za nimi żołnierz, założywszy rękę na kiju, nisko pochylił czoło.

– Chodźmy... chodźmy, nie trzeba rozpaczać – rzekł po chwili łagodnie – może odnajdziemy generała Simona, w Paryżu – dodał – powiem wam o tym dzisiejszego wieczora na noclegu... Umyślnie odkładałem dotąd opowiadanie wam wielu rzeczy o waszym ojcu, miałem powód ku temu... bo dzisiejszy dzień jest niejako rocznicą.

– Płaczemy, bo myślimy także o naszej matce – rzekła Róża.

Żołnierz podniósł sieroty, wziął je za rękę, patrząc kolejno to na jedną to na drugą z wyrazem najszczerzego przywiązania.

– Nie smućcie się, moje dzieci – rzekł. Wasza matka była najpoczciwszą kobietą, to prawda... Gdy mieszkała w Polsce, nazywano ją perłą Warszawy, choć nazwać ją należało perłą całego świata... Bo na całym świecie trudno znaleźć istotę równie wspaniałą... Cóż wam matka zaleciła umierając? Abyście często o niej myślały, lecz nie martwiły się, na to wam nie pozwoliła.

– Masz słuszność, Dagobercie. – Nie będziemy się smuciły.

Sieroty otarły łzy. Stary żołnierz, widząc je rozpozgodzone, rzekł:

– Dobrze, moje dzieci, wolę widzieć was szczebiocące jak dziś rano i wczoraj... śmiejące się ukradkiem, kiedy czasami nie odpowiadałyście na to, co mówiłem... takeście się zagadały...

Tak, moje panienki... Odpocznijcie jeszcze kilka chwil, a potem w drogę, bo już późno, a musimy być w Mockern przed nocą... aby jutro wcześniej wybrać się w dalszą podróż.

– Mamy jeszcze daleką drogę? – zapytała Róża.

– Żeby dostać się do Paryża?... Tak, moje dzieci, ze sto popasów... Nie jedziemy szybko, ale przecież postępujemy naprzód i odbywamy podróż tanim kosztem, bo nie mamy wiele pieniędzy; dla was izdebka, dla mnie siennik u waszych drzwi. Ponury na moich nogach, trochę świeżej słomy na podściółkę dla starego Jowialnego, oto nasze koszty podróży. O jedzeniu nie wspominam, bo razem jecie tyle, co jedna mysz, a ja nauczyłem się w Egipcie i Hiszpanii być najedzonym wtedy tylko, kiedy mogę sobie na to pozwolić... W drodze każdy grosz oszczędzony jest zyskiem, zwłaszcza dla ubogich jak my, ludzi, bo trzeba przecież, abyśmy mieli za co dostać się do Paryża... dla pokazania waszego medalionu, strzeżcie go więc z największą pilnością i od czasu do czasu sprawdźcie, czy macie go przy sobie.

– To dla nas święta rzecz, dostaliśmy go przecież od umierającej matki.

– Słusznie, – i powtarzam, strzeżcie go pilnie, aby go nie zgubić przypadkiem.

– Oto on!

Blanka wyjęła z zanadru brązowy medalik, który miała zawieszony na szyi na łańcuszku. Medalik ten nosił na dwóch stronach następujące napisy:

Ofiara  
Módlcie się za mnie  
L. G. D. J.  
Paryż  
dnia 13 lutego  
1682

W Paryżu  
ulica Sw. Franciszka Nr 3  
będziecie  
po upływie półtora wieku  
dnia 13 lutego  
1832  
Módlcie się za mnie

– Co to znaczy, Dagobercie? – spytała Blanka. – Matka nam tego nie powiedziała.

– Pomówimy o wszystkim dziś wieczór na noclegu – odpowiedział Dagobert – już późno, jedziemy; schowaj dobrze medalion i w drogę, mamy blisiko godzinę drogi do Mockern... Nuże, moje dzieci, raz jeszcze rzućcie okiem na ten pagórek, gdzie padł wasz waleczny ojciec... a potem na koń! Na koń!

Sieroty rzuciły ostatnie spojrzenie na miejsce, które obudziło tak smutne wspomnienia w ich przewodniku i przy jego pomocy wsiadły znowu na konia.

Wkrótce przybyli do miasteczka.

Wszedłszy do Mockern Dagobert zapytał o najtańszą oberżę. Odpowiedziano, że jest tylko jedna: oberża Pod Białym Sokołem.

– Chodźmy więc do oberży pod Białym Sokołem – rzekł żołnierz.

## ROZDZIAŁ III

### PRZYBYCIE

Już kilkakrotnie pogromca zwierząt niecierpliwie otwierał okiennicę w okienku swego poddasza, wychodzącego na dziedziniec oberży pod Białym Sokołem, wyglądając przybycia dwóch sierot i żołnierza; nie widząc ich, chodził znowu powoli, z rękami założonymi na pierśiach, ze spuszczoną głową, obmyślając sposoby wykonania planu, jaki sobie ułożył.

Pomimo dzikiej powierzchowności nie zbywało mu na pojętności; odwaga, jakiej dowód składał w czasie swych przedstawień, mowa, niekiedy mistyczna i uroczysta, surowa hipokryzja nadawały mu pewien rodzaj wpływu na mieszkańców okolic, które odwiedzał podczas swych wędrówek.

Nie ma wątpliwości, że na długo przed swym nawróceniem się Morok oswoił się z obyczajami dzikich zwierząt... Urodzony w północnej Syberii, był za młodu jednym z najsmielszych myśliwych na niedźwiedzie i renifery, później, w roku 1815, zostawszy przewodnikiem rosyjskiego inżyniera, wysłanego na zbadanie krain podbiegunowych, towarzyszył mu potem do Petersburga, tu przeżywszy różne zmiany losu, zaliczony został w poczet kurierów carskich. Dla tych ludzi nie istnieją niesprzyjające pory roku ani przeszkody, ani trudy, ani niebezpieczeństwa, mają oni do wyboru tylko dwie rzeczy: paść w drodze lub spełnić otrzymane rozkazy, przybyć tam, dokąd ich wysłano. Łatwo więc pojąć śmiałość, wytrwałość i rezygnację ludzi, nawykłych do podobnego życia.

Morok ciągle chodził po izbie.

Nadeszła noc, a trzy osoby, na które czekał z taką niecierpliwością, jeszcze nie przybyły. Chód jego stawał się coraz bardziej niespokojny.

Wtem zatrzymał się, pochylił głowę ku oknu i słuchał. Miał słuch tak wrażliwy jak człowiek dziki.

– Wreszcie są!... zawołał.

I źrenice zabłyśły mu szatańską radością. Posłyszał stąpanie człowieka i konia.

Podszedł do okienka poddasza, ostrożnie uchylił okiennicę i ujrzał wjeżdżające konno na podwórze oberży dwie dziewczyny i prowadzącego je żołnierza. Będąc pewnym zdobyczy, zamknął okno.

Pomyślawszy jeszcze przez kwadrans, zapewne dla ostatecznego podjęcia decyzji, wychylił się przez otwór, gdzie stała drabina i zawołał:

– Goliat!

– Jestem... Wracam z jatek, przynoszę mięso.

Szczeble drabiny zachwiały się i ogromna głowa pokazała się wkrótce na równi z podłogą.

Goliat, słusznie tak nazwany (miał przeszło sześć stóp wzrostu, a barczysty był jak Herkules), był szkaradny, zezowate oczy kryły się pod niskim a wydatnym czołem; w szerokich szczękach, opatrzonych zębami podobnymi do kłów, trzymał kawał surowego mięsa wołowego, wagi dziesięciu lub dwunastu funtów, uważał zapewne, iż wygodniej tak trzymać mięso, aby rąk móc używać do przytrzymywania się podczas wchodzenia na drabinę, która chwiała się pod jego ciężarem.

Stanąwszy, Goliat rozwarł swoje kły, otworzył gębę, upuścił na ziemię ćwiartkę wołu i oblizwał skrwawione wąsy. Potwór ten, łącząc przyjemne z pożytecznym, występował podczas przedstawień Moroka, pożerając w oczach widzów kilka funtów surowego mięsa.

– Porcja Śmierci i moja są tam na dole, ta zaś będzie dla Kaina i Judasza – rzekł... a gdzie nóż?

Zamiast odpowiedzieć, Morok zaczął go wypytywać:

– Czy byłeś na dole, kiedy ci nowi podróżni przyjechali do oberży?

– Tak, wracam z jatek.  
– Czy wiesz... gdzie dano im mieszkanie?  
– Gospodarz zaprowadził dziewczyny i starego na dziedziniec, do budynku, co wychodzi na pole.

Straszliwe wycie, wstrząsnąwszy poddaszem, przerwało mowę Goliata:

– Słyszysz? – zawołał – Zwierzęta z głodu aż wściekają się. Nigdy nie widziałem Judasza i Kaina tak złych jak tego wieczora, skaczą po klatce; aż strach, żeby jej nie porozbijały. A oczy Śmierci iskrzą się bardziej niż kiedykolwiek... rzekłbyś, dwie świece!

– Czy stary został z dziewczętami? – zapytał Morok.

Goliat zdumiony, że bez względu na jego nalegania pan nie myśli o wieczerzy dla zwierząt, patrzył na Moroka ze wzrastającym zdziwieniem.

– Pytałem się, czy stary został z dziewczętami?

– Nie, zaprowadziwszy konia do stajni, prosił o szaflik, wodę i w sieni, przy świetle latarni... pierze... Teraz, mistrzu, pozwól mi się zająć wieczerzą zwierząt.

Po chwili milczenia Morok rzekł:

– Nie będziesz dzisiaj karmić zwierząt.

Goliat nie odpowiedział, wytrzeszczył zezowate, ogromne oczy, złożył ręce i cofnął się o dwa kroki.

– No co, nie słyszysz? – rzekł Morok z niecierpliwością. Powiedziałem wyraźnie...

– Nie dać im jeść? Kiedy mięso jest tutaj, kiedy ich wieczerza spóźniła się już o trzy godziny!... Zawołał Goliat z przerażeniem. – Chcesz, żeby stało się jakieś nieszczęście dziś wieczorem... zwierzęta poszaleją z głodu!

– Tym lepiej!

– Ależ do diabła, ja też jestem głodny!

– To jedz, któż ci przeszkadza? Jadasz surowe mięso, więc masz gotową kolację!

– Nigdy nie jem, jeżeli moje zwierzęta nie jedzą.

– A ja ci powiadam, że jeśli nakarmisz zwierzęta, to cię wypędzę.

Goliat wydał coś w rodzaju ryku niedźwiedzia, spoglądając na Moroka wzrokiem osłupiałym i zagniewanym. Morok, wydawszy rozkazy, przechadzał się wzdłuż poddasza, pogrążony w zadumie. Potem, obróciwszy się do Goliata, zatopionego wciąż jeszcze w głębokim zdumieniu, rzekł:

– Czy pamiętasz dom burmistrza, gdzie byłem wieczorem, aby pokazać moje zezwolenie i któregożona kupiła książeczki i różaniec?

– Tak – odpowiedział olbrzym opryskliwie.

– Idź i zapytaj służącej, czy zastanę burmistrza w domu jutro wczesnym rankiem. Może będę miał mu powiedzieć coś ważnego, a w każdym razie proszę, żeby nie wychodził z domu, nim się ze mną nie zobaczy.

– Dobrze... ale zwierzęta... czy nie mógłbym dać im jeść, nim pójde do burmistrza? Przynajmniej rysiewi... ten najgłodniejszy...

No, mistrzu, przynajmniej Śmierci?

– Ależ właśnie rysia specjalnie zabraniam ci karmić, jego specjalnie.

– Na rogi diabelskie! – krzyknął Goliat. – Nie rozumiem nic a nic. Szkoda, że Karola tu nie ma, on taki mądry, pomógłby mi zrozumieć, dlaczego nie pozwalasz nakarmić głodnych zwierząt.

– Czy Karol prędko wróci?

– Już wrócił... i odjechał... po raz drugi.

– Co się tu dzieje? Jest w tym coś, Karol przyjeżdża, wyjeżdża... i...

– Nie o Karola tu idzie, lecz o ciebie, ty też jesteś mądry, kiedy chcesz... – I Morok poufale poklepał olbrzymia po ramieniu, zmieniając nagle wyraz twarzy i sposób mówienia. Ot, na

przykład można zarobić dziesięć florenów tej nocy, a ty będziesz na tyle mądry, że je dostaniesz... jestem tego pewny.

– W takim interesie, tak, jestem mądry – rzekł olbrzym, uśmiechając się z zadowoloną miną. – Co trzeba zrobić, żeby zarobić te dziesięć florenów?

– Zobaczysz... Pójdiesz do burmistrza, lecz najpierw rozpalisz tę fajerkę – wskazał ją gestem Goliatowi.

– Tak, mistrzu... – rzekł olbrzym z głupkowatą pokorą, rezygnując z chęci zbadania przyczyn dziwnego postanowienia Moroka względem zwierząt, które głód mógł doprowadzić do szaleństwa.

– Włóżysz w fajerkę tę stalową laskę, aby się rozpałała do czerwoności – dodał Morok.

– Tak, mistrzu.

– Zostawisz ją tam, pójdiesz do burmistrza i po powrocie będziesz tu czekać na mnie.

– Tak, mistrzu.

– Ciągłe będziesz utrzymywać ogień w fajerce.

– Tak, mistrzu.

Morok miał już wychodzić, lecz odwracając się zapytał:

– Powiadasz, że stary pierze bieliznę w sieni?

– Tak, panie.

– Nie zapomnij niczego, laska stalowa w ogniu, do burmistrza, wrócisz tu, czekać na moje rozkazy.

To rzekłszy, wyszedł z poddasza i zostawił oszołomionego Goliata.

## ROZDZIAŁ IV

### DAGOBERT I MOROK

Goliat nie mylił się... Franciszek Baudoin, znany pod imieniem Dagoberta, prał bieliznę z niezachwianą powagą, jaką zachowywał we wszelkich okolicznościach. Zastanowiwszy się nad zwyczajami żołnierza podczas kampanii, nie będziemy się dziwić, że starzec sam wykonywał pracę, tak rzadko wykonywaną przez mężczyzn, zresztą Dagobert myślał jedynie o oszczędzeniu chudej sakiewki sierot i uwolnieniu ich od wszelkiej pracy, wszelkich kłopotów, wieczorem przeto na noclegu, oddawał się różnym kobiecym czynnościom.

Prał więc bieliznę w sieni oberży, ku wielkiemu zdziwieniu kilku popijających piwo, którzy z dużej izby, gdzie siedzieli, spoglądali na niego z ciekawością.

W istocie, było to dość pocieszne widowisko.

Morok wszedł w tej chwili do sieni, spostrzegłszy żołnierza, przez kilka sekund bacznie wpatrywał się w niego, potem, zbliżywszy się, rzekł po francusku, żartobliwym tonem:

– Jak widać, kolego, nie macie zaufania do praczek Mockernowskich?

Dagobert, nie przestając prac, zmarszczył brwi, obrócił nieco głowę, spojrzał przelotnie na Moroka i nie odpowiedział.

Zdziwiony milczeniem, Morok mówił dalej:

– Nie mylę się... jesteś Francuzem, mój waleczny, zresztą świadczą o tym słowa, wyklute na twoim ramieniu, a po wojskowej postawie łatwo zgadnąć, żeś stary żołnierz z czasów cesarstwa. Uważam przeto, żeś bohater... kończysz jednak na wrzecionie...

Dagobert milczał, ale przygryzł wąsa i z większą jeszcze szybkością mydlił bieliznę, bo słowa pogromcy zwierząt zrobiły na nim wrażenie bardziej przykre, niż chciał pokazać. Nie zrażając się bynajmniej, Morok znowu się odezwał:

– Pewien jestem, mój waleczny, że nie jesteś ani głuchy, ani niemy, dlaczego więc nie odpowiadasz?

Dagobert, straciwszy cierpliwość, odwrócił głowę, spojrzął na Moroka i rzekł grubiańskim tonem:

– Ja was nie znam! I znać nie chcę, dajcie mi spokój!

I wziął się znowu do roboty.

– Ależ zawiera się znajomość... przy kieliszku reńskiego wina pogadamy o naszych wyprawach... bo ja także widziałem wojnę, i ja... ostrzegam was i to może was uczyni trochę grzeczniejszym...

Na łysym czole Dagoberta mocno nabrzmiały żyły, w spojrzeniu i głosie upartego natręta upatrywał, że szuka zaczepki, ale jednak się wstrzymał.

Naigrwanie się było już otwarte, zuchwałość i chęć zaczepki dawały się widzieć w bezczelnym spojrzeniu Moroka. Wiedząc, że z podobnym przeciwnikiem przyjść może do poważnej kłótni, Dagobert postanowił unikać jej wszelkimi sposobami, wziął szaflik w ręce i przeszedł na drugi koniec sieni, spodziewając się tym zakończyć scenę, która na tak ciężką próbę narażała jego cierpliwość. Radość zabłysła w dzikim oku pogromcy zwierząt. Biała obrączka otaczająca jego źrenicę, zdawało się, rozszerzyła się, zapuścił dwa lub trzy razy rękę w długą żółtawą brodę, na znak zadowolenia, potem zbliżył się powoli do żołnierza, w towarzystwie kilku ciekawskich, którzy wyszli z gościnnej izby. Pomimo całej flegmy Dagobert, zdziwiony i obrażony bezczelnym natręctwem Moroka, chciał zrazu palnąć go w łeb deską, na której prał bieliznę, lecz pomyślawszy o sierotach, pohamował się. Założywszy ręce na piersi, Morok rzekł suchym i pogardliwym tonem:

– Doprawdy, niegrzeczny jesteś... panie mydlarzu. Potem, zwróciwszy się do widzów, przemówił po niemiecku: – Powiadam temu Francuzowi z długimi wąsami, że jest niegrzeczny... Zobaczmy, co odpowie, może wypadnie dać mu nauczkę: strzeż mnie, Boże, żebym miał być awanturnikiem – dodał ze skruszoną miną – ale Pan mnie oświecił, jestem jego dziełem i przez cześć ku niemu, winienem nakazać szacunek dla jego dzieła...

Ta mistyczna przemowa wielce przypadła do gustu ciekawskim, sława imienia Moroka doszła aż do Mockern. Spodziewali się jutro widowiska, a ten wstęp mocno ich bawił. Na tę zaczepkę przeciwnika Dagobert nie mógł się wstrzymać od odezwania się po niemiecku:

– Rozumiem po niemiecku... mów po niemiecku, zobaczymy!

Nadeszli nowi widzowie i przyłączyli się do pierwszych, awantura stawała się coraz ciekawszą, otoczono dokoła rozmawiających, a Morok rzekł:

– Powiedziałem, że jesteś niegrzeczny, teraz powiem, że jesteś bezczelny grubianin, co na to odpowiesz?

– Nic... rzekł Dagobert, biorąc się do drugiej sztuki bielizny.

– Nic... mówił dalej Morok – to niewiele, ja będę mniej krótki i powiem, że jeżeli uczciwy człowiek ofiaruje grzecznie kieliszek wina obcemu, ten obcy nie ma prawa odpowiadać po grubiańsku... albo...

– Albo? – przerwał Dagobert, nie patrząc na Moroka.

– Albo winien mi jesteś dać satysfakcję... Powiedziałem już, że i ja znam wojnę, dziś wieczorem znajdziemy gdziekolwiek dwa pałasze, a jutro rano, o świcie, za murem, możemy zobaczyć, jakiego koloru jest nasza krew... jeżeli ona płynie w twoich żyłach!...

To wyzwanie zaczęło nieco trwożyć widzów, którzy nie spodziewali się takiego rozwiązania.

– Bić się? A to śliczna myśl – zawołał jeden... aby was obu wzięto do kozy; prawa o pojedynkach są bardzo srogie.

– Zwłaszcza, kiedy rzecz idzie o biednych ludzi – odezwał się drugi. – Gdyby was z bronią w rękę przydybał burmistrz, posadziłby obu do kozy i dwa lub trzy miesiące czekalibyście w więzieniu, nim wyrok zapadnie.

– Czyżbyście chcieli nas zaskarżyć? – zapytał Morok.  
– Nie, bynajmniej! – rzekli widzowie – Pogódźcie się... dajemy wam przyjacielską radę... korzystajcie z niej, jeżeli chcecie...

– Mniejsza o więzienie, nie dbam o to! – zawołał Morok... – Niech tylko znajdą dwa pałaze... a zobaczymy, czy jutro rano pomyślę o tym, co zechce powiedzieć lub zrobić burmistrz?

– A co będziesz robił z dwoma pałazami? – zapytał flegmatycznie Dagobert.

– Kiedy będziesz mieć jeden w rękę, a ja drugi, wtedy zobaczysz... Pan nakazuje bronić swego honoru.

Dagobert wzruszył ramionami, związał bieliznę w chustkę, otarł mydło, starannie zawinął je w ceratę, potem gwizdząc przez zęby swoją ulubioną piosenkę: „De Firlemont”, ruszył naprzód.

Morok zmarszczył brwi i zaczął lękać się, aby zaczepka nie skończyła się na niczym. Posunął się ku Dagobertowi, stanął naprzeciw niego, jakby chcąc mu zamknąć drogę, a złożywszy ręce na piersiach, mierzając go wzrokiem, rzekł z największą pogardą:

– Tak więc, stary żołnierz tego rozbójnika Napoleona zda się tylko na praczkę, a bić się nie chce!...

– Nie chcę się bić... odpowiedział Dagobert mocnym głosem, ale okropnie błędąc.

Nigdy może żołnierz nie okazał sierotom, powierzonym swojej opiece, większego dowodu przywiązania i poświęcenia. Dla człowieka jego charakteru dać się bezkarnie znieważać i nie przyjąć wyzwania, było nadzwyczaj wielką ofiarą.

– A więc, jesteś podły... jesteś tchórz... sam się przyznajesz...

Na te słowa Dagobert zacisnął pięści i już miał rzucić się na Moroka, gdy obezwładniła go myśl o dwojgu dzieciach i o smutnych następstwach, jakie pojedynek, szczęśliwy lub nie, mógłby spowodować.

Ale uniesienie gniewu żołnierza, chociaż chwilowe, tak było znaczące, wyraz jego surowej twarzy, bladej i oblanej potem, tak straszny, że Morok i widzowie cofnęli się.

Głębokie milczenie panowało przez kilka sekund, a przez nagłą odmianę, powszechna życzliwość obecnych przechyliła się na stronę Dagoberta. Jeden z widzów rzekł:

– Nie, ten człowiek nie jest tchórzem...

– Nie, doprawdy – powtórzył drugi.

– Więcej mu trzeba odwagi do odrzucenia wyzwania niżeli do przyjęcia... Zresztą Morok niedobrze postąpił, szukając z nim kłótni, wszak to cudzoziemiec...

– I jako cudzoziemiec, gdyby się pojedynekował i został złapany, posiedziałby długi czas w więzieniu...

– A oprócz tego – dodał inny – on podróżuje z dwiema panienkami. Czyliż w takiej sytuacji wypada mu bić się z byle powodu? Gdyby został zabity lub uwięziony, cóż by się stało z biednymi dziećmi?...

Dagobert obrócił się ku mówiącemu te słowa. Był to gruby mężczyzna, o szczerym i otwartym obliczu, żołnierz podał mu rękę i rzekł wzruszonym głosem:

– Dziękuję ci, panie!

Niemiec uścisnął serdecznie rękę Dagoberta.

– No, panie – dodał, trzymając ciągle rękę żołnierza – uczyn jedną rzecz... wypij z nami wazę ponczu, a zmusimy tego diabelskiego proroka, aby wyznał, że zanadto cię rozgniewał i abyście się stuknęli szklankami.

Pogromca zwierząt, straciwszy teraz nadzieję na pożądane rozwiązanie sceny, spodziewał się bowiem, iż żołnierz przyjmie wyzwanie, z dziką pogardą patrzył na tych, którzy nie chcieli go popierać, powoli jednak złagodziły się rysy jego twarzy, a uznając za przydatne dla swych zamiarów ukrycie gniewu, zbliżył się do żołnierza i rzekł dość grzecznie:

– No, jestem posłuszny tym panom, wyznaję, że zawiniłem, wasze złe przywitanie obraziło mnie, nie byłem panem siebie... powtarzam, że zawiniłem. – Pan nakazuje pokorę... Przepra-



szam was... rany, jakie tu widzę... na waszym ramieniu, przekonują dostatecznie, że nie jesteście tchórzem... Raz jeszcze przepraszam.

Taki dowód umiarkowania i żalu zyskał uznanie i pochwałę widzów.

– On was przeprasza, nie możecie zaprzeczyć, mój waleczny – rzekł jeden z widzów do Dagoberta – chodźmy, wypijmy razem, zapraszamy was z całego serca, przyjmijcie to takim sercem...

– Tak, przyjmijcie, prosimy was, w imieniu waszych pięknych panienek – rzekł gruby mężczyzna, chcąc tym nakłonić Dagoberta.

Ten, rozrzuwiony serdeczną uprzejmością Niemca, odpowiedział:

– Dziękuję, panowie... jesteście zacni ludzie. Lecz kto przyjmuje zaprosiny do picia, musi także sam zapraszać...

– No! Zgoda... ma się rozumieć... każdy po kolei... rzecz sprawiedliwa. My zapłacimy za pierwszą wazę ponczu, a wy za drugą.

– Bieda nie hańbi nikogo – rzekł Dagobert. – Otwarcie przeto powiem, że nie jestem w stanie zaprosić was po kolei, długą jeszcze drogę mamy przed sobą i nie powinienem czynić niepotrzebnego wydatku.

Żołnierz rzekł te słowa z godnością tak szczerą, ale przy tym tak mocną, iż Niemcy nie śmieli wznowić zaprosin, pojmując, że człowiek o charakterze Dagoberta przyjąć ich nie może bez poniżenia się.

– No, szkoda... – rzekł gruby mężczyzna. – Chętnie bym wypił z wami. Dobranoc, waleczny żołnierzu!... Dobranoc... Już późno, gospodarz Pod Białym Sokołem wyrzuci nas za drzwi.

– Dobranoc, panowie – odpowiedział Dagobert, idąc do stajni, aby dać koniowi porcję owsa.

Morok podszedł do niego i rzekł pokornym głosem:

– Przyznałem się do winy, przeprosiłem was... Nic mi nie odpowiedzieliście... czy jeszcze gniewacie się na mnie?

– Jeżeli kiedy spotkam się z tobą... gdy już moje dzieci potrzebować mnie nie będą – rzekł weteran głuchym i przytłumionym głosem – powiem ci dwa słowa, a te będą krótkie. – Potem obrócił się tyłem do Moroka, który powoli opuścił dziedziniec.

Oberża Pod Sokołem tworzyła równoległobok. W jednym jego końcu wznosił się główny budynek, w drugim oficyna, gdzie znajdowało się kilka tanich stacji dla ubogich podróżnych, sklepiony korytarz prowadził stąd w pole, po obu stronach dziedzińca ciągnęły się stajnie i szopy, a nad nimi poddasza i składy.

Dagobert, wszedłszy do stajni, wziął porcję owsa przygotowaną dla swego konia, wsypał w kosz i potrząsał, zbliżając się do Jowialnego.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu, stary towarzysz drogi nie odpowiedział wesołym rzeniem na szelest owsa potrząsanego w koszu; zaniepokojony Dagobert zawołał przyjaznym głosem na Jowialnego, ale ten bynajmniej nie zwracając ku panu pojętnego oka i nie kopiąc przednimi nogami z niecierpliwością, stał nieruchomy.

Coraz mocniej zdumiony żołnierz podszedł bliżej; przy słabym blasku stajennej latarni ujrzał biedne zwierzę w stanie największej trwogi: nogi podkurczone, głowa zadarta do góry, uszy Stulone, nozdrza wydęte, napinał postronek, jakby chcąc go zerwać, aby móc się oddalić od przegrody, o którą opierał się żłób i drabinka na siano; obfity, zimny pot oblewał go sinawą barwą; zamiast lśniącej i srebrzystej, sierść była najeżona, kiedy niekiedy konwulsyjny dreszcz przebiegał po nim.

– No!... No! Stary Jowialny... – rzekł żołnierz, stawiając kosz na ziemi, aby pogłodzić konia – jesteś więc, jak twój pan... boisz się? – dodał z goryczą, wspomniawszy obrazę, jaką musiał znieść dla dobra sierot. – Boisz się... ty, który przecież nie jesteś tchórzem...

Bez względu na pieszczoty i głos pana, koń ciągle okazywał przestraszony, mniej wszakże napinał postronek, posunął nozdrza ku ręce Dagoberta z wahaniem i wachając głośno, jakby powątpiewał, czy to on.

– Nie poznajesz mnie! – zawołał Dagobert. – Dziać się tu musi coś niezwykłego!

I spoglądał wokół siebie z niepokojem. Stajnia była obszerna, ciemna, ledwie oświetlona przez latarnię wiszącą u pułapu, zasnutego pajęczyną, w drugim końcu, oddzielone od Jowialnego tylko kilkoma przęsłami, stały trzy kare konie pogromcy zwierząt... o tyle spokojne, o ile Jowialny był drżący i przestraszony.

Dagobert, uderzony tak osobliwą sprzecznością, której rozwiązanie wkrótce miał znaleźć, pogłaskał konia, ten uspokoiwszy się powoli obecnością pana, polizał mu rękę, oparł swoją głowę o niego, zarżał z cicha i okazywał mu jak zwykle tysiączne dowody przywiązania.

– Dobrze, już dobrze... Takim lubię cię widzieć, mój stary Jowialny – rzekł Dagobert, biorąc koszyk i wsypując owies do żłobu. No, jedz... smacznego, mamy długą drogę przed sobą. A nade wszystko nie bój się nie wiadomo czego... Gdyby twój towarzysz, Ponury, tu się znajdował... byłbyś spokojniejszy... ale on tam na górze z dziećmi, to ich stróż w mojej nieobecności... No, jedź... a nie patrz tak na mnie. – Ale koń poruszywszy owies, jakby przez posłuszeństwo dla pana, nie dotknął go więcej a zaczął przygryzać rękaw płaszcza Dagoberta.

– Ach! Mój biedaku... Co ci się stało, zwykle spożywasz owies tak ochoczo... teraz go nie tykasz... Pierwszy raz to się jemu zdarza od czasu naszego wyjazdu – rzekł do siebie, mocno niespokojny, bo pomyślny koniec podróży zależał w dużej mierze od czerstwości i zdrowia konia.

Nagle ryk okropny i tak bliski, iż zdawało się, że powstał w samej stajni, do tego stopnia przeraził Jowialnego, iż zerwawszy nagle postronek, przeskoczył poręcz zagrządzającą jego miejsce i przez otwartą bramę uciekł na dziedziniec.

Dagobert nie mógł wstrzymać się od drżenia na ów ryk niespodziewany, potężny, dziki, który wytłumaczył mu przyczynę strachu konia.

Sąsiednia stajnia, zajęta przez wędrowną menażerię pogromcy zwierząt, oddzielona była rusztowaniem, o które opierał się żłób; trzy konie Moroka, przywykłe do owych ryków, stały spokojnie.

– Dobrze, dobrze – rzekł żołnierz, ochłonawszy z przestraszenia – teraz rozumiem, bez wątpienia Jowialny usłyszał podobny ryk, poczuł zwierzęta tego bezczelnego hultaja, czegoż więcej trzeba, żeby się przestraszył – dodał, wybierając starannie owies ze żłobu: – w drugiej stajni, a pewno znajdzie się tu jaka, nie zostawi swego obroku i będziemy mogli wybrać się w drogę jutro bardzo wcześnie.

Przerażony koń, wybiegłszy i pohasawszy na dziedzińcu, wrócił na głos żołnierza i ten bez trudności wziął go za uzdę. Stajenny, którego Dagobert zapytał, czy nie ma innej wolnej stajni, pokazał mu taką, gdzie tylko jeden koń mógł się pomieścić. Jowialny wygodnie tu stanął, uwolniwszy się od strasznego sąsiedztwa, uspokoił się, bawił się nawet kosztem płaszcza Dagoberta, który z tego powodu mógł jeszcze dzisiejszego wieczora popisać się talentem do krawiectwa, lecz teraz podziwiał szybkość, z jaką koń spożywał obrok. Zupełnie spokojny zamknął drzwi od stajni, prędko zjadł wieczerzę, aby udać się do sierot, które już zbyt długo zostawił same, co go nieco martwiło.

## ROZDZIAŁ V

### RÓŻA I BLANKA

Sieroty zajmowały małą, nędzną izdebkę, w najodleglejszym budynku oberży. Jedyne okienko wychodziło na pole, łóżko bez firanek, stolik i dwa krzesła stanowiły więcej niż skromne umeblowanie tego zakątka, oświetlonego jedną lampą; na stoliku, stojącym przy oknie, leżał tornister Dagoberta.

Ponury, duży, płowy pies syberyjski leżał u drzwi i dwa razy już zawarczał, zwracając głowę ku oknu, lecz dalej nie posuwał oznak niechęci.

Siostry, leżąc na łóżku, owinięte były w długie białe szlafroczyki. Nie miały czepeczków, szeroka taśma opasywała ich kasztanowe włosy nad skronią, aby się w nocy nie rozrzuciły. Ten biały ubiór, biała przepaska na czole, nadawały charakter wdzięcznej niewinności ich świeżym i ładnym twarzyczkom.

Sieroty śmiały się i rozmawiały, bo mimo wielu przedwczesnych zmartwień, zachowały niewinną beztroskę swego wieku; jeżeli wspomnienie matki zasmucało je niekiedy, smutek ten nie miał w sobie goryczy, była to raczej czułość i melancholia, której nie tylko nie unikały, lecz nawet szukały; ta zawsze ukochana matka nie była dla nich umarła, lecz tylko nieobecna.

Prawie równie nieświadome jak Dagobert zwyczajów religijnych, bo na pustyni, gdzie żyły, nie było ani kościoła, ani księdza, wierzyły jedynie, że Bóg, sprawiedliwy i dobry, tak był litościwy dla biednych matek, których dziatki zostawały na ziemi, że za jego łaską mogły one, z wysokości niebios, widzieć je zawsze, słyszeć i że niekiedy na ich obronę zsyłani są aniołowie stróże.

W tak szczerym przekonaniu sieroty wierzyły, że oczy matki są ciągle zwrócone na nie, że źle czynić byłoby ją zasmucać i nie zasługiwać na opiekę dobrych aniołów.

Tego wieczora rozmawiały, czekając na Dagoberta, rozmowa mocno je zajmowała, bo od kilku dni posiadały tajemnicę, wielką tajemnicę, na wspomnienie której często były ich dziewczęce serca, wzdymały się rozkwitające piersi, a niekiedy ćmiły się niespokojną i zadumaną tęsknotą ich błękitne, piękne oczy.

Róża zajmowała brzeg łóżka, jej pulchne ręce były założone pod głowę, którą pochyliła ku siostrze, ta zaś wsparta na łokciu, patrzyła na nią z uśmiechem i mówiła:

– Myślisz, że przyjdzie i tej nocy?

– Tak, bo wczoraj... nam obiecał.

– On taki dobry... dotrzyma obietnicy.

– Czy nie uważasz, że on ma coś w swoich oczach? Coś podobnego do oczu naszej matki. Prawda?

– Tak, to mnie właśnie uderzyło... A jego głos, jaki przyjemny!

– A jaki przy tym ładny, jakie ma długie i jasne włosy.

– A jego imię... jakie śliczne...

– Co za dobry uśmiech, jak rozrzewnia, kiedy nas bierze za rękę... mówiąc czułym i poważnym głosem: „Dzieci moje, błogosławcie Boga, że dał wam duszę jednakową... To, czego szukają gdzie indziej, znajdziecie w sobie samych... ponieważ macie jedno serce”... dodał.

– Jakżeśmy szczęśliwe, że pamiętamy wszystkie jego słowa!

– A to, co mówi, jest tak piękne, szlachetne, takie wspaniałe.

– A przy tym, prawda, siostrze? W miarę jak mówi, ileż dobrych myśli w nas się rodzi! Bylebyśmy tylko zawsze pamiętały o nich...

– Bądź spokojna, tkwią one w naszym sercu i jak małe ptaszyny w gniazdeczku, odnajdziemy je, kiedy będzie trzeba.

– Czy wiesz, Rózo, że to wielkie szczęście, że on kocha nas obie razem.

– Nie mógłby inaczej, bo obie mamy przecież jedno serce.

– Jak można kochać Różę, nie kochając Blanki?

– Byle by tylko nie opuszczał nas aż do Paryża.

– I żebyśmy w Paryżu... także go widywały...

– Nade wszystko w Paryżu... dobrze będzie mieć go przy sobie... w takim wielkim mieście... Mój Boże, Blanko, jak tam musi być pięknie...

– Nic nam jeszcze nie mówił o Paryżu.

– Nie pomyślał widać o tym... A przy tym zdaje się niekiedy, że bardzo lubi długo patrzeć na nas, nic nie mówiąc.

– Tak, wtedy właśnie myślę, że jego spojrzenie jest bardzo podobne do spojrzenia naszej matki.

– A ona... jak się musi cieszyć z tego, co nas spotkało... bo widzi nas.

– Tak, bo jeżeli nas tak kocha, to dlatego, że zasługujemy na to...

– O! Jakaś ty chełpliwa... – rzekła Blanka, bawiąc się gładzeniem włosów siostry, rozdzielonych na czole.

Po chwili namysłu Róża rzekła:

– Czy nie uważasz, że powinnyśmy opowiedzieć wszystko Dagobertowi?

– Jeśli tak myślisz... powiedzmy...

– Powiemy mu wszystko, jakeśmy wszystko matce mówiły, dlaczego przed nim tacić?...

– Masz słusność, siostrze.

W tej chwili pies znowu zawarczał.

– Siostrze – rzekła Róża, tuląc się do Blanki. – Pies znów warczy, co mu się stało?

– Ponury... ciszej!... Chodź tu – odezwała się Blanka, uderzając rączką po brzegu łóżka.

Pies wstał, zawarczał i położył na kołdrze swą wielką, mądrą głowę, ciągle spoglądając z ukosa na okno; siostry nachyliły się ku niemu, żeby pogłaskać szeroki łeb, wypukły w środku, co dowodziło niepospolitej czystości rasy.

– Czego tak warczysz, Ponury? – rzekła Blanka, z lekka pociągnawszy go za uszy – no, mój dobry pies?

– Biedne zwierzę, zawsze tak niespokojne, kiedy Dagoberta nie ma.

– Prawda, zdaje się, że wie o tym, iż wtedy jeszcze bardziej musi nas pilnować.

– Dagobert spóźnia się, aby powiedzieć nam dobranoc.

– Pewno karmi Jowialnego.

– Zapewne! To mi przypomniało, żeśmy nie powiedziały dobranoc staremu Jowialnemu. A tak się zawsze cieszy z naszych odwiedzin.

– Szczęście, że Dagobert powie mu dobranoc za nas.

– Dobry Dagobert! Zawsze nami zajęty, jak on nas psuje... My sobie próznujemy, a on ciągle kłopotuje się...

– Lecz jak temu zaradzić?

– Szkoda, że nie jesteśmy bogate, mogłybyśmy zapewnić mu nieco odpoczynku!

– Bogate!... My... niestety! Zawsze tylko będziemy biednymi sierotami.

– Ale przecież ten medalik?

– Zapewne, jakaś nadzieja wiąże się z tym, inaczej nie wybrałybyśmy się w tak daleką podróż.

– Dagobert obiecał nam opowiedzieć wszystko dzisiejszego wieczoru. – I nagle przerwała. Dwie szyby w oknie trzasnęły z wielkim łoskotem.

Sieroty, krzyknawszy przestraszone, rzuciły się w objęcia a pies szczekając wściekle rzucił się do okna...

Błede, drżące z przestachu, siostry stłumiły oddech, zdjęte trwogą, nie śmiały rzucić okiem w stronę okna.

Ponury, oparłszy przednie łapy o okno, nie przestawał czekać zajadle.

– Co to było? – z cicha rzekły sieroty – a tu Dagoberta nie ma...

Potem Róża schwyciwszy siostrę za rękę szepnęła:

– Słuchaj... słuchaj... ktoś idzie po schodach.

– Mój Boże!... Zdaje mi się, że to nie chód Dagoberta, słyszysz, jak ciężko stapa?

– Ponury, pójdz tu... zaraz tu, broń nas – zawołały w największym przestachu.

Rzeczywiście, nie tylko, że jakieś ciężkie stapanie rozległo się głośno na drewnianych schodach, ale wzdłuż cienkiej ściany, dzielącej izdebkę od sieni dał się słyszeć jakiś dziwny szelest.

Wreszcie coś ciężkiego, upadłszy u drzwi, wstrząsnęło nimi mocno.

Przeżalone dziewczęta spojrzały na siebie bez słowa.

Drzwi się otworzyły. Stał w nich Dagobert.

Na jego widok Róża i Blanka uściśniły się z radością jakby uniknęły wielkiego niebezpieczeństwa.

– Co wam jest? Czego się tak lękacie? – zapytał żołnierz mocno zdziwiony.

– Och! Gdybyś wiedział! – rzekła Róża drżącym głosem. – Gdybyś wiedział, co tu się działo.

– A potem nie poznałyśmy twego chodu... – Wydał się nam taki ciężki... a potem ten szelest... za ścianą...

– Ależ, moi mali tchórze, nie mogę iść po schodach nogami piętnastoletnimi, niosąc swoje łóżko na plecach, to jest siennik, który położyłem jak zwykle u waszych drzwi...

– Mój Boże! Jakieśmy płocze, siostró, że nie pomyślałyśmy o tym! – rzekła Róża, spojrzawszy na Blankę.

I obie śliczne twarzyczki odzyskały świeży rumieniec. Tymczasem pies, ciągle stojąc u okna, nie przestawał czekać.

– Czego Ponury tak czeka koło okna, moje dzieci? – zapytał żołnierz.

– Nie wiemy... ktoś wybił szybę w oknie i to nas z początku tak przestraszyło.

Nie odpowiedziawszy słowa, Dagobert podbiegł do okna, otworzył je prędko i wychylił się.

Noc była ciemna, nic nie widział.

Słucha... nic nie słyszał, tylko szum wiatru.

– Ponury! – zawołał na psa, pokazując mu okno... – skocz no tu, mój stary i szukaj!

Śmiały pies skoczył rąco i zniknął za oknem.

Dagobert, wychyliwszy się, pobudzał swego psa głosem i gestem.

– Szukaj, mój stary, szukaj... Jeśli tam jest kto, rzuć się na niego, masz dobre zęby... i nie puszczaj, póki nie przyjdę.

Ale Ponury nie znalazł nikogo, słyhać było, jak biegał tu i ówdzie, szukając śladu w różnych stronach, skomląc niekiedy przytłumionym głosem jak pies tropiący zwierzynę.

– Nie ma więc nikogo, mój tęgim psie, bo gdyby był ktokolwiek, już byś go chwycił za gardło... Potem zwracając się do dziewcząt, które z niepokojem patrzyły na niego, zapytał:

– Jakim sposobem te szyby zostały wybite? Czy widziałyście to, moje dzieci?

– Nie, Dagobercie, rozmawiając z sobą, usłyszałyśmy tylko wielki łoskot, a potem szyby wypadły na podłogę.

– Zdawało mi się – dodała Róża – jakby okiennica nagle stuknęła o okno.

Dagobert obejrzał okiennicę i spostrzegł dość długi ruchomy kruczek, służący do zamykania wewnątrz.

– Bardzo wietrzno – rzekł – wiatr musiał zerwać okiennicę... a kruk rozbił szyby... No, tak... A w końcu kto miałby powód do podobnej szkody? – Potem, obracając się do Ponurego:

– No... mój stary, więc nie ma nikogo?

Pies odpowiedział szczekaniem, które żołnierz wytłumaczył zapewne w sposób przeczący, bo rzekł:

– A więc wracaj... biegnij wkoło... znajdziesz drzwi otwarte...

Ponury usłuchał i poskomiwszy trochę u okna, cwałem pobiegł wkoło na dziedziniec.

– No, uspokójcie się, dzieci... – rzekł żołnierz do sierot – to był tylko wiatr.

– Bardzośmy się przestraszyły – rzekła Róża.

– Wierzę, ale myślę, że będzie przeciąg i pozazębicie mi się – rzekł żołnierz, powracając do okna ogołoczonego z szyb.

Obmyślając środek zaradzenia tej niedogodności, wziął z krzesła reniferowe futro, zawiesił na zasuwce od okna, a połamami zatkał możliwie dokładnie dwie stłuczone szyby.

– Dziękujemy, Dagobercie... Jesteś taki dobry, byliśmy niespokojne, nie widząc ciebie...

– Prawda... zabawiłeś dłużej niż zwykle – potem, spostrzegłszy dopiero bladość i zmienioną twarz żołnierza, który jeszcze się nie pozbył przykrego wrażenia swojej rozmowy z Morokiem, Róża dodała z niepokojem.

– Ale co ci jest?... Jesteś taki blady!...

– Ja, nie, moje dzieci... Nic mi nie jest...

– Ależ tak, przecież widzę... Twarz masz zupełnie zmienioną. Róża ma rację.

– Ręczę wam... nic się nie stało – odpowiedział żołnierz nieco zakłopotany, bo nie umiał kłamać; potem znalazłszy wyborne tłumaczenie swojego wzruszenia, dodał: – Jeżeli tak wyglądam, jakby mi się co złego przytrafiło, to przyczyną jest wasz przestach wynikły z mojej winy.

– Z twojej winy? Dlaczego?

– Tak, gdybym nie stracił tyle czasu na wieczerzę, przyszedłbym tutaj, nim się szyby potrzaskały... I oszczędziłbym wam strachu.

– Jesteś już... teraz wcale o tym nie myślimy...

– A czemu nie siadasz?

– Owszem, moje dzieci, mamy z sobą trochę do pomówienia – rzekł Dagobert, biorąc krzesło i przysunąwszy je do łóżka sióstr, usiadł. – A więc! Czy już jesteście spokojne – mówił, usiłując uśmiechać się, aby je uspokoić. Pokażcie, czy wasze oczy nie zamykają się do snu.

– Patrz, Dagobercie – rzekły dziewczęta, śmiejąc się i otwierając jak najszerzej duże błękitne oczy.

– Dobrze, dobrze – odezwał się żołnierz – będziecie miały dość czasu do ich zamknięcia, bo dopiero dziewiąta godzina.

– My też chcemy ci coś powiedzieć, Dagobercie – rzekła Róża, porozumiewszy się z siostrą oczyma.

– Doprawdy?

– Tak, postanowiłyśmy powierzyć ci tajemnicę.

– Tajemnicę?

– Mój Boże! Tak!

– Ale bardzo ważną tajemnicę – rzekła Róża nader poważnie.

– Tajemnicę, która obchodzi nas obie – dodała Blanka.

– O dla Boga!... Wierzę... co jedną z was obchodzi, zawsze i drugiej jest bliskie. Czy nie jesteście prawie zawsze, jak powiadają, niby dwie głowy w jednym czepku?

– Kiedy nas obie okryjesz wielkim kapturem swego futra, wtedy tak jest – rzekła Róża, śmiejąc się.

– Patrzcie, zartownisie, nigdy z wami nie można mówić poważnie; no, mówcie panienki, niech usłyszę tę ważną tajemnicę.

– Mów, sestro – rzekła Blanka.

– Nie, panienko, tobie wypada mówić, dzisiaj masz honor być starszą, a rzecz tak ważna, tajemnica, jak powiadacie, z prawa należy do starszej... Słucham, jestem bardzo ciekawy, co macie do powiedzenia.

Mówiąc to starał się uśmiechnąć, aby ukryć przed dziewczętami upokorzenie, jakiego jeszcze doświadczał z powodu nie ukaranej obrazy ze strony pogromcy zwierząt.

Blanka, dziś honorowa starsza, jak Dagobert to nazywał, zaczęła mówić w swoim i siostry imieniu.

## ROZDZIAŁ VI

### ZWIERZENIE

– Najpierw, drogi Dagobercie – rzekła Róża z powabną pieszczotą – musisz obiecać, że nie będziesz nas łajać.

– Prawda? Nie będziesz łajał swoich dzieci? – dodała Blanka równie słodkim, przymilnym głosem.

– Zgoda – odpowiedział poważnie Dagobert – bo nawet nie wiem, jakbym to zrobił... Ale za cóż miałbym was łajać?

– Za to, że może wcześniej powinniśmy były ci powiedzieć to, co powiemy teraz...

– Słuchajcie, moje dzieci – rzekł Dagobert z powagą, zastanowiwszy się przez chwilę – z dwóch rzeczy możliwa jest jedna; albo miałyście słuszność, albo nie miałyście słuszności zatajenia przede mną jakiejś rzeczy... Jeżeli miałyście słuszność, to bardzo dobrze; jeżeli nie miałyście słuszności, to się już stało, nie mówmy więc o tym. No, a teraz, słucham.

Uspokojona Róża zaczęła mówić, porozumiawszy się uśmiechem z siostrą:

– Wystaw sobie, Dagobercie, że już dwie noce z kolei odbieramy odwiedziny...

– Odwiedziny?

I żołnierz wyprostował się na krześle.

– Tak, bardzo miłe odwiedziny. On jest blondynem.

– Co to, u diabła, za blondyn! – zawołał żołnierz podskoczywszy.

– Blondyn... z błękitnymi oczyma – dodała Blanka.

– Jakie błękitne oczy?

Dagobert znowu podskoczył na krześle, na jego twarzy widać było niezadowolenie.

– Tak, błękitne oczy... takie duże... – rzekła Róża, kładąc koniec wskazującego palca prawej ręki na połowie palca lewej.

– Ależ, daj go katu! Gdyby były takie duże... i – biorąc rzeczy na wielką skalę, żołnierz wyciągnął rękę aż po łokieć – nawet gdyby były tak duże, nic bym z tego i tak nie zrozumiał... Blondyn i błękitne oczy... Ach! Panienki, co to wszystko znaczy?

Wstał zakłopotany i niespokojny.

– Ach! Widzisz, Dagobercie, już się gniewasz.

– Na samym początku – dodała Blanka.

– Na początku? – powtórzył żołnierz przestraszony... – to będzie i dalszy ciąg? I koniec?

– Koniec? Spodziewamy się, że nie... – rzekła Róża, śmiejąc się filuternie.

– Życzymy sobie, żeby to mogło trwać zawsze.

Blanka podzielała wesołość siostry.

Żołnierz spojrzął kolejno na obie dziewczęta, próbując rozwiązać tę zagadkę; lecz gdy ujrzał te ładne twarzyczki, ożywione szczerym uśmiechem, pomyślał, że nie byłyby tak wesołe,

gdyby się dopuściły jakiegoś poważniejszego uchybienia i ucieszył się, że sieroty zapomniały o swoim smutnym położeniu.

– ŚmieJCie się... moje dzieci... lubię widzieć was śmiejące się. – Pomyślawszy jednak, że nie w taki sposób wypada odpowiadać na osobliwe zwierzenia dziewcząt, dodał grubym głosem:

– Bardzo lubię widzieć was śmiejące się, ale nie wtedy, kiedy przyjmujecie odwiedziny blondyna z błękitnymi oczyma – po czym, po chwili milczenia, dodał:

– Patrzcie... słucham jak głupi, co bałamucicie przede mną... Chcecie ze mnie żartować... prawda?

– Nie, Dagobercie, to co mówimy, to prawda... szcZera prawda...

– Wiesz... żeśmy nigdy nie kłamały – dodała Róża.

– Mają słusZność... nigdy nie kłamały – pomyślał żołnierz, którego niepokój znowu powrócił. – Ale, do licha, jakim sposobem mogły nastąpić te odwiedziny? Ja śpię w poprzek u samych drzwi, wewnątrz Ponury pod waszym oknem, a przecież błękitne oczy i wszyscy blondyni całego świata muszą wchodzić przez drzwi albo przez okno, a gdyby próbowali tego, to i wy i Ponury, i ja, co mamy dobry słuch, przyjęlibyśmy ich po naszymu... Ale mówcie, dzieci, mówcie bez żartów... Wytłumaczcie się!

Kiedy obie siostry wyczytały w twarzy Dagoberta niepokój, nie chciały dłużej nadużywać jego dobroci. Spojrzały na siebie i. Róża, wzięwszy w drobne rączki szeroką i grubą rękę weterana, rzekła:

– No cóż, nie martw się, opowiemy ci o odwiedzinach naszego przyjaciela, Gabriela.

– Dobrze, znowu zaczynacie od początku?... On ma imię<sup>7</sup>

– Tak, mówimy ci... Gabriel...

– Śliczne imię, prawda, Dagobercie? Och! Zobaczysz, że będziesz kochał naszego pięknego Gabriela tak jak my...

– Ja będę kochał waszego pięknego Gabriela? – rzekł żołnierz, potrząsając głową. – Ja będę kochał waszego Gabriela? Zobaczymy to później, bo najpierw muszę wiedzieć... Potem, przerywając, dodał: szczególnie rzecz, to mi coś przypomina...

– Co takiego, Dagobercie?

– W ostatnim liście, jaki przed piętnastu laty wasz ojciec, wracając z Francji, przywiózł mi od żony, pisała, że chociaż sama jest biedna i chociaż naszego małego Agrykolę miała na karku, wzięła jeszcze do siebie chłopczyka, sierotę z anielską twarzyczką imieniem Gabriel... I niedawno odebrałem o nim wiadomość.

– A przez kogo?

– Dowiedcie się zaraz.

– A widzisz, masz także swojego Gabriela, to dodatkowy powód, że musisz kochać naszego.

– Waszego... waszego? Zobaczymy, waszego... Siedzę jak na rozżarzonych węglach.

– Wiesz, Dagobercie – mówiła dalej Róża – że ja i Blanka mamy zwyczaj zasypiać, trzymając się za ręce.

– Tak, wiele razy widziałem was tak śpiące... Nie mogłem się napatrzeć na was, tak byłyście miluchne.

– No, dalej! Dwie noce temu, jak tylko zasnęłyśmy, ujrzałyśmy...

– Więc to było we śnie... – krzyknął Dagobert – kiedyście zasnęły, we śnie!

– Ależ tak, we śnie... Jakżebyś chciał inaczej!...

– Tak, to dobrze – rzekł żołnierz, odetchnawszy spokojnie – tak to dobrze... zapewne, czy tak, czy inaczej, byłem zupełnie spokojny... ale w końcu to wszystko jedno... Sen! To już bardziej mi się podoba. Mów dalej, kochana Róziu.

– Skorośmy zasnęły, miałyśmy jednakowy sen.

– Obie jednakowy sen?



- Tak, Dagobercie, nazajutrz rano obudziwszy się, opowiedziałyśmy sobie, cośmy śniły.
- I zupełnie to samo...
- To nadzwyczajne, a ten sen, moje dzieci? Jaki był?
- Siedząc obok siebie, Blanka i ja, widziałyśmy we śnie pięknego anioła, miał na sobie długą białą suknię, miał jasne włosy, błękitne oczy i tak piękne, tak dobre oblicze, żeśmy złożyły ręce jak do modlitwy... Potem słodkim głosem powiedział, że nazywa się Gabriel, że nasza matka przysłała go do nas, aby był naszym aniołem stróżem, i że on nas nigdy nie opuści, bo kocha nas obie tak mocno, jak matka nas kocha...
- A potem – przerwała Blanka – wziął każdą z nas na rękę, i schyliwszy swe piękne oblicze, długo patrzył na nas z taką dobrocią... z taką dobrocią, że nie mogłyśmy oderwać wzroku od jego spojrzeń.
- Tak – mówiła dalej Róża – i zdawało nam się, że jego wzrok przyciąga nas do siebie, że serca nasze na wskroś przenika... Z wielkim naszym żalem Gabriel opuścił nas, ale powiedział, że następnej nocy wróci.
- I wrócił?
- Tak, a możesz sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością czekałyśmy chwili zaśnięcia, żeby zobaczyć, czy nasz przyjaciel znowu nas odwiedzi.
- Hm... to mi przypomina, moje panienki, że wczoraj wieczór mocnoście tarły sobie oczy – rzekł Dagobert, skrobiąc się w czoło – udawałyście, że sen was morzy... Wiem, chciałyście mnie co rychlej odprawić, żeby prędzej przywołać sen?
- Tak, Dagobercie.
- Wprawdzie nie mogłyście powiedzieć mi, jak Ponuremu: Idź spać, Dagobercie. I wasz przyjaciel Gabriel znowu wrócił?
- Tak, ale tym razem długo rozmawiał z nami w imieniu naszej matki tak czule dawał nam przestrogi, że nazajutrz rano cały czas byłyśmy zajęte przypominaniem słów naszego anioła stróża... jego spojrzeń... jego twarzy...
- I odtąd obie kochamy go tak, jak on nas kocha...
- Lecz on jest jeden, a was dwie?
- A czy nasza matka nie była też jedną dla nas obu?
- To prawda!... Ale, czy wiecie, że w końcu będę zazdrościł temu hultajowi... moje panienki?
- Jesteś naszym przyjacielem we dnie, a on w nocy!
- Zrozumcie mnie: kiedy we dnie o nim rozmawiacie a w nocy marzycie o nim, cóż więc zostanie dla mnie?
- Zostaną ci twoje dwie sieroty, które kochasz – rzekła Róża.
- I które tylko ciebie jednego mają na świecie – dodała Blanka.
- Hm! Hm! To prawda, pochlebiacie mi... Niech i tak będzie – dodał żołnierz z czułością.
- Rad jestem z mojego losu, ustępuję wam waszego Gabriela, przekonałem się, że ja i Ponury możemy spać spokojnie... Zresztą, nic w tym nadzwyczajnego: wasz pierwszy sen mocno was uderzył, a żeście o nim dużo rozmawiały, znowu się powtórzył; nie będę się dziwił, jeżeli trzeci raz zobaczycie tego pięknego ptaszka.
- O, Dagobercie, nie żartuj, są to wprawdzie sny... lecz zdaje się, że zsyła je nasza matka. Czyż nie mówiła, że młode dziewczęta, sieroty, mają aniołów stróżów?... Zatem Gabriel wraz z tobą będzie się nami opiekować.
- Mniejsza o to... dobrze... Mimo to, moje dzieci, dla waszej obrony niezły i Ponury... chociaż nie blondyn, ale za to pewniejszy.
- Ach, jaki nudny jesteś z twoimi żartami, Dagobercie!
- Śmiejesz się ze wszystkiego.
- Tak, rzecz osobliwa, ja śmieję się na kształt starego Jowialnego, nie pokazując zębów. No, dzieci, nie łajcie mnie, chciałem wypłacić się tą samą monetą, trochę z was zażartować, a

rzeczywiście źle postąpiłem, ponieważ myśl o waszej czcigodnej matce łączy się z tym snem, macie słuszość, gdy o tym serio mówicie... A wreszcie – dodał z poważną miną – jest trochę prawdy w snach... w Hiszpanii śniło się dwom dragonom, moim kamratom, że będą otruci... i rzeczywiście zostali otruci... Ze wam śni się ciągle o tym pięknym Gabrielu... to stąd pochodzi... że... ponieważ... krótko mówiąc, to wam sprawia przyjemność... Niewiele macie przyjemności we dnie... miejcież przynajmniej miły sen. Teraz, moje dzieci, mam wam wiele do powiedzenia, będę mówił o waszej matce, ale przyrzeknijcie, iż nie będziecie się smuciły.

– Bądź spokojny, kiedy myślimy o niej, nie jesteśmy smutne.

–No, to dobrze! Bojąc się, aby nie sprawić wam przykrości, zawsze odkładałem chwilę opowiedzenia tego, co by wam wasza biedna matka opowiedziała, jakbyście przestały już być dziećmi, ale umarła nagle i zabrakło jej czasu, a przy tym to, co wam miała powiedzieć, przesywało jej serce równie jak mnie. Odwlekałem opowiadanie, ile mogłem, i postanowiłem o tym nie mówić, nim staniemy na polu bitwy, gdzie wasz ojciec dostał się w niewolę... to mi dało czas... ale nadeszła chwila... nie można już teraz wykręcić się.

– Słuchamy, Dagobercie – odpowiedziały obie siostry, utkwivszy weń oczy.

## ROZDZIAŁ VII

### OPOWIADANIE

Po chwili milczenia, w ciągu którego zbierał myśli, Dagobert zaczął opowiadać:

– Wasz ojciec, generał Simon, był równie jak ja, synem rzemieślnika, który i pozostał rzemieślnikiem, bo cokolwiek mówił lub czynił generał, dobry ojciec postanowił nie opuszczać swojego stanu, zupełnie jak syn, żelazną miał głowę, a serce złote. Możecie sobie wyobrazić, moje dzieci, że kiedy wasz ojciec wszedłszy jako prosty żołnierz do wojska, został generałem... i hrabią... nie bez trudów i nie bez chwały nastąpić to musiało.

– Hrabia? Co to znaczy, Dagobercie?

– Fraszka... tytuł, jaki cesarz dawał wraz ze stopniem. Tak, ojciec wasz był hrabią; przy tym najprzystojniejszym, najodważniejszym w całej armii.

– Czy był piękny, Dagobercie?

– O, tak! Ale był zupełnie odmienny od waszego blondyna. Wystawcie sobie tęgiego mężczyznę z czarnymi włosami. W paradnym mundurze zachwycał wszystkich, za nim choć w sam ogień... Z nim można by uderzyć na samego diabła.

– Czy ojciec nasz był równie dobry jak waleczny, Dagobercie?

– Dobry! Moje dzieci! On? On zgiąłby podkowę w rękach, jak wy kartę łamiecie i w dniu, kiedy dostał się w niewolę, zrąbał nieprzyjacielskich kanonierów przy ich armatach. Jakże chcecie, żeby przy takiej odwadze i takiej sile nie był dobry? Minęło koło dziewiętnastu lat, gdy tu niedaleko... w miejscu, które wam pokazałem, spadł z konia niebezpiecznie ranny. Ja byłem tuż przy nim... Rzuciłem się ku niemu... Wzięto nas obu w niewolę. Do waszego ojca doskoczył jakiś pułkownik i cicho zawołał: „Podдай się swemu ziomkowi”. Nie jest moim – odparł generał – ziomkiem ten, kto służy w nieprzyjacielskim wojsku i oddał swój pałasz prostemu żołnierzowi. Ostatni koń generała został zabity pod nim: wsiadł więc na Jowialnego i tak dostaliśmy się do Warszawy. Tu generał poznał waszą matkę, którą nazywano perłą Warszawy. Natychmiast w niej się zakochał, pozyskał wzajemność, ale rodzice obiecali jej rękę komu innemu... i to komu?... – Dagobert nie potrafił dokończyć...

W tej chwili Róża, wskazując na okno, przeraźliwie krzyknęła. Na jej krzyk Dagobert zerwał się.

- Co ci jest, Róziu?
- Patrz... patrz... – odpowiedziała, pokazując na okno. – Zdaje mi się, że widziałam, jak czyjaś ręka odsunęła futro na bok.
- Zaledwie rzekła te słowa, Dagobert skoczył ku oknu, otworzył je nagle, zdjawszy wprzód zawieszony na nim futro.
- Noc była ciemna, świszczał gwałtowny wiatr.
- Żołnierz przysłuchiwał się, lecz gdy nic nie usłyszał, wrócił, wziął świecę i zaświecił przez okno, zasłaniając ręką płomień.
- Także nic nie zobaczył.
- Zamknawszy okno, pomyślał, że to wiatr poruszył i odsunął futro, zatem próżny strach omylił Rózię.
- Uspokójcie się, moje dzieci... Wiatr dmie gwałtownie i odsunął futro.
- Ależ, jestem prawie pewna, że widziałam czyjeś palce, jak odsuwały futro – rzekła Róża.
- Ja patrzyłam na Dagoberta, więc nic nie widziałam – dodała Blanka.
- I nie było co widzieć, moje dzieci, rzecz naturalna; do okna jest przynajmniej osiem stóp wysokości od ziemi, trzeba by być olbrzymem, aby się tu dostać lub mieć drabinę. Drabiny nie było czasu usunąć, bo jak tylko Róża krzyknęła, skoczyłem do okna i przy świecy nic nie widziałem.
- Coś mi się zapewne przywidziało – rzekła Róża.
- Patrz, siostrze... jaki wiatr... – dodała Blanka.
- Wybacz więc, że cię nabawiłam niepokoju, Dagobercie.
- Ale – rzekł żołnierz, zamyśliwszy się – martwi mnie, że Ponury nie wrócił, pilnowałby okna, musiał zwietrzyć stajnię swego kamrata, Jowialnego i wstąpił tam powiedzieć mu dobranoc... mam ochotę pójść po niego.
- Ach, nie, Dagobercie, nie zostawiaj nas samych – krzyknęły dziewczęta – będziemy się bały.
- Istotnie, Ponury musi zaraz wrócić i jestem pewien, że wkrótce usłyszymy, jak będzie drapał do drzwi... Ciągnijmy przeto dalej naszą opowieść – rzekł Dagobert, usiadłszy przy łóżku dziewcząt, ale tym razem na wprost okna.
- Powiedziałem więc, że wasz ojciec, będąc w Warszawie, zakochał się w waszej matce, a ją chciano wydać za kogoś innego. W roku 1814 dowiedzieliśmy się o zakończeniu wojny, o wygnaniu cesarza na wyspę Elbę i powrocie Burbonów... Usłyszawszy o tym, wasza matka powiedziała do generała: „Wojna skończyła się, otrzymasz wolność, cesarz jest nieszczęśliwy, wszystko mu jesteś winien, wracaj do niego... nie wiem, kiedy się znowu zobaczymy, ale za nikogo nie pójdę za mąż, tylko za ciebie, pozostanę ci wierną aż do śmierci”... Potem generał zawołał mnie i rzekł: „Zostań tu, Dagobercie, twoja pomoc może potrzebna będzie tej panience do ułatwienia ucieczki, gdyby rodzina zanadto ją gnębiła; listy nasze będą przechodzić przez twoje ręce, w Paryżu odwiedzę twoją żonę, dzieci, uspokoję ich... powiem, że jesteś moim... przyjacielem”.
- Zawsze ten sam – rzekła Róża rozrzewniona.
- Dobry dla ojca, dobry dla matki, dobry dla dzieci.
- Kochać jednych znaczy kochać drugich, tak być powinno. Towarzyszył więc generał cesarzowi na wyspę Elbę, ja zaś w Warszawie ukrywałem się blisko domu waszej matki, odbierałem listy i oddawałem je potajemnie... w jednym z tych listów, mówię wam z dumą, generał pisał, że cesarz wspominał o mnie.
- O tobie, Dagobercie?... On ciebie znał?
- Trochę, pochlebiam sobie... „O, Dagobert, rzekł cesarz waszemu ojcu, który mu opowiadał o mnie, grenadier z pułku mojej konnej gwardii... żołnierz z Egiptu i Włoch, okryty ranami... któremu własną ręką, pod Wagram, przypiąłem krzyż na piersiach”.

– Widzicie dzieci... ten krzyż dany mi przez cesarza chowam jak klejnot, znajduje się w moim tornistrze wraz z tym, co mam najdroższego, z naszą sakiewką i papierami... Ale wracając do waszej matki, kiedyś oddawał jej listy generała, kiedyś z nią mówił, to ją cieszyło, bo cierpiała, tak i to wiele, ale jakkolwiek dręczyli ją krewni, zawsze odpowiadała: „Niczyją żoną nie będę, tylko generała Simona”. Przedziwna kobieta... pokorna, ale wytrwała, umiała czekać. Pewnego dnia odebrała list od generała; opuścił on wraz z cesarzem Elbę, wojna zapaliła się na nowo... Wasz ojciec bił się jak lew, a jego pułki tak jak on... bo i któż nie rad położyć głowę za takiego generała.

Opowiadanie starego żołnierza wzruszyło sieroty, serce im mocniej zabiło, rumieniec objął jagody.

– Jakie to szczęście, że jesteśmy córkami tak walecznego ojca! – zawołała Blanka.

– Jakie szczęście... i jaki honor, moje dzieci, gdyż po bitwie pod Ligny cesarz mianował go, ku wielkiej radości całej armii, księciem Ligny i marszałkiem Francji!...

– Marszałkiem Francji!... – rzekła Róża, zdumiona, nie bardzo pojmując, co znaczą te słowa.

– Księciem Ligny! – dodała Blanka, również zdziwiona.

– Tak, Piotr Simon został księciem i marszałkiem!

– Później jednak nie uznano mu tego tytułu i stopnia, bo po bitwie pod Ligny nastąpił straszny dzień... dzień ten zowie się Waterloo.

– Ojciec wasz okryty ranami, został wtedy na polu bitwy.

Wyleczywszy się z ran, co wymagało długiego czasu, prosił o pozwolenie wyjazdu na wyspę Świętej Heleny... drugą wyspę na końcu świata, dokąd Anglicy wywieźli cesarza. Nieszczęściem nie pozwolono mu na to. Rozgniewał się i postanowił sprowadzić do Francji cesarskiego syna. Zamierzał zbuntować pułk, w którym znajdowali się jego dawni żołnierze. Wyjechał więc do Pikardii, gdzie pułk ten miał kwaterę, ale tymczasem zwietrzono, o co rzecz idzie... Zaledwie przybył, wnet go, nieboraka, uwięziono i stawiono przed dowódcą... A tym dowódcą był ten sam... ale nie będę opowiadał, bo trwałoby to zbyt długo i bardzo by was zasmuciło... Stanąwszy przed pułkownikiem, rzekł: „Jeżeli nie jesteś tchórzem, uwolnisz mnie na kilka godzin i będziemy bić się do upadłego, bo nienawidzę ciebie za to, a pogardzam za owo, i jeszcze owo”. Pułkownik przyjął wyzwanie i uwolnił ojca do następnego ranka. Nazajutrz nastąpił pojedynek i pułkownik padł na placu bez życia... Kiedy wasz ojciec ocierał szpadę, jeden z przyjaciół dał mu znać, aby czym prędzej uciekł, ponieważ go szukają. Opuścił więc Francję, gdzie w czternaście dni potem, zaocznie, został skazany na śmierć, jako spiskowiec.

– Ach! Co za nieszczęście, mój Boże!

– Ale przy tym nieszczęściu trafiło się i szczęście. Wasza zacna matka dotrzymała obietnicy, wiernie czekała!... – Gdy ojciec wasz w niczym już nie mógł być pomocny ani cesarzowi, ani jego synowi, przybył do Warszawy. Matka wasza niedawno utraciła rodziców, była wolna, pobrali się... Ale szczęście trwało niedługo. Ojciec wasz wmieszał się w jakąś sprawę, musiał uciekać. Matka chciała jechać do niego, ale mieli jakiś proces i została bez kawałka chleba. Mimo wszystko puściliśmy się w drogę, ona na Jowialnym, a ja pieszo obok niej. Wieleśmy ucierpieli biedy i nędzy! Stanęliśmy w jakiejś wsi, a tam wy przyszłyście na świat.

## ROZDZIAŁ VIII

### NIEZNAJOMY

– A ojciec? Co się z nim stało? Czy mieliście od niego jakieś wiadomości? – zapytała Blanka.

– Tak, ale tylko raz.

– A przez kogo?

Twarz Dagoberta przybrała dziwny wyraz.

– Przez kogo? – powtórzył. – Przez pewnego człowieka, który był niepodobny do innych. Abyście to lepiej zrozumiwały, opowiem wam w dwóch słowach szczególniejszy przypadek, jaki trafił się waszemu ojcu podczas kampanii francuskiej. Cesarz rozkazał zdobyć baterię, która czyniła wiele szkody. Po dwakroć szli nasi do ataku, ale nadaremno, wreszcie wasz ojciec wziął pułk kirasjerów, rzucił się na baterię i według swego zwyczaju, rąbał i zabijał tuż przy działach. Wtem stanął jakoś naprzeciw samego otworu armaty, koło której wszyscy żołnierze byli zabici lub ranni. Jeden z nich podniósł się nieco i przytknął lont... A ojciec wasz znajdował się o dziesięć kroków, wprost naprzeciw armaty...

– Ach, Boże! Jakież niebezpieczeństwo!

– Co prawda, to prawda. Ojciec sam nieraz powtarzał, że nigdy ani pierwej, ani później nie był w podobnym niebezpieczeństwie... Kanonier przytknął lont, armata wypaliła, ale w tej właśnie chwili jakiś wysoki, ubrany po chłopsku mężczyzna, którego ojciec przedtem nie widział, rzucił się na armatę...

– Ach, nieszczęśliwy! Jaka okropna śmierć!

– Tak, zapewne, powinien zostać rozerwany na drobne kawałki... A przecież nie...

– Co mówisz?

– To, co powiedział mi wasz ojciec... Nieraz mawiał: „W tej chwili, kiedy ogień błysnął, mimowolnie zamknąłem oczy, żeby nie widzieć pokaleczonego trupa nieszczęśliwego, który poświęcił się dla mnie... I cóż powiesz? Otwieram oczy i widzę: człowiek ten stoi wśród dymu w tym samym miejscu i łagodnie spogląda na kanoniera, który klęcząc, pochylony w tył, patrzy na niego z takim strachem, jak gdyby samego diabła miał przed sobą. Potem już go więcej nie widziałem” – dodał wasz ojciec.

– Ależ, Dagobercie, czy to możliwe?

– I ja mówiłem to samo, wasz ojciec odpowiedział, że nie pojmuje, jak się to mogło stać, ale stało się tak właśnie. Widać, że twarz tego człowieka nadzwyczajnie uderzyła waszego ojca, ponieważ dostrzegł, że musiał mieć lat koło trzydziestu, że brwi czarne, gęste schodziły się z sobą jak gdyby jedna długa brew od skroni do skroni, na kształt pręgi na czole... Pamiętacie o tym, moje kochane... dowiecie się zaraz, dlaczego...

– Nie bój się, Dagobercie: nie zapomnimy.

– Jakie to dziwne: człowiek z czarną pręgą na czole.

– Słuchajcie dalej: mówiłem wam, że pod Waterloo generał padł na polu bitwy, prawie bez życia... W nocy, kiedy leżał na ziemi, w okropnej gorączce z powodu ran, wydało mu się, przy blasku księżyca, że ten sam człowiek, schyliwszy się ku niemu, spogląda nań smutnie, stara się zatrzymać krew, płynącą z jego ran i przywrócić go do zmysłów... Ojciec wasz, nie pamiętając prawie, co robi, odepchnął go i rzekł, że po tak nieszczęśliwej bitwie, najlepiej jest umrzeć, a ten jakoby mu odpowiedział: „Żyj dla Ewy!”... to jest dla waszej matki. Pamiętacie, że została w Warszawie, kiedy generał odjechał na wyspę Elbę do cesarza, a stąd razem z nim do Francji.

– Jakie to wszystko dziwne, Dagobercie! A odtąd ojciec już nie widział więcej tego człowieka?

- Musiał widzieć, to on przyniósł waszej matce wiadomość o generale!
- Kiedy to było? Czemuśmy go nie widziały?
- Czy pamiętacie, że rano w dzień śmierci waszej matki, poszłyście ze starą Teodorą do boru?
- Tak – odpowiedziała smutnie Róża – poszłyśmy zbierać trochę polnych kwiatów, które mama bardzo lubiła.
- Miała się tak dobrze, że nie przeczuwałyśmy nieszczęścia, które spadło na nas wieczorem – dodała Blanka.
- Prawda, moje dzieci, bo ja sam tego ranka śpiewałem pracując w ogrodzie, bo równie jak wy nie miałem powodu do smucenia się, pracowałem więc śpiewając, gdy wtem usłyszałem kogoś pytającego po francusku: „Czy to jest wioska Miłosk”? Obejrzałem się i spostrzegłem przed sobą jakiegoś obcego człowieka... Jakby piorun uderzył we mnie... Zamiast odpowiedzi, pilnie się w niego wpatrywałem i cofnąłem się o dwa kroki.
- A to czemu?
- Był bardzo wysoki, nadzwyczaj bladym, a na bladym czole czarna pręga...
- Więc to był ten sam człowiek, którego nasz ojciec widział dwa razy podczas bitew.
- Ten sam.
- Ależ, Dagobercie – rzekła Róża zadumana – przecież po tych bitwach wiele już lat upłynęło...
- Szesnaście lat.
- A cudzoziemiec, którego widziałeś, ile mógł mieć lat?
- Koło trzydziestu.
- Jakże chcesz, żeby był tym samym człowiekiem, którego ojciec widział podczas bitwy?
- Prawda – rzekł Dagobert po chwili milczenia, wzruszywszy ramionami – musiało mnie zmylić niezwykle podobieństwo... Musiał to być kto inny, podobny do niego... Ale...
- A jeżeli on, to czemu od tego czasu nie postarzał się...
- A czy nie pytałeś go, czy to on dwa razy ocalił naszego ojca?
- Z początku do głowy mi to nie przyszło, a potem nie było czasu, bo on szybko odszedł. Zapytał mnie więc, czy to jest wioska Miłosk? Tak, odpowiedziałem, ale skąd wiesz, że jestem Francuzem?
- „Usłyszałem, jak śpiewasz – odpowiedział – proszę mi powiedzieć, gdzie mieszka pani generałowa Simon”.
- „Tutaj mieszka, panie”.
- Popatrzył na mnie w milczeniu, bo widział, że mnie te odwiedziny mocno zdziwiły, wziął potem za rękę i rzekł:
- „Jesteś przyjacielem generała Simona? Najlepszym jego przyjacielem”? – Wystawcie sobie moje zdziwienie, dzieci. – „Często z wdzięcznością mówił o tobie”.
- „Widziałeś więc generała”?
- „Tak... niedawno, w Indiach, ja także jestem jego przyjacielem i przynoszę jego żonie list od niego. Powiedziano mi, że tu mieszka. Prowadź mnie więc do generałowej”.
- Dobry wędrowiec... ja go już kocham – rzekła Róża.
- On był przyjacielem naszego ojca – dodała Blanka.
- Prosiłem, aby zaczekał, chciałem przygotować waszą matkę, żeby tak niespodziewana radość jej nie zaszkodziła, w pięć minut potem zaprowadziłem go do niej.
- A jak wyglądał ten wędrowiec, Dagobercie?
- Wysoki mężczyzna, w ciemnym futrze, w wielkiej czarnej czapce futrzanej.
- A czy przystojny?
- Tak, moje dzieci, bardzo piękny, ale tak smutny, aż serce mi się ścisnęło, kiedy patrzyłem na niego.
- Biedny człowiek, zapewne miał jakieś zmartwienia?

– Wasza matka przez dwie godziny rozmawiała z nim, po czym zawołała mnie i rzekła, że odebrała wiadomości od generała, zalewała się łzami i trzymała przed sobą grubą paczkę papierów. Był to dziennik, w którym wasz ojciec każdego wieczora pisał, aby się pocieszyć; ponieważ nie mógł mówić z nią, papierowi zatem powierzył to, co chciał jej powiedzieć...

– A gdzie są te papiery, Dagobercie?

– Tu, w moim tornistrze, z moim krzyżem i naszą sakiewką, kiedyś dam je wam, teraz zaś kilka kartek stamtąd wzięłem i te zaraz przeczytacie, dowiecie się dlaczego.

– A czy ojciec dawno był w Indiach?

– Wasza matka mówiła, że najpierw walczył z Grekami przeciw Turkom, a potem udał się do Indii, aby walczyć przeciw Anglikom... Nienawidził ich, bo oni wywieźli naszego cesarza na wyspę Świętej Heleny. Generał wszedł w służbę jednego z książąt indyjskich, którzy obawiali się, żeby Anglicy nie zabrali im wszystkich posiadłości.

W krótkim czasie zorganizował dwanaście czy piętnaście tysięcy wojska tego księcia i wyćwiczył tak, że pod jego dowództwem zaczęli bić Anglików... No, przeczytacie... tu wszystko jest lepiej opisane niż ja mówię... A przy tym znajdziecie tu imię, które zawsze powinnyście pamiętać. Dlatego właśnie wybrałem te parę kartek.

– Ach! Co za szczęście... czytać własnoręczne pismo ojca, to prawie to samo, co go słuchać – rzekła Róża.

– To tak jakby tu był z nami – dodała Blanka.

I obie wyciągnęły ręce, aby odebrać papiery, które Dagobert wyjmował z kieszeni.

– Po sprawiedliwości... Starsza honorowa powinna czytać głośno – rzekł Dagobert, podając pismo Róży.

Obie siostry, przeniknięte głębokim rozrzewnieniem, pocałowały kolejno, w milczeniu pismo ojca.

– Z zakończenia tego listu dowiecie się, moje dzieci, dlaczego się zdziwiłem, że wasz anioł stróż, jak powiadacie, nazywa się Gabriel... Czytajcie... czytajcie – dodał, spostrzegłszy zdziwienie na twarzy sierot. – Muszę wam tylko powiedzieć, że kiedy ojciec to pisał, jeszcze się nie spotkał z wędrowcem, który przyniósł te papiery.

Usiadłszy na łóżku. Róża wzięła pismo i zaczęła wzruszonym głosem czytać, Blanka zaś, oparłszy głowę o ramię siostry, z uwagą patrzyła na pismo, śledząc oczyma jego treść.

## ROZDZIAŁ IX

### WYJĄTKI Z DZIENNIKA GENERAŁA SIMONA

**Obóz w górach Awy, 20 lutego 1830.**

...Ilekcroć do tego dziennika, który piszę w głębi Indii, gdzie mnie los zaniósł, dodaję nowe kartki, którego ty, niestety, nigdy może czytać nie będziesz, najukochańsza moja Ewo, doświadczam zarazem słodkiego i bolesnego uczucia, bo mnie cieszy ta rozmowa z tobą, a przy tym nigdy tęsknota moja nie jest dotkliwszą, jak wtedy, gdy z tobą rozmawiam, nie widząc ciebie.

Lecz kiedy te kartki dojdą twoich rąk, szlachetne twoje serce mocniej uderzy na imię walecznego człowieka, któremu dzisiaj winien jestem życie i któremu będę może winien szczęście oglądania cię kiedyś.

Ciebie i dziecięcia mojego, nieprawdaż, wszak żyje nasze dziecię? Muszę temu wierzyć, bo gdyby tak nie było, jakżebyś mogła wieść biedne swe życie w tej strasznej rozłące?... Drogi aniołek musi mieć teraz czternaście lat... Jak wygląda? Podobny do ciebie?... Ma twoje,

duże, piękne, błękitne oczy?... O, nierozumny!... Jakże często w tym dzienniku zadaję ci równie płochę pytanie, na które nie możesz odpowiedzieć. A ile razy postawię ci jeszcze podobne... Kazesz więc naszemu dziecku, powtarzać i kochać nieco obce imię Dżalma...

– Dżalma! – rzekła Róża ze łzami w oczach, przerywając czytanie.

– Dżalma – powtórzyła Blanka, dzielając rozrzewnienie siostry. – O! Nigdy nie zapomnimy tego imienia.

– I dobrze zrobicie, bo jak widać, nosi je tęgi, choć młody wojak... Czytaj dalej, kochana Róziu.

– „Na poprzednich stronicach opisałem ci dwa pomyślnie dni, droga Ewo – czytała dalej Róża – jakie mieliśmy w tym miesiącu, coraz lepiej organizując się na europejski sposób; szczupłe wojsko mego przyjaciela, indyjskiego księcia, dokazywało cudów. Odparliśmy Anglików... Dziś rano, po bardzo trudnym marszu wśród skał i gór, dowiedzieliśmy się, że nieprzyjaciel odebrał posiłki i że zamierza znowu działać zaczepnie, znajdował się od nas o kilka tylko mil, bitwa więc była nieunikniona, mój przyjaciel, książę indyjski, ojciec mego wybawcy, najgoręcej pragnął iść w ogień. Bitwa zaczęła się o godzinie trzeciej, krwawa, mordercza. Spostrzegłszy między naszymi chwilowe zachwianie się, bo nierównie szczuplejszą była ich liczba, a posiłki angielskie składały się ze świeżego żołnierza, uderzyłem na czele małej jazdy odwodowej.

Stary książę znajdował się w środku i bił się z największą odwagą; ledwie osiemnastoletni i równie jak ojciec waleczny syn, Dżalma, nie odstępował mnie ani na chwilę, w najgorszej chwili natarcia koń, zabity pode mną, potoczył się ze mną w wąwóz, a ja przygnieciony ciężarem, myślałem przez chwilę, że mam kości biodra złamane”...

– Biedny ojciec – rzekła Blanka.

– „Anglicy sądzili, że skoro zginąłem (mniemanie bardzo dla mnie pochlebne), łatwo im pójdzie rozprawa z wojskiem mego przyjaciela. Kiedy toczyłem się do wąwozu, spostrzegł to oficer Sipajów i pięciu czy sześciu żołnierzy nieregularnego wojska skoczyło, aby mnie zabić. Wśród ognia i dymu, wśród zapału bitwy nasi górale nie spostrzegli mojego upadku, ale Dżalma, który mnie nie odstępował, wskoczył w wąwóz z pomocą, a jego zimna krew i odwaga ocaliły mi życie, jednym strzałem swej dubeltówki położył trupem oficera, drugim zgruchotał ramię żołnierzowi, który już mi bagnietem przebił lewą rękę, ale nie trwóż się, droga Ewo, to bagatela... tylko zadrażnienie”...

– Raniony... raz jeszcze raniony, mój Boże! – zawołała Blanka, załamując ręce.

– Uspokójcie się – rzekł Dagobert – bo to, jak mówi generał, było tylko zadrażnienie, tak on nazywał rany, które mu nie przeszkadzały bić się, białe rany.

– „Kiedy mnie spostrzegli rannego – czytała dalej Róża, otarłszy oczy – Dżalma, schwyciwszy swą dubeltówkę jak maczugę, wywijał i odpierał żołnierzy, ale w tej chwili ujrzałem, jak jeden z nieprzyjaciół, zza krzaka bambusowego, powoli oparłszy karabin o gałęzie, wymierzył w Dżalmę i waleczny chłopak odebrał kulę w piersi, a krzyk mój nie zdołał ochronić go od strzału... Cofnąwszy się o dwa kroki, upadł na kolana, ciałem swoim chciał mnie zasłonić... Możesz sobie wyobrazić moją wściekłość, moją rozpacz, nieszczęściem, usiłowanie wydobycia się z przykrego położenia było daremne z powodu wielkiego bólu, jaki czułem w nogach. Bezsilny i bezbronny, przez kilka sekund byłem świadkiem nierównej i zaciętej walki. Dżalma utracił wiele krwi i ręce mu osłabły; już jeden z nieregularnych odwiązał od swego pasa coś na kształt ciężkiego sierpa, jaki jednym cięciem zmiata głowę, gdy wtem dwunastu górali nadbiegło na odgłos potyczki. Dżalma został uratowany, mnie oswobodzono i w kwadrans potem znowu mogłem wsiąść na koń. Pomimo znacznych strat, szczęście sprzyjało nam. Jutro znów niewątpliwie będzie bitwa, bo widać stąd ognie angielskich chat. Tak więc, najkochańsza Ewo, temu chłopakowi jestem winien życie. Szczęściem rana jego nie jest niebezpieczna, kula prześlizgnęła się wzdłuż żeber”.

– Ten dzielny młodzieniec odebrał, jak powiedział generał, „białą ranę” – rzekł Dagobert.



– „Zatem, najukochańsza Ewo – zaczęła Róża znowu – musiałś z niniejszego opisu poznać walecznego Dżalmę, liczy on ledwie osiemnaście lat. Godny jest swojego ojca. Posiada tak bohaterską, tak dumną odwagę, że podobnie jak młody Grek z czasów Leonidasa idzie do walki z odkrytą piersią, gdy tymczasem inni wojownicy jego ojczyzny, którzy na co dzień mają nie okryte nogi, ręce i pierś, występując do boju, wkładają gruby kaftan.

Wreszcie, najdroższa Ewo, z pewną dumą rozmyślałam o tym, że w żyłach tego walecznego młodzieńca płynie francuska krew, ojciec jego przed kilkoma laty poślubił młodą dziewczynę, której familia, francuskiego rodu, od dawna osiadła w Batawii. To podobieństwo między moim położeniem a położeniem mego starego przyjaciela bardziej jeszcze powiększyło moje przywiązanie ku niemu, bo i twoja rodzina, Ewo, pochodzi z Francji i od dawnych czasów wyniosła się za granicę. Niestety, biedny książę od wielu lat stracił swą ubóstwianą żonę.

Patrz, najukochańsza Ewo, ręka mi drży, kiedy te słowa piszę, słabo mi... tęskno... serce mi się ściska. O mój Boże!... A dziecię nasze... cóż się z nim stanie bez ciebie... beze mnie... O! nie, nie, obawa ta jest nierozsądna... Ale co za okrutna męczarnia; niepewność!... Bo wreszcie, gdzie ty jesteś? Co robisz? Co się z tobą stanie? Daruj mi... tak smutne myśli... nasuwają się mimowolnie... Okropne, nieszczęsne chwile... kiedy zaś nie dręczą mnie, mówię sam do siebie: jestem nieszczęśliwy wygnaniec, ale przecież, na drugim krańcu świata biją dla mnie dwa serca: twoje, kochana Ewo i naszego dziecięcia”...

Te słowa Róża ledwie zdołała wymówić, od kilku chwil głos jej przerywały łkania.

Rzeczywiście sprawdziły się smutne przeczucia generała Simona, spisane w wieczór przed batalią, przy świetle ognia, na biwaku! Wyznania żołnierza, chcącego tym sposobem rozetrwać przykrą tęsknotę rozłączenia, o którym, niestety, nie wiedział jeszcze, że będzie wieczne!

– Biedny generał... nie wie o naszym nieszczęściu – rzekł Dagobert – nie wie także, że zamiast jednego ma dwoje dzieci... Będzie to przynajmniej pociecha... Ale, słuchaj, Blanko, czytaj dalej, choć obawiam się, żeby to nie zaszkodziło twojej siostrze... Tak się mocno wzruszyła... A zresztą, lepiej będzie, jeśli obie podzielicie między siebie to przykre czytanie.

Blanka wzięła list, a Róża, ocierając oczy, oparła głowę na ramieniu Blanki, która czytała dalej:

– „Teraz, kochana Ewo, jestem spokojniejszy, przestałem na chwilę pisać, oddaliłem od siebie ponure myśli, prowadźmy dalej naszą rozmowę.

Tyle ci już powiedziałem o Indiach, powiem ci nieco o Europie; jeden z naszych ludzi, człowiek pewny, przybył do naszej przedniej straży, przyniósł mi list z Francji; otrzymałem wreszcie wiadomość od mego ojca, co mnie uspokoiło. List pisany był w sierpniu zeszłego roku. Czytając go, dowiedziałem się, że kilka innych listów ojca, o których jest wzmianka, zaległo gdzieś i zaginęło, gdyż od dwóch lat żadnego nie odebrałem, dlatego ciągle byłem niespokojny. Dobrze ojczysko! Zawsze ten sam, wiek nawet nie osłabił go, charakter jego jest równie dzielny, zdrowie równie czerstwe.

Donosi mi także o rodzinie starego Dagoberta, naszego przyjaciela...

Droga Ewo, lżej mi na sercu... gdy pomyślę, że ten dobry człowiek jest przy tobie, gdyż znam go, wiem, że cię nie odstąpi... Jakie zacne serce bije pod szarym mundurem tego żołnierza... jak musi kochać nasze dziecię!”...

Tu Dagobert zakasłał dwa razy, schylił się niby szukając na ziemi chustki od nosa, którą miał zresztą na kolanach.

Pozostał tak schylony przez jakiś czas.

Podniósłszy się, otarł wąsy.

– Jak dobrze nasz ojciec zna cię... Jak zgadł, że ty nas kochasz.

– Dobrze, dobrze, moje dzieci, dajmy temu pokój... Czytaj no prędzej, co też tam mówi generał o moim małym Agrykoli i Gabrielku, przybranym synu mej żony... Biedne żonisko,

kiedy pomyślę, że może za trzy miesiące... Dalej, dzieci, czytajcie, czytajcie – dodał, chcąc powściągnąć wzruszenie.

Blanka czytała dalej dziennik generała Simona:

„Jakkolwiek bądź, droga Ewo, mam nadzieję, że przecież kiedyś dojdzie cię niniejsze pismo i na taki przypadek przekazuję także wiadomości ciekawe dla Dagoberta. Ucieszy się, słysząc o swej rodzinie. Mój ojciec, będący kierownikiem zakładu zacnego pana Hardy, donosi mi, że ten wziął do pracy syna naszego Dagoberta; Agrykola pracuje w warsztacie pod komendą mego ojca, którego to mocno cieszy. Jest to, pisze, silny, dziarski chłopak, który ciężkim kowalskim młotem wywija jak piórem, równie wesoły jak zręczny i pracowity. Jest to najlepszy robotnik w całej fabryce, co jednak nie przeszkadza mu, aby wieczorem, po ciężkiej pracy, powracając do swej matki, do której jest serdecznie przywiązany, wyśpiewywał pełne mocy i uczucia piosenki według własnego pomysłu”.

– Jak cię to musi cieszyć, Dagobercie – rzekła Róża z podziwem – on układa pieśni?

– Zapewne, to przedziwne... ale nade wszystko cieszy mnie, że jest dobry dla matki i że dzielnie robi młotem... gdzie on się nauczył pisać piosenki... pewnie w szkole, do której chodził ze swym przybranym bratem Gabrielem...

Na wspomnienie imienia Gabriel, przywodzącego im na myśl idealną istotę, którą nazywały aniołem stróżem, obudziła się ciekawość młodych dziewcząt. Blanka ze zdwojoną uwagą czytała dalej:

„Przybrany brat Agrykoli, biedne, opuszczone dziecko, nad którym ulitowała się pocziwa żona Dagoberta i przybrała je za swoje, to, pisze ojciec, zupełnie inny typ niż Agrykola, nie co do serca, bo obaj je mają równie szlachetne, lecz jak Agrykola jest żywy, pracowity, tak przeciwnie, Gabriel jest posepny, zamyślony, zresztą, dodaje ojciec, każdy z nich, że tak powiem, ma postać swego charakteru. Agrykola jest to brunet wysokiego wzrostu, silny... minę ma dziarską, śmiałą; Gabriel, przeciwnie, jest szczupły, blondyn, lękliwy jak młoda panienka, a jego twarz ma wyraz anielskiej łagodności”...

Tu sieroty spojrzały na siebie zdziwione, potem zwracając się do Dagoberta, Róża zapytała:

– Czy zauważyłeś, Dagobercie? Nasz ojciec mówi, że twój Gabriel jest blondynem i że ma twarz anielską, taką jak nasz...

– Tak, tak, zauważyłem to i dlatego zdziwił mnie wasz sen.

– Ciekawam także, czy ma błękitne oczy – dodała Róża.

– Co do tego, moje dzieci, mógłbym ręczyć, chociaż generał o tym nie nadmienia, każdy blondyn ma zwykle niebieskie oczy, ale czy niebieskie, czy czarne, nie będzie nimi patrzył na młode dziewczęta, czytajcie dalej, a zobaczycie, dlaczego...

Blanka czytała dalej:

„Gabriel jest blondynem, a jego twarz ma wyraz anielskiej łagodności. Jeden z duchownych nauczycieli szkoły, do której chodzili Gabriel i Agrykola, widząc jego zdolności i dobroć, mówił o nim protektorowi mającemu duże możliwości, który się zajął Gabrielem i umieścił go w seminarium; już od dwóch lat Gabriel jest księdzem, sposobi się na misjonarza i wkrótce ma udać się do Ameryki”.

– Twój Gabriel jest księdzem – rzekła Róża, patrząc na Dagoberta.

– A nasz jest aniołem – rzekła Blanka.

– Dowodzi to, że wasz ma wyższy stopień niż mój, mniejsza o to, każdy ma swój gust, wszędzie znajdują się uczciwi ludzie, ale wolę, żeby nie Agrykola, ale Gabriel obrał sobie czarną suknię. Wolę widzieć mego chłopca z gołymi rękami, z młotem, opasanego skórzanym fartuchem, ot tak, jak wasz dziadek, moje dzieci, czyli ojciec marszałka Simona, księcia de Ligny.

– „Tak więc, moja kochana, Ewo – czytała dalej Blanka – jeżeli ten dziennik dojdzie do ciebie, możesz zapewnić Dagoberta o spokojnym losie jego żony i syna, których dla nas opu-

ścił. Jakże nie cenić takiej ofiary? Lecz jestem spokojny, twoje dobre, szlachetne serce potrafi go nagrodzić...

Bądź zdrowa... najukochańsza Ewo, przerwałem ten dziennik na chwilę, aby pójść do namiotu Dżalmy; spał spokojnie, jego ojciec czuwał nad nim, uspokoił mnie skinieniem. Nie ma już żadnego niebezpieczeństwa dla tego nieustraszonego młodziana. Oby jutrzejsza bitwa oszczędziła go jeszcze!... Bądź zdrowa, kochana Ewo, noc jest cicha, spokojna, powoli gasną ognie w biwakach, nasi górale spoczywają po krwawym dniu, niekiedy tylko słyszę w oddaleniu wołania naszych straży... Te obce głosy powiększają mój smutek, przypominają mi, o czym zapominam, gdy do ciebie piszę... że jestem na końcu świata, oddzielony od ciebie... od mego dziecka! Biedne istoty, drogie istoty! Jaki będzie wasz los?... Ach! Gdybym przynajmniej miał czas odesłać wam medal, który w nieszczęsnym zdarzeniu zabrałem z sobą z Warszawy, może byś uzyskała pozwolenie powrotu do Francji... lub przynajmniej mogła odesłać tam dziecko z Dagobertem, wiesz bowiem, jak wielkiej jest wagi... Lecz po cóż do tyłu już boleści dodawać nową?... Na nieszczęście lata upływają... przyjdzie fatalny dzień, a ostatnia nadzieja, którą żyję, opuści mnie, ale nie chcę tego dnia kończyć smutną myślą. Bądź zdrowa, kochana Ewo, ucałuj nasze dziecię, uściskaj je, całuję was z głębi mego wygnania.

Do jutra, po bitwie”.

Po odczytaniu tego wzruszającego listu nastąpiło dość długie milczenie.

Po twarzach Róży i Blanki wolno spływały łzy; Dagobert, oparłszy głowę na rękach, pogrążył się w smutnych myślach.

Wiatr na dworze wzręgał się gwałtownie, rześisty deszcz zaczynał chłostać brzękliwe szyby, w oberży panowało głębokie milczenie.

## ROZDZIAŁ X

### KLATKI

Podczas gdy córki generała Simona ze wzruszeniem czytały wyjątki z dziennika ojca, w menażerii pogromcy zwierząt rozgrywała się tajemnicza scena.

Morok uzbroił się, na łosiowy kaftan wdział koszulę z stalowego drutu, giętką jak płótno i twardą jak diament, ręce okrył naramiennikami, nogi nagolennikami, wciągnął żelazne buty; uzbrojenie to pokrył szerokimi pantoflami, wdział na siebie obszerne futro, starannie pozapiął się i wziął w rękę długi pręt żelazny rozpalony do czerwoności, osadzony w drewnianej rękojeści.

Choć już od dawna zręcznością i dzielnością Moroka poskromione zwierzęta, tygrys Kain, lew Judasz i czarny ryś Śmierć, w drapieżnym napadzie chciały jeszcze spróbować na nim swych kłów i pazurów, ale rozdarłszy mu futro tępiły pazury o stalową koszulę, łamały zęby na uzbrojonych żelazem nogach i rękach, gdy tymczasem dotknięcie rozżarzonej metalowej laski przypiekało im skórę, pozostawiając na niej ślady spalenizny.

Poznawszy, że próżno by kąsały, obdarzone dobrą pamięcią widząc, że Moroka ranić nigdzie nie można, zwierzęta zaniechały zemsty. Ich uległość doszła do tego stopnia, że podczas publicznych popisów, pan ich, skinieniem swej laseczki oklejonej papierem ognistego koloru, przywodził je do czołgania się ze strachu.

Morok więc, starannie i przezornie uzbroiwszy się, trzymając rozgrzane do czerwoności żelazo, otworem ze strychu spuścił się do obszernej szopy, gdzie stały klatki ze zwierzętami. Proste przepierzenie z desek oddzielało szopę od stajni, w której były zamknięte konie pogromcy zwierząt.

Lampa rzucała dość mocne światło na klatki.

Były cztery, zbudowane z dębowego drzewa. Niezbyt gęsta żelazna krata zasłaniała je z boków. Ta krata z jednego boku otwierała się jak drzwi, klatki te spoczywały na dwóch osiach i czterech małych żelaznych kółkach, dzięki czemu łatwo je było można przetaczać do wielkiego, nakrytego wozu, w którym je ustawiano do podróży. Jedna klatka była próżna, a w trzech pozostałych znajdowały się: ryś, tygrys i lew.

Nad klatką tygrysa widniał napis: Judasz, nad klatką lwa: Kain, rysia: Śmierć.

Ryś zasługiwał na tę nazwę dla swego zdrażliwego, drapieżnego spojrzenia.

Cały czarny, leżał zwinięty w kłęb, w ciemności prawie nie było go widać, tylko w cieniu błyszcząły dwa nieruchome ognie, dwie duże źrenice żółtofosforowego koloru, w nocy tylko rozniecające się, gdyż wszystkie te kociego rodu zwierzęta najlepiej widzą pośród największej ciemności.

Morok wszedł cicho do stajni, od jego ciemnorudego długiego futra dziwnie odbijała bładokasztanowata, najeżona czupryna i długa broda. Dosyć wysoko zawieszona lampa zupełnie go oświetlała, a jaskrawe światło obok nocnych cieni jeszcze bardziej uwydatniało rysy jego złowróznej, kościstej twarzy.

Powoli zbliżał się do klatki.

Biała obrączka otaczająca jego płową źrenicę, zdawała się powiększać; jego oko, jaskrawe i nieruchome, nie różniło się od ognistego, osłupiałego oka rysia, leżącego ciągle w cieniu, ale już zwierzę zaczynało czuć wpływ uroczego wzroku swego pana, dwa czy trzy razy zamknęło powieki, gniewnie chrapnąwszy, wkrótce potem, jakby mimowolnie otwierając oczy, wlepilo je wytrzeszczone w oczy Moroka.

Wtedy okrągłe uszy Śmierci przywarły do czaszki, skóra na czole zmarszczyła się konwulsyjnie, ściągnęła pysk najeżony twardymi szczecinami, otworzyła paszczę, uzbrojoną straszonymi kłami, wywiesiwszy w połowie czerwony, chropowaty język.

Morok wyciągnął ku klatce swoją stalową, do czerwoności rozgrzaną laskę i rzekł krótkim, rozkazującym głosem:

– Śmierć... tu!

– Ryś wstał, ale tak się spłaszczyl, iż brzuchem i kolanami dotykał prawie posadzki; był na trzy stopy wysoki, a blisko pięć stóp długi, jego mięsisty grzbiet, jego podkolanka zniżone i szerokie niemal jak u wyścigowego konia, potężny kark, unerwione, zsiadłe łapy, wszystko zapowiadało, że to straszne zwierzę z wielką siłą łączyło zwinność i szybkość.

Morok, ciągle z wyciągniętą ku klatce laską, postąpił krok w stronę rysia...

Ryś zrobił krok ku Morokowi...

Oboje zatrzymali się.

W tej chwili tygrys Judasz, do którego Morok obrócony był tyłem, podskoczył gwałtownie w klatkę jakby przez zazdrość, że pan zajmuje się tylko rysiem, ryknął chrapliwym głosem i podnosząc łeb pokazał dół swej straszliwej trójkątnej szczęki i potężne, brudnobiałe piersi, na których ginęły miedziane cienie jego płowej, czarnopręgowej sierści; ogon, podobny do wielkiego, czerwonego węża, to wił się po bokach zwierzęcia, to je uderzał nieustannie, z wolna się ruszając; zielone, przeźrocyste oczy zwracały się na pogromcę, pałając drapieżnym gniewem.

Człowiek ten taki wpływ wywierał na swe zwierzęta, iż tygrys sam przez się, prawie od razu, przestał ryczeć, jak gdyby przeląkł się swojej śmiałości.

Morok obrócił się do niego, przez chwilę przypatrywał mu się uważnie; ryś uwolniony już spod wpływu wzroku pana, położył się znowu w cieniu.

Chrzęst i łoskot, podobny do chrupania wielkich zwierząt, gdy gryzą coś twardego, dał się słyszeć w klatce lwa; Kain zwrócił uwagę pogromcy, który pozostawiając tygrysa, podszedł do następnej klatki.

Był tam lew, którego grzbiet wyraźnie było widać, grzbiet ogromny, rudo-żółty, głowa lwa kryła się w wielkiej grzywie, z przerywanych drgań jego mięśniów lędźwiowych, z mocno wystających żeber łatwo można było odgadnąć silne działanie paszczyki i przednich łap.

Morok zbliżył się do klatki, niepewny, czy pomimo jego rozkazu, Goliat nie dał lwu jakiej kości do gryzienia; aby się przekonać, zawołał surowym, rozkazującym tonem:

– Kain!

Kain nie ruszył się z miejsca.

– Kain... tu! – powtórzył ostrzej.

Nadaremne wołanie, lew się nie ruszył, a chrzęst słychać było dalej.

– Kain, tu! – zawołał Morok trzeci raz, lecz wymawiając te słowa, oparł koniec rozpalonej laski o biodro lwa.

Ledwie mały promień dymu przebiegł po rudym futrze, Kain zerwawszy się jak błyskawica, obrócił się i rzucił na kraty, ale nie czołgając się, tylko jednym skokiem i ukazał się wyprostowany w pysznej a zarazem strasznej postawie.

Morok znajdował się w rogu klatki, Kain, zapalczywy, stanął wyprostowany na wprost swego pana, opierając swoje szerokie piersi o kratę, przez którą wyciągnął ogromną, muskularną łapę.

– Kain! Precz! – krzyknął pogromca, żywo przyskakując. Lew nie usłuchał; wtedy końcem rozpalonej laski dotknął jego warg ściągniętych wściekłością, za którymi widniały kły tak grube, długie i ostre jak kły dzika.

Po ognistym dotknięciu i po drugim groźnym wezwaniu lew, nie śmiejąc się już ruszyć, głucho pomrukiwał, położył się zwinięty, z pokorą i uległością.

Morok zdjął lampę, aby bliżej zobaczyć, co gryzł Kain. Była to deska z dna klatki, którą zdołał podnieść i którą gryzł dla zaspokojenia głodu.

Na chwilę głęboka cisza zapanowała w menażerii; Morok, trzymając ręce za plecami, chodził od jednej do drugiej klatki i niespokojnym okiem przyglądał się swym zwierzętom, jak gdyby wahał się uczynić między nimi jakiś ważny a trudny wybór.

Od czasu do czasu stawał i przysłuchiwał się odgłosom od strony wielkich drzwi, prowadzących z szopy na podwórze oberży.

Drzwi te otworzyły się. Pokazał się Goliat, z jego odzieży strumieniami płynęła woda.

– A cóż tam!... ozwał się Morok.

– Doznałem wielu trudności... Szczyściem noc jest bardzo ciemna, wielki wiatr, a deszcz leje jak z cebra.

– Nie ma żadnego podejrzenia?

– Żadnego, panie, drzwi do piwnicy od razu się otworzyły, właśnie pod oknem dziewczynek. Gdy zagwizdałeś, że już czas, wyszedłem z koziołkiem, który przyniosłem z sobą, oparłem go o mur i wlałem nań, chwyciłem jedną ręką okiennice, trzonek noża w drugą i wybijając dwie szyby, szarpnąłem z całej siły żaluzję...

– I myślano, że to wiatr?

– Tak, pomyślano, że to wiatr. Potem uciekłem co żywo do piwnicy, zabrawszy z sobą koziołek... Po pewnym czasie usłyszałem głos starego... dobrze zrobiłem, że się pośpieszyłem...

– Tak, kiedyś na ciebie zagwizdał, wszedł do sali jadalnej, sądziłem, że dłużej tam zabawi.

– Mniejsza o to... rzecz została zrobiona... stary otworzył okno i przywołał swego psa, mówiąc mu: Skocz... Ja natychmiast pobiegłem na drugi koniec piwnicy, bo inaczej diabelski pies byłby mnie zwęszył.

– Teraz pies jest zamknięty w Stajni, gdzie stoi koń starego... Mów dalej!

– Kiedyś usłyszałem, że zamknięto żaluzję i okno, wyszedłem z piwnicy, przystawiłem koziołek i znowu się wspiąłem, pociągając powoli zasuwkę żaluzji, otworzyłem ją, ale nic nie

widziałem, odsunąłem trochę futra i widziałem... dziewczynki w łóżku, twarzą obrócone ku mnie, stary siedział w głowach, odwrócony do mnie plecami.

– A jego worek... jego worek? To bardzo ważne.

– Jego worek był blisko okna, na stole, przy lampie, mógłbym być dostać go, dobrze sięgnąwszy ręką.

– Cóżeś słyszał?

– Ponieważ kazałeś mi myśleć tylko o worku, to więc tylko pamiętam, co dotyczy worka, stary mówił, że są w nim papiery, listy jakiegoś generała, jego pieniądze i krzyż.

– Dobrze... Co dalej?

– Ponieważ trudno mi było utrzymać uchylone od szyb futro, więc wymknęło mi się... chciałem je znowu chwycić, zanadto wyciągnąłem rękę, jedna z dziewczynek spostrzegła ją... gdyż krzyknęła wskazując na okno.

– Głupcze!... Wszystko źle... – rzekł Morok, blednąc z gniewu.

– Ale zaczekaj pan... nie wszystko stracone. Usłyszawszy krzyk, zeskoczyłem z koziołka, uciekłem do piwnicy, psa już tam nie było. Zostawiłem drzwi na pół otwarte, słyszałem, jak otwierano okno i widziałem przy świetle lampy, którą stary wystawił za okno, jak patrzył, a nie było drabiny, okno było tak wysoko, iż człowiek przeciętnego wzrostu nie dostałby do niego.

– Będzie myślał, że to wiatr... Ha, zręczniejszy jesteś niż się spodziewałem.

– To dobrze... Dowiedziawszy się, gdzie jest worek, pieniądze i papiery, wróciłem... i jestem.

– Idź na górę, przynieś mi jesionową pikę, najdłuższą.

– Dobrze, panie.

– I kołdrę czerwoną, sukienną...

– Dobrze, panie.

– Ruszaj!

Goliat wszedł na drabinę; gdy był już w połowie, zatrzymał się.

– Czy nie pozwoli pan, abym zlął... po kawałek mięsa dla...

– Pikę i kołdrę! – powtórzył Morok rozkazującym tonem. I odszedł, a kiedy Goliat zajęty był spełnieniem rozkazu, uchylił wielkie wrota do szopy, zajrzał na dziedziniec i znowu nasłuchiwał.

– Panie, jest pika jesionowa i czerwona kołdra... – rzekł olbrzym, schodząc z drabiny. Co mam robić?

– Wróć do piwnicy, wyleź do okna, a gdy stary wybiegnie z izdebki...

– A któż go z niej wywoła?

– Wyjdzie... Po co się pytasz?

– A potem?

– Powiedziałeś, że lampa stała blisko okna?

– Bliziućko... na stole przy worku.

– Jak tylko stary wyjdzie z izby, popchnij okno, zgaś lampę, złap za worek, przetrząśnij go, weź pieniądze, krzyż, papiery i połóż znowu na miejscu; dziewczynki tak się przelęką tym, co się będzie działo, że zamilkną z przestachu. Nie koniec jeszcze na tym.

– Co jeszcze?

– Dach na szopie jest nie bardzo wysoki, do dymnika na spichrz łatwo się dostać... noc jest ciemna... zamiast wchodzić drzwiami...

– Wlezę dymnikiem.

– Ale cicho!

– Dobrze.

Olbrzym wyszedł. Po kilku minutach Morok opuścił szopę, wzięwszy czerwoną laskę i udał się do małej stajenki, gdzie stał Jowialny; podwójne drzwi zamykała tylko mała zasuwka.

Rzucił się nań Ponury, skoro go spostrzegł, ale kły jego namacały żelazne nagolenniki, a Morok, mimo silnego kąsania psa, wziął Jowialnego za uździenicę, okrył mu głowę kołdrą, żeby nie mógł widzieć ani węszyć, wyprowadził ze stajni i wprowadziwszy do szopy, zamknął drzwi.

## ROZDZIAŁ XI

### PODEJŚCIE

Odczytawszy fragmenty z dziennika ojca, sieroty zamilkły na jakiś czas, smutnie się zamyśliły, oglądając pożółkłe pismo.

Dagobert, także zadumany, myślał o swym synu i żonie, z którymi był już dawno rozłączony, a których niedługo spodziewał się ujrzeć. Potem pierwszy przerwał milczenie i biorąc pismo z rąk Blanki, złożył je troskliwie, włożył do kieszeni i rzekł:

– Tak więc, moje dzieci, bądźcie spokojne... widzicie, jak zanego macie ojca, myślcie tylko o radości, z jaką go wkrótce ucałujecie i pamiętajcie zawsze o imieniu chłopca, któremu zawdzięczać będziecie tę przyjemność, bo gdyby nie on, już by wasz ojciec nie żył.

– Nazywa się Dżalma... Nigdy go nie zapomnimy – rzekła Róża i – prosić będziemy matkę, aby czuwała nad nim tak jak nad nami...

– A gdy nasz anioł stróż jeszcze przyjdzie – dodała Blanka – powiemy mu także o Dżalmie.

– Dobrze, moje dzieci, jestem pewien, że co się tyczy serca, o niczym nie zapomnicie... Lecz wróćmy do wędrowca, który przybył do waszej matki. Widział on generała w miesiąc po zdarzeniach, o których czytałyście i w chwili, kiedy znowu mieli uderzyć na Anglików, wasz ojciec powierzył mu te papiery i medal.

– Ale, Dagobercie, na co się nam przyda ten medal?

– A co znaczą te słowa na nim wyryte? – spytała Róża, wyjmując go z zanadrza:

W Paryżu  
Ulica Św. Franciszka Nr 3,  
Będziecie  
po upływie półtora wieku  
dnia 13 lutego,  
1832 r.  
Módlcie się za mnie.

– A to, moje dzieci... znaczy, że 13 lutego 1832 r. trzeba nam być w Paryżu, na ulicy Św. Franciszka nr 3.

– A cóż tam będziemy robili?

– Wasza biedna matka tak nagle zachorowała, iż nie mogła mi tego powiedzieć, wiem tylko tyle, że ten medal dostała od swych rodziców, były to relikwie przechowywane w jej rodzinie od przeszło stu lat.

– A jak dostał się naszemu ojcu?

– Gdy wyjeżdżał w nocy, kładąc spiesznie do powozu wszystko, co mu było potrzebne na drogę, włożył także, między innymi, rzeczy należące do matki, między nimi znajdował się ten medal, potem już generał nie mógł go odesłać, nie mając ku temu żadnej sposobności.

– A więc ten medal jest dla nas rzeczą nader ważną?

– Bez wątpienia, gdyż nie widziałem nigdy waszej matki szczęśliwszej, jak w dniu, gdy go jej oddał podróżny... „Teraz los mych dzieci może będzie tak błogi, jak dotąd był nieszczęśliwy” – rzekła do mnie ze łzami radości w oczach: „Pojadę z mymi córkami do Francji... Jeślibym zasłała, ty je odprowadzisz, Dagobercie; ruszysz niebawem, bo na nieszczęście zmarnowało się już wiele czasu... a jeżelibyś nie przybył przed 13 lutego, to okrutne rozłączenie, ta przykra podróż byłaby nadaremna”.

– Jak to, choćby nawet jeden tylko dzień spóźnienia...

– Jeżelibyśmy przybyli 14 zamiast 13, już byłoby po czasie – mówiła wasza matka.

– A jak sądzisz, czy staniemy na czas w Paryżu?

– Spodziewam się, jednakże, gdybyście się czuły na siłach, byłoby dobrze przyspieszyć trochę.

– Ale ponieważ ojciec nasz jest w Indiach i jako skazany na śmierć nie może wrócić do Francji, kiedy zobaczymy się z nim?

– I gdzie będziemy się z nim widziały?

– Biedne dzieci, to prawda... ile to rzeczy, o których nie wiecie, generał nie mógł wrócić do Francji, kiedy go opuszczał podróżny, to prawda, ale teraz już może.

– A dlaczego teraz może?

– Gdyż we Francji zaszło wiele zmian, nowy król... nowa dynastia... dawne sprawy poszły w niepamięć. Ta wiadomość dojdzie do Indii, a wasz ojciec na pewno przybędzie i oczekiwać was będzie w Paryżu, przekonany, że wy i wasza matka przybędziecie tam na 13 lutego następnego roku.

– Acha! Rozumiem teraz, możemy się więc spodziewać spotkania z nim – rzekła Róża z westchnieniem.

– A zawdzięczać to będziemy jego przyjacielowi, wędrownikowi.

– A wiesz, Dagobercie, jak się nazywa ten podróżny?

– Nie, moje dzieci... ale czy się nazywa Paweł czy Gaweł, ważne, że to poczciwy człowiek. Kiedy odchodził od waszej matki, z płaczem dziękowała mu za jego dobroć dla generała, dla niej i dla was. Wtedy uścisnął jej ręce i rzekł tak łagodnym głosem, aż mnie to wzruszyło: „Za cóż dziękujesz mi, pani... czyliż nie powiedziano: Kochajcie się nawzajem”?

– Kto tak powiedział, Dagobercie, on?

– Tak, a o kim mówił podróżny?

– Tego nie wiem, uderzył mnie tylko sposób, w jaki wymówił te słowa i to były jego ostatnie słowa.

– Kochajcie się nawzajem?... – powtórzyła Róża.

– Jak to dowodzi dobrego serca... – mówiła Blanka – prawda, Dagobercie?

– Ponieważ ten wędrowiec jest przyjacielem generała, to już dowodzi, że ma dobre serce.

– Jaka szkoda, żeśmy go nie widziały...

– A dokąd poszedł ten podróżny?

– Bardzo daleko... daleko, na północ – powiedział to waszej matce, która potem mówiła o nim: „Jego proste słowa rozrzewniły mnie, przez cały czas, jakem go słuchała, czułam się lepiej, mocniej jeszcze kochałam mego męża, dzieci, a przy tym, patrząc na wyraz jego twarzy, można by sądzić, że nigdy się nie uśmiechnął ani zapłakał” dodała wasza matka, i to prawda.

– Nigdy się nie roześmiał ani nie zapłakał? – spytała Blanka.



– Kiedy odchodził, wasza matka i ja, stojąc w drzwiach, patrzyliśmy za nim, dopóki mogliśmy, siedł ze spuszczoną głową. – Chód jego był powolny... spokojny... pewny... myślałby kto, że liczył kroki... a co do jego kroku jeszcze osobliwszą rzecz spostrzegłem.

– Co, Dagobercie?

– Wiecie, że droga prowadząca do domu była zawsze wilgotna, a to z powodu małego źródła, które ją zalewało...

– Tak, tak.

– A więc jego ślady zostały w glinie i widziałem, że na jego podszwach były ćwieki pobijane w kształcie krzyża...

– Ot, tak – mówił Dagobert stawiając siedem razy palec na kołdrze – ot, wbite były takim porządkiem. Widzicie, że będzie krzyż.

– Ach, rzeczywiście... krzyż, widzisz, siostró. – Cóż to znaczy, Dagobercie?

– Dalibóg, nie wiem... może przypadkiem... Jakkolwiek bądź, odwiedziny tego tajemniczego gościa zapowiadały coś niedobrego. Gdyż, jak tylko odszedł, jedno za drugim dotykały nas nieszczęścia.

– Niestety! Śmierć naszej matki?

– Tak, ale przedtem jeszcze... inne zmartwienie!... Trzeba było jechać co prędzej do Paryża, a okoliczności zmusiły nas do wyjazdu w zupełnie przeciwną stronę. Wasza matka mówiła: „Miano w tym interes, aby przeszkodzić mnie i moim dzieciom udać się do Francji i dlatego tak postąpiono”.

– Może to niespodziewane zmartwienie nabawiło ją choroby?

– Och, nie, moje dzieci, była to owa nieszczęsna choroba, co nie wiedzieć, skąd się bierze, bo i ona także odbywa podróże i uderza jak piorun. W trzy godziny po odejściu wędrowca, kiedyście wróciły z lasu wesole, zadowolone, z dużymi bukietami kwiatów dla matki... ona już prawie konała... już nie można było poznać jej, piekielna cholera zjawiała się we wsi... Wieczorem zmarło pięć osób... Wasza matka ledwo miała czas włożyć ci medal na szyję, moja kochana Róziu... polecić mi was obie... prosić mnie, abyśmy natychmiast puścili się w drogę do Paryża... Kiedy umarła, zmieniły się okoliczności i wybraliśmy się w drogę. – Żołnierz nie mógł skończyć, zakrył twarz rękami, kiedy tymczasem rozrzewnione sieroty rzuciły mu się w objęcia.

– Tak, ale – rzekł z dumą Dagobert po chwili bolesnego milczenia. Wtedy okazałyście się godnymi córkami zacnego generała... pomimo niebezpieczeństwa, nie można było oderwać was od łoża waszej matki, pozostałyście przy niej aż do końca... Wy zamknęłyście jej powieki, wy czuwałyście nad nią... i wy nie chciałyście odjechać wcześniej, aż ujrzałyście krzyż postawiony na jej grobie.

Nagle Dagobert przerwał opowiadanie.

Usłyszawszy okropne rżenie konia, połączone z dzikim rykiem, podskoczył ze stołka i zawołał:

– To Jowialny! Mój koń! Co się stało?

Potem, otworzywszy drzwi, szybko zbiegł po schodach.

Siostry przytuliły się do siebie tak przerażone, iż nie spostrzegły ręki sięgającej wybitą szybą, otwierającej rygiel okna, odpychającej gwałtownie futro i przewracającej na małym stoliku lampę, przy której leżał tornister żołnierza.

Tak więc pozostały pośród głębokiej ciemności.

## ROZDZIAŁ XII

### JOWIALNY I ŚMIERĆ

Morok, wprowadziwszy Jowialnego do swej menażerii, zdjął mu z głowy kołdrę, która nie dawała mu widzieć i czuć zapachu.

Jak tylko tygrys, lew i ryś spostrzegły go, zgłodniałe zwierzęta rzuciły się do kraty swych zagród.

Koń, przerażony, stanął osłupiały, wyciągnął szyję, wytrzeszczył oczy, drżał jak wryty, z miejsca się nie mogąc ruszyć, zimny pot lał się z niego strumieniami.

Lew i tygrys zaczęły przeraźliwie ryczeć i okropnie miotały się w klatkach.

Ryś nie ryczał... ale jego niema drapieżność była straszniejsza niż krzyki dwóch pozostałych zwierząt.

Wściekłym susem rzucił się na kratę, która aż się wstrząsnęła od tego uderzenia, potem, pomimo silnego oporu kraty, Śmierć, zawsze niema, ciągle zajadła, rzucała się naprzód, wracała pelzając i znowu w zapamiętałym zapędzie usiłowała złamać kratę.

Trzy razy tak doskakiwała... straszna i milcząca... gdy tymczasem koń, przechodząc z przestachu z osłupienia w obłąkanie, zarżał przeciągle, zawrócił szybko i jak szalony skoczył do drzwi.

Znalazłszy je zamknięte, spuścił łeb, przygiął nieco nogi, zbliżył nozdrza do otworu pod wrotami jak gdyby chciał odetchnąć świeżym powietrzem, potem, coraz bardziej przerażony, rżał jeszcze mocniej, silnie grzebiąc przednimi nogami.

Morok nie wahał się.

Zbliżył się do klatki rysia, właśnie w chwili, gdy po nowych usiłowaniach wydobycia się z niej, zwierz znowu miał się rzucić.

Ciężka zaporą utrzymująca zamknięcie, odepchnięta piką pogromcy zwierząt, usunęła się, a Morok w jednej chwili wskoczył na drabinę, prowadzącą na spichlerz.

Okropny krzyk tygrysa i lwa, połączony z rozpaczliwym rżeniem Jowialnego, napełniły wszystkie zakątki oberży; w chwili, gdy ryś rzuciwszy się znowu wściekle na kratę, poczuł, że przed nim ustępuje... wyskoczył...

Skok Śmierci był tak gwałtowny, iż padła na środku szopy.

Światło lampy migotało się na czarnopołykskim tle rysiego futra, mieniącego się jeszcze ciemniejszego koloru plamami. Przez chwilę pozostał niewzruszony, jakby przyczajony... zdawał się mierzyć długość kroku, który miał wykonać dla dośnięcia konia i rzucił się nań jednym skokiem.

Widząc go wydobywającego się z klatki, Jowialny, nagle umknąwszy, przyparł bokiem drzwi otwierające się z zewnątrz do środka... cisnął je całą siłą, jak gdyby chciał je wyłamać. Śmierć wspięła się gwałtownie do skoku. Szybka jak strzała, głęboka przecięła Jowialnemu gardło, chwyciła go łapami i zatopiła szpony w piersi i w brzuch, trzymając go przypartego do drzwi.

Oparłszy się w łuk na tylnych łapach, otworzyła mu żyłę w gardle, strumień krwi wytrysnął spod jej zębów, a ostre pazury zorały aż do kości żywe mięso drgającej ofiary, której zduszone rżenie było przerażające.

Nagle rozległy się słowa:

– Jowialny... nie daj się... jestem tu... nie daj się...

Był to głos Dagoberta, który wszelkimi sposobami usiłował w rozpacz wyważyć drzwi, za którymi toczyła się krwawa walka

– Jowialny – zawołał znowu żołnierz – jestem tu... Ratunku...

Na ten przyjacielski, tak dobrze znany głos, koń próbował jeszcze zwrócić głowę w stronę, skąd słyszał głos swego pana, odpowiedział mu żalonym rżeniem i szamocąc się pod mordczymi razami rysia, padł na kolana, potem na bok... tak, iż grzbiet i kark o drzwi się oparłszy, nie pozwoliły ich otworzyć.

Wtedy wszystko się skończyło.

Ryś przyłożył się jak długi brzuchem do konia, szarpiąc go przednimi i tylnymi łapami.

– Ratunku... ratunku dla mego konia! – krzyczał Dagobert, na próżno usiłując wyłamać zamek, potem wołał w zapalczywości:

– Nie ma kto broni... czy nie ma broni?

– Strzeż się... – krzyczał pogromca zwierząt.

I pokazał się w dymniku spichrza, wychodzącym na dziedziniec.

– Nie wchodź, bo zginiesz... mój ryś wściekł się...

– Ale mój koń... mój koń! – krzyczał przeraźliwie Dagobert.

– Wszedł w nocy ze stajni, wszedł do szopy popchnąwszy drzwi: na jego widok ryś polamał kłatkę i rzucił się na niego... Lecz odpowiesz za nieszczęścia, jakie mogą stąd wyniknąć – dodał odgrażającym tonem – bo ja teraz z wielkim niebezpieczeństwem dla życia będę musiał zapędzić go znowu do klatki.

– Ale mój koń... Ratuj mego konia... – wołał Dagobert, błagając z rozpaczą, gdyż prawdziwie kochał to biedne zwierzę, którego utrata mogła ponadto pociągnąć za sobą najgubniejsze skutki, czyniąc prawie niemożliwą dalszą podróż.

Morok zniknął z dymnika.

Ryk zwierząt, krzyk Dagoberta, obudziły wszystkich w oberży Pod Białym Sokółem. Tu i ówdzie zajaśniały i otwierały się spieszenie okna. Niebawem służący z oberży przybiegli z latarniami, obstąpili Dagoberta i pytali, co się stało.

– Mój koń jest tam... a jeden zwierz tego niegodziwego człowieka wydobył się... – krzyczał żołnierz, nie przestając popychać drzwi.

Na te słowa ludzie oberżysty, przerażeni okropnym rykiem, uciekli i pobiegli zawiadomić gospodarza.

Można sobie wyobrazić rozpacz żołnierza, czekającego, kiedy drzwi szopy zostaną otwarte; błądzący, zadyszany, przysłuchiwał się, czy nie usłyszy rżenia konia.

Powoli ryki ustały, słyszał tylko ponure mruczenie i złowrogie, raz po raz groźnym, krótkim głosem powtarzane wołanie:

– Śmierć!... Tu... Śmierć!...

Zajęty wypadkiem, pośród ciemnej nocy, Dagobert nie widział Goliata, który, gramoląc się ostrożnie po dachu (krytym dachówką, wracał dymnikiem do spichrza.

Niebawem otworzyła się brama dziedzińca, wszedł gospodarz, a za nim kilku ludzi, uzbroił się w karabin, a jego słudzy w widły i kije.

– Co tu się dzieje? – zapytał, zbliżając się do Dagoberta – Co to za hałas w mojej oberży!... Niech diabli porwą pokazujących zwierzęta i niedbalców, którzy nie potrafią przywiązać uździenicy konia do żłobu... Jeżeli twój koń został raniony, twoja strata, żeś nie dbał o niego jak należy.

Zamiast odpowiedzieć, żołnierz, przysłuchując się ciągle temu, co się działo w szopie, kiwnął ręką, aby się uciszono.

Nagle dał się słyszeć ryk drapieżny, a po nim krzyk Moroka i prawie zaraz ryś zamruczał żałośnie.

– Stałeś się może przyczyną nieszczęścia – rzekł do żołnierza gospodarz – czy słyszałeś, jaki krzyk!... Może Morok został niebezpiecznie skaleczony.

Dagobert miał odpowiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi; Goliat ukazał się w progu i rzekł:

– Można wejść, już nie ma niebezpieczeństwa.

Wnętrze menażerii przedstawiało okropny widok.

Morofk blady, ledwo mogąc ukryć wzburzenie, klęczał o kilka kroków od klatki rysia, w zamyślonej postawie, z poruszenia jego ust domyślać się było można, że się modlił.

Na widok oberżysty i jego ludzi wstał, mówiąc uroczystym głosem:

– Boże! Dzięki niech ci będą... że mi jeszcze dozwoliłeś zwyciężyć.

Składając ręce na piersiach z dumnym czołem, poważnym, zadowolonym spojrzeniem zdawał się cieszyć triumfem, jaki mu się udało odnieść nad Śmiercią, która, rozciągnięta w głębi klatki, mruzczała żałośnie.

Przyglądając się tej scenie, nie wiedząc, że pogromca zwierząt od stóp do głów był uzbrojony pod futrem i ryk rysia przypisując bojaźni, dziwili się i zdumiewali nad nieustraszoną i prawie nadprzyrodzoną siłą tego człowieka.

O kilka kroków za nim stał Goliat, oparty na jesionowej włóczni... Wreszcie niedaleko klatki, rozciągnięty na ziemi, w kałuży krwi, leżał trup Jowialnego.

Na widok poszarpanych, krwawych zwłok zwierzęcia Dagobert osłupiał na chwilę, nachylił się, wlepił weń oczy, na jego surowej twarzy malował się głęboki żal... Potem, upadłszy na kolana, podniósł głowę Jowialnego. Szyja konia ledwie trzymała się na obnażonych kościach. Widząc skrzepłe, zamroczone, na pół zamknięte, niedawno jeszcze tak pojętne oczy zwierzęcia, żołnierz nie mógł wstrzymać bolesnego okrzyku...

Zapomniał już swego gniewu; żywo stanęły mu w myśli nieszczęsne skutki tego oplakanego zdarzenia dla losu biednych sierot; z bólem też myślał o okropnej śmierci starego konia, swego dawnego towarzysza trudów wojennych, tak odważnego w boju, a przy tym tak oddanego, cierpliwego, który podobnie jak on był dwa razy raniony... i z którym od tylu lat na chwilę się nie rozłączali...

To proste, bolesne wzruszenie tak wyraźnie i dotkliwie malowało się na twarzy żołnierza, iż oberżysta i jego ludzie zdjęci zostali litością nad starcem klęczącym nad martwym koniem.

Lecz, gdy pośród dolegliwych żalów wspomniął, że Jowialny był także towarzyszem jego wygnania i że niegdyś matka sierot, podobnie jak jej córki, odbyła na tym biednym koniu daleką podróż, zgubne skutki jego utraty jeszcze boleśniej stanęły w myśli Dagoberta; po rozczuleniu nastąpiło oburzenie. Wstał, jego oczy roziskrzyły się gniewem i nie mogąc już powściągnąć zapalczywości, skoczył do Moroka. Jedną ręką chwycił go za gardło, a drugą, po wojskowemu, uraczył go pięciu czy sześciu potężnymi pięściami w piersi, tak iż ledwo się oparły o żelazne uzbrojenie Moroka.

– Łotrze... odpowiesz mi za zgubę mego konia – mówił, nie przestając okładać Moroka pięściami. Morok, wysmukły, żyłasty, nie mógł swobodnie walczyć z Dagobertem, który pomimo podeszłego wieku, przy swym kolosalnym wzroście okazywał niepospolitą siłę. Ledwo Goliat i oberżysta wyrwali mu Moroka z rąk.

Po chwili rozłączono ich. Morok zbladł ze złości. Znowu trzeba było nie dopuścić mu wziąć się do piki, do której porwał się na Dagoberta.

– Ależ to nieznośne – odezwał się oberżysta do żołnierza, który pogrążony w rozpaczę to wyciągał przed sobą w pięść złożone, niespokojne ręce, to bił się nimi w czoło.

– Narażasz tego człowieka na pożarcie przez zwierzęta i jeszcze chcesz go bić... Czy takie postępowanie przystoi siwej brodzie? Mam posłać po siłę zbrojną? Bardziej rozsądnym okazałeś się wczoraj wieczór.

Słowa te opamiętały żołnierza, tym bardziej żałował swej popędliwości, że przez nią, jako obcy, mógł sobie narobić większego jeszcze kłopotu; wypadało wszelkimi sposobami wymóc zapłatę sobie za konia, aby można było ruszyć niezwłocznie w dalszą podróż i nie dopuścić do spóźnienia ani o jeden dzień. Zdobywając się więc na ostatni wysiłek, opanował się.

– Masz rację... zanadto się uniosłem – rzekł do oberżysty zmienionym głosem, który starał się uspokoić. Przed chwilą brakło mi cierpliwości. Pytam się jednak, czy ten człowiek nie powinien mi zapłacić za konia? Sami osądźcie.

– Dobrze więc, jako sędzia nie podzielam twego zdania. Sam jesteś sprawcą twej szkody. Źle uwiązałeś konia, wyszedł ze stajni, otworzywszy sobie drzwi, wydostał się na podwórze, a stąd do szopy, której drzwi musiały być zapewne otwarte – rzekł oberżysta, ujmując się za pogromcą zwierząt.

– To prawda – odezwał się Goliat – przypominam sobie: zostawiłem drzwi szopy na noc na pół otwarte, aby zwierzęta miały więcej świeżego powietrza, ponieważ klatki były dobrze zamknięte, nie było więc niebezpieczeństwa...

– Bardzo słusznie! – odezwał się jeden z obecnych.

– Gdy zwierzęta spostrzegły konia, obudziła się ich drapieżność i połamały klatki – dodał drugi.

– To raczej Morok powinien skarżyć – rzekł trzeci.

– Zachowajcie sobie wasze zdania – rzekł Dagobert, któremu już brakło cierpliwości – ja wam mówię, że potrzeba mi natychmiast pieniędzy albo konia, gdyż myślę opuścić oberżę, w której mnie spotkało takie nieszczęście.

– A ja ci powiadam, że to ty musisz mi zapłacić – zawołał Morok, który bez wątpienia zachował na koniec teatralny wybieg, to jest pokazał skrwawioną rękę, dotąd ukrywaną w rękawie futra. Na całe życie mogę zostać kaleką – dodał. – Patrz, jaką ranę zadał mi ryś.

Rana, nie tyle jak mówił, niebezpieczna, była jednak dość głęboka. Ten ostatni argument zyskał mu powszechne współczucie. Licząc pewnie na tę okoliczność dla przechylenia słuszności w sprawie, którą uważał niejako za swoją, oberżysta rzekł do chłopca stajennego:

– Widzę tylko jeden sposób zakończenia tej sprawy... trzeba iść obudzić burmistrza i prosić go, aby się tu pofatygował, on rozstrzygnie, kto tu ma słuszność.

– Właśnie chciałem to powiedzieć – rzekł żołnierz – gdyż, bądź co bądź, nie można sobie samemu wymierzać sprawiedliwości.

– Fryc, biegnij po burmistrza – rzekł oberżysta.

Chłopak pobiegł co żywo. Oberżysta, który wczoraj zaniedbał zażądać papierów od żołnierza – rzekł:

– Burmistrzowi będzie bardzo przykro... że go się będzie trudzić o tak późnej godzinie. Nie chciałbym ucierpieć na tym, dlatego proszę waszeci, abyście mi przynieśli wasze papiery, jeżeli je macie... bo to moja wina, że ich nie zażądał zaraz wczoraj, gdyście przybyli.

– Mam je na górze w tornistrze, zaraz będziecie je mieli – odpowiedział żołnierz. Potem, odwracając oczy i zmarszczywszy gniewnie czoło, kiedy przechodził obok zwłok Jowialnego, poszedł zobaczyć dziewczynki.

Morok rzucił nań trumfujące spojrzenie i rozważał w myśli:

– Bez konia, bez pieniędzy, bez papierów... Więcej już zrobić nie mogłem, gdyż zabroniono mi zrobić więcej...

W kwadrans po tym Karol, kolega Goliata, wyszedł z kryjówki, gdzie mu Morok kazał pozostać przez wieczór, po czym wyruszył do Lipska z tajemniczym pakietem adresowanym do jednego z tamtejszych mieszkańców i z listem, który pogromca naprędce napisał.

Zaraz po przyjeździe miał oddać ten list na pocztę. Na liście był adres:

A Monsieur Rodin,  
Rue du Millieu-des-Ursins, N. 11  
A Paris.  
France.

## ROZDZIAŁ XIII

### BURMISTRZ

Dagobert był coraz bardziej niespokojny, chociaż był pewny, że jego koń dobrowolnie do szopy nie poszedł i przypisywał ten nieszczęsny wypadek złościwości pogromcy zwierząt. Na próżno usiłował odgadnąć przyczynę zawziętości tego niegodziwca i przemyślał z lękiem, aby jego sprawa, jakkolwiek słuszna, nie zależała od dobrego lub złego humoru sędziego przebudzonego ze snu, który, na podstawie zwodniczych pozorów, mógł wydać zgubny wyrok.

Postanowiwszy jak najdłużej ukrywać przed sierotami nowy cios, który go spotkał, już miał otworzyć ich izdebkę, gdy potracił Ponurego, gdyż pies przybiegł na swoje stanowisko, po bezskutecznym oporze przeciw Morokowi uprowadzającemu Jowialnego.

– Dobrze, że jest tu pies, dzieci przynajmniej były bezpieczne – rzekł, otwierając drzwi, lecz jakie było jego zdziwienie, -gdy ujrzał izdebkę pogrążoną w ciemności...

– Dzieci!... zawołał – dlaczego nie macie światła?

Nie odpowiedziano mu.

Przerażony biegnie po omacku do łóżka, bierze jedną sierotę za rękę: zimna!

– Róziu!... – Dzieci! – zawołał przerażony. – Blanko! Odpowiedzcie...

To samo milczenie, nie ma czucia w ręce, którą trzyma, zimna... puścił ją... upadła jak martwa.

Wschodzący księżyc, wychylając się z zakrywających go czarnych chmur, rzucił do izdebki, a raczej na łóżko, stojące naprzeciw okna, trochę bladego światła, tak że żołnierz spostrzegł zemdlone siostry.

Blade księżycowe światło spotęgowało jeszcze bladeść sierot; jedna drugą trzymały w objęciu. Róża usiłowała ukryć głowę na łonie Blanki.

– Ze strachu zemdlały – pomyślał Dagobert, biegnąc do swej podróżnej manierki. Biedne dzieciśka! Nie dziw, po tylu przykrych wrażeniach.

Zwilżywszy nieco wódką róg chustki, ukląkł przy łóżku, natarł lekko skronie obydwom i dotknął rumianych ust i małych różowych nosków.

Ciągle klęcząc, nachyliwszy twarz, ku sierotom, zczekał chwilę, czy nie zajdzie potrzeba jeszcze jednego środka ratunku, który był w jego mocy.

Lekkie poruszenie Róży ożywiło nadzieję żołnierza, dziewczynka z westchnieniem przewróciła głowę na poduszce.

Dagobert podał jej jeszcze do powąchania wódki, drgnęła, otworzyła oczy, zdziwione i przelęknione zarazem, potem, nie poznając zrazu Dagoberta, zawołała:

– Siostro! – i rzuciła się w objęcia Blanki.

I ta także zaczynała odczuwać skutki troskliwości żołnierza. Krzyk Róży wyrwał ją wreszcie z letargu i także nadal przestraszona, przytuliła się do niej.

– Przecież przyszły do siebie... całe szczęście... – rzekł Dagobert. – Przestrasz prędko mnie. Potem dodał łagodnym głosem:

– To nic, nic, moje dzieci... Uspokójcie się... Lepiej wam... to ja jestem... ja... Dagobert.

Dziewczynki poruszyły się, obróciły się do żołnierza, pełne jeszcze trwogi i w uniesieniu wyciągnęły ku niemu ręce wołając:

– To ty, Dagobercie... Jesteśmy ocalone...

– Tak, moje dzieci... to ja jestem – rzekł żołnierz, biorąc ich ręce i ściskając je z radością. – Czy podczas mojej nieobecności tak bardzo się bałyście?

– O, strasznie się bałyśmy... mało nie umarłyśmy z przestraszenia.

– Gdybyś wiedział... mój Boże... gdybyś wiedział...

– A lampa, sama zgasła? Co się stało?

– To nie z naszej winy.

– Nie wiemy, dlaczego.

– Cóż więc, uspokójcie się, biedne dzieci i powiedzcie mi, co się stało? Ta oberża wydaje mi się niebezpieczna... Wkrótce też opuścimy ją... Przeklęty los wprowadził mnie do niej... Ale nie ma drugiej w mieście... Co to było, co tu zaszło?

– Ledwo odszedłeś... aż nagle okno gwałtownie się otworzyło, lampa spadła z wielkim łoskotem.

– Wtedy straciłyśmy głowę, objęłyśmy się rękami, z krzykiem, gdyż usłyszałyśmy, że ktoś chodzi po izbie.

– I tak się przelękłyśmy, iż słabo się nam zrobiło...

Dagobert sądząc, że to gwałtowny wiatr stłukł szyby i otworzył okno, był przekonany, że źle zamknął okiennice, i ten drugi przypadek przypisał tej samej przyczynie; dlatego uznał, że wszystko to przywidziało się tylko przelęknionym sierotom.

– Wreszcie, skończyło się już, nie myślmymy o tym, uspokójcie się – mówił.

– Ale, ty czemu tak spieszenie wyszedłeś, Dagobercie?

– Tak, teraz sobie przypominam, siostrze, słyszałyśmy przecież straszny krzyk i Dagobert pobiegł po schodach wołając: Mój koń... Co się stało memu koniowi?

– Czy to Jowialny tak rzał?

Pytania te odnowiły udręki żołnierza, bał się odpowiedzieć na nie i rzekł zakłopotany:

– Tak... Jowialny rzał... ale nic się nie stało!... Ale trzeba tu światła. Nie wiecie, gdzie położyłem wczoraj moje krzesiwko?

– Pewnie włożyłeś je do blaszanego pudełka...

– Tak, prawda, zapomniałem już, jest w mej kieszeni. Dobrze, że tam jest świeca; zapalę ją i poszukam w worku papierów, których potrzebuję.

Dagobert skrzesał ognia, zapalił świecę; spostrzegł, że okno było jeszcze otwarte, stół przewrócony, a obok lampy leżał tornister. Zamknął okno, podniósł stolik, położył na nim swój tornister i otworzył go, chcąc wyjąć pugilares, włożony wraz z krzyżem i woreczkiem z pieniędzmi (prócz trzech lub czterech franków, które miał zawsze przy sobie) w pewnego rodzaju kieszeni, między podszewką a skórą tornistra.

Włożył rękę do owej kieszeni, która była tuż przy otworze tornistra i nic nie znalazł. Jakby ugodzony piorunem, zbladł i krzyknął:

– Nie!

– Dagobercie, co się stało? – spytała Blanka.

Żołnierz nie odpowiedział.

Oslupiały, schylony nad stolikiem, ciągle trzymając rękę w kieszeni, stał jak odurzony... Niebawem, pokrzepiając się jeszcze słabą nadzieją... nie mógł przypuścić tak okrutnej rzeczywistości, zaczął prędko wykladać wszystkie rzeczy z tornistra: były to na pół zużyte rupiecie, jego dawny mundur grenadierski, z konnej gwardii cesarskiej, święte relikwie żołnierza. Lecz na próżno rozwijał i wytrząsał każdą sztukę odzieży, nie znalazł ani worka z pieniędzmi, ani pugilaresu, w którym był jego paszport, listy generała Simona i jego krzyż.

Nadaremnie, z dziecinną, smutną drobiazgowością, jaka zwykle towarzyszy beznadziejnym poszukiwaniom, wzięwszy tornister za dwa rogi, silnie go wytrząsał: nic nie wypadło.

Sieroty spoglądały na siebie niespokojnie, niczego nie rozumiejąc z milczenia i czynności Dagoberta, który był do nich odwrócony tyłem. Blanka ośmieliła się przemówić bojaźliwym głosem:

– Co ci jest, Dagobercie?... Nie odpowiadasz... Czego szukasz w tornistrze?

Ciągle milcząc, Dagobert nadal szukał koło siebie, przewrócił wszystkie kieszenie, nic...

Pierwszy może raz w życiu, jego dwoje dzieci, jak je zawsze nazywał, dwa razy odzywały się do niego, a on im ani słowa nie odpowiedział, dlatego Róży i Blance łzy napłynęły do oczu. Sądząc, że żołnierz rozgniewał się na nie, nie śmiały już mówić do niego.

– Nie... nie... to nie może być... nie – powtarzał żołnierz, przykładając rękę do czoła i chcąc jeszcze przypomnieć sobie, gdzie by mógł włożyć tak drogie dla niego rzeczy, nie mógł jeszcze uwierzyć, aby je stracił... Promień radości zabłysł w jego oczach... skoczył do stołka, na którym leżała waliza sierot; było w niej trochę bielizny, dwie czarne suknie i pudełko z białego drzewa a w nim chustka do nosa, niegdyś ich matki, dwa loki jej włosów i czarna wstążka, którą nosiła na szyi. Dagobert przerzucił wszystko... przeszukał kąty walizy, niczego jednak nie było...

Teraz już całkiem zrozpaczony, osłabiony, musiał oprzeć się o stół, człowiek tak jeszcze czerstwy i dzielny... Jego rozognioną twarz oblewał zimny pot... nogi pod nim drżały...

Mówią, że tonący brzytwy się chwyta, podobnie rzecz ma się z rozpaczą; Dagobert trafił się ostatnią nadzieją, nadzieją niedorzeczną... obróciwszy się raptownie do sierot, rzekł... nie myśląc o swym pomieszaniu i o zmianie głosu:

– Czy nie dałem wam ich... do schowania?

Zamiast odpowiedzieć, Róża i Blanka, przerażone jego bledością i pełnym rozpaczem wyrazem twarzy, krzyknęły ze strachu:

– Och, mój Boże... mój Boże... ty nas... przerażasz.

– Macie je... powiedzcie, tak czy nie? – zawołał piorunującym głosem, nieszczęśliwy, obłąkany żalem. – Bo, jeżeli nie... pierwszy nóż, jaki mi się nadarzy... utopię w sobie!

– Przebóg! Ty, tak dobry... przebacz nam, jeżeliśmy wyrządziły ci jakąś przykrość...

– Ty nas kochasz... ty nam nic złego nie możesz zrobić.

Mówiąc to, zaczęły płakać, wyciągając błagalnie ręce. Żołnierz, nic nie widząc, patrzył na nie obłąkanym wzrokiem, potem, gdy pierwszy szal minął, rzeczywistość ze wszystkimi swymi okropnymi skutkami stanęła mu w myśli, złożył ręce, upadł na kolana przed łóżkiem sierot, oparł na nim czoło i pośród przejmujących łkań, bo ten żelazny człowiek płakał, tylko słyhać było przerywane słowa:

– Przebaczcie... przebaczcie... nie wiem... Ach! Co za nieszczęście!... Co za nieszczęście! Przebaczcie...

Na ten wybuch żalości, której przyczyny nie pojmowały, a która w takim jak Dagobert człowieku musiała być straszna, siostry objawszy rękami siwą głowę starca, wołać zaczęły głosem przerywanym szlochami:

– Ale spójrz na nas! Powiedz nam, co cię dręczy... To nie my?

Głośnie stąpanie dało się słyszeć na schodach.

W tej chwili rozległo się szczekanie Ponurego, który został za drzwiami.

Im bliżej słyhać było stąpanie, tym pies mocniej szczekał, wreszcie gotów już był rzucić się na nadchodzących, gdyż dał się słyszeć głos rozgniewanego oberżysty:

– A zawołajże tam przecie, hej!... Zawołajcie na swego psa... albo powiedzcie mu, że pan burmistrz idzie...

– Dagobercie... słyszysz... burmistrz? – rzekła Róża.

– Ktoś tu idzie... – dodała Blanka.

Na słowo: burmistrz Dagobert wszystko sobie przypomniał, uzupełniło to obraz okropnego położenia. Koń zdechł, nie ma papierów ani pieniędzy, nie ma możliwości wyruszyć w podróż, a jeden tylko dzień zwłoki pozbawić mógł ostatniej nadziei obie siostry i uczynić bezowocną długą i przykrą podróż.

Ludzie mocnego hartu, a właśnie do takich zaliczał się żołnierz, wołą wielkie niebezpieczeństwo, groźne położenia, ale oczywiście niż owe niepewne udręczenia, zwykle poprzedniczki nieszczęścia...



Dagobert, obdarzony zdrowym rozsądkiem i szlachetnością, rozumiał, że jedyny ratunek był dla niego w sprawiedliwości burmistrza i że wszelkie usiłowania zwrócić mu wypadło na to, aby zdobyć sobie jego przychylność, otarł więc oczy prześcieradłem, leżącym na łóżku, wstał, wyprostował się i rzekł spokojnie do sierot:

– Nie bójcie się... moje dzieci, bądźcie spokojne, to idzie nasz zbawca.

– Chodźże, zawołaj i uwiąż swego psa – krzyczał oberżysta, wstrzymany na schodach szczekaniem Ponurego, który jako czujny stróż ani na krok nie pozwalał mu się zbliżyć. – Ten pies oszalał... Czy nie dosyć już narobiłeś nieszczęścia w tym domu? – Mówię ci, że pan burmistrz ciebie z kolei chce badać, bo już wysłuchał Moroka.

Dagobert przygłaskał ręką siwe włosy i wąsy, zapiął pod szyją swoją oponczę, oczyścił rękawy, aby ile możliwości lepiej wyglądać, sądził bowiem, że los sierot zależeć będzie od jego rozmowy z burmistrzem.

Z biciem serca sięgnął do klamki, powiedziawszy dziewczętom, coraz bardziej strwożonym tyłu zdarzeniami:

– Schowajcie się dobrze w łóżku, moje dzieci... Nikt już tu me wejdzie, chyba, że to będzie burmistrz.

Potem otworzywszy drzwi, wyszedł do sieni i rzekł:

– Leżeć!... Ponury, tu!

Pies usłuchał z wyraźną niechęcią. Jego pan musiał mu dwa razy powtórzyć rozkaz wstrzymania się od wszelkiej napaści przy spotkaniu oberżysty, który z latarnią w jednej a czapkę trzymając w drugiej ręce z uszanowaniem poprzedzał burmistrza. Za tym sędzią, o kilka schodów niżej, widać było przy słabym świetle latarni ciekawe twarze gospodarskiej czeladzi.

## ROZDZIAŁ XIV

### SĄD

Przywoławszy psa do izby, Dagobert zamknął drzwi i wyszedł do sieni, dosyć obszernej dla pomieszczenia kilku osób, w której kącie przy ścianie stała ławka.

Burmistrz, stanąwszy na ostatnim stopniu schodów, zdziwił się, widząc jak Dagobert zamykał drzwi izdebki, do której zdawał się wzbraniać mu wejścia.

– Dlaczego zamykasz te drzwi? – zapytał porywczym tonem.

– Najpierw, że w tej izdebce śpią dwie panienki, poruczone mojej opiece, a potem, że pańskie pytania niepokoiłyby dzieci – odpowiedział Dagobert... – Siadaj pan na ławce i tu pytaj mnie, panie burmistrzu, wszak, zdaje mi się, wszystko ci jedno?

– A jakim to prawem pozwalasz sobie wyznaczać miejsce, w którym mam cię pytać? – zapytał urażony sędzia.

– Och, nie, ja niczego nie wymagam, panie burmistrzu – odrzekł z pośpiechem żołnierz, obawiając się, aby zaraz na wstępie nie zrazić sobie sędziego. – Tylko, ponieważ dziewczęta śpią, zrobiłbyś nam łaskę, gdybyś raczył badać mnie w tym miejscu.

– He... tu – rzekł urzędnik niechętnie. I po to trzeba było wołać mnie w nocy... A więc, niech tak będzie, będę badał waszeci w tym miejscu... Potem, obróciwszy się do oberżysty dodał: Postaw waść latarnię na ławce i zostaw nas samych...

Oberżysta postawił latarnię i odszedł, a za nim jego ludzie, tak jak on niezadowoleni, że nie mogą być obecni przy przesłuchaniu.

Żołnierz został sam z burmistrzem.

Ostatni, owinięty płaszczem, usiadł poważnie na ławce. Był to otyły mężczyzna lat około sześćdziesięciu, czerwony na twarzy, puciołowaty, ponury, tłąstą pięścią często tarł czerwone oczy, nabrzmiałe od nagłego przebudzenia.

Dagobert, stojąc z odkrytą głową w uległej postawie, trzymał swoją starą furazerkę w obu rękach i usiłował wyczytać w pochmurnej fizjonomii sędziego, czy zdoła pozyskać jego przychylność dla siebie, czy raczej dla sierot.

W tej krytycznej chwili biedny żołnierz starał się, o ile możliwości, zachować zimną krew, jak najwięcej zdrowego rozsądku, przytomnej śmiałości; żołnierz, który ze dwadzieścia razy pogardzał śmiercią; żołnierz, który, spokojny i pewny, bo był szczery i doświadczony, nie spuścił oczu przed orlim wzrokiem cesarza, swego bohatera, swego bóstwa... czuł brak śmiałości, drżał przed burmistrzem z miasteczka, przed człowiekiem o posepnej twarzy.

Tak samo jak przed paroma godzinami musiał znosić szyderskie wyzwanie Moroka, byle nie narazić świętego obowiązku, jaki na niego włożyła umierająca matka, lecz wtedy chodziło tylko o ścierpienie osobistej obrazy, kiedy teraz od jego rozmowy z burmistrzem zależeć miał los dwóch sierot!

– Co masz waszeć do powiedzenia... na swoją obronę? – zapytał sędzia.

– Nie muszę się uniewinniać... To ja mam prawo skarżyć – panie burmistrzu – rzekł Dagobert poważnym głosem.

– Czy chcesz mnie uczyć, jakie mam ci stawiać pytania? – odezwał się burmistrz tonem tak ostrym, iż żołnierz pożałował, że tak źle zaczął rozmowę. Chcąc ułagodzić sędziego, rzekł pokornie:

– Przebacz mi, panie, źle się wyraziłem, chciałem tylko powiedzieć, że nie poczuwam się do żadnej winy.

– Morok mówi przeciwnie.

– Morok! – odpowiedział żołnierz powątpiewającym tonem.

– Morok to pobożny i uczciwy człowiek, on nie kłamie!

– Nic na to nie mogę powiedzieć, lecz pan jesteś tak sprawiedliwy i tak dobre masz serce, iż nie obwinisz mnie bez wysłuchania...

Przybierając rolę pochlebcy, Dagobert łagodził, jak mógł, swój gruby głos i starał się nadać surowej twarzy miły i uprzejmy wyraz.

– Taki człowiek jak pan burmistrz – dodał – sędzia tak szanowany... nie będzie słuchał jednym uchem.

– Nie chodzi tu o uszy... ale o oczy, a choć moje świerzbią mnie, jak gdyby poparzone pokrzywami... widziałem jednak rękę pogromcy zwierząt ciężko skaleczoną.

– Tak, panie burmistrzu, to prawda, ale racz pan zauważyć, że gdyby dobrze pozamykał klatki i drzwi, nie byłoby to wszystko nastąpiło...

– Wcale nie, to ty jesteś winien, trzeba było konia mocniej przywiązać do żłobu.

– Słusznie pan mówi, panie burmistrzu, słusznie, bez wątpienia – rzekł żołnierz jeszcze łagodniejszym głosem. – Nie ja, biedny człowiek, mógłbym temu zaprzeczyć, jeżeli go jednak złośliwie odwiązano i wprowadzono do menażerii... wtedy przyzna pan albo przynajmniej przyznać raczysz – poprawił się – że to nie moja wina, ale ja nie mam prawa panu rozkazywać.

– A czemu to miano ci zrobić taką psotę?

– Tego nie wiem, panie burmistrzu, lecz...

– Nie wiesz... To dobrze! I ja też nie wiem – odrzekł burmistrz niecierpliwie. – Oj! Po co tyle gadaniny o głupiego, zdechłego konia!

Twarz żołnierza straciła nagle wyraz wymuszonej łagodności; przybrał surowy ton i odpowiedział poważnym, wzruszonym głosem:

– Mój koń zdechł... to prawda, ale przed godziną, choć stary, był jeszcze rączy i śmiały... i rżał wesoło, gdy usłyszał mój głos... i lizał ręce dwojga biednych dzieci, które po całych

dniach nosił... tak jak niegdyś nosił ich matkę... Teraz już nikt na nim nie będzie jeździć, wyrzucą go na pożarcie psom i skończy się wszystko... Nie ma potrzeby przypominać o tym, panie burmistrzu.

– Pojmuję, że żal ci konia – rzekł burmistrz nieco łagodniej. – Ale w końcu czego chcesz? To przypadek.

– Przypadek... tak, panie burmistrzu, bardzo nieszczęśliwy przypadek. Młode dziewczęta, którym towarzyszę, były za młode do wyruszenia w podróż pieszo, a za ubogie, żeby mogły nająć sobie powóz... Poza tym trzeba nam stanąć w Paryżu przed miesiącem lutym... Kiedy ich matka umierała, przyrzekłem jej, że odprowadzę je do Francji, bo te dzieci prócz mnie nikogo nie mają.

– Jesteś więc ich...

– Jestem ich sługą, panie burmistrzu, a teraz, kiedy mi zabito konia, co mam począć? Racz to pan zauważyć, może i pan masz dzieci?... Gdyby kiedy były w takim położeniu jak moje sieroty, które za cały majątek, za cały ratunek na świecie mają tylko starego żołnierza, który je kocha, starego konia, który je nosił... gdyby, nacierpiawszy się od samego urodzenia, tak nieszczęśliwe, bo moje dziewczęta są córkami wygnańców... szczęście znaleźć miały dopiero na końcu podróży i niechby przez utratę konia dalej odbyć jej nie mogły, powiedz, panie burmistrzu, czyż to nie wzruszyłoby pańskiego serca? Czy nie pojmuje pan, że utrata konia powinna mi być wynagrodzona?

– Zapewne, mój drogi – odrzekł burmistrz, człowiek w gruncie rzeczy dobry, mimowolnie dzieląc wzruszenie Dagoberta. – Pojmuję teraz, jak wielką poniosłeś stratę, a przy tym obchodzą mnie te sieroty. W jakim one są wieku?

– Mają po piętnaście lat, bliźnięta...

– Piętnaście lat, to prawie wiek mojej Fryderyki.

– Masz pan córkę w tym wieku – odpowiedział Dagobert, odzyskując nadzieję – a więc już jestem spokojny o los moich sierot... wymierzysz nam sprawiedliwość...

– Wymierzyć sprawiedliwość to mój obowiązek... ale w tej sprawie winy obu stron są prawie równe; ty źle przywiązałeś swojego konia, zaś pogromca zwierząt zostawił drzwi mezażerii otwarte... On mówi: zostałem zraniony w rękę... ty powiadasz: mój koń zabity, wielce mi żal mojego konia.

– Pan w mojej sprawie mówi lepiej niż ja potrafiłbym mówić, panie burmistrzu. Koń ten był całym moim majątkiem, słusznie więc...

– Nie wątpię – przerwał burmistrz – masz zupełną słuszność... Morok... uczciwy i świątobliwy człowiek, na swój sposób bardzo zręcznie przedstawił rzeczy, a przy tym od dawna już znamy się z sobą. Uczciwie wyznaję ci, że przybyłem tu z myślą...

– Potępić mnie... nieprawdaż, panie burmistrzu? – rzekł Dagobert, coraz bardziej nabierając śmiałości.

– Tak i nie, maskowałem się przed Morokiem, który rzekł mi na to wspaniałomyślnie: „Ponieważ potępiasz pan mego przeciwnika, nie chcę więc nadużywać mego położenia i powiem panu pewne rzeczy...

– Na mnie?

– Tak mi się zdaje, lecz jako wspaniały nieprzyjaciel, zamilkł, gdy mu powiedziałem, że zapewne skazę cię na zapłacenie znacznej kary pieniężnej, nie taję bowiem, że zanim usłyszałem twoje tłumaczenie, postanowiłem zażądać od ciebie, abyś wynagrodził Moroka za ranę...

– Widzisz pan, panie burmistrzu, jak to najsprawiedliwsi ludzie mogą być oszukani – rzekł Dagobert, przybierając pochlebny ton – ale nie pomoże to Morokowi, takiego człowieka jak pan oszukać nie można.

Urzędnik zaczął się uśmiechać, z ojcowską miną potrząsając głową, potem odpowiedział żartobliwie:

– Tak, tak, Morok źle prorokował... nic mu nie zapłacisz, uważam winy obydwóch stron na równe, a krzywdy za dostateczne wynagrodzenie... On został zraniony, a twój koń zabity, więc jesteście kwita.

– A ile, według pańskiego zdania, on będzie mi winien? – zapytał naiwnie żołnierz.

– Jak to?

– Tak, panie burmistrzu, jaką on mi sumę zapłaci?

– Mówisz o pieniądzach?

– Tak, lecz najpierw, nim suma zostanie wyznaczona, wypada mi uprzedzić pana burmistrza o jednej rzeczy; zdaje mi się, że mam prawo domagać się, abym nie musiał wydawać wszystkich pieniędzy na konia... Jestem pewny, że w okolicach Lipska tanio dostanę na wsi konia... A nawet, przyznam się panu, że gdyby mi się zdarzył mały osiołek... nie pogardziłbym nim...

– O jakiej to sumie i o jakim osiołku mówicie? Powiedziałem, że nic nie zapłacicie Morokowi, ale i on wam również nic nie zapłaci.

– On mi nic nie zapłaci?

– Jak widzę, macie głowę słabszą aniżeli myślałem; powtarzam wam, że jeżeli zwierzęta Moroka zadusiły waszego konia, to i Morok został mocno zraniony... Więc kwita... albo, żebyście lepiej zrozumieli, powiadam: wy jemu nic nie jesteście winni i on wam także nic nie winien... Rozumiecie?

Żołnierz, zdumiony, stał przez chwilę nic nie mówiąc, tylko zdjęty głęboką troską, patrzył na burmistrza; zrozumiał, że taki sąd pozbawia go wszelkiej nadziei.

– Ależ, panie burmistrzu – odpowiedział zmienionym głosem – zbyt sprawiedliwy jesteś, abyś nie miał na względzie jednej okoliczności... rana pogromcy zwierząt nie przeszkadza mu trudnić się dalej rzemiosłem... zaś utrata konia pozbawia mnie możliwości udania się w dalszą podróż, wypada więc, aby mnie wynagrodził...

Sędziemu zdawało się, że wiele uczynił dla Dagoberta, gdy go nie pociągnął do odpowiedzialności za ranę Moroka, który, jak przedtem wspomniano, wywierał pewien wpływ na tamtejszych mieszkańców, a zwłaszcza na ich żony, nadto wiadano, że protegują go różne znakomite osoby. Dlatego naleganie żołnierza obraziło burmistrza, który przybrał wyniosły ton i rzekł poważnie:

– Jak widzę, zmuszasz mnie do żałowania mej bezstronności. Jak to? Zamiast dziękować mi, żądasz jeszcze więcej?

– Ależ, panie burmistrzu... to, czego się domagam, słusznie mi się należy... chciałbym być ranny w rękę jak Morok, byle bym mógł dalej ruszyć w podróż.

– Tu nie idzie o to, czego byś chciał lub nie chciał... Dość... dość... mówmy o czym innym... proszę o dokumenty. – Powiem panu...

– Kończmy już... Proszę o dokumenty... Czy chcecie, abym was kazał aresztować jako włóczęgów?

– Mnie? Mnie aresztować?...

– Bo gdybyście nie chcieli oddać mi papierów, to by znaczyło, że ich nie macie... A ludzi, nie mających papierów, zawsze się aresztuje i trzyma aż do decyzji władzy... Pokażcie mi dokumenty, bo spieszę się do domu.

Położenie Dagoberta stawało się tym bardziej przykre, że przez chwilę zwiódła go nadzieja i że w bolesnym odurzeniu, jakiego nabawiła go utrata pieniędzy i pugilaresu, zapomniał o tym groźnym zdarzeniu.

Był to ostatni cios, spotykający jeszcze biednego żołnierza, po tym wszystkim, co już wycierpiał od początku, próba, równie okrutna jak niebezpieczna dla człowieka charakteru, wprawdzie prostego, lecz nieposzlakowanego, prawego, ale cierpkiego, dla człowieka wreszcie, który tyle lat będąc żołnierzem przywykł do bezwzględного sposobu traktowania ludzi niewojсковych.

Na słowo: papiery Dagobert zbladł, usiłował jednak pokryć zakłopotanie pewnym, spokojnym tonem, sądząc, że w ten sposób zjedna sobie zaufanie burmistrza.

– Panie burmistrzu, w kilku słowach wszystko opowiem... Zdarzyć się to może każdemu... wszak nie wyglądam ani na żebraka, ani na włóczęgę, prawda? A zresztą... jeżeli mężczyzna odbywa podróż z dwiema panienkami...

– O czym tu gadać! Papiery!

Na szczęście zjawiała się niespodziewana pomoc.

Sieroty, coraz bardziej niespokojne, słysząc jego głos za drzwiami, wstały i ubrały się, tak że w chwili, gdy burmistrz mówił porywczym głosem:

– O czym tu gadać! Papiery! – Róża i Blanka, trzymając się za ręce, wyszły z izdebki i stanęły w sieni.

Na widok tych dwóch zachwycających istot, których wdzięk podniósł jeszcze ubogi ubiór żałobny, burmistrz powstał zdziwiony.

Z własnego natchnienia, obie siostry, wzięwszy za ręce Dagoberta i przytuliwszy się do niego, patrzyły na burmistrza oczyma zarówno niespokojnymi jak i niewinnymi.

Stary, okazałej postawy żołnierz, przedstawiający swemu sędziemu dwoje niewinnych dzieci, stanowił obraz tak wzruszający, iż burmistrz poczuł mimo woli litość na ten widok; spostrzegł to Dagobert i postąpiwszy nieco, trzymając wciąż sieroty za ręce, rzekł z uczuciem:

– Oto dwie sieroty, panie burmistrzu. Czy to nie najlepszy paszport?

Mówiąc to, skołatany tyłu bolesnymi wrażeniami, Dagobert nie mógł się wstrzymać od łez.

Burmistrz, choć z natury popędliwy i rozdrażniony przebudzeniem z pierwszego snu, poczuł się także wzruszony. Osądził, że człowiek, mający takie towarzyski podróży, zasługuje na zaufanie.

– Biedne dzieci... – rzekł z politowaniem – sieroty tak młode... a z daleka przybyły...

– Z daleka, panie burmistrzu. Już dłużej niż miesiąc jesteśmy w podróży... Czy to nie dość trudów dla dzieci w tym wieku?... Dla nich to żądam łaski i pomocy pana... dla nich, na które spadają dziś wszystkie nieszczęścia, gdyż właśnie w tej chwili, gdy poszedł po papiery... w moim tornistrze nie znalazłem pugilaresu, w którym były pieniądze i krzyż... bo, panie burmistrzu, proszę mi wybaczyć... gdy mu powiem... nie przez chępliwość... ale byłem dekorowany własną ręką cesarza, a człowiek, którego on osobiście ozdobił, przyznasz pan, nie może być lada jakim człowiekiem, mimo że przypadkiem stracił papiery... i pieniądze... Tak, panie burmistrzu... teraz właśnie, szukając w tornistrze... nie znalazłem ani pugilaresu, ani pieniędzy! Oto nasze nieszczęście i dlatego tak się domagałem wynagrodzenia...

– A jakimże to sposobem... gdzieżeś to wszystko stracił?

– Nie wiem, panie burmistrzu, jestem tylko pewny, że przedwczoraj wzięłem trochę pieniędzy z woreczka i że widziałem pugilares, przez dzień wczorajszy wystarczyły mi drobne, którym wymieniłem, i woreczka nie wydobywałem...

– A gdzie był tornister przez wczoraj i dziś?

– W izdebce, gdzie były dzieci, ale tej nocy...

Tu mowę Dagoberta przerwał ktoś idący po schodach.

Był to Morok, który ukrywszy się w ciemnym miejscu przy schodach, podsłuchiwał.

Bał się, aby słabość burmistrza nie zaszkodziła powodzeniu jego planów, których niemal całkiem już dopiął.

## ROZDZIAŁ XV

### WYROK

Morok trzymał rękę na temblaku, wszedłszy wolno po schodach i z uszanowaniem skłonił się burmistrzowi.

Róża i Blanka, przestraszone widokiem twarzy pogromcy zwierząt, cofnęły się i zbliżyły do żołnierza.

Czoło Dagoberta zachmurzyło się, poczuł znowu, jak z gniewu krew w nim burzyć się zaczyna, uważał go bowiem za sprawcę wszystkich swych nieszczęść, choć nawet nie wiedział, że to z namowy Moroka Goliat wykradł mu pugilares z dokumentami.

– Czego chcesz, Moroku? – rzekł burmistrz do pogromcy zwierząt, z miną na pół łagodną, na pół frasobliwą. – Powiedziałem oberżycie, że chcę tu być sam.

– Przychodzę wyświadczyć ci przysługę, panie burmistrzu.

– Przysługę?

– Wielką przysługę, w przeciwnym razie nie byłbym się ośmielił przerywać ci, ale przyszedł mi na myśl pewien skrupuł. Tak jest, panie burmistrzu, miałem sobie do wyrzucenia, żem ci jeszcze nie powiedział wszystkiego o tym człowieku, zdjęła mnie fałszywa litość.

– Więc cóż masz mi do powiedzenia?

Morok zbliżył się do sędziego i dość długo mówił mu coś po cichu.

Najpierw na twarzy burmistrza pojawiło się zdziwienie, potem coraz większa uwaga i nieufność, co chwila odzywał się z wykrzyknikiem zdziwienia i powątpiewania, spoglądając na Dagoberta i sieroty.

Jednakże po jego coraz surowszych i badawczych spojrzeniach można było sądzić, iż słowa Moroka zmieniły powoli przyjazne nastawienie burmistrza dla Dagoberta i dwóch sierot w uczucie gniewu i podejrzenia.

Dagobert spostrzegł tę nagłą zmianę, obawa jego, na chwilę przytłumiona, zaczęła rosnąć.

Róża i Blanka zamilkły, a nie pojmując tej niemej sceny, z udręczeniem spoglądały na żołnierza...

– Do stu katów!... – rzekł burmistrz, zrywając się nagle – To mi na myśl nie przyszło, a gdzie ja miałem głowę? Ależ bo, mój Moroku, gdy kogo wśród nocy obudzą, wtedy człowiek sam nie wie, co myśli, masz słuszność... wielką mi oddałeś przysługę.

– Wprawdzie ja na pewno nie twierdzę...

– Wszystko jedno, tyś przeciw jednemu można postawić, że masz rację.

– Jest to tylko podejrzenie, oparte, na pewnych okolicznościach, jednakże podejrzenie.

– Naprowadza na drogę prawdy... A ja, co jak ptak wpaść miałem w sidła... raz jeszcze ci powtarzam, gdzie ja miałem głowę?...

– Trudno jest nie dać się uwieść pewnym pozorom...

– Do kogóż to mówisz, mój kochany Moroku... do kogo?

Przez cały czas tej rozmowy Dagobert stał jak na mękach, przewidując, że zaraz nastąpi coś strasznego, myślał tylko o tym, aby nie unieść się gniewem, zachować konieczny spokój.

Morok zbliżył się do sędziego i wskazując coś spojrzeniem, znowu zaczął mówić do niego po cichu.

– Ej!... – zawołał burmistrz rozgniewany. – To być nie może.

– Ja niczego z pewnością nie utrzymuję... – odrzekł spieszenie Morok. – Jest to tylko domniemanie, oparte na...

– A właściwie czemu nie? – odpowiedział sędzia, wznosząc ręce do góry. – Ci ludzie zdolni są do wszystkiego, on też mówi, że przybywa z Francji czy z północy, dlaczego nie miałyby to być szereg bezczelnych kłamstw? Ale raz tylko mu się udało, że mógł mnie oszu-

kać – zawołał zagniewanym tonem, gdyż jak ludzie niestałego i słabego charakteru, nie miał litości dla tych, co chcieli go podejść.

– Jednak nie sądz pan porywczo... a nade wszystko nie nadawaj moim słowom większego znaczenia niż mają rzeczywiście – odpowiedział Morok z udanym żalem i pokorą – położenie moje względem tego człowieka (tu wskazał na Dagoberta) na nieszczęście jest tak drażliwe, iż ktoś mógłby przypuszczać, że kieruję się zemstą za wyrządzoną mi krzywdę, ja zaś jestem pewien, że powoduje mną tylko miłość sprawiedliwości i wstręt do kłamstw. Wreszcie... kto dożyje... zobaczymy... Panie, odpuść mi, jeżeli się mylę, w każdym razie sprawiedliwość orzeknie i za miesiąc lub dwa będą wolni, jeżeli są niewinni.

– Wahać się nie ma powodu, jest to tylko krok przezorności, nie umrą przez to. Zresztą, im więcej się nad tym zastanawiam, tym więcej widzę tu prawdopodobieństwa. Tak, panie, on jest szpiegiem francuskim, rewolucjonistą... teraz wszędzie pełno tych ludzi... Niedawno jeszcze wywołali zaburzenia w Frankfurcie nad Menem.

– A wreszcie, panie burmistrzu, dobrze się im tylko przypatrz, a przyznasz, że ten człowiek ma coś niebezpiecznego w twarzy... Widzisz...

Mówiąc to Morok wskazał Dagoberta.

Choć Dagobert starał się zachować panowanie nad sobą, jednak przymus, jaki zadawał sobie od samego przybycia do tej przekłetej oberży, a zwłaszcza od początku tajemniczej rozmowy Moroka z burmistrzem, wyczerpywał już jego siły, widział nadto wyraźnie, że jego usiłowania dla pozyskania sędziego zostały zniweczone nieszczęsnym wpływem pogromcy zwierząt.

Zbliżywszy się więc do Moroka, a brakło mu już cierpliwości, stanął z założonymi rękami na piersiach i rzekł ponurym głosem:

– Jak sądzę, to o mnie mówiłeś po cichu z panem burmistrzem?

– Zgadza się – odrzekł Morok, schyliwszy głowę.

– A dlaczego nie mówiłeś głośno?

Prawie konwulsyjne drganie grubych wąsów Dagoberta, który powiedziawszy te słowa wytrzeszczył oczy na Moroka, wskazywało, że w piersiach jego wrzała gwałtowna walka.

Widząc, że jego przeciwnik zachowuje szydercze milczenie, odezwał się do niego silniejszym, ale powściągliwszym głosem:

– Pytam cię, dlaczego mówisz po cichu do pana burmistrza, skoro idzie o mnie?

– Bo zachodzą tu rzeczy haniebne, które wstyd powiedzieć głośno – wyrzekł Morok z ponurą zuchwałością.

Dagobert aż dotąd trzymał ręce złożone na krzyż.

Nagle rozszerzył je gwałtownie, zacisnąwszy pięści.

Szybkie to poruszenie było tak wyraziste, iż sieroty krzyknęły przestraszone.

– Panie burmistrzu – rzekł Dagobert, zacisnąwszy z gniewu zęby – niech ten człowiek wyjdzie stąd... bo nie rękę za siebie...

– Jak to – rzekł dumnie burmistrz – śmiesz mi rozkazywać?...

– Mówię panu, abys kazał wyjść temu człowiekowi – odpowiedział Dagobert w uniesieniu – bo jeżeli nie, może dojść do nieszczęścia!

– O! Boże!... Dagobercie, uspokój się – wołały dzieci, chwytając go za ręce.

– I ty, podły włóczęgo, będziesz tu rozkazywał? – zawołał rozjątrzony burmistrz. – Acha, sądzisz, że dla oszukania mnie wystarczy powiedzieć, że zgubiłeś papiery! Myślisz, że dość jest wlec z sobą te dwie dziewczyny, które mimo ich niewinnej powierzchowności... mogą być...

– Milcz! – rzekł Dagobert, przerywając burmistrzowi z takim poruszeniem i spojrzeniem, iż sędzia nie śmiał dokończyć.

Wtedy żołnierz wziął dzieci za ręce i bez słowa wprowadził je do izdebki, potem, zamknawszy drzwi i włożywszy klucz do kieszeni, wrócił do burmistrza, który przestraszony groźną postawą żołnierza, cofnął się i chwycił poręczy schodów.

– Słuchaj no, ty – rzekł żołnierz, chwyciwszy sędziego za barki i patrząc mu w oczy. – Przed chwilą ten nędznik naigrawał się ze mnie... wszystko zniosłem, bo mnie to dotyczyło... Ale ty ośmielasz się krzywdzić córki mojego generała, córki marszałka i księcia de Ligny.. to ja ciebie nauczę...

Słyszając to Morok mało nie podskoczył z radości.

Istotnie, Dagobert, rozjątrzony, widząc, że wszystko stracone, nie hamował już swojego gniewu, z trudnością tłumionego od kilku godzin.

Burmistrz z największym zdziwieniem obejrzał się na Moroka, jak gdyby nie mógł uwierzyć temu, co zaszło.

Dagobert, żałując swego uniesienia, ale już gotów na wszystko, żywo spojrzął wokół siebie i cofając się kilka kroków stanął na pierwszym stopniu schodów.

Burmistrz stał przy ławce w kącie sieni, Morok tuż przy nim. Zmylony ruchem żołnierza, sądząc, że Dagobert chce uciekać, zawołał:

– Acha! Myślisz, że się wymkniesz, ośmieliwszy podnieść rękę na mnie... Nędzniku!

– Panie burmistrzu, miej litość nade mną... zlituj się... Nie mogłem się oprzeć uniesieniu, żałuję tego – rzekł Dagobert pokornie schylając głowę.

– Nędzniku! Żadnej litości dla ciebie... zgaduję twoje skryte zamiary... Nie jesteś tym, za kogo się podajesz, w tym wszystkim ukrywać się może zbrodnia stanu. Ludzie, chcący zakłócić spokój, gotowi są na wszystko.

– Nie wierz w to, panie burmistrzu... jestem biedak... i nic więcej...

– Dobrze, dobrze, wszystko się wyjaśni w więzieniu – odpowiedział burmistrz.

– A ty – dodał żołnierz, zwracając się do Moroka – ty, co jesteś sprawcą wszystkiego... przemów przynajmniej choć słowo za mną do pana burmistrza.

– Powiedziałem... co miałem do powiedzenia – odrzekł Morok ironicznie.

– Acha! Wstyd ci teraz, stary włóczęgo... Myślałeś, że mnie oszukasz twymi jeremiadami – rzekł burmistrz, podchodząc do Dagoberta – ale znam cię ptaszku... zobaczysz, że w Lipsku są dobre więzienia dla francuskich wichrzycieli i dla awanturnicznych nierządnic, bo te twoje panienki nie są lepsze od ciebie... Chodź no ze mną... a ty, Moroku, idź...

Nie dokończył.

Od kilku chwil, chcąc zyskać na czasie, nieznacznie oglądając się na prawo i lewo, spostrzegł drzwi na wpół otwarte, naprzeciw izdebki dziewcząt wychodzące do sieni. Wpadłszy szybko na burmistrza, chwycił go za szyję i tak silnie rzucił nim w drzwi, iż ten, osłupiały niespodziewanym napadem, potoczył się w głąb ciemnej izby.

Potem, zwróciwszy się do Moroka, który widząc wolne schody, śpieszył w ich stronę, pochwycił go za długą czuprynę, przyciągnął do siebie i zatkawszy mu gębę, aby nie mógł krzyczeć, pomimo silnego oporu, wepchnął go do tejże izby, gdzie leżał już potłuczony burmistrz.

Zamknawszy drzwi na dwa spusty i włożywszy klucz do kieszeni, Dagobert, w paru susach, już był na dole schodów, prowadzących na korytarz od dziedzińca.

Deszcz lał potężnie, żołnierz widział przez okno w izbie na dole, gdzie się paliło na kominię, oberżystę i jego ludzi, czekających na wyrok burmistrza. Zamknąć drzwi do korytarza i tym sposobem przecięć dostęp z dziedzińca było dla żołnierza dziełem jednej minuty, po czym wrócił spiesźnie do sierot.

Morok, odzyskawszy przytomność, krzyczał, lecz szum wiatru i deszczu zagłuszył go.

Dagobert zapewnił więc sobie z godzinę czasu, gdyż nieprędko mogło komuś przyjść na myśl, że rozmowa z burmistrzem za długo się ciągnie, a choćby podejrzenie lub obawa nakłoniły go do zobaczenia, co się dzieje, musiałyby wyłamać dwoje drzwi, to jest zamykające korytarz od schodów i drugie do izby, w której byli zamknięci burmistrz i Morok.



– Moje dzieci, trzeba dowieść, że w waszych żyłach płynie żołnierska krew – rzekł Dagobert, wpadłszy nagle do dziewcząt, przestraszonych hałasem, który słyszały.

– Ach, mój Boże! Dagobercie? Co się stało? – zawołała Blanka.

– Więc co mamy robić? – spytała Róża.

Żołnierz, nic nie mówiąc, skoczył do łóżka, wyciągnął prześcieradła, mocno je związał, na jednym końcu zrobił duży węzeł i przywiązał go do ramy okna, a drugi spuścił za okno.

Wtedy wziął tornister, walizę dziewcząt, futro reniferowe, wyrzucił wszystko oknem, dając znak Ponuremu, aby wyskoczywszy, stanął za oknem na straży. Pies nie wahał się, skoczył i już był na dole.

Róża i Blanka, zdumione, patrzyły na Dagoberta bez słowa.

– Dalej teraz, moje dzieci – rzekł – trzeba uciekać tędy, bo inaczej zatrzymają nas i wsadzą do więzienia... was osobno... mnie osobno... i po naszej podróży!

– Zatrzymają nas... wsadzą do więzienia!... – zawołała Róża.

– Mamy być odłączone od ciebie? – dodała Blanka.

– Tak, moje dzieci, zabito nam Jowialnego... Musimy uciekać pieszo i starać się, o ile można, dostać do Lipska... Będę was niósł po kolei, gdy się zmęczycie i choćby mi zebrać przyszło po drodze, dojdziemy... Ale wszystko stracone, jeżeli się spóźnimy choć kwadrans... Dalej, moje dzieci, ufajcie mi... Pokażcie, że córkom generała Simona nie braknie odwagi... jeszcze nie traćmy nadziei.

Idąc za mimowolnym popędem, siostry ujęły się za ręce, jak gdyby chciały się zjednoczyć przeciwko niebezpieczeństwu, na ich pobladłych twarzyczkach malowało się naiwne postanowienie, polegające na zupełnej ufności w żołnierzu.

– Bądź spokojny, Dagobercie... me będziemy się bały – rzekła Róża silnym głosem.

– Zrobimy, co będzie trzeba – dodała Blanka nie mniej pewnym tonem.

– Byłem tego pewien – zawołał Dagobert – dobra krew zawieść nie może... dalej w drogę! Jesteście lekkie jak piórka, prześcieradło jest mocne, ledwie osiem stóp od okna do ziemi... A Ponury na was czeka...

– Ja pójdę pierwsza, ja dziś jestem starsza – zawołała Róża.

I pobiegła do okna, chcąc opuścić się pierwsza i w razie niebezpieczeństwa gotowa zasłonić sobą Blankę.

– Tak, ale jest już. po północy – odrzekła Blanka, która miała te same myśli – więc na mnie przypada kolej, prawda, Dagobercie?

Ten łatwo pojął przyczynę takiego współzawodnictwa.

– Kochane dzieci – rzekł – rozumiem was, ale nie bójcie się o siebie, nie ma żadnego niebezpieczeństwa... sam związałem prześcieradła... prędeż, Różo.

Lekka jak ptak dziewczyna stanęła na oknie, potem, przytrzymana przez Dagoberta, chwyciła się prześcieradła i zsuwała się powoli.

– Nie bój się... nie bój, siostro – rzekła cicho, stanąwszy na ziemi – bardzo łatwo opuścić się. Ponury jest tutaj i liże mi ręce...

Blanka nie dała czekać na siebie, równie odważna jak siostra, także szczęśliwie zsunęła się na ziemię.

– Biedne dzieci, cóż one zawiniły, ażeby być tak dręczone? Nieszczęsny jakiś los uwziął się na tę rodzinę – myślał Dagobert, mając ściśnięte bólem serce, gdy widział miłą twarz młodej dziewczyny, niknącą w pomroce nocy, tym przykrzejszej z powodu gwałtownego wiatru i ulewnego deszczu.

– Dagobercie, czekamy na ciebie, chodź prędko – mówiły z cicha sieroty, stojąc pod oknem.

Dzięki wysokiemu wzrostowi żołnierz zeskoczył raczej niż zsunął się na ziemię.

Zaledwie kwadrans upłynął od chwili, kiedy Dagobert z dziewczętami opuścił w ucieczce oberżę Pod Białym Sokołem, gdy wielki trzask rozległ się w domu.

Morok i burmistrz wspólnymi siłami, za taran używszy stołu, gwałtownym uderzeniem wyłamali drzwi więzienia; widząc światło, wbiegli do izdebki sierot, już pustej.

Ujrawszy prześcieradło za oknem, Morok wykrzyknął:

– Panie burmistrzu!... Patrz... tędy uciekli... przy tak ciemnej i burzliwej nocy nie mogli daleko zajść.

– Bez wątpienia... złapiemy ich... nikczemne włóczęgi... Oj! Zemszczę się... Prędezej, Moroku... idzie tu o twój i mój honor...

– O, bardziej tu idzie o mnie, panie burmistrzu – odpowiedział Morok gniewnym głosem, potem, szybko zbiegając po schodach, otworzył drzwi na dziedziniec i zawołał na całe gardło:

– Goliat! Spuść psy z łańcucha... Gospodarzu, latarni, pochodni... Uzbróćcie się, ludzie... W pogoń za zbiegami, nie mogą nam się wymknąć, trzeba ich dostać... żywych lub umarłych!

## Część druga

### ULICA URSYNÓW

#### ROZDZIAŁ I

#### DONIESIENIA

General Jensten mówił do księcia de Brissac: „Z tej celi rządę nie tylko Paryżem, ale i Chinami, nie tylko Chinami, ale i całym światem, a nikt nie wie, jakim sposobem?”.

Morok, pogromca zwierząt, widząc, jak Dagobert pozbawiony został konia, papierów i pieniędzy i sądząc, że już nie będzie mógł dalej podróżować, jeszcze przed przybyciem burmistrza wysłał Karola do Lipska z listem na pocztę.

Adres listu, jak wcześniej wspomniano, był następujący:

A Monsieur Rodin, rue du Milieu des Ursins à Paris.

Na tej ulicy, mało wtedy znanej, poniżej poziomu ulicy Napoleona, stał skromnej powierzchni dom w głębi małego, ponurego dziedzińca, zasłonięty od ulicy małą budowlą z facjată.

Wnętrze domu odznaczało się wielką prostotą, jak można było wnosić z umeblowania obszernej sali na dole. Stare, na perłowy kolor pomalowane boazerie okrywały ściany, posadzka z tafli, malowana na czerwono, była starannie wywoskowana, firanki z białego perkaliku zasłaniały okna, na kamiennym kominku stał zegar w oprawie z hebanu, a przy nim dwa brązowe lichtarze. Naprzeciw kominka widniał ogromny, mający cztery stopy średnicy globus na dębowej podstawie.

Na tym globusie umieszczono mnóstwo małych czerwonych punkcików, rozrzuconych po wszystkich częściach świata, od północy do południa, od wschodu do zachodu; zaczynając od krajów najdzikszych, najodleglejszych wysp, aż do krajów najbardziej cywilizowanych, do Francji, każda okolica w wielu miejscach. oznaczona była czerwonymi kropkami, stanowiącymi, jak się zdaje, jakieś znaki.

Przed czarnym drewnianym stołem, niedaleko kominka, stało puste krzesło, dalej, między oknami, wielkie orzechowe biurko, a nad nim półki, pełne papierów.

Przy biurku siedział jakiś człowiek i pisał. Było to w końcu października 1831 roku.

Był to Rodin, ten sam, któremu Morok przesłał wiadomość, skoro udało mu się ogołocić Dagoberta i jego sieroty z konia papierów i pieniędzy.

Miał około pięćdziesięciu lat, ubrany był w stary surdut oliwkowego koloru, wytarty, z załuszczonego kołnierzem, przy szyi miał zatabaczoną chustkę do nosa; nosił kamizelkę i czarne pantalone; nogi obute w wielkie, tłuszczem wysmarowane trzewiki, opierały się na wyfroterowanej posadzce.

Siwe włosy, gładko przylegające do skroni, wieńczyły łyse czoło; górne powieki, obwisłe jak błonki okrywające ślepią ptaków i gadów, zasłaniały do połowy czarne, żywe oczy; wargi cienkie, bez najmniejszego zabarwienia, były takiegoż koloru jak wybladła, chuda twarz, spiczasty nos i broda. Ta śniada maska wyglądała tym dziwniej, że była jak posąg nieruchoma; gdyby nie szybkie ruchy palców Rodina, który, zgarbiony nad biurkiem, drapał piórem po papierze, sądzić można by, że to trup. Za pomocą cyfr sekretnego alfabetu leżącego przed nim przepisywał niektóre ustępy z długiego arkusza rękopisu.

Wśród głębokiego milczenia, w ów pośepny dzień, kiedy obszerny, pusty i zimny pokój wyglądał jeszcze smutniej, człowiek ten, o powierzchowności mrożącej jak lód i piszący przy pomocy tajnych znaków, przedstawiał widok jeszcze bardziej złowróżbny.

Wybiła godzina ósma, przy furtce dało się słyszeć kołatanie, potem dwukrotnie odezwał się głos dzwonka, kilkoro drzwi otworzyło się i przymknęło i do pokoju weszła nowa osoba.

Na jej widok Rodin wstał, włożył pióro w usta, złożył głęboki ukłon i znowu wrócił do swej pracy, nie rzekłszy słowa.

Dwie te osoby pod względem powierzchowności stanowiły zupełną sprzeczność.

Przybysz był nader przystojny, wysokiego wzrostu, postawy okazałej i eleganckiej.

Zdawało się, że ma najwyżej trzydzieści sześć lat, trudno było wytrzymać blask jego wielkiej, szarej, świecącej jak polerowana stal źrenicy; wystająca broda była starannie wygolona, błękitnawy cień w miejscach świeżo ogolonych wyraźnie odbijał od żywego rumieńca ust i pięknych białych zębów.

Gdy zdjął kapelusz, zanim włożył leżącą na stolicku aksamitną czapeczkę, widać było kasztanowate włosy, których wiek jeszcze nie posrebrzył. Miał na sobie długi surdut, zapięty po wojskowemu aż pod szyję.

Bystre wejrzenie tego człowieka, wysokie czoło, znamionowały niepospolity umysł, szerokie, wydatne piersi i barki wskazywały na silną budowę ciała, wreszcie okazały wzrost, postawa, staranny ubiór, przyjemny zapach, rozchodzący się z głowy i całego ubrania, wdzięk i łatwość poruszania oznaczały człowieka światowego i kazały się domyślać, że albo już był, albo mógł się niebawem znaleźć na drodze wielkiej kariery.

Rodin nie przestawał pisać.

– Czy są listy z Dunkierki, Rodin? – spytał jego pryncypał.

– Agent jeszcze nie przybył.

– Chociaż nie mam powodu być niespokojnym o zdrowie mej matki, gdyż niebezpieczeństwo już minęło – odpowiedział pytający – bardzo pragnę upewnić się co do jej stanu... spodziewam się jednak dziś z rana dobrych wiadomości...

– Życzyć należy – odrzekł sekretarz, równie uniżony, równie pokorny jak lakoniczny i zimny.

– Tak, życzyć należy – odparł jego zwierzchnik – gdyż jednym z najlepszych dni w moim życiu był ten, kiedy księżna Saint-Dizier napisała do mnie, że ta choroba równie nagła jak niebezpieczna, musiała ustąpić dzięki troskliwym staraniom, jakie miano przy mojej matce... dzięki tej zacnej przyjaciółce, gdyby nie to, miałem już jechać... chociaż moja obecność tutaj jest bardzo potrzebna.

Potem, zbliżając się do biurka sekretarza, dodał:

– Czy została już przejrzana korespondencja zagraniczna?  
– Oto notatki z niej...  
– Czy wszystkie listy przysły na wskazany adres... i czy je tu przyniesiono tak, jak kazałem?

– Tak, wszystkie...

– Proszę mi przeczytać treść korespondencji zagranicznej – rzekł pryncypał, zaczynając przechadzać się to wzdłuż, to wszerz pokoju, ręce założywszy do tyłu i dyktując, w miarę potrzeby, uwagi, które Rodin pilnie notował.

Sekretarz wziął gruby plik papierów i czytał, co następuje:

– Don Ramon Olivarez donosi z Kadyksu, że odebrał list nr 19 i zastosuje się do niego.

– Dobrze... ad acta.

– W Filadelfii odebrano ostatni ładunek egzemplarzy poprawionej Historii Francji, żądają więcej.

– Zanotować, napisać o tym do Duplessisa.

– Pan Blondel przesyła z Namur raport sekretny o panu Ardonin.

– Zanotować.

– Pan Ardonin przesyła z tegoż miasta tajemny raport o panu Blondel.

– Zapisać.

– Pułkownik Von Ostadt, z tegoż miasta, przesyła poufną wiadomość o p. p. Ardonin i Blondel.

– Do porównania... Dalej...

– Pierret Bachanal, dziewczyna z tegoż miasta, uzupełnia wiadomości żądane o pułkowniku Von Ostadt.

– Zanotować...

– Hrabia Malipiri z Turynu donosi, że legat 300.000 franków na naszą korzyść został podpisany.

– Uprzedzić o tym Duplessisa, potem...

– Don Stanisław odjechał do wód w Baden z księżną Marią Ernestyną. Donosi, że mile przyjmie nadesłane wiadomości i sam na nie odpisze.

– Zanotować to... ja sam napiszę do księżnej Marii.

Podczas, gdy Rodin zapisywał uwagi na marginesie papieru, który trzymał, jego pan nie przestawał przechadzać się po pokoju, stanął naprzeciw wielkiego, oznaczonego czerwonymi kropkami globusu, zatrzymał się przed nim na chwilę i spoglądał nań w zamyśleniu.

Rodin czytał dalej:

– Wnosząc z usposobienia umysłów w niektórych krajach włoskich, ojciec Orsini pisze z Mediolanu, że byłoby z pożytkiem puścić tam w obieg książeczkę, w której by nasi ziomkowie Francuzi opisani byli jako bezbożnicy, rozpustnicy i krwawi łupieżcy.

– Dobra myśl, trzeba polecić Jakubowi Dumolin napisanie takiej książeczki. Ten człowiek składa się z żółci i trucizny, pisemko będzie okropne... ja udzielę niektórych uwag... tylko nie dawać mu pieniędzy, dopóki nie złoży rękopisu.

– Ma się rozumieć... Gdyby mu dano pieniądze z góry, piłby cały tydzień. To się już zdarzało, trzeba mu było dwa razy zapłacić za jego straszną napaść na panteistyczną dążność prelekcji profesora Martin.

– Zanotuj i czytaj dalej.

– Negocjant donosi, że komisant ma wysłać bankiera, by zdał rachunek, komu należy...

Rodin wymówił te słowa z jakimś dziwnym akcentem i zapytał:

– Wszak pan rozumie?

– Rozumiem – odparł tenże, drgnąwszy – to są umówione zwroty.

– Lecz komisanta wstrzymały jakieś skrupuły.

Na twarzy pana ukazał się wyraz przykrego, niemiłego uczucia. Po chwili milczenia rzekł:

– Działać na jego wyobraźnię milczeniem i samotnością.

– Pani Betty Sydney pisze z Drezna, że oczekuje instrukcji. Gwałtowne sceny zawiści znowu zaszły między ojcem a synem z jej powodu, lecz w tym nowym objawie wzajemnej nienawiści, w tych poufnych zwierzeniach, które jej obaj rywale jeden na drugiego uczynili, pani Sydney nie spostrzegła jeszcze niczego, mającego związek z żądanymi od niej wiadomościami. Dotąd jeszcze mogła uniknąć przechylenia się na stronę jednego lub drugiego... jeżeli jednak taki stan rzeczy potrwa dłużej... obawia się obudzić ich podejrzenia. Którego ma poświęcić?

– Ojca... Gniew starca będzie gwałtowniejszy i wtedy przez zemstę za wyróżnienie syna może wyjawi to, na ukrywaniu czego obydwu tak zależy...

– Od trzech lat dwie służące Ambrozjusza, umieszczonego w małej parafii Gór Walezyjskich, zniknęły... i nie wiadomo, co się z nimi stało. Teraz trzecią spotkał ten sam los... Tamtejsi protestanci oburzają się, mówią o morderstwie... o przerażających okolicznościach.

– Aż do powzięcia pewnych poszlak o tym zdarzeniu bronić Amibrozjusza przeciwko tym haniebnym potwarzom partii, co zawsze gotowa jest rozsiewać najdziwniejsze domysły... Dalej.

– Thompsonowi z Liverpoolu udało się umieścić Justyna jako godnego zaufania człowieka u lorda Stewarta, który coraz bardziej słabnie na umyśle.

– Skoro się rzecz potwierdzi, pięćdziesiąt luidorów gratyfikacji dla Thompsona. Zanotować to dla Duplessisa. Czytaj dalej.

– Frank Dinkenstein z Wiednia donosi, że jego ojciec zmarł na cholere, w małej wiosce blisko miasta...

Ta zaraza posuwa się od północy, coraz bardziej naprzód.

– Tak, to prawda, daj Boże, żeby tylko nie dostała się do Francji.

– Frank Dinkenstein – czytał dalej Rodin – pisze, że jego bracia chcą domagać się unieważnienia testamentu, w którym stary cały swój majątek zapisał na rzecz naszego zakonu; sam Frank nie zgadza się na to.

– Rozmówić się z naszymi adwokatami... Dalej.

– Kardynał książę d'Amalfi zastosuje się do trzech pierwszych punktów memoriału. Żąda, aby mu wolno było uczynić zastrzeżenia co do czwartego.

– Żadnych zastrzeżeń... zupełna, bezwarunkowa akceptacja. Jeżeli nie, wojna, rozumiesz i zanotuj: zacięta wojna, bez litości ani dla niego, ani dla jego popleczników... Co jeszcze?

– Fra Paolo oznajmia, że buntownik Boccari z rozpaczy, że przyjaciele obwiniają go o zdradę wskutek podejrzeń, jakie on, Fra Paolo, zasiał zręcznie w ich umysłach, odebrał sobie życie.

– Boccari!! Czy to być może!... Boccari...

– Tak, Boccari... – powtórzył ciągle zimny Rodin.

– Powiedzieć Duplessisowi, aby posłał przekaz na wypłacenia dwudziestu pięciu luidorów Fra Paolowi... Zanotować to!

– Hausman donosi, że francuska tancerka Albertyna Ducornet jest ulubienicą księcia regenta, ma nań zupełny wpływ, ale nad tą Albertyna ma władzę jej kochanek, który był skazany na galery za fałszerstwa, ona nie robi nic bez jego rady...

– Kazać Hausmanowi, aby się porozumiał z tym człowiekiem; jeżeli żądania jego będą słuszne, zgodzić się na nie, nadto dowiedzieć się, czy ta panna nie ma jakichś krewnych w Paryżu.

– Książę Orbano donosi, że udzielone będzie pozwolenie na założenie nowego instytutu, ale pod warunkami poprzednio podanymi.

– Żadnych warunków, zupełne zezwolenie lub odmowa... Tak się poznaje przyjaciół lub wrogów... Im bardziej nieprzyjazne wydają się okoliczności... Tym większą trzeba okazać stałość pewnością siebie nakazać poszanowanie.

– Pisze również, że Anglia wszelkimi siłami popiera żądania ojca owej protestanckiej panny, która schroniła się do klasztoru w Madrycie i tylko wtedy chce wyjść z niego, kiedy będzie mogła zaślubić swego kochanka, wbrew woli ojca.

– Anglia go popiera?

– Tak i to bardzo usilnie.

W tej chwili dał się słyszeć dzwonek u furtki.

– Zobacz, kto to jest – polecił zwierzchnik Rodina.

Ten wstał i wyszedł.

Pan jego nie przestawał przechadzać się zamyślony od jednej do drugiej końcówki pokoju. Przechodząc koło ogromnego globusa, zatrzymał się znowu.

W głębokim milczeniu przypatrywał się czerwonym punkcikom, które jak siatka zdawały się okrywać całą kulę ziemską.

Myślał pewnie o niewidzialnym a strasznym działaniu swej władzy, która zdawała się rozciągać na cały świat. Rysy twarzy tego człowieka ożywiły się, jego męska, duża twarz przybrała niewymowny wyraz energii, wyniosłości i pychy; z dumnym czołem, z wydętymi pogardliwie wargami zbliżył się do globusa i silną ręką oparł na biegunie.

Patrząc na to silne przyciśnięcie, na to dumne poruszenie rzekłbyś, że ten człowiek był pewny swego panowania nad globem któremu się przypatrywał z całej wysokości swego wzrostu, na którym oparł rękę w postawie tak wyniosłej, tak zarozumiałej i samowładnej.

I teraz już się nie uśmiechał.

Jego szerokie czoło zachmurzyło się, a wzrok przybrał groźny ton. Artysta, chcący odmalować szatana chytrości, wyniosłości i pychy, piekielnego ducha o niepohamowanej chęci panowania, nie mógłby znaleźć lepszego wzoru.

Gdy Rodin wrócił, twarz jego zwierzchnika przybrała zwykły wyraz.

– To agent – rzekł Rodin, pokazując pięć listów, które trzymał w ręku – nic nie ma z Dunkierki.

– Nic... – krzyknął jego zwierzchnik z żalnym wzruszeniem, które wydawało się dziwne w porównaniu z wyrazem dumy i pogardliwej pychy, które dopiero co malowały się na jego twarzy. – Nic!... Żadnej wiadomości od matki... jeszcze dwadzieścia cztery godziny udręki.

– Zdaje mi się, że księżna nie miała złych wiadomości, bo inaczej byłaby napisała, tak się wypada domyślać...

– Bez wątplenia, masz słuszość, Rodin, ale mimo wszystko... jestem niespokojny...

Po chwili dodał:

– Ale... zobacz te listy, skąd one są? O czym donoszą?

Rodin, obejrawszy pieczętki, rzekł:

– Z pięciu trzy dotyczą ważnej, wielkiej sprawy medalionów...

– Dzięki Bogu... byle tylko zawierały pomysły nowiny – zawołał pryncypał z wyrazem niecierpliwości i ciekawości, z czego można było sądzić, jak wielkiej wagi była dla niego ta sprawa.

– Jeden jest z Charlestown, pewnie dotyczy misjonarza Gabriela – odpowiedział – drugi z Batawii, pewno o Hindusie Dżalmie, który po śmierci ojca udał się na Jawę.

Ten jest z Lipska. Niezawodnie jest w nim potwierdzenie wiadomości, odebranych wczoraj od Moroka, w których zawiadomił, że stosownie do otrzymanych poleceń córki generała Simona nie mogą dalej odbywać podróży, a jego nikt nie podejrzewa.

Na wzmiankę o generale Simonie twarz pryncypała Rodina przybrała wyraz niezadowolenia.

## ROZDZIAŁ II

### ROZKAZY

Przewyciężywszy mimowolne wzburzenie, jakie wywarło na nim nazwisko generała Simona, pryncypał zwrócił się do Rodina:

– Nie otwieraj jeszcze tych listów z Lipska, z Charlestown i Batawii. Bez wątpienia zawarte w nich wiadomości zaraz wskażą, jaki z nich trzeba zrobić użytek.

Sekretarz patrzył na swego zwierzchnika pytającym wzrokiem.

Ten zaś rzekł:

– Czy skończyłeś notatki, dotyczące medalionów?

– Oto są...

– Przeczytaj, a w miarę potrzeby dodasz nowe szczegóły, które znajdziesz w tych trzech listach.

– Tak – odparł Rodin – będzie to dokładniejsze.

– Zobaczę – podchwycił pan – czy wiadomości są jasne i czy rzecz została należycie przedstawiona. Czy nie zapomniałeś, iż osoba, która ma się tym zająć, nie powinna wiedzieć o wszystkim?

– Pamiętam o tym i odpowiednio opracowałem notatki...

– Czytaj.

Rodin czytał, co następuje, z wielką powagą i powoli:

„Sto pięćdziesiąt lat temu pewna rodzina francuska opuściła dobrowolnie kraj, przewidując mające nastąpić odwołanie edyktu nantejskiego i w zamiarze uniknięcia surowych edyktów przeciw hugonotom. Z członków tej rodziny jedni wynieśli się do Holandii, potem do kolonii holenderskich, inni do Polski, inni do Niemiec, do Anglii i do Ameryki. Według pewnych wiadomości, przy życiu pozostaje dziś tylko siedmiu członków tej rodziny, która przeszła różne ciężkie koleje losu, gdyż jej przedstawiciele znajdują się dziś prawie na wszystkich szczeblach społecznych, począwszy od panującego a kończąc na rzemieślniku.

Ci potomkowie w prostych lub bocznych liniach to:

Ród macierzysty:

Róża i Blanka Simon, małoletnie. Generał Simon zaślubił w Warszawie pannę, pochodzącą z rzeczonej rodziny.

Franciszek Hardy, przemysłowiec w Plessis, pod Paryżem.

Księżę Dżalma, syn Kadia-Singa, króla Mondy, który zaślubił był 1802 roku dziewicę z tejże rodziny, osiadłej wtedy w Batawii (wyspa Jawa), posiadłości holenderskiej.

Ród ojcowski:

Jakub Rennepont – zwany Leżynago, rzemieślnik.

Adrianna de Cardoville, córka hrabiego de Cardoville.

Gabriel Rennepont, ksiądz misji zagranicznej.

Każdy z członków tej rodziny ma a przynajmniej mieć powinien, medalion brązowy, na którym jest następujący napis:



Ofiara  
L. C. D. J.  
  
Módlcie się za mnie  
  
Paryż  
dnia 13 lutego  
1682

W  
Paryżu  
ulica Św. Franciszka Nr 3  
będziecie  
po upływie półtora wieku  
dnia 13 lutego  
1832  
Módlcie się za mnie.

Daty te dowodzą, że każdemu z nich niezmiernie zależy na tym, aby znajdował się w Paryżu 13 lutego 1832 roku, na umówionym spotkaniu i nie przez zastępcę ani pełnomocnika, ale osobiście, czy będzie pełnoletni lub małoletni, żonaty lub bezżenny.

Innym jednak osobom niezmiernie zależy na tym, aby nikt z potomków tej rodziny nie znajdował się w Paryżu 13 lutego... wyjąwszy Gabriela Rennepont, księdza misji zagranicznej.

Trzeba więc, żeby tylko on jeden znajdował się na tym spotkaniu wyznaczonym potomkom tej rodziny przed półtora wiekiem.

Dla uniemożliwienia sześciu pozostałym przybycia do Paryża na oznaczony dzień lub dla sparaliżowania ich obecności, już wiele przedsięwzięliśmy, ale wiele jeszcze pozostaje uczynić, aby być pewnym powodzenia w tej sprawie, najważniejszej w dzisiejszej epoce, z powodu spodziewanych rezultatów”.

– To aż nadto wielka prawda – rzekł zwierzchnik Rodina, przerywając mu i kiwając głową – dodaj jeszcze, że osiągnięcie pomyślnych skutków jest konieczne i że ani można myśleć o niepowodzeniu... Słowem, idzie tu niemal o być lub nie być przez wiele lat. Dla osiągnięcia tego celu użyć należy wszelkich środków, nie bać się żadnego... ale działać trzeba tak, ażeby nie ściągnąć na siebie podejrzania.

– Napisało – rzekł Rodin, dopisawszy słowa, które mu jego pryncypał podyktował.

– Czytaj dalej...

„Aby ułatwić lub zapewnić powodzenie w tej sprawie, pożyteczną będzie rzeczą poznać niektóre ważniejsze szczegóły i tajemnice dotyczące siedmiu osób, składających się na tę rodzinę”.

Ręczyć możemy za prawdziwość tych szczegółów, a w potrzebie uzupełnić je nawet w najmniejszych drobnostkach, gdyby zachodziły jakieś sprzeczności.

Kolejno mówić będziemy o osobach, o faktach już dokonanych.

„Nota Nr I.

Róża i Blanka Simon.

Siostry, bliźnięta, lat około piętnastu. Ładne i tak do siebie podobne, iż obie można by uważać za jedną – charakteru łagodnego, bojaźliwego, ale skłonne do uniesień, wychowane w Polsce, przez matkę. Generał Simon, rozłączywszy się z żoną, zanim jeszcze na świat przyszły, nie wie, że ma dwie córki.

Uznano za najlepszy środek dla przeszkodzenia ich bytności w Paryżu 13 lutego, wysłać ich matkę w dalekie kraje, lecz gdy umarła, ludzie, posiadający nasze zaufanie, przez nieśczęsną pomyłkę, mniemając, iż zależało nam tylko na żonie generała Simona, pozwolili młodemu dziewczętom powrócić do Francji pod opieką dawnego żołnierza. Ten żołnierz jest przedsiębiorczy, wierny, śmiały i notowany jako bardzo niebezpieczny.

Panny Simon nie są szkodliwe. Według wszelkiego prawdopodobieństwa sądzić można, że w tej chwili są zatrzymane w okolicach Lipska”.

Zwierzchnik Rodina, przerywając mu, rzekł:

– Czytaj ten list z Lipska, dopiero co odebrany, a będziesz mógł uzupełnić wiadomości.

Rodin przeczytał list i dodał:

– Wyborna wiadomość, dziewczęta i ich przewodnik zdołały wymknąć się w nocy z obozu Pod Białym Sokołem, ale wszyscy troje zostali dopędzeni i schwytani o milę od Mockern; przyprawiono ich do Lipska i uwięziono jako włóczęgi, a nadto żołnierz, który im służył za przewodnika, oskarżony został o opór miejscowej władzy, obelgi czynne i uwięzienie burmistrza.

– A więc biorąc pod uwagę przewlekłość procedury niemieckiej, niemal z pewnością można sądzić, że te dziewczęta, nie będą mogły stawić się na 13 lutego – rzekł zimno zwierzchnik Rodina. – Połącz tę ostatnią wiadomość z notą przez odsyłacz.

Sekretarz dopisał treść listu Moroka i rzekł:

– Już napisane.

Czytaj dalej – rzekł zwierzchnik.

„Nota Nr 2.

Franciszek Hardy, przemysłowiec w Plessis, pod Paryżem. Lat czterdzieści. Człowiek stanowczy, bogaty, inteligentny, prawy, ubóstwiany przez swych robotników, człowiek nader niebezpieczny, lecz zazdrości i nienawiści, jakie wzbudza w innych fabrykantach, a nade wszystko w panu baronie Trippeaud, jako konkurencie, łatwo użyć można przeciwko niemu... Gdyby zaszła potrzeba innych środków oddziaływania przeciw niemu, poradzić się jego akt, które są bardzo grube, gdyż człowiek ten opisany jest jako jeden z najszkodliwszych.

Co do sprawy medalionu, tak go zręcznie wywiedziono, w pole, że dotąd ma zupełnie mylne wyobrażenie o jego ważności, zresztą jest on ciągle na oku; jeden z najlepszych jego przyjaciół jest naszym przyjacielem, lecz wiele jeszcze trzeba zrobić, aby sparaliżować lub nie dopuścić do jego obecności w Paryżu 13 lutego.

Nota Nr 3.

Książę Dżalma.

Lat osiemnaście, charakter energiczny i szlachetny, umysł niezależny i dziki, ulubieniec generała Simona, który objął dowództwo nad wojskami jego ojca, Kadya-Singa w wojnie z Anglikami, którą ten prowadził. Mówi się o Dżalmie tylko dla pamięci, bo jego matka zmarła za młodu, za życia swych rodziców, którzy pozostali w Batawii. I ci również umarli, a o ich skromne dziedzictwo nie upominali się ani Dżalma, ani jego ojciec. Dlatego można być pewnym, iż nie wiedzą oni o tym, że do spadku należy także ów medalion, ani o tym, jak ważne sprawy łączą się z tym medalionem”.

– Czytaj ten list z Batawii, aby uzupełnić wiadomość o Dżalmie.

Rodin odparł:

– Jeszcze jedna dobra nowina... Pan Jozue van Dael, przemysłowiec z Batawii, wychowaniec naszego instytutu w Pondichery, dowiedział się ze swych korespondencji z Kalkuty, że stary król indyjski poległ w ostatniej bitwie, stoczonej z Anglikami, a jego syn Dżalma, zrzucony z tronu ojcowskiego, wysłany został tymczasowo do fortecy jako więzień stanu.

– Teraz jest początek listopada – rzekł zwierzchnik Rodina.

– Przypuśćmy, iż Dżalma został wypuszczony na wolność i że mógł teraz opuścić Indie, w takim razie przybyłby do Paryża zaledwie w lutym...

– Pan Jozue – dodał Rodin – żałuje, że nie mógł w tym przypadku okazać swej gorliwości. Jeżeli, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, książę Dżalma został uwolniony lub zdołał umknąć, co może być prawdopodobniejszym, to wtedy niezawodnie udałby się do Batawii, aby upominać się o spadek po matce, gdyż nic więcej nie ma świecie. W takim razie można polegać na poświęceniu ze strony pana Jozuego van Dael... Tenże żąda natomiast, przez pierwszego gońca, szczegółowych i dokładnych wiadomości o stanie majątkowym barona Trippeaud, przemysłowca i bankiera, z którym ma stosunki handlowe.

– Odpowiesz w sposób wymijający, gdyż pan Jozue dopiero obiecał gorliwość... Dopełnij wiadomość o Dżalmie tymi nowymi doniesieniami.

Rodin zapisał.

Po chwili zwierzchnik rzekł dość szczegółowym tonem:

– Pan Jozue nic nie pisze o generale Simonie z powodu śmierci ojca Dżalmy i uwięzienia tego ostatniego?

– Ani słowa o nim nie nadmieniam – odpowiedział sekretarz, nie przerywając pracy.

Zwierzchnik Rodina nic nie odrzekł i przechadzał się zadumany...

Po chwili Rodin odezwał się:

– Już napisałem...

– Czytaj dalej...

„Nota Nr 4.

Jakub Rennepont, przezwany Leżynago.

Robotnik z fabryki barona Trippeaud, konkurenta Franciszka Hardy. Jest to pijak, próżniak, kłótniwy i rozrzutny, nie brak mu zdolności, ale lenistwo i rozpusta zupełnie je przytłumiły. Jeden z agentów, pewny i bardzo zręczny, na którym polegamy zupełnie, wszedł w stosunki z dziewczyną Cefizą Soliveau, zwaną królową bachanalii, która jest kochanką tego hultaja. Przy jej pomocy agent nawiązał z nim stosunki i uważać go odtąd można za obcego wszelkim interesom, które by spowodować mogły jego obecność w Paryżu w dniu 13 lutego.

Nota Nr 5.

Gabriel Rennepont, ksiądz misji zagranicznej.

Jest on dalekim krewnym poprzedniego, nie wie jednak o tym... Sierota, opuszczony, wzięty został na wychowanie przez Franciszkę Baudoin, żonę żołnierza, przezwanego Dagobertem. Gdyby wbrew wszelkiemu przewidywaniu, ten żołnierz przybył do Paryża, znalazłby się na niego skuteczny środek działania przez jego żonę, istotę prostą, łatwowierną, na którą ma się wpływ i władzę nieograniczoną. Przez nią to udało mi się skłonić Gabriela, aby wstąpił do zakonu, mimo że miał wstręt do tego stanu.

Gabriel ma dwadzieścia pięć lat, jego charakter jak i twarz są anielskie, obdarzony jest najrzadszymi cnotami, ale na nieszczęście, wychował się razem ze swym przybranym bratem Agrycolą Baudouin, synem Dagoberta. Ten Agrykola to poeta, rzemieślnik, robotnik wyborczy, ale pełen najgorszych zasad francuskiej szkoły filozoficznej, ubóstwa swoją matkę, jest prawy i pracowity. Notowany jako bardzo niebezpieczny i dlatego jego towarzystwo było tak szkodliwe dla Gabriela.

Ten, pomimo wszelkich przymiotów zawsze wzbudza niepokój. Wypadało nawet odwiec zupełnie wtajemniczenie go, gdyż jeden nieostrożny krok mógłby uczynić go najszkodliwszym człowiekiem, trzeba więc postępować z nim jak najprzezorniej, przynajmniej do 13 lutego, gdyż na nim, na jego obecności w Paryżu w tym czasie polegają wszystkie nasze nadzieje i niezmierniej wagi interesy.

Z tych wszystkich względów musiano, choć z wielkim żalem, zezwolić mu na wzięcie udziału w misji amerykańskiej, gdyż z anielską łagodnością łączy on spokojną, nieustraszoną odwagę, awanturczy umysł, który można było zadowolić tylko uczestnictwem w życiu misjonarzy, pełnym niebezpieczeństw. Na szczęście dano jak najsurowsze instrukcje jego przełożonym w Charlestown, aby nie narażali tak drogiego życia i żeby go wysłali z powrotem do Paryża przynajmniej na jeden lub dwa miesiące przed 13 lutego...”

Zwierzchnik Rodina, przerywając mu, znowu rzekł:

– Czytaj list z Charlestown, pošlij, czego żądają dla uzupełnienia tych wiadomości.

Rodin, przeczytawszy, odpowiedział:

– Gabriel spodziewany jest codziennie z Gór Skalistych, dokąd został wysłany, ponieważ koniecznie chciał się tam udać... Co za nieroztropność!

Bez wątplenia nie był tam wystawiony na żadne niebezpieczeństwo, sam bowiem zawiadomił o swym powrocie. Skoro tylko przybędzie, co nastąpi prawdopodobnie w połowie tego miesiąca, jak pisze, wyprawia go niezwłocznie do Francji.

– Dodaj to do jego noty – rzekł zwierzchnik Rodina.

– Już napisałem – odrzekł ten po chwili.

– Czytaj dalej.

„Nota Nr 6.

Adrianna Rennepont de Cardoville.

Daleka krewna Jakuba Rennepont i misjonarza Gabriela Rennepont, o czym jednak nie wie. Wkrótce skończy lat dwadzieścia jeden, w najwyższym stopniu ponętna, wyjątkowo piękna, choć rudawa, wielkie zdolności umysłowe, ogromny majątek, lękać się wszakże trzeba o przyszłość tej młodej osoby, kiedy się zważy niesłychaną śmiałość jej charakteru. Szczęściem opiekun jej, baron Trippeaud, (otrzymał baronostwo w roku 1829, był dawniej pełnomocnikiem nieboszczyka hrabiego, księcia Cardoville) zależy z powodu swych interesów prawie całkiem od ciotki panny Cardoville, która jest nam całkiem oddaną, słusznie więc liczyć można na nią i na niego, pod względem poskromienia i zwyciężenia nadzwyczajnej, niesłychanej odwagi i postanowień tej dziewczyny, z których na nieszczęście nie można korzystać dla osiągnięcia wiadomego celu.”

Rodin nie mógł czytać dalej, raz i drugi zadzwoniono do furtki...

Sekretarz wstał, poszedł zobaczyć, kto dzwoni, po czym wrócił, trzymając dwa listy i mówiąc:

Księżna skorzystała z odchodzącej sztafety i przysłała...

– Daj list księżny – zawołał zwierzchnik Rodina, nie pozwalając mu dokończyć... – Nareszcie dowiem się czegoś o matce – dodał.

Ledwie przeczytał kilka wierszy, zbladł, na jego twarzy dało się widzieć natychmiast przygnębienie i wielki żal.

– Matka, matka! – krzyknął. O! Mój Boże! Moja droga matka!

– Stało się nieszczęście? – zapytał Rodin, z miną strwożoną, podnosząc się na głos swojego zwierzchnika.

– Jej wyzdrowienie było zwodnicze – odpowiedział mu tenże – zasłabła znowu, stan prawie beznadziejny, jednak lekarz osądził, że moja obecność mogłaby ją ocalić, gdyż bezustannie mnie wspomina, chce mnie ostatni raz jeszcze zobaczyć, aby potem móc umrzeć spokojnie... Ach! To życzenie jest dla mnie święte... Nie jechać byłoby matkobójstwem... O! Mój Boże! Bylebym tylko zdążył na czas... stąd do Dunkierki starczy dwóch dni, jadąc dniem i nocą.

– O! Boże! Co za nieszczęście!... Co za nieszczęście! – rzekł Rodin, załamując ręce i wznosząc oczy do nieba...

Jego zwierzchnik zadzwonił i rzekł do starego sługi, otwierającego drzwi:

– Włóż natychmiast do mej walizy w podróżnym powozie wszystko, co mi w drodze może być potrzebne, niech odźwierny weźmie natychmiast dorożkę i niech biegnie co żywo po konie pocztowe... za godzinę koniecznie muszę wyjechać.

Służący pobiegł spiesznie.

– Moja matka... moja droga matka... nie widzieć jej... Ach? Okropna myśl – zawołał, rzucając się omdlały na krzesło i zakrywając twarz rękami.

Był to żal szczery, głęboki, człowiek ten szczerze kochał swoją matkę, to jedno głęboko ludzkie uczucie zachował pośród wszystkich kolei swojego życia... często występnego.

Po kilku chwilach Rodin ośmielił się odezwać do swojego zwierzchnika, pokazując mu drugi list:

– I ten także przyniesiono od pana Duplessisa i jest bardzo ważny... i bardzo pilny...

– Zobacz, o co chodzi i powiedz... ja nie mam głowy...

– To list poufny... nie mogę rozpieczętować... jak pan widzi ze znaku na kopercie – rzekł, podając go przełożonemu.

Ten, spojrzawszy na tajny znak, przybrał twarz przerażenia i uszanowania, jaki trudno opisać; drżącą ręką otworzył list.

List zawierał tylko kilka słów:

„Odłożywszy wszystko na bok... nie tracąc ani chwili czasu... wyjeżdżaj... i przybywaj tu. Duplessis ciebie zastąpi. Duplessis ma polecenie”.

– O! Wielki Boże! – zawołał nieszczęśliwy przełożony Rodina. – Wyjeżdżać w tak długą podróż bez zobaczenia się z matką... A! To okropne!... To niepodobna... Jakbym ją przez to dobił... to byłoby występkiem...

I nagle zerwał się, tupiąc nogą z gniewu i rozpaczony.

Przypadkiem... oczy jego w tej chwili zatrzymały się na ogromnym globusie, poznaczonym czerwonymi kropkami...

Na ten widok zaszła w nim nagła zmiana, jakby się wstydził swego żalu, powoli twarz jego, choć nadal smutna, odzyskała spokój i zimną powagę...

Oddał list sekretarzowi, tłumiąc westchnienie i rzekł oziębło:

– Zapisać pod liczbą kolejną.

Rodin wziął list, westchnąwszy głośno z politowaniem nad zmartwieniem swego zwierzchnika.

Po chwili milczenia tenże rzekł:

– Będziesz odbierał rozkazy od pana Duplessisa, będziesz z nim pracował. Jemu oddasz notę, tycząca się medalionów, a on wie, komu ją oddać, odpiszesz do Batawii, do Lipska i do Charlestown w wiadomy ci sposób. Nie pozwalać wszelkimi sposobami, ażeby córki generała Simona opuściły Lipsk. Przyspieszyć przybycie Gabriela do Paryża, a w razie, gdyby Dżalma miał przybyć na Jawę, napisać do pana Josuego, że liczy się na jego gorliwość i że go tam powinien zatrzymać.

Obojętność tego człowieka w chwili, kiedy konająca matka, którą kochał, nadaremnie wzywała go do siebie, była niepojęta.

Wydawszy polecenie sekretarzowi, wrócił do swego mieszkania.

Rodin zajął się zaszyfrowaną korespondencją.

Po trzech kwadransach dał się słyszeć dzwonek koni pocztowych.

Wszedł stary sługa, zapukawszy wprzód do drzwi.

– Już zaprzężono – rzekł.

Rodin dał znak skinieniem głowy, sługa wyszedł.

Sekretarz sam poszedł zapukać do pokoju zwierzchnika.

Ten wyszedł z listem w rękę.

– Do mojej matki... – rzekł – wyślesz natychmiast gońca...

– Niech trzy listy do Lipska, Batawii i Charlestown odejdą dziś jeszcze, zwykłą drogą, bo to rzecz największej wagi. Wiesz o tym.

Takie były jego ostatnie słowa...

Wykonując z uległością nielitościwe rozkazy, odjechał bez pożegnania umierającej matki.

Rodin z uszanowaniem odprowadził go do powozu.

– Jaką drogą jechać? – zapytał pocztylion.

– Do Włoch – odpowiedział zwierzchnik Rodina, ale nie mógł stłumić gorzkiego westchnienia.

Kareta ruszyła w drogę.

Rodin uklonił się z pokorą i wrócił do pokoju.

Postawa, wyraz twarzy, ruchy tego człowieka nagle się zmieniły.

Zdawało się, że urósł, nie był to już automat, którym kierowała pokorna uległość; jego twarz dotąd zimna, jego dotychczas przysłonięty wzrok ożywiły się i odkryły szatańską chytrą, cieniutkie, blade usta ściągnęły się szyderyczym, piekielnym uśmiechem, złowroga radość wygładziła trupią twarz. I on też stanął przed ogromnym globusem, też przypatrywał się w milczeniu, ściskając go, że tak powiem, w swoim objęciu, wlepił przez chwilę jak bazyli-szek, swoje jaszczurcze oczy w jego powierzchnię, potem, wodząc po wypolerowanej po-

wierzchni tego obrazu świata sękaty palec, uderzał kolejno płaskim, brudnym paznokciem w trzy miejsca, w których widać było czerwone kropki i w miarę oznaczania miast leżących w tak odległych krajach, mówił do siebie:

– Lipsk... Charlestown... Batawia...

Potem dodał ze złowrogim uśmiechem:

– W każdym z tych, tak odległych od siebie miast znajdują się osoby, nie wiedzące o tym, że stąd, z tej bocznej uliczki, z tej izby patrzy się na nie, że się uważa na wszystkie ich ruchy, że się wie o wszystkich ich postępkach... i że stąd wychodzą nowe rozkazy ich dotyczące, które wykonane zostaną bez najmniejszej litości... gdyż idzie tu o sprawę mającą potężny wpływ na całą Europę... na cały świat!... Lecz szczęściem, mamy przyjaciół w Lipsku, w Charlestown i Batawii!

Ten starzec, brudny, nędznie ubrany, wyglądający jak wybladła martwa maska, który dopiero co czołgał się po globusie, wydawał się bardziej jeszcze niż jego zwierzchnik przerażającym... gdy tamten o wyniosłej postawie, z rozkazującą miną, położył rękę na globusie, który jakby o władnięć chciał zuchwałą pychą.

Jeden podobny był do orła, unoszącego się nad upatrzoną zdobyczą... drugi do płaza, ścisającego ofiarę swymi zwojami...

Potem Rodin podszedł do biurka, żywo zacierając ręce i napisał następujący list szyfrem, którego znaczenia nie znał nawet jego zwierzchnik:

„Paryż o 9 min. 45 rano.

Odjechał... ale wahał się. Gdy otrzymał rozkaz wyjazdu, matka jego umierała i wzywała go do siebie; wiedział, iż może by ją uratował swoją obecnością... bo zawołał: Nie udać się do matki... byłoby tym samym, co być jej zabójcą. A jednak... pojechał! Lecz wahał się. Mam go na oku. List ten otrzymasz w Rzymie w tym samym czasie, kiedy on tam przyjedzie.

P. S. Powiedz księdzu kardynałowi, że może polegać na mnie ale pod warunkiem, żeby czynnie zajmował się moimi interesami.”

Złożywszy i zapieczętował list, Rodin schował go do kieszeni.

Wybiła dziesiąta.

Była to dla Rodina godzina śniadania. Poukładał i zamknął papiery w szufladzie, od której kluczyk wziął z sobą, otarł łokciem stary zatłuszczony kapelusz, wziął w rękę połatany parasol i wyszedł.

Kiedy ci dwaj ludzie w głębi owego ponurego zakątka knuli spisek, w który miały być wplątane cztery osoby z wygnanej niegdyś rodziny... jednocześnie nadzwyczajny, tajemniczy opiekun przemysłował nad obroną tej rodziny, jako swojej.

## EPILOG

Smutna i dzika okolica...

Wzgórze, najeżone tu i ówdzie ogromnymi skałami granitu, spomiędzy których gdzieniegdzie wznoszą się brzozy okryte pożółkłym, jesiennym liściem i wielkie, posępne, zielone jodły.

Ze szczytu wzgórza rozciąga się widok na głębokie, ocienione, urodzajne doliny, ledwie na wpół zakryte lekką mgłą wieczorną...

Żyzne błonia, cieniste gaje, uprzątnięte z dojrzałych kłosów pola, łączą się w ciemne, jednostajne tło, które odbija wydatnie od przezroczystego błękitu nieba.

Tu i ówdzie strzelają ostrymi szczytami dzwonnice, tu czerwoną dachówką, tam siwym łupkiem pokryte... ślady obecności wielu rozrzuconych osad.

Nadeszła godzina spoczynku, godzina, o której zwykle przez wszystkie okienka chat widać iskrzący się pośród zmierzchu ogień, a ciemne kłęby dymu unoszą się z kominów ku niebu.

A przecież, rzecz niesłychana, złowróżbna... w tych wszystkich domostwach, widzianych z góry, nie świeci się w żadnym oknie, z żadnego komina nie unosi się dym.

Zdaje się, że wszystkie ogniska pogasły lub zostały opuszczone.

Rzecz jeszcze dziwniejsza: ze wszystkich dzwonnicy odzywa się żałobny głos dzwonów... Zdaje się, że tajniki życia tych osad połączyły się w tym żalonym jęku dzwonów, rozlegającym się po wszystkich dolinach.

Czasami ten smutny głos, niesiony powiewem wieczornych wiatrów, dolatuje żalonym jękiem aż do szczytu góry.

W głębi posępnych dolin, w każdej osadzie, wszędzie, gdzie dotąd było ciemno, błyskać zaczynają światła. Lecz nie są to żywe światła skrzących się ognisk wiejskich. Są to czerwone płomyki, jakby pochodnie i posuwają się z wolna ku cmentarzom każdego kościoła.

A w miarę ich pochodu, żałobne dźwięki dzwonów pogrzebowych rozlegają się coraz mocniej, powietrze drga pod częstymi uderzeniami tych dzwonów i w rzadkich przerwach śpiewy pogrzebowe dochodzą niewyraźnie aż do wierzchołków wzgórza.

Skąd tyle pogrzebów? Jakież to doliny zniszczenia?... Skąd w każdej wsi zamiast wesołej pieśni wieczornej po znojnnej pracy, słycać tylko żałobne pienia śmierci, a miejsce dziennego odpoczynku zalega wieczny sen śmierci? Co to za dolina żalości, gdzie każda wieś oplakuje zmarłych i grzebie ich o tej samej godzinie, tej samej nocy?

Niestety! Śmiertelność następuje tam tak nagle, jest tak wielka, tak straszna, iż żywych ledwo starczy do grzebania umarłych.

Przez cały dzień ci, którzy pozostali przy życiu, zajmują się znojną pracą, wieczorem tylko, wróciwszy z pól, skołatani trudami, mogą kopać owe pogrzebowe doły, w których spoczywać mają ich bracia, stłoczeni jak ziarna zboża w kłosach.

A nie tylko te doliny widziały takie spustoszenie w owych złowrogich latach; w ilu to wsiach, w ilu miasteczkach, w ilu okolicach przygasły ogniska, opustoszały siedziby?...

Tak, niestety! Miejsce radości zajęła żaloba... dzwon pogrzebowy zastąpił wesołe pieśni...

W owych nieszczęsnych dniach straszliwy wędrowiec z wolna przebiegł ziemię od jednego do drugiego bieguna... z głębi Indii... aż do krańców północy... aż nad fale oceanu, oblewające brzegi zachodniej Europy. Ten wędrowiec tajemniczy jak śmierć, powolny jak wieczność, nieubłagany jak przeznaczenie, straszny jak ręka Boga... ten wędrowiec, to cholera!

Godzina zmierzchu. Dziwny odbłask nadaje najbardziej nawet znanym postaciom kształty niepojęte, fantastyczne!...

Na skalistym gruncie góry odezwało się powolne, równe, jak by miarowe stąpanie... Po skałach rozległ się odgłos podkutego obuwia... między grubymi kłodami ponurych jodeł przeszedł jakiś człowiek. Był on wysokiego wzrostu, głowę pochylił na piersi, twarz jego była spokojna, smutna... Brwi połączone z sobą, od skroni do skroni tworzyły na czole złowróżbną pręgę.

Zarówno na piasku jak na mchu, pokrywającym skały, człowiek ten zostawiał po sobie ślad stopy ze znakiem krzyża. Zatopiony w myślach, jakby nie słyszał żałobnego dźwięku dzwonów, rozlegającego się płaczącym głosem po dolinie. Szedł pogrążony w dręczących go myślach.

– Zbliża się 13 lutego... – myślał – zbliża się... dzień, w którym potomkowie mej ukochanej siostry, ostatnie odgałęzienia naszego szczepu, zebrać się mają w Paryżu...

Niestety! Lat temu sto pięćdziesiąt, odkąd prześladowanie rozproszyło po całej kuli ziemskiej tę rodzinę, za którą ja przez osiemnaście wieków z czułością podążałem... nie odstępując jej we wszystkich wędrówkach, na wygnaniu, przy zmianach losu i imienia.

Ach! Ta rodzina, pochodząca od mej siostry, siostry ubogiego rzemieślnika, jakąż słynęła sławą, to znów jak była poniżona, wzgardzona, później jakim jaśniała blaskiem, potem w jakiej żyła nędzy, wreszcie jaką okrywała się chwałą!

Iluż w niej splamiło się zbrodniami! Ilu wślawiło się cnotami!

Historia tej jednej rodziny to dzieje całej ludzkości!

Przez tyle pokoleń przebiegając żyły nędzarza i bogacza, mędrca i głupca, tchórza i bohatera, krew mojej siostry zachowała się aż do tej chwili.

Cóż pozostało z tej rodziny?...

Siedmiu potomków!

Dwie sieroty, córki wygnanej matki i wygnanego ojca; księżę, pozbawiony tronu; ubogi misjonarz; człowiek średniego stanu; młoda dziewica wielkiego imienia i majątku; rzemieślnik.

W nich wszystkich razem odnaleźć można cnotę, męstwo, upodlenie, blask, nędzę naszego rodu!

Polska... Indie... Ameryka... Francja...

Oto miejsca, gdzie los ich rozproszył!

Mnie instynkt ostrzega, gdy komu z moich grozi niebezpieczeństwo... od północy do południa... od wschodu do zachodu biegnę im na ratunek... wczoraj wieczór przy biegunie lodowatym, dziś w umiarkowanej strefie, jutro pod spiekłym równikiem, ale niestety! Często w chwili, kiedy moja obecność może ich ocalić, niewidzialna ręka odpycha mnie w wir nieprzeparty i...

Dalej... dalej!...

– Niechże przynajmniej dokończę, com zaczął!...

– Dalej!...

– Tylko godzinę!... Niech spocznę choć jedną godzinę!...

– Dalej!...

– Przebóg! Mam pozostawić nad przepaścią tych, których kocham...

– Dalej!... Dalej!!!

– Taka jest moja kara, okropna, ale zbrodnia moja była jeszcze straszniejsza! Za późno otworzyłem oczy, za późno poznałem żal, nauczyłem się łagodności, za późno wreszcie zrozumiałem boskie słowa, które winny być prawem dla całego rodu ludzkiego:

Miłujcie się nawzajem.

Na próżno w ciągu wieków, aby zasłużyć na przebaczenie, czerpałem siłę i przekonanie z tych słów, napełniałem litością i miłością serca, które były przepelnione gniewem i złością, na próżno rozplamiałem dusze wstrętem do niesprawiedliwości...

Dzień przebaczenia jeszcze nie nadszedł!...

Ja cierpię za ród ludzki, cierpię za swoich – biedny tułacz, nie zawsze mogę wspierać potomków mojej ukochanej siostry.

Ale kiedy ból przewyższa moje siły, kiedy czuję, że moim zagraża niebezpieczeństwo, a ocalić ich nie mogę, wtedy myśl moja, przebiegając światy, leci do tej, jak ja, przeklętej kobiety... owej córki królewskiej, która tak jak ja, syn rzemieślnika, tuła się... tuła i tułać będzie aż do skończenia wieków...

Raz tylko w ciągu każdego wieku, jak planety zbliżające się do siebie w swych wiecznych obrotach... i ja spotkać mogę tę kobietę... w nieszczęsnym tygodniu...

A po tym spotkaniu, pełnym przykrych pamiątek i niezmiernego bólu, znów jak błądzące gwiazdy wieczności, tułamy się w nieskończonym biegu.

I ta kobieta, wędrująca od jednego do drugiego krańca świata, ona, jedyna na ziemi, odpowiada moim myślom...

Tylko ona ma współczucie i myśl dla tej jedynej sprawy, która daje ulgę mojemu wiecznemu ciężarowi...



Kocha, wspiera potomków mej ukochanej siostry. Dla nich spieszy także od wschodu do zachodu, od pomocy ku południowi... lecz, niestety, niewidzialna ręka odpycha i ją także... unosi ją, ale i na nią głos woła:

- Idź... dalej, dalej!
- Niechże przynajmniej dokończę, com zaczęła – mówi podobnie jak ja.
- Dalej...
- Tylko godzinę... nie więcej, godzinę spoczynku.
- Dalej...
- Czy mam pozostawić nad przepaścią tych, których kocham?...
- Dalej...
- Jedno słowo... bo to jedno słowo może ich uratować.
- Dalej... Dalej!...

Gdy tułacz pogrążył się w myślach, wiatr wieczorny, dotąd lekki, wzmógł się a głos pogrzebowych dzwonów, w przewlekłych, silnych jękach, dochodził aż do szczytu góry.

Niebawem wiatr zaczął dąć gwałtownie, nadchodził orkan, już błyskawice pręły obłoki... już głuchy i przeciągły szum wichru oznajmiał zbliżanie się burzy.

Nagle ten, co nie może ani płakać, ani uśmiechnąć się, zadrżał. On, do którego żadna boleść fizyczna nie miała dostępu... nagle przycisnął rękę do serca jakby poczuł w nim niespodzianie gwałtowny ból.

– Ach! – zawołał – czuję... w tej godzinie... wielu z moich... z potomków mojej ukochanej siostry, cierpi i jest wystawionych na wielkie niebezpieczeństwa... Jedni w głębi Indii... drudzy w Ameryce... inni tu, w Niemczech... Walka się wznawia, a ohydne namiętności znowu się rozszoły. O, ty, która mnie słyszysz, ty, jak ja przeklęta, Herodiado, pomóż mi w ich obronie... Niech moja prośba dojdzie cię w głębi pustyń Ameryki, gdzie się znajdujesz w tej chwili... Byleśmy tylko... przybyli na czas!

Nadeszła noc.

Człowiek ruszył śpiesznie z miejsca... lecz niewidzialna siła zatrzymała go i popychała w przeciwną stronę...

W tej chwili rozległy się piorunujące grzmoty. Burza wyrывała drzewa z korzeniami... wstrząsała skałami.

A pośród tego orkanu, przy świetle błyskawicy widać było człowieka z czarną pręgą na czole, schodzącego z góry po skałach pomiędzy wielkimi drzewami, uginającymi się pod gwałtownym wiatrem.

Chód tego człowieka nie był już powolny i jednostajny... ale oporny, chwiejny, nierówny, jak u człowieka, daremnie walczącego z nieprzepartą siłą... lub porwanego w wir gwałtownego orkanu.

Na próżno wyciągał ku niemu rękę, jakby o coś błagając.

Wkrótce znikł pośród ciemności nocy i gromów burzy.

## **Część trzecia**

### **DUSICIELE**

#### **ROZDZIAŁ I**

##### **SZAŁAS**

Podczas gdy Rodin wysyłał listy w różne części świata z głębi ulicy Ursynów, kiedy córki generała Simona potajemnie opuściwszy oberżę Pod Białym Sokołem, zostały schwytane wraz z Dagobertem i zatrzymane w więzieniu w Lipsku, inne równie ciekawe rzeczy działy się na końcu świata, w Indiach, na wyspie Jawie, niedaleko miasta Batawii, gdzie mieszkał jeden z korespondentów Rodina, Jozue van Dael.

Na Jawie, we wspaniałej i niebezpiecznej okolicy, gdzie wśród najpyszniejszych kwiatów ukrywają się straszliwe gady, gdzie najwyborniejsze owoce zawierają w swych sokach zjadliwą truciznę, gdzie rosną okazałe, ale cieniem swym zabijające drzewa, gdzie wampir, ów olbrzymi nietoperz, wysysający krew ze swojej ofiary, usypia ją, powiewając nad nią chłodnym i wonnym powietrzem, najszybciej bowiem poruszany wachlarz nie wachluje tak prędko jak upiżmowane skrzydła tego potwora.

Październik 1831 roku kończył się już, była właśnie godzina popołudniowa, godzina prawie śmiertelna dla każdego, kto się poważył wystawić na skwarne słońce, które na lazurowym niebie roztacza palące promienie światła rażącego wzrok.

W błękitnym cieniu, jaki rzucają jaskrawo zielone drzewa o dziwacznych kształtach, tu zaokrąglone w ciemne sklepienia, tam wysmukłe jak wieżyce, a wszystkie tak gęste, tak posplatane, iż przez ich liściaste dachy deszcz przedrzeć się nie może.

W cieniu drzew widać szałas, zbudowany z mat i bambusu.

Zawsze bagnisty grunt, pomilmo skwarnego słonecznego upału, ginie pod niezmiernymi splotami pnących się roślin, osobliwych paproci, gęstego sitowia, które sięga aż do dachu szałas, wyglądającego jak gniazdo w bujnej trawie.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej duszącego jak owa atmosfera, przesycona wilgotnymi, gorącymi wyziewami o mocnej, przejmującej woni, gdyż cynamon, imbir, gardenia, pomieszane z rozmaitymi innymi ziołami, wydają z siebie ostre aromaty.

Wąski i długi szałas zbudowany był z mat plecionych z sitowlia, rozpiętych na pniach z grubych bambusów, wbitych w ziemię; pokrywał go obszerny dach z wielkich liści bananów, w jednym końcu znajdował się kwadratowy otwór, służący za okno, opleciony drobniutką siatką z włókien, aby nie zakradły się tędy gady.

Niedaleko szałasu, pośród tej gęstwiny wznosiło się ogromnej grubości, martwe już, pochylone drzewo, z każdej szpary jego popękanej kory, czarnej, pokrytej mchem, wyrastał kwiat osobliwy, prawie fantastyczny; siatka w oku motyla nie jest przezroczysta ani świetniejszym ubarwiona szkarłatem, piękniejszym aksamitem; owe nieznanne ptaki, co tylko we śnie się nam pokazują, nie mają tak dziwnych kształtów, jaik owe skrzydlate kwiaty, jakby chcące ulecieć ze swych cieniutkich szypułek, długie kaktusy, gęste, okrągławe, z wyglądu podobne do węży, wiją się wokół owego pnia i zwiększają swoje nitkowate szypułki, obciążone wielkimi kwiatami o najrozmaitszych barwach i urzekającym zapachu. Mały, ceglano-czerwony wąż, grubości gęsiego pióra, wychyla do połowy płaską głowę ze środka ogromnego kwiatu, na którego dnie trzyma się przyczajony resztą ciała.

W głębi szałasu, na rozciągniętej macie spoczywa młody mężczyzna.

Patrząc na jego złocisto-żółtawą cerę, można by sądzić, że to miedziany posąg, od którego odbijają się promienie słońca; w jego postawie widać ujmującą prostotę, prawą ręką podłożył pod głowę; ramiona, pierś, ręce godne Antinousa, obnażone, skóra na ciele jędrna, gładka jak marmur, dziwnie odbija miedzianym kolorem od białej sukni, która okrywa go od pasa aż do końca płowych stóp, na których palcach widać paznokcie gładkie jak wypolerowany agat.

Na wydatnej piersi widać brązowy medalion z kształtu i napisu całkiem podobny do medalionu, jaki nosiła jedna z córek generała Simona:

Ofiara  
L. C. D. J.  
Módlcie się za mnie  
Paryż  
dnia 13 lutego  
1682.

w  
Paryżu  
ulica Św. Franciszka Nr 3  
będziecie  
po upływie półtora wieku  
dnia 13 lutego  
1832  
Módlcie się za  
mnie.

Medalion ten zakrywał w połowie bliznę rany na piersi młodzieńca.

Młodzieńcem tym był Dżalma; ranę odniósł, gdy bronił ojca Róży i Blanki, generała Simona.

Rysy twarzy Hindusa są bardzo regularne, stanowiąc obraz pięknej, szlachetnej prostoty; czarne, w ciemny błękit wpadające włosy, spadają wolno na ramiona; delikatnie a śmiało rysujące się powieki mają taki sam ciemnobłękitny kolor jak długie brwi, które rzucają cień aż na bezwłose jeszcze policzki; czerwone, dość wydatne, nieco otwarte usta oddychają z trudem; sen jego jest ciężki, gdyż powietrze staje się coraz gęstsze, na twarzy widać niekiedy kurczowe odruchy, jakby miał jakiś przykry sen.

Dokoła panuje głęboka cisza.

Lekki wiatr nawet nie zaszeleści olbrzymimi liśćmi, sięgającymi aż do otworu służącego za okno.

Po chwili liście zaczynają kołysać się, jak gdyby je poruszało coś wolno czołgającego się pod nimi. Kiedy niekiedy to słabe poruszenie ustaje i znowu nic nie zakłóca spokoju.

Po kilkakrotnie powtarzanych ruchach wśród gęstwiny ukazała się ludzka głowa. Była to jakaś podejrzana twarz zielono-brązowego koloru; na głowie długie posplatane włosy, oczy bystre, wzrok dziki, a przy tym pełen sprytu i chytryści.

Wstrzymując oddech, człowiek ten, należący do sekty dusicieli, o której jeszcze będzie mowa, pozostawał jakiś czas nieruchomy, potem, nie przestając kryć się w gęstwinie, posuwał się na kłęczkach, odgarniając nieznacznie liście, tak iż nie było słyhać najmniejszego szmeru.

Powoli i ostrożnie zbliżał się do grubego, pochylego pnia, którego dół był wprawdzie znacznie odległy od szalasu, ale szczyt prawie dotykał dachu.

Dusiciel, nad słuchując przez chwilę, powoli wychylił się z zarośli; prócz lekkiej, bawełnianej opończy, którą przewiązał paskiem o krzyczących kolorach, był nagi, a jego giętkie ciało było grubo wysmarowane oliwą. Wspiąwszy się na pień, zasłonięty jego grubością i wijącymi się roślinami, zaczął nadzwyczaj ostrożnie i cicho piąć się na drzewo.

Patrzącemu na jego wyginający się przy tej wspinaczce grzbiet, na giętkość ruchów, na ukrytą w nich siłę, która musiała być straszna, zdawało się, że są to zdradzieckie ruchy tygrysa, czatującego na swą zdobycz.

Nie widziany przez nikogo, pełzał po pniu aż do wierzchołka i stąd już tylko o stopę odalony był od małego okienka szalasu. Wysunął ostrożnie głowę, zajrzał przez otwór patrząc, jak najłatwiej dostać się do środka.

Na widok Dżalmy, pogrążonego w głębokim śnie, podwoił się blask bystrych oczu dusiciela; rodzaj nerwowego skurczu albo raczej niemego, drapieżnego uśmiechu odsłonił dwa rzędy zębów trójkątnych, zaostzonych, połyskujących jak zęby piły.

Dżalma leżał tuż przy drzwiach, otwierających się do środka, tak że przy najmniejszym ich uchyleniu musiały się przebudzić.

Dusiciel, ukryty za pniem, chcąc zapewne lepiej obejrzeć wnętrze szalasu, jeszcze bardziej wsunął głowę i wsparł się lekko ręką na oknie. Ten ruch zachwiał wielkim kwiatem kaktusa, w którego kielichu siedział przyczajony wąż, który błyskawicznie wyskoczył i jednym rzutem okręcił się wokół ręki dusiciela. Czy to z bólu, czy z przestachu dusiciel nie mógł powstrzymać lekkiego okrzyku... i cofając się, ciągle przyciśnięty do pnia, spostrzegł, że Dżalma poruszył się...

Istotnie, młody Hindus, pozostając w niedbalej postawie, na wpół otworzył oczy, zwrócił głowę ku okienku i głębokie westchnienie podniosło jego pierś, gdyż parne, gorące powietrze było bardzo ciężkie. Ledwie poruszył głowę, rozległ się wśród liści krótki świst, jakim odzywa się rajski ptak, gdy podlatuje w górę.

Usłyszawszy ten świst drugi raz, ale już słabiej powtórzony, jak gdyby ptak odzywał się z dalszej odległości, Dżalma, domyślając się przyczyny szmeru, który go przed chwilą obudził, wyciągnął powoli rękę, trzymaną pod głową i zasnął znowu.

Przez kilka minut panowała głęboka cisza.

Dokładnym naśladowaniem głosu ptaka dusiciel starał się naprawić nieostrożny błąd krzyknienia z bólu i przestachu, jakiego nabawił go wąż, ukryty w kwiecie. Gdy już sądził, że Dżalma znowu zasnął, wyciągnął głowę i zobaczył, że się nie mylił. Wtenczas spuścił się z pnia z wielką ostrożnością; lewa ręka znacznie mu napuchła od ukąszenia węża.

Na chwilę zniknął w gęstwinie.

Wtem, w oddali dał się słyszeć przeciągły, jednostajny śpiew. Dusiciel stanął w krzakach i pilnie przysłuchiwał się. Śpiew słyhać było coraz bliżej.

Po chwili biało odziany Hindus, idący od strony, gdzie stały tu i ówdzie pojedynczo rosące drzewa, zmierzał ku gęstwinie, w której ukrył się dusiciel.

Ten zdjął z siebie długie, cienki rzemyk, którym był przepasany, na jednym jego końcu uwiązana była ołowiana kula wielkości kurzego jaja, drugi koniec okręcił wokół pięści prawej ręki... znowu się przysłuchiwał i znikł, czołgając się między wielkimi trawami, w stronę, z której nadchodził Hindus, jeden ze służących Dżalmy, który niósł list do swego pana.

Służący szedł wolno, nie przestając śpiewać. Był to młodzieniec, mogący mieć zaledwie dwadzieścia lat, o brunatnej skórze.

Przybywszy na miejsce, gdzie rozchodziły się ścieżki, puścił się bez namysłu tą, która prowadziła do namiotu Dżalmy.

Ogromny motyl, jakich mnóstwo na Jawie, rozpostarłszy skrzydła, usiadł na krzaku wonnej gardenii, tak blisko, iż go łatwo można było dosięgnąć ręką. Spostrzegłszy to, młody Hinduś przestał śpiewać i stanął, wysunął ostrożnie nogę, potem rękę... chcąc złapać motyla...

Nagle stanął przed nim złowróżbny dusiciel i świst, podobny do puszczonej procy, obił się o jego uszy i szybko rzucona linka trzykroć okręciła się dokoła szyi, a jednocześnie znajdująca się na niej kula gwałtownie uderzyła go w głowę.

Napad dusiciela był tak niespodziany, iż sługa Dżalmy nie zdążył ani krzyknąć, ani nawet jęknąć. Zachwiał się na nogach...

Dusiciel szarpnął linką, ciągnąc jej koniec trzymany w ręku...

Śniada twarz Hindusa czerniała jak ciemny karmazyn, upadł na kolana, machając rękami. Dusiciel przewrócił go... zacisnął linkę koło szyi tak gwałtownie, iż krew wytrysła przez skórę... ofiara drgnęła jeszcze kilka razy konwulsyjnie, a potem... nie dała już znaku życia...

Podczas tej krótkiej, ale strasznej walki ze śmiercią, morderca, klęcząc przed swoją ofiarą, chciwie czyhał na najmniejsze jej drgania; wlepił w nią nieruchome, iskrzące się oczy i zdawało się, że pogrążył się w upojeniu okrutnej rozkoszy... nozdrza jego rozděły się, żyły na skroniach i szyi nabrzmiały i tenże sam straszny uśmiech, który szpecił jego twarz, kiedy spostrzegł, że Dżalma śpi, znowu odsłonił czarne, ostre zęby.

Lecz wkrótce złożył ręce na wzdymających się mocno piersiach, spuścił głowę i z cicha wyrzekł kilka słów tajemniczych, podobnych do wzywania bóstwa lub modlitwy...

Potem oddał się znowu dzikiemu wpatrywaniu w trupa...

Krwawy, zwierzęcy wzrok tego człowieka był bardziej bezwzględny od wzroku hieny lub tygrysa, kiedy gotując się do rozszarpania swej zdobyczy, usiadłszy przy niej, z rozkoszą spogląda na nią. Lecz przypomniawszy sobie, iż rzecz jeszcze nie załatwiona, z żalem ode-rwał się od lubego widowiska, a zdjawszy stryczek i opasawszy się nim, ostrożnie odciągnął trupa z drogi i ukrył w zaroślach.

Dusiciel wrócił znowu w okolice namiotu Dżalmy i zbliżył się do niego, czołgając na brzuchu. Wydobywszy zza pasa nóż, którego obosieczne ostrze owinięte było bananowym liściem, zrobił w macie nacięcie długie na trzy stopy, uczynił to ostrożnie i zręcznie, zwłaszcza że nóż był bardzo ostry i najlżejsze pociągnięcie diamentu po szkłe narobiłoby większego hałasu.

Przez chwilę przysłuchiwał się, schował nóż za pas, wsunął głowę do namiotu i zajrzał do wewnątrz. Widząc, że Dżalma śpi mocno, nie zawahał się wcisnąć do środka.

## ROZDZIAŁ II

### NAPIĘTNOWANIE

Niebo, dotąd czyste i pogodne, powoli zaczęło się czerwienić, rzadkie promienie słońca, przebijając się przez ponure sklepienie drzew, dochodziły do okna namiotu, ale już bledsze, jakby zwiastowały złą wróżbę. To przyćmione światło okrywało wszystkie przedmioty dziwnym blaskiem, jakby patrzyło się na nie przez miedziano-czerwone szkło.

W tutejszym klimacie taki fenomen, w połączeniu z niezmiernym upałem zawsze zapowiada nadchodzącą burzę.

Istotnie, ciężkie, duszące powietrze stawało się nieznośne, duże krople potu okrywały jak perły czoło Dżalmy, nadal pograżonego we śnie.

Dusiciel, czołgając się jak wąż przy ścianie namiotu, przesunął się do maty, na której leżał Dżalma i skulił się przy nim spłaszczony, aby zabrać jak najmniej miejsca. Patrząc na skurczone jego twarzy znać było toczącą się w nim jakąś wewnętrzną walkę. Istotnie, instynkt, chęć mordy, walczyły przeciwko rozkazom, które odebrał, gdyż nie powinien był zabijać Dżalmy.

Może zamiar jego był zgubniejszy niż sama śmierć.

Dwa razy, pałając dziką żądzą, chwycił za stryczek... i dwa razy porzucił go; instynkt morderstwa ustępował wszechwładnej woli, której Malajczyk nawykł być posłusznym. Namietność do zabijania dochodzić w nim musiała do szaleństwa, bo przez wahanie tracił drogocenny czas. Dżalma każdej chwili mógł się obudzić, a posiadał dużą siłę, zręczność i odwagę. Nawet bez broni byłby strasznym przeciwnikiem.

Wreszcie Malajczyk, stłumiwszy w piersiach westchnienie, wziął się do dzieła.

Dżalma spał z głową opartą na ręce. Należało, nie budząc go, sprawić, żeby odwrócił twarz ku drzwicom, aby w razie, gdyby się przebudził, wzrok jego nie padł od razu dusiciela. Teraz zaś, dla spełnienia zamiaru, trzeba było trochę poczekać.

Niebo coraz bardziej chmurzyło się, podobne do rozpalonej miedzi. Upał doszedł do najwyższego stopnia, powietrze było tak naładowane elektrycznością, iż prócz przenikliwego zapachu kwiatów czuć było mocną woń siarki. Wszystko to przyczyniało się do pogrążenia Dżalmy w głębokim śnie i ułatwienia zamiarów dusiciela, który klęcząc przy nim, zaczął zręcznymi, wysmarowanymi oliwą końcami palców lekko dotykać czoła, skroni i powiek młodego Hindusa, z tak niezwykłą zręcznością, iż ten wcale tego nie czuł.

Po kilku chwilach tych magnetycznych czarów, jeszcze obfitszy pot wystąpił na czole Dżalmy, westchnął głęboko, potem dwa czy trzy razy zadrgały mu mięśnie twarzy, gdyż dotykanie to, chociaż tak lekkie, iż nie mogło obudzić go, sprawiało jednak nieco przykre wrażenie.

Dusiciel, nie spuszczać go z oka, nie zaprzestawał swoich zabiegów, wykonywał je tak cierpliwie i zręcznie, iż Dżalma, ciągle śpiąc, a nie mogąc dłużej znieść niemiłego uczucia, machinalnie sięgnął do twarzy, jak gdyby chciał uwolnić się od dokuczliwego owada, lecz brakło mu sił i prawie natychmiast jego ręka opadła na piersi...

Dusiciel, widząc, że pomału zbliża się do celu, powtarzał macanie powiek, czoła i skroni, równie delikatnie i zręcznie.

Wreszcie Dżalma odwrócił głowę, która bezwładnie opadła na prawe ramię.

Teraz dusiciel łatwo już mógł dopiąć celu.

Ażeby jednak mocniej uspić Dżalmę, zaczął naśladować ogromnego nietoperza i jak skrzydłami machał ostrożnie rozciągniętymi rękami nad pałającą twarzą młodego Hindusa. Poczawszy niespodziewany, a w takim upale miły chłód, Dżalma wypogodził twarz, pierś jego uniosła się, na wpół otwarte usta odetchnęły przyjemnym powiewem chłodnego powietrza i zasnął tym mocniej, że nic go już nie drażniło.

Znaki, zapowiadające burzę, stawały się coraz groźniejsze, zapach siarki wzmagął się, liście, poruszone elektrycznymi powiewami, szeleściły na gałązkach, to znów następowała ponura cisza.

Wtem błyskawica czerwonym światłem oświeciła cieniste sklepienie drzew, pod którymi stał namiot. W obawie, aby pierwszy odgłos grzmotu nie obudził młodzieńca, dusiciel pośpieszył z wykonaniem rozkazu.

Dżalma, leżąc na wznak, obnażony od głowy aż po pas, miał głowę schyloną na prawe ramię. Dusiciel, siedząc przy jego lewym boku, powoli przestawał go wachlować, potem zręcznie uchylił szeroki muślinowy rękaw u lewej ręki aż po łokieć. Z kieszeni szerokich spodni wydobyl pudełeczko, wyjął z niego cienką i spiczastą igielkę, nakłuł głęboko raz, drugi i trzeci mały kawałek żółtawego korzenia, również znajdującego się w pudełku.

Za każdym ukłuciem z korzenia wydobywał się białawy, kleisty sok; gdy igła dostatecznie już nasączyła się nim, dusiciel schylił się i z wolna chuchał na ramię Dżalmy, aby sprawić

nowe wrażenie chłodu, jednocześnie zaś końcem igły, leciutko wyrył na skórze śpiącego kilka tajemniczych znaków.

Wykonał to tak zręcznie, koniec igły był tak delikanty i ostry, że Dżalma nie poczuł zadraśnięcia, które z początku przybrało-postać delikatnych bladoróżowych kresiek na skórze, grubości włosa, ale ów sok, którym igła była nasączona, był tak silny, iż-wolno wsiąkając pod skórę, miał na niej pozostawić czerwono-fioletowy, wyraźny napis, którego zrazu prawie nie można było dojrzeć.

Widząc, że zamiar powiódł się, dusiciel z radością uśmiechał-się, owym niemym złośliwym uśmiechem, który już raz odsłonił jego spiczaste, czarno połyskujące zęby...

Potem, oddalając się na klęczkach od maty, wypełził z namiotu i znikł w chwili, gdy przytłumiony odgłos pioruna rozległ się w oddali<sup>1</sup>.

Potrafiają nawet wyjąć prześcieradło spod śpiącego, wcale go nie budząc; nie jest to żart, ale prawdziwe zdarzenie. [Dusiciel] porusza się jak wąż. Gdy śpisz w namiocie, a przy tobie śpi u drzwi służący, wtedy na zewnątrz usiądzie w kucki, w cieniu, w kącie, skąd będzie mógł słyszeć oddech.

Skoro nadejdzie sprzyjająca chwila, przetnie płótno namiotu, to mu wystarczy za wejście. Przesunie się jak widmo, me zrobiwszy najmniejszego szelestu. Jest zupełnie nagi i całe jego ciało wysmarowane jest oliwą, u szyi wisi sztylet. Przyczoiła się i przyczai przy twym posłaniu i z zimną krwią, niesłuchanie zręcznie złoży drobnutko prześcieradło, na którym leżysz, aby zajmowało jak najmniej miejsca, po czym przesuwając się na drugą stronę i lekko łechcąc śpiącego; ten instynktownie przewraca się i zostawia za sobą złożone prześcieradło, jeżeli przebudziwszy się zechce schwytać złodzieja, znajdzie śliskie ciało, które wymyka mu się z rąk jak węgorz, a jeżeli mimo to uda mu się przytrzymać go, biada mu, sztylet przeszyje mu serce, upadnie brocząc we krwi, a zabójca zniknie.

## ROZDZIAŁ III

### PRZEMYTNIK

Burza dawno już minęła, prawie sześć godzin upłynęło, odkąd dusiciel, zakradłszy się do namiotu Dżalmy, wytatuował go tajemnymi znakami.

Jakiś jeździec szybko pędził długą aleją.

Był to młody Hindus, nie wiedzący o tym, że gdy spał, na jego ręce wyryte zostały niezatarte znaki.

Jego jawajska klacz była miernego wzrostu, choć dzielna i pełna ognia, maści karej jak smoła, a wąski czerwony kobierzec zastępował siodło.

Żaden z owych przedziwnych, tak mistrzowsko odtworzonych w rzeźbie na fryzie panteonu jeźdźców nie wyglądał ani tak wdzięcznie, ani tak śmiało jak ten młody Hindus, na którego pięknej, oświetlonej zachodzącym słońcem twarzy jaśniała pogoda szczęścia, jego oczy błyszczały radością, rozszerzone nozdrza, pół otwarte usta napawały się rozkoszną wonią kwiatów i balsamicznym zapachem drzew, które po niedawnym deszczu jeszcze nie obeschły.

---

<sup>1</sup> W listach zmarłego Wiktora Jacquement o Indiach czytamy takt opis zręczności dusicieli:

Pełzają oni po ziemi, rowami, brzdami, naśladują sto rozmaitych głosów, doskonale umieją wydawać krzyk podobny do krzyku szakala lub ptaka, aby naprawić niezręczne poruszenie, którym sprawili szelest, potem milczą, a inny znów w innej stronie naśladuje odległe skomlenie lub pisk zwierzęcia.

Nagabują we śnie szelestem, dotykiem i zmuszają do przybrania takiego ułożenia ciała, jakie jest najdogodniejsze dla ich zamiarów.

Przy czapce wiśniowego koloru podobnej do greckiego nakrycia głowy, osadzonej na czarnych włosach Dżalmy, złocisto-żółtawa skóra jego twarzy odbijała jeszcze mocniej. Odziany w kaftan z białego muślinu z szerokimi rękawami, przepasany był czerwonym pasem; szerokie spodnie, z białej bawełnianej tkaniny pozwalały widzieć do połowy obnażone, śniade nogi, których kształty dokładnie uwydatniały się na karych bokach klaczy, którą Dżalma z lekka przyciskał łydkami; stopy odziane były w zgrabne sandały z czerwonego safianu.

Natłok myśli, raz gwałtownych, to znów powściąganych, odbijał się w chodzie, jaki nadawał swej klaczy; chód ten był śmiały, przyśpieszony jak wyobraźnia, która unosi się bez hamulca, to znów spokojny, miarowy jak rozważa, następująca po nierozsądnej nadziei. W tak różnym biegu ruchy Dżalmy pełne były powabnego, swobodnego, nieco dzikiego wdzięku.

Myślał właśnie o Paryżu, owym czarownym mieście, o którym nawet w Azji, równie czarownej części świata, tyle dziwnych krążyło powieści, myślał o pięknych kobietach, które przewyższały swą pięknnością cuda wielkiej stolicy świata, jak słyszał często od generała Simona.

A tymczasem wśród wspaniałej okolicy, którą mijał, tysiące ptaków świergotaniem i igraszkami witało piękny wieczór, zielone i czerwone papugi wspinały się na wierzchołki akacji, majna-majna – wielki, błękitny ptak, którego szyja i długi ogon połyskiwały złotem, ścigał czarną jak aksamit wilgę, fioletowo-tęczowych kolorów gołąb koło odzywał się wdzięcznym gruchaniem obok rajskiego ptaka, którego jaskrawe barwy łączyły w sobie pryzmatyczny blask szmaragdu i rubinu, topazu i szafiru.

Niepodobna opisać urodę tej przyrody, tak zbytkownie bogatej, czarującej kolorami, zapachami i egzotyką.

Dżalme, nie mogącemu pozostać nieczułym na widok wspomnianych bogactw natury, zdawało się, że wśród bujnej zieloności i cudnych kwiatów przesuwają się zachwycające postacie francuskich kobiet, nade wszystko paryżanek, które wyobrażał sobie z całą bujnością młodzieńczej ognistej fantazji.

Nie mogąc już dłużej powściągnąć gorących wzruszeń, uniesiony ich szaleństwem, krzyknął nagle dzwicznym głosem i wspiąwszy klacz, podskoczył jakby w uniesieniu nadzwyczajnej radości...

Jasny promień słońca, przebiwszy się przez gęste sklepienie drzew, oświetlił go całego.

Dżalma, wyrzuty z dziedzictwa i ojcowskiego kraju przez Anglików, uwięziony jako jeniec stanu po śmierci ojca, który poległ z bronią w rękę, został następnie uwolniony.

Generał Simon, przez cały czas uwięzienia Dżalmy mieszkał w okolicy fortecy, w której trzymano młodego księcia, potem udali się obaj do Batawii, gdzie syn Kadzi-Singa zamierzał objąć skromną spuściznę po matce.

Między tymi szczątkami, o które ojciec nie dbał, znalazły się ważne papiery i medalion, taki sam, jaki był w posiadaniu Róży i Blanki.

Generał Simon, zdziwiony i uradowany tym odkryciem, które dowodziło, że matka Dżalmy była spokrewniona z jego żoną, a zarazem zapewniało księciu niemałe korzyści na przyszłość, pozostawił Dżalmę w Batawii dla załatwienia interesów, a sam udał się na wyspę Sumatę. Mówiono, że jest tam okręt, który wkrótce popłynie do Europy, a młodemu Hindusowi również wypadało śpieszyć co prędzej do Paryża na dzień 13 lutego 1832 roku.

Gdyby generał Simon odnalazł okręt, odpływający do Europy, miał natychmiast wrócić po Dżalmę, dlatego ten jechał do portu, spodziewając się, że generał przybędzie na statku z Sumatry.

Dżalma wcześniej stracił matkę, jeszcze w dzieciństwie towarzyszył ojcu w wielkich łowach na tygrysy, jako młodzieniec szedł już z ojcem na wojnę w obronie kraju... wojnę ciężką i krwawą.



Od śmierci matki pędził życie wśród lasów i gór, a w nieustannych walkach przechował szlachetną naturę w stanie nie tkniętej czystości, nazywano go Wspaniałym i nikt też nie był godniejszym tego przydomka. Wywodząc się z książęcego rodu okazywał się zawsze prawdziwym księciem, a w niewoli narzucał swym dozorcóm poszanowanie, milczeniem zachowując swoją godność. Nigdy nie usłyszano z jego ust skargi, na nic się nie żalił, był zawsze poważny i melancholijnie spokojny... pomimo brutalnego traktowania, którego go nieraz spotykało.

Przyzwyczajony do patriarchalnego życia góralskiego w swym kraju, które przerwała tylko kilkumiesięczna niewola u Anglików, nie znał cywilizowanego świata.

Nie mając rzeczywistych wad, Dżalma posuwał aż do skrajności zalety charakteru; niezachwiany w dotrzymywaniu zaprzysiężonej wiary, poświęcający się choćby kosztem własnego życia, ufny bez granic, dobry aż do zupełnego zapomnienia o sobie samym, był nieubłagany dla każdego, kto okazał się niewdzięcznym, kłamcą lub wiarołomnym. Był uczuciowy i zarazem bezwzględny. A taki człowiek w walce z temperamentem, wyrachowaniem, obłudą, oszustwem, nieszczerością wyrafinowanego, np. paryskiego towarzystwa, przedstawiałby obraz bardzo ciekawy dla badacza...

Od kilku chwil jakiś człowiek zbliżał się szybko ścieżką, która prowadziła prosto do alei, którą przejeżdżał Dżalma. Człowiek ten stanął na chwilę w cieniu drzew, z zadowoleniem przypatrując się Dżalmie.

Istotnie, przy złocistym świetle pięknie wyglądał młodzieniec o miedzianej cerze, ubrany w obszerny strój, jadąc na dzielnej karej klaczy, która okryła pianą czerwone cugle i której długi ogon i gęsta grzywa falowały od powiewu wiatru.

Jak się czasem zdarza w następstwie zbyt żywej radości, Dżalma poczuł napad niezwyklej, ale miłej melancholii, sięgnął ręką do oczu i puścił wolno cugle posłusznej klaczy, która natychmiast stanęła, wyciągnęła łabędzią szyję i zwróciła głowę ku człowiekowi, którego spotrzegła w krzakach. Człowiek ten nazwiskiem Mahal, przemysłnik z zajęcia, odziany był prawie tak jak europejscy marynarze. Miał na sobie bluzę i spodnie z białego płótna, przepasane szerokim czerwonym pasem, na głowie obszerny, słomiany kapelusz.

Mahal śpiesznie zbliżył się do młodego Hindusa.

– Czy książę Dżalma... – zagadnął niezłą francuszczyzną, podnosząc z uszanowaniem rękę do kapelusza.

– Czego chcesz? – odparł tenże.

– Jesteś... synem Kadzi-Singa?

– Tak, więc czego chcesz?

– Przyjacielem generała Simona...

– Tak, generała Simona... – zawołał Dżalma.

– Jeździsz na jego spotkanie codziennie, od czasu, jak spodziewasz się jego przybycia z Sumatry.

– Tak... skąd o tym wiesz? – rzekł Hindus, patrząc ciekawie na przemysłnika.

– Wylądować ma w Dinao... a nie w Batawii.

– To... może od niego przychodzisz?

– Może – rzekł tamten z wahaniem... Ale czy jesteś synem Kadzi-Singa?

– Jestem... mówiłem już... ale gdzieś widział generała Simona?

– Ponieważ jesteś synem Kadzi-Singa – rzekł Mahal, patrząc na Dżalmę podejrzliwym okiem – jaki jest twój przydomek?...

– Mego ojca nazywano „Ojcem Wspaniałego” – odpowiedział młody książę, a chmura żalu zasepiła jego piękną twarz.

Słowa te zaczynały przekonywać Mahala o tożsamości Dżalmy, jednak pragnąc się lepiej upewnić, pytał dalej:

– Odebrałeś zapewne przed dwoma dniami list od generała Simona... pisany z Sumatry.

– Tak... ale czemu o to pytasz? – Aby być pewnym, iż rzeczywiście jesteś Wspaniałą... i abym wypełnił dane mi rozkazy...

– Od kogo?

– Od generała Simona...

– A gdzie on jest?

– Gdy będę miał dowód, że jesteś synem Kadzi-Singa, to powiem ci, oznajmiono, że jedziesz na karej klaczy mającej czerwoną uzdę... ale...

– Powiedz wreszcie, zaklinam cię na krew mojej matki!

– Wszystko powiem... jeżeli będziesz mógł wyjaśnić, jaka drukowana kartka znajdowała się w liście generała, przesłanym z Sumatry.

– Wycinek z francuskiego dziennika.

– A co było w tym dzienniku? Pomyślna czy niemiła wiadomość dla generała?

– Pomyślna, donoszono nam, że podczas nieobecności generała rząd francuski uznał ostatnią jego rangę i tytuł... nadane przez cesarza, podobnie jak to uczynił wobec innych jego towarzyszy, również, wygnańców.

– A więc to pan jesteś – rzekł przemytnik – mogę mówić... generał Simon wylądował na Jawie... tej nocy...

– Tej nocy?...

– Bo musi się ukrywać...

– On... a to dlaczego?

– Nie wiem...

– A gdzie on jest? – zawołał Dżalma niespokojny.

– O trzy mile stąd... blisko morza... w zwałiskach Tchandi...

– On... zmuszony ukrywać się?... – powtórzył Dżalma a na jego twarzy malowało się zdziwienie i niepokój.

– Wiesz, księżę, gdzie są zwałiska Tchandi? – spytał przemytnik.

– Wiem... i generał Simon tam mnie oczekuje?...

– Tak, oczekuje na pana...

Dżalma poruszył się gwałtownie, chcąc puścić się galopem, ale przemytnik zatrzymał go i rzekł:

– Zaklinam cię na krew twojej matki... nie puszczaj się tam za dnia, zaczekaj do nocy... zwracając na pana uwagę... przez to odkryłbyś kryjówkę generała... Nie wracaj do Batawii, ale gdy się ściemni, udaj się sam do zwałisk Tchandi... To rozkazał powiedzieć panu generał Simon... oczekuje cię...

– Więc przybyłeś z nim z Sumatry?

– Byłem sternikiem małego nadbrzeżnego statku przemytniczego, który go wysadził na ląd... Generał prosił, abys przybył koło zachodu słońca na jego spotkanie do Amor-Fikin; będąc pewny, że cię spotkam na drodze... udzielił mi wiadomości z listu, któryś odebrał, abym cię przekonał, że przychodzę od niego; gdyby mógł, byłby do ciebie napisał.

– A nie powiedział, dlaczego jest zmuszony ukrywać się?...

– Nic mi nie mówił.

– Może szukają go Anglicy, dlatego że się przyczynił do mojej ucieczki – pomyślał Dżalma, a ponieważ to przypuszczenie było prawdopodobne, tej okoliczności przypisał potrzebę ukrywania się generała Simona.

Po chwili milczenia rzekł:

– Czy wracasz do Batawii?

– Tak... i to bardzo spieszenie... Już długo z panem rozmawiam... a obawiam się, czy mnie nie śledzą...

– Czy podejmiesz się odprowadzić mego konia do miasta?...

– Ale jak mnie zobaczą...

- Mój dom jest za miastem, między drzewami, obok nowego meczetu...
- Wiem, wiem, generał Simon mówił, mi o pańskim mieszkaniu, udałbym się tam, gdybym pana tu nie spotkał... to niech mi pan da konia...

Dżalma zeskoczył lekko na ziemię, rzucił cugle przemytnikowi, odwiązał swój pas, wyjął z niego mały jedwabny woreczek i dał go, mówiąc:

- Byłeś wierny i usłużny... Masz. To niewiele... ale nie mam więcej.
- Słusznie Kadzi-Sing przewany był „Ojcem Wspaniałego” – rzekł przemytnik, kłaniając się z uszanowaniem i wdzięcznością.

I puścił się drogą, wiodącą do Batawii, prowadząc za sobą klacz Dżalmy. Młody Hindus ruszył w zarośla, idąc spiesznie ku zwałiskom Tchandi.

## ROZDZIAŁ IV

### JOZUE VAN DAEL

Jozue van Dael, holenderski przemysłowiec, korespondent Rodina, urodził się w Batawii, stolicy Jawy.

Rodzice oddali go na naukę do Pondichery, do kolegium jezuickiego. Tam został przyjęty do zakonu, wykonawszy potrójne śluby, czyli, jak mówią, został koadiutorem świeckim.

Uczciwość Jozuego uchodziła za nieskazitelną; był nadzwyczaj rzetelny w interesach, zimny, przezorny, ostrożny i niepospolicie przenikliwy, w operacjach handlowych prawie zawsze szczęśliwy, jakby jakaś cudowna władza dostarczała mu potrzebnej wiedzy, pozwalała przewidywać wypadki, mogące korzystnie wpłynąć na umowy handlowe.

Dom handlowy jezuitów w Pondichery brał udział w jego działaniach, powierzał mu wywóz i zamianę produktów, otrzymywanych z rozległych dóbr, jakie dane przedsiębiorstwo posiadało w koloniach.

Van Dael mało mówił, wiele słuchał, nigdy nie spierał się, był niezmiernie uprzejmy. W braku sympatii wzbudzał dla siebie zimny szacunek, jaki okazuje się zwykle skrupulatnym stróżom obyczajności. Nie dał się uwieść wpływom swobodnego, często rozwiązłego życia, prowadzonego w koloniach i pozostało w jego powierzchowności coś poważnego, czym jednał sobie szacunek gminu.

Był właśnie ten sam wieczór, w którym Dżalma miał się udać do zwałisk Tchandi, w nadziei, że zastanie tam generała Simona.

Jozue wszedł do swego gabinetu, gdzie stało kilka szafek z półkami i drobnymi przegródkami, a w nich pełno papierów, wielkich ksiąg kasowych, pootwieranych na pulpitych i ogromne biurko sprowadzone niegdyś z Europy.

W gabinecie było tylko jedno okno, opatrzone z zewnątrz żelazną kratą, które wychodziło na małe puste podwórko.

Postawiwszy na biurku świecę w szklanej oprawie, Jozue spojrzął na zegar ścienny.

– Godzina dziewiąta – rzekł. – Wkrótce wróci Mahal.

Mówiąc to, wyszedł, minął przedpokój, otworzył drugie potężne drzwi, okute wielkimi gwoździemi na sposób holenderski, przeszedł cicho dziedziniec, aby nikt go nie spostrzegł i odsunął sekretną zapórę, która zamykała na sześć stóp szerokie podwójne bramy, przerażająco najeżone żelaznymi kolcami. Potem, zostawiwszy bramę otwartą, wrócił do swego gabinetu i starannie pozamykał za sobą wszystkie drzwi. Usiadł przy biurku, wyjął z szufladki o podwójnym dnie długi list albo raczej pamiętnik pisany codziennie od pewnego czasu.

Nie zaszkodzi wspomnieć, że list pisany do Rodina był wcześniejszy niż uwolnienie Dżalmy i jego przybycie do Batawii.

Dziennik również adresowany był do Rodina; pisał w nim, co następuje:

„Jak powiedziałem wczoraj, w obawie przed powrotem generała Simona, o czym dowiedziałem się, przejmując jego listy, które po przeczytaniu kazałem nie naruszone oddawać Dżalmie, zmuszony czasem i okolicznościami, musiałem chwycić się ostatecznych środków, nie zaniedbując jednak nadać rzeczom pozorów prawdopodobieństwa.

Wreszcie nowe niebezpieczeństwo nakazywało mi tak postąpić.

Parostatek Ruyter zawinął tu wczoraj. Statek ten odpływa wprost do Europy, udając się do Suez, gdzie pasażerowie przesiadają na inny statek i płyną do Francji. Przeprawa ta, prosta i szybka, zajmuje tylko siedem do ośmiu tygodni, teraz mamy koniec października, książę Dżalma mógłby więc stanąć we Francji koło stycznia, czemu właśnie, według twych instrukcji przeszkodzić należy wszelkimi sposobami, gdyż, jak raczyłeś mnie zawiadomić, jeden z najważniejszych interesów naszego towarzystwa wiele by ucierpiał, gdyby książę Dżalma stanął w Paryżu 13 lutego.

Jeżeli, jak się spodziewam, uda mi się przeszkodzić mu w korzystaniu ze statku Ruytera, przybycie Hindusa do Francji przed kwietniem stanie się niemożliwe, gdyż jeden tylko Ruyter odbywa podróż prostą drogą, inne statki potrzebują najmniej czterech do pięciu miesięcy na podróż do Europy.

Nim powiem ci o nadzwyczajnym środku, do którego musiałem uciec się, a którego skutku nie znam jeszcze do tej pory, dobrze będzie, abyś wiedział o niektórych okolicznościach.

Niedawno odkryto w Indiach pewien rodzaj stowarzyszenia, którego członkowie nazywają się pomiędzy sobą bracią dobrego uczynku lub Phansegars, co znaczy dusiciele, gdyż zabójcy ci nie rozlewają krwi, duszą ludzi nie w celu rabowania, lecz raczej idą za zabójczym powołaniem, posłuszni prawom piekielnego bóstwa, które nazywają Bohwanią.

Ażeby dać ci lepsze wyobrażenie o tej obmierzłej kaście, przytoczę kilka ustępów z raportu pułkownika Fleemana, który z niezmordowaną gorliwością ścigał to tajne stowarzyszenie; raport ten ogłoszony został drukiem przed dwoma miesiącami. Oto wyjątki; są to słowa pułkownika...

«Od 1822 do 1824 r., kiedy sprawowałem obowiązki sądowe i administracyjne w okręgu Nersinpour, nie zostało popełnione zabójstwo ani najmniejsza kradzież przez zwyczajnego złoczyńcę, o których bym nie miał natychmiast wiadomości, ale gdyby mi kto powiedział wówczas, że dziedziczna banda morderców z profesji zamieszkiwała miasto Kundelin, ledwo o czterysta kroków odległe od mego sądu i że rozkoszne gaje miasta Mundescen, o dzień drogi od mej siedziby, były miejscem zamieszkania sprawców najokropniejszych morderstw, że liczne bandy „braci dobrego uczynku”, przybywające z Industanu i Dekanu, miewały schadzki pod cieniem tych drzew, że się tam zbierali, jak na jakie uroczystości, aby dopełniać swego okropnego powołania na wszystkich drogach, które krzyżują się w tych okolicach, gdyby mi ktoś coś podobnego mówił, wziąłbym go za wariata, a przecież nie było nic prawdziwszego. Podróżni setkami grzebani byli co rok w owych gajach i całe pokolenie zabójców żyło przed moimi drzwiami wtedy, kiedy ja byłem rządcą tej prowincji i szerzyło zbrodnie aż do okolicy Poonach i Hyddcabadu. Nie zapomnę nigdy, jak dla przekonania mnie, jeden z przywódców tych dusicieli, zostawszy donosicielem, w tym samym miejscu, na którym stał mój namiot, odkopał trzynaście trupów i zapewniał mnie, że naokoło tegoż namiotu wydobędzie ich nie skończoną liczbę».

Te kilka słów pułkownika Fleemana dadzą ci wyobrażenie o tym strasznym stowarzyszeniu, które ma swe prawa, obowiązki, swe zwyczaje, odrębne od wszelkich praw boskich i ludzkich.

Poświęcając się jedni dla drugich aż do heroizmu, «synowie dobrego uczynku» uważają za nieprzyjaciół wszystkich, którzy do nich nie należą. Wszędzie werbują członków, ci apostołowie religii zabójstwa wszędzie w ukryciu głoszą swoje szkaradne nauki.

Trzech spośród ich przywódców i jeden uczeń, uciekając przed zawziętym pościgiem Anglików, gdy udało im się wymknąć, przybyło na północny brzeg Indii, aż do cieśniny Malakka, leżącej niedaleko naszej wyspy. Pewien przemytnik, poniekąd również pirat, nazwiskiem Mahal, zabrał ich na swój statek i przywiózł tu; spodziewają się, że przez jakiś czas będą tu mieli bezpieczne schronienie. Idąc za radą przemytnika ukryli się w gęstym lesie, gdzie są zwaliska świątyń, których liczne podziemia będą dla nich dobrymi kryjówkami.

Pomiędzy tymi przywódcami jeden odznacza się nadzwyczajną odwagą i dlatego jest najniebezpieczniejszy. Jest to Metys, urodzony z białego i Hinduski, mieszkał długo w miastach, gdzie są kantony europejskie, mówi bardzo dobrze po angielsku i francusku, dwaj inni hersztowie tu Murzyn i Hindus, nowo przybrany jest Malajczykiem.

Przemytnik Mahal, spodziewając się znacznej nagrody, gdyby wydał tych trzech hersztów i ich ucznia, przyszedł do mnie, wiedząc, jak wszyscy to wiedzą, że jestem w ścisłych stosunkach z osobą, wywierającą wielki wpływ na naszego gubernatora, trzy dni temu więc, pod pewnymi warunkami, ofiarował mi się wydać Murzyna, Metysa, Hindusa i Malajczyka.

Oto jego warunki; dosyć znaczna suma tudzież jak najszybsze odesłanie go do Europy, w przeciwnym bowiem razie nie uszedłby nieubłaganej zemsty dusicieli.

Obiecałem mu być pośrednikiem u gubernatora, ale również pod pewnymi warunkami, zupełnie niewinnymi, dotyczącymi Dżalmy; doniosę ci, jakie to były warunki. Jeżeli mi się mój zamiar powiedzie, wkrótce będę o tym wiedział, gdyż Mahal przybędzie za chwilę. List ten odpłynie statkiem Ruyter, gdzie zamówiłem miejsce dla Mahala i wysłę go, jeżeli wykona jak należy moje polecenie.

Tymczasem pomówię nieco o interesie, bezpośrednio mnie dotyczącym.

W tym samym liście, w którym donosiłem ci o śmierci ojca Dżalmy i o jego uwięzieniu przez Anglików, żądałem wiadomości o stanie interesów barona Trippeaud, bankiera i rękodzielnika w Paryżu, który ma kantor w Kalkucie. Teraz wiadomości te nie są mi już potrzebne i proszę działać stosownie do okoliczności.

Kantor jego w Kalkucie winien nam, to jest mnie i naszemu domowi w Pondichery znaczne sumy, mówią, że stan jego interesów jest bardzo zły.

Założył on fabrykę, aby przez nieubłaganą konkurencję zgubić ogromny, od dawna istniejący zakład przemysłowy Franciszka Hardy, człowieka wielce przedsiębiorczego.

Zapewniają mnie, że zamiar ten pochłonął już baronowi Trippeaud, bez nadziei zwrotu, znaczne kapitały.

Bez wątpienia, zaszkodził wiele Franciszkowi Hardy, ale, jak mówią, nadwyrężył również majątek własny; jeżeli zbankrutuje, my również możemy na tym sporo stracić.

Czy nie można by w takim stanie rzeczy, potężnymi środkami, jakie mamy w swym ręku, zniszczyć kredyt i przywieść do upadku przedsiębiorstwo Franciszka Hardy, chwiejące się już skutkiem zawziętej rywalizacji z baronem Trippeaud; gdyby się to udało, baron odzyskałby wkrótce to, co stracił, a upadek jego rywala zapewniłby mu powodzenie i zabezpieczył wypłatę naszych należności.

Bez wątpienia jest rzeczą smutną, nadzwyczaj bolesną uciekać się do podobnych środków, ażeby nie tracić swego mienia, ale cóż innego pozostaje? Mimo woli trzeba niekiedy chwycić za oręż, jakiego codziennie używają przeciw nam. Zmusza nas do tego niesprawiedliwość i złość ludzka i nic nam innego nie pozostaje, tylko poddać się swojemu losowi.

Wreszcie, jest to tylko pokorna propozycja, którą ośmielam się zanieść; jeślibym sam mógł to uczynić, nie odważyłbym się, gdyż wola moja nie należy do mnie, moja wola i wszystko, co posiadam, należy do tych, którym złożyłem przysięgę na nieograniczone i nieodmienne posłuszeństwo”.

W tej chwili lekki szelest na dworze zwrócił uwagę Jozuego. Wstał spiesznie i zbliżył się do okna. Natychmiast dało się słyszeć trzykrotne pukanie w okiennicę.

– Czy to ty, Mahal? – zapytał Jozue z cicha.

– Ja – odpowiedziano z zewnątrz.

– A Malajczyk?

– Doskonale mu się udało...

– Doprawdy? – zawołał Jozue z zadowoleniem. – Czy aby jesteś pewny?

– Zupełnie, sam diabeł nie mógłby być zręczniejszy i odważniejszy.

– A Dżalma?

– Poszedł do zwalisk Tchandi...

– Gdzie się spodziewa zastać generała Simona? A gdzie znajdzie Murzyna, Metysa i Hindusa?

– Na pewno, gdyż tam wyznaczyli miejsce schadzki Malajczykowi, który wytatuował księcia Dżalmę, gdy ten spał.

– Był tam... jeden kamień postumentu u posągu odsuwa się... schody są szerokie... wystarczy...

– A ci trzech hersztowie nie mają wobec ciebie podejrzeń?

– Żadnych... widziałem ich rano... a wieczorem Malajczyk powiedział mi wszystko, zanim udał się do zwalisk Tchandi.

– Mahal!... Jeżeli powiedziałaś prawdę, jeżeli wszystko się uda, możesz być pewnym łaski i nagrody. Już zamówiłem dla ciebie miejsce na okręcie Ruyter, wyjedziesz jutro i tym sposobem unikniesz zemsty dusicieli, tu nie miałbyś spokoju... Opatrzność wybrała cię, abyś wydał wielkich zbrodniarzy w ręce sprawiedliwości... Bóg cię pobłogosławi... Idź natychmiast i czekaj na mnie przed drzwiami gubernatora... wprowadzę cię, idzie o ważne rzeczy, a ja nie będę się wahał obudzić go, choćby o północy... Idź prędko, zaraz pójdę za tobą.

Słysząc to, jak Mahal spiesznie odchodził i znowu cisza panowała w całym domu...

Jozue wrócił do swego biurka i dopisał jeszcze następujące słowa:

„Teraz Dżalma już nie wyjedzie z Batawii... Cokolwiek by zaszło, nie stanie w Paryżu w dniu 13 lutego. Bądź spokojny...

Jak przewidziałem, muszę być na nogach całą noc, biegnę do gubernatora. Jutro dopiszę jeszcze nieco do tego dziennika, który na okręcie Ruyter powędruje do Francji”.

Zamknąwszy biuro, Jozue zadzwonił i ku wielkiemu zdziwieniu domowników, że wychodzi w nocy, udał się spiesznie do mieszkania gubernatora wyspy.

Przejdźmy teraz do ruin Tchandi.

## ROZDZIAŁ V

### ZWALISKA TCHANDI

Po owej burzy w ciągu dnia, która tak dobrze sprzyjała zamiarom dusiciela wobec Dżalany, nastąpiła spokojna, pogodna noc. Tarcza księżycza rzuciła taki blask, iż trudno było nań patrzeć; wznosił się wolno spoza okazałej masy ruin, leżących na wzgórzu, wśród gęstych lasów, o milę od Batawii. Szerokie kamienne podmurowania, wysokie mury z cegły, które wyszczerbił czas, wielkie portyki zburzone, porośnięte trawą, wydatnie odbijały się przy świetle, jakie w tej podrównikowej strefie miesza się z czystym błękitem nieba. Promień światła księżycowego, przedzierający się otworem portyku, oplecionego pnąciami się roślinami, oświecał dwa kolosalne posągi kamienne, stojące przy schodach, których spojenia i tafle

okryte były trawą, mchem i krzewami. Ułamki jednego z tych posągów leżały rozrzucone po ziemi; drugi posąg, zachowany w całości, wyglądał strasznie.

Wyobrażał on stojącego mężczyznę olbrzymiego wzrostu, z głową na trzy stopy wysoką; wyraz twarzy straszny, żrenice z czarnego błyszczącego kamienia osadzone były w twarzy z siwego kamienia; usta głębokie, szeroko otwarte, w ustach tych ptaki i gady założyły sobie gniazda i przy świetle księżyca widać było, jak się tam szkaradnie roiły... Szeroki pas, z mnóstwem wyrytych na nim znaków magicznych, otaczał tułów posągu, z prawego boku zwisał długi miecz. Olbrzym miał cztery wyciągnięte ręce, w których trzymał głowę słonia, zwiniętego węża, czaszkę ludzika i ptaka podobnego do czapli.

Tu i ówdzie na murach widać było całe jeszcze lub pokruszone płaskorzeźby kamienne. Jedna z najlepiej zachowanych przedstawiała człowieka z głową słonia, o skrzydłach nietoperza, pożerającego dziecko. Nic okropniejszego nad widok tych zwalisk, otoczonych masą wielkich drzew, ruin, okrytych przerażającymi godłami, szczególnie kiedy się je oglądało przy świetle księżyca, wśród głuchej nocy.

Przy murze tej starożytnej świątyni, poświęconej jakiemuś krwiożerczemu, tajemniczemu bóstwu, jawajskiemu, stała zbudowana ze szczątków kamieni i cegieł buda, której drzwi, uplecione z prętów, były otwarte a wychodzące z niej czerwone światło odbijało się na trawie.

Znajdowało się w niej trzech ludzi, którzy siedzieli przy glinianej lampie, napełnionej olejem palmowym. Jeden z nich około czterdziestu lat, odziany był po europejsku, jego biała cera dowodziła, że należy do mieszaińców, że urodził się z białego człowieka i matki Hinduski.

Drugi – był to tęgi Murzyn, z grubymi wargami, barczysty; jego kędzierzawe włosy pokrywać zaczynał szron. Odziany w gałgany, stał przy Hindusie.

Trzeci spał rozciągnięty na macie w kącie budy.

W fizjonomiach tych ludzi malował się wyraz stanowczości wilka, zimna odwaga i zarazem jakby spokojna egzaltacja, z której domyśleć się można było niezłomnej energii tych sekciarzy krwawej religii. Byli to trzej hersztowie dusicieli, którzy ścigani na stałym lądzie, uciekli na Jawę, dokąd ich przywiózł Mahal. przemysłnik.

– Malajczyk nie wraca... – rzekł Metys. – Już późna noc, może Dżalma go zabił...

– Burza wyprowadziła z ziemi wszystkie gady – mówił Murzyn – może Malajczyk został ukąszony i w tej chwili ciało jego stało się już siedliskiem węzów.

– Chcąc służyć Bohwanii – rzekł posepnie Metys – trzeba umieć gardzić śmiercią...

– I zadawać ją – dodał Murzyn.

Przytłumiony krzyk, a potem kilka niezrozumiałych słów, zwróciło uwagę tych dwóch, szybko obejrzelisię na śpiącego.

Miał on najwyżej trzydzieści lat, twarz koloru żółto-miedzianego; ubrany w białą, z grubego muślinu suknię, w mały, żółtoczerwony zawój na głowie, należał do czystej rasy indyjskiej.

Zdawało się, że jego niespokojny sen przerwały jakieś przykre mary, obfity pot lał mu się po twarzy, zmarszczonej przerażeniem, śniąc gadał, gadał prędko, urywanym głosem, a przy tym rzucał się konwulsyjnie.

– Zawsze ten sen, wciąż majaczy o tym człowieku! – rzekł Metys do Murzyna.

– Co to za człowiek?

– Nie przypominasz sobie, jak pięć lat temu okrutny pułkownik Kennedy... kat na Hindusów, przybył nad brzegi Gangesu, aby polować na tygrysy w dwadzieścia koni, cztery słonie i pięćdziesiąt sług?

– Tak, tak – rzekł Murzyn – a my, trzej łowcy ludzi, my wykonaliśmy lepsze łowy; z końmi, słoniami i zgrają sług Kennedy nie dostał tygrysa... a my upolowaliśmy swego – dodał z

szyderczym uśmiechem. – Tak, Kennedy, tygrys w ludzkiej postaci, wpadł w naszą pułapkę, a „bracia dobrego uczynku” ofiarowali tę piękną zdobycz Bohwanii.

– Jak pamiętasz, kiedyśmy zaciskali koło szyi Kennedy'ego zmoczoną chustkę, ujrzyliśmy w pobliżu jakiegoś wędrowca... trzeba było go się pozbyć... Od tego czasu – dodał Metys, wskazując Hindusa – pamięć o nim ciągle ściga go we śnie.

– Ściga go?

– Nawet na jawie – rzekł Metys, spoglądając na Murzyna, z miną dającą do myślenia.

– Popatrz – odrzekł, wskazując Hindusa, który zaczął mówić przerywanym głosem: – Popatrz na niego, o, już powtarza odpowiedzi tego podróżnego, kiedyśmy mu przedkładali, że umrze albo będzie z nami służyć dobrej sprawie... Jak silne wywarło to na nim wrażenie!

Istotnie, Hindus głośno prowadził przez sen jakieś tajemne badanie, w którym kolejno zadawał pytania i odpowiadał na nie.

– Podróżny – mówił – co znaczy ta czarna pręga na twym czole? Ciągnie się ona od skroni do skroni, zły to znak, twoje spojrzenie jest smutne jak śmierć... Czy byłeś już kiedy ofiarą? Chodź z nami... Bohwania mści się za ofiary. Cierpiałeś kiedy?

– Tak, wiele cierpiałem...

– Dawno?

– O! Od bardzo dawna.

– Cierpisz jeszcze?

– Ciągle.

– Co zamierzasz zrobić temu, kto cię skrzywdził?

– Litować się nad nim.

– Chcesz oddać wet za wet?

– Chcę oddać miłość za nienawiść.

– Cóż więc masz w sercu?

– Miłość.

– Któż ty jesteś, co dobrem płacisz za złe?

– Jestem ten, co kocha, co cierpi i przebacza.

– Bracie... czy słyszysz? – rzekł Murzyn do Metysa – nie zapomniał, co mówił podróżny przed śmiercią.

– On jest opętany – odpowiedział Metys – wiesz, jak przywidzenie go ściga... Słuchaj no... jeszcze mówi... Jaki błady!

Istotnie Hindus, ciągle dręczony snem, mówił dalej:

– Podróżny... jest nas trzech, wszyscy jesteśmy odważni, śmierć jest w naszym ręku, wi-  
działeś, poświęciliśmy się dla dobrego uczynku. Przystań do nas... lub zgiń... Ach! Co za  
spojrzenie... O! Nie patrz tak na mnie...

Przy ostatnich słowach nagle się poruszył, jak gdyby chciał oddalić coś zbliżającego się i zerwał się.

Wtedy, ocierając ręką zroszone potem czoło obejrzał się wkoło obłąkanym wzrokiem.

– Bracie... zawsze ten sam – odezwał się do niego Metys. – Na odważnego łowcę ludzi...  
za słabą masz głowę... Szczęściem, że twoje serce i ręka są mocniejsze...

Hindus przez chwilę nie odpowiadał, zakrył twarz rękami, potem rzekł:

– Dawno już... nie śnił mi się ten podróżny.

– Przecież on umarł – rzekł Metys, wzruszając ramionami.

– Czyż nie ty sam okręciłeś mu zmoczone płótno koło szyi?

– Tak... – odrzekł Hindus.

– Alboż nie wykopaliśmy dla niego dołu, obok dołu Kennedy'ego? Czy nie zagrzebaliśmy go podobnie jak kata angielskiego, w piasku pod krzakami? – rzekł Murzyn.

– Tak, wykopaliśmy dół – zawołał Hindus. – Ja dotykałem jego zimnych rąk, a przecież, rok temu, gdy byłem w bramie miasta Bombaj i pod wieczór czekałem na jednego z naszych



braci... Słońce miało zająć za pagodę, stojącą w zachodniej stronie na wzgórzu, wszystko to dobrze pamiętam, siedziałem pod drzewem figowym... wtem słyszę wolne, ale śmiałe stapanie, oglądam się... to był on... wychodził z miasta.

– Przywidzenie – odparł Murzyn – zawsze to samo przywidzenie!

– Przywidzenie – dodał Metys – to przecież niemożliwe.

– Nie zapomina się twarzy człowieka, którego się zabiło... nadto poznałem go po owym czarnym znaku, który mu dzielił czoło, to był on, na chwilę przeląknęłam się i z miejsca ruszyć się nie mogłam... wzrok mój stał się błędny... On stanął, wlepił we mnie oczy, smutne i łagodnie... To on! – zawołałam, składając ręce. „To ja – odpowiedział spokojnym głosem – bo wszyscy, których pozabijałeś, odzyskują życie tak jak ja”. I wskazała na niebo. „Po co zabijać? Słuchaj... idę z drugiego końca świata... do krainy wiecznych śniegów... Czy będę tam, czy tu, na ognistej ziemi czy lodowatej, zawsze będę ten sam! To samo dzieje się z duszami tych, których zabijasz... czy będą na tym, czy na tamtym świecie, w tej, czy innej powłoce... zawsze dusza pozostanie duszą... nie dasz sobie z nią rady... Po co zabijać?...”

Smutnie potrząsnęła głową... i odszedł wolnym krokiem na wzgórze.

Patrzyłam za nim, nie mogąc ruszyć się z miejsca; w chwili, kiedy słońce zachodziło, zatrzymał się na szczycie wzgórza... jego wysoka postać przez chwilę widniała jeszcze, a potem znikł za górą. – O! To był on – dodał z drżeniem, po długim milczeniu. – To na pewno był on!...

Powtarzające się opowiadanie Hindusa, który często opowiadał o tym dziwnym wydarzeniu, zawsze było takie same, budząc w końcu zastanowienie, choć starali się znaleźć racjonalne wytłumaczenie.

– Być może – rzekł Metys – że węzeł zaciskający szyję podróżnego rozluźnił się i że pozostało mu nieco tchu, a gdy doszło do niego powietrze, odzyskał życie.

– Nie, nie – odpowiedział Hindus, potrząsając głową. – Ten człowiek nie jest z naszego pokolenia... – Co takiego?

– Teraz wiem...

– Co wiesz?

– Wiem; jego smutny i łagodny wzrok, gdy padał pod naszymi ciosami, był piekielną ironią, gdyż liczba ofiar, którą synowie Bohwanii poświęcili od tylu wieków, jest niczym w porównaniu z niezmierną liczbą trupów, którą ten straszny wędrowiec pozostawia za sobą w swym zabójczym pochodzie.

– On? – zawołali Murzyn i Metys.

– Słuchajcie dalej. Gdym spotkał tego wędrowca w Bombaju, powiedział mi, że idzie z Jawy i że odchodzi na północ... Nazajutrz miasto Bombaj zostało spustoszone przez cholera... a po pewnym czasie usłyszano, że ta straszna klęska najpierw zaczęła się na Jawie.

– To prawda... – zawołał zamyślony Metys.

– Słuchajcie dalej – mówił Hindus – podróżny powiedział: idę na północ... do krainy wiecznych śniegów... Cholera... poszła także na północ... przeszła przez Maskat, Ispahan, Taurys... Tyflis... dostała się na Syberię...

– To prawda... – przyznał Metys.

– I ta plaga – dodał Hindus – nie postępowała więcej nad dwie do trzech mil na dzień... tyle, co człowiek przechodzi... Nie pokazywała się nigdy jednocześnie w dwóch miejscach... lecz postępowała zawsze z wolna jak chód człowieka...

Na to dziwne podobieństwo dwaj pozostali spojrzeli na siebie w osłupieniu...

Po chwili przerażony Murzyn zwrócił się do Hindusa:

– I sądzisz, że ten człowiek?...

– Sądzę, że człowiek, któregośmy zabili, przywrócony został do życia przez jakieś piekielne bóstwo i sieje wszędzie śmierć... od której sam jest zabezpieczony... Przypominacie sobie – dodał z posępnym uniesieniem – pamiętacie... ten straszny wędrowiec przeszedł przez Jawę, wychodził z Bombaju, udał się na północ... wszędzie za nim wlokła się cholera.

Po tych słowach Hindus głęboko się zamyślił.

Opowiadanie Hindusa wywarło mocne wrażenie na jego towarzyszach, ludziach dzikich, których złość i wpływ strasznych nauk przywiodły do nieustannej chęci zabijania.

Tak, dowiedziono, że w Indiach istniało stowarzyszenie zbrodniarzy, ludzi, którzy zabijali bez powodu, bez namiętności... Zabijali tylko dlatego, żeby zabijać... dlatego, że znajdowali w tym jakąś rozkosz, żeby życie zmienić na śmierć... ażeby z ludzi żyjących czynić trupy, jak sami zeznali przy którymś badaniu...

Jakie okoliczności, jakie pobudki mogły doprowadzić do tego, że poświęcili się służbie śmierci? Ma się rozumieć, podobna religia mogła rozwinąć się tylko w takim kraju, w którym jak w Indiach, gnieździ się najokropniejsze, najbardziej poniżające niewolnictwo. Taka religia nie jest niczym innym jak tylko doprowadzoną do ostatecznego stopnia nienawiścią względem rodzaju ludzkiego.

Na uwagę zasługuje fakt, że w tym stowarzyszeniu tajemniczy węzeł łączy wszystkich członków między sobą, różniąc ich od innych ludzi; dusiciele mają swoje prawa, swoje zwyczaje, wspierają swych towarzyszy, pomagają jeden drugiemu, gotowi życie poświęcić dla współbraci, lecz nie ma dla nich ani ojczyzny, ani rodziny, zależą od ponurej, tajemniczej władzy, której są posłuszni bezwarunkowo, ślepo i z jej woli rozpraszą się w różne strony, ażeby „robić trupy”.

Przez chwilę wszyscy trzej pogrążeni byli w głębokim milczeniu.

Księżyc nie przestawał świecić, a przy jego bladym świetle malowały się wielkie cienie okazałych zwalisk, gwiazdy błyszcząły na niebie, wietrzyk szeleścił gęstymi liśćmi bananów i palm.

Postument olbrzymiego posągu wspierał się na szerokich filarach, na wpół ukrytych pod gęstymi krzakami.

Nagle jeden z filarów zdawał się zapadać. Bez hałasu zrobił się otwór, a z niego wyszedł mężczyzna w mundurze, obejrzał się uważnie wokół siebie i słuchał.

Widząc, jak światło lampy wychodzące z budy, migotało w trawie, cofnął się, dał znak, po czym on i dwaj żołnierze wyszli ostrożnie po schodach z podziemia i skradali się między ruinami.

Przez jakiś czas ich cienie padały na część murawy, oświetlonej blaskiem księżyca, potem znikły za ścianą zwalisk.

W chwili, kiedy wielki filar zapadał się na powrót w swe miejsce, dostrzec można było wielu innych żołnierzy, ukrytych w otworze.

Metys, Hindus i Murzyn, nadal zamyśleni, niczego nie spostrzegli.

## ROZDZIAŁ VI

### ZASADZKA

Metys, chcąc wybić sobie z głowy przykre myśli, jakie wzbudziło w nim opowiadanie Hindusa o tajemniczym pochodzeniu cholery, zmienił przedmiot rozmowy.

Oczy jego zaiskrzyły się przytłumionym ogniem, twarz przybrała wyraz dzikiego uniesienia i zawołał:

– Bohwanio... ty zawsze będziesz czuwać nad nami, nieustraszonymi łowcami ludzi. Nie bójcie się, bracia! Nie bójcie się... świat jest wielki... wszędzie znajdziemy zdobycz... Anglicy zmuszają nas do opuszczenia Indii, nas, trzech naczelników dobrego dzieła i co z tego? Zostawiamy tu naszych braci, tak licznych i strasznych jak czarne skorpiony, które się wtedy dopiero spostrzeże, gdy śmiertelnie ukąszą, wygnanie rozszerzy nasze państwo... Bracie, ty będziesz miał Amerykę – rzekł natchnionym tonem do Hindusa. – Dla mnie będzie Europa!...

Wszędzie, gdzie są ludzie, tam są kaci i ofiary... Gdzie są ofiary, tam być muszą i serca, palące zemstą, naszą powinnością jest podniecać tę nienawiść zarzewiem zemsty! Do nas to należy, podstępem, ułudą pomnażać liczbę usług Bohwanii, zyskiwać sobie wszystkich, którzy gorliwym poświęceniem i odwagą mogą nam być użyteczni. Ubiegajmy się jedni przed drugimi między sobą i dla własnego dobra, w poświęceniu i zaparciu samych siebie, udzielajmy sobie nawzajem wsparcia i pomocy. Nienawiść, wieczna nienawiść dla wszystkich, którzy do nas nie należą, dla nas nie będzie ani rodziny, ani kraju... Naszą rodziną są nasi bracia, naszym krajem... cały świat.

– Tak, słusznie mówisz, bracie – zawołał Hindus dzieląc uniesienie Metysa – do nas świat należy... I nawet tu, na Jawie, pozostawmy ślad naszej bytności... Przed odejściem założymy dobre dzieło na tej wyspie... prędko się tu rozwinie, bo są tu wielkie cierpienia. Holendrzy są równie drapieżni i okrutni jak Anglicy... Bracia, widziałem na tej wyspie, na plantacjach ryżu, błotnistych, śmiertelnych dla tych, którzy je uprawiają, widziałem ludzi, którzy z biedy oddawać się musieli zabójczej pracy, byli bladzi jak trupy, niektórzy, wyniszczeni chorobą, trudami i głodem, upadłszy, podnieść się już nie mogli... Bracia, dobre dzieło wzmacniać się będzie w tym kraju...

– Pewnego wieczora – rzekł Metys – byłem nad jeziorem, przyszła młoda kobieta, nieco łachmanów na wpół tylko okrywało jej wychudłe, spalone na słońcu ciało; trzymała na ręku małe dziecię i z płaczem przyciskała je do zwiędłego łona. Trzy razy ucałowała swego syna, potem rzuciła go w wodę, mówiąc: „Nie będziesz tak nieszczęśliwy, jak twój ojciec”. Dziecię krzyknęło i znikło... Na ten krzyk kajmamy, ukryte w trzcinie, skoczyły z radością do jeziora. Bracia, tu matki zabijają swe dzieci z litości. Dobre dzieło wzmoże się w tym kraju.

– Dziś rano – rzekł Murzyn – po ochłostaniu czarnego niewolnika, stary, małego wzrostu człowiek, przemysłowiec z Batawii, ze swego letniego mieszkania udał się do miasta. Do lektyki zabrał dwie młode kobiety; były to dziewczęta, kupione od matek, którym brakło środków do ich wyżywienia. Lektykę, w której był starzec z dwiema dziewczętami, niosło dwunastu młodych, silnych mężczyzn. Bracia, są tu matki, co z nędzy sprzedają swe córki, są tu niewolnicy, których pan może dręczyć, jak mu się podoba, są ludzie, którzy wykonywują powinność jucznego bydłęcia i noszą innych ludzi... „Dobre dzieło wzmacniać się będzie w tym kraju”.

– W tym... i w każdym, gdzie jest nędza, ucisk, zepsucie...

– O! Gdyby można pozyskać dla nas Dżalmę, jak to radził Mahal, przemysłownik – rzekł Hindus – nasza podróż na Jawę miałaby podwójną korzyść, gdyż przed odejściem zjednalibyśmy sobie tego odważnego młodzieńca, który ma tyle powodów do nienawiści.

– Zaraz tu przyjdzie... Podrażnijmy jeszcze jego gniew.

– Przypomnijmy mu śmierć ojca.

– Morderstwa, dokonane na jego krewnych i przyjaciółach...

– Niewolę...

– Niech nienawiść zapali jego serce, a przystanie do nas...

Murzyn, który od pewnego czasu stał zamyślony, rzekł z żywością:

– Bracia, a gdyby Mahal okazał się zdrajcą?

– On? – zawołał Hindus prawie z gniewem – a przyjął nas na swój statek? A załatwił nam ucieczkę ze stałego lądu? I ma nas zabrać na statek, którym dowodzi i zawieźć do Bombaju, gdzie znajdziemy okręty do Ameryki, Afryki i Europy?

– A jaki Mahal miałby w tym interes, żeby nas zdradzać? – spytał Metys. – Dobrze wie, że nic by go nie zdołało ochronić przed zemstą synów Bohwanii.

– A czy nie obiecał, że podstępem namówi Dżalmę, aby tu do nas przyszedł, a niech tylko między nas wejdzie... musi już być naszym...

– Czy to nie on mówił również: kaźcie, niech Malajczyk uda się do namiotu Dżalmy... niech wykorzysta jego sen, ale niech go nie zabija, niech tylko wypisze mu na ramieniu imię

Bohwanii; w ten sposób Dżalma przekona się o śmiałości, zręczności i posłuszeństwie naszych braci i przekona się, na co odważyć się mogą tacy ludzie i zniewoli go dla nas albo podziw, albo bojaźń.

– A jeżeli nie zechce do nas należeć?

– Wtedy... Bohwania rozstrzygnie o jego losie – rzekł Metys z posępną miną – wiem, co wówczas zrobić.

– Ale czy uda się Malajczykowi zaskoczyć Dżalmę we śnie? – spytał Murzyn niedowierzająco.

– Nie ma śmielszego, zręczniejszego człowieka nad Malajczyka – odparł Metys. – Opowiadał mi Mahal, że Malajczyk odważył się podjeść w legowisku czarnego rysia, karmiącego małe... zabił matkę i zabrał samiczkę, którą potem sprzedał kapitanowi europejskiego okrętu. Dopnie on swego, jeżeli będzie najmniejsza szansa.

– Już dopiął! – zawołał Hindus, przysłuchując się dziwnemu krzykowi, który rozległ się w lesie, wśród ciemnej nocy.

– Tak, to krzyk sępa, unoszącego swą zdobycz – odezwał się Murzyn – to znak, którym nasi bracia zwiastują o złowionej zdobyczy.

Wkrótce potem przed budą ukazał się Malajczyk.

Okryty był jaskrawym perkalem.

– I co? – zagadnął Murzyn z ciekawością – Udało się?

– Dżalma przez całe życie będzie nosił znak „dobrego dzieła” – rzekł z dumą Malajczyk – ażeby jednak dostać się do niego, musiałem poświęcić Bohwanii człowieka, którego napotkał na drodze, porzuciłem ciało w krzakach, niedaleko namiotu Dżalmy... Mahal, przemysłnik, dowiedział się o tym pierwszy.

– I Dżalma nie przebudził się? – zawołał Hindus, zdziwiony zręcznością Malajczyka.

– Gdyby się obudził – odparł zimno Malajczyk – byłbym zginał, gdyż moim obowiązkiem było zachować mu życie.

– Bo jego życie może być dla nas użyteczniejsze niż jego śmierć – odpowiedział Metys.

Potem, zwracając się do Malajczyka, rzekł:

– Bracie, narażając swe życie dla „dobrego dzieła”, uczyniłeś dziś to, co my robiliśmy wczoraj, co zrobimy jutro... Dziś wypełniasz rozkazy innych, jutro będziesz rozkazywał...

– Wszyscy należymy do Bohwanii – rzekł Malajczyk – Co jeszcze trzeba uczynić?... Jestem gotów.

Mówiąc to, zwrócił się w stronę drzwi.

– Idzie Dżalma – rzekł półgłosem – Mahal nas nie oszukał.

– Lepiej, żeby mnie nie widział – rzekł Metys, kryjąc się w najciemniejszy kąt budy – postarajcie się go nakłonić, a jeżeli będzie się sprzeciwiał... wiem, co zrobić.

Zaledwie schował się, nadszedł Dżalma.

Na widok tych podejrzanych ludzi cofnął się zaskoczony.

– To on, to syn Kadzi-Singa – rzekł co cichu Malajczyk.

Dżalma nie wiedział, że ludzie ci należą do sekty sprzysiężonych, a wiedząc, że w tym kraju, gdzie nie ma domów zajezdnych, podróżni częstokroć przepędzają noc pod namiotem lub w ruinach, napotkanych po drodze, zbliżył się; gdy ochłonął z pierwszego zdziwienia, po brązowej skórze twarzy i po ubiorze jednego z nich poznając, że jest Hindusem, odezwał się:

– Sądziłem, że zastanę tu Europejczyka... Francuza...

Hindus odpowiedział:

– Francuz jeszcze nie nadszedł... ale wkrótce nadejdzie...

Ze słów Dżalmy domyślając się fortelu, jakiego użył Mahal, aby zwabić go w tę zasadzkę, Hindus uznał, że zyska na czasie, nie wyprowadzając go z błędu.

– Znasz tego Francuza? – zapytał Dżalma.

– Wyznaczył nam tu miejsce na schadzke... podobnie jak tobie – odezwał się Metys.

- W jakim celu? – rzekł Dżalma, coraz bardziej zdziwiony.
- Dowiesz się... jak przyjdzie.
- Czy to generał Simon kazał wam, abyście tu przyszli?...
- Tak, generał Simon.

Nastąpiło krótkie milczenie, podczas którego Dżalma na próżno usiłował rozważyć tę niejasną sytuację.

– A kim wy jesteście? – zapytał z niedowierzaniem, gdyż ponure milczenie towarzyszy Metysa zaczynało budzić w nim podejrzenie.

- Kim my jesteśmy...? – odpowiedział Metys – będziemy twymi, jeśli zechcesz być naszym.
- Ja, tak się obejdę bez was... jak wy beze mnie...
- Kto wie?
- Ja... ja wiem...

– Mylisz się... Anglicy zabili twego ojca... ojciec twój był królem... uwięzili cię... i nic już nie masz...

Na to okrutne wspomnienie oblicze Dżalma zachmurzyło się. Zadrzał, gorzki uśmiech osiadł na jego ustach.

Metys mówił dalej:

– Ojciec twój był sprawiedliwy i prawy... kochany przez swych poddanych... nazywano go „Ojcem Wspaniałego” i godzien był tego nazwiska... Czy pozostawisz jego śmierć nie pomszczoną? Czyż szarpiąca twe serce nienawiść ma pozostać bezowocną?

– Ojciec mój poległ z bronią w ręku... ja pomściłem jego śmierć na Anglikach, których zabijałem na wojnie. Ten, co mi zastąpił ojca... i który również przelał krew za niego, powiedział mi, a powiedział prawdę, że byłoby teraz nierozsądnie walczyć przeciwko Anglikom dla odzyskania swego kraju. Kiedy mi przywrócili wolność, przysiągłem, że nigdy moja noga nie postanie w Indiach... i dotrzymuję danego słowa...

– Ci, co zabrali ci wszystko... ci, co cię trzymali w niewoli, co zabili twego ojca... to są ludzie... znajdują się wreszcie ludzie, na których będziesz mógł zemścić się...

– Pamiętaj, że sam jesteś człowiekiem...

– Ja i ci, co są podobni do mnie... jesteśmy więcej niż ludzie... Zresztą jesteśmy w rodzaju ludzkim tym, czym są odważni łowcy dzikich zwierząt.

– Twoje słowa są mroczne... ja nie czuję w sercu nienawiści... kiedy nieprzyjaciel jest mnie godny... walczę z nim, jeżeli tchórz... pogardzam nim... Tak więc nie nienawidzę ani mężczyzn, ani tchórzów.

– Zdrada! – krzyknął nagle Murzyn, żywym ruchem wskazując drzwi, od których Dżalma i Metys, zajęci rozmową, przeszli na drugi koniec budy.

Szybki jak błyskawica Metys wy dobył pugi nał, podskoczył jak tygrys i zrobiwszy krok, już był za drzwiami.

Widząc żołnierzy, zbliżających się celem osaczenia budy, jednego z nich ugodził śmiertelnie, dwóch innych powalił i zniknął wśród zwalisk.

Wszystko to stało się tak prędko, iż w chwili, gdy Dżalma odwrócił się, spostrzegł, że do niego również kilku żołnierzy wymierzyło broń, gdy tymczasem inni puścili się w pogoń za Metysem.

Murzyn, Malajczyk i Hindus, widząc nierealność oporu, wyciągnęli ręce do powrozów, które spostrzegli u żołnierzy.

Wtedy kapitan holenderski, dowodzący oddziałem, wszedł do budy.

– A ten tu? – rzekł, wskazując Dżalmę żołnierzom, którzy już krępowali więźniów.

– Po kolei, panie kapitanie, weźmiemy się i do niego! – odezwał się stary podoficer.

Dżalma osłupiał ze zdziwienia, nic nie pojmując, ale gdy ujrzał, że podoficer i dwóch żołnierzy zwrócili się ku niemu z postronkami, odepchnął ich gwałtownie i rzucił się ku drzwiom, w których stał oficer.

Żołnierze, sądząc, że Dżalma podda się swemu losowi tak łatwo jak jego towarzysze, nie byli na ten opór przygotowani i cofnęli się kilka kroków, uderzeni postawą i godnością syna Kadzi-Singa.

– Za co chcecie mnie uwięzić... jak tych ludzi? – zawołał Dżalma, mówiąc po hindusku do oficera, który rozumiał ten język, służąc od dawna w osadach holenderskich.

– Dlaczego chcą cię wiązać, nędzniku?... Dlatego, że należysz do bandy tych zbójców... A wy – dodał po holendersku do żołnierzy – czy się go boicie?... – Zwiążcie mu ręce, zanim mu stryczek zawiążecie na szyi.

– Mylisz się pan – odezwał się Dżalma z zimną krwią i godnością, która zadziwiła oficera – minął ledwie kwadrans, jak tu przyszedłem... nie znam tych ludzi... Przyszedłem spotkać się z pewnym Francuzem.

– Czy nie jesteś dusicielem jak oni?... Przed kim chcesz kłamać?...

– Oni? – zawołał Dżalma z oburzeniem tak naturalnym, że oficer powstrzymał żołnierzy, którzy zabierali się do krępowania syna Kadzi-Singa. – Więc ci ludzie należą do tej okrutnej bandy zbójców... a wy śmiecie obwiniać mnie o współudział!... Moi panowie, pod tym względem jestem zupełnie spokojny – odparł, wzruszając ramionami z pogardliwym uśmiechem.

– Nie wystarczy powiedzieć, że jesteś spokojny – odrzekł oficer – dzięki doniesieniom, wiadomo już, po jakich tajemnych znakach poznają się sprzysiężeni...

– Powtarzam panu, że w najwyższej pogardzie mam tych morderców... że przyszedłem tu tylko dla...

Murzyn, przerywając Dżalmie, rzekł do oficera z dziką radością:

– Powiedziałeś, że synowie „dobrego uczynku” poznają się po znakach, wypisanych na ciele... Nasza godzina nadeszła, oddamy szyje pod stryczek... Dość już często zarzucaliśmy go wokół szyi tym, którzy nie służą dobremu dziełu. Popatrz na nasze ręce i na ręce tego młodzieńca.

Oficer na korzyść Dżalmy tłumacząc słowa Murzyna, rzekł:

– Rzecz oczywista, że jeśli, jak mówi ten Murzyn, nie masz na ręku sekretne go znaku... o czym się zaraz przekonamy, jeżeli przekonująco wyjaśnisz swoją tu obecność, zostaniesz wypuszczony na wolność.

– Nie pojmujesz – odrzekł Murzyn do oficera – książkę Dżalma należy do nas, na lewym ramieniu ma wypisane imię Bohwanii...

– Tak, tak, on również jak my jest synem „dobrego uczynku” – dodał Malajczyk.

– On jest sprzysiężony tak samo jak my – dorzucił Hindus.

Ci trzej ludzie, rozjątrzeni oburzeniem, jakie okazał Dżalma, dowiedziawszy się, że to są sprzysiężeni, zdobyli się na okrutną zemstę, aby przekonać żołnierzy, że syn Kadzi-Singa należy do ich obmierzonego stowarzyszenia.

– Cóż na to powiesz? – zapytał oficer Dżalmę.

Ten wzruszył ramionami z pogardliwym politowaniem, odsunął prawą ręką szeroki rękaw i pokazał gołą rękę.

– Co za bezczelność! – krzyknął oficer.

– I rzeczywiście, poniżej zgięcia ręki na wewnętrznej stronie, widniał czerwony napis: „Bohwania” wryty hinduskimi głoskami.

Oficer podszedł do Malajczyka, obnażył jego rękę i spostrzegł te same znaki... Nie poprzestając na tym, przekonał się, że takie same znaki mieli Murzyn i Hindus.

– Nędzniku! – zawołał z wściekłością do Dżalmy – wzbudzasz jeszcze większe oburzenie aniżeli twoi współnicy... Zwiążcie go jako nikczemnego mordercę – rzekł do żołnierzy – jako podłego zbójcę, który jeszcze nad grobem kłamie, niedługo poniesie zasłużoną karę.

Oslupiały Dżalma, od kilku chwil wlepiając oczy w ten obrzydły napis, nie mógł wymówić słowa ani ruszyć się, gubił się w myślach nad tym niepojętym zjawiskiem.

– Czy śmiesz zaprzeczyć wobec tego znaku? – zwrócił się doń rozgniewany oficer.

– Nie mogę zaprzeczyć... temu, co widzę... co jest – odpowiedział zdumiony Dżalma.

– No, nareszcie przyznajesz się, nędzniku – rzekł oficer – a wy, żołnierze... miejcie na niego baczenie... i na jego współników... bo odpowiadacie za nich.

Sądząc, że jest igraszką niezwykłego snu, Dżalma nie stawiał żadnego oporu, pozwolił związać się i prowadzić. Oficer spodziewał się, że z żołnierzami uda mu się odnaleźć Metysa w zwaliskach, lecz poszukiwania okazały się daremne i po godzinie odszedł do Batawii, gdzie poprzedzał go konwój więźniów.

W kilka godzin później Jozue van Dael kończył swój długi raport do Rodina:

„...Takie były okoliczności, że nie mogłem postąpić inaczej, krótko mówiąc, jest małe zło za wielkie dobro.

Trzej mordercy zostali wydani w ręce sprawiedliwości, a tymczasem uwięzienie Dżalmy ma na celu wyjaśnić jego niewinność.

Dziś rano poszedłem do gubernatora, aby przemówić za młodym księciem; – Ponieważ dzięki mnie – rzekłem – wpadli w ręce sprawiedliwości trzej zbrodniarze, spodziewam się przynajmniej pozyskać łaskę, że władza dozwoli wykazać niewinność i tak już znanego z nieszczęść i szlachetnych przymiotów księcia Dżalmy. Rzecz pewna – dodałem – gdy wczoraj zawiadomiłem gubernatora, że można było schwytać sprzysiężonych, zebranych w zwaliskach Tchandi, nie myślałem o tym, żeby razem z nimi zatrzymano przybranego syna generała Simona, zacnego człowieka, z którym od pewnego czasu pozostaję w najuczciwszych stosunkach. Wypada więc wszelkimi środkami odkryć niepojętą tajemnicę, która wprowadziła Dżalmę w to zgubne położenie i – dodałem jeszcze – jestem tak pewny jego niewinności, że nie żądam dla niego żadnej szczególnej łaski. Zdoła on mężnie i z godnością oczekiwać w więzieniu sprawiedliwości.

W tym zaś wszystkim, jak widzę, mówiłem prawdę i nie mam sobie do wyrzucenia najmniejszego kłamstwa, bo nikt na świecie, jak ja, nie jest bardziej przekonany o niewinności Dżalmy... Gubernator odpowiedział, jak się spodziewałem, że osobiście jest całkiem przekonany o niewinności Dżalmy, że każe obchodzić się z nim jak najlepiej, ale że sprawa toczyć się musi zwykłym porządkiem, gdyż tylko urzędowe śledztwo wykazać może niesprawiedliwość oskarżenia i wykryć, jakim niepojętym trafem tajemnicze znaki znalazły się na ramieniu księcia.

Przemytnik Mahal, który mógłby oświecić w tej mierze sprawiedliwość, za godzinę opuści Batawię, oddalając się na statku Ruyter do Egiptu. A zatem weźmie ze sobą ten raport, gdyż Ruyter ma odpłynąć za godzinę, a ostatnia przesyłka listów do Europy odbyła się wczoraj wieczorem. Ale ja chciałem widzieć się z gubernatorem dziś rano przed zapieczętowaniem tego listu.

Tak więc Dżalma zatrzymany będzie pod ścisłą strażą przez miesiąc; ponieważ minie go odpłynięcie Ruytera, nie będzie mógł w żaden sposób dostać się do Europy przed 13 lutego przyszłego roku.

Widzisz... kazałeś... byłem ci posłuszny, ślepo używałem środków, jakie były w mej mocy. W tym wszystkim cel tylko miałem przed oczyma. W twym ręku byłem tym, czym powinniśmy być w ręku naszych przełożonych... narzędziem...

My nigdy się nie zmieniamy.

J. v. D.”

O dziesiątej rano przemytnik Mahal udał się z zapieczętowaną depeszą na statek Ruyter.

W godzinę potem ciało Mahala, uduszonego na sposób sprzysiężonych, znaleziono ukryte w sitowiu, w odludnym miejscu, któredy szedł do łodzi, mającej płynąć w stronę statku Ruyter.

Gdy po odpłynięciu statku znaleziono trupa przemytnika, daremnie Jozue kazał szukać przy nim obszernego pisma, z którym go wysłał.

Metysa o imieniu Faryngea – dusiciela szukano po całej wyspie, ale bezskutecznie. Nigdy już potem nie widziano na Jawie strasznego przywódcy dusicieli.

## **Część czwarta**

### **ZAMEK CARDOVILLE**

#### **ROZDZIAŁ I**

#### **SZKATUŁKA**

Już trzy miesiące upłynęły, odkąd Dżalma został uwięziony w Batawii, oskarżony o przynależność do zbrodniczej sekty dusicieli.

Scena, która teraz następuje, dzieje się we Francji, pod koniec stycznia 1832 r. w zamku Cardoville, dawnej feudalnej siedzibie, leżącej na skalistych wybrzeżach morskich Pikardii, niedaleko miasta Saint-Valery, w nadmorskiej okolicy, gdzie niemal co roku rozbić się musi kilka okrętów, czego przyczyną są wiatry północno-zachodnie, skutkiem których żegluga na kanale jest tak niebezpieczna.

Jest godzina siódma rano, nie można jeszcze rozeznąć dnia z okien obszernej komnaty na dole zamku. W pokoju tym przy świetle lampy kobieta koło pięćdziesięciu lat, o uczciwym wyrazie twarzy, szczerzej prostoty obejściu, ubrana jak bogate dzierżawczyni pikardyjskie, wstała wcześniej do szycia. Obok niej mąż, prawie w tym samym wieku, siedział przy wielkim stole, segregując próbki pszenicy i owsa.

Mądre, otwarte oblicze tego człowieka wskazuje, że ze zdrowym rozsądkiem łączy pewną żartobliwość; ubrany jest w kurtkę z zielonego sukna, a buty myśliwskie z wysokimi cholewami okrywają aż poza kolana spodnie z czarnego aksamitu.

Straszna burza, szalejąca na dworze, podkreśla jeszcze przytulność tego spokojnego zaciszka.

Żywym płomieniem palą się drwa na kominku z białego marmuru, a mocny blask światła odbija się od starannie wywoskowanej posadzki. Uroku temu pomieszczeniu dodają obicia i firanki z dawnego kretonu perskiego, z czerwonymi, w chińskim guście malowidłami na białym tle, a nad drzwiami figurki pasterskie w stylu Wateau, ścienny zegar z sewskiej porcelany zielono fornirowane meble z pachnącego drzewa.

Burza nie ustawała, wiatr huczał w kominie lub wstrząsał oknami.



Mężczyzną, zajęтым rozdzielaniem próbek zbóż, był pan Dupont, zarządca dóbr i zamku Cardoville.

– O, Matko Boska! Mężu – odezwała się kobieta – jakież to szkaradny czas! Ten Rodin, którego przyjazd dziś rano oznajmił nam intendent księżny Saint-Dizier, w bardzo zły czas wybrał się w drogę.

– Prawda, że rzadko zdarzyło mi się słyszeć o takiej burzy... a jeżeli pan Rodin nigdy nie widział rozszalałego morza, będzie mógł uraczyć się tym widokiem.

– Ale po cóż przyjeżdża tu pan Rodin?

– Niestety, nie wiem, intendent księżny pisze do mnie, abym okazywał największe uszanowanie dla pana Rodina, żebym mu był posłuszny jak swemu panu. Niech sobie tu gospodarzy, moją rzeczą będzie wykonywać jego rozkazy, gdyż przybywa od księżny Saint-Dizier.

– Prawdę mówiąc, tylko od samej panny Adrianny przybyć tu powinien, bo od czasu śmierci jej ojca, księcia Cardoville, majątek do niej właściwie należy.

– Tak, ale księżna jest jej ciotką, intendent trudni się interesami panny Adrianny, czy więc przybędzie kto ze strony jej, czy księżny, to wszystko jedno.

– Może pan Rodin przyjeżdża, aby obejrzeć dobra i może je kupi... Przecież ta otyła pani, która przyjechała przed tygodniem, widocznie miała chrapkę na zamek. Mówiła, że nie przepuści takiej okazji.

Na te słowa żony rządcy zaczął śmiać się z przekąsem.

– Z czego się tak śmiejesz, Dupont? – zapytała żona, dobre stworzenie, ale nie odznaczająca się ani sprytem, ani przenikliwością.

– Śmieję się – odpowiedział Dupont – bo mam w pamięci postać i zachowanie tej baby; kto ma taką minę, temu wcale nie przystoi nazywać się panią Sainte-Colombe. Gruba jak fasa, a głos chrapliwy, jakby jakiego pijaka, siwe wąsy, jak u starego grenadiera i może nie spodziewała się, że usłyszałem, jak powiedziała do lokaja: ruszaj, bałwanie. I nazywa się Sainte-Colombe.

– Dupont, dziwny z siebie człowiek, nikt przecież nie obiera sobie nazwiska. A przy tym to nie jej wina, że ma brodę.

– Tak, ale jest temu winna, że się nazywa Sainte-Colombe. Może myślisz, że to jej własne nazwisko... O! Moja Kasiu, ty jesteś parafianką... nigdzie nie byłaś i wierzysz wszystkiemu, co ci powiedzą...

– Mój mężu, nigdy nie możesz wstrzymać języka od uszczypliwych żartów, dama ta jest bardzo szanowaną osobą... Gdy przyjechała, pierwszym jej zapytaniem było, gdzie jest kaplica. Mówiła nawet, że każe ją przyozdobić... A kiedy jej powiedziałam, że w tych dobrach nie ma kościoła, zdawała się być bardzo niezadowolona.

– Tak to zwykle bywa, pierwszą rzeczą u tych, co się dochrapią majątku, jest udawanie możnych i wielkich dam.

– Pani Sainte-Colombe nie potrzebuje udawać wielkiej damy, gdyż jest nią rzeczywiście.

– Ona? Wielka dama?

– A tak. Wystarczyło spojrzeć, jak wytwornie była ubrana w paśowej sukni, w fioletowych rękawiczkach, a potem, gdy zdjęła kapelusz, miała loki, łańcuch wysadzony diamentami, kolczyki z dużych jak palec diamentów, brylantowe pierścionki na wszystkich palcach.

– Tak, tak, ślicznie znasz się na tym...

– E! To jeszcze nie wszystko!...

– No... no... I co jeszcze?

– O samych tylko mówiła książętach, hrabiach, o bardzo bogatych panach, którzy u niej bywają i którzy są jej przyjaciółmi, a potem pytała mnie o oficynę, którą zobaczyła w ogrodzie, a której, na pół spalanej przez wojska nieprzyjacielskie, nieboszczyk pan nie kazał odbudować. – Cóż to są za ruiny? – zapytała. – To zgłiszcza z czasów przejścia wojsk sprzymierzonych – odpowiedziałam. – Ach! Moja droga... – zawołała – sprzymierzeńcy... to oni i Lu-

dwik XVIII na nogi mnie postawili. – Wtedy, mój kochany Dupont, pomyślałam sobie: Ach!... To niezawodnie musi być dawna emigrantka.

– Pani Sainte-Colombe... – zawołał rządcą, śmiejąc się na głos – Oj, kobieto! Kobieto!

– Oj! Ty, żeś pobyl trzy lata w Paryżu, to już uważasz się za jasnowidza...

– Kasiu, przestańmy mówić o tym, jeszcze powiedziałbym jakieś głupstwo, a są rzeczy, o których dusza tak dobra jak twoja nigdy wiedzieć nie powinna.

– Nie wiem, co przez to rozumiesz... ale daj spokój, nie bądź tak uszczypliwy, bo wreszcie, jeżeli pani Sainte-Colombe kupi te dobra... byłbyś wtedy kontent, żeby cię zatrzymała przy twych obowiązkach rządcy... nieprawdaż?

– To prawda... bo wiadomo, Kasiu, żeśmy się postarzeni i już dwadzieścia lat tu jesteśmy, a zanadto jesteśmy uczciwi, żebyśmy pomyśleli o skubaniu czegoś na stare lata, a przyznam, że w naszym wieku przykro byłoby szukać sobie innego sposobu utrzymania... Ach! Najbardziej żal mi, że panna Adrianna sama dla siebie tych dóbr nie trzyma... zdaje się, że to ona chciała je sprzedać... a księżna miała inne zamiary.

– Och! Mężu... Czy byłoby to możliwe?

– Co?

– Żeby panna Adrianna, taka młoda, sama zarządzać miała swym majątkiem...

– Nic dziwnego, panna nie ma ani ojca, ani matki, jest panią swego majątku, zwłaszcza że ma dobrą główkę, przypominasz sobie, jak przed dziesięciu laty przywiózł ją tu w lecie pan hrabia. Co to było za dziecko... jaka psotnica, a przy tym jakie oczy! Prawda, jakie były figlarne?

– Bez wątpienia, panna Adrianna już wówczas była nad wiek rozwinięta.

– Jeżeli została taką, jak się zapowiadała, swawolna, z milutką buzią, musi być teraz bardzo ładna, pomimo cokolwiek czerwonych włosów, bo, niech to będzie między nami... gdyby była sobie po prostu mieszczką, zamiast być panną wysokiego urodzenia, każdy powiedziałby, że jest ruda.

– Otóż masz, znów złośliwość!

– Wobec panny Adrianny? Uchowaj Boże!... Ona wyglądała, na równie dobrą jak ładną. Ja nie ze złej woli mówię, że jest ruda... Przeciwnie, gdyż przypominam sobie, że jej włoski były tak delikatne, złociste, tak dobrze pasowały do jej twarzyczki białej jak śnieg i do jej czarnych oczu, iż trudno wyobrazić sobie coś piękniejszego: i jestem pewny, że teraz ten kolor włosów, jaki szpeciłby inną, czyni twarz panny Adrianny jeszcze bardziej zachwycającą, powtarzam ci, że to coś nadzwyczajnego.

– Oj! Tak, trzeba przyznać, jaki z niej zuch!... Ciągle biegała po ogrodzie, nieustannie sprzeciwiała się guwernantce, wspinała się na drzewa... i coraz to nowe figle!...

– Tak, przyznaję, panna Adrianna to był diabełek w ludzkiej postaci, ale jaki dowcip, jaka swawola, a nade wszystko, jakie dobre serce, nieprawdaż?

– Tak, bardzo dobra.

– Przypominasz sobie, gdy poszła z guwernantką na przechadzkę: nieraz wracała bez szala, gdyż podarowała go wiejskim dzieciom...

– Alboż to raz zdarzyło się, że nowiuteńką suknię darowała babie, a sama tylko w spódnicy wracała do zamku... i z gołymi rękami: śliczne to było dziecko!

– Serce przedziwne, ale głowa... co za głowa!

– Tak, bardzo zła głowa, ja zawsze powtarzałem, że to się źle skończy i okazuje się, że ona w Paryżu wyprawia różne rzeczy... i to jakie rzeczy...

– No! Cóż takiego?...

– Ach! Mój kochany, nie śmiem...

– Ależ mów...

– Oto – rzekła kobieta z zakłopotaniem, co dowodziło, jak była przejęta zgrozą – panna Adrianna mieszka w jakiejś bałwochwalczej świątyni w końcu ogrodu obok pałacu swej ciot-

ki, a usługują jej zamaskowane kobiety, które ją ubierają jak boginię, ona zaś bije je, bo nigdy nie jest trzeźwa... Nie mówię już o tym, że po całych nocach trąbi w szczerozłotą myśliwską trąbę, co, jak możesz sobie wyobrazić, doprowadza jej ciotkę do rozpacz...

Tu rządcą parsknął śmiechem.

– Ale któż ci naopowiadał takich rzeczy o panie Adriannie?

– Wiem od żony Ireneusza, która jeździła do Paryża po mamkę dla dziecka, była w pałacu księżny Saint-Dizier, aby spotkać się z panią Grivois, swoją chrzestną matką... jak ci wiadomo, pierwszą garderobianą księżny... Ta pani Grivois jej to wszystko powiedziała, a ona musi dobrze wiedzieć o wszystkim, gdyż mieszka w tym samym domu.

– Tak, tak, dobra sztuka ta Grivois. Była to niegdyś największa rozpustnica, a teraz czyni tak samo jak jej pani... świętoszka... dewotka, bo jaka pani, taka i sługa... księżna sama, teraz tak przykładna i skrupulatna, niegdyś wcale inaczej dokazywała... Przypomnij sobie! Piętnaście lat temu... owego pięknego pułkownika od huzarów, margrabiego d'Aigrigny, co stał na kwaterze w Abbeville, a który tu zawsze przyjeżdżał... No, pamiętasz, emigrant, co służył dawniej gdzieś w obcych krajach, a potem – Burbonowie dali mu pułk.

– Tak, pamiętam, ale zmiłuj się, przestań być złośliwy.

– Ja nic złośliwego nie mówię. Pułkownik rozgościł się w zamku i mówiono, że łączą go bliskie stosunki z księżną, dzisiejszą dewotką...

– Tak, co prawda, to prawda, dobre to były czasy, biesiady, bale i widowiska niemal co wieczór w zamku...

– Pewnego razu...

Dupont nie dokończył tego, co chciał powiedzieć. Tłusta służąca, w ubraniu i czepku, jakie noszą w Pikardii, weszła ze słowami:

– Panie... jakiś pan ma interes do pana, przyjechał z Saint-Valery koszykiem pocztowym... mówi, że się nazywa Rodin.

– Rodin?... – rzekł rządcą, wstając. – A proś co prędzej.

Po chwili Rodin wszedł do pokoju rządcy.

Zawsze skromnie ubrany, wszedł, kłaniając się nisko. Żona na skinienie męża wyszła.

Trupia twarz Rodina, prawie niedostrzegalne usta, malutkie jak u gadziny, na pół zakryte wielkimi powiekami oczy, brudna odzież, tworzyły niezbyt ujmującą całość, jednakże ten człowiek, gdy było potrzeba, umiał przybrać taką dobrotliwość, taką serdeczność, iż jego mowa stawała się tak ujmująca, że nieprzyjemne wrażenie, a nawet odraza powoli znikwały i prawie zawsze kończył tym, iż swoją ofiarę usidlił, wplątał w kręte zwoje swej elokwencji, równie zręcznej jak przewrotnej.

Pocziwy rządcą patrzył na niego ze zdziwieniem; mając na myśli naglące polecenia intendenta księżny Saint-Dizier, sądził, iż ujrzy zupełnie inną osobę; ledwie też mogąc ukryć zdziwienie, rzekł:

– Wszak mam zaszczyt mówić z panem Rodin?

– Tak jest, panie... tu jest list od intendenta księżny Saint-Dizier.

– Zechciej pan, zanim przeczytam list, podejść do kominka. Powietrze jest niemiłe i chłodne – rzekł rządcą uprzejmie – czy pozwoli pan czymś sobie służyć?

– Serdecznie panu dziękuję, za godzinę odjeżdżam.

– Dobrze – rzekł rządcą, przeczytawszy list. – Pan intendent ponawia polecenie, aby być posłusznym pańskim rozkazom.

– Chodzi o małe rzeczy, nie będę pana długo trudził...

– Panie... to dla mnie zaszczyt...

– Wyobrażam sobie, jak liczne i nieustanne muszą być pańskie zajęcia! Wystarczy wejść tylko do tego zamku, a od razu uderza wzorowy porządek i czystość, dowodzi to pańskiej wielkiej troskliwości o wszystko.

– Naprawdę pochlebia mi pan.

– Pochlebiać panu... tego właśnie nigdy nie umiałem... stary, prosty człowiek jak ja, nigdy o tym nie myśli... ale wróćmy do interesu... Jest tu pokój zwany zielonym?

– Jest, panie, to pokój, w którym niegdyś zwykł był pracować nieboszczyk hrabia Car-doville.

– Bądź pan łaskaw pokazać mi go...

– Na nieszczęście, właśnie temu pańskiemu żądaniu zadośćuczynić nie jestem w stanie... Po śmierci pana hrabiego schowano wiele papierów w szafach tego pokoju i zabrano klucze do Paryża...

– Masz je pan... oto klucze – rzekł Rodin, pokazując rządcy jeden duży, drugi mały klucz związane razem.

– A... to co innego... przybywasz pan po papiery?

– Tak... po pewne papiery... tudzież po małą mahoniową szkatułkę, ze srebrnym znaczkiem... Znasz ją pan?

– Tak... widywałem ją często na stole, przy którym nieboszczyk zwykle pracował... jest ona w wielkiej szafie, od której klucz pan trzyma...

– Zechce więc pan zaprowadzić mnie do owego pokoju, stosownie do upoważnienia księżnej pani.

– Dobrze, panie... A księżna zdrowa?

– W najlepszym zdrowiu.

– Łaskawy panie.. mówmy o czym innym – rzekł Rodin, westchnąwszy głęboko.

– Ach, panie!... Czyżby jakie nieszczęście spotkać miało pannę Adriannę?

– Jak pan to rozumie?

– Czy zachorowała?

– Nie... nie... na nieszczęście jest równie zdrowa, jak piękna...

– Na nieszczęście? – powtórzył zdziwiony rządcą.

– Tak, zaiste! Bo gdy piękność, młodość i zdrowie połączą się z burzliwym, przewrotnym umysłem... z charakterem, który pewnie nie ma podobnego sobie na ziemi... lepiej byłoby nie mieć tych niebezpiecznych darów... które bywają często przyczyną zguby... Ale, proszę pana, mówmy o czym innym... Temat ten jest dla mnie przykry... – rzekł Rodin wzruszonym głosem i końcem małego palca lewej ręki sięgnął do prawego oka, jak gdyby chciał otrzeć łzę.

Rządcą nie widział łzy, ale widział poruszenie i zdziwiła go zmiana głosu Rodina. Odezwał się więc wzruszony:

– Daruj mi pan moją nieuwagę... nie wiedziałem...

– To ja pana proszę o przebaczenie mi mimowolnego rozczulenia... Łzy rzadko zdarzają się starym... lecz gdybyś widział tak jak ja, rozpacz nieoszacowanej księżny... która w tym tylko jest winna, że zbyt dobra... zbyt słaba dla swej bratanicy... i tym sposobem rozzuchwalała ją, raz jeszcze proszę... mówmy o czym innym.

Po chwili milczenia rzekł:

– Tak więc, jednej części mego posłania już dopełniłem, pozostaje jeszcze druga... Nim przystąpimy do niej, winienem przypomnieć jedną rzecz, która już może wyszła panu z pamięci... mianowicie, że piętnaście lat temu pan margrabia d'Aigrigny, naówczas pułkownik huzarów w Abbeville... bawił tu przez jakiś czas.

– Ach! Panie, jaki to piękny oficer! Niedawno mówiłem o nim z żoną. Była to radość zamku, a jak dobrze grał komedię, nade wszystko hultajów, np. w „Dwóch Edmundach” umierać było można ze śmiechu, występował w roli pijanego żołnierza... a jaki piękny głos... śpiewał tu Jakonda, jakby nie zaśpiewano nawet w Paryżu.

Rodin, wysłuchawszy uprzejmie rządcy, rzekł:

– Pewno wiadomo panu, że po okropnym pojedynku, który miał z zaciekłym bonapartystą, generałem Simonem, margrabia d'Aigrigny, którego ja w tej chwili mam zaszczyt być poufnym sekretarzem, opuścił świat i wstąpił do stanu duchownego...

- Ach! Czy to być może... ów piękny pułkownik?
- Ów piękny pułkownik, waleczny, szlachetny, bogaty, o którego się wszyscy ubiegali, fetowali, opuścił tyle korzyści dla ubogiej, czarnej sukni i pomimo swego nazwiska, pozycji, związków, swojej reputacji wielkiego kaznodziei, jest dziś tym, czym był przed czternastu laty... prostym księdzem, zamiast być arcybiskupem lub kardynałem jak wielu innych, którzy nie posiadali ani jego zasługi, ani jego cnót...
- Rodin mówił tak przekonywująco, zdarzenia i okoliczności, które przytaczał, zdawały się być tak prawdziwe, iż Dupont nie mógł się wstrzymać od zawołania:
  - A to wybornie... panie! To wybornie...
  - Wybornie... nie, zaiste! – rzekł Rodin z trudną do naśladowania naiwnością – to rzecz bardzo prosta... takie serce, jakie ma d'Aigrigny... Lecz prócz innych przymiotów ten ma szczególniejszy, że nigdy nie zapomina o ludziach poczciwych, zacnych i sumiennych... Otóż krótko mówiąc, zacny panie Dupont, przypomniał sobie i o panu.
    - Jak to! Margrabia raczył...
    - Przed trzema dniami odebrałem od niego list, w którym pisał o panu.
    - Jest więc w Paryżu?
    - Oczekujemy go lada chwila, blisko trzy miesiące temu pojechał do Włoch... W tej podróży doszła go nader smutna wiadomość o śmierci matki, która bawiła w dobrach księżny Saint-Dizier.
      - Ach! Mój Boże!... Nie wiedziałem o tym.
      - Tak, było to dla niego wielkie zmartwienie, ale trzeba umieć zdać się na wolę opatrności.
      - A w jakich to okolicznościach pan margrabia zaszczycił mnie swoją pamięcią?
      - Zaraz panu powiem... przede wszystkim trzeba panu wiedzieć, że ten zamek jest sprzedany... kontrakt podpisany został w przeddzień mego odjazdu z Paryża...
      - Ach! Panie! Zaczynam być niespokojny.
      - Dlaczego?
      - Obawiam się, czy nowy dziedzic zechce mnie zatrzymać jako rządcę.
      - Zważ pan tylko, jakie to szczęśliwe zdarzenie! Właśnie o tej posiadzie chcę z panem mówić.
      - Czy to możliwe?
      - Zapewne, wiedząc, jak margrabia zajmuje się panem, pragnąłbym, mocno pragnąłbym, abyś pan mógł utrzymać tę posadę, będę się starać wszelkimi siłami przysłużyć się panu, jeżeli...
      - Ach, panie! – zawołał Dupont, przerywając Rodinowi – jakże mu jestem wdzięczny! Niebo tu pana zesłało...
      - I pan też... pochlebiasz mi nawzajem, przede wszystkim powinienem wyznać, że muszę postawić pewien warunek...
      - Ach, mniejsza o to... mów pan, mów...
      - Osoba, mająca mieszkać w tym zamku, jest podeszłą damą, pod każdym względem godną szacunku: szanowana to osoba nazywa się pani de Sainte-Colombe...
      - Jak to – rzekł rządcą – więc to pani de Sainte-Colombe kupiła zamek?
      - To pan ją zna?
      - Tak, była tu przed tygodniem, aby obejrzeć te dobra... Moja żona mówi, że to wielka dama... ale, mówiąc między nami... z pewnych słów, jakie z jej ust usłyszałem...
      - Panie Dupont, jak widzę, jesteś przenikliwy... Bardzo wiele jeszcze brakuje pani de Saint-Colombe, żeby była wielką damą... zdaje mi się, że ona była kiedyś modniarką, pod galeriami w Palais-Royal. Widzi pan, że otwarcie z nim mówię.
      - A chlubiła się, że w jej domu bywali panowie francuscy i zagraniczni.

– Być może przychodzili zamawiać kapelusze dla swych żon, tak więc, zebrawszy wielki kapitał... i spędziwszy życie za młodu i w dojrzałym wieku... bez wielkiej troski o zbawienie swej duszy, obecnie jest na wybornej, pełnej zasługi drodze... To, to właśnie, jak panu mówiłem, czyni ją godną szacunku ze wszech miar, bo nic szacowniejszego nad szczery i wytrwały żal za grzechy... Lecz żeby mogła osiągnąć zbawienie, potrzeba nam pana, panie Dupont.

– Mnie... a cóż ja mogę?

– Twoja pomoc może być bardzo skuteczną, a to z następującej przyczyny: W tej wsi nie ma kościoła, a leży ona w środku między dwiema parafiami. Pani de Sainte-Colombe, chcąc dokonać wyboru między dwoma księżmi, który z nich odprawiałby dla niej mszę w kaplicy, zechce pewno zasięgnąć pańskiej rady, jako dawno tu zamieszkałego.

– Och! W takim, razie rada będzie krótka... proboszcz w Danicourt jest najlepszym człowiekiem...

– Otóż właśnie nie trzeba go jej polecać.

– A to dlaczego?

– Przeciwnie, trzeba zalecać jej proboszcza z Boiville, aby skłonić tę damę, żeby go wybrała.

– A dlaczego raczej jego niż tamtego?

– Dlaczego? Zaraz powiem, jeżeli panu i jego małżonce uda się nakłonić panią de Sainte-Colombe do wyboru, którego ja sobie życzę, możesz być pewnym utrzymania się tu jako rządcą. Na to daję słowo honoru, a co obiecuję, tego święcie dotrzymam.

– Nie wątpię, że ma pan taką władzę – rzekł Dupont, przekonany tonem i powagą Rodina – lecz chciałbym wiedzieć...

– Jeszcze jedno – rzekł Rodin, przerywając mu – powinienem działać otwarcie i powiedzieć panu, dlaczego nalegam na wybór, o którym mówiłem i chcę, żeby go pan popierał. Mocno by mnie martwiło, gdybyś pan upatrywał w tym cień intrygi. Idzie tu po prostu o dobry uczynek. Proboszcz w Boiville, dla którego żądam pańskiego poparcia, jest człowiekiem, którym ksiądz d'Aigrigny szczególnie się zajmuje. Choć ubogi, utrzymuje przy sobie starą matkę. Gdyby zajmował się zbawieniem pani de Sainte-Colombe, pracowałby koło niej skuteczniej niż którykolwiek inny, gdyż jest pełen skruchy i cierpliwości, a potem, rzecz oczywista, że przez tę godną damę miałby niejaki korzyści, na których zyskałaby jego stara matka... Oto całe wyjaśnienie. Gdy się dowiedziałem, że dama ta ma zamiar kupić dobra, przyległe do parafii naszego protegowanego, napisałem o tym do pana margrabiego, on przypomniał sobie o panu i napisał do mnie; aby prosić pana, żebyś mu wyświadczył tę małą przysługę, która, jak pan widzi, nie będzie bezinteresowna. Raz jeszcze powiem panu i dowiodę, że mam władzę utrzymania go na rządcostwie. I... jeszcze słówko... albo raczej jeszcze jeden warunek. Będzie on równie ważny jak pierwszy... Ażeby zapewnić moją, a nade wszystko pańską odpowiedzialność, gdybyś się zgodził na postawione warunki, żądam, abys dwa razy na tydzień opisywał mi z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co spostrzeżesz w charakterze, postępkach i stosunkach pani de Sainte-Colombe. Rozumiesz, że muszę orientować się w jej postępowaniu, zwłaszcza gdy okazałyby się w czymś niewłaściwe.

– Ależ panie! To szpiegostwo – krzyknął rządcą.

– Mój panie Dupont... Czyż można tak znieważać jedną z najświętszych skłonności ludzkich... zaufanie... gdyż ja żądam od pana... tylko, abys mi pisał w zaufaniu o wszystkim, co się tu będzie dziać, i to w najdrobniejszych szczegółach... Pod tymi warunkami pozostaniesz rządcą... inaczej... z żalem zmuszony będę postarać się o kogoś innego dla pani de Sainte-Colombe.

– Panie... proszę cię – rzekł poruszony Dupont – bądź wspaniałomyślny... Ja i żona z tej tylko posady mamy całe utrzymanie, a za starzy jesteśmy do szukania innego sposobu zarobkowania. Nie skazuj nas na nędzę i poniewierkę po czterdziestu latach uczciwej pracy!

– Kochany panie Dupont, jesteś dziecinny, namyśl się... za tydzień dasz mi odpowiedź...

- Miej litość, panie!...
- Rozmowę przerwał huk, którego echa powtórzyły nadbrzeżne skały.
- Co to jest?... spytał Rodin.
- Za chwilę ponowny huk z jeszcze większą mocą rozdarł powietrze,
- Armata... – zawołał Dupont, zrywając się. – To wystrzał działowy, jakiś okręt wzywa pomocy albo przywołuje sternika.
- Mężu! – rzekła żona rządcy, wbiegając nagle do pokoju. – Z tarasu widać na morzu statek i okręt żaglowy, który postradał już wszystkie maszty... wiatr pędzi go do brzegu, okręt trzymasztowy daje ognia na ratunek... zgubiony!...
- Ach! To okropne... tylko patrzeć, jak się rozbija! – zawołał rządcą, biorąc kapelusz z zamiarem wyjścia.
- Więc nie ma ratunku dla tych okrętów?... – zapytał Rodin.
- Ratunku... jeżeli wiatr je zapędzi na rafy... żadna siła nie zdoła ich uratować, od czasu zrównania dnia z nocą już dwa okręty rozbiły się na tych brzegach.
- Rozbiły się?... I ludzie z całym mieniem zginęli? Ach! To Okropne – rzekł Rodin.
- Przy takiej burzy, na nieszczęście, jest mała nadzieja ocalenia tych ludzi, ale cóż robić – rzekł rządcą, zwracając się do żony – pobiegnę na brzeg z folwarcznymi ludźmi, będziemy próbowali, może się da uratować tych nieszczęśników; każ napalić w kilku pokojach, przygotuj bieliznę, odzież, lekarstwa... Nie mam nadziei, żeby się dało kogoś uratować... lecz trzeba próbować... Pójdzie pan ze mną, panie Rodin?
- Poczytywałbym sobie za obowiązek, gdybym tylko mógł przydać się panu na co, lecz mój wiek... moja słabość, czynią mnie do tej posługi niezdatnym – rzekł Rodin. – Pańska żona zechce mi pokazać zielony pokój, zabiorę stamtąd rzeczy, po które przyjechałem i odjadę do Paryża, gdyż bardzo się śpieszę...
- Dobrze, żona zaprowadzi pana, a ty każ dzwonić – rzekł do sługi. – Niech wszyscy ludzie idą za mną nad morze, niech wezmą linki i drągi.
- Dobrze, mężu, ale nie narażaj się.
- Pocałuj, aby mi się szczęściło – rzekł rządcą, potem wyszedł spiesźnie, wołając:
- Prędko... prędko, bo może już ani deski z okrętu nie zastaniemy.
- Moja pani! Racz mnie zaprowadzić do zielonego pokoju – rzekł Rodin, obojętny wobec tragicznego zdarzenia.
- Proszę iść za mną – odrzekła Katarzyna, ocierając oczy, gdyż bała się o los męża.

## ROZDZIAŁ II

### BURZA

Morze było bardzo wzburzone...

Ciemnozielone, pokryte białą pianą bałwany toczą się na przemian to w górę, to w dół, przy czerwono-jaskrawym blasku światła na horyzoncie.

W dali, w połowie pochyłości skalistego przylądka, daleko wysuniętego w morze, wznosi się zamek Cardoville, jego okna czerwienią się od odbijającego się od nich płomienistego słonecznego światła, jego mury z czerwonej cegły i wysoki szczyt kryty dachówką nurzają się w obciążonym mgłami powietrzu.

Wielki okręt bez masztów, płynący tylko przy słabej pomocy kawałków żagli, przywiązanych do pni masztowych, pędzi ku brzegom.

Już to toczy się po grzbiecie ogromnych bałwanów, już wpada w ich przepaść.

Błyska się... potem zahuczy grom, ledwo słyszalny pośród strasznego szumu burzy... To wystrzał armatni, ostatni znak oczekujących ratunku.

W tej chwili parowiec, okryty obłokiem czarnego dymu, przybywa od wschodu i natęża wszelkie siły, by utrzymać się z dala od brzegu.

Bezmasztowy okręt lada chwila przemknie przed statkiem parowym, lecąc na skały, popychany wiatrem i wzburzoną morzem.

Nagle gwałtowna fala uderza w bok parowca, ogromny bałwan morski ze strasznym impetem wpada na pokład; w jednej sekundzie komin został obalony, bęben pogruchotany, jedno koło maszyny połamane... Druga potężna fala uderza w poprzek statku i pędzi ku brzegom... w tym samym kierunku co trzymasztowy zrujnowany okręt.

Lecz ten, mimo że bardziej oddalony od raf, nadstawiając wiatrom i morzu obszerniejszą powierzchnię aniżeli statek parowy, dopędza go i tak się do niego zbliża, iż grozi niebezpieczeństwo ich zetknięcia... a to oznaczałoby niezawodne rozbicie.

Okręt trzymasztowy był to okręt angielski o nazwie „Black-Eayle”. Wracał z Ameryki, wioząc podróżnych, którzy, przybywszy z Indii i Jawy na statku parowym Ruyter, wysiedli z niego dla przebycia międzymorza Suez. „Black-Eayle”, wypłynąwszy z cieśniny gibraltarskiej, zawinął do Wysp Azanskich, skąd teraz płynął, zdążając do Portsmouth, gdzie złapał go północno-zachodni wiatr.

Statek parowy o nazwie „Wilhelm Tell”, płynął z Elby i pozostawiając na boku Hamburg, zmierzał do Hawru.

Obydwa okręty, pędzone burzą, popychane przybierającym morzem, z niesłychaną szybkością kierowały się na rafy.

Pokłady obydwa przedstawiały bolesny widok, śmierć podróżnych zdawała się niechybną, gdyż morze z okropnym łoskotem rozbijało się o nagie, strome skały brzegów.

Kapitan trzymasztowego okrętu „Black-Eayle”, stojąc w tyle i trzymając się szczątków masztu, w tej okropnej sytuacji z zimną krwią wydawał rozkazy. Bałwany poobrywały szalupy, nie było więc żadnego środka ratunku. Jedyłą szansą ocalenia, gdyby się okręt od razu nie rozbił, uderzając o skały, było podanie końca liny z okrętu na brzeg. Pokład był pokryty pasażerami, których trwoga połączona z krzykiem, powiększała jeszcze powszechne zamieszanie.

Jedni, osłupiali, uchwyciwszy się drabin masztowych, oczekiwali śmierci w odretwieniu, inni załamywali ręce z rozpaczą lub tarzając się po pokładzie, przeraźliwie wołali ratunku.

Tu modliły się klęczące kobiety, inne zakrywały sobie oczy rękami, aby nie widzieć zbliżającej się okropnej śmierci; młoda matka, blada jak trup, przyciskając do łona małe dziecko, biegła od jednego do drugiego marynarza, wzywając ratunku, ofiarując worek pełen złota i klejnotów temu, kto ocali jej syna.

Młodzieniec koło osiemnastu czy dwudziestu lat, czarnowłosa, śniadej cery, rzadkiej piękności przypatrywał się tej, przerażającej scenie z owym smętnym spokojem, zwykłym u tych, którzy często walczyli z wielkimi niebezpieczeństwami; owinąwszy się w płaszcz, oparłszy się plecami o burtę, stał spokojnie. Wtem matka, która na próżno z dzieckiem w jednym ręku, a z workiem złota w drugim, zebrała litości u wszystkich majtków, spostrzegła młodzieńca, rzuca się mu do nóg, podaje mu dziecko błagając w okropnej rozpacz. Młodzieniec wziął dziecko na ręce, smutno kiwnął głową, pokazując matce rozchukane fale... gestem jakby wskazującym, iż obiecywał jej, że je ocali...

Nieco dalej inny podróżny, niewiele starszy i równie urodziwy, o anielskiej wprost twarzy okolonej długimi, jasnymi lokami, zwracał uwagę niezwykłym zachowaniem.

Zatrzymywał się przy rozpaczających, dodawał otuchy przerażonym ludziom, modlił się głośno, dla każdego znalazł słowa. nadziei, starając się odsuwać myśl o śmiertelnym niebezpieczeństwie.

W jego pięknej twarzy odczytać można było jakąś świętość religijne oderwanie się od wszelkiej ziemskiej myśli, co chwila podnosił wielkie, niebieskie i spokojem jaśniejące oczy,



jakby chcąc podziękować Bogu, że go poddał tak strasznej próbie, w której człowiek pełen odwagi może się poświęcić dla siwych braci i jeżeli nie ocalić ich, to przynajmniej umrzeć z nimi, pokazując im niebo... Wydawało się, że ten człowiek w czarnej sutannie był aniołem, zesłanym przez stwórcę, aby osłodzić nieodzowne ciosy przeznaczenia...

Nie opodal tego młodzieńca widać było człowieka podobnego do złego ducha. Siedząc na odłamku przedniego masztu, trzymając się szczątków wiązań lin, człowiek ten z pogardą spoglądał na otaczających go nieszczęśników.

Złowroga, dzika radość malowała się na jego brudnożółtym czole koloru właściwego ludziom urodzonym z białego i Kreolki; ubrany tylko w bieliznę, na szyi miał uwiązaną na sznurku blaszaną puszkę, zawierającą chyba jakieś ważne papiery.

Im bardziej wzmagало się niebezpieczeństwo, im bardziej trzymasztowy okręt zagrożony był uderzeniem o rafę lub spotkaniem z parowym statkiem, do którego szybko się zbliżał, tym większą radość okazywał ów złowrogi podróżny. Zdawało się, że przez. dziką niecierpliwość chce przyspieszyć dzieło zniszczenia.

Widząc, jak chciwie nasycą się wszelkimi udręczeniami, trwogą i rozpaczą, które zewsząd go otaczały, można by sądzić, że jest to posłaniec jednego z owych bóstw żądnych krwi, patronujących zbrodni i morderstwu.

Wkrótce „Black-Eayle”, pędzony wiatrem i ogromnymi falami, tak zbliżył się do „Wilhelma Tella”, iż z okrętu rozpoznać było można podróżnych, zebranych na pokładzie parowego statku, prawie tak samo już obezwładnionego.

Niewielu już było na nim podróżnych.

Fale zmiatały bez oporu wszystkich i wszystko, co było na pokładzie, pochłaniając coraz to nowe ofiary.

Pomiędzy podróżnymi, którzy dotąd uniknąwszy nieszczęścia, zagrożeni byli strzaskaniem o skały lub zgnieceniem między dwoma zderzającymi się statkami, co wydawało się już niechybne, jedna grupa szczególnie była godna politowania.

W kącie statku okazałej postaci starzec, łysy, z siwymi węsami, przewiązał się końcem linki i tak przymocowany do bocznej ściany okrętu, obejmując obu rękami dwie koło piętnastu lat mogące mieć dziewczynki, przyciskał je do swych piersi, na wpół okrytych futrem reniferowym... Duży, płowy pies, zupełnie przemokły, wył przeraźliwie przy ich nogach. Dziewczynki tuliły się w objęciu starca i trzymały nawzajem, lecz zamiast oglądać się z przestachem wokół siebie, zwracały oczy ku niebu, jak gdyby pełne ufności i nadziei, iż zostaną ocalone jakąś nadnaturalną pomocą.

Okropny krzyk trwogi podróżnych obu statków rozległ się nagle głośniejsz nad łoskot burzy.

W chwili, gdy nurzając się głęboko między dwoma bałwanami, statek parowy ustawił się bokiem do przodu okrętu, ten, wysoko wyniesiony bałwanem jakby na górę wodną, wydawał się jakby zawieszony nad „Wilhelmem Tellem”.

Zdarzają się straszne, wspaniałe widowiska... trudne do opisanja.

Lecz podczas takich katastrof, szybkich jak myśl, chwytamy częstokroć obrazy tak żywe, że zdaje się nam, iż spostrzegliśmy je przy świetle błyskawicy.

Otóż, gdy „Black-Eayle”, uniesiony bałwanami, miał wpaść na „Wilhelma Tella”, młodzieniec o anielskiej urodzie stał na przedzie trzymasztowego okrętu, gotów rzucić się w wodę dla ocalenia jakiejś ofiary...

Nagle, z wysokiego bałwana, na którym wznosił się okręt, spostrzegł młode panienki wyciągające do niego ręce, błagające ratunku...

Zdawało się, iż go poznały, wpatrując się w niego z pewnym uniesieniem i religijnym uwielbieniem.

Na chwilę, mimo łoskotu burzy, mimo zbliżającego się rozbicia, oczy tych trojga spotkały się...

Na twarzy młodzieńca zarysowało się nagle głębokie współczucie, gdy młode dziewczęta, złożwszy ręce, błagały go jakby spodziewanego zbawcę...

Starzec, obalony upadkiem ściany, leżał na pokładzie.

Nagle wszystko znikło.

Straszna masa wody gwałtownie rzuciła „Black-Eayle” na „Wilhelma Tella”.

Z okropnym trzaskiem tych dwóch mas drzewa i żelaza, które krusząc się nawzajem, po-  
częły tonąć, rozległ się przeraźliwy krzyk...

Jeden krzyk stu istot ludzkich, ginących razem w morskich przepaściach.

A potem już nic nie było widać.

W kilka minut, pomiędzy bałwanami lub na ich wierzchołkach, spostrzec było można  
szczątki dwóch okrętów... i tu, i ówdzie odrętwiałe ręce, posiniałe, przepełnione rozpaczą  
twarze kilkorga nieszczęśliwych, usiłujących dostać się na pobrzeżne rafy, choćby miały ich  
zgruchotać fale uderzające z wściekłością o skały.

## ROZDZIAŁ III

### ROZBITKOWIE

Kiedy rządca pośpieszył nad morze, aby ratować rozbitków, Rodin, zaprowadzony przez  
Katarzynę do zielonego pokoju, zabrał stamtąd rzeczy, które miał zawieźć do Paryża. Obojęt-  
ny wobec akcji ratunkowej, którą zajęci byli mieszkańcy zamku, wrócił do pokoju rządcy.  
Nikogo tu nie zastał. Pod pachą miał szkatułkę ze srebrnym zameczkiem pokrytym rdzą cza-  
su. Jego surdut zapięty do połowy pozwalał dostrzec część dużego safianowego pugilaresu w  
bocznej kieszeni. Gdyby zimna twarz sekretarza d'Agriigny'ego mogła w inny sposób aniżeli  
ironicznym uśmiechem wyrazić radość, rysy jej byłyby pełne zachwyty od natłoku radosnych  
myśli. Postawiwszy szkatułkę na stole, rzekł do siebie z wielkim zadowoleniem:

– Wszystko idzie dobrze, roztropność radzi pozostawić tutaj te papiery aż do pewnej chwi-  
li, bo zawsze trzeba się mieć na baczności z diabelską przenikliwością Adrianny Cardoville.  
Szczęście... zbliża się chwila, kiedy nie będziemy już potrzebowali obawiać się. Los będzie  
dla niej okrutny, tak być musi. Takie niepokorne, nieugięte dusze już same przez się są na-  
szymi nieprzyjaciółmi... A cóż dopiero, gdy zechcą być dla nas niebezpieczne i szkodliwe?...  
Co do Sainte-Colombe, mamy po swojej stronie rządcę: jestem pewny, że nie będzie się wa-  
hał w wyborze między tym, co w swojej głupocie nazywa sumieniem a obawą przed utrace-  
niem miejsca; ręczę, że lepiej nam będzie służył niż kto inny, od dwudziestu już lat mieszka  
tu, nie wzbudzi najmniejszej nieufności w tej głupiej de Sainte-Colombe... A gdy się dostanie  
w ręce naszego protegowanego z Roiville, wtedy już jestem pewny; postępowanie tych lek-  
kich kobiet z góry da się określić: za młodu służą diabłu, a na starość okropnie się go boją, a  
trzeba, żeby się go bała aż do zapisania nam zamku Cardoville... Wszystko więc idzie do-  
brze... Co do sprawy medalionów, nadchodzi 13 lutego, a nie ma żadnej wiadomości od Jozu-  
ego... Pewno książę Dżalma wciąż siedzi w więzieniu u Anglików, w przeciwnym razie był-  
bym odebrał wiadomości z Batawii; córki generała Simona pozostaną jeszcze w Lipsku naj-  
mniej z miesiąc... Stosunki zewnętrzne w najlepszym są stanie. Co do stosunków wewnętr-  
znych...

Rozmyślania Rodzina przerwała nagle wchodząca pani Dupont, która gorliwie zajmowała  
się przygotowaniem do ratunku.

– Teraz – rzekła do służącego – zapal ogień w przyległym pokoju, postaw tam ciepłe wino,  
pan Dupont wróci lada chwila.

– I co? Kochana pani – rzekł Rodin – czy jest nadzieja ocalenia kogo z tych nieszczęśni-  
ków?

– Ach! Panie!... Bóg to wie, mój mąż od dwóch godzin już tam jest... Jestem bardzo niepokojna, on bywa tak odważny, tak nieroztropny...

– Odważny... aż do nieroztropności... – pomyślał Rodin z niechęcią. – Tego nie lubię...

– Ja tymczasem – mówiła Katarzyna – przygotowałam tu ciepłą bieliznę... Daj Bóg, żeby się na co przydała.

– Moja pani... Nie trzeba nigdy tracić nadziei. Bardzo żałuję, że mój wiek i słabość nie pozwoliły mi udać się z twoim zacnym mężem... Żałuję także, że nie mogę czekać, żeby się dowiedzieć o skutkach jego usiłowań i powinszować mu, gdy będzie szczęśliwy... bo, na nie-szczęście, muszę spieszyć się z odjazdem... Będę pani bardzo wdzięczny, gdy każesz zaprząć do powozu.

– Dobrze, panie!... Idę natychmiast.

– Jeszcze jedno... droga pani Dupont. Jesteś pani rozsądną kobietą i możesz mi udzielić rady... Dałem mężowi możliwość pozostania rządcą tych dóbr, jeżeli zechce...

– Gdyby było można?... Jakże bylibyśmy wdzięczni! Bez tego miejsca... w naszym wieku, nie wiem, co byśmy poczęli.

– Do tej obietnicy dołączyłem tylko dwa warunki... fraszka... bagatela... on je pani przedstawi...

– Ach! Panie! Jesteś naszym zbawcą...

– Dziękuję pani... Ale pod dwoma małymi warunkami...

– Panie! Choćby ich było sto, przyjmujemy je... Bo bylibyśmy zgubieni, gdybyśmy nie mieli tego miejsca... bez ratunku...

– Polegam na pani... w interesie męża... staraj się nakłonić go...

– Proszę pani... proszę pani, otóż i pan idzie... – zawołała służąca, wbiegając do pokoju.

– Dużo z nim ludzi?

– Nie, pan idzie sam...

– Sam... jak to, sam?

– Tak, pani.

W kilka chwil później Dupont wszedł do sali, z jego ubrania lała się strumieniami woda, buty miał zawałane błotem.

– A! Przecież wracasz, mój mężu! Byłam o ciebie taka niespokojna – zawołała żona, całując go z czułością.

– Dotąd... troje ocalonych.

– Bogu dzięki... Mój kochany panie Dupont – rzekł Rodin – przynajmniej pańskie usiłowania nie były daremne.

– Troje... tylko troje, mój Boże! – rzekła Katarzyna.

– Mówię tylko o tych, których widziałem... blisko małej przystani Goeland. Spodziewać się należy, że w innych miejscach wybrzeża znajdzie się więcej uratowanych.

– Masz rację... bo przecież brzegi nie wszędzie są równie dostępne.

– A gdzie są ci rozbitkowie, panie Dupont? – zapytał Rodin, który wstrzymał się jeszcze z odjazdem.

– Wychodzą na brzeg... a nasi ludzie prowadzą ich. Ponieważ idą powoli, pobiegłem naprzód, żeby dać znać żonie i poczynić przygotowania, najpierw trzeba jak najprędzej przysposobić odzież dla kobiet...

– Czy jest i kobieta między wyratowanymi?

– Są dwie młode dziewczyny... koło piętnastu lub szesnastu lat... jeszcze dzieci... a takie piękne!...

– Biedne dzieci!... – rzekł Rodin z udanym współczuciem.

– Ten, któremu zawdzięczają życie, jest razem z nimi... No, powiedzieć o nim można, że to bohater!...

– Bohater...

– O! Tak. Wystaw sobie...  
– Zaraz mi o nim opowiesz... weźże przynajmniej szlafrok, boś cały mokry... napij się ciepłego wina...

– Dobrze... dobrze, Kasiu, istotnie zimno mi... Ale mówiłem ci, że ten, co wyratował dwie panienki, to prawdziwy bohater... Jakaż okazał odwagę, to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Wyszedłszy stąd z ludźmi, bieглиśmy małą ścieżką po skałach i wreszcie przybywamy na brzeg... do małej przystani Goeland, która na szczycie jest nieco zasłonięta pięciu czy sześciu ogromnymi głazami, dosyć wysuniętymi w morze. Cóż spostrzegamy w głębi? Dwie omdlałe młode dziewczyny siedziały oparte o skałę, jakby tam posadzono je po wyratowaniu z morza.

– Biedne dzieci... aż serce rozdziera – rzekł Rodin, udając, że ociera łzę w oku.

– Najbardziej zaś uderzyło mnie, że były do siebie niezwykle podobne – rzekł rządcą – tak, iż trzeba się dobrze przyjrzeć, aby odróżnić jedną od drugiej... obie w żałobie... biedne dzieci...

– Pewnie bliźniaczki – wtrąciła pani Dupont.

– Jedna z nich – mówił dalej rządcą – trzymała w rękach mały brązowy medal, zawieszony na szyi na łańcuszku.

Rodin trzymał się zwykle pochyło, ale na ostatnie słowa rządcy wyprostował się nagle. Zdjął go przestraszenie i zdziwienie, uratowane dziewczęta miały po piętnaście lat, nosiły żałobę i aż do złudzenia były do siebie podobne, jedna miała na szyi brązowy medal, teraz nie wątpił, że to córki generała Simona.

Ale w jaki sposób znalazły się między rozbitkami? Jak się wydostały z więzienia w Lipsku? Dlaczego nie został o tym zawiadomiony? Czy uciekły, czy zostały zwolnione?

Takie myśli nasuwały się kolejno Rodinowi, w każdym razie osnowa, nad którą tak pilnie pracował, została zerwana.

– Kiedy ci mówię o zbawcy tych dziewczyn – rzekł rządcą do żony, nie spostrzegając poruszenia Rodina – może myślisz, że ujrysz jakiego Herkulesa? O! Wcale nie... To prawie dziecko... taki młody! Ma piękną twarz i długie jasne włosy. Zostawiłem mu swój płaszcz, gdyż był tylko w koszuli i w krótkich czarnych spodniach i czarnych wełnianych pończochach... prawda, że to dziwne.

– Rzeczywiście, marynarze tak się nie ubierają.

– Zresztą, chociaż okręt, na którym się znajdował, był angielski, zdaje mi się jednak, że to Francuz, gdyż mówi naszym językiem tak dobrze, jak my... A nie mogłem się wstrzymać od łez, gdy dziewczynki odzyskały przytomność... Ujrawszy go, do nóg mu się rzuciły, spoglądały na niego z wyrazem religijnego uniesienia i tak mu dziękowały, jak gdyby modliły się do Boga... Potem rozglądały się naokoło, jakby szukały kogoś, coś mówiły do siebie i zaczęły płakać, rzucając się sobie w objęcia.

– Co za nieszczęście, mój Boże! Iluż to zginąć musiało!

– Morze wyrzuciło już pięć trupów, gdyśmy opuszczali brzeg... mnóstwo szczątków okrętu, skrzynie... Dałem znać straży nadmorskiej... będą tam czuwać przez cały dzień, a jeżeli, jak się spodziewam, wyratują się jeszcze inni rozbitkowie, nie omieszkają sprowadzić ich tu... Ale posłuchaj... zdaje mi się, że słyszę jakiś głos... Tak, to rozbitkowie...

Rządcą z żoną skoczyli do drzwi salonu, prowadzących do długiej galerii, gdy tymczasem Rodin, konwulsyjnie gryząc paznokcie, czekał w gniewnym niepokoju na przybycie rozbitków.

Wkrótce z głębi zbliżały się z wolna trzy osoby, które prowadził wieśniak.

Były to owe uratowane dziewczyny i młody mężczyzna, któremu zawdzięczały życie. Szedł z dużą trudnością.

Był bardzo piękny, jasne jak len, długie włosy spadały na kołnierz obszernego płaszcza, którym go okryto. Miał bladą, miłą twarz, tak zachwycającą, iż mogła być dziełem Rafaela.

Tylko ten boski artysta zdolny byłby odtworzyć melancholijny wdzięk tego czarownego oblicza, czystość jego anielskich, jasnoblękitnych oczu... jakby u wstępującego w niebo męczennika.

Tak, męczennika, gdyż krwawa obwódka już otaczała tę zachwycającą głowę.

Rzecz przykra dla patrzącego... nad jasnymi brwiami wąska blizna od rany, przed kilkoma miesiącami odniesionej, otaczała jego piękne czoło jakby purpurową przepaską; rzecz jeszcze smutniejsza, iż ręce miał okrutnie przebite ukrzyżowaniem, takie same rany widać było na nogach... szedł z trudnością, bo rany te otworzyły się na ostrych skałach, po których biegł, niosąc ratunek.

Młodzieńcem tym był Gabriel, ksiądz, należący do misji zagranicznej, przybrany syn żony Dagoberta.

Córki generała Simona, skoro odzyskały przytomność po rozbiciu i mogły już same iść po skałach, nie chciały pozwolić, aby kto inny wspierał chwiejny chód tego, który dopiero co zbawił je od niechybnej śmierci.

Z czarnych sukni Róży i Blanki strumieniem lała się woda, na ich pobladłych twarzach malowało się wielkie strapienie, łzy spływały po policzkach. Smętnie spuściwszy oczy, drżąc ze strachu i zimna, biedne sieroty myślały z rozpaczą, że już nie ujrzą Dagoberta, swego przewodnika i przyjaciela, bowiem na próżno Gabriel podawał mu ręce, chcąc mu pomóc w wejściu na skałę! Na nieszczęście obydwu zabrakło sił i fale porwały i uniosły żołnierza.

Widok Gabriela był nowym przedmiotem zdziwienia dla Rodina, który odszedł na stronę, aby lepiej się wszystkiemu przyglądać, tym razem jednak zdziwienie było dlań miłe... Doznał tyle radości, widząc misjonarza ocalonego od śmierci, iż przykre wrażenie, wywołane widokiem córek generała Simona, nieco się zatarło (przypomnijmy, że dla zamiarów Rodina było konieczne, aby Gabriel znajdował się w Paryżu 13 lutego).

Rządca i jego żona, rozrzewnieni widokiem sierot, podeszli do nich skwapliwie.

– Proszę pana!... Proszę pana!... Dobra nowina – zawołał służący, wbiegając do pokoju. – Jeszcze dwie osoby wyratowano!...

– Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! – zawołał misjonarz.

– Gdzie one są? – zapytał rządca, biegnąc do drzwi.

– Jeden z nich może chodzić... idzie tu za mną z Justynem, który go prowadzi, drugi został zraniony na skałę, niosą go tutaj...

– Pobiegnę, aby go umieścić w dolnej sali – rzekł rządca, wychodząc – ty zaś, żono, zajmij się młodymi panienkami... A ten uratowany, co może chodzić, gdzie jest?...

– O, tam – rzekł wieśniak, wskazując na kogoś, idącego dosyć szybkim krokiem z głębi galerii. – Gdy się dowiedział, że panienki są tutaj... choć już stary i raniony w głowę... tak się spieszył, iż ledwie go wyprzedziłem...

Zaledwie wieśniak wymówił te słowa, Róża i Blanka, zerwawszy się, pobiegły do drzwi... Przybiegły do nich jednocześnie z Dagobertem. Żołnierz nie mógł wymówić słowa, upadł u progu na kolana i wyciągnął ręce do córek generała Simona. A równocześnie Ponury przy-skoczył do nich i począł im lizać ręce. Dagobert tak był wzruszony, że ujrawszy sieroty, w tył się bezsilnie pochylił i byłby upadł, gdyby go nie przytrzymali wieśniacy.

Róża i Blanka, choć bardzo osłabione, poszły za omdłym Dagobertem, którego przeniesiono do przyległego pokoju.

Na widok żołnierza twarz Rodina zmarszczyła się, bo sądził, że przewodnik córek generała Simona nie żyje.

Misjonarz, znużony trudami, usiadł na krześle i nie spostrzegł jeszcze Rodina.

Nowa osoba, mężczyzna o śniadej cerze, wszedł do pokoju. Przybysz, któremu dano bluzę i spodnie wieśniacze, zbliżył się do misjonarza i rzekł doń po francusku, ale z obcym akcentem...

– Księcia Dżalmę dopiero co przyniesiono... Gdy odzyskał przytomność, najpierw zapytał o pana.

– Co ten człowiek mówi? – zawołał Rodin piorunującym głosem, gdyż na imię: Dżalma, jednym skokiem przybiegł do Gabriela.

– Pan Rodin! – zawołał misjonarz, cofając się zdziwiony.  
– Pan Rodin! – zawołał drugi uratowany i od tej chwili ani na chwilę nie spuszczał wzroku z korespondenta Jozuego.

– Pan jesteś tu?... – rzekł Gabriel, przystępując do Rodina z pewnym szacunkiem.

– Co ci powiedział ten człowiek? – spytał Rodin zmieszonym głosem. – Czy nie wymienił imienia księcia Dżalma?...  
– Tak... księżę Dżalma był jednym z pasażerów angielskiego okrętu, który się rozbił... Okręt ten zawinął do Wysp Azorskich, na których się znajdowałem, ponieważ okręt, wiozący mnie z Charlestown, zmuszony był zatrzymać się na tej wyspie z powodu znacznego uszkodzenia; wsiadłem więc na „Black-Eayle”, na którym znajdował się księżę Dżalma. Płynęliśmy do Portsmouth, a stamtąd miałem wrócić do Francji.

Rodin nie przerywał Gabrielowi, ten nowy wstrząs sparaliżował jego myśli. W końcu, jak człowiek, zdobywający się na ostatni wysiłek, rzekł do Gabriela:

– A wiesz, kim jest ten księżę Dżalma?  
– Młodzieniec równie prawy jak waleczny, syn pewnego króla hinduskiego, któremu Anglicy zabrali królestwo...

Potem, zwracając się do swego towarzysza niedoli, rzekł z przejęciem:

– Jak się ma księżę... Czy jego rany są niebezpieczne?...  
– O! Nie są śmiertelne – odpowiedział zapytany.  
– Bogu dzięki! – odrzekł misjonarz, zwracając się do Rodina – widzi pan, jeszcze jeden ocalał.  
– Tym lepiej – odpowiedział Rodin poważnym tonem.  
– Pójdę do niego – rzekł Gabriel i spytał z uległością: – Czy ma pan dla mnie jakieś polecenia?  
– Tak. Czy będziesz mógł jechać... za dwie, trzy godziny, pomimo zmęczenia?  
– Jeżeli trzeba... pojedę.  
– Tak, trzeba... pojedziesz ze mną.

Gabriel skłonił się Rodinowi, który rzucił się zniecierpliwiony na krzesło, a tymczasem misjonarz wyszedł z wieśniakiem.  
Człowiek o żółtej cerze pozostał w pokoju.  
Rodin go nie spostrzegł.

Człowiekiem tym był Faryngea, Metys, jeden z hersztów dusicieli, ten sam, co umknął przed ścigającymi go żołnierzami w zwaliskach Tchandi. Zabiwszy przemytnika Mahala, zabrał mu papiery, pisane przez Jozuego van Dael do Rodina i list, dzięki któremu przemytnik miał być przyjęty jako podróżny na statek Ruyter.

Dzięki temu listowi sam został przyjęty na okręt pod nazwiskiem Mahala.

Faryngea, uciekły z szopy pod ruinami Tchandi, gdzie go Dżalma nie widział, uważany był przez niego za ziomka i traktowany życzliwie, gdyż młody księżę nie wiedział, iż ten człowiek należy do sekty sprzysiężonych.

Rodin, z osłupiałym, błędnym wzrokiem, z twarzą posiniałą w niemej wściekłości, gryzł paznokcie i nie spostrzegł w kącie Metysa, który milczkiem zbliżył się do niego, położył mu poufale rękę na ramieniu i rzekł:

– Pan się nazywa Rodin?  
– Co to? – zapytał, drgnąwszy i nagle podniósł głowę.  
– Nazywa się pan Rodin? – powtórzył Faryngea.  
– Tak... czego chcesz?  
– Mieszka pan przy ulicy Ursynów w Paryżu?...  
– Tak... ale czego chcesz?  
– Nic... teraz, bracie... później wiele.

I Faryngea, oddalając się powoli, pozostawił Rodina w strachu, bo choć nigdy się nie bał, teraz przeląkł się dzikiego wzroku i ponurej twarzy dusiciela.

## ROZDZIAŁ IV

### ODJAZD DO PARYŻA

Cisza panowała w zamku Cardoville, burza z wolna milkła, słychać było tylko szum bałwanów, odbijających się od skał.

Dagobert i sieroty zostali umieszczeni w ciepłych, wygodnych pokojach na pierwszym piętrze zamku.

Dźalmę, jako bardzo rannego, pozostawiono w dolnej sali, ażeby mu nie sprawiać bólu wnoszeniem na górę.

W chwili rozbicia statku nieszczęsna matka, zalana łzami, oddała mu w ręce dziecko. Nadaremnie usiłował je ratować, a poświęcenie to utrudniało mu własne ocalenie i młody Hindus został wyrzucony na skały mocno potłuczony.

Faryngea, zdoławszy przekonać go o swym przywiązaniu, pozostał przy nim i czuwał.

Gabriel, pocieszywszy Dźalmę, wrócił do przeznaczonego dla siebie pokoju, wierny obietnicy danej Rodinowi, przygotowywał się do podróży za parę godzin i nie chciał kłaść się spać; wysuszywszy suknie, zasnął w wielkim krześle przed kominkiem, na którym żywo palił się ogień.

Pokój ten przylegał do pokoju, który zajmowały sieroty.

Ponury, doznając również gościnności w zamku, spod drzwi Róży i Blanki poszedł grać się u kominka w pokoju misjonarza, gdzie położył się swobodnie na posadzce obok śpiącego Gabriela. Biedne psisko po tak długiej podróży, tylu trudach i przypadkach na lądzie i morzu, także spokojnie drzemało.

Po kilku chwilach otworzyły się drzwi i nieśmiało weszły dwie dziewczynki, przebudziły się już i odpoczęły. Ubrawszy się, wyszły, chcąc się dowiedzieć, co porabia Dagobert.

Wysoki fotel staroświeckiego kształtu, w którym spał Gabriel, zupełnie go zakrywał, lecz sieroty zobaczywszy Ponurego, spokojnie śpiącego przy fotelu, sądziły, że to drzemie Dagobert i zbliżyły się na palcach.

Zdziwiły się, ujrawszy Gabriela.

Stanął, nie śmiać ani cofnąć się, ani postąpić naprzód, ażeby go nie obudzić.

Długie, jasne włosy misjonarza opadały aż na ramiona, blada cera odbijała od ciemnopurpurowego adamaszku fotela. Piękna twarz Gabriela wyrażała smętną melancholię, może był pod wrażeniem jakiegoś przykrego snu, a może ukrywał bolesne uczucia, które objawiały się mimo jego woli, w rysach jego twarzy pozostawała owa anielska słodycz, która nadawała mu wdzięk nie do opisan... nic bowiem nie może być bardziej wzruszającego niż cierpiąca dobroć.

Dziewczęta spuściły oczy, zarumieniły się mimowolnie i spojrzały na siebie z niepokojem, pokazując sobie wzrokiem śpiącego misjonarza.

- Siostró, on śpi – odezwała się cicho Róża.
- Tym lepiej – odpowiedziała równie cicho Blanka – będziemy mogły przypatrzeć mu się.
- Patrz tylko... jaka miła jest jego twarz...
- Zdaje mi się, że to jego widziałyśmy we śnie...
- Gdy mówił, że będzie się nami opiekował.
- I teraz jeszcze nie zapomniał o nas.
- Dobrze przynajmniej, że go widzimy...
- Jak w więzieniu w Lipsku... owej czarnej nocy.
- I tym razem znowu nas wyratował.
- Gdyby nie on... dziś rano byśmy zginęły...
- Ale, siostró, zdaje mi się, że w naszych snach twarz jego jakby jaśniała światłem?

– Tak... ledwie mogliśmy patrzeć na niego.

– I nie był wtenczas tak smutny.

– Ale, bo widzisz, wtedy przychodził z nieba, a teraz jest na ziemi.

– A czy miał wtedy na czole tę ciemnoróżową pręgę?

– Och! Nie, byłybyśmy ją spostrzegły.

– A widzisz te blizny na rękach?

– A! Więc jeśli został raniony... to nie jest aniołem?

– Dlaczego tak myślisz, siostrze? A może poniósł te rany, chcąc ochronić od nieszczęścia lub ratując osoby, które podobnie jak my były w niebezpieczeństwie?

– Masz słuszość, gdyby się nie narażał na niebezpieczeństwo, ratując osoby, którymi się opiekuje, nie byłby tak piękny.

– Jaka szkoda, że ma zamknięte oczy...

– Jego spojrzenie jest tak dobre, tak tkliwe!

– Dlaczego nic nam nie powiedział o naszej matce?

– Nie byłyśmy same... nie chciał...

– A teraz jesteśmy z nim same.

– A gdybyśmy poprosiły go, żeby nam powiedział... I siostry spojrzały na siebie naiwnie, jak gdyby zapytując się nawzajem, twarze ich pokrył lekki rumieniec, a dziewicze serca zaczęły bić mocniej pod czarnymi sukienkami.

– O mój Boże! Siostrze, jak nam serca biją – rzekła Blanka – a jak nam miło! Zdawałoby się, że nas spotka jakieś wielkie szczęście.

I siostry zbliżyły się na palcach do krzesła, uklęknęły, jedna z prawej, druga z lewej strony młodego księdza.

Był to wdzięczny widok.

Podniosły oczy na Gabriela i rzekły cicho:

– Powiedz nam coś o naszej matce...

Misjonarz poruszył się lekko, otworzył oczy i nie pojmując jeszcze dobrze co widzi, doznał przez chwilę zachwytu na widok tych wdzięcznych postaci, które zwracały się do niego z gorącą prośbą.

– Kto mnie woła?... – rzekł, obudziwszy się i podnosząc głowę.

– To my! Blanka i Róża!

Teraz Gabriel poznał młode dziewczyny, które uratował.

– Moje siostry, wstańcie – rzekł – klęczy się tylko przed Bogiem...

Usłuchały i stanęły przy nim, trzymając się za ręce.

– Więc wiecie, jak mam na imię?... – spytał z uśmiechem.

– O! Nie zapomniałyśmy.

– A kto wam powiedział?

– Ty...

– Ja?

– Kiedy przyszedłeś do nas od naszej mamy...

– I powiedziałaś nam, że cię do nas posyła i że zawsze będziesz się nami opiekować...

– Ja, moje siostry... – rzekł misjonarz, nie pojmując, o czym mówiły. – Mylicie się... Dziś pierwszy raz widzę was...

– A kiedy się nam śniło?

– Tak, tak, przypomnij sobie! Widziałeś nas w naszych snach.

– W Niemczech, trzy miesiące temu, po raz pierwszy... Spójrz na nas!

Gabriel nie mógł się wstrzymać od uśmiechu wobec naiwnej prostoty Róży i Blanki, które prosiły, ażeby sobie przypomniawsen sen, które one miały, potem, coraz bardziej zdziwiony, spytał:

– W waszych snach?

– Ależ tak, kiedyś udzielał nam tak dobrych rad...



– Potem, kiedyśmy miały zmartwienie... w więzieniu... twoje słowa, które zapamiętałyśmy, pocieszały nas i dodawały odwagi.

– A czy nie ty wyprowadziłeś nas z więzienia w Lipsku, podczas owej czarnej nocy... kiedyśmy cię nie mogły zobaczyć.

– Ja...

– Któż by inny, jeśli nie ty, przybył na pomoc nam i naszemu przyjacielowi?

– Mówiliśmy mu, że ty go kochasz, bo i on nas kocha.

– Dlatego dziś, podczas burzy, prawie nie bałyśmy się, bo spodziewałyśmy się ciebie.

– Dziś rano, tak, moje siostry. Bóg mi użyczył łaski, posyłając mnie wam na ratunek. Płynąłem z Ameryki, ale nigdy nie byłem w Lipsku... Nie ja więc oswobodziłem was z więzienia... Powiedzcie mi, siostry – dodał z uśmiechem – za kogo mnie uważacie?

– Za anioła, któregośmy już widziały we śnie i którego nasza matka zesłała z nieba, aby nas strzegł.

– Moje kochane, jestem tylko zwykłym księdzem... Los zdarzył, że może jestem podobny do anioła, któregoście widziały we śnie i którego inaczej zobaczyć nie mogłybyście... gdyż nie ma aniołów, które moglibyśmy zobaczyć...

– Nie ma widzialnych aniołów? – rzekły dziewczynki, smętnie spoglądając na siebie.

– Nie, kochane siostry – rzekł Gabriel, biorąc ręce dwóch sióstr – sny... jak wszystko pochodzi od Boga... a ponieważ wspomnienie matki łączyło się z tym snem... tym droższy powinien on być dla was.

W tej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Dagobert.

Aż dotąd sieroty, zajęte naiwną myślą, że opiekuje się nimi anioł, nie pomyślały, iż żona Dagoberta przybrała opuszczone dziecko, któremu na imię było Gabriel i które zostało misjonarzem.

Chociaż żołnierz upierał się, że jego rana była tylko „białą raną” (jak mówił generał Simon), jednakże miejscowy chirurg opatrzył go starannie, czarna przepaska do połowy zakrywała mu czoło... Wchodząc do pokoju, mocno się obruszył, widząc, jak nieznajomy poufale trzyma ręce Róży i Blanki. Łatwo można wyobrazić sobie jego zdziwienie, kiedy dowiedział się, że misjonarz uratował dziewczęta i jego również usiłował ratować.

Z rana, w czasie burzy, miotany falami, daremnie usiłując chwycić się brzegu i wyjść na skałę, żołnierz zaledwie dojrzał Gabriela w chwili, gdy ten, uratowawszy od śmierci sieroty, chciał także, ale za późno i jemu udzielić pomocy.

Gdy później Dagobert znalazł sieroty w zamku, upadł, jak powiedzieliśmy, zemdlony, z utrudzenia i ze wzruszenia, tudzież z rany; wtedy też nie spostrzegł misjonarza.

Stary weteran zaczął marszczyć siwe brwi pod czarną przepaską widząc, jak nieznajomy poufale rozmawia z Różą i Blanką, ale one wnet podbiegły ku niemu, rzuciły mu się na szyję i zaczęły okrywać dziecięcymi pieszczotami. Jego gniew wkrótce ustał, lecz wciąż jeszcze ponuro rzucał oczyma na misjonarza, który wstał, tak że mógł dobrze mu się przyjrzeć.

– A twoja rana? – spytała Róża z przejęciem – powiedz, nie jest chyba niebezpieczna?

– Czy boli cię jeszcze? – dodała Blanka.

– Nie, moje dzieci... to chirurg zawiązał mi ten bandaż, ja, choć miewałem głowę pokiereszowaną szablą, przecież nigdy się tak nie pieściłem, uważać mnie jeszcze będą za starego pieszczocha, a to tylko biała rana, a mam ochotę...

Sięgnął ręką do bandaża.

– Ależ daj pokój, nie ruszaj tego! – rzekła Róża, przytrzymując rękę Dagoberta.

– Czy ci nie wstyd... w tym wieku być tak niecierpliwym? – dodała Blanka.

– Dobrze, dobrze! Nie łajcie mnie już, zrobię, co chcecie... zostawię ten bandaż.

Potem, odprowadziwszy siostry do kąta salonu, rzekł po cichu, spoglądając z ukosa na księdza:

– Co to za jeden... co was trzymał za rękę, kiedyś nadszedł... wygląda na księdza... Ale widzicie, moje dzieci, trzeba się strzec... gdyż...

– On?! – zawołały obie, zwracając się ku Gabrielowi – ależ gdyby nie on... już byśmy cię nie mogły ani widzieć, ani ścisnąć...

– Jak to? – zawołał żołnierz, nagle prostując się i patrząc na misjonarza.

– To nasz anioł stróż – rzekła Blanka.

– Gdyby nie on – rzekła Róża – zginęłybyśmy.

– On... to on... który...

Dagobert nie mógł mówić więcej.

Z sercem przepełnionym wdzięcznością, ze łzami w oczach, podbiegł do misjonarza i wyciągając do niego rękę, z niewymowną radością zawołał:

– Panie, tobie winienem życie tych dwojga dzieci... Wiem, tak jestem ci zobowiązany. Nie potrafię tego wyrazić, ale wdzięczność moja nie ma granic.

Lecz nagle, przypomniawszy sobie coś, zawołał:

– Ale pozwól... Czy, kiedyś ja usiłowałem wygramolić się na skalę... czy to nie ty... wyciągnąłeś do mnie rękę... tak... twoje jasne włosy... twoja młodzieńcza twarz... tak, na pewno... to ty... teraz poznaję cię.

– Na nieszczęście nie starczyło mi siły i z rozpacz widziałem, jak spadłeś w wodę.

– Naprawdę nie wiem, jak mam ci dziękować... prócz tego, co już powiedziałem – rzekł Dagobert ze wzruszającą prostotą. – Zachowując od śmierci te dzieci, więcej mi wyświadczyłeś, aniżeli byś mnie samemu ocalił życie... Ale co za odwaga!... Jakie serce – a taki młody!... Delikatny jak panienka – nie mógł się nadziwić starzec.

– Jak to! – zawołała Blanka – nasz Gabriel i tobie pospieszył na ratunek?

– Gabriel! – rzekł Dagobert, przerywając Blance i zwracając się do księdza: – Nazywasz się Gabriel?

– Tak, panie...

– Gabriel! – powtarzał raz po raz żołnierz.

– I jesteś księdzem? – dodał.

– Księdzem misji zagranicznej.

– A kto cię wychował? – spytał coraz bardziej zdziwiony żołnierz.

– Zaczna, dobra kobieta, którą szanuję jak najlepszą matkę... gdyż ulitowała się nade mną... opuszczonym dzieckiem i obchodziła się ze mną jak z własnym synem...

Franciszka Baudouin... prawda?... – rzekł żołnierz, głęboko wzruszony.

– Tak, panie – odpowiedział Gabriel, również wzruszony. – Lecz skąd wiesz o tym?

– Żona żołnierza? – spytał Dagobert.

– Tak, uczciwego żołnierza, który, z poświęceniem dla swego generała, pędzi teraz życie... daleko od żony... od syna... od mego drogiego brata... bo chlubię się tym, że go tak mogę nazywać!

– Mego Agrykolę... moją żonę... kiedy ich opuściłeś?...

– Jak to... więc to pan... byłbyś ojcem Agrykoli... A! Nie wiedziałem, jakie winienem dziękować Bogu! – rzekł Gabriel, składając rękę.

– A moja żona... a syn – rzekł Dagobert drżącym głosem – jakże się miewają? Czy masz o nich wiadomości?

– Te, jakie przed trzema miesiącami odebrałem, były jak najpomyślniejsze...

– Nie, to za wiele radości – zawołał Dagobert...

I więcej już nic nie potrafił powiedzieć, rozczulenie odebrało mu mowę, upadł na krzesło.

Róża i Blanka nagle przypomniały sobie list, dotyczący znalezionej dziecka imieniem Gabriel, które żona Dagoberta wzięła do siebie i krzyknęły w uniesieniu:

– Nasz Gabriel jest twoim Gabrielem... to ten sam... jakie szczęście – zawołała Róża.

– Tak, moje dzieci, on jest zarówno wasz jak i mój!

Potem, zwracając się do Gabriela, dodał ze wzruszeniem:

– Daj rękę... daj rękę, moje nieustraszone dziecko... na pocziwość, mówię ci ty... bo mój Agrykola jest twoim bratem...

– Ach! Panie... tyle dobroci!...

– Tak, tak... i ty będziesz mi jeszcze dziękował... po tylu dobrodziejstwach, jakie nam wyświadczyłeś?

– A moja przybrana matka, czy wie o waszym przyjeździe? – rzekł Gabriel, aby uniknąć pochwał żołnierza.

– Pisałem do niej pięć miesięcy temu... ale donosiłem, że przybędę sam... dlaczego... później ci opowiem. Czy nadal mieszka przy ulicy Brise-Miche? Tam urodził się mój Agrykola.

– Tak, zawsze tam mieszka.

– W takim razie odebrała mój list, chciałem pisać do niej z więzienia z Lipska, ale nie mogłem...

– Z więzienia... byłeś pan w więzieniu?

– Tak, przybywam z Niemiec, Elbą i przez Hamburg i pozostałbym jeszcze dotąd w Lipsku, gdyby mi na pomoc nie przyszedł do więzienia diabeł... ale to dobry diabeł...

– Co chcesz przez to powiedzieć?...

– Ja sam sobie nie umiem wytłumaczyć... Te panienki – z uśmiechem wskazał Różę i Blanę – mówiły, że to lepiej ode mnie rozumieją, bo zawsze mi powtarzają: Anioł przybył nam na ratunek...

– Tak, Dagobercie, to był anioł... Mówiliśmy ci, że on nas uratuje, a ty nie wierzyłeś.

– Gabrielu... czekam na ciebie... – odezwał się głos, na który misjonarz zadrżał.

Dagobert i sieroty obejrzały się...

Ponury zawył.

Był to Rodin; stał w drzwiach, prowadzących na korytarz. Twarz jego była spokojna, obojętna, rzucił szybko przenikliwym okiem na żołnierza i sieroty.

– Czego ten chce od ciebie? – szeptem zapytał żołnierz.

– Jadę z nim – odpowiedział z żalem Gabriel.

Potem, zwracając się do Rodina, dodał:

– Przepraszam, zaraz będę gotów.

– Jak to! Wyjeżdżasz? – zawołał Dagobert ze zdziwieniem – teraz, kiedyśmy się z sobą tylko co spotkali... O! Nie... ja ciebie nie puszcę... tyle ci mam do powiedzenia... to do ciebie mam tyle pytań. Pojedziemy razem... będzie nam raźniej!

– To niemożliwe... On jest moim zwierzchnikiem... muszę mu być posłusznym.

– Zwierzchnikiem?... A czemu on ubrany nie po waszemu?

– Nie jest obowiązany nosić duchownego ubioru.

– No, kiedy nie jest w mundurze... a przecież do aresztu was nie wsadzają... to powiedz mu...

– Proszę wierzyć, że gdybym mógł zostać, nie myślałbym o odjeździe.

– Nie darmo jego twarz od razu mi się nie podobała – wyrzekł przez zęby Dagobert. Kiedy chcesz, to powiem mu, że bardzo zobowiązałby nas, gdyby zechciał odejść...

– Daj pokój, proszę cię, nic nie mów, bo wszystko byłoby daremne – rzekł Gabriel. – Znam moje obowiązki... wola mego przełożonego jest moją wolą. Gdy przybędę do Paryża, odwiedzę cię jak również moją przybraną matkę i mego brata Agrykolę.

– Ha! I ja byłem żołnierzem i wiem, co to subordynacja – odparł Dagobert – w nieszczęściu trzeba być cierpliwym. A więc pojutrze zobaczymy się... przy ulicy Brise-Miche, ja stanę w Paryżu jutro wieczorem, jak mnie zapewniają, a wyjeżdżamy natychmiast. Ale powiedz mi, więc to i u was, jak widzę, panuje karność?

– Tak... wielka i surowa – odpowiedział Gabriel, tłumiąc westchnienie.

– Ha! To... bądź zdrow... wkrótce zobaczymy się. Dzień prędko minie.

- Bądź zdrow... – odpowiedział stłumionym głosem misjonarz.
- Bądź zdrow, Gabrielu... – dodały sieroty ze łzami w oczach.
- Bądźcie zdrowe, moje siostry... – rzekł.

I wyszedł z Rodinem.

W parę godzin później Dagobert i sieroty również opuścili zamek, udając się w podróż do Paryża.

Dżalma pozostał w zamku, gdyż ciężko ranny, nie mógł jechać dalej...

Metys Faryngea pozostał przy młodym księciu, nie chcąc opuścić swego współziomka.

## Część piąta

### PARYŻ

#### ROZDZIAŁ I

#### ŻONA DAGOBERTA

Trudno znaleźć coś bardziej odrażającego i ponurego nad widok ulicy Brise-Miche. Uliczka, nie szersza nad osiem stóp, ciągnie się między dwoma ogromnymi, popękаныmi murami, których niezwykła wysokość pozbawia ją światła i czystego powietrza; zaledwie podczas najdłuższych dni w roku słońce rzuca tam cokolwiek promieni, dlatego w czasie wilgotnej pory zimowej zimna i przejmująca mgła zaciemnia ten zaułek.

Była blisko ósma godzina wieczorem; przy bladym świetle latarni, których czerwone światło ledwie przedzierało się przez mgłę, dwaj mężczyźni, zatrzymawszy się w kącie jednego z wysokich murów, prowadzili taką rozmowę:

– Zgoda – mówił jeden z nich – ty pozostaniesz na ulicy dopóty, aż zobaczysz ich wchodzących pod nr 5.

– Dobrze...

– A gdy zobaczysz ich, dla lepszego upewnienia się wejdiesz do Franciszki Baudonin...

– Niby dla zapytania o siostrę Bachantki...

– Bardzo dobrze... i postaraj się dokładnie dowiedzieć jej adresu od garbatej, bo to ważne, kobiety tego pokroju zmieniają mieszkanie jak ptaki a już zgubiono jej ślad.

– Bądź spokojny... Postaram się dowiedzieć od garbatej, gdzie mieszka jej siostra.

– A żebyś nabrał większej śmiałości, będę na ciebie czekał w szynku, naprzeciw klasztoru i gdy wrócisz, wypijemy po szklance ciepłego wina.

– Tego się nie odmawia, zwłaszcza że dziś wieczorem diabelnie zimno.

Rozeszli się.

Jeden udał się na Plac Klasztorny, drugi na koniec ulicy i znalazłszy dom nr 5, zaczął się przed nim przechadzać.

Z odrażającą powierzchownością domu licowało jego wnętrze, smutne, opustoszałe i nader brudne.

Woda, ściekająca po murach, spływała na ciemne, zabłocone schody, na drugim piętrze leżało na zakręcie, przy wąskich schodach kilka garści słomy do wycierania nóg, lecz słoma ta już w gnój się zamieniła i powiększyła jeszcze obrzydliwą woń miejsca, gdzie brakło świeżego powietrza, a panowała wilgoć i zgnilizna, gdyż kilka otworów w klatce schodowej przepuszczało niewiele światła.

W tej najludniejszej dzielnicy Paryża owe domy brudne, zimne, niezdrowe zamieszkałe są przeważnie przez robotników.

Takim też było mieszkanie, o którym mowa.

Farbiarz zajmował dół; niezdrowe wyziewy z jego warsztatu potęgowały jeszcze szpetność tej rudery.

Drobne warsztaty kilku rzemieślników pracujących w domu, zajmowały wyższe piętra, w izdebce na czwartym piętrze mieszkała Franciszka Baudoin, żona Dagoberta.

Jedna świeca oświetlała to ubogie mieszkanie, składające się z izdebki i alkierza. Agrykoła zajmował małą stancijkę pod dachem.

Stary papier siwego koloru, tu i ówdzie rozdarty na rozpadlinach muru, okrywał tę jego część, przy której stało łóżko; małe firanki, zawieszane na żelaznym pręcie, zasłaniały okno, posadzka nie malowana, ale umyta, zatrzymała ceglasty kolor, w jednym końcu izby stał piec żelazny, okrągły a na nim kociołek, w którym gotowano jedzenie; na komodzie, żółto pomalowanej, zwracał uwagę domek w miniaturze, arcydzieło cierpliwości i zręczności Agrykoli.

Krucyfiks gipsowy, zawieszony na ścianie i otoczony kilku gałązkami poświęconego bukszpanu, kilka obrazków świętych, niezgrabnie malowanych, świadczyły o pobożności gospodyni; wielka orzechowa szafa, skrzywiona, poczerniała od starości, stała między oknami; stare krzesło z poręczami, obite zielonym aksamitem (pierwszy podarek Agrykoli dla matki), parę stołków, wyściełanych słomą i stół, na którym widać było kilka worków płócienych, to było umeblowanie tego mieszkania; w alkierzu stały naczynia i narzędzia kuchenne i gospodarskie.

Łóżko zasłane było dwoma materacami, białym prześcieradłem i ciepłą kołdrą, w wielkiej szafie znajdowała się bielizna; wreszcie żona Dagoberta sama zajmowała taką izbę, w jakiej liczne rodziny rzemieślników mieszczą się i razem śpią, szczęśliwe, gdy mają kołdrę lub prześcieradło, nie zastawione w lombardzie.

Franciszka Baudoin, siedząc przy małym żelaznym piecu, który w tej zimnej, wilgotnej porze dawał mało ciepła, zajmowała się przyrządzaniem wieczerzy dla syna.

Żona Dagoberta miała około pięćdziesięciu lat, ubrana była w kaftanik z niebieskiego perkalu w białe cętki, w bawełnianą spódnicę i biały czepek na głowie, związany pod brodą.

Twarz jej, blada i wychudła, odznaczała się regularnymi rysami, wyrażała rezygnację i wielką dobroć. W rzeczy samej trudno było znaleźć lepszą i energiczniejszą kobietę. Bez niczyjej pomocy, dzięki własnej pracy wychowała nie tylko syna Agrykolę, ale nadto Gabriela, biedne dziecko, opuszczone, które przybrała za swoje.

Po dwunastu wszakże latach ciężkiej pracy, nadwreżyła sobie zdrowie, wyczerpała siły, ale dzieciom jej niczego nie brakło, odebrały wychowanie, jakie tylko dać mogą dzieciom ludzie prości, Agrykoła został przyjęty na naukę do fabryki Franciszka Hardy, a Gabriel wstąpił do seminarium, za usilnym wstawieniem się Rodina, który od 1820 r. nawiązał ścisłe stosunki ze spowiednikiem Franciszki Baudoin, kobiety nadzwyczaj pobożnej.

Od dawna już osłabione zdrowie Franciszki, a nade wszystko wzrok, zmuszały ją do częstego odpoczynku, ledwie dwie do trzech godzin dziennie mogła pracować.

Po pewnym czasie Franciszka wstała, sprzątnęła z połowy stołu worki z grubego płótna i z macierzyńską starannością nakryła stół dla syna.

Otworzyła szafę, wzięła z niej mały skórzany woreczek, którym był stary srebrny kubek i lekko już wytarte srebrne nakrycie stołowe. Wytarła wszystko starannie i położyła przy talerzu syna to srebro, ślubny podarek Dagoberta.

Był to u Franciszki najdroższy sprzęt, już to dla wielkiej, jej przekonaniu wartości, już to jako szacowna dla niej pamiątka, nieraz go oblała gorzkimi łzami, gdyż w ostatniej potrzebie, z powodu choroby lub z braku sposobności do zarobku, zmuszona była zanosić ten klejnot do lombardu.

Potem wzięła z górnej półki w szafie karafkę z wodą i winem, postawiła je przy nakryciu i wróciła dla doglądania przygotowanej wieczerzy.

Choć Agrykola nie bardzo jeszcze spóźnił się z powrotem, jednak na twarzy Franciszki malował się już niepokój, a po jej zaczerwienionych oczach widać było, że często płakała.

Biedna kobieta, po dręczącej i długiej niepewności, nabyła przekonanie, że jej wzrok, od dawna osłabiony, wkrótce nie dozwoli jej pracować, nawet przez trzy godziny dziennie.

Była wyborną szwaczką, ale w miarę, jak jej wzrok słabł, trudniła się coraz grubszym szyciem, a stąd zarobek jej zmniejszał się: w końcu musiała szyć worki z grubego płótna; za uszycie takiego worka płacono jej po pięć groszy, a nadto obowiązana była szyć własnymi niemi. Była to przykra praca, którą mogła zarobić ledwie piętnaście groszy dziennie.

Szczęściem miała w synu prawdziwą podporę. Wyborny rzemieślnik, korzystając z odpowiedniej zapłaty za robotę i dodatkowego wynagrodzenia, zapewnionego mu przez pana Hardy, zarobić mógł dziennie pięć do sześciu franków, to jest dwa razy tyle, ile zarabiali rzemieślnicy w innych zakładach przemysłowych.

## ROZDZIAŁ II

### SIOSTRA BACHANTKI

Ktoś cicho zapukał do drzwi.

Franciszka odpowiedziała:

– Proszę wejść.

Drzwi się otworzyły.

Osoba, która weszła do izby, była dziewczyną koło osiemnastu lat, niskiego wzrostu i strasznie upośledzona przez naturę, nie była w zasadzie garbata, ale kibić jej była dziwnie pochyła, plecy wypukłe, pierś wklęsnięta, a głowa cofnięta między ramiona; twarz dosyć kształtna, chuda, blada i dziobata, wyrażała łagodność i smutek; w błękitnych oczach przebił rozsądek i dobroć. Dziwacznym zrządzeniem natury, najpiękniejsza kobieta w świecie chlubić by się mogła takimi długimi, ślicznymi, ciemnymi włosami, zwiniętymi w wielki warkocz na głowie.

W rękę trzymała starą kobiałkę. Choć biednie ubrana, jednak czystością ubioru pokrywała ubóstwo; choć było zimno, miała na sobie perkalikową sukienkę trudnego do określenia koloru, gdyż od częstego prania wyblakł zupełnie.

Na smutnej twarzy dziewczyny widać było przyzwyczajenie do niedostatku, zmartwień i poniżenia; od samego urodzenia była przedmiotem pośmiewiska, nazywano ją Garbuską, a przezwisko to przyłgnęło do niej na tyle, że nazywali ją tak nie tylko złośliwcy, ale i ludzie życzliwi dla niej jak Franciszka i Agrykola.

Garbuska, bo i my tak ją będziemy nazywać, urodziła się w tym samym domu, w którym żona Dagoberta mieszkała już od dwudziestu lat; dziewczyna wychowała się prawie razem z Agrykolą i Gabrielem.

Garbuska miała bardzo piękną siostrę, której matka, wdowa po upadłym kupcu, okazywała ślepe i nierozsądne przywiązanie, gdy jednocześnie córkę upośledzoną przez naturę traktowała z wyraźną niechęcią i wzgardą.

Biedaczka przychodziła zwykle z płaczem do Franciszki, która ją pocieszała, zachęcała do cierpliwości i dla rozrywki uczyła ją szycia i czytania.

Za przykładem matki, Agrykola i Gabriel, zamiast naśladować inne dzieci, skore do dokuczania Garbusce, kochali ją, wspierali i bronili.

Miała piętnaście lat, a jej siostra Cefiza siedemnaście, gdy umarła ich matka, zostawiając obie w największej nędzy.

Cefiza, sprytna, pojętna i zręczna, lecz z charakteru zupełnie niepodobna do siostry, była jedną z tych istot żywych, niespokojnych, w których nadto jest życia, które potrzebują otwartego powietrza, ruchu, rozrywek; w gruncie rzeczy była może niezła, lecz nierozsądnie zepsuta przez matkę.

Z początku Cefiza słuchała mądrych rad Franciszki, nauczyła się szyc i pracowała jak siostra, przez rok, lecz później, nie potrafiąc dłużej znosić niedostatku, któremu wobec małych zarobków nie mogła zaradzić, zwłaszcza gdy głód i zimno dały się jej we znaki, młoda, piękna, otoczona zewsząd pokusami, dała im się wreszcie uwieść.

Usłuchała najpierw namów dependenta od adwokata, który ją później porzucił, potem przywiązała się do subiekta kupieckiego, którego, nauczona przykładem poprzednika, ona znów porzuciła, potem serce swe oddawała kolejno coraz to innym mężczyznom.

Tak przebijając, w dwa lata stała się bożyszczem studentów, dependentów i kupczyków, zyskała taką wziętość na balach rogatekowych swoją śmiałością, oryginalnym dowcipem, niepohamowaną żądzą uciech, a nade wszystko burzliwą wesołością, iż otrzymała przezwisko Bachantki, na które zasługiwała pod każdym względem.

Biedna Garbuska rzadko już odtąd słyszała o siostrze, lecz żałowała jej zawsze i sama nie przestawała usilnie pracować. Szyła grube koszule dla prostych ludzi i dla wojaka, zarabiając po trzy franki od tuzina a pracując po dwanaście do czternastu godzin dziennie ledwie zdołała uszyć czternaście do szesnastu koszul na tydzień.

Żyła tylko chlebem i jarzynami, dla oszczędzenia węgla, przyrządzała sobie najwyżej dwa lub trzy razy na tydzień zupełną jarzynę na ciepło, w inne zaś dni jadła ją na zimno. Mimo takiej oszczędności, na jedzenie, świece, nici, igły, wydawała trzy franki tygodniowo.

Dzięki rzadko zdarzającemu się szczęściu, położenie tej dziewczyny było wyjątkowe. Agrykola, aby nie obrażać jej wielkiej wrażliwości, porozumiał się z odźwiernym, a ten wynajmował dziewczynie za dwanaście franków rocznie mały alkierzyk pod dachem, gdzie ledwie pomieścić się mogło łóżko, stołek i stół.

Agrykola za lokal ten płacił osiemnaście franków dla uzupełnienia trzydziestu franków rzeczywistej ceny komornego, pozostało więc dziewczynie około jednego franka miesięcznie na odzież i inne potrzeby.

Garbuska zatem była nierównie szczęśliwsza od wielu innych robotnic.

Są szwaczki, które nie mają ani mieszkania, ani rodziny, kupują sobie kawałek chleba i trochę kartofli lub jarzyn i za zapłatą dwóch lub trzech centymów za noc, śpią w jednym łóżku po dwie w izbie, gdzie stoi zwykle po pięć lub sześć łóżek, z których kilka częstokroć zajmują mężczyźni. Tak więc nieszczęśliwa dziewczyna, uczciwa i skromna, musi sypiać w jednej izbie z mężczyznami. Inaczej niepodobna... na własny lokal trzeba najmniej trzydziestu lub czterdziestu franków. A jak zebrać, jak oszczędzić tę kwotę przy czterech lub nawet pięciu frankach tygodniowego zarobku? Przy takim wspólnym mieszkaniu powoli zaciera się uczucie wrodzonego wstydu, które jedynie może je bronić od rozpusty. Dalsze następstwa łatwo odgadnąć.

A gdy zabraknie roboty dzień, dwa, trzy?

A gdy przypadnie choroba? Choroba, którą sprowadza niedostatek pożywienia lub niezdrowe mieszkanie... Co wtedy? Strach pomyśleć!

Biedna Garbuska pomimo dobrodziejstw, które, o czym nie wiedziała, winna była wspinałomyślności Agrykoli, żyła jednak bardzo biednie, zdrowie jej, słabe z natury, bardzo już



nadwątlilo się takim niedostatkiem. Skutkiem wszakże wielkiej delikatności, choć nie wiedziała, że Agrykola wspomaga ją, utrzymywała, że zarabia więcej, ażeby uniknąć pomocy, która byłaby dla niej dwakroć przykrzejszą.

Rzecz bardzo rzadka, w ciele tak niekształtnym kryła się zacna, szlachetna dusza i umysł wzniosły, nawet poetyczny, dodajmy, iż te zalety zawdzięczała Agrykoli Baudoin, z którym się wychowała, i w którym poetyczny instynkt objawiał się sam przez się.

Dziewczyna była pierwszą powiernicą prób poetyckich młodego kowala, a gdy się jej zwierzał, jaką mu sprawiały uciechę, jaką były dla niego rozrywką po ciężkiej całodziennej pracy, biedna wyrobница, obdarzona również podobnymi zdolnościami czuła, że tego rodzaju rozrywka byłaby i dla niej ulgą w jej poniżeniu i samotności.

Pewnego dnia ku wielkiemu zdziwieniu Agrykoli, który jej przeczytał wiersze, poczciwa Garbuska zarumieniła się, wyrzekła coś niezrozumiałego – i nawzajem zwierzyła mu się ze swoją poezją.

Zapewne brakowało tym wierszom rytmu i harmonii, ale były one nacechowane prostotą, tkliwe jak żal bez goryczy, powierzony sercu przyjaciela.

Od tego dnia naradzała się wspólnie z Agrykolą i zachęcali się nawzajem, lecz prócz niego, nikt nie wiedział o poetyckich próbach Garbuski, która zresztą uchodziła powszechnie za głupią.

Widać było, że dusza tej nieszczęśliwej była wzniosła i piękna, gdyż w jej nieznanym nikomu pieśniach nie było nigdy gniewu lub nienawiści przeciw nieszczęsnemu losowi, brzmiał tylko żal smętny, żal bez nadziei, ale spokojny, cierpliwy, wyraz anielskiej miłości dla wszystkich biednych, skazanych jak ona na dźwiganie podwójnego brzemienia brzydoty i nędzy.

A nawet często objawiał się w tych wierszach naiwny i szczery podziw dla piękności i zawsze bez zawiści, bez goryczy, Garbuska podziwiała piękno, jak się podziwia słońce...

Niestety!... O wielu wierszach Garbuski Agrykola nie wiedział i nie miał się nigdy dowiedzieć.

Młody kowal, nie będąc pięknym, miał jednak męską twarz, był zarówno dobry jak dzielny, posiadał szlachetne serce, niepospolity umysł, łagodną i szczerą wesołość.

Młoda dziewczyna, razem z nimi wychowana, kochała go, jak kochać może nieszczęśliwa istota, upośledzona od natury, która z obawy przed pośmiewiskiem, zmuszona była taić miłość w głębi swego serca...

Zniewolona do tej powściągliwości, do ukrywania, Garbuska nie unikała takiej miłości.

Po co? Któż by się o niej mógł kiedy dowiedzieć? Siostrzane przywiązanie do Agrykoli dostatecznie tłumaczyło jej zajmowanie się nim, on zaś nawet nie domyślał się namiętej miłości Garbuski.

Taką była młoda, ubogo ubrana dziewczyna, która weszła do izdebki, gdzie Franciszka przygotowywała wieczerę dla syna.

– To ty, moja biedna – rzekła – nie widziałam cię rano, byłaś może chora?... Chodźże do mnie, niech cię ucałuję.

Dziewczyna pocałowała matkę Agrykoli i odpowiedziała:

– Miałam pilną robotę, proszę pani i nie chciałam stracić ani chwili czasu, dopiero ją skończyłam. Pójdę teraz po węgiel, czy nie potrzebuje pani czego?

– Nie, moje dziecko... dziękuję ci... ale jestem bardzo niespokojna... Już wpół do dziesiątej... Agrykola jeszcze nie wrócił.

Po czym dodała z westchnieniem:

– On się zamęczy tą pracą dla mnie! Ach! Jestem nieszczęśliwa, Garbusko... zupełnie straciłam wzrok... ledwie kwadrans mogę patrzeć... a potem już nie widzę nic, nawet tych worków nie mogę szyć... Być ciężarem synowi... to mnie okropnie martwi...

– Ależ, pani Franciszko, gdyby to Agrykola słyszał...

– Wiem, drogie dziecko, on myśli tylko o mnie... i to jeszcze bardziej mnie martwi... zwłaszcza gdy pomyślę, że aby mnie nie opuścić, wyrzeka się przyjemności, które mają wszyscy jego towarzysze u pana Hardy. Zamiast mieszkać tu, w tej brudnej izbie, mógłby mieć jak inni, małym kosztem piękną stancję, widną, dobrze opalaną w zimie, z czystym powietrzem w lecie, z widokiem na ogród, on, co tak lubi drzewa; nie mówię już o tym, że ma tak daleko do warsztatu, który jest za Paryżem, a to dla niego wielkie utrudzenie tak daleko chodzić...

– Lecz zapomina o tych trudach, gdy pocałuje matkę, a przy tym tak przywiązany jest do tego domu, gdzie się urodził. Zresztą pan Hardy oświadczył pani, że ją pomieści w Pelssy, w domu rzemieślniczym razem z Agrykolą.

– Tak, moje dziecko, lecz musiałabym opuścić moją parafię... a tego bym nie mogła.

– A! Już idzie... słyszę go – rzekła Garbuska zarumieniona.

Istotnie męski, wesoly śpiew dał się słyszeć na schodach.

– Oby mnie nie zobaczył płaczącej – rzekła matka, ocierając pełne łez oczy – on po pracy ma tę jedyną spokojną godzinę... nie trzeba mu jej marnować.

## ROZDZIAŁ III

### AGRYKOŁA BAUDOIN

Poeta-kowal był młodzieńcem koło dwudziestu czterech lat. Zwinny, silny, miał ciemne oczy i włosy, orli nos, oblicze śmiałe, wyraziste, otwarte. Podobny był do swego ojca, tym bardziej, że według ówczesnej mody, nosił duże czarne wąsy, brodę ostro przystrzyżoną, tak że ledwie zakrywała mu podbródek. Nosił spodnie z oliwkowego pół-aksamitu, błękitną bluzę, zasmoloną dymem kowalskim, chustkę zawiązaną od niechcenia na szyi, sukienną czapkę, z małym daszkiem na głowie. W ręku trzymał wspaniały kwiat ciemnopurpurowy, ze srebrnobiałą szypułką.

– Dobry wieczór, matko... – rzekł, wchodząc i zbliżając się, żeby ją ucałować, potem przyjacielsko skinąwszy głową młodej dziewczynie, dodał: – Dobry wieczór, Garbusko.

– Zdaje mi się, że bardzo się spóźniłeś, synu – odezwała się Franciszka, podając mu wieczерzę – zaczynałam już być niespokojna...

– O mnie, matko, byłaś niespokojna... czy o moją wieczерzę... – wesoło odrzekł Agrykoła – że też mama zawsze niespokojna, jak tylko zrobi dla mnie wieczерzę i boi się, żeby jedzenie, stojąc dłużej, nie stało się mniej smaczne...

Mówiąc to, chciał jeszcze raz pocałować matkę.

– No dosyć już... jeszcze mi rynkę wywrócisz...

– O! Tego nie zrobię, taki zapach... Pozwól, mamó, zobaczyć, co tam jest.

– Zaczekaj, później zobaczysz...

– Założyłbym się, że to kartofle ze słoniną, które tak lubię.

– A sobota? Zapomniałeś, czy co? – odrzekła Franciszka tonem łagodnej nagany.

– A, prawda! Ale i ja przypomniałem sobie – dodał – i oto mój tygodniowy zarobek.

– Dziękuję ci, moje dziecko, włóż go do szafy.

– Dobrze, mamó.

– Ach, co ja widzę! – rzekła nagle młoda wyrobnica w chwili, kiedy Agrykoła niósł pieniądze do szafy. – Jakież to piękny kwiat masz w ręce, Agrykolo, nigdy podobnego nie widziałam i to jeszcze zimą... Widzicie, pani Franciszko?

– Chodź, mam – odezwał się Agrykola. – Zobacz, powąchaj, jaki zapach... bo pachnie jak wanilia z kwiatem pomarańczowym.

– O! Rzeczywiście, jak pachnie i jaki piękny – rzekła Franciszka, składając ręce z podziwu.

– Skąd go wzięłaś?

– Wziąłem, matko? – odrzekł Agrykola ze śmiechem. – Alboż to można znaleźć coś podobnego, idąc od rogatki Maine na ulicę Brise-Miche?

– No, to któż ci go dał? – spytała Garbuska, równie ciekawa jak Franciszka.

– Acha! Wiem, że jesteście ciekawe dowiedzieć się... no, więc powiem... a zarazem do-  
wiecie się, dlaczego wracam tak późno... bo jeszcze inna rzecz mnie zatrzymała. O! To prawdziwy wieczór przygód...

Wracałem spiesznym krokiem i byłem już na początku ulicy Babilońskiej, aż wtem słyszę szczekanie małego pieska, patrzę... a tu śliczna, jak tylko można sobie wyobrazić, suczka, wielkości pięści, czarna, uszki i sierść długa aż do ziemi.

– Pewnie się zabłąkała – wtrąciła Franciszka.

– Nie inaczej. Biorę więc psinę, a ta zaczyna mnie lizać po rękę; na szyi miała czerwoną wstążkę, związaną w dużą kokardę, patrzę pod wstążkę, aż tu mała obróżka z łańcuszków złotych czy pozłacanych, z małą blaszką... dobywam zapalną, zapalam i wyczytałem: Lutyna – należy do panny Adrianny Cardoville, przy ulicy Babilońskiej nr 7.

– A właśnie znajdowałaś się na tej ulicy – zauważyła Garbuska.

– Słusznie, biorę więc pieska pod pachę, szukam, gdzie by to mogło być, idę obok muru ogrodowego – długi bez końca – i wreszcie przychodzę do bramy małego pawilonu, który zapewne należy do wielkiego pałacu na drugim końcu parku, bo ogród podobny był do parku... Patrzę w górę, spostrzegam nr 7, dzwonię, po chwili otwierają mi... Odtąd już z pewnością... Nie zechcecie uwierzyć.

– A dlaczegoż by?

– Bo będzie się wam zdawało, że opowiadam historię o czarach... Tak, dotąd... jeszcze stoi mi przed oczyma wszystko, com widział... a zdaje się, że coś podobnego mogłem widzieć tylko we śnie.

– Słuchamy więc, co to było – podchwyciła matka, tak ciekawiona, iż nie spostrzegła, że wieczera syna zaczynała się przypalać.

– Najpierw – mówił dalej kowal, śmiejąc się z wielkiej ciekawości, jaką obudził – otwiera mi młoda panna, tak piękna, tak ładnie ubrana, iż rzekłby kto, że to śliczny portret z dawnych czasów! Jeszcze nie wymówiłem słowa, a ona już zawołała: „Ach, panie! To Lutyna, znalazłaś ją, pan, jakże panna Adrianna ucieszy się! Chodźże pan, natychmiast chodź pan, żalowałaby, gdyby nie mogła sama panu podziękować”.

I nie dając mi czasu na odpowiedź, dała mi znak, abym szedł za nią... Ach, matko, byłoby trudno opowiedzieć ci dokładnie wszystko, com widział; przechodzę przez mały, na wpół oświetlony salon, jaki tam był zapach! Młoda panna szła prędko, otwierają się drzwi...

Ach! Tu znów co innego!... Wtedy uderzył mnie taki blask, iż tylko przypominam sobie migotanie złota, światła, kryształów i kwiatów, a pośród tego blasku młoda panna, tak piękna; ach, taka piękna, jak tylko można sobie wyobrazić: miała włosy rude albo raczej świecące jak złoto... Było to precudne, jak żyję, nie widziałem podobnych włosów!... A przy tym czarne oczy, usta różowe, śnieżna białość, to wszystko, co pamiętam... bo powtarzam jeszcze, byłem tak osłupiały, tak uderzony blaskiem, iż widziałem wszystko jak przez mgłę...

– Proszę pani – odezwała się młoda dziewczyna – a ja nigdy bym nie uwierzył, że to pokojówka, tak wytwornie była ubrana. – Jest Lutyna, ten pan ją znalazł i przyprowadził.

– Ach! Panie – odezwała się do mnie ta pani ze złotymi włosami – jakże mam panu dziękować?... Jestem niezmiernie przywiązana do Lutyny...

Potem, sądząc pewno po moim stroju, że może powinna inaczej podziękować, wzięła mały jedwabny woreczek, leżący przy niej i powiedziała:

– Muszę przyznać, że zadałeś pan sobie wiele fadygi, przynosząc mi Lutyń, straciłeś może czas dla siebie drogi... pozwól więc - i podała mi woreczek.

– Ach! Agrykolo – rzekła Garbuska – jak się nie wstydziała! Jak można kogoś tak krzywdzić!

– Czekaj dalej a zmienisz zdanie. Widząc pewnie po mojej, minie, że ofiarowanie woreczka z pieniędzmi obraziło mnie, wzięła z przepysznego porcelanowego wazonu śliczny kwiat i zwracając się do mnie z wdziękiem i uprzejmą dobrocią, z której domyślać się było można, iż żałowała, że mnie obraziła, rzekła:

– Przynajmniej zechciej pan przyjąć ten kwiat...

– Słusznie, Agrykolo – odrzekła Garbuska melancholijnym głosem – trudno lepiej naprawić błąd, mimowolnie popełniony.

– Ta panna – wtrąciła Franciszka, ocierając oczy – odgadła mego Agrykolę.

– Nieprawdaż, kochana matko? Lecz w chwili, kiedy brałem kwiat, nie śmiać podnieść oczu, bo chociaż nie jestem bojaźliwy, panna ta, obok dobroci, miała w sobie coś takiego, co we mnie wzbudzało uszanowanie, drzwi się otworzyły i inna, także piękna, młoda panna, brunetka, dziwnie a wytwornie ubrana, odezwała się do rudowłosej:

– Proszę pani, on tam jest...

Ta natychmiast wstała i rzekła do mnie:

– Przepraszam pana, nie zapomnę nigdy, że mu winna przyjemną chwilę... Chciej pan w każdej sytuacji pamiętać o moim adresie i moim imieniu, jestem Adrianna Cardoville.

Potem wyszła.

Nie potrafiłem znaleźć słowa, żeby jej odpowiedzieć, młoda panna odprowadziła mnie i ślicznie mi się ukloniła w bramie.

Wyszedłem na ulicę Babilońską tak olśniony, tak, mówię wam, zdziwiony, jakbym wyszedł z zaczarowanego pałacu...

– Ach! To tak jak w czarodziejskich powieściach, prawda, Garbusko?

– O tak, pani Franciszko – odrzekła zamyślona dziewczyna z roztargnieniem, czego Agrykolo nie spostrzegł.

– Najbardziej zaś wzruszyło mnie to – dodał – iż ta panna, choć bardzo uradowana odzyskaniem swego pieska, wcale z tego powodu nie zapomniła o mnie, nie zajmowała się nim w mojej obecności, dowodzi to, że ma dobre serce i jest delikatna, prawda, Garbusko? W końcu, uważam ją za tak dobrą i szlachetną, iż w żadnej okoliczności nie wahałbym się udać do niej...

– Tak... słusznie – odpowiedziała Garbuska, coraz bardziej roztargniona.

Biedna dziewczyna mocno się zmartwiła... nie czuła żadnej zawiści, żadnej zazdrości wobec nieznannej młodej panny, która swoją pięknnością, bogactwem, delikatnym obejściem, należała do sfery wysokiej i świetnej. Lecz jednocześnie czuła biedaczka bardziej niż kiedykolwiek ciężar swej szpetoty i nędzy.

A jednak tak pokorna i spokojna była jej rezygnacja, że chyba tylko obrażać ją mogło w Adriannie Cardoville, że ofiarowała Agrykoli pieniądze, lecz uprzejmy sposób naprawienia tego uchybienia głęboko wzruszył Garbuskę.

Bądź co bądź serce jej się ścisnęło. Nie mogła powściągnąć łez, patrząc na przepyszny, pachnący kwiat, który dany miłą ręką tak cenny musiał być dla Agrykoli.

– Teraz, kochana matko – odezwał się z uśmiechem kowal, nie spostrzegając przykrego wzruszenia Garbuski – skorom powiedział jedną historię... powiem i drugą, która także była przyczyną mego opóźnienia... Wchodząc do domu, spotkałem na dole farbiarza, z rękoma ufarbowanymi na zielono. Zatrzymawszy mnie, rzekł z przestraszoną miną, że widział dość porządnie ubranego człowieka, włóczącego się koło domu, jak gdyby coś podsłuchiwał i śledził...

– A co ci to szkodzi, ojciec Lorient? – spytałem. – Czy się boisz, aby ci nie wykradł sekretu przyrządzenia tak pięknego zielonego koloru, z którego zrobiłeś sobie takie wykwintne rękawiczki aż po łokcie?

– Ale czego ten człowiek tu chce, Agrykolo? – zapytała Franciszka.

– Na honor, nie wiem, matko, i wcale mnie to nie obchodzi. Powiedziałem ojcu Lorient, zapamiętałem gadule, aby wrócił do swego sklepu, gdyż, czy kto będzie go podsłuchiwał, czy nie, tyle jemu, co mnie z tego przyjdzie.

Mówiąc to, wstał, aby schować swój własny woreczek z pieniędzmi w środkowej szufladce szafy.

W chwili, kiedy Franciszka stawiała jedzenie na stole, Garbuska ocknąwszy się z zamyślenia, naląła na miskę wody i podała kowalowi, mówiąc nieśmiałym głosem:

– Agrykolo, umyj ręce.

– Dziękuję, Garbusko... jesteś bardzo uprzejma.

I głosem, pełnym prostoty, dodał:

– Oto mój piękny kwiat za twoją przysługę...

– Oddajesz mi go!... – zawołała wyrobница zmienionym głosem, a żywy rumieniec okrył jej bladą twarz. – Oddajesz mi ten wspaniały kwiat... który ci dała ta piękna i bogata panna?...

I zdziwiona raz jeszcze powtórzyła:

– Oddajesz mi ten kwiat?!

– A cóż chcesz, abym z nim zrobił... żebym go do piersi sobie przypiął lub w ramkę oprawił, co? – podchwycił Agrykolo ze śmiechem. – Prawda, że bardzo mnie wzruszył sposób, w jaki mi ta panna podziękowała. Cieszę się, że znalazłem jej ulubioną suczkę, ale jestem również szczęśliwy, że mogę ci dać ten kwiat, kiedy ci się podoba... Widzisz, że dobry był dzisiejszy dzień.

I mówiąc to, kiedy Garbuska brała kwiat, drżąc z radości i zdziwienia, kowal mył ręce, zabrudzone w kuźni. Potem, widząc wodę czarną jak atrament, pokazał ją Garbusce, mówiąc:

– Będziemy mieli tani atrament do naszych bazgranin. Wczoraj skończyłem wiersze, z których nie bardzo jestem kontent, przeczytam ci je.

Wytarł ręce o bluzę, a Garbuska, postawiwszy kubek na komodę, włożyła w niego kwiat.

– Nie możesz to mówić, żebym ci dała ręcznik? – odezwała się matka, wzruszając ramionami – a nie obcierać ręce o bluzę!

– Napaliła się ona cały dzień... nic nie szkodzi, że się teraz trochę ochłodzi. Ale, kochana matko, wiesz, że nie chcę ci być nieposłusznym i jeżeli chcesz się przekonać...

Za całą odpowiedź matka objęła głowę syna, popatrzyła na niego przez chwilę z uczuciem macierzyńskiej dumy i serdecznie pocałowała go w czoło.

– Siadaj... Nastoisz się cały dzień w kuźni... Masz swoje krzeselko.

– O! Jak widzę, cały wieczór będziemy się spierali, ty weź je, matko, dobrze mi, będzie i na stołku...

– Wcale nie, trzeba żebyś wypoczął po ciężkiej pracy.

– Ach! Co tu korowodów, moja kochana Garbusko... – rzekł wesoło Agrykolo, siadając.

Franciszka Baudoin, stojąc przy stole, kroił dla niego cihleb, z drugiej strony stołu Garbuska, wzięwszy butelkę, naląła mu do srebrnego kubka. W posługach tych dwóch kobiet widać było coś tkliwego dla tego, którego obydwie czule kochały.

– Nie chcesz jeść ze mną – odezwał się Agrykolo do Garbuski.

– Dziękuję – odrzekła szwaczka, spuszczać oczy – dopiero co jadłam.

– Ja też mówiłem tylko dla formy, gdyż wiem, że za nic w świecie nie jadłabyś ze mną... Zupełnie tak jak moja matka, która lubi tylko sama jeść... a żalując sobie, krzywdzi się, a ja na to nie mogę patrzeć...

– Ależ nie, moje dziecko, mało jadam, bo to zdrowiej... i również dla zdrowia jadam wcześniej... A cóż, czy ci smakuje?

– Wyborne... To sztokfisz... Z rzepą... A ja przepadam za sztokfiszem, urodziłem się do prawdy na rybaka z Nowej Ziemi i tylko przez omyłkę zostałem kowalem.

W rzeczywistości po ciężkiej pracy wcale nie uważał za stosowny posiłek z tego mdłego przysmaku, który trochę przypalił się podczas jego opowiadania o piesku, lecz dla zadowolenia matki bynajmniej nie dał poznać, że mu ryba nie smakuje.

Pocziwa kobieta dodała więc z ukontentowaniem:

– Zaraz widać, jak ci ta potrawa smakuje... zrobię ci ją jeszcze w przyszły piątek i sobotę.

– Bardzo dziękuję mamie... tylko proszę, aby jej przez dwa dni z rzędu nie robiła, gdyż mogłaby mi się sprzykrzyć.

– A! Prawdę mówisz. A teraz pomyślimy, co będziemy robili jutro, w niedzielę.

– Będziemy się bawili, od kilku dni uważam, że ty, kochana matko martwisz się czymś... a ja nie znam powodu... Zdaje mi się, że matka chyba nie jest ze mnie zadowolona.

– Co! Z ciebie?... Moje dziecko... ty jesteś wzorem...

– Dobrze! Dobrze!... Skoro tak, musisz dowieść, żeś ze mnie kontenta, zabawimy się razem trochę, a może także i pani raczy nam towarzyszyć jak ostatnim razem – rzekł Agrykola, kłaniając się Garbusce.

Ta zarumieniła się i spuściła oczy, twarz jej przybrała wyraz smutku i nic nie odpowiedziała.

– Moje dziecko, wiesz, że przez cały dzień modłę się – odpowiedziała matka.

– Wyborne, to przynajmniej w wieczór?... Nie będę namawiał matkę, żeby szła do teatru, ale powiadają, że jakieś tam przedziwne sztuki pokazują.

– Dziękuję ci, mój kochany, zawsze to pewien rodzaj widowiska.

– Nie, matko, przesadza ten, kto to mówi.

– Moje dziecko, alboż ja przeszkadzam robić innym, co im się podoba?

– To prawda... przebacz mi, a więc, jeżeli będzie pogoda, pójdziemy przejść się na bulwary z Garbuską, wszak to już blisko trzy miesiące, jak z nami nie chodziła... a bez nas... nigdzie nie wychodzi.

– Nie, przejdź się sam, użyj przynajmniej niedzieli.

– No, Garbusko, pomóż mi namówić matkę.

– Wiesz, Agrykolo – odrzekła Garbuska, rumieniąc się i spuszczać oczy – wiesz, że już nie powinnam wychodzić... z tobą i z twoją matką...

– A dlaczegoż to? Czy mógłbym spytać o przyczynę? – podchwycił wesoło Agrykola.

Dziewczyna smętnie uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Dlatego, że nie chcę narażać cię na przykrości z mego powodu...

– O!... Daruj... Daruj – rzekł kowal, z szczerym żalem i uderzył się w czoło.

Odmowa Garbuski miała następujący powód:

Czasami, bardzo rzadko, biedna dziewczyna wychodziła na spacer z Agrykolo i jego matką; dla szwaczki była to rzadka uroczystość, musiała nie spać wiele nocy, pościć wiele dni, aby sobie sprawić jaki taki czepeczek, jakąś chusteczkę, aby nie zrobić wstydu Agrykoli i jego matce. Przechadzki, odbywane z tym, którego potajemnie ubóstwiała, były dla niej jedyną radością.

Podczas ostatniego spaceru jakiś mężczyzna, rubaszny prostak, tak ją potracił łokciem, iż nie mogła powstrzymać okrzyku bólu... Na krzyk ten grubianin odpowiedział:

– Dobrze ci tak, Garbusie!

Agrykola, jak ojciec, obdarzony był ową cierpliwą dobrocią, jaką siła i śmiałość nadają ludziom uczciwym i szlachetnego serca, ale był gwałtowny, gdy chodziło o ukaranie nikczemnej zniewagi.

Oburzony złościwością i grubiaństwem przechodnia puścił rękę matki, a zwróciwszy się do napastnika, takiego jak on wieku, wzrostu i siły, wymierzył mu dwa potężne policzki.

Tamten chciał mu oddać, lecz Agrykola raz jeszcze uderzył go w twarz – ku wielkiemu zadowoleniu licznych świadków. Przeciwnik uciekł wykrzyczany i wygwizdany.

O tym zdarzeniu wspomniała Garbuska, mówiąc, że nie chce wychodzić z Agrykola, aby go nie narazić na nieprzyjemności.

Łatwo pojąć, jak przykro było kowalowi, że mimo woli przypomniał to zajście... Niestety! Bolesniejszym jeszcze było ono dla Garbuski, bo dziewczyna namiętnie go kochała... a dzięki swej ułomności stała się powodem awantury.

Mimo wielkiej siły i odwagi Agrykola był tkliwy jak dziecko; gdy pomyślał, jak to wspomnienie przykre być musiało dla dziewczyny, łzy stanęły mu w oczach i podając jej rękę rzekł:

– Daruj mi moje głupstwo, pocałuj mnie, jeżeli się nie gniewasz...

I dwa razy ucałował blade, wychudłe policzki Garbuski. Na te serdeczne przeprosiny, usta młodej dziewczyny zbieleły a serce zaczęło bić tak mocno, iż musiała oprzeć się o róg stołu, aby nie upaść.

– Więc przebaczasz mi, prawda?... – zapytał.

– Tak, tak – odrzekła, usiłując przezwyciężyć wzruszenie – ale przebac mi także moją słabość... gdyż na wspomnienie owego wypadku słabo mi się zrobiło... tak się o ciebie złąkłam... bo gdyby się tłum był za nim ujął...

– Ach! Dla Boga!... – dodała Franciszka – i ja nigdy w życiu tak się nie przestraszyłam.

– O! Jeżeli o to... moja matko – odezwał się Agrykola, chcąc zmienić przedmiot rozmowy, niemily dla niego i dla szwaczki - ty, matko, będąc żoną żołnierza... grenadiera napoleońskiego... wcale nie jesteś mężna... O! Mój dobry ojciec! Myśleć nie śmiem, że on wkrótce przybędzie, tracę głowę, skoro o tym sobie przypomnę.

– Wkrótce przybędzie?... Bóg wie ... Już od czterech miesięcy nie odebraliśmy listu.

– Ale w ostatnim, który komuś podyktował, gdyż, jak nam mówił z właściwą mu żołnierską otwartością, czyta dosyć dobrze, ale kiedy idzie o pisanie, to rzecz wcale inna; w tym liście pisał, abyśmy byli spokojni, że przybędzie do Paryża przy końcu stycznia, a na trzy lub cztery dni wprzód da nam wiadomość.

– To prawda, a tymczasem już luty i nic jeszcze nie słyhać.

– Tym prędzej spodziewać się go możemy, a nawet nie zdziwiłbym się, gdyby w tym samym czasie przybył także Gabriel... Tak mi każe sądzić jego ostatni list z Ameryki. Co by to było za szczęście... matko, gdyby się cała rodzina zebrała!

– Bóg by to dał, moje dziecko!... Byłby to bardzo szczęśliwy dzień...

I wierz mi, matko, że ten dzień rychło nastąpi, a gdy przybędzie ojciec... nie chcę innych nowin... bo ta będzie najlepsza.

– Czy ty pamiętasz ojca, Agrykolo? – spytała Garbuska.

– Prawdę mówiąc, najlepiej pamiętam jego wielką kudłatą czapkę i wąsy, których się okropnie bałam. Podobała mi się tylko czerwona wstążka na białych wyłogach munduru i błyszcząca rękojeść szabli, prawda, matko?... Ale cóż ci to?... Płaczesz, matko?

– A! Biedny Baudoin... ile musiał wycierpieć od czasu, jak się z nami rozstał... w jego wieku, przeszło sześćdziesiąt lat... Ach! Moje dziecko... serce mi pęka, kiedy o tym myślę.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę wejść – rzekł Agrykola.

Lecz osoba, która zapukała, uchyliła tylko drzwi i widać było Jej zielono ufarbowaną rękę, dającą jakieś znaki kowalowi.

– Widzicie, to ojciec Lorient... wzór farbiarzy przeszłych, terażniejszych i przyszłych – rzekł z humorem Agrykola – proszę, proszę bez ceremonii, ojciec Lorient...

– Niepodobna, mój przyjacielu, od stóp do głowy zafarbowany jestem... zafarbowałbym na zielono pani Franciszce całą podłogę.

– Tym lepiej, będzie wyglądała jak murawa, a ja bardzo lubię wieść.

- Bez żartów, Agrykolo, mam ci coś powiedzieć i to prędko.
  - Może o człowieku, który podgląda?... Daj mu spokój, cóż to nas może obchodzić?
  - Nie, zdaje mi się, że odszedł, a przynajmniej mgła jest tak gęsta, iż nic nie widać... ale nie o tym chcę mówić... chodź więc prędko... bo... bo o ważną rzecz idzie – dodał farbiarz z tajemniczą miną – jest tu interes, który dotyczy ciebie...
  - Co, mnie? – spytał Agrykolo, wstając zdziwiony – cóż to może być?
  - A idź, zobacz, moje dziecko – wtrąciła Franciszka.
  - Dobrze, pójdę, ale ani się domyślam, o co idzie.
- I kowal wyszedł, zostawiwszy matkę z Garbuską.

## ROZDZIAŁ IV

### POWRÓT

Nie upłynęło pięć minut, a Agrykolo wrócił. Na jego bladej twarzy znać było pomieszanie, w oczach miał łzy, ręce mu drżały, ale zarazem twarz jego tchnęła jakimś szczęściem i nadzwyczajnym wzruszeniem. Stał przez chwilę w drzwiach, jak gdyby wzruszenie nie pozwalało mu zbliżyć się do matki.

Franciszka miała już talk osłabiony wzrok, iż- nie od razu zauważyła zmianę na twarzy syna.

– I cóż tam, moje dziecko?... O co chodziło farbiarzowi? – zapytała.

Lecz zanim kowal zdążył odpowiedzieć, Garbuska zawołała:

– Ach! Mój Boże... Agrykolo... co się stało? Dlaczegoś taki bladej?

– Matko! – rzekł młody rzemieślnik zmienionym głosem, zbliżając się do Franciszki i nie odpowiadając Garbusce – kochana matko, możesz się spodziewać czegoś, co cię mocno zdziwi... Ale przyrzeknij, mi, że będziesz spokojna.

– Cóż to jest? Jak ty drżysz!... Spójrz na mnie!... Garbuska ma rację – bardzo zbladłeś...

– Kochana matko... – Agrykolo ukląkł przed Franciszką i ujął ją za rękę – trzeba... Nie wiesz... Ale...

Nie mógł dokończyć, płacz tłumił mu głos.

– Ty płaczesz, moje dziecko... Przebóg! Co się stało?... Przerażasz mnie!...

– Przerażam... nie... przeciwnie – odparł Agrykolo, ocierając oczy – ucieszysz się, bardzo się ucieszysz... Ale raz jeszcze proszę, abyś zachowała się spokojnie, gdyż zbyt wielka radość może ci zaszkodzić, tak samo jak zbyt wielkie zmartwienie...

– Jak to?

– Powiedziałem ci, że przybędzie... tak... mówiłem to...

Wstała z krzesła.

Lecz jej zdziwienie, jej wzruszenie było tak mocne, iż chwyciła się ręką za serce, aby przytłumić jego gwałtowne bicie, potem poczuła osłabienie.

Syn przytrzymał ją i pomógł usiąść.

Garbuska stała do tego czasu z boku, nie mieszając się do rozmowy, lecz teraz zbliżyła się nieśmiało, sądząc, że może być użyteczna, gdyż twarz Franciszki mieniła się coraz bardziej.

– Matko! Nie trać przytomności, uspokój się – mówił kowal – wszystko skończyło się dobrze, teraz już tylko cieszyć się będziemy szczęściem oglądania ojca.

– Mego biednego Baudoina... po osiemnastoletniej rozłące...Nie!... Nie mogę uwierzyć – rzekła Franciszka, łzami się zalewając. – Czy to prawda, ach, mój Boże! Czy to tylko prawda?



– To jest taką prawdą... iż gdybyś mi, matko, przyrzekła, że nie będziesz nazbyt wzruszona... powiedziałbym ci, kiedy go zobaczysz.

– Ach! Wkrótce... nieprawda?

– Tak... niedługo.

– Może jutro... może jeszcze dziś.

– Dziś?...

– A więc tak, matko... wreszcie muszę ci powiedzieć: ojciec przybywa... już przybył...

– Jest.. jest...

I Franciszka nie mogła mówić dalej.

– Ojciec w tej chwili właśnie jest na dole; zanim wszedł poprosił farbiarza, aby mnie uprzedził, abym cię przygotował do spotkania... bo obawiał się, żeby nagła radość nie zaszkodziła ci...

– O! Mój Boże...

– A teraz – zawołał kowal z wybuchem radości – tak, on jest tam... czeka... Ach, matko... już od dziesięciu minut ledwie mogę wytrzymać, serce mi o mało nie wyskoczy.

I podskoczywszy, otworzył drzwi.

W progu ukazał się Dagobert, trzymając za ręce Różę i Blankę.

Zamiast rzucić się w objęcia męża, Franciszka, padła na kolana, modliła się. Wznosząc się duchem do Boga, dziękowała mu, że wysłuchał jej modłów i wynagrodził jej ofiary.

Przez chwilę wszyscy milczeli i stali nieruchomi.

Agrykola, powodowany uczuciem szacunku i delikatności, które jednak ledwie mogły powściągnąć uniesienie radości i czułości, nie śmiał rzucić się na szyję ojcu, czekał niecierpliwie, aż matka skończy modlitwę.

Żołnierz doświadczał podobnego jak i syn uczucia, obydwaj się rozumieli, pierwsze ich spojrzenia na siebie wyrażały tkliwość i uwielbienie dla tej dobrej kobiety.

Róża i Blanka, zdumione i wzruszone, patrzyły z zainteresowaniem na klęczącą kobietę, gdy tymczasem Garbuska po cichu zalewała się łzami radości na myśl o szczęściu Agrykoli i schroniła się w najciemniejszy kąt izby, uważając, że jest obcą, a zatem niepotrzebną pośród tego rodzinnego spotkania.

Franciszka wstała i podeszła do męża, który wziął, ją w ramiona.

Nastąpiła chwila uroczystego milczenia.

Dagobert i Franciszka słowa do siebie nie wymówili, słysząc było tylko westchnienia przerywane łkaniem i tchnieniem radości.

A gdy oboje podnieśli głowy, twarze ich były spokojne, pogodne, bo zupełne zadowolenie uczuć prostych i czystych nigdy nie zostawia po sobie gorączkowego, gwałtownego wzburzenia.

– Moje dzieci – rzekł żołnierz wzruszonym głosem, pokazując sierotom Franciszkę, która, uspokoiwszy się po pierwszym uniesieniu, patrzyła na nie z ciekawością – to moja dobra, zająca żona... będzie ona dla córek generała Simona tym, czym ja byłem dla nich...

– Pani też obchodzić się będzie z nami jak ze swymi dziećmi – rzekła Róża, zbliżając się z siostrą do Franciszki.

– Córki generała Simona... – zawołała zdziwiona żona Dagoberta.

– Tak, kochana Franciszko, to one... i przyprowadzam je z daleka... Nie bez trudu, opowiem ci potem wszystko.

– Biedne panienki... powiedziałby kto, że to dwa podobne do siebie aniołki – rzekła Franciszka, przypatrując się sierotom.

– Teraz... My dwaj... – rzekł Dagobert, zwracając się do syna.

– Nareszcie! – zawołał Agrykola.

Niepodobna opisać wybuchu radości Dagoberta i jego syna, szczęścia, z jakim żołnierz przypatrywał się Agrykoli, opierał swe ręce na szerokich ramionach młodego kowala, aby

lepiej napatrzeć się jego męskiej, otwartej twarzy, wysmukłej, silnej budowie ciała, potem znowu go przycisnął do piersi, mówiąc:

– Ach! Co za piękny chłopiec... a jak dobrze zbudowany, jak dobrze wygląda... Tęgi zuch!...

Garbuska, ciągle stojąc w kącie izby, cieszyła się ze szczęścia Agrykoli, ale obawiała się, aby jej obecność, dotąd nie postrzeżona, nie była uważana za natrętą.

Chciałaby oddalić się dyskretnie, ale nie mogła. Dagobert i Agrykola zasłaniali sobą drzwi, pozostała więc, nie mogąc oderwać oczu od ślicznych twarzyczek Róży i Blanki. Nic w świecie piękniejszego nie widziała a nadzwyczajne podobieństwo obu dziewcząt powiększało jeszcze jej podziw, skoro wreszcie ich skromne ubiory zdawały się znamionować ich ubóstwo, mimo woli poczuła dla nich jeszcze większą sympatię.

– Kochane dzieci! Zimno im, drobne rączki zgrabiał, a jak na nieszczęście, ogień w piecu wygasł – mówiła Franciszka.

I usiłowała w swoich dłoniach rozgrzać ręce sierot, kiedy tymczasem Dagobert i syn rozptywali się w uczuciach tak dawno tłumionego przywiązania.

Skoro tylko Franciszka powiedziała, że ogień zgasł w piecu, Garbuska, chcąc się przysłużyć i pokazać, że nie daremna jest tu jej obecność, pobiegła do alkierza, gdzie leżał węgiel i drzewo, przyniosła kilka kawałków, uklękła przy piecyku i znalazłszy kilka żarzących się węgielków w popiele, roznieciła ogień, który niebawem z hukiem się rozpalil, potem, nalawszy wody do imbryczka, postawiła go na piecu, przewidując, że będzie potrzebny jakiś ciepły napój dla panienek.

Zajmowała się tym talk zręcznie i cicho, a przy tym, co zrozumiałe, tak mało zważano na nią podczas tych uniesień rodzinnej radości, iż Franciszka, zajęta Różą i Blanką, wtedy dopiero obejrzała się na płonący w piecu ogień, gdy czuć się dało od niego ciepło i woda zaczęła się z szumem gotować.

Nie zdziwiło to żony Dagobera, tym bardziej, że zastanawiała się, w jaki sposób pomieścić dziewczynki, o których przybyciu nie mogła przecież wiedzieć.

Wtem niespodziane kilkakrotne, przytłumione szczekanie psa dało się słyszeć za drzwiami.

– A! To mój stary Ponury – rzekł Dagobert, otwierając drzwi psu – on także chce wejść, alby poznać rodzinę.

Ponury wbiegł wesoło, w minutę był już, jak mówią, jak we własnym domu. Obtartszy długi pysk najpierw o ręce Dagoberta, podszedł z kolei do Róży i Blanki, do Franciszki i Agrykoli, potem, widząc, że mniej nań zważano, podbiegł do Garbuski, która chowała się w najciemniejszym kącie izby, wtedy, idąc za przysłowiem: „Przyjaciele naszych przyjaciół – są naszymi przyjaciółmi” zaczął lizać ręce młodej wyrobniicy, o której wszyscy zapomnieli.

I dziwić się nie można, że pieszczoty te do łez wzruszyły Garbuskę; kilkakrotnie pogłaskała Ponurego, potem, sądząc, że już do niczego nie jest przydatna, wzięła piękny kwiat, podarowany jej przez Agrykolę, otworzyła drzwi i wyszła tak nieznacznie, iż nikt nie spostrzegł jej wyjścia.

– Biedna Franciszko – rzekł żołnierz, wskazując wzrokiem na Różę i Blankę – nie spodziewałaś się tak pięknych gości?

– Mój przyjacielu, mnie tylko to martwi – odpowiedziała Franciszka – że panny, córki generała Simona, nie mają okazalszego mieszkania niż nasze... bo oprócz tej izdebki i poddasza Agrykoli...

– Nie ma nic więcej?

– Są tu wprawdzie i piękniejsze pokoje, ale...

– Bądź spokojna – przerwał Dagobert – te biedne dzieci przywykły już przestawać na tym, co jest. Jutro z rana pójdziemy z Agrykolą do ojca generała w fabryce pana Hardy i pomówimy o interesach.

– Jutro, ojciec – odparł Agrykolo – jutro nie zastaniesz w fabryce ani pana Hardy, ani ojca marszałka Simona...

– Co ty mówisz? – dziwił się Dagobert – Marszałka?

– A tak, od roku 1830 przyjaciele generała Simona postarali się, aby przyznano mu tytuł, który cesarz nadał mu po bitwie pod Ligny.

– Czy tak? – zawołał Dagobert ze wzruszeniem – O! Nie powinno mnie to; dziwić... w końcu postąpiono bardzo sprawiedliwie...

A zwracając się do dziewcząt, rzekł:

– Słyszycie, moje dzieci... przybywacie do Paryża jako córki księcia i marszałka... prawda, że tego by o was nie pomyślano, widząc was w tej prostej izbie, moje księżniczki... ale cierpliwości, wszystkiemu da się zaradzić. Ojciec Simona musiał być bardzo kontent, dowiedziawszy się, że syn jego odzyskał swój tytuł... co, Agrykolo?...

– Powiedział, że oddałby wszystkie stopnie i tytuły, byleby mógł oglądać syna... Zresztą, marszałek jest spodziewany lada chwila, gdyż ostatnie listy z Indii zapowiadają jego powrót.

Na te słowa Róża i Blanka spojrzały na siebie i łzy stanęły im w oczach.

– Bogu dzięki! Ja i dzieci liczymy na ten powrót... ale dlaczego nie zastaniemy jutro w fabryce ani pana Hardy, ani o jest Simona?

– Przed dziesięcioma dniami wyjechali, aby obejrzyć i zbadać angielski zakład fabryczny, założony w jednym z południowych departamentów, ale lada dzień wrócą.

– Do kata... to mi nie na rękę... Sądziłem, że będę mógł pomówić z ojcem Simonem o ważnych interesach, zresztą trzeba się dowiedzieć, gdzie do niego pisać. Jutro więc, mój synu, dasz mu znać, że przybyły jego wnuczki... Tymczasem, moje dzieci – dodał, zwracając się do Róży i Blanki – moja żona da wam pościel i bądź co bądź, nie gorzej wam tu będzie niż w podróży.

– Wiesz, że nam zawsze będzie dobrze przy tobie i przy pani – odrzekła Róża.

– A przy tym, myślimy tylko o szczęściu, że nareszcie jesteście w Paryżu... tu bowiem spotkamy wkrótce naszego ojca – dodała Blanka.

– A przy takiej nadziei łatwo być cierpliwym, wiem o tym dobrze – rzekł Dagobert – ale to wszystko jedno, wobec tego, coście słyszały o Paryżu, musicie być wielce zdziwione, moje dzieci. Nie znalazłyście przecież jeszcze tego złotego miasta, o jakim się wam marzyło, ale trochę cierpliwości... a zobaczycie, że Paryż nie jest tak brzydki, jak się wydaje...

– A przy tym – rzekł wesoło Agrykolo – jestem pewny, że dla pań, dopiero z przybyciem marszałka Simona Paryż stanie się prawdziwym złotym miastem.

– Masz słusność, panie Agrykolo – odrzekła Róża z uśmiechem – odgadłeś nas.

– Jak to! Pani zna moje imię?

– O! Panie Agrykolo, często mówiłyśmy o panu z pańskim ojcem, a ostatnio i z Gabrielem – dodała Blanka.

– Z Gabrielem! – zawołali jednocześnie Agrykolo z matką, oboje wielce zdziwieni.

– Ach! Tak – powiedział Dagobert, wskazując sieroty – wystarczy nam na dwa tygodnie opowiadania o nim, a między innymi, jak spotkaliśmy się... O! Wart on być moim synem jak Agrykolo... i obaj godni są, by się kochali jak bracia... A ty, żono, jesteś bardzo dobra – dodał z uczuciem – i bardzo pięknie uczyniłaś, że chociaż tak uboga, przybrałaś biedne dziecko za swoje, wychowałaś je wraz z swoim własnym... To piękny uczynek!

– Nie mówmy o tym, mój drogi, bo to rzecz oczywista.

– Masz słusność, ale ja ci to później wynagrodzę, zapisz to w swym rachunku... Tymczasem, ujrzysz go pewnie jutro z rana...

– Kochany brat!... I on także przybywa – zawołał kowal – niechże teraz kto powie, że nie ma pewnych dni szczęśliwych!... A jakże się z nim spotkaliście ojciec?

– Co za wy?... Mój chłopcze, czy dlatego, że układasz śpiewki, nie chcesz do ojca mówić ty?

– Ojczy...

– Musisz mi mówić: ty... Co do Gabriela, powiem ci, gdzie i jak spotkałem się z nimi, bo mylisz się, jeżeli myślisz, że będziesz mógł spać; odstąpisz mi połowę swej izby i będziemy gadali... Ponury zostanie za drzwiami tej izby, od dawna już przywykł znajdować się zawsze blisko dziewczynek.

– Ach! Drogi mężu, a ja o niczym nie pomyślałam... ale widzisz... w takiej chwili... Może ty i panienki zjedlibyście wieczerzę... Agrykola przyniósłby co z traktierni.

– Cóż wy na to, moje dzieci?

– Nie, dziękujemy, nie chce nam się jeść, jesteśmy szczęśliwe...

– Jednak napijcie się ciepłej wody z winem i cukrem, abyście się rozgrzały, moje kochane

– rzekła Franciszka – bo, jak na nieszczęście, w tej chwili nie ma nic lepszego.

– Tak, dobrze mówisz, Franciszko, biedne dzieciśka utrudziły się, położyły je spać... Tymczasem ja pójdę z chłopcem do jego izdebki, a jutro raniuteńko, zanim Róża i Blanka obudzą się, przyjdę do ciebie i pomówimy z sobą, aby Agrykola mógł się trochę wyspać.

Wtem zapukano do drzwi.

– To pewno Garbuska przychodzi zapytać, czy jej nie potrzebujemy – odezwał się Agrykola.

– Ale zdaje mi się, że ona tu była, gdyście się zjawili – odpowiedziała Franciszka.

– Słusznie mówisz, matko, biedne dziewczynisko, nikt nie widział, gdy wyszła, żeby się nie naprzykrzać... ona jest taka delikatna... Ale to nie ona tak mocno puka.

– A zobacz, Agrykolo, kto tam jest – rzekła Franciszka.

Zanim kowal zdążył dojść do drzwi, już się same otworzyły i wszedł porządnie ubrany, poważny mężczyzna, obejrzał się wkoło i na chwilę zatrzymał wzrok na Różę i Blance.

– Pozwól pan sobie powiedzieć – rzekł Agrykola – że zapukawszy... mogłeś zaczekać, żeby ci odpowiedziano: proszę!.. Czego pan sobie życzy?

– Przepraszam pana – odrzekł uprzejmie ów jegomość, mówiąc wolno, może dlatego, aby zyskać na czasie – stokrotnie pana przepraszam... żałuję mojej pomyłki... zawstydza mnie to, że...

– Mniejsza o to – rzekł kowal niecierpliwie – czego pan chce?

– Czy nie tu... mieszka panna Saliveau, wyrobница, garbata?

– Nie, panie, to na górze – odrzekł Agrykola.

– Och! Serdecznie przepraszam za moją pomyłkę, przepraszam... Myślałem, że wchodzę do tej młodej szwaczki, której mam powierzyć robotę od pewnej osoby...

– Ależ, panie, jest bardzo późno – rzekł zdziwiony Agrykola – my znamy tę młodą osobę, przyjdź pan jutro, dziś się z nią nie zobaczysz, bo już śpi...

– A to raz jeszcze proszę mi wybaczyć...

– Dobrze już, dobrze – odpowiedział Agrykola, postępując ku drzwiom...

– Proszę panią i panienki, jak i pana... aby byli pewni, że...

– Jeżeli pan tak będziesz przeciągał – rzekł Agrykola – wypadnie także, abyś prosił o przebaczenie za to długie usprawiedliwianie się i to się nigdy nie skończy.

Na te słowa Agrykoli, które pobudziły do śmiechu Różę i Blanę, Dagobert pogłaskał z dumą i zadowoleniem swoje wąsy.

– Mój chłopiec jest dowcipny – rzekł po cichu do żony – ciebie to nie dziwi, ty już się z tym oswoiłaś.

Tymczasem ów grzeciś wyszedł, rzuciwszy przeciągłe spojrzenie na dwie siostry, Agrykolę i Dagoberta.

W kilka chwil później Franciszka, położywszy dla siebie materac na podłodze i przykrywszy pościel czystym prześcieradłem dla sierot, układała je do snu z prawdziwie macierzyńską troskliwością, Dagobert zaś i Agrykola poszli na górę.

W chwili, kiedy kowal ze świecą w ręku, paowadząc ojca, przechodził przez izdebkę Garbuski, ta, na wpół ukryta w cieniu, rzekła doń prędko i cicho:

– Agrykolo, grozi ci nieszczęście... muszę z tobą pomówić.

Słowa te wyrzekła tak cicho, iż Dagobert ich nie słyszał, ale ponieważ Agrykola drgnął, nagle się zatrzymał, żołnierz zapytał:

– Cóż to, synu... co się stało?

– Nic, ojciec – odrzekł kowal. – Sądziłem, że niedobrze ojcu świecę.

– Bądź spokojny... tego wieczora mam oczy i nogi jak w piętnastym roku życia.

I nie spostrzegając zaniepokojenia syna, wszedł z nim do małej izdebki pod dachem, gdzie mieli obaj nocować.

Ugrzeczniony mężczyzna, który przyszedł zapytać o Garbuskę, po wyjściu z mieszkania żony Dagoberta udał się na koniec ulicy Drise-Miche. Tu zbliżył się do dorożki, stojącej na małym placu przed klasztorem Sainit-Miche.

W dorożce siedział Rodin, owinięty płaszczem.

– I cóż? – zapytał.

– Dwie młode panny i mężczyzna z siwymi włosami weszli do Franciszki Baudoin – odpowiedział zapytany – bo nim zapukałem do drzwi, mogłem podsłuchiwać przez kilka minut... młode panny nocować będą u Franciszki Baudoin. Starzec spać będzie w izdebce z kowalem.

– Bardzo dobrze – rzekł Rodin.

– Nie śmiałem nalegać na to – odpowiedział ugrzeczniony jegomość – aby koniecznie wiedzieć się tego wieczora z garbatą szwaczką, ale jutro pójdę dowiedzieć się, gdzie mieszka Bachantka i o skutku listu, który musiała już odebrać z poczty, w sprawie młodego kowala...

– Nie zapomnij, a teraz pójdiesz do spowiednika Franciszki Baudoin, chociaż już późno, i powiesz, że czekam na niego przy ulicy Ursynów, niech się tam zaraz uda, nie tracąc ani minuty; jeżeli bym nie wrócił jeszcze, niech zaczeka... powiedz mu, że idzie o bardzo ważne sprawy.

– Wszystko wykonam – odrzekł Ugrzeczniony jegomość, nisko kłaniając się Rodinowi.

Dorożka potoczyła się szybko.

## ROZDZIAŁ V

### AGRYKOŁA I GARBUSKA

W godzinę po tych wydarzeniach głęboka cisza zapanowała w domu przy ulicy Brise-Miche.

Migające przez szyby szklanych drzwi światelko świadczyło, że Garbuska nie spała jeszcze, gdyż do tego posępnego kącika tymi tylko drzwiami dostać się mogłoienne światło, a drzwi otwierały się na wąskie, ciemne przejście pod dachem.

Stare łóżko, nędzny stół, kuferek i stołek tak zapępniały to mieszkanie, iż dwie osoby nie miały gdzie usiąść, jeżeli jedna z nich nie usiadła na łóżku.

Piękny kwiat, który Garbuska dostała od Agrykoli, stał w szklance na stole, założonym bielizną i napełniał przyjemną wonią tę nędzną izdebkę, której posiwiałe od wilgoci ściany słabo oświetlała cieniutka świeczka.

Garbuska siedziała w ubraniu na łóżku. Na jej twarzy widać było niepokój; oparłszy się ręką na poduszce, nachyliła głowę ku drzwiom, nasłuchując z niecierpliwością i spodziewając się lada chwila usłyszeć Agrykolę.

Serce dziewczyny biło gwałtownie, jej twarz, zawsze blada, zarumieniła się, tak bardzo była przejęta.

Czasami spoglądała z przestachem na list, który trzymała w ręku. List ten odebrał z poczty i położył na stole odźwierny farbiarz, kiedy Garbuska znajdowała się u Franciszki.

Po niedługim czasie usłyszała, jak po cichu otworzyły się drzwi.

– Nareszcie... – zawołała.

Istotnie, wszedł Agrykola.

– Czekałem, aż ojciec uśnie – rzekł cicho kowal, na którego twarzy widać było więcej ciekawości niż obawy. Co się stało, moja droga? Dlaczego twoja twarz jest tak zmieniona?... Płaczesz? Cóż to za niebezpieczeństwo, o którym chcesz mi powiedzieć?

– Zobacz... czytaj – odparła drżącym głosem Garbuska, podając otwarty list.

Agrykola zbliżył się do świecy i czytał:

„Osoba, nie mogąca dać się poznać, której jednak wiadomo, jak obchodzi cię Agrykola Baudoin, uprzedza, że ten poczciwy młodzieniec zostanie jutro aresztowany...”

– Ja?... – zawołał Agrykola, patrząc zdumiony na dziewczynę. – Cóż to ma znaczyć?

– Czytaj dalej – rzekła dziewczyna, składając ręce.

Agrykola czytał, nie wierząc swym oczom:

„Jego śpiewka o dobrych robotnikach została zaskarżona, znaleziono kilka jej egzemplarzy, między papierami tajnego stowarzyszenia, którego przywódcy zostali już uwięzieni, wskutek spisku przy ulicy des Prouvaires...”

– Niestety – rzekła dziewczyna, zalana łzami – teraz rozumiem wszystko. Ów człowiek, co to wieczorem podsłuchiwał, jak mówił farbiarz... zapewne śledził ciebie.

– Ależ to oskarżenie jest niedorzeczne!... – zawołał Agrykola. – Nie martw się, Garbusko. Ja się nie wdaję w politykę... w mojej śpiewce nie ma nic nagannego. Czy ja temu winien, że ją znaleziono między papierami jakiegoś tajemnego stowarzyszenia...

I z pogardą rzucił list na stół.

– Czytaj dalej... proszę cię – odrzekła Garbuska – czytaj...

– Jeżeli koniecznie chcesz...

I Agrykola czytał:

„Rozkaz zatrzymania Agrykoli Baudoina został wydany, ani wątpić, że prędzej czy później uznany zostanie za niewinnego... lecz dobrze zrobi, gdy ukryje się przed śledztwem... aby uniknąć tymczasowego aresztu na dwa lub trzy miesiące, co byłoby strasznym ciosem dla jego matki, której jest jedyną podporą.

Szczery przyjaciel, który zmuszony jest pozostać nieznanym”.

Po chwili milczenia kowal wrzucił ramionami, twarz jego wypogodziła się i rzekł, śmiejąc się:

– Uspokój się, mój Garbusku, nie udadzą się ze mną takie żarciki, znam się na tych figlach... Pomylili się w miesiącu... Zdawało im się, że dziś Prima Aprilis.

– Agrykolo... na miłość boską – odezwała się Garbuska błagalnym głosem – nie bierz tego tak lekko... Wierz mym przeczuciom... Słuchaj tej przestrogi...

– Powtarzam ci jeszcze... moja droga, wszak już od przeszło dwóch miesięcy moja śpiewka o robotnikach została wydrukowana, a nie jest bynajmniej treści politycznej, zresztą nie czekano by dotąd z zakazaniem jej...

– Ale uważaj, zmieniły się okoliczności, ledwo dwa dni temu odkryty został spisek tu, niedaleko, przy ulicy Prouvaires... A jeżeli twoje wiersze, może dotąd nieznanne, znaleziono u osób aresztowanych za ten spisek... to wystarczy.

– Czyliż więc sprawiedliwość jest ślepa... bo każdy przecież spostrzeże, iż w tym nie ma nic karygodnego.

– Agrykolo! – rzekła z rozpaczą dziewczyna, widząc, że kowal nadal żartuje – przypomnij sobie Remigiusza twego kolegę z pracy.

- Remigiusza?
- Tak, jego list... choć mało znaczący, znaleziony został u osoby aresztowanej zeszłego roku... i on siedział miesiąc w areszcie.
- Prawda, Garbusko, wkrótce jednak uznano go za niewinnego i wypuszczono.
- Tak, ale miesiąc wysiedział, czego właśnie radzę unikać ci i słusznie... Agrykolo, zastanów się dobrze... Miesiąc w areszcie... A twoja matka...
- Słowa Garbuski wywarły silne wrażenie na Agrykoli, wziął list i powtórnie przeczytał go z uwagą.
- A ten człowiek, co to cały wieczór skradał się koło domu? – podchwyciła dziewczyna. – Zawsze do niego wracam... To nie na próżno... Ach, mój Boże!... Jakież by to był cios dla twojego ojca, dla matki, która już teraz nic zarobić nie może!... Czyż nie ty jeden tylko jesteś teraz jej podporą? Zastanów się, gdyby nie ty i twoja praca, co by się z nimi stało?
- W rzeczy samej... byłoby to okropne – rzekł Agrykolo, rzucając list na stół – w tym, co mówisz o Remigiuszu, masz słuszność... On był równie niewinny jak ja, pomyłka w sądzie... bez wątpienia pomyłka mimowolna, niemniej jednak była dla niego dotkliwą... Ale jeszcze raz mówię, nie aresztują nikogo bez przesłuchania go.
- Nie – rzekła Garbuska – u nas we Francji najpierw aresztują, a potem dopiero badają, po miesiącu lub dwóch uwalniają... i jeżeli ów nieszczęśliwy ma żonę, dzieci, które żyją jedynie z jego pracy... cóż się z nimi dzieje, gdy jedyna ich podpora siedzi w więzieniu?... cierpią głód, zimno i płaczą...
- Na te słowa Agrykolo zadrżał.
- Miesiąc bez pracy – powtórzył ze smutną, zamyśloną miną. – A matka... a ojciec... a dwie panienki, które także należą do naszego domu, dopóki marszałek Simon lub jego ojciec nie przybędą do Paryża... Ach, masz rację, ta myśl przeraża mnie...
- Agrykolo – zawołała nagle Garbuska – gdybyś się udał do pana Hardy, on jest taki dobry, gdyby za ciebie zaręczył, pewno by ciebie nie prześladowano?
- Na nieszczęście, nie ma go teraz w domu, podróżuje z ojcem marszałka Simona.
- Po chwili milczenia dodał, usiłując przewyciężyć obawę:
- Ale nie, nie mogę wierzyć temu listowi... niech będzie co chce, wolę czekać skutku... Przynajmniej odniosę tę korzyść, że wykażę swoją niewinność zaraz przy pierwszym przesłuchaniu... bo zresztą, czy będę w więzieniu, czy zmuszony ukrywać się, w każdym przypadku moja rodzina pozbawiona zostanie mego zarobku...
- Ach! To prawda – rzekła dziewczyna – cóż więc czynić, mój Boże!... Co robić?...
- Ale ojciec! – pomyślał Agrykolo. – Jeżeli to nieszczęście ma nastąpić jutro... Jakież będzie przebudzenie dla niego... Dla niego, co tak spokojnie zasnął.
- I zakrył twarz rękoma.
- Na nieszczęście, obawy Garbuski nie były przesadzone, gdyż w owej epoce 1832 r., przed i po spisku przy ulicy Prouvaires, często aresztowano robotników.
- Wtem Garbuska przerwała milczenie, żywy rumieniec wystąpił na jej twarzy, na której malował się żal i nadzieja.
- Agrykolo, jesteś ocalony!... – zawołała.
- Co mówisz?
- Ta pani, tak piękna, tak dobra, co dała ci ten kwiat... ta pani musi mieć dobre serce... udaj się do niej...
- Na te słowa, które szwaczka wymawiała, jakby zadając sobie gwałt, łzy potoczyły się po jej twarzy.
- Pierwszy raz w życiu doświadczyła uczucia zazdrości... każda kobieta byłaby szczęśliwa, gdyby sama mogła przyjść z pomocą temu, którego ubóstwia, ale ona, biedna, nic więcej nie mogła.
- Tak sądzisz? – spytał Agrykolo – a cóż by tu poradzić mogła ta panna?

- Czyż nie powiedziała ci: Pamiętaj moje imię i w każdej okoliczności udaj się do mnie?
- Tak...
- Ta panna musi znać najznakomitsze osoby, które mogłyby udzielić ci opieki, obronić... Idź do niej jutro rano, wyznaj jej szczerze, co cię spotyka... Proś o pomoc.
- Ależ co ona ma zrobić?
- Słuchaj, przypominam sobie, jak niegdyś opowiadał nam ojciec, że obronił kogoś od więzienia, składając zań kaucję... Łatwo ci będzie przekonać tę panią o twojej niewinności... Niech ci wyświadczy to dobrodziejstwo, składając za ciebie kaucję, a wtedy, zdaje mi się, nie będziesz już miał czego się lękać...
- Ale, moja kochana... Prosić kogoś o taką łaskę, kogoś, kogo się nie zna, to przykre...
- Wierz mi, Agrykolo – rzekła smutnie Garbuska – nie doradzałabym ci nic takiego, co by mogło poniżyć cię w czyichkolwiek oczach... A nade wszystko... Słyszysz... Nade wszystko w oczach tej osoby. Nie idzie o to, abyś miał żądać od niej pieniędzy dla siebie, ale żeby dała kaucję, która by ci pozwoliła nie przestawać pracować i utrzymywać rodzinę... Wierz mi, taka prośba nie jest z twojej strony nieszlachetną... Serce tej pani musi być wspaniałomyślne... Ona ciebie zrozumie, ta kaucja dla niej będzie niczym... A dla ciebie wszystkim. Od niej zależeć będzie utrzymanie życia twojej rodziny...
- Słusznie, Garbusko – odrzekł udręczony kowal – może lepiej będzie spróbować... Jeżeli ta panna zgodzi się dać za mnie kaucję i jeżeli mnie to uchroni od więzienia... Będę przygotowany na wszelki wypadek...
- Ale, nie, nie – dodał, wstając – nie, nigdy nie ośmielę się udać do niej. Jakim prawem mógłbym tak postąpić?... Czymże jest mała, wyświadczona przeze mnie przysługa... w porównaniu z tym, czego bym miał żądać od niej.
- Sądziś więc, Agrykolo, że szlachetna dusza mierzy dobrodziejstwa, jakie ma wyświadczyć, mierzy tymi, których doznała?... Ufaj mi; w tym, co dotyczy serca, choć jestem biedna, z nikim równać się nie mogę, a jednak jestem pewna... Tak, jestem pewna... Że ta pani, pod każdym względem wyższa ode mnie, poczuje to, co ja czuję w tej chwili... Tak samo jak ja, zrozumie twoje okrutne położenie i uczyni z radością, z wdzięcznością to, co bym ja uczyniła... Gdybym cokolwiek mogła uczynić.
- Garbuska, niechcący, wymówiła ostatnie słowa z takim wyrazem żalu; w tym porównaniu, jakie biedna, ułomna dziewczyna uczyniła, w porównaniu siebie z Adrianną Cardoville, promieniejącą bogactwem, młodością i pięknnością, było coś tak wzruszającego, iż Agrykolo po-  
dał rękę Garbusce i rzekł z przejęciem:
- O! Jakaś ty dobra... Ile w tobie szlachetności, rozsądku i delikatności...
- Na nieszczęście... Nie mogę nic więcej uczynić... Tylko radzić.
- A ja pójdę za twoją radą, moja Garbusko, są to rady najwznieślijszej duszy, jaką mi się zdarzyło poznać... A przy tym, ośmieliłaś mnie przeświadczeniem, że serce panny Cardoville... Może być równe twojemu...
- Na to szczere, naiwne porównanie, Garbuska prawie zapomniała o wszystkim, co wycierpiała, wzruszona słodyczą tych słów.
- Jeżeli bowiem niektóre istoty, skazane na cierpieniu, mają troski nieznane ludziom światowym, mają też swoje skromne pociechy i radości. Najmniejsze przyjazne słówko, które ich we własnych oczach podnosi, bywa dla tych biednych istot, przywykłych do pogardy, do zwątpienia w siebie samych, niewymownie błogie.
- Więc zgoda, pójdziesz jutro rano do tej pani... Prawda?... – zawołała. – Ze świtem pilnować będę przed bramą na ulicy, aby zobaczyć, czy ci nie grozi jakieś niebezpieczeństwo, abym mogła cię przestrzec...
- Jakaś ty dobra i zacna – rzekł Agrykolo coraz bardziej wzruszony.
- Musisz wyjść z domu, zanim się twój ojciec przebudzi... Dzielnica, gdzie mieszka ta pani, jest tak odludna... Iż, kiedy tam pójdziesz, to będzie prawie to samo, jakbyś się ukrył...



– Zdaje mi się, że słyszę głos ojca – rzekł nagle Agrykola.

Istotnie, izdebka Garbuski była tak blisko izdebki kowala, iż oboje, przysłuchując się, usłyszeli Dagoberta wołającego:

– Agrykolo!... Czy śpisz, chłopcze?... Ja już się przespałem... i język mnie świerzbi...

– Idź prędko, Agrykolo – rzekła Garbuska – twoja nieobecność mogłaby go zaniepokoić... W każdym razie nie wychodź jutro rano, dopóki ci nie powiem... czy widziałam coś takiego, co by cię mogło zaniepokoić.

– Agrykolo... jesteś? – zawołał Dagobert głośnie.

– Jestem, ojczy – rzekł kowal, wychodząc z izdebki Garbuski – poszedłem przymknąć okno w dymniku, którym wiatr kołatał... Obawiałem się, żeby cię stukanie nie obudziło.

– Dziękuję ci, moje dziecko, ale nie to mnie przebudziło – rzekł wesoło Dagobert – tylko niepohamowana chęć pogadania z tobą... Ach, moje dziecko, trudno staremu ojcu oprzeć się gorączce uciechy rozmowy z synem, którego przez osiemnaście lat nie widział...

– Może chcesz, ojczy, światła?

– Nie, nie, to zbytek, mówmy po ciemku...

Drzwi izdebki Agrykoli zamknęły się i Garbuska nic już nie słyszała...

Biedna, rzuciła się na łóżko tak jak była, w ubraniu, aby czuwać całą noc nad Agrykolą.

Jednak pomimo żywego niepokoju o jutro, oddawała się czasem melancholijnym marzeniom, porównywała rozmowę, jaką miała dopiero co z tym, którego skrycie kochała, z rozmową, jaką by z nim prowadziła, gdyby się jej dostała w udziale piękność, gdyby była tak kochaną jak ona kochała, miłością czystą, pełną poświęcenia.

Lecz myśląc, że nigdy nie pozna zachwycającego słodczy podzielanego uczucia, szukała pociechy w nadziei, że jest dla Agrykoli użyteczną.

Skoro zaświtało, wstała po cichu i zeszła po schodach jak najostrożniej, aby zobaczyć, czy nie ma jakiegoś niebezpieczeństwa.

## ROZDZIAŁ VI

### PRZEBUDZENIE

W nocy powietrze było wilgotne, mgliste, rano wypogodziło się i mocno oziębilo.

Przez małe okienko, które oświetlało izbę, gdzie spał Agrykola z ojcem, widać było błękitne niebo.

Izba młodego kowala wyglądała również ubogo jak izdebka Garbuski; jedyną ozdobą był przybity na ścianie portret Berangera, nieśmiertelnego poety, którego prosty lud we Francji kochał i szanował... Za to, że ten rzadki geniusz sam lubił lud, oświecał go i opiewał jego sławę.

Ledwo dzień zaczynało, a Dagobert i Agrykola już wstali. Ostatni panował nad sobą i ukrywał niepokój, choć rozważywszy to, co mówiła Garbuska, przyznawał jej słusność.

Ostatnie zaburzenia na ulicy Prouvaires spowodowały aresztowania wielu osób, a znalezienie znacznej ilości egzemplarzy jego śpiewki o dobrych robotnikach u jednego z przywódców spisku, mogło, w rzeczy samej, skompromitować młodego kowala. Jak powiedzieliśmy, ojciec nie wiedział o jego zmartwieniu.

Usiadłszy na łóżku przy Agrykoli, żołnierz, który wstawszy o świcie, ogolił się i ubrał z wojskową punktualnością, ujął syna za rękę i wpatrywał się w niego, nie mogąc się nacieszyć jego widokiem.

– Będziesz się śmiać ze mnie, moje dziecko – mówił – ale niecierpliwie oczekiwałem dnia, ażeby ci się przypatrzeć... Żeby cię móc widzieć tak jak teraz... Bardzo dobrze... Nic nie straciłem z nadziei... Cieszy mnie też inne głupstwo, mianowicie, że nosisz wąsy. Jaki byłby z ciebie piękny grenadier!... Czy nie miałaś chęci zostać żołnierzem?

– A matka?

– To prawda, a zresztą zdaje mi się, że minęły już czasy szabli.

– Tak, czasy heroizmu i sławy – odrzekł Agrykola, potem dodał: – Czy wiesz, jak dobrze być twoim synem?...

– Czy dobrze... o tym nie wiem... ale cię kocham niezmiernie... A to dopiero początek... Jestem jak ów zgłodniały, który kilka dni nic nie jadł... Taki człowiek z wolna przychodzi do siebie... I zaczyna smakować... A ty możesz się spodziewać, że w tobie będzie można zasmakować... Co dzień, rano i wieczór, aż wydaje się to nieprawdziwe.

Te słowa Dagoberta wzbudziły przykre uczucia w Agrykoli, zdawało mu się, że spostrzega w nich przepowiednię rozłąki, jaka mu grozi.

– No i cóż, jesteś szczęśliwy? Pan Hardy jest dobry dla ciebie?

– On? – odrzekł kowal. – On jest najlepszy, najsprawiedliwszy i najwspanialszy na świecie, gdybyś wiedział, jakich cudów dokonał w swojej fabryce, w porównaniu z innymi to raj.

– Doprawdy?

– Zobaczysz... jakie zadowolenie, jaka życzliwość maluje się na twarzach wszystkich robotników, których zatrudnia, z jakim zapałem pracują dla niego!

– No, proszę! To jakiś czarownik ten twój pan Hardy?

– I jaki jeszcze czarownik, ojciec... On umie uczynić pracę miłą... Prócz tego zapłata jest słuszna, odstępuje nam część swoich zysków, stosownie do zdolności każdego i pracy; nie koniec na tym, kazał jeszcze wystawić wielkie i piękne budynki, w których wszyscy robotnicy mogą mieć tańsze niż gdzie indziej mieszkanie, jasne i zdrowe... Wspólny stół... Ale sam zobaczysz!

– Słusznie powiedziano, że Paryż jest krajem cudów. Wreszcie przybyłem tu... I nie opuszczę już ani ciebie, ani twej matki.

– Nie, nie rozstaniemy się nigdy – rzekł Agrykola, tłumiąc westchnienie – ja z matką będziemy się starali, abyś zapomniał o wszystkim, coś wycierpiał.

– Wycierpiał? Kto wycierpiał?... Przypatrz no mi się dobrze, czy zobaczysz we mnie jakieś cierpienie? Od chwili, kiedy tu stanąłem, czuję się młodszy o wiele lat. Ej! Jak to ludzie będą nas oglądać... Założyłbym się, że widząc twoje czarne wąsy a moje siwe, zaraz powiedzą: to pewno ojciec z synem. Ułożmy sobie, co dziś mamy robić; ty napiszesz do ojca marszałka Simona, zawiadamiając go, że przybyły wnuczki i że byłoby dobrze, gdyby przyśpieszył powrót do Paryża, gdyż idzie o bardzo ważny dla nich interes... Kiedy ty będziesz pisał, ja tymczasem pójdę powiedzieć dzień dobry matce i sierotom, zjemy coś na śniadanie, matka pójdzie sobie na mszę, a my razem się przejdziemy.

– Kochany ojciec – odrzekł zakłopotany Agrykola – tego rana nie będę mógł ci towarzyszyć.

– Jak to, nie będziesz mógł? Wszak to dziś niedziela?...

– Prawda, ojciec – rzekł Agrykola, wahając się – ale ja przyrzekłem przyjść rano do warsztatu, aby dokończyć bardzo pilną robotę... Gdybym nie stanął, nabawiłbym kłopotu pana Hardy. Potem będę wolny.

– To co innego – odrzekł żołnierz, westchnąwszy z żalem – myślałem, że w twoim towarzystwie pokażę się pierwszy raz Paryżowi... Dziś rano... Ha! Odłożymy to na później, bo robota to rzecz święta, ponieważ z niej ma utrzymanie twoja matka, niech i tak będzie, przykre to... Ale, nie, mówię niesłusznie... Patrz, jak to prędko przywyknąć można do szczęścia... A ja gderam jak prawdziwy gderacz, i to gdy idzie o parę godzin opóźnienia przechadzki, ja,

co przez osiemnaście lat za ledwie miałem nadzieję oglądać cię... I to nadzieję niezupełnie pewną...

I na pocieszenie uściskał serdecznie syna.

Dla kowala jednak nie po myśli były te pieszczoty, lękał się bowiem, aby lada chwila nie ziściły się obawy Garbuski.

– Teraz, kiedy mam czas – rzekł z uśmiechem Dagobert – pomówmy o interesach. Nie wiesz, gdzie mógłbym znaleźć adresy wszystkich notariuszy w Paryżu?

– Nie wiem... Ale nic łatwiejszego.

– Bo widzisz, z polecenia ich matki, przesłałem bardzo ważne papiery sierot do tutejszego notariusza. Ponieważ miałem zgłosić się do niego po przyjeździe do Paryża... Zapisałem sobie jego nazwisko i adres w puligaresie, ale ukradziono mi go w drodze... a że zapomniałem nazwiska, zdaje mi się, więc, że gdybym je zobaczył na liście notariuszy, pewno bym je sobie przypomniał...

Agrykola zadrżał, gdyż zapukano lekko do drzwi. Mimowolnie przyszedł mu na myśl wydany rozkaz aresztowania.

Ojciec, obejrzawszy się na usłyszany odgłos, nie spostrzegł zaniepokojenia syna i rzekł:

– Proszę wejść.

Drzwi otworzyły się i ukazał się w nich Gabriel.

Poznać przybranego brata i rzucić się w jego objęcia, było dla Agrykoli dziełem jednej chwili.

– Mój brat!

– Agrykola!

– Gabriel!

– Po tak długiej nieobecności znowu się oglądamy!...

To były słowa kowala i misjonarza, witających się we wzajemnym uścisku.

Dagobert, wzruszony i ucieszony tymi braterskimi uniesieniami, ledwie wstrzymał łzy.

W istocie było coś tkliwego w uczuciach tych dwóch młodzieńców, tak podobnych do siebie sercem, a tak się różniących powierzchownością, gdyż przy mężnej postawie Agrykoli jeszcze delikatniejszą wydawała się anielska fizjonomia Gabriela.

– Ojciec uprzedził mnie o twym przybyciu – rzekł wreszcie kowal.

– Spodziewałem się co chwila, że zobaczę się z tobą...A jednak moja radość jest stokroć jeszcze większa aniżeli myślałem.

– A moja kochana matka? – spytał Gabriel, serdecznie ściskając rękę Dagoberta – czy stałaś ją zdrową?

– Tak, moje dziecko, a jej zdrowie bardziej się jeszcze pokrzepi, kiedyśmy wszyscy się zgromadzili... nic zdrowszego nad radość...

Potem, zwrócił się do Agrykoli, który, zapominając o obawach, wpatrywał się w misjonarza z wyrazem niewymownego przywiązania:

– Patrz, twarz jak u młodej dziewczyny, a Gabriel jest odważny jak lew... Gdyż powiedziałem ci, z jakim poświęceniem ratował córki marszałka Simona a jeszcze i mnie chciał ratować...

– Ale, Gabrielu, cóż to masz na czole? –zawołał nagle kowal, który przypatrywał się uważnie bratu.

Gabriel, położywszy kapelusz, stanął właśnie przy oknie, z którego żywe światło oświetlało jego bladą, miłą twarz, teraz wyraźnie widzieć było można koliste znamię, ciągnące się nad brwiami, od jednej skroni do drugiej.

Przy tyłu rozmaitych wzruszeniach, pośród tak prędko następujących po sobie przypadkach po rozbiciu okrętu, Dagobert, podczas krótkiej rozmowy z Gabrielem w zaniku Car-doville, nie spostrzegł tego znamienia, które przerzynało czoło młodego misjonarza, ale teraz, podobnie jak Agrykola spytał zdziwiony:

– W rzeczy samej... Co to za znamię masz na czole?...

– I na rękach... Popatrz, ojczy – zawołał kowal, chwytając rękę Gabriela, którą ten podniósł, chcąc ich uspokoić.

– Gabrieli... Kochane dziecko, wytłumacz nam to... Kto cię tak zranił? – pytał Dagobert.

I wzięwszy rękę misjonarza, obejrzał ranę, jakby znawca chirurg, dodając:

– W Hiszpanii, jeden z moich towarzyszy przywiązany był do krzyża na rozstajnych drogach, gdzie go tak zostawiono, żeby umarł z głodu i pragnienia... miał podobne znaki na rękach...

– Ojciec ma rację... Widać, żeś miał ręce przebite... – wtrącił Agrykola, boleśnie wzruszony.

– Proszę was, nie zważajcie na to – odrzekł Gabriel. – Udałem się z misją do dzikich ludów w Góry Skaliste, oni minie ukrzyżowali. Już zaczęli zdejmować mi skórę z czaszki, gdy... Opatrzność wybawiła mnie z ich rąk.

– Biedne dziecko, byłeś więc bezbronny? Nie miałaś dostatecznej eskorty? – rzekł Dagobert.

– Nie wolno nam nosić żadnej broni – odpowiedział Gabriel z łagodnym uśmiechem – i eskorty nigdy nie mamy.

– A twoi towarzysze, co byli z tobą, czemuż cię nie bronili? – zawołał popędliwie Agrykola.

– Byłem sam jeden...

– Sam jeden?...

– Tak, sam z przewodnikiem.

– Jak to! Poszedłeś sam do tego barbarzyńskiego ludu? – powtórzył Dagobert, nie mogąc dać wiary temu, co słyszał.

– To zadziwiające! – rzekł Agrykola.

– Wiary nie narzuca się przemocą – odpowiedział Gabriel z prostotą – tylko przekonanie może rozszerzyć miłość chrześcijańską między tymi dzikimi ludźmi.

– A gdy nie można ich przekonać? – spytał Agrykola.

– Ha! Mój bracie... To się umiera za wiarę... Litując się nad tymi, którzy ją odrzucają...

Po tej odpowiedzi, wyrzeczonej z rozrzewniającą prostotą, nastąpiło na chwilę głębokie milczenie.

Dagobert zanadto znał się na odwadze, żeby nie umiał ocenić tego bohaterstwa, zarazem spokojnego i pełnego poświęcenia i równie jak syn, patrzył na Gabriela z podziwem i szacunkiem.

Gabriel słuchał bez okazywania udanej skromności, jakby zgoła był obcy uczuciom, jakie wzbudzał i dlatego, zwracając się do Dagoberta, zapytał:

– Co o tym sądzisz, ojczy?

– Co ja myślę – zawołał żołnierz – myślę, że po trzydziestu latach wojny... sądziłem, że jestem tak odważny jak nikt... A tu znajduję teraz nauczyciela... A tym nauczycielem jesteś ty... – Ja... Co przez to rozumiesz... Cóżem takiego uczynił?

– Na Boga! Czy wiesz, że to są blizny męstwa – tu weteran chwycił w uniesieniu rękę Gabriela – że te blizny są tak chwalebne... Chwalebniejsze od naszych... Choć my jesteśmy wojakami z profesji...

– Tak... Ojciec mówi słusznie – zawołał Agrykola i dodał z uniesieniem: – Otóż to księża... Jakże ich szanuję, pokora chrześcijańska, miłość, odwaga!...

– Nie wychwalaj mnie tak... Proszę cię – rzekł zakłopotany Gabriel.

– Ciebie wychwalać? – odrzekł Dagobert. – Słuchajcie no... Kiedy szedłem w ogień, czy szedłem sam? Czy nie widział mnie mój kapitan? Czy nie było tam mych kolegów... Czy w braku odwagi nie miałem miłości własnej, która dodawała bodźca, pomijając okrzyk wojenny, zapach prochu, odgłos trąb, huk armat, zapal mego konia, który diabelnie pode mną wy-

skakiwał, a wreszcie czułem wtedy cesarza, czułem, że mnie pochwalą za ranę, dadzą krzyżyk... Dzięki temu wszystkiemu uchodziłem za zucha... Za tęgiego zucha... A czy nie sto razy większy zuch z ciebie, moje dziecko, bo ty poszedłeś sam jeden, bezbronny, aby stawić czoło nieprzyjaciółom sto razy sroższym od tych, z którymi my spotykaliśmy się, szwadronami, z szablami i pistoletami w rękę, w towarzystwie granatów i kartaczy?

– Kochany ojciec – zawołał kowal – to wspaniale, że mu tak oddajesz sprawiedliwość!...

– Ach! Mój bracie... Swą dobrocią dla mnie wywyższa on to, co samo przez się jest naturalne.

– Naturalne... Dla takich jak ty śmiałków, tak – rzekł stary żołnierz – ale takich śmiałków jest mało...

– Och! Tak, bardzo mało, bo takie męstwo jest najcenniejsze – wtrącił Agrykola.

– O! Tak. Ty wiesz, że spotkać cię może śmierć prawie pewna i idziesz między dzikich sam, z krucyfiksem w rękę, aby opowiadać o chrześcijańskiej miłości bliźniego; oni chwytają cię, męczą, a ty oczekujesz śmierci bez skargi, bez gniewu ani zemsty... Z wyrazem przebaczenia na ustach... Z uśmiechem... I to pośród lasów, sam jeden, bez żadnej nadziei ocalenia i jeszcze ukrywasz rany pod tą czarną suknią... Zaiste, słusznie mówi ojciec, że ty jesteś najmężniejszy...

– A co więcej – dodał Dagobert – on za to nie spodziewa się nagrody, bo, jak wiesz, mój synu, ran jego nigdy nie okryje szata biskupia.

– Nie jestem tak bezinteresowny, jak się wydaje – odezwał się Gabriel – jeżeli będę go dzien, czeka mnie wielka nagroda na tamtym świecie.

– A, to co innego... Ale krzyżyk tak samo dobrze wyglądałby na twojej sutannie jak na moim mundurze.

– U was nie nagradzają prostych księży – rzekł kowal – nie dla nich są biskupstwa, a jednak, kochany ojciec, gdybyś wiedział, ile jest cnoty i męstwa nieznanego w tej klasie, którą u nas, we Francji nazywają niższym duchowieństwem... między owymi skromnymi sługami ołtarza po parafiach! Prawda, Gabrielu?... Nie zaprzeczasz, a na pewno jesteś tego samego zdania, mój bracie, gdyż, jak mawiałeś, całym twoim życzeniem było mieć probostwo na wsi, tam bowiem można zdziałać wiele dobrego...

– Moje życzenie jest zawsze jednakie – rzekł smutnie Gabriel – lecz na nieszczęście...

Potem, jak gdyby chciał oddalić od siebie nie mile myśli i skierować rozmowę na inny temat, zwrócił się do Dagoberta:

– Wierz mi, bądź dla siebie sprawiedliwszy, nie pomniejszaj swej odwagi zbytnim podkreślaniem mojej... Twoja odwaga jest wielka, gdyż po bitwie okropny musi być dla dobrego serca widok poległych ludzi...

– Ach, i teraz mrowie przechodzi po mnie, skoro o tym wspomnę – rzekł Dagobert. – Ale powiedz, w jaki sposób uratowałeś się od śmierci?

Na to pytanie Gabriel zdrzął, aż żołnierz odezwał się:

– Jeśli nie wolno ci lub jeżeli nie możesz odpowiedzieć na moje pytanie... Wystaw sobie, że nic nie mówiłem.

– Nie ma nic do ukrywania ani przed tobą, ani przed bratem... – odrzekł misjonarz zmienionym głosem. – Tylko trudno by mi było wytłumaczyć należycie to, czego sam dobrze nie pojmuję...

– Jak to? – podchwycił zdziwiony Agrykola.

– Bez wątpienia – odparł Gabriel – musiało to być złudzenie... W ostatniej chwili, gdym oczekiwał śmierci... Mój osłabiony umysł mylił się pozorami... Jak mogła owa kobieta...

– O jakiej kobiecie mówisz? – przerwał kowal ze zdziwieniem.

– Kobieta cię ocaliła? – dodał Dagobert, również bardzo zdziwiony.

– Tak – odpowiedział Gabriel, zamyślony – kobieta młoda i piękna...

– A kim ona była?....

- Nie wiem... Kiedym ją zapytał... – odpowiedziała: Jestem siostrą cierpiących.
- A skąd przyszła, dokąd szła? – pytał Dagobert, którego to szczególnie zainteresowało.
- Idę tam, gdzie cierpią – odpowiedziała – tam, gdzie śnieg leży wiecznie.

Agrykola nie mógł pojąć, jak to się stało i zapytał:

- Jakim więc sposobem ta kobieta przyszła ci z pomocą?

– Agrykolo – odezwał się łagodny głos za drzwiami – chcę z tobą pomówić i to w tej chwili...

Kowal poznał głos Garbuski i pobiegł otworzyć...

Dziewczyna, zamiast wejść, cofnęła się o krok w ciemny korytarz i rzekła niespokojnym głosem:

– Od godziny już rozwidniło się, a ty jeszcze nie poszedłeś... Co za nieroztropność! Pilnowałam na dole... Na ulicy... Nic dotąd nie widziałam, ale mogą nadejść lada chwila... Zaklinam cię... Idź co prędzej do panny Cardoville... Nie ma chwili do stracenia.

– Gdyby nie zjawił się Gabriel, już bym wyszedł, ale czy mogłem odmówić sobie przyjemności pomówienia z nim przez chwilę?

– Gabriel tu jest? – spytała Garbuska z miłym zdziwieniem, gdyż, jak już wspomnieliśmy, wychowała się razem z nim i Agrykolą.

– Tak – odpowiedział – od pół godziny.

– Jakże będę szczęśliwa, kiedy i ja go zobaczę! – odrzekła Garbuska. – Przyszedł pewnie wtedy, kiedy zeszałam do twojej matki, aby zapytać, czy nie będę potrzebna tym dwom paniom... Ale one tak się utrudziły, że jeszcze śpią... Franciszka prosiła, abym ci oddała ten list do twojego ojca... Dopiero go odebrała.

– Dziękuję ci.

– Teraz, kiedy się już widziałeś z Gabrielem... Nie zatrzymuj się... Pomyśl... Jakie to byłoby zmartwienie dla ojca... Gdyby w jego obecności przyszli ci aresztować... Ach! Niech Bóg broni!

– Masz rację... muszę się pośpieszyć... przy nim i przy Gabrielu prawie o wszystkim zapomniałem...

– Idź szybko, a może za parę godzin, jeśli panna Cardoville wyświadczy ci tę przysługę, wrócisz, już zupełnie spokojny...

– Dobrze... tytko jeszcze kilka minut i biegnę.

– Ja idę dalej czatować przy drzwiach, gdybym co spostrzegła... Pośpieszę, aby cię ostrzec, ale nie zatrzymuj się długo.

– Bądź spokojna...

Garbuska zbiegła na dół, Agrykola zaś wrócił do izby.

– Ojcie – rzekł do Dagoberta – oto list; matka prosi, abyś go przeczytał, dopiero co go odebrała.

– Dobrze! Przeczytaj go za mnie, synu.

Agrykola zaczął czytać:

„Pani!

Dowiaduję się, że generał Simon powierzył jej mężowi wielkiej wagi interes. Chciej więc pani, skoro jej mąż przybędzie do Paryża, prosić go, aby się udał do mego biura w Chartres, bez najmniejszej zwłoki, obowiązany jestem doręczyć jemu samemu, a nie komukolwiek innemu, papiery niezbędnie potrzebne do interesów generała Simona.

Durand, notariusz w Chartres”.

Dagobert patrzył na syna ze zdziwieniem i rzekł:

– Kto by to zawiadomił tego pana o moim przybyciu do Paryża?

– Może to jest ów notariusz, którego adres zgubiłeś i, któremu posłałeś papiery – zauważył Agrykola.

– Ale on nie nazywa się Durand i dobrze pamiętam, że to był notariusz w Paryżu, a nie w Chartres... Ale – dodał po namyśle – jeżeli ma ważne papiery, które mnie tylko samemu oddać powinien...

– Zdaje mi się, że wypada ci, ojcze, udać się tam jak najprędzej – wtrącił Agrykola, prawie kontent z okoliczności, która oddała ojca niemal na dwa dni, gdy w tym czasie jego los rozstrzygnie w ten lub inny sposób.

– Dobrze radzisz – odparł Dagobert.

– Czy to sprzeciwia się twoim planom? – zapytał Gabriel.

– Tak, trochę, gdyż myślałem, że z wami spędzę dzień... Ale obowiązek przede wszystkim. Przejechałem całą Europę... Nie będę więc bał się podróżować z Paryża do Chartres, gdy tego wymaga ważny interes. Za dwa dni wrócę. Ale to trochę dziwne. Niech mnie kaci porwą, jeśli się spodziewałem, że będę musiał opuścić was i udać się do Chartres! Szczęściem, że zostawiam Różę i Blankę przy mej zacnej żonie, a Gabriel, ich anioł, jak one go nazywają, będzie im także towarzyszył.

– Niestety, będzie to niemożliwe – odparł smutnie misjonarz. Przyszedłem, aby zobaczyć się z wami i pożegnać.

– Jak to pożegnać się?... – zawołali jednocześnie Dagobert i Agrykola.

– No, tak.

– Czy znowu idziesz na jakąś misję? – zapytał Dagobert.

– Nic wam nie mogę powiedzieć – odparł Gabriel, tłumiąc westchnienie – lecz od tej chwili, aż do pewnego czasu... Nie mogę, nie powinienem tutaj przychodzić.

– Cóż to, moje dziecko – rzekł żołnierz, nieco zdziwiony – uważam, że w twoim postępowaniu jest coś zakrawającego na przymus... Znam się na ludziach... Ten, którego nazywasz swoim przełożonym i którego widziałem w zamku Cardoville... Brzydko wygląda i przyznam, nie bardzo jestem kontent z tego, że cię widzę pod takim kapitanem.

– W zamku Cardoville! – zawołał kowal, zdziwiony tym podobieństwem nazwy. – Czy to w zamku Cardoville przyjęto was po rozbiciu statku?

– Tak, synu, czemu to cię dziwi?

– Nic, ojcze, a czy pan tego zamku mieszka w nim?

– Nie, bo kiedy o niego pytałem, chcąc podziękować za gościnność, jaką nam okazano, rządcą powiedział, że osoba, do której należy zamek, mieszka w Paryżu.

– Jakie dziwne podobieństwo – pomyślał Agrykola – czyżby ta panna była właścicielką zamku, co nosi jej imię?...

Potem, przypomniawszy sobie przyrzeczenie dane Garbusce, rzekł:

– Daruj, ojcze, już późno... a ja miałem być w fabryce o ósmej...

– Dobrze, moje dziecko... Dajmy więc pokój wszystkiemu... Póki nie wrócę z Chartres... Ucałuj mnie jeszcze raz i biegnij...

Od chwili, gdy Dagobert wspomniał Gabrielowi o przymusie, misjonarz zamyślił się... W chwili, gdy Agrykola zbliżył się, aby uścisnąć mu dłoń, Gabriel rzekł poważnym i stanowczym tonem, który zdziwił ojca i brata:

– Kochany bracie... Pozwól powiedzieć sobie jeszcze kilka słów... Właśnie przyszedłem ci oświadczyć, że za kilka dni... Będę potrzebował ciebie i ciebie także, ojcze...

– Jak to! O co chodzi? – zawołał kowal.

– Tak – odpowiedział Gabriel – będę potrzebował rady i pomocy... Dwóch ludzi zacnych, odważnych... Mogę na was obydwu liczyć, prawda? W każdej chwili... Którego bądź dnia... Przyjedziecie na moje wezwanie?

Dagobert z synem spojrzeli po sobie w milczeniu, zdziwieni tonem głosu Gabriela... Agrykola poczuł, jak mu się serce ściska... A gdyby został uwięziony, wtedy, gdy brat zażąda jego pomocy? Co tu począć?

– O każdej godzinie, w nocy czy w dzień, moje dziecko, możesz polegać na nas – rzekł Dagobert równie zdziwiony jak przejęty słowami misjonarza – masz ojca i brata... Licz na nas...

– Dziękuję, dziękuję – odparł Gabriel. – Uszczęśliwiacie mnie...

– Wiesz co? – zawołał żołnierz. – Gdyby nie twoja suknia, sądziłbym, że idzie o pojedynek... O pojedynek na śmierć... Tak uroczyście do nas przemówiłeś!

– O pojedynek?... – odparł misjonarz z drżeniem. – Tak... Może będzie szło o pojedynek, szczególnie... Straszny, do którego potrzeba dwóch świadków, takich jak wy... Ojciec i bracie...

W kilka chwil później Agrykola, coraz bardziej niespokojny, wyszedł śpiesznie do panny Cardoville.



## **Część szósta**

### **UNIESZKODLIWIENIE ADRIANNY**

#### **ROZDZIAŁ I**

#### **PAWILON**

Pałac Saint-Dizier był największym i najwspanialszym domem na ulicy Babilońskiej w Paryżu.

Nie było nic okazalszego i zarazem posepniejszego od widoku tej starej siedziby; ogromne okna o małych szybkach, pomalowane popielato, posepniejszymi jeszcze czyniło kamienne, poczerńiałe podmurowanie.

Pałac ten podobny był do innych w okolicy, pobudowanych w połowie zeszłego wieku. Był to wielki korpus z trójkątnym frontonem, o jednym piętrze, a do wysoko podniesionego parteru wchodziło się z obszernego ganku.

Jedna fasada wychodziła na obszerny dziedziniec, osłonięty po obu stronach arkadami, które łączyły się z innymi budynkami; druga zakończona była przy ogrodzie, prawdziwym parku, zajmującym przestrzeń kilkunastu morgów; dwa skrzydła, przytykające do korpusu, tworzyły dwie boczne galerie.

Jak przy wszystkich prawie pałacach w tej dzielnicy, tak i przy tym, na końcu ogrodu był mały pałacyk, czyli niewielki domek.

Był to pawilon w kształcie rotundy, w stylu epoki pani Pompadour, z mnóstwem ozdób na zewnętrznych ścianach. Pawilon ten, zamieszkały przez Adriannę Cardoville, składał się z parteru, do którego wchodziło się z przedsionka po kilku schodach; mała sień prowadziła do okrągłego salonu, oświetlonego z góry, z salonem stykały się cztery pokoje i kilka izb w antresolach dla służących.

Podobne budowle przy wielkich posesjach w naszych czasach nie bywają zamieszkałe albo też przerabia się je na oranżerie, lecz pawilon pałacu Saint-Dizier został odrestaurowany, jego białe mury świeciły się jak marmur kararyjski, a odświeżona, powabna budowla szczególnie odbijała od ponurych gmachów, które widać było na drugim końcu obszernej, zielonej równiny, której tu i ówdzie rozrzucone zostały wielkie klomby zielonych drzew.

Nazajutrz po przybyciu Dagoberta z córkami generała Simona rozegrała się tu następująca scena:

Na pobliskim kościele wybiła ósma rano, pogodne zimowe słońce wschodziło na lazurowym niebie zza wielkich, ogołoconych drzew, które w lecie tworzyły zieloną kopułę nad pawilonem.

Drzwi w przedsionku otworzyły się a promienie słońca oświetliły dwie ładne istoty, z których jedna zwłaszcza odznaczała się niezwykle piękną posturą.

Inaczej mówiąc, była to młoda dziewczyna i śliczna suczka z wyżełków angielskich, z gatunku, który Anglicy nazywają king's charles. Obie pokazały się pod perystylem rotundy.

Dziewczyźnie było na imię Żorzetta, suczkę nazywano Lutyną.

Żorzetta miała 18 lat, żadna z jej rówieśnic nie miała zgrabniejszej figury, figlarniejszego uśmiechu, bielszych ząbków, bardziej rumianych lic, powabniejszej kibici, wdzięczniejszych ruchów.

Choć było jeszcze dość wcześnie, Żorzetta była już starannie ubrana. Mały czepeczek z koronek, przystrojony różową wstążką, loki ślicznych, konopiastych włosów, takie było przybranie jej świeżej, nadobnej twarzy; suknia z popielatej lewantyny, chusteczka liliowa, spięta na przodzie dużą kokardą z różowego aksamitu, osłaniała pięknie zaokrągloną pierś, fartuszek z holenderskiego płótna, biały jak śnieg, garniowany u dołu trzema szerokimi zakładkami, a nad nimi pasek przepasywał jej kibić okrągłą i giętką jak trzcina... rękawki krótkie, gładkie, obszyte wąską koronką, pozwalały widzieć jej pulchne, białe ręce, które długie rękawiczki, zachodzące aż po łokcie, chroniły od zimna.

Gdy uniosła suknię, aby swobodniej wejść na schody perystylu, obojętnym oczom Lutyny pokazały się kształtne nóżki w białych jedwabnych pończochach z czarnego tureckiego atłasu.

Kiedy taka blondynka jak Żorzetta jest przy tym dowcipna, gdy iskra życia błyszczy w jej wesołym niebieskim oku, gdy żywy rumieniec okrywa jej lica, bywa jeszcze powabniejsza, jeszcze bardziej zachwycająca.

Ta przemiła, rześka subretka, która wczoraj wprowadziła Agrykolę do pawilonu, była pierwszą pokojówką panny Adrianny Cardoville, bratanicy księżny Saint-Dizier.

Lutyna, szczęśliwie odnaleziona przez kowala, która zaczęła czekać radośnie i tarzać się po murawie, była niewiele większa od pięści; jej futerko, czarne jak heban, połyskiwało pod szeroką z czerwonego aksamitu przepaską, łapki osłaniał długi, płomienistego koloru włos, w jej wielkich oczach błyszczała pojętność, a kędzierzawe uszka dotykały ziemi.

Żorzetta była tak żywa, tak swawolna jak Lutyna, za którą biegła i z którą figlowała, bo już to goniła ją, już uciekała przed nią po zielonej murawie.

Nagle na widok zbliżającej się osoby, stanęły obie. Malutka king's charles, wierna swemu imieniu, trzymała się krzepko na silnych nóżkach i śmiało czekała na nieprzyjaciela, pokazując dwa rzędy ostrych ząbków, białych jak kość słoniowa.

„Nieprzyjacielem” była kobieta w podeszłym wieku, za którą biegł opasły jasnokawowego koloru mops, ogon miał zakrzywiony w obrączkę, tułów okrągłutki, połyskującą sierść, szyjkę nieco wykrzywioną; szedł z powagą, stawiając nogi szeroko. Jego czarny pysk, zmarszczony, podwinięty od dołu z powodu zbyt wystających zębów, miał ponury i mściwy wyraz.

Nieprzyjemne to zwierzę zwało się Monsieur.

Właścicielka mopsa, jejmość lat około pięćdziesięciu, średniego wzrostu, otyła, miała na sobie ubiór o tyle posępny i surowy, o ile Żorzetta wykwitny i wesoły. Składał się z sukni brunatnego koloru, z czarnej mantyli jedwabnej i takiegoż kapelusza, twarz tej kobiety za młodu musiała być miła, a rumiane policzki, wydatne brwi, czarne oczy, jeszcze bardzo żywe, kontrastowały z surową fizjonomią, jaką usiłowała sobie nadać.

Jejmość ta, chodząca wolno, ostrożnie, była to pani Augustyna Grivois, pierwsza pokojówka księżny Saint-Dizier.

Nie tylko wiek, fizjonomia, ubiór tych dwóch kobiet przedstawiały uderzającą sprzeczność, ale tę samą różnicę można było odnieść do towarzyszących im zwierząt.

Gdy pani Grivois spostrzegła małą king's charles, na twarzy jej ukazały się zdziwienie i niechęć, co nie uszło uwagi młodej dziewczyny.

Lutyna, która nie cofnęła się ani na krok, zobaczywszy Monsieura, patrzyła nań śmiało, pogardliwym okiem, a nawet postąpiła ku niemu z miną tak wyraźnie zaczepną, iż mops, trzy razy od niej większy, wydał trwożliwy pisk i szukał schronienia za panią Grivois.

Ta odezwała się ze złością do Żorżetty:

– Zdaje mi się, moja panno, że mogłabyś zaniechać drażnienia swego psa i szczucia nim mojego.

– Ach! To pewnie dla ochrony swego szkaradnego psiska wypędziłaś pani Lutynę na ulicę ogrodowymi drzwiami. Lecz szczęściem uczciwy chłopiec znalazł Lutynę i odniósł ją mej pani. Ale, czemuż przypisać mam szczęście, że panią oglądam tak wcześniej?

– Księżna poleciła mi – odpowiedziała panna Grivois, nie mogąc ukryć złośliwego śmiechu – odwiedzić pannę Adriannę... Idzie o ważną rzecz, którą jej samej mam przekazać.

Na te słowa Żorżetta zarumieniła się i nie mogła się wstrzymać od okazania pewnego niepokoju, czego przecież nie spostrzegła pani Grivois, zajęta swym mopsem, do którego Lutyna zbliżyła się znów z groźną miną.

Żorżetta tymczasem, uspokoiwszy się po chwilowym zaaferowaniu, odpowiedziała pewnym tonem:

– Moja pani położyła się wczoraj spać bardzo późno i zakazała mi wchodzić do siebie przed południem.

– Być może... Ale tu idzie o spełnienie rozkazów księżny, jej ciotki... Będiesz więc panna tak grzeczna, że obudzisz swoją panią... Niezwłocznie.

– Mojej pani nikt nie ma nic do rozkazania... Ona jest w swym własnym domu, a ja nie obudzę jej aż o dwunastej... Tak mi poleciła.

– Ha! Jeżeli tak, to sama pójdę.

– Floryna i Hebe nie otworzą pani... Ja mam klucz od salonu... A tylko przez salon można wejść do panny Adrianny.

– Jak to!... Śmiesz odmówić spełnienia rozkazów księżny?

– Tak, śmiem nie chcieć budzić pani przed czasem, jaki wyznaczyła.

– Oto skutki ślepej dobroci księżny dla swej siostrzenicy – mówiła jejmość wstrząśnięta. – Panna Adrianna już nie zważa na rozkazy swej ciotki i otacza się młodymi, co to od rana stroją się jak...

– Jak pani możesz obmawiać, ty, co niegdyś byłaś najzalatniejszą ze wszystkich kobiet u księżny... Mówiono o tym w pałacu od pokolenia do pokolenia, aż do naszych czasów.

– Jak to, od pokolenia do pokolenia?... Cóż ja sto lat już mam, czy co?... To impertynencja!

– Ja mówię o pokoleniach pokojówek... Gdyż prócz pani, mało która wytrzyma dwa, trzy lata u księżny. Znadto ona cnotliwa... Dla tych dziewcząt...

– Panno! Proszę nie mówić tak o mej pani... Której imię na klęczkach wymawiać należałoby...

– A jednak... Gdyby chciano źle mówić...

– Panna śmiesz!...

– A wczoraj wieczór... O wpół do dwunastej...

– Wczoraj wieczór?...

– Dorożka zatrzymała się o kilka kroków od pałacu... Jakaś tajemnicza osoba, okryta płaszczem, wysiadła z niej, zapukała ostrożnie nie do drzwi, ale w okno odźwiernego... A o pierwszej dorożka jeszcze stała na ulicy... Ciągłe czekając na tajemniczą osobę w płaszczu... Która przez cały ten czas wymawiała pewno, jak dopiero powiedziałaś pani, imię księżny... na klęczkach...

Czy to, że pani Grivois nie była powiadomiona o odwiedzinach, które Rodin złożył wczoraj księżnej Saint-Dizier, skoro się dowiedział o przybyciu do Paryża córek generała Simona, czy też pani Grivois udawała, że nie wie o tych odwiedzinach, dość, że odpowiedziała, z pogardą wzruszając ramionami:

– Nie rozumiem, o czym panna mówisz i nie po to przyszłam tu, aby słuchać takich niedorzecznych baśni; raz jeszcze pytam, czy zaprowadzisz mnie do panny Adrianny, czy nie?

– Powtarzam, że moja pani śpi i zabroniła mi przychodzić do siebie przed dwunastą.

Rozmowa ta toczyła się w pewnej odległości od pawilonu, którego przedsionek widać było w końcu dość długiej alei...

Nagle pani Grivois zawołała z przestachem, wskazując ręką w tę stronę.

– Co to? Czy podobna... Co ja widzę?

– Cóż takiego, cóż pani zobaczyła? – zapytała Żorżetta, odwracając się.

– Kogo widziałam?... – powtórzyła zdumiona pani Grivois.

– Nie domyślam się.

– Pannę Adriannę!...

– A gdzie?

– Szła prędko po schodach... Poznałam ją po chodzie, po jej kapeluszu i po płaszczyku... Powracać do domu o ósmej godzinie rano! – zawołała pani Grivois – ależ to nie do wiary!

– Pannę Adriannę?... Widziałas pani?... – odparła Żorżetta i głośno roześmiała się. – Acha!... Rozumiem... Chcesz się pani mścić za moją historię o wczorajszej dorożce... To bardzo sprytne!

– Powtarzam ci, że w tej chwili widziałam...

– Cóż znowu! Pani Grivois, jeśli na serio tak uważasz, chyba ci się przewróciło w głowie...

– Mnie w głowie się przewróciło... Dlatego, że mam dobre oczy? Furtka, którą się wychodzi na ulicę, jest na wprost alei blisko pawilonu, tymi to pewnie drzwiami wróciła panna Adrianna... Ach, mój Boże! Cóż się dzieje... Cóż powie księżna? Oj! Przeczucia nie myliły jej. Do czego to doprowadziła słabość dla dziwactw siostrzenicy, to szkaradne... Tak szkaradne, iż choć własnymi oczyma widziałam, jednak jeszcze nie mogę uwierzyć...

– Ponieważ pani tak mówi, zmuszona jestem zaprowadzić cię do panny Adrianny, abyś się przekonała na własne oczy, że ci się przywidziało.

– Mądra jesteś, moja kochana, ale nie mędrsza ode mnie... Chcesz, abym teraz poszła... Wierzę... W tej chwili jesteś pewna, że zastanę pannę Adriannę w domu...

– Ależ, pani Grivois, zapewniam cię...

– To ci tylko powiem, że ani ty, ani Floryna, ani Hebe dwudziestu czterech godzin tu nie zabawicie, księżna położy koniec takiemu zgorszeniu, idę natychmiast powiedzieć jej, co się tu dzieje. Wychodzi w nocy! Zgrozo!... Powracać o ósmej rano... To niesłychana rzecz... Gdybym na własne oczy nie widziała, nigdy bym nie uwierzyła. Zresztą, musiało to nastąpić i nikogo nie zdziwi. Nie... Pewno nie... I wszyscy, którym opowiem to szkaradzieństwo, odpowiedzą z pewnością: To nic dziwnego. Jakie to zmartwienie dla mej biednej pani, jaki to dla niej cios okropny!

I pani Grivois spieszenie wróciła do pałacu, a za nią mops, który, wydawał się zagniewany równie jak ona.

Żorżetta pobiegła także do pawilonu, aby uprzedzić Adriannę Cardoville, że pani Grivois widziała ją, ukradkiem wracającą małymi drzwiczkami.

## ROZDZIAŁ II

### BUDUAR ADRIANNY

Upłynęła blisko godzina, odkąd pani Grivois widziała, czy raczej zdawało się jej, że widziała pannę Adriannę Cardoville wracającą do pawilonu.

Istotnie, pewne dziwactwa w jej zachowaniu wynikały z oryginalnego charakteru Adrianny Cardoville.

Ta oryginalność polegała na zbytnej samodzielności, połączonej z wrodzoną odrazą do wszystkiego, co szpetne; dodać należy do tego nieprzewyciężone upodobanie w otaczaniu się wszystkim, co piękne, powabne.

I nie tylko upodobaniom oczu lubiła dogadzać młoda dziewczyna; harmonijne głosy śpiewu, melodia instrumentów, rytm poezji sprawiały jej najwyższą rozkosz, gdy przeciwnie, ostry głos, niezgodne dźwięki wywierały na niej przykre wrażenie, jakie czuła mimowolnie na widok brzydkiego przedmiotu. Lubiąc namiętnie kwiaty, przyjemne zapachy, znajdowała w otaczaniu się nimi wielką przyjemność. Co jeszcze było w niej osobliwe?... Adrianna była wielką koneserką i lepiej niż kto inny znała się na smaku wytwornych owoców, umiała ocenić delikatnego bażanta lub wykwinny gatunek wina.

Jednakże używała tego wszystkiego z umiarkowaniem, uważała za swą powinność doskonalenia zmysłów, którymi ją stwórca obdarzył; według niej, byłoby oburzającą niewdzięcznością tłumić te boskie dary zbytkami lub poniżać je niegodnym wyborem, od którego chroniła ją nadzwyczajna delikatność gustu.

Dla niej pojęcie piękna i brzydoty znaczyło to samo, co pojęcie dobra i zła. Jej umiłowanie wdzięku, wytworności, fizycznej piękności, przywiodło ją do poszanowania moralnej piękności, bo jak wyraz nikczemnej namiętności szpeci najpiękniejsze twarze, tak szlachetne uczucia bywają ozdobą nawet najszeptniejszego oblicza.

Adrianna była uosobieniem zmysłowości... Nie owej zmysłowości pospolitej, bezrozumnej, zepsutej potrzebą rozkoszy brutalnych, bez wyboru, ale zmysłowości wytwornej, która tym bywa dla zmysłów, czym inteligencja dla duszy.

Niezależność charakteru młodej dziewczyny była nadzwyczajna. Nade wszystko oburzała ją owa społeczna i obyczajowa zależność kobiety, śmiało postanowiła się od niej bronić.

W Adriannie nie było przy tym nic męskiego, była to kobieta w całym tego słowa znaczeniu, kobieta ze swoimi wdziękami, ze swoimi dziwactwami, z zachwycającą kobiecą urodą, kobieta ze swoją bojaźliwością jak również z zuchwałością, kobieta pełna nienawiści dla grubiańskiej przewagi mężczyzny, ale i pełna skłonności do ślepego poświęcenia dla tego, który by w jej mniemaniu stał się tego godnym. Kobieta była także przez swój dowcip, choć nieco swobodny, kobietą przez słuszną wzgardę dla mężczyzn, czy to zbyt dumnych, czy upojonych pochlebstwami, których czasami spotykała w salonie ciotki, księżny Saint-Dizier, gdy mieszkała z nią razem.

Podawszy te niezbędne objaśnienia, udamy się z czytelnikiem w odwiedzinę do Adrianny Cardoville, wychodzącej z kaplicy.

Trzeba by posiadać świetny koloryt szkoły weneckiej, aby oddać zachwycającą scenę, która jakby się działa w XVI wieku, w jakimś pałacu florenckim, a nie w Paryżu, w głębi przedmieścia Św. Germana, w lutym 1832 r.

Światło padało do półkolistego pokoju podwójnym oknem, tworzącym oranżerię z roślin. Mury pawilonu, zbudowane z ciosanych, dużych kamieni, tworzyły głęboką framugę okna, zamkniętego z zewnątrz wielką taflą szklaną, a wewnątrz drugą tejże wielkości; w przestrzeni między tymi taflami umieszczono skrzynię, napełnioną ziemią, w której pnące rośliny, wznosząc się splotami, tworzyły wokoło matowej tafli girlandę z liści i kwiatów.

Adamaszkowe obicie, karmazynowego koloru, z nieco jaśniejszymi arabeskami, okrywało ściany, takim też kobiercem pokryta była posadzka. Na ciemnym tle lepiej odbijały wszelkie odcienie.

Przed oknem, zwróconym na południe, stała toaleta Adrianny, prawdziwie mistrzowskie dzieło sztuki złotniczej.

Na obszernej półce z lazurowego kamienia stały różnorodne słoiki srebrne i pozłacane z cudnie emaliowanymi nakrywkami, flaszeczki kryształowe i inne przybory toaletowe z perłowej masy, z szyldkretu, z kości słoniowej, wysadzone złotymi ozdobami, dwie wielkie figury srebrne, wykończone w stylu starożytnym, unosiły owalne, obracające się zwierciadło, a jego ramy, rzadkiej roboty, otaczała girlanda ze świeżych, co dzień zmienianych kwiatów.

Dwa ogromne wazony japońskie, błękitne, pozłacane, stały na kobiercu po obu stronach toalety i napełnione rozkwitającymi kameliami, tworzyły jakby krzewy, ubarwione najżywszymi kolorami.

W głębi, naprzeciw okna, widać było czarującą, otoczoną także kwiatami, grupę Dafnisa i Chloe z białego marmuru, najczystszy ideał powściągliwego wdzięku młodzieńczego i piękna.

Wielka srebrna szkatuła, zdobna złotymi figurami i drogimi kamieniami różnych barw, oparta na czterech nóżkach z pozłacanego brązu, zawierała różne drobiazgi toaletowe, dwa zwierciadła, ozdobione żyrandolami, kilka wybornych kopii Rafaela i Tycjana, malowanych przez Adriannę, wyobrażających portrety mężczyzn lub kobiet cudnej piękności, kilka konsol ze wschodniego jaspisu, a na nich złote i srebrne kubki, napełnione perfumami, miękka sofa, kilka krzeseł, okrągły stolik drewniany, złożony, dopełniały wystroju tego pokoju.

Adrianna, dopiero co wyszedłszy z kąpieli, siedziała przed toaletą w otoczeniu trzech kobiet.

Skutkiem dziwactwa albo raczej jej upodobania do piękna i harmonii, Adrianna chciała, aby usługujące jej dziewczyny były bardzo piękne i wytwornie, ładnie ubrane.

Widzieliśmy już Żorzettę, interesującą blondynkę, w zalotnym ubiorze subretki, jej dwie towarzyszki bynajmniej nie ustępowały jej urodą i wdziękiem.

Jedna imieniem Floryna, wysokiego wzrostu i zgrabna, kostiumem przypominająca Dianę, była brunetką, jej gęste włosy, splecione w warkocze, przypięte były długą złotą szpilką. Miała obnażone ręce, ubrana była w piękną suknię jasnozielonego koloru, szeroką, lecz z obcisłym stanikiem, wyciętym kwadratowo aż do koszulki z białego batystu, drobnutko układanej, zapiętej na pięć złotych guzików.

Twarz trzeciej pokojówki Adrianny była tak świeża, tak miła i urodziwa, iż pani nadała jej imię Hebe; blad różowa suknia greckiego kroju okrywała śliczne piersi i ładne ręce obnażone aż do ramion.

Fizjonomie tych dziewcząt były wesołe, swobodne, nie widać było w ich twarzach wyrazu tłumionej niechęci, zawistnego nadskakiwania, obrażającej poufałości lub płaskiej uniżoności.

Gdy na wyścigi i z największą troskliwością usługiwały swej pani, widać było w tym przywiązanie, szacunek i wdzięk, zdawało się, że znajdują przyjemność w nadawaniu uroku swej pani. Można by sądzić, że upiększać i stroić ją było dla nich zadaniem sztuki, pełnej powabu i że zajmowały się tym z radością i dumą.

Słońce silnie oświetlało toaletę, stojącą przed oknem; Adrianna siedziała na krześle o niskiej poręczy, miała na sobie długi jedwabny szlafrok bladoniebieskiego koloru, przewiązany w pasie tak cienkim, jak u dwunastoletniego dziecka. Szyja jej wysmukła jak u łabędzia, ręce i ramiona również obnażone; była dziwnie piękna, tylko najpiękniejsza kość słoniowa dałaby wyobrażenie o czystej białości i atlasowej gładkości jej skóry. Jak perły kryształowe po białym marmurze, po ramionach toczyło się kilka kropel wody, powstałych po niedawnej kąpieli.

Nadzwyczajną piękność Adrianny podkreślały jeszcze ciemnopurpurowe usta, przezrocyste, małe uszy i paznokcie, całe zresztą ciało tchnęło zdrowiem, życiem i młodością. Oczy

Adrianny, wielkie i czarne jak aksamit, już to skrzyły się wesołością, już otwierały się omdlałe, jakby za zasłoną, między dwiema frędzlami długich rzęs, równie czarnych jak piękne, łukiem zakreślone brwi...

Dziwnym a pięknym zrządzeniem natury Adrianna miała brwi i rzęsy czarne obok rudych włosów; małe czoło, jak u greckich posągów, uzupełniało owalną twarz, delikatnie wygięty nos był nieco orli, czysta emalia zębów błyszczała jak śnieg, a rumiane usta jakby wzywały do słodkich całusów i wesołych uśmiechów.

Adrianna, jak powiedzieliśmy, należała do rudowłosych, lecz z tego rodzaju, jak widzi się na precudnych portretach Tycjana lub Leonarda da Vinci... Roztopione złoto nie migocze tak świetnym połyskiem jak jej naturalne, lekko kędzierzawe włosy, miękkie jak jedwab, a długie, tak długie... Iż sięgały ziemi, gdy stała i jak Wenus mogła się nimi osłonić.

W tej chwili wyglądały szczególnie pięknie. Żorżetta, stojąc za swoją panią, z trudnością mogła zebrać tę pyszną kosę, której blask podkreślało jeszcze światło słońca...

Gdy pokojówka zapuściła grzebień w falujące złociste zwoje tej ogromnej jedwabistej kossy, zdawało się, że tysiące iskier z nich wytryskało, nie mniej żywy blask odbijało słoneczne światło od licznych pukli, które spadały po policzkach Adrianny i dotykały śnieżnych piersi.

Kiedy Żorżetta czesała piękne włosy swej pani, Hebe, dotykając jednym kolaniem ziemi, a na drugim trzymając opartą nóżkę panny Cardoville, kładła jej mały trzewiczek z czarnego atłasu i sznurowała wąskie wstążki na ażurowej, jedwabnej pończoszcze, Floryna podawała w złocistym słoiku pachnący krem, którym Adrianna lekko potarła śnieżne ręce o wysmukłych paluszkach, których końce były jakby zafarbowane karminem...

Wreszcie nie zapominajmy o Lutynie; ta, leżąc na kolanach swej pani, otwierała oczy jakby się przypatrywała toalecie Adrianny z pilną uwagą.

Dźwięczny głos dzwonka dał się słyszeć z zewnątrz. Floryna, na dany przez panią znak, wyszła i prędko, wróciła, niosąc na małej złocistej tacy list.

Podczas gdy pokojowe kończyły jej poranną toaletę, Adrianna wzięła list od rządcy dóbr Cardoville, czytając:

„Pani!

Znając jej dobre serce i wspaniałomyślność, ośmielam udać się do pani z całą ufnością.

Przez dwadzieścia lat służyłem śp. jej ojcu, gorliwie i uczciwie, sądzę, że tak rzec mogę... Zamek został sprzedany, a ja i moja żona mamy być odprawieni i pozbawieni wszelkich środków do życia. Niestety! W naszym wieku, Pani, jakże to bolesne”.

– Biedni ludzie – rzekła Adrianna, przerywając czytanie – w istocie ojciec chwalił zawsze ich poświęcenie i uczciwość.

Czytała dalej:

„Wprawdzie byłby dla nas sposób utrzymania się na swym miejscu... ale chodziłoby o to, abyśmy dopuścili się podłości, ale niech będzie, jak chce, ani ja, ani moja żona nie chcemy zarabiać na chleb w ten sposób”.

– Dobrze! Wybornie... zawsze tacy sami – rzekła Adrianna – godność wśród ubóstwa... to zapach kwiecia wśród łąk.

„Pani! Aby wytłumaczyć niegodziwość, jakiej od nas wymagano, winienem najpierw powiedzieć, że dwa dni temu przybył tu z Paryża pan Rodin.”

– A! Rodin – panna Cardoville znowu przerwała czytanie – sekretarz księdza d’Aigrigny... Nie dziwię się teraz, jeżeli idzie o jakieś wiarołomstwo lub intrygę. Zobaczymy...

„Pan Rodin przybył z Paryża, aby oznajmić, że dobra są sprzedane, że jednak mógłby zatrzymać nas na miejscu, gdybyśmy mu pomogli dać nowej dziedziczce za spowiednika księdza, który nie posiada tu dobrej opinii i jeżeli dla dopięcia tego zgodzimy się na spotwarzenie innego księdza, człowieka zacnego, poważnego, bardzo lubianego w całej okolicy.

Nie dość na tym: zażądał ode mnie, abym sekretnie pisywał do niego o wszystkim, co tu się będzie działo. Wyznać muszę pani, że te propozycje ukrywał pod dość niewinnymi pozo-

rami, ale mimo dość zręcznej formy, istota rzeczy była taka, jak miałem zaszczyt pani przedstawić.”

– Przekupstwo... potwarz i denuncjacje! – pomyślała Adrianna z oburzeniem. – Wspomnieć nie mogę o tych ludziach, aby mimo woli nie budziło się we mnie wyobrażenie ciemności, trucizny i obmierzłych czarnych gadzin... Wolę myśleć o spokojnych i łagodnych osobach Duponta i jego żony.

Czytała dalej:

„Łatwo domyślisz się, pani, żeśmy się na to nie mogli zgodzić, opuścimy Cardoville, gdzie przebywamy już od lat dwudziestu, ale opuścimy to miejsce jako uczciwi ludzie... A teraz, łaskawa pani, gdybyś u kogoś spośród swoich dostojnych przyjaciół mogła wynaleźć dla nas miejsce, gdybyś nas poleciała, może z jej łaski nie pozostalibyśmy na starość bez kawałka chleba”.

– Zapewne... nie na próżno udali się do mnie... Wyrwać tych ludzi ze szpon Rodina jest moim obowiązkiem, choć może to okazać się niebezpieczne, ale nie boję się ludzi jego pokroju.

I czytała dalej:

„Rozpisawszy się o sobie, pozwól pani, że błagać będę o opiekę i dla innych, bo źle byłoby myśleć tylko o sobie. Przed trzema dniami u naszych brzegów rozbiły się dwa okręty, tylko kilku podróżnych zdołaliśmy uratować i przyprowadzić tu, gdzie daliśmy im przytułek, na jaki nas było stać. Kilku z tych uratowanych odjechało już do Paryża, ale jeden jeszcze pozostał. Rany nie pozwalają mu opuścić zamku i zatrzymamy go jeszcze przez kilka dni...”

Jest to młody książę hinduski, lat koło dwudziestu, równie dobry jak piękny... bardzo piękny, pomimo że jego cera jest śniada, jak u wszystkich ludzi wschodu”.

– Książę hinduski! Młody, dobry i piękny! – zawołała wesoło Adrianna – to wyborne, a nade wszystko niezwykle, ten książę-rozbiitek posiada już moją sympatię... Ale cóż ja mogę uczynić dla tego Adonisa znad brzegów Gangesu, który się rozbił na brzegach Pikardii?

Służące Adrianny patrzyły na nią, niezbyt zresztą zdziwione, gdyż przywykły już do jej osobliwego charakteru.

Żorzetta i Hebe zaczęły się ostrożnie uśmiechać, Floryna dołączyła do nich, ale nieco później, jak gdyby chciała najpierw wysłuchać i zatrzymać w pamięci wszystkie słowa swej pani, mocno zajętej treścią listu.

Adrianna czytała dalej:

„Jeden z ziomeków księcia, który został przy nim, powiedział mi, że książę podczas rozbicia statku utracił wszystko, co miał... i że nie ma sposobu dostać się do Paryża, gdzie jego obecność jest niezbędna dla ważnego i nie cierpiącego zwłoki interesu. Dodał przy tym, że młody książę wielkich już doznał nieszczęść i że jego ojciec, król pewnego państewka w Indiach, został niedawno zabity i wydziedziczony przez Anglików”.

– To osobliwe – zastanowiła się Adrianna – te okoliczności przypominają mi, że mój ojciec często opowiadał o jednej z naszych krewnych, która wyszła za męża za jakiegoś króla hinduskiego, do którego najął się w służbę generał Simon, ten, którego niedawno mianowano marszałkiem... – Potem dodała z uśmiechem: – Ach! Jakby to było zabawne... a tylko mnie zdarzają się podobne historie... Ale jak się nazywa ten książę... zobaczymy...

„Bez wątpienia raczysz, pani, przebaczyć naszemu uprzykrzeniu się, ale sądziliśmy, że uważałabyś nas, i słusznie, za egoistów, gdybyśmy mówili tylko o swych własnych dolegliwościach, kiedy dzieli je z nami zacny i godny politowania książę... Na koniec raczysz mi pani wierzyć... stary jestem, mam wiele doświadczenia, dosyć mi spojrzeć na szlachetną twarz tego Hindusa, a przysiągłbym, że godzin jest pani względów, o które proszę; wystarczyłoby przysłać mu cokolwiek pieniędzy, aby mógł sprawić sobie europejski ubiór, gdyż wszystkie poprzednie postradał podczas rozbicia statku”.



– O nieba! Ubiór europejski... – zawołała z humorem Adrianna. – Biedny książę! Niech go Bóg od niego zachowa i ja także!... Już dosyć sprzyja mu los, kiedy z głębi Indii posyła go do mnie, aby nigdy nie nosił tego obmierzłego ubioru europejskiego, tych szkaradnych sukien, strasznych kapeluszy, które czynią mężczyzn tak śmiesznych, iż prawdziwie nic w nich nie można dostrzec powabnego... Tak więc przybywa do mnie młody, piękny książę z obcych, wschodnich krajów, gdzie mężczyźni ubierają się w jedwabie, muśliny i kaszmiry, nie zaniebam skorzystać z tej rzadkiej sposobności i szczerze się nim zajmę. A więc niech mówi, co chce, Dupont – ale precz z sukniami europejskimi dla Hindusów... Ale jakże się nazywa ten książę? Co za osobliwe byłoby zdarzenie, gdyby to był mój kuzyn znad Gangesu! Gdy byłam mała, tyle mówiono dobrego o ojcu jego królewskiej mości, iż byłabym bardzo ciekawa oglądać jego syna i przyjąć go jak najlepiej... Ale zobaczmy, jak on się nazywa...

I dalej czytała:

„Gdybyś oprócz małej sumki raczyła pani ułatwić mu jak również jego rodakowi dostanie się do Paryża, byłoby to wielkim dobrodziejstwem dla biednego księcia, i tak już nieszczęśliwego.

Na koniec, aż nadto jest mi znaną delikatność pani, abym się nie domyślał, że może chcesz pani przesłać księciu tę pomoc bez wyjawienia swego nazwiska, w takim razie rozkaż mi, pani i rachuj na moją roztropność, jeżeliby zaś przeciwnie, postanowiła pani przesłać mu pomoc bezpośrednio, to jego nazwisko, takie, jakie mi podał jego towarzysz: Książę Dżalma, syn Kadzi-Singa, króla Mundy”.

– Dżalma – ożywiła się Adrianina, przypominając sobie – Kadzi-Singa... tak... to ten sam... właśnie to samo nazwisko ojciec tak często powtarzał... mówiąc że trudno znaleźć na świecie kogoś bardziej rycerskiego, bardziej bohaterskiego nad tego króla indyjskiego, naszego powinowatego... od którego pewnie i syn nie odrodził się. Tak, Dżalma... Kadzi-Sing, tak, to on, – mówiła, uśmiechając się, – tak, Dżalma jest moim kuzynem. Odważny i dobry, młody i piękny... A nade wszystko nigdy nie nosił szkaradnych sukni europejskich... i nie ma teraz znikąd pomocy! To przedziwne... To za wiele szczęścia naraz... Prędko... Prędko... Zaimprovizujemy ładną bajkę, której bohaterem będzie waleczny książę... Biedny ptaszek złocistolazurowy, zabłąkany w nasze smutne kraje! Niechże przynajmniej znajdzie tu coś takiego, co by mu przypominało jego słońce i kraj rodzinny.

Potem, zwróciwszy się do jednej z pokojówek, rzekła:

– Żorżetto, weź papier i pisz, moje dziecko.

Dziewczyna podbiegła do złocistego stolika, gdzie były przybory do pisania i usiadła, mówiąc:

– Czekam na rozkazy, pani...

Adrianna, której śliczna twarz jaśniała radością, podyktowała następujący bilet do starego malarza, który przez długi czas uczył ją rysunków i sztuki malarskiej:

„Kochany Tycjanie, dobry Weronezie, godny Rafaelu... Uczynisz mi wielką przysługę, i pewną jestem, że mi ją wyświadczysz z ową miłą grzeczością, jakiej od ciebie zawsze doznawałam...

Natychmiast pójdziesz porozumieć się z artystą, który rysował moje ostatnie ubiory z XV wieku. Tym razem idzie o ubiór indyjski dla młodego Hindusa. Według tego, jak sobie wyobrażam, możesz wziąć miarę z Antynousa albo raczej z Bachusa Indyjskiego, co będzie właściwiej.

Postaraj się, aby te suknie były zarazem jak najbogatsze i najwykwintniejsze, wybierzesz co najpiękniejsze materiały, uważaj szczególnie, aby jak najbardziej podobne były do tkanin indyjskich, na przepaski i na zawoje dodasz sześć szalów kaszmirskich, między którymi mają być dwa białe, dwa czerwone i dwa pomarańczowe, nic lepiej nad te kolory nie pasuje do śniadej twarzy.

Potem (a daję ci najwyżej dwa lub trzy dni czasu) udasz się moim powozem do zamku Cardoville, który dobrze znasz; rządcą, dzielny Dupont, dawny pański przyjaciel, zaprowadzi cię do młodego indyjskiego księcia nazwiskiem Dżalma, powiesz temu dostojnemu panu, że przybywasz od nieznanego przyjaciela, który po bratersku przesyła mu, co trzeba, aby uniknął szkaradnej europejskiej mody.

Dodasz, że przyjaciel ten oczekuje go niecierpliwie i zaklina, ażeby jak najspieszniej przybył do Paryża. Jeżeli mój protegowany powie, że jest słaby, odpowiesz, że w moim powozie doskonale można spać, każesz mu urządzić w nim posłanie, a będzie mu bardzo wygodnie.

Ma się rozumieć, iż usprawiedliwisz uprzejmie nieznanego przyjaciela, że nie posyła mu ani bogatego palankinu, ani słońa, bo niestety, tylko w teatrze są tu palankiny, a słońie tylko w menażerii; przez co zapewne nader dzikimi wydamy się temu księciu...

Skoro go nakłonisz do wyjazdu, puścisz się szybko w drogę i przyprowadzisz tu, do mego pawilonu, przy ulicy Babilońskiej (przynajmniej ta nazwa spodoba się człowiekowi ze wschodu), przyprowadzisz tu tego księcia, szczęśliwca, który się urodził w kraju kwiatów, diamentów i słońca.

Nade wszystko będziesz łaskaw, drogi przyjacielu, nie dziwić się temu nowemu kaprysowi, a szczególnie nie czynić z tego powodu żadnych nadzwyczajnych, niedorzecznych wniosków. Udaję się w tej okoliczności do pana, którego szczerze poważam, iż to powinno przekonać cię, że w tym moim postępku nie ma nawet cienia płochości”.

Dyktując ostatnie wyrazy, utrzymała ton pełen godności. Wkrótce jednak wróciła znów do zwykłej sobie wesołości.

„Bądź zdrow, mój stary przyjacielu, zbyt lekkomyślnie pozwalam sobie na żarty w chwili batalii, tak, gdyż za godzinę wydam batalię mej ciotce i niecierpliwie oczekuję chwili rozpoczęcia boju z tą straszłą księżną.

Bądź zdrow, tysiąc serdecznych pozdrowień twej zacnej żonie. Kiedy o niej wspominam, to dlatego, aby cię upewnić o uczciwych powodach tego wezwania do mnie pięknego księcia; wypada skończyć na tym, od czegom powinna była zacząć, że jest piękny...”

Jeszcze raz, bądź zdrow...”

Potem, zwracając się do Żorżetty:

– Cóż, napisałaś?

– Tak, pani...

– A! Dodaj jeszcze post scriptum:

„Posyłam ci asygnatę na okaziciela, do mego bankiera, na te wszystkie wydatki, nie szczędząc niczego... wiesz, że jestem dość wielkim panem... (muszę użyć tego męskiego określenia), gdyż wy przywłaszczacie sobie wyłącznie miano szlachetnej szczodropliwości”.

– Teraz, Żorżetto – rzekła Adrianna – przynieść mi arkusz papieru i ten list do podpisania.

Wzięła pióro, które podała jej Żorżetta, podpisała list napisała przekaz tej treści:

„Proszę wypłacić panu Norval, za jego kwitem, sumę, jakiej zażąda, na wydatki dla mnie.

Adrianna Cardoville”.

Podczas gdy Żorżetta pisała, Floryna i Hebe zajmowały się dalej toaletą swej pani, która zdjęła szlafroczek i ubrała się.

Z ciągłej, choć skrywanej uwagi, z jaką Floryna słuchała Adrianny, dyktującej list, łatwo domyśleć się, iż chciała zachować w pamięci każde słowo panny Cardoville.

– Moja kochana – odezwała się Adrianna do Hebe – pójdziesz natychmiast na pocztę posłać ten list do pana Norwala.

Ten sam co przedtem srebrny głos dzwonka dał się słyszeć z zewnątrz.

Hebe podeszła do drzwi, aby otworzyć, wtedy Floryna zwróciła się do Adrianny:

– Czy pozwoli pani, abym ja ten list zniosła do wielkiego pałacu?

– Dobrze! Hebe, zobacz, kto dzwoni, a ty Żorżetto, zapieczętuj list...

Po chwili Hebe wróciła.

– Proszę pani – rzekła – rzemieślnik, co znalazł wczoraj Lutyń, prosi o posłuchanie... Jest błąd i bardzo smutnie wygląda...

– Czyżby już mnie potrzebował?... Byłoby to bardzo szczęśliwe – odrzekła Adrianna. – Proś tego poczciwego człowieka do salonu... A ty, Floryno... Wyślij list natychmiast...

Floryna wyszła.

Panna Cardoville z Lutyną weszła do saloniku, gdzie czekał na nią Agrykola.

## ROZDZIAŁ III

### ROZMOWA

Adrianna Cardoville, wchodząc do salonu, gdzie czekał na nią Agrykola, ubrana była z wielką prostotą, ale wykwintnie; flanelowa niebieska suknia z obcisłym stanikiem, wyszywana na przodzie czarnym jedwabiem uwydatniała jej kibić i ślicznie zaokrągloną pierś, kołnierzyk batystowy, gładki, zaokrąglony, na szerokiej w kraty wstążeczce, związanej w kokardę, zastępował chusteczkę, śliczne złocisto-żółte włosy otaczały twarz, spuszczać się lokami prawie do piersi.

Agrykola, chcąc odwrócić uwagę ojca, żeby uwierzył, że idzie do fabryki, ubrał się w codzienne ubranie, włożył tylko nową bluzę, a kołnierz od koszuli z grubego płótna, ale czysto wyprany, wywinął na czarną chustkę, spod obszernych szaraczkowych spodni wyglądały czysto wyszuwaksowane buty, w rękę trzymał sukienną nowiuteńką furazerkę. W tym stroju, podkreślającym jego silną budowę, wyglądał okazale i czuł się swobodnie.

Czekając na pannę Cardoville, przypatrywał się machinalnie pięknemu srebrnemu wazonowi z precudną rzeźbą; mała blaszka z tegoż metalu, zawieszona na podstawie, miała napis: Wykonany przez Jana Marię, rzeźbiarza – 1831 r.

Adrianna tak lekko stąpała po kobiercu salonu, iż Agrykola nie spostrzegł, kiedy weszła; drgnął lekko i żywo obrócił się, gdy usłyszał dźwięczny głos:

– Piękny wazon, prawda?

– Bardzo piękny – odpowiedział Agrykola, nieco speszony.

– Widzisz pan, że lubię oddawać sprawiedliwość – dodała panna Cardoville, wskazując palcem małą srebrną blaszkę – malarz podpisuje swój obraz... Pisarz książkę, jestem więc za tym, żeby rzemieślnik podpisywał swoją robotę.

– Jak to, pani, to imię rzemieślnika?

– Tak, to imię ubogiego rzeźbiarza, który wykonał rzadkie, mistrzowskiej roboty dzieło dla bogatego złotnika. Gdy ten sprzedał mi ten wazon, zdumiał się moim dziwactwem, kiedy na zapytanie, usłyszawszy nazwisko twórcy tego dzieła zażądałam, żeby nie jego, ale nazwisko robotnika było wypisane na podstawie. Gdy nie ma on bogactwa, niech przynajmniej ma sławę, czyż nie mam racji?

Niepodobna było Adriannie zrećniej rozpocząć rozmowy, dlatego kował, przychodząc powoli do siebie, odpowiedział:

– Sam będąc rzemieślnikiem, podwójnie oceniam taki dowód sprawiedliwości.

– Ponieważ jest pan rzemieślnikiem, rada jestem z tego zdarzenia.

I uprzejmym skinieniem ręki wskazała mu krzesło, obite złotem wyszywaną materią, a sama usiadła na kanapie.

Widząc, że Agrykola zawahał się i zakłopotany spuścił oczy, rzekła wesoło, chcąc go ośmielić i wskazała mu Lutyń:

– To zwierzątko, do którego jestem mocno przywiązana, będzie dla mnie na zawsze żywą pamiątką pańskiej dobroci, dlatego i pańskie odwiedziny poczytuję za szczęśliwą wróżbę, nie wiem, jakie dobre przeczucie mówi mi, iż może będę mogła być panu w czymś użyteczna.

– Pani – odezwał się ośmielony Agrykola – nazywam się Baudoin, jestem kowalem u pana Hardy, w Plessy pod Paryżem, wczoraj ofiarowałaś mi pani sakiewkę... Nie chciałem przyjąć... Dziś przychodzę, aby prosić panią może o dziesięć, dwadzieścia razy większą sumę... Mówię to od razu... Bo to właśnie najwięcej mnie kosztuje... Te słowa piekły mi usta, teraz będę czuł się swobodniejszy...

– Szanuję pańskie skrupuły – odpowiedziała Adrianna – ale, gdybyś mnie znał, zwróciłbyś się do mnie bez obawy... Ile panu potrzeba?

– Nie wiem, pani.

– Jak to?... Nie wiesz, jakiej sumy potrzebujesz?

– Tak, pani i przychodzę prosić cię... Nie tylko o potrzebną mi sumę... Ale nadto o wiadomość, jaka suma będzie mi potrzebna.

– Proszę pana – rzekła z uśmiechem Adrianna – wytłumacz się jaśniej... Pomimo najlepszych chęci nie zgaduję, o co chodzi.

– Powiem to pani w kilku słowach: Mam starą matkę, która zniszczyła sobie zdrowie pracą dla wychowania mnie i biednego, opuszczanego dziecka, które przyjęła za swoje, teraz jest moim obowiązkiem utrzymywać ją, co też robię z radością. Ale nie mam nic, prócz zdrowych rąk i chęci do pracy. Gdybym przestał pracować, moja matka pozostałaby bez środków do życia.

– Teraz, panie, twojej matce na niczym nie będzie zbywało, gdyż ja się nią zajmę...

– Pani się nią zajmiesz?

– Tak, oczywiście.

– Czy znasz ją pani?

– Tak, teraz...

– Ach! Pani – rzekł Agrykola, wzruszony, a po chwili milczenia dodał: – rozumiem panią... Tak... Szlachetne masz serce, Garbuska miała rację.

– Garbuska? – powtórzyła Adrianna, spoglądając ciekawie na Agrykolę, gdyż nie rozumiała, o kogo chodzi.

Kowal, który się nie wstydził swoich przyjaciół, odpowiedział śmiało:

– Wytłumaczę to pani. Garbuska to uboga wyrobnica, bardzo pracowita, z którą się wychowałem, jest ułonna i dlatego nazywają ją Garbuską. Widzisz więc, pani, że pod pewnym względem stoi tak nisko, jak pani wysoko. Lecz co do serca... Co do delikatności... Ach! Pani... Jestem pewien, że jesteś jej warta... Od razu przyszło jej to na myśl, kiedy jej powiedziałem, jakim sposobem dałaś mi pani wczoraj ów piękny kwiat...

– Zapewniam pana – przerwała Adrianna, szczerze wzruszona – że to porównanie pochlebia mi i przynosi większy zaszczyt aniżeli wszystko, co byś mi zdołał powiedzieć... Serce dobre i delikatne, pomimo okrutnego losu, jest skarbem nadzwyczaj rzadkim. Tak łatwo być dobrym, kiedy się jest młodym i pięknym... Być delikatnym i wspaniałym, kiedy się jest bogatym! Przyjmuję więc pańskie porównanie... Ale pod warunkiem, że dasz mi sposobność zasłużyć na nie. Proszę więc, mów dalej.

Mimo otwartości panny Cardoville, odgadnąć w niej było można tyle naturalnej godności, jaka zawsze cechuje niezależny charakter, wzniosły umysł i szlachetne uczucia, iż Agrykola, zapominając o idealnej piękności swej opiekunki, prędko poczuł dla niej głęboki szacunek, który był dziwnie sprzeczny z wiekiem młodej dziewczyny.

– Pani! Gdybym miał tylko matkę, mówię szczerze, nie bardzo bym się troszczył o czas strawiony bez roboty, biedni ludzie wspierają się nawzajem, moją matkę szanują w domu, uczciwi sąsiedzi pośpieszyliby jej na pomoc, ale i oni są ubodzy, i oni ponieśliby dla siebie uszczerbek, a ich małe przysługi byłyby dla niej bardziej przykre od nędzy, a wreszcie nie na

samą tylko matkę muszę pracować, ale także na ojca; nie widzieliśmy go przez osiemnaście lat, dopiero co przybył... Przebywał cały ten czas na wschodzie poświęcając się dla swego niegdyś generała, a dziś marszałka Simona.

– Marszałka Simona! – rzekła ze zdziwieniem Adrianna.

– Czy znasz go pani?

– Nie znam osobiście, ale on poślubił osobę z naszej rodziny.

– Jakie to szczęście!... – zawołał kowal – a więc dwie młode panienki, które mój ojciec przyprowadził ze wschodu to krewne pani...

– Marszałek ma dwie córki? – zapytała Adrianna, coraz bardziej zdziwiona i przejęta.

– Ach! Pani... Dwa aniołki... A tak piękne, tak łagodne, bliźnięta podobne do siebie jak dwie krople wody... Ich matka zmarła w obcych stronach, majątek jej córek przepadł, przybyły więc tu z moim ojcem, odbywszy uciążliwą podróż, lecz mój ojciec usiłował swoją troskliwością... Nie dać im odczuć ubóstwa... Zacny ojciec!... Nie uwierzyłabyś pani, że przy odwadze lwa, jest dobry... Jak matka...

– A gdzie są, panie, te dzieci? – zapytała Adrianna.

– U nas, pani... I to właśnie uczyniło tak trudnym moje położenie, to właśnie ośmieliło mnie, abym udał się do pani, nie dlatego, iżbym moją pracą nie mógł zarobić tyle, ile trzeba dla naszego małego, tak nagle powiększonego domu... Lecz jeżeli mnie zaaresztują...

– Pana mają aresztować... Za co?

– Otóż, pani... Racz przeczytać to ostrzeżenie, które przysłano na ręce Garbuski... Tej biednej dziewczyny, o której wspomniałem... A która jest dla mnie siostrą.

I podał pannie Cardoville bezimienny list, pisany do Garbuski.

Przeczytawszy go, Adrianna ze zdziwieniem spytała kowala:

– Jak to, pan jest poetą?

– Nie mam, pani, ani pretensji do tego, ani ambicji... Tylko gdy wracam do domu po pracy... A częstokroć nawet, kując żelazo, dla rozrywki lub wypoczynku, bawię się układaniem... Już to jakiej ody, już to śpiewki...

– A ten śpiew robotników, o którym mowa w tym liście, istotnie jest niebezpieczny?

– Nie, bynajmniej, jestem zupełnie kontent ze swojego losu... W zakładzie pana Hardy dobrze nam się powodzi i ja w pierwszych wierszach wyraziłem tylko życzenie, aby i inni używali podobnych korzyści, lecz wiadomo może pani, że w tych czasach spisków i zaburzeń w Paryżu łatwo można być obwinionym i uwięzionym... Niech padnie na mnie to nieszczęście... Cóż się stanie z moją matką... Ojcem i z dwiema sierotami, które powinniśmy uważać za należące do naszej rodziny, aż do powrotu marszałka Simona. Dlatego, chcąc uniknąć tego nieszczęścia, przyszedłem panią prosić, abys raczyła dać za mnie kaucję, takim sposobem nie wzięto by mnie do więzienia, a moja praca wystarczyłaby na utrzymanie całej rodziny.

– Bogu dzięki! – rzekła radośnie Adrianna. – To się da zrobić, odtąd, mości poeto, czerpać będziesz swoje natchnienie w szczęściu, a nie w zmartwieniu... Zaraz się da za pana kaucję.

– Ach, pani!... Ocalasz nas...

– Przy tym nasz domowy lekarz pozostaje w ścisłych stosunkach wprawdzie tylko z byłym ministrem, który ma jednak wielkie znaczenie, doktor posiada wielki wpływ na niego, gdyż zalecał mu, aby ze względu na zdrowie, porzucił urząd, właśnie w tych czasach, kiedy zabrano mu tekę. Bądź więc zupełnie spokojny, gdyby kaucja nie wystarczyła, pomyślimy o innych środkach.

– Pani – rzekł Agrykola, głęboko wzruszony – tobie winien będę spokój, a może i życie mej matki, wierz mi, pani, że nie pozostaną niewdzięczny.

– To mała rzecz... Teraz pomówmy o czym innym; wypada, aby ci, co mają nadto, przychodzili z pomocą tym, co mają za mało... Córki marszałka Simona należą do mojej rodziny, będą więc tu mieszkały ze mną, dziś wieczorem udam się do pańskiej matki, z podziękowaniem za okazaną mym młodemu krewnym gościnność i zabiorę je z sobą.

Wtem, uchyliwszy drzwi, prowadzące do salonu z przyległego pokoju, weszła z pośpiechem i przestraszaną miną Żorzetta.

– Ach, pani! – zawołała. – Coś dziwnego dzieje się na ulicy...

– Cóż takiego?... Mów prędzej.

– Odprowadziłam szwaczkę do furtki i zdawało mi się, że widziałam ludzi, którym nie najlepiej patrzyło z oczu, spoglądali uważnie na mury i na okna pawilonu, jakby kogoś śledzili.

– Pani – rzekł zmieszany Agrykola – nie omyliłem się, to pewnie mnie szukają.

– Co pan mówi?

– Zdawało mi się, że ktoś za mną idzie od ulicy Saint-Mery... Nie ma wątpliwości, widziałem, jak tu wchodziłem i chcę mnie aresztować... Teraz, pani, gdy raczyłaś obiecać opiekę mej matce... Kiedy już nie mam potrzeby troszczyć się o córki marszałka Simona, teraz, żeby pani nie narazić na najmniejszą nieprzyjemność, biegnę, aby sam się oddać w ich ręce.

– Nie rób tego – rzekła żywo Adrianna – bez potrzeby narażać swoją wolność? Zresztą Żorzetta może się mylić... Ale w każdym razie, proszę cię, zaczekaj... Wiesz, że u nas w Paryżu, gdy kogoś wsadzą do więzienia, nieprędko wypuszczają, a dopóki nie jesteś aresztowany, łatwiej przyjdzie zakończyć tę sprawę.

– Proszę pani – rzekła Hebe, także wchodząc niespokojna – jakiś mężczyzna pukał do furtki i pytał, czy nie wszedł tu młody rzemieślnik w niebieskiej bluzie. Dodał, że osoba, której szuka, nazywa się Agrykola Baudoin... Że coś ważnego chce mu powiedzieć.

– To moje nazwisko – rzekł Agrykola – to podstęp, aby mnie stąd wywołać...

– Zapewne – przyznała Adrianna – trzeba więc wyprowadzić w pole tego jegomościa... Cóżś odpowiedziała? – spytała, zwracając się do Hebe.

– Odpowiedziałam, proszę pani, że nie widziałyśmy żadnego mężczyzny w niebieskiej bluzie.

– Wybornie... A on co na to?

– Odszedł.

– Żeby wrócić za chwilę – zauważył Agrykola.

– Bardzo możliwe – podchwyciła Adrianna. – Dlatego musisz pozostać tu... Na nieszczęście muszę w tej chwili iść do księżny Saint-Dizier, mojej ciotki, aby spotkać się z nią w ważnym interesie, który już nie może cierpieć zwłoki, a który z tego, co mi powiedziałaś o przybyciu córek marszałka Simona, staje się jeszcze pilniejszym... Zostań więc tutaj, gdyż po wyjściu cię aresztują.

– Daruje pani, ale nie mogę przyjąć tej wspaniałomyślnej rady.

– Dlaczego?

– Usiłowano wywabić mnie na zewnątrz, aby nie wchodzić urzędowo do pani mieszkania, lecz za chwilę, jeśli nie wyjdę, wrócę tu, a ja nigdy nie narażę pani na taką nieprzyjemność. Już jestem spokojny o matkę, cóż mi zaszkodzi uwięzienie?

– A zmartwienie, jakiego dozna pańska matka?... A jej niepokój... Czy to nic? A pański ojciec, a biedna wyrobница, która pana kocha jak brata, a której ja jestem równa sercem, jak sam mówiłeś? Wierz mi, oszczędź tego zmartwienia swej rodzinie... Pozostań tu, zanim nadejdzie wieczór, jestem pewna, że czy to za kaucją lub innym sposobem, uwolnię pana od tego niepokoj...

– Ależ pani! – Choćbym przyjął jej ofiarę... To przecież mnie tu znajdują.

– Wcale nie... Jest w tym pawilonie kryjówka, tak misternie wymyślona, że nie wiedząc o niej, niepodobna ją znaleźć. Żorzetta zaprowadzi pana do niej, będzie tam panu wygodnie, będziesz mógł nawet pisać wiersze dla mnie, jeśli ci przyjdzie ochota...

– Ach! Pani, na tyle dobroci... Czym zasłużyłem?

– Czy tak? Otóż wyobraź sobie, że jego charakter, jego położenie nie zasługują na żadne względy, przypuść pan dalej, że nie zaciągnęłam wobec pańskiego ojca świętego długu za

tkliwe starania, jakie okazywał córkom marszałka Simona, moim krewnym... Ale pomyśl przynajmniej o Lutynie – rzekła, śmiejąc się – o Lutynie, którą tu widzisz... A którąś mi przyprowadził... Mówię szczerze, jeśli się śmieję – mówiła ta ekscentryczna istota – to dlatego, że nie ma tu dla pana żadnego niebezpieczeństwa i że jestem uszczęśliwiona. Zostaw mi więc swój adres, udaj się z Zorzettą i napisz mi ładne wiersze, jeżeli się nie znudzisz w tym więzieniu, do którego uciekasz przed prawdziwym.

Kiedy Żorzetta prowadziła kowala do kryjówki, Adrianna udała się przez park do wielkiego pałacu, zamieszkałego przez księżnę Saint-Dizier.

W kwadrans po tym Floryna weszła potajemnie do pokoju pani Grivois, pierwszej pokojówki księżny Saint-Dizier.

– No i co? – spytała pani Grivois.

– Oto wiadomości, jakie zebrałam dziś rano – rzekła Floryna, podając papier ochmistrzyni – szczęściem mam dobrą pamięć...

– O której godzinie wróciła dziś do domu? – zapytała żywo ochmistrzyni.

– Kto taki?

– Panna Adrianna.

– Ależ pani, ona nigdzie nie wychodziła, wprowadziłyśmy ją do kąpieli o dziewiątej godzinie.

– A wróciła przed dziewiątą, spędziwszy noc poza domem!

Floryna patrzyła na panią Grivois ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem pani...

– Jak to, czy panienka nie wróciła dziś rano o ósmej małą furtką ogrodową?... Czy śmiesz kłamać?

– Słaba byłam wczoraj i dopiero o dziewiątej zesłam, aby Żorzecie i Hebe pomóc wprowadzić panienkę do kąpieli... Nie wiem, co przedtem zaszło, przysięgam pani...

– To co innego... Dowiesz się o tym od swoich towarzyszek, one ci ufają i wszystko powiedzą.

– Tak, pani, wszystko powiedzą.

– Cóż robiła od rana, odkąd ją widziałas?

– Dyktowała list Żorzecie, do pana Norval, prosiłam, żeby mnie kazała go odnieść na pocztę, abym miała sposobność wyjść i zanotować sobie, com słyszała.

– Dobrze... A list?

– Hieronim dopiero co poszedł, dałam mu go, aby zaniósł na pocztę.

– Niezręczna! – zawołała pani Grivois – nie mogłaś przynieść go tu?

– Ale, ponieważ panienka swoim zwyczajem dyktowała go na głos, wiem, co zawierał i zapisałam wszystko.

– To nie wystarczy... Należało wstrzymać jego wysłanie... Księżna będzie się gniewała.

– Sądziłam, że zrobiłam dobrze.

– Tak, wiem, że ci nie zbywa na dobrych chęciach, już od sześciu miesięcy jesteśmy z ciebie zadowoleni... Ale tym razem popełniłaś wielką nieroztropność...

– Przebacz mi, pani... I to, co robię, z przykrością mi przychodzi.

I dziewczyna stłumiła westchnienie.

Pani Grivois patrzyła na nią, nie spuszczać z oka i rzekła tonem pogroźki:

– Moja droga, jeśli masz skrupuły, to przestań... Uwalniamy cię... Idź sobie.

– Wiesz pani, że nie jestem wolna – rzekła zarumieniona Floryna, a łzy stanęły jej w oczach i dodała: – Zależę od pana Rodina, który mnie tu umieścił...

– Czegóż więc wzdychasz?

– Tak, niechący, mam wyrzuty... Panienka jest tak dobra... Tak ufna...

– Pewnie, że ona jest doskonała, ale ty nie po to tu jesteś, abyś mi prawiała o jej dobroci... Co było dalej?

- Robotnik, który wczoraj odniósł Lutyń, przyszedł niedawno i prosił o rozmowę z panią.
- I ten mężczyzna... Jest jeszcze u niej?
- Nie wiem... Wchodził, kiedy ja wychodziłam z listem...
- Dowiesz się, po co przychodził i upatrzysz sposobność, abyś dziś jeszcze mogła donieść mi o tym.
- Dobrze, proszę pani...
- Czy panienka była przejęta, niespokojna i przestraszona tym, że ma się dziś widzieć z księżną?... Ona się wcale nie kryje z tym, co myśli, przeto można wiedzieć o wszystkim.
- Przeciwnie, panienka była wesoła jak zwykle, nawet żartowała z tego.
- A! Żartowała... – powtórzyła ochmistrzyni i mruzczała coś pod nosem, tak iż Floryna nie mogła dosłyszeć: – Będzie się ona śmiała! Pomimo jej śmiałości i diabelskiego charakteru... Błagałaby o przebaczenie... Gdyby wiedziała, co ją dziś czeka.
- Potem odezwała się do Floryny:
- Wracaj do pawilonu i odrzuć, radzę ci, te niedorzeczne skrupuły, które ci mogą bardzo zaszkodzić, pamiętaj o tym!
- Nie mogę, pani, zapomnieć o tym, że sama od siebie nie zależę...
- Bardzo dobrze, przyjdź więc znowu.
- Floryna wróciła do pawilonu, zaś pani Grivois pobiegła natychmiast do księżny Saint-Dizier.

## ROZDZIAŁ IV

### JEZUITKA

Kiedy opisane sceny działy się w pawilonie zajmowanym przez pannę Cardoville, inne wypadki zaszły w wielkim pałacu, gdzie mieszkała księżna Saint-Dizier.

Wytworność i bogactwo pawilonu dziwnie odbijało od ponurego wnętrza pałacu, którego pierwsze piętro zajmowała księżna, parter ze względu na rozkład przydatny mógł być tylko do wydawania w nim wielkich balów, lecz księżna Saint-Dizier zrzekła się od dawna światowych zabaw. Czarny ubiór służących, już niemłodych, głęboka, prawie klasztorna cisza panująca w mieszkaniu, gdzie rozmawiano tylko półgłosem, regularny tryb życia w całym domu, nadawały wszystkiemu, co otaczało księżnę, piętno ponurego smutku.

Pewien światowy człowiek, co z wielkim męstwem łączył w sobie rzadką niezależność charakteru, mówiąc o księżnie Saint-Dizier, tak się wyraził:

„Aby nie mieć w księżnie Saint-Dizier nieprzyjaciółki, ja, co nie lubię ani poniżać się, ani tchórzyć, pierwszy raz w życiu dopuściłem się podłości”.

I mówiąc to nie żartował.

Lecz pani Saint-Dizier nie od razu nabyła takiego usposobienia.

Wypada nam tu przebiec różne zmiany w życiu tej kobiety, niebezpiecznej i nieubłaganej.

Pani Saint-Dizier, osoba niegdyś bardzo piękna, podczas ostatnich lat cesarstwa i pierwszych restauracji była jedną z najmodniejszych dam w Paryżu, umysł jej był niespokojny, awanturniczy, lubiący przewodzić, miała zimne serce i żywą wyobraźnię, odznaczała się nadzwyczajną zalotnością i zamiłowaniem do intryg, które tak lubiła jak mężczyźni karty... Dlatego, że dostarczają silnych wrażeń.

Na nieszczęście mąż jej, książę Saint-Dizier (starszy brat hrabiego Rennepont, księcia Cardoville, ojca Adrianny) tak był zaślepiony lub niedbały, iż przez całe życie nie rzekł ani słowa, z którego można by sądzić, że widział lub domyślał się awanturnictwa swej małżonki.



Nie doświadczając więc przeszkód w stosunkach, zresztą tak łatwych za cesarstwa, księżna nie tylko nie porzuciła zalotności, ale – owszem – sądziła, że osoba jej stanie się jeszcze bardziej interesującą, gdy przedsięwzięcie jakąś intrygę polityczną.

Marzyła, że uda jej się wskrzesić Fronde i wdała się w tajną korespondencję z mającymi wpływ zagranicznymi osobami, znanymi z nienawiści do Napoleona i Francji; od tego czasu zaczynają się jej listowne kontakty z margrabią d'Aigrigny, podówczas pułkownikiem w cudzoziemskim wojsku.

Jednak pewnego dnia wykryto wszystkie te intrygi, wielu przyjaciół pani Saint-Dizier zostało zesłanych do Vincennes, a jej, ku powszechnemu zdziwieniu, kazano tylko nie oddalać się z własnych dóbr pod Dunkierką.

Po powrocie Burbonów „prześladowania”, które pani Saint-Dizier wycierpiała za „dobrą sprawę”, zostały jej policzone jako zasługa i nawet zdobyła wtedy znaczny wpływ, mimo lekkości swoich obyczajów.

Margrabia d'Aigrigny, przyjąwszy służbę we Francji osiadł w niej na stałe, umiał być miły, towarzyski i rychło stał się bardzo modny, korespondował z księżną, gdy jej nie znał; nic dziwnego więc, że teraz stosunki ich stały się jeszcze bliższe.

Niezmierna miłość własna, duma, skłonność do nienawiści i żądza panowania, wzajemna sympatia dusz występnych, uczyniły z księżny i margrabiego raczej dwoje współników aniżeli kochanków.

Ten związek, oparty na samolubnych, złych popędach, na strasznej współpracy, jaką dwa tak niebezpieczne charaktery mogły podjąć wspólnie przeciw światu, w którym ich intryganctwo i złośliwości wytworzyły im wielu nieprzyjaciół, związek ten trwał aż do chwili, kiedy po pojedynku z generałem Simonem margrabia wstąpił do nowicjatu, tak iż nikt nie mógł domyśleć się przyczyny tej dziwnej decyzji.

Księżna zaś, przekonana, że dla niej jeszcze nie wybiła godzina pokuty, nie przestawała uganiać się za urokami świata, z całym zapałem gorączkowej zawiści, przewidując już zbliżające się ostatnie dni swej młodości.

Z tego, co następuje, czytelnik osądzi charakter tej kobiety:

Będąc jeszcze ładną, chciała zakończyć swoje światowe życie świetnym, ostatnim triumfem, tak jak aktorka, która w całym blasku piękności i talentu opuszcza teatr. Chcąc zadośćuczynić swej próżności, księżna zręcznie wybierała ofiary; sprytem, haniebnymi intrygami sprzątnęła kochanka zachwycającej osiemnastoletniej pannie. Popisawszy się przed wszystkimi świetnym triumfem, księżna Saint-Dizier opuściła świat. Po wielu długich rozmowach z księdzem margrabią d'Aigrigny, podówczas sławnym kaznodzieją, nagle wyjechała z Paryża i przepędziła dwa lata w swych dobrach pod Dunkierką, dokąd zabrała z sobą tylko panią Grivois.

Gdy wróciła, nie można było poznać tej kobiety, niegdyś płochej, zalotnej, uganiającej się za światowymi uciechami. Zaszła w niej całkowita, niemal przerażająca zmiana. Pałac Saint-Dizier, dawniej otwarty dla zabaw, balów, uciech, stał się cichy, ponury, zamiast gości, nazywanych eleganckim światem, księżna przyjmowała tylko kobiety głośne z pobożności, mężczyźni znanych z surowości zasad religijnych i monarchicznych, otaczała się przedstawicielami wyższego duchowieństwa, wzięła pod swą opiekę zakład naukowy, utrzymywany przez zakonnice, urządziła u siebie kaplicę i osadziła przy niej kapelana, przyjęła spowiednika, ale ten nie miał na nią wielkiego wpływu; sumieniem jej kierował po dawnemu margrabia d'Aigrigny, ma się rozumieć, że dawno już ustały ich miłosne stosunki.

To nagłe, zupełne, a nade wszystko głośne nawrócenie zdziwiło wielu i wzbudziło głębokie uszanowanie dla księżny, choć niektórzy, przenikliwi uśmiechali się.

Jedno pomiędzy tysiąca zdarzeń pozwoli poznać, jak strasznej władzy nabyła księżna od czasu przyłączenia się do jezuitów. Zdarzenie to wykaże także skryty, mściwy charakter tej kobiety, której niechęć szczególnie zwracała się ku Adriannie Cardoville.

Pomiędzy osobami, które uśmiechały się, kiedy mówiono o nagłym nawróceniu pani Saint-Dizier, znajdowali się młodzi kochankowie, których niegdyś rozłączyła przed opuszczeniem na zawsze widowni świata; po przemijającej, chwilowej burzy połączyli się znowu w miłości, kochając się jeszcze bardziej i ograniczając swoją zemstę na dowcipnych żartach z nawrócenia kobiety, która im wyrządziła tyle złego...

Po jakimś czasie straszna burza zebrała się nad dwojgiem kochanków. Mąż, ślepy do tego czasu... Nagle oświecony bezimiennymi doniesieniami, wybuchł strasznym gniewem, młoda a nieszczęśliwa żona postradała dobre imię, wkrótce też zmarła.

Co do kochanka, zjawily się z różnych stron wieści, wieści niedokładne, złośliwe, wysrane z nieprzychylnego źródła, lecz zręcznie rozszerzane; dało to taki skutek, iż najlepsi przyjaciele powoli zaczęli odsuwać się od niego, nie wiedząc, że ulegają powolnemu, ale ustawicznemu wpływowi złośliwych plotek.

Jego znajomi szeptali:

- Wiadomo ci pewno, że...
- Nie...
- Bardzo brzydko o nim mówią!
- Czyżby? A co się stało?
- Nie wiem, mówią rozmaicie... rzeczy nie bardzo pochlebne dla jego reputacji.
- Ha!... Żle... Ja też zauważyłem, że był tak oziębłe przyjęty.
- Będę go odtąd unikał.
- I ja tak samo.

Taki jest świat, że nie trzeba wiele dla znieawidzenia człowieka, któremu już samo powodzenie dosyć narobiło zazdrosnych nieprzyjaciół. Taki właśnie los przypadł i temu, o którym mówimy. Nieszczęśliwy, widząc, że go wszyscy opuszczają i czując, że mu się ziemia spod nóg usuwa, nie wiedział, gdzie ma szukać owego niewidzialnego nieprzyjaciela, którego ciosów bezustannie doświadczał, nigdy bowiem nie podejrzewał o to księżny. Chcąc jednak koniecznie poznać przyczynę okazywanej mu wzgardy, udał się do jednego z dawnych przyjaciół, ten odpowiedział mu również z pogardą; wtedy, urażony do żywego, zażądał zadośćuczynienia... Na co przeciwnik odparł:

- Postaraj się o dwóch sekundantów, a stanę do pojedynku.

Nieszczęśliwy nie mógł znaleźć ani jednego... W końcu przez wszystkich opuszczony, nie mogąc pojąć przyczyny, ubolewając nad losem tej, która z jego winy zginęła, wpadł w rozpacz, dostał pomieszania zmysłów... I odebrał sobie życie...

W dniu jego śmierci pani Saint-Dizier powiedziała, że po haniebnym życiu spodziewać się było można takiego końca, że ten, co tak długo czynił sobie igraszkę z praw boskich i ludzkich, musiał zakończyć życie ostatnią zbrodnią... Samobójstwem!... Przyjaciele zaś pani Saint-Dizier powtarzali te straszne słowa z miną skruchy, pokory i przekonania o ich słuszności.

Księżna umiała jednak nie tylko karać, ale i nagradzać.

Zauważono wkrótce, że wszyscy, należący do towarzystwa pani Saint-Dizier, nadzwyczaj szybko dochodzili do znaczenia. Młodzieńcy cnotliwi dostawali za żony bogate panny z instytutu Sacre Coeur, który właśnie otwarto.

Biedne dziewczęta za późno poznawały, jakimi ich obdarzono mężami, gorzkimi łzami przypłacały często zwodniczą łaskę przypuszczenia ich do towarzystwa owych obłudnych, fałszywych ludzi, między którymi czuły się obce, bez opieki.

W salonach pani Saint-Dizier rozdawano rangi, stamtąd wychodzili prefekci, dowódcy pułków, poborcy generalni, deputowani, akademicy, biskupi, parowie, od których wymagano przede wszystkim, aby poufnie porozumiewali się z księdzem d'Aigrigny co do różnych przedmiotów, podług jego wyboru, co dla nich zresztą było przyjemną rozrywką, gdyż książdz margrabia był człowiekiem najuprzejmniejszym, najdowcipniejszym i najwyrozumialszym.

Lecz biada tym, których zasady lub interes przeciwne były interesom pani Saint-Dizier lub jej przyjaciół. Prędzej czy później, pośrednio lub bezpośrednio spotykało ich nieszczęście, prawie zawsze niepowetowane, jedni odbierali srogi cios w serce, inni tracili kredyt, sławę lub posadę; wszyscy ulegali działaniu trucizny gwałtownej, tajemniczej, która niszczyła reputację, majątki, znaczenie, aż do chwili, kiedy z powszechną zgrozą i zadziwieniem, wszystko runęło.

Za panowania Ludwika XVIII i Karola X księżna posiadała straszny, ogromny wpływ. Po rewolucji lipcowej zbliżyła się ku nowemu rządowi, chociaż pokrewieństwem należała do towarzystwa legitymistów i zostawała z nimi w bliskich stosunkach, wszelako i tutaj nie postradała swojej potęgi.

Ponieważ księżę Saint-Dizier umarł już kilka lat temu bezdzietnie, jego osobisty majątek, bardzo wielki, spadł na jego młodszego brata, ojca Adrianny Cardoville. Kiedy ten przed półtora roku zmarł, Adrianna pozostała jedyną reprezentantką tej gałęzi rodziny Rennepont.

Księżna Saint-Dizier oczekiwała siostrzenicy w obszernym salonie, wybitym ciemnozielonym adamaszkiem. Kilka świętych obrazów, wielki ze słoniowej kości krucyfiks na czarnym aksamicie nadawały temu salonowi wygląd ponury i surowy.

Pani Saint-Dizier, siedząc przy wielkim biurku, kończyła pieczętowanie kilku listów, gdyż prowadziła bardzo rozległą korespondencję. Mając lat około czterdziestu pięciu, była jeszcze piękna, z latami kibić jej nabrała tuszy, ale to nie szpeciło jej bynajmniej.

Na pierwszy rzut oka każdego uderzało jej ułożenie znamionujące zarazem godność i prostotę, na próżno szukałbyś w tej fizjonomii, pełnej skruchy, śladów minionego życia; widząc ją tak poważną, skromną, nikt by nie uwierzył, że była to bohaterka tylu intryg, tylu awantur miłosnych. Przy każdym nieco za lekkim słówku na jej twarzy malowało się natychmiast bolesne, niewinne zdziwienie, potem obrażona wstydlivość i wzgardliwe politowanie.

Zresztą w razie potrzeby uśmiech księżny bywał jeszcze pełen wdzięku, a nawet zwodniczej szczerości, jej wielkie błękitne oko umiało jeszcze być czule i pieściotliwe, lecz niechby ktoś się poważył podrażnić jej dumę, sprzeciwić się jej woli lub szkodzić jej interesom, i byle tylko mogła bez skompromitowania wybuchnąć gniewem, wtedy twarz jej, zwykle pogodna i stateczna, ujawniała zimną, nieprzeblaganą mściwość.

W takiej chwili pani Grivois weszła do gabinetu księżny, trzymając w ręku raport, który jej doręczyła Floryna, raport o poranku Adrianny Cardoville.

Pani Grivois od dwudziestu lat była w służbie u księżny Saint-Dizier, wiedziała wszystko, co zaufana pokojowa może i powinna wiedzieć o swej pani, gdy ta była jeszcze młoda i zalotna. Czy księżna z dobrej woli zachowała przy sobie tego świadka wszystkich błędów swej młodości? O tym nie wiadano. To pewne, że pani Grivois miała u księżny Saint-Dizier wielkie przywileje i że raczej była uważana za jej towarzyszkę niż .pokojówkę.

– Oto notatki Floryny, proszę pani – rzekła, oddając księżnej papier.

– Przejrzę je – odpowiedziała księżna – lecz moja siostrzenica ma tu przyjść. Podczas konferencji, na której ma być obecna, zaprowadzisz do jej pawilonu osobę, która niebawem tu przyjdzie i która zapyta o ciebie.

– Dobrze, proszę pani.

– Ten jegomość spisze dokładny inwentarz wszystkiego, co się znajduje w pawilonie. Dopilnujesz, aby nic nie opuszczono, to rzecz bardzo ważna.

– Tak, pani... lecz jeśli Żorżetta lub Hebe zechcą opierać się?

– Bądź spokojna, mężczyzna, który ma spisać inwentarz, ma taką powagę, iż dziewczęta nie ośmielą się sprzeciwić. Staraj się zwracać jego uwagę na wszystko, co może potwierdzić pogłoski, które ostatnio rozpuściłaś...

– Niech księżna pani będzie spokojna, te pogłoski mają teraz moc prawdy...

– Wkrótce ta Adrianna, tak zuchwała i dumna, będzie zmuszona prosić o przebaczenie...

Stary lokaj otworzył podwoje i oznajmił:

- Książd d’Aigrigny!
- Jeżeli przyjdzie panna Cardoville – rzekła księżna do pani Grivois – poproś, aby chwilę zaczekała.
- Dobrze, pani – odpowiedziała ochmistrzyni, wychodząc z lokajem.
- Księżna Saint-Dizier i książd d’Aigrigny zostali sami.

## ROZDZIAŁ V

### SPISEK

Łatwo odgadnąć, że książd margrabia d’Aigrigny był tą osobą, którą już widzieliśmy przy ulicy Ursynów, był to ów przystojny mężczyzna, który przed trzema miesiącami odjechał do Rzymu.

Margrabia, w grubej żałobie, ubrany był ze zwykłą sobie starannością. Nie nosił sutanny, czarny, dość obcisły surdut i zesnurowana w pasie kamizelka dodawały proporcjonalności jego figurze, czarne kaszmirowe spodnie spadały na lakierowane buty. W jego ubraniu nie widać było nic takiego, po czym można było poznać księdza, wyjąwszy chyba tylko brak wąsów i faworytów, co wydawało się dość osobliwe przy tak okazałej, męskiej twarzy. Broda, świeżo ogolona, wspierała się na szerokiej czarnej chustce, modnie zawiązanej, co razem przypominało, że ten sławny kaznodzieja, najczynniejszy wtedy i najwięcej w zgromadzeniu mający do powiedzenia, będąc dawniej w wojskach cudzoziemskich, odbył kampanię przeciwko Francji, a potem, za Burbonów, dowodził francuskim pułkiem huzarów.

Margrabia, wróciwszy dopiero rano, nie widział księżny od czasu śmierci swej matki, margrabiny d’Aigrigny, zmarłej pod Dunkierką w dobrach księżny. Na próżno na śmiertelnym łożu wzywała syna; wobec rozkazu przysłanego z Rzymu, margrabia d’Aigrigny musiał poświęcić synowską miłość dla powinności, nie bez pewnego wprowadzie wahania, które spostrzegł i zaraz o nim doniósł Rodin.

Po odejściu pani Grivois i lokaja margrabia zbliżył się do księżny, podał jej rękę i rzekł wzruszony:

– Herminio... nie zataiłaś czegoś przede mną w swych listach? W ostatnich chwilach swego życia, przed skonaniem, moja matka nie przeklinała?...

– Nie, nie, Fryderyku, bądź spokojny... Pragnęła widzieć cię... Lecz wkrótce straciła przytomność... I w obłędzie... Jeszcze ciebie... Wzywała.

– Tak – odrzekł pan d’Aigrigny ze smutkiem – łudziła się może, że moja obecność mogłaby przywrócić jej życie...

– Proszę cię... Zapomnij o tym, porzuć te przykre myśli... Co się stało, nie odstanie, zapomnij...

– Ostatni raz jeszcze powtórz mi... Czy doprawdy matka nie dręczyła się bardzo moją nieobecnością?... Czy nie domyślała się, że ważniejsze obowiązki wzywają mnie gdzie indziej?

– Nie, nie, zapewniam cię... Zanim straciła przytomność, wiedziała, że nie miała czasu, aby przybyć do niej... Wszystkie smutne szczegóły, dotyczące tego zdarzenia, opisałam ci z największą dokładnością i zgodnie z prawdą. Wierz mi i nie dręcz się na próżno...

– Tak, tak... Moje sumienie powinno być spokojne... Byłem posłuszny obowiązkowi, poświęcając dlań matkę, a jednak, mimo woli, nigdy nie mogłem oderwać się zupełnie od rzeczy światowych, wbrew zasadom zakonu.

– Bez wątpienia, Fryderyku, trudno wyrzec się ich tak zupełnie, ale za to ile wpływu... Ile władzy!...

– Prawda – odparł margrabia po chwili milczenia – czegoż to się nie poświęciło, byle panować w ukryciu nad mocarzami, którzy panują jawnie? Ta podróż, którą odbyłem do Rzymu... Dała mi nowe wyobrażenie o naszej potężnej władzy.

– Och! Tak, to wielka władza, bardzo wielka – rzekła księżna – i tym straszniejsza i pewniejsza, że ją wykonujemy po cichu nad umysłami i nad sumieniami.

– Posłuchaj, Herminio – rzekł margrabia – miałem pod swymi rozkazami wyborny pułk i często doznawałem głębokiej, męskiej rozkoszy, że nim dowodzę... Na mój głos jeźdźcy ruszali, brzmiały trąby; oficerowie, lśniący złotymi haftami, biegli galopem, aby powtórzyć moje rozkazy, wszyscy ci waleczni, ogniści, bliznami bitew okryci żołnierze, słuchali mego skinienia; czułem dumę i siłę, trzymając, że tak powiem, w swym ręku wszystkie te męstwa, którymi kierowałem. A przecież dziś czuję, że jestem tysiąc razy ważniejszy, mam więcej mocy na czele tych niemych huców, co to myślą, chcą, idą machinalnie i posłuszne mej woli!

– Tak, dobrze mówisz, Fryderyku! – odpowiedziała księżna – kiedy się o tym pomyśli, z jaką pogardą spogląda się na przeszłość! Ja podobnie jak ty, często porównuję ją z terażniejszością i jakże cieszę się wtedy, że usłuchałam twoich rad. Bo w rzeczy samej, bez ciebie jak biedną i śmieszłą grałabym rolę... Rolę, jaką gra zawsze kobieta będąca u schyłku życia, która kiedyś była piękna i uwielbiana... Cóż bym teraz robiła? Na próżno usiłowałabym zatrzymać koło siebie tych samolubnych, niewdzięcznych ludzi, tych grubiańskich mężczyzn, którzy dopóty tylko zajmują się kobietami, dopóki mogą służyć ich namiętnościom lub pochlebiać ich próżności, albo też pozostałoby mi jedynie... Dla innych... Wydawać bale, przyjmować obojętne tłumy i nastęrczać sposobności spotykania się młodym, zakochanym parom, które co wieczór ścigają się z salonu do salonu, po to tylko przebywają u ciebie, aby się widzieć, aby być razem, prawdziwie głupia to uciecha przyjmować tę dopiero co rozwijającą się młodzież, która otaczający ją zbytek i blask uważa za należne ramki dla jej uciech i bezwstydných miłości.

W słowach księżny tyle było cierpkości, a jej fizjonomia wyrażała tak nienawistną zadróż, iż mimo woli wyraźnie przebijał żal w tych uwagach.

– Nie, nie – mówiła dalej – tobie winnam, Fryderyku, że po ostatnim świetnym triumfie uczyniłam na zawsze rozbrat z tym światem, który wkrótce byłby mnie opuścił, mnie, co tak długo byłam jego bożyszczem i królową, zmieniałam królestwo; zamiast ludzi płochych, nad którymi panowałam, ujrzałam się otoczona przez ludzi znakomitych, poważnych, potężnych, pomiędzy którymi było wielu takich, co rządili państwem, tyle dla nich się poświęcałam, ile oni poświęcali się dla mnie. Wtedy dopiero doznałam takiego szczęścia, o jakim przedtem ledwie mi się marzyło... Miałam wielki wpływ na najwyższe w świecie sprawy, zostałam dopuszczona do największych tajemnic, mogłam śmiało rzucać gromy na każdego, co by ze mnie szydził lub nienawidził mnie, mogłam wynosić tych, co mi służyli, szanowali i słuchali.

– A przecież są głupcy, którzy sądzą, że nas już nie ma, dlatego że walczyć teraz musimy przeciwko przemijającym złym chwilom – rzekł z pogardą margrabia – jak gdybyśmy nie byli przygotowani do walki... Jak gdyby walka nie dodawała nam nowych sił... Bez wątpienia, czasy są złe... Ale nastaną lepsze... I wiesz, że prawie niezawodnie, za kilka dni, 13 lutego, będziemy mieli do naszego rozporządzenia na chwilę zachwiany wpływ...

– O! Bez wątpienia! Sprawa medalionów jest bardzo ważna!

– Dlatego tak się śpieszyłem z powrotem, abym mógł być świadkiem wydarzenia, które jest dla nas tak niezmiernie ważne.

– Dowiedziałeś się... O zdarzeniu, które raz jeszcze o mało co nie obaliło tyłu i tak pracowicie ułożonych planów?

– Tak, zaraz po moim powrocie widziałem się z Rodinem...

– Powiedział ci...

– O niepojętym przybyciu Hindusa i córek generała Simona do zamku Cardoville po dwukrotnym rozbiciu przez burzę, która wyrzuciła ich na brzegi... Pikardii. A sądzono, że dziew-

częta są w Lipsku... Hindus na Jawie... Środki ostrożności były tak dobrze przewidziane... Prawdziwie – dodał ze złością margrabia – powiedziałyby kto, że jakaś niewidzialna moc opiekuje się tą rodziną!

– Szczęściem Rodin jest człowiekiem obrotnym i przedsiębiorczym – rzekła księżna – przybył do mnie wczoraj wieczorem... Długo rozmawialiśmy.

– I wyborny jest skutek tej rozmowy. Żołnierz będzie oddalony na dwa dni... Spowiednik jego żony został uprzedzony, reszta pójdzie sama przez się... Jutro nie będziemy już mieli potrzeby obawiać się dziewcząt... Pozostaje Hindus... Przebywa w Cardoville, dość ciężko ranny: będziemy więc mieli jeszcze czas do działania...

– Ale to jeszcze nie wszystko – rzekła księżna – pozostają jeszcze, nie licząc mej siostrzenicy, dwie osoby, które dla dobra naszej sprawy nie powinny znajdować się w Paryżu 13 lutego...

– Tak, Hardy... Ale jego najlepszy, najwierniejszy przyjaciel zdradza go i za jego sprawą wyciągnięto pana Hardy do południowych departamentów, skąd niepodobna mu będzie wrócić przed upływem miesiąca. Co zaś do tego nędznego włóczędzy-rzemieślnika, nazwanego Leżynago...

– A! – zawołała księżna, udając obrażoną skromność.

– Tego człowieka nie ma potrzeby bać się... A po nich wszystkich Gabriel, nasza największa i pewna nadzieja, pozostanie pod bacznym okiem, aż do wielkiego dnia... Wszystko więc zdaje się obiecywać nam pewny sukces... I bardziej niż kiedykolwiek... Trzeba starać się, aby go osiągnąć wszelkimi środkami. Idzie tu nam o życie lub śmierć... Wracając z podróży zatrzymałem się w Torly... I widziałem z księciem Orbano, jego wpływ na umysł jego pana jest wszechwładny... Nieograniczony... Pertraktować więc można tylko z samym księciem...

– Czy rzeczywiście?

– Orbano wyrobił sobie wpływ prawie nieograniczony i wiem, że może nam zapewnić pobyt prawny pod wysoką opieką w krajach swego władcy, z wyłącznym przywilejem wychowywania młodzieży... Przy takich dobrodziejstwach w tym kraju, wystarczy dwóch, trzech lat, aby się tam tak zakorzenił, iż księżę Orbano musiałby z kolei prosić nas o protekcję, dziś jednak może uczynić wszystko, ale stawia nieodzowny warunek za swe usługi.

– Jakież to warunek?

– Aby mu wyliczyć pięć milionów i zapewnić sto tysięcy franków rocznej pensji.

– To za wiele!

– To za mało, gdy się zważy, że skoro tylko staniemy w tym kraju, prędko odzyskamy tę sumę, która zresztą wynosi ledwie ósmą część tego, co może nam przynieść pomyślnie zakończona sprawa medalionów.

– Tak... Blisko czterdzieści milionów... Zauważyła księżna zamyślona.

– A przy tym, żądane przez Orbano pięć milionów będzie... Tylko zaliczką... Która wróci do nas w dobrowolnych ofiarach, wskutek wpływu, jaki da nam wychowanie dzieci, przez nie bowiem pozyskamy sobie rodziców.

– Mniejsza o to, Fryderyku – rzekła księżna – zbliża się, jak mówisz, błogi dzień 13 lutego... Przy pomocy blisko czterdziestu milionów, które możemy posiadać, można będzie z pewnością przedsięwziąć wielkie dzieła... W czasach, kiedy się wszystko sprzedaje i kupuje.

– A potem – mówił zamyślony d'Aigrigny – prześladowanie nas we Francji ma nadzwyczaj szkodliwy wpływ i na inne państwa... W Austrii i w Holandii ledwie się trzymamy... Pomoc i środki zakonu coraz bardziej zmniejszają się. Jest to chwila przesilenia, ale może się przedłużyć. Dlatego... Za sprawą medalionów będziemy nie tylko mogli stawić czoło wszelkim przeciwnościom, ale nadto umocnić się potężnie, a przy pomocy usług księcia Orbano z tego niezdożytego centrum szerzyć się będziemy bez końca... Ach! 13 lutego! – dodał po chwili milczenia, kiwając głową – 13 lutego może być dla naszej potęgi momentem takiego przełomu jak konsylium, które dało choremu nowe życie.

– Dlatego też nie trzeba szczędzić niczego – rzekła księżna – byle się tylko udało... Z sześciu osób, których obawiać się wypadało, już pięć nie może albo nie będzie mogło ci szkodzić... Pozostaje więc moja siostrzenica... I wiesz, że czekałam tylko na twoje przybycie, aby chwycić się ostatecznego środka... Już wydałam rozporządzenia i nawet dziś, z rana... Zaczniemy działać.

– Czy twoje podejrzenia po ostatnim liście powiększyły się jeszcze?

– Tak... Jestem pewna, że ona wie lepiej niż to okazuje i w takim razie jest dla nas bardziej niebezpieczna.

– Takie było zawsze i moje zdanie... Dlatego radziłem już przed sześcioma miesiącami, abyś użyła takich środków, jakich użyłaś, aby podsunąć jej myśl zamieszkania oddzielnie, z pełną swobodą, której skutki czynią dziś łatwym to, co inaczej byłoby niemożliwe.

– Na koniec – rzekła księżna z wyrazem szatańskiej, nienawistnej radości – złamiemy ten nieugięty charakter, pomszczę się wreszcie za tyle zuchwałych docinków, które musiałam strawić, byle nie obudzić jej podejrzliwości, ja... Ja, com przez nią tyle wycierpiała... Bo Adrianna jakby uwzięła się, niebaczną, by ściągać na siebie mój gniew.

– Kto ciebie obraża... Mnie obraża... Wiesz o tym, moja nienawiść jest twoją nienawiścią...

– I nawet ty... Ileż to razy byłeś celem jej dotkliwej ironii!...

– Moje domysły rzadko mnie myliły... Jestem pewien, że ta dziewczyna może być dla nas niebezpieczna... Bardzo niebezpieczna – rzekł margrabia z naciskiem.

– Dlatego trzeba tak z nią postąpić, abyśmy już nie musieli się jej obawiać – odpowiedziała pani Saint-Dizier.

– Czy widziałaś się z doktorem Baleinier i panem Trippeaud? – zapytał margrabia.

– Będą tu wkrótce... Uprzedziłam ich o wszystkim.

– Jak są do niej usposobieni?

– Doskonale... Adrianna bynajmniej nie wystrzega się doktora, który umiał zapewnić sobie jej zaufanie... Zresztą okoliczność, której wytłumaczyć nie potrafię, przybywa nam z pomocą.

– O czym mówisz?

– Dziś rano Grivois, zgodnie z moim poleceniem, poszła przypomnieć Adriannie, że czekam na nią w południe. Zbliżając się do pawilonu, spostrzegła czy też zdawało jej się, że widziała Adriannę, wracającą małą furtką ogrodową.

– Co mówisz?... Czy jest na to pewny dowód? – zawołał margrabia.

– Dotąd nie ma innego dowodu, tylko dobrowolne zeznanie Grivois, ale ja o tym myślę – rzekła księżna, biorąc papier, leżący obok niej – oto raport, który mi składa co dzień jedna z pokojówek Adrianny.

– Czy ta, którą Rodin umieścił przy twojej siostrzenicy?

– Ta sama, a ponieważ dziewczyna jest zupełnie zależna od Rodina, służy nam dotąd doskonale. Może w tym raporcie znajdziemy potwierdzenie tego, co Grivois, jak utrzymuje, widziała.

Ledwie księżna rzuciła okiem na pismo, gdy naraz, niemal z przestraszeniem zawołała:

– Co ja widzę?... A to szatan z tej Adrianny!

– Co się stało?

– Rządca zamku Cardoville, pisząc do niej i prosząc o protekcję, doniósł o pobycie młodego księcia indyjskiego w zamku. Ona wie, że to jej krewny... Napisała więc do swego dawnego nauczyciela, malarza, profesora Norvala, aby udał się powozem i sprowadził Dżalmę... Tego... Którego właśnie wszelkimi sposobami należy trzymać z dala od Paryża.

Margrabia zbladł i rzekł:

– Jeżeli nie zachodzi tu jakieś nowe dziwactwo twej siostrzenicy... Chęć sprowadzenia tu księcia, krewnego... Dowodzi, że wie o nim coś więcej aniżeli mogłaś się domyśleć... Nie ma wątpliwości, ona wie już o sprawie medalionów. Trzeba się mieć na baczności, bo może zniweczyć wszystko.

– A więc – rzekła stanowczym głosem księżna – nie można już się wahać... Trzeba posu-  
nąć rzeczy dalej aniżeli sądzimy... I niech się wszystko dzisiaj skończy...

– To prawie niemożliwe.

– Wszystko jest możliwe, doktor i pan Trippeaud są nam przychylni – rzekła księżna z  
ożywieniem.

– Chociaż tak jak ty jestem pewny doktora i pana Trippeaud – rzekł margrabia, zastana-  
wiając się – ale mogą się przestraszyć... Gdy im się powie, aby natychmiast przystąpili do  
działania, więc wypada się wstrzymać aż do rozmowy, jaką przeprowadzimy z twoją sio-  
strzenicą... Mimo jej przezorności, łatwo będzie wybrać sposób, jak mamy dalej postąpić... A  
jeżeli nasze domysły sprawdzą się... Jeżeli ona wie o wszystkim, wtedy żadnego względu, a  
nade wszystko najmniejszego opóźnienia... Nie trzeba się ociągać.

– Czy miałeś sposobność uprzedzić osobę, o którą chodzi? – spytała księżna po krótkim  
milczeniu.

– Ma tu przybyć... Koło południa... Niezawodnie...

– Zdaje mi się, że miejsce to byłoby dogodnie do celu, jaki zamierzamy... Ten pokój tylko  
firanki przedzielają od małego salonu, tam będzie dla niego dogodnie miejsce.

– Wybornie.

– To człowiek pewny?

– Bardzo pewny... Przecież już wiele razy używaliśmy go w podobnych okolicznościach,  
jest dobry do tajemnicy.

W tej chwili zapukano do drzwi.

– Proszę – rzekła księżna.

– Pan doktor Baleinier kazał się zapytać, czy księżna pani może go przyjąć – rzekł lokaj.

– Proś.

– Jest także jakiś pan, któremu ksiądz jegomość naznaczył tu spotkanie koło południa.

– To ten, o którym mówiliśmy – rzekł margrabia – wypadałoby wprowadzić go pierwsze-  
go.

– Każ wejść najpierw temu panu – rzekła księżna – potem, kiedy zadzwonię, poprosisz  
doktora, gdyby zaś nadszedł baron Trippeaud, wprowadź go, potem wpuścisz tu tylko pannę  
Adriannę.

Lokaj odszedł.

## ROZDZIAŁ VI

### WROGOWIE ADRIANNY

Lokaj księżny wrócił z niskim człowiekiem, bladym, ubranym na czarno, w okularach; pod  
pachą trzymał długi futerał z czarnego safianu.

Księżna odezwała się do przybysza:

– Ksiądz margrabia uprzedził pana o czynności, do jakiej zostałeś wezwany?

– Tak, pani – odrzekł piskliwym głosem, nisko się kłaniając.

– Czy wygodnie będzie panu w tym pokoju? – spytała księżna, prowadząc go do pokoju  
obok gabinetu...

– Bardzo dobrze, księżno – odpowiedział przybysz, znowu nisko się kłaniając.

– Skoro tak, proszę tu poczekać, dam panu znać, kiedy będzie trzeba.

– Będę czekać na rozkazy księżny.



– A nade wszystko przypomnij pan sobie, co ci zaleciłem – dodał margrabia, odwiązując firanki, które miały go zasłonić.

– Ksiądz jegomość może być spokojny... I stanął zupełnie zakryty firanką.

Księżna zadzwoniła, po chwili drzwi się otworzyły i oznajmiono doktora Baleinier, osobę w tym opowiadaniu bardzo ważną.

Doktor Baleinier miał koło pięćdziesięciu lat; był średniego wzrostu, o twarzy pełnej i rumianej; siwe włosy, dosyć długie, rozdzielone przedziałkiem, gładko spadały na skronie. Nosił ubiór, modny w czasach jego młodości: krótkie jedwabne, czarne spodnie, może dlatego, że miał kształtne łydki, podwiązki spięte złotymi sprzączkami, buty lakierowane, miał na sobie czarną kamizelkę, czarną chustkę na szyi i tegoż koloru frak; ten poważny ubiór odznaczał się wyszukaną wytwornością.

Doktor Baleinier, człowiek światowy, lubiący rozkosze, wesoły, giętki i zręczny, umiejący się podobać, był jednym z najdawniejszych klientów tajnej kongregacji, do której należała księżna Saint-Dizier.

Dzięki jej potężnej opiece, o której nikt nie wiedział, doktor, długo nieznany, pomimo rzeczywistej wiedzy i niezaprzeczalnych zdolności, otrzymał dwie synekury doktorskie, bardzo intratne i powoli zyskał liczną klientelę. Nie upłynął rok, a za rekomendacją księżny, osoby z wyższych sfer ubiegały się o doktora Baleinier.

Staje się zrozumiałe, jak ważne było dla jezuitów mieć pomiędzy swymi zwolennikami jednego z najbardziej wziętych lekarzy w Paryżu. Lekarz, który umie pozyskać zaufanie pacjentów, dopuszczony jest do najgłębszych tajemnic rodzinnych, dla innych niedostępnych, wiele wie, zgaduje, może więc bardzo dużo.

Lekarz ciała, podobnie jak lekarz duszy, ma potężny wpływ na chorych i umierających. A kiedy obaj wspierać się będą we wspólnym interesie, korzystając ze słabości lub strachu umierającego, mogą wymóc na nim co zechcą, nie dla siebie, tego prawa zabraniają, lecz dla osób trzecich, podstawionych.

Doktor był więc jednym z najużyteczniejszych świeckich członków paryskiej kongregacji jezuitów.

Wszedłszy do salonu, pocałował rękę księżny z pewną zalotnością.

– Mój kochany Baleinier, jesteś zawsze punktualny.

– Zawsze szczęśliwy, zawsze gotów na rozkazy księżny.

Potem, zwracając się do margrabiego, którego serdecznie uściśnął, dodał:

– Przecież znowu oglądamy pana w naszym gronie... Wiedz pan, że trzy miesiące to zbyt długi czas dla jego przyjaciół...

– Czas jest równie długi dla tych, co wyjeżdżają jak i dla tych, co pozostają, kochany doktorze... Ale oto nastał dzień wielkiej wagi... Ma przybyć panna Cardoville...

– Ja nie jestem zupełnie spokojna – wtrąciła księżna – a może ona się czegoś domyśla...

– Niepodobna – rzekł doktor – jesteśmy z sobą w największej przyjaźni... Wiadomo pani, że panna Adrianna zawsze miała do mnie pełne zaufanie. Wczoraj jeszcze śmialiśmy się razem do rozpuku... A gdy, według zwyczaju, czyniłem uwagi nad jej niezwykłym sposobem życia... I nad osobliwą egzaltacją, jaką u niej czasem spostrzegalem...

– Pan Baleinier nie zaniedbuje nigdy nastawać na te, na pozór mało znaczące, okoliczności...

– A to w istocie, rzecz bardzo ważna – odrzekł d' Aigrigny.

– Panna Adrianna – mówił dalej doktor – odpowiedziała na moje uwagi, śmiejąc się ze mnie, jak tylko można najuprzejmiej, a wyznać trzeba, że obdarzona jest dowcipem i rozsądkiem niepospolitym.

– Doktorze!... Doktorze!... – zawołała księżna. – Przynajmniej nie okazuj słabości!

Zamiast odpowiedzieć, Baleinier dobył złotej tabakierki z kieszonki w kamizelce, otworzył ją i wziął trochę tabaki, którą podniósł do nosa, powoli zażył, patrząc na księżną z miną tak znaczącą, iż ją zupełnie uspokoił.

– Słabości!... Ja, pani? – rzekł wreszcie, strzepując tabakę pulchną ręką. – Czyż nie ofiarowałem się pani dobrowolnie, aby ją wybawić z kłopotu?

– I tylko ty jeden mogłeś wyświadczyć nam tę ważną przysługę – rzekł margrabia d’Aigrigny.

– Widzisz więc, pani – rzekł doktor – że nie jestem człowiekiem słabym, gdyż doskonale pojąłem zakres mego działania... Chodzi tu, jak mi mówiono, o interes tak ważny...

– W rzeczy samej, bardzo ważny – potwierdził margrabia.

– Więc nie powinienem się wahać – odrzekł Baleinier – i państwo nie macie potrzeby obawiać się!... Pozwólcie, abym jako człowiek z gustem i człowiek dobrego towarzystwa, oddał sprawiedliwość i hołd miłemu dowcipowi i rozsądkowi panny Adrianny, a kiedy przyjdzie chwila działania, zobaczycie moje czyny.

– Może... Chwila ta nadejdzie prędzej, niż myśleliśmy – wtrąciła księżna, zamieniając spojrzenie z margrabią d’Aigrigny.

– Jestem i zawsze będę gotów... – odpowiedział doktor – o ile mnie to dotyczy, to rękę. Chciałbym o wszystko być równie spokojnym.

– Czemu pańska lecznica nie jest zawsze tak modna... Jak być powinna? – zapytała księżna z uśmiechem.

– Przeciwnie... Mógłbym nawet uważać się na zbyt dużą liczbę pensjonariuszek... Nie o to idzie, lecz oczekując na pannę Adrianę, powiedzieć mogę parę słów w przedmiocie pośrednio panią dotyczącym, gdyż chodzi o osobę, która kupiła dobra Cardoville, niejaką panią Sainte-Colombe, która ofiarowała mi urząd swego lekarza domowego, co zawdzięczam zabiegom Rodina.

– Istotnie – wtrącił margrabia – Rodin pisał o tym do mnie... Nie wchodząc w szczegóły.

– Ta rzecz tak się przedstawia – mówił dalej doktor – Pani Sainte-Colombe, o której z początku mniemano, że łatwo da sobą kierować, okazała się bardzo uparta w kwestii nawrócenia... Już dwóch spowiedników ją opuściło. Rodin, zrozpaczony, wysłał do niej Filipona. Jest on zręczny, energiczny, nade wszystko cierpliwy... Właśnie takiego człowieka było trzeba. Gdy pani Sainte-Colombe została moją pacjentką, Filipon prosił mnie o pomoc, której naturalnie nie odmówiłem, umówiliśmy się, jak należy postępować. Nie powinienem dać poznać, że go znam... On miał mi donosić o zamiarach swej penitentki... Abym mógł, przy pomocy najniezwyklejszych środków, gdyż stan pacjentki nie był wcale niebezpieczny – utrzymywać ją, według jej przekonania, w stanie zdrowia lub choroby, stosownie do tego, o ile spowiednik byłby z niej zadowolony lub nie... Abym mógł jej powiedzieć: Powiedz, pani, czy jesteś na dobrej drodze? Łaska działa na twoje zdrowie i zaraz ci lepiej... Jeżeli, przeciwnie, wrócisz na złą drogę, zaraz ci jest gorzej, odbierasz karę.

– Bez wątpienia – rzekł pan d’Aigrigny z zimną krwią – przykro być zmuszonym do użycia takich środków, ale cóż robić? Czasem wymaga tego dobro sprawy.

– Zresztą – kontynuował doktor – księżna pani miała sposobność zauważyć w klasztorze Panny Marii, że wielu rzeczy próbowałem skutecznie, dla spokoju i zbawienia duszy niektórych swoich pacjentek i używałem tego, raz jeszcze powtarzam, zupełnie nieszkodliwego sposobu. Trochę lepiej, trochę gorzej, nic stąd złego nie może wyniknąć... A tymczasem działa to bardzo skutecznie na duszę... Tak się również okazało wobec pani Sainte-Colombe. Była na tak dobrej drodze do ukorzenia moralnego i fizycznego, iż Rodin osądził, że może zobowiązać Filipona, aby doradził swej penitencie zamieszkanie na wsi... Z obawy recydywy w Paryżu. Rada ta, połączona z żądzą grania roli damy parafialnej, przywiodła ją do kupienia dóbr Cardoville, zresztą bardzo korzystnie; ale cóż, Filipon powiedział mi wczoraj, że pani Sainte-Colombe o mało nie uległa niebezpiecznej recydywie... Ma się rozumieć moralnej, bo co do

fizycznego stanu zdrowia, jest ono tak dobre, że aż rozpacz bierze. Powodem tej recydywy miała być jej rozmowa z niejakim Jakubem Dumoulin, którego podobno pan margrabia zna, a który, nie wiadomo jakim sposobem, wcisnął się w jej łaski.

– Jakub Dumoulin – rzekł margrabia z odrazą – należy do ludzi, z których można korzystać, ale którymi niepodobna nie pogardzać. Jest to pisarz, pełen zawiści i złości, dość grubiański i uszczypliwy... Płacimy mu dosyć drogo, aby odcinał się naszym wrogom, choć przykro jest patrzeć na takiego obrońcę zasad, które my szanujemy... Nędznik ten żyje jak Cygan, nigdy nie wychodzi z szynku i prawie zawsze jest pijany... Lecz przyznać trzeba, jest rozumny i biegły w naukach, co go częstokroć czyni bardzo użytecznym.

– Otóż, choć pani Sainte-Colombe ma lat blisko sześćdziesiąt, zdaje się, że Dumoulin ma zamiar ożenić się z nią, aby posiąść jej majątek... Sądzę, że dobrze pani uczynisz, gdy przestrzęsz Rodina, aby starał się zniweczyć skryte zabiegi tego szaleńca. Racz mi wybaczyć, księżno, że się tak rozwodzę nad tą nędzotą... Ale, wracając do klasztoru Panny Marii, o którym miałem zaszczyt wspomnieć – dodał doktor – czy dawno pani tam była?

Księżna spojrzała na margrabiego bystrym okiem i odpowiedziała:

– Tak... Jakiś tydzień temu...

– Dostrzegła tam pani zapewne wiele zmian; mur, który przedzielał go od mego pensjonatu, został zburzony, bo wybuduję nowy korpus i kaplicę... Gdyż dawna była za szczupła. Zresztą winienem powiedzieć na pochwałę panny Adrianny – dodał z osobliwym uśmiechem – obiecała mi do tej kaplicy kopię obrazu Rafaela.

– Doprawdy... To bardzo miłe – rzekła księżna – ale zaraz będzie południe, a pana Trippeaud nie widać.

– Jest on opiekunem panny Cardoville i rządzi jej majątkiem jako dawny pełnomocnik interesów hrabiego – rzekł margrabia widocznie niespokojny – a jego obecność niezbędnie jest nam potrzebna, byłoby dobrze, gdyby przybył tu przed panną Adrianną.

– Szkoda, że jego portret nie może go zastąpić – rzekł doktor, uśmiechając się złośliwie i dobywając z kieszeni małą broszurkę.

– Cóż to jest, doktorze? – zapytała księżna.

– To bezimienny paszkwil, jakie od czasu do czasu wychodzą... Tytuł jego: Bicz, a portret barona Trippeaud jest tak podobny jak dwie krople wody. Ten szkic ma tytuł: Wzór ostrowidza.

„Pan baron Trippeaud: Człowiek ten nikczemnie upokarza się przed ludźmi z wyższym stanowiskiem i grubiańsko nadyma się przed tymi, którzy od niego zależą; człowiek ten jest żywym i obmierzłym wcieleniem łapigrosza, cynicznego spekulanta, bez serca, bez sumienia, który uśmierciłby własną matkę, gdyby śmierć jej miała wpływ na kurs pieniędzy.

Tacy to ludzie mają wszystkie przebrzydłe wady dorobkiewiczów, tych, których nagle podniósł ślepy los lub szczęśliwy zarzut sieci w kałuży lichwiarstwa. Tacy to ludzie, wydobywszy się z błota, pogardzają ludem, gdyż on przypomina im ich początek, którego się wstydzą; nielitościwi dla nędzy klas niższych, przypisują ją lenistwu, rozpuście, gdyż ta potwarz usprawiedliwia choć trochę ich ohydny egoizm.

A to jeszcze nie wszystko.

Z wysokości swej szkatuły i ze stanowiska swego prawa wybierania deputowanych i zostania deputowanym, baron Trippeaud, jak tylu innych podobnych, naigrawa się z tych, którzy nie posiadają tego prawa:

– Z oficera, który, wysłużywszy lat czterdzieści, żyje ze szczupłej emerytury.

– Z urzędnika sądowego, który strawił wiek na uczciwym pełnieniu swych obowiązków, a który przy schyłku życia nie ma z czego żyć.

– Z uczonego, który przyniósł krajowi zaszczyt i przyczynił się doskonałymi pracami do jego świetności lub z profesora, który zapoznał całe pokolenia ze swą wiedzą.

– Ze skromnego i cnotliwego kapłana wiejskiego, najczystszej postaci ewangelicznej pokory i miłosierdzia itd., itd.

Jakże więc baron nie miałby gardzić poczciwymi głupcami, którzy, poświęciwszy całe życie dla dobra powszechnego, nie korzystają z praw, jakich on używa, dlatego, że on zarobił milion, spekulując na papierach publicznych, co prawo surowo potępia?

Przystąpmy do biografii znakomitego pana barona: Andrzej Trippeaud, syn masztalera w oberży”...

W tej chwili otworzyły się drzwi i lokaj oznajmił:

– Pan baron Trippeaud.

Doktor Baleinier schował broszurkę do kieszeni, powitał serdecznie finansistę, a nawet powstał, aby uściskać mu rękę. Baron wszedł, witając obecnych już od samych drzwi.

– Mam zaszczyt przybyć na rozkazy i księżna pani niech raczy być pewna, że w każdym razie może liczyć na mnie...

– W rzeczy samej, liczę na pana, panie baronie, a nade wszystko w obecnej sytuacji.

– Czy zamiary księżny są zawsze jednakowe wobec panny Cardoville?...

– Zawsze i w tym celu właśnie się spotykamy.

– Księżna może być pewna mojej pomocy, jak przyrzekłem. Sądzę również, że wreszcie użyć trzeba jak największej surowości i że nawet, gdyby było trzeba...

– Takie jest właśnie nasze zdanie – pośpieszył dodać margrabia, wskazując księżnie spojrzeniem miejsce, gdzie ukryty był człowiek w okularach – wszyscy na jedno się zgadzamy, lecz wypada nam porozumieć się, tak żebyśmy nie pozostawili żadnej wątpliwości w sprawie panny Cardoville, bo jej interes jedynie mamy na celu, starajmy się wszelkimi sposobami obudzić w niej zupełną szczerłość, aby powiedziała wszystko, co myśli.

– Panna Cardoville – zaanonsował lokaj.

– Prosić – odrzekła księżna – a teraz nie ma mnie w domu dla nikogo, rozumiesz... Dla nikogo...

– Potem, podnosząc firanki, za którymi był ukryty ów człowiek, dała mu ostatni znak porozumienia.

Rzecz dziwna, przez chwilę, poprzedzającą wejście Adrianny, uczestnicy tej sceny okazali niepokój, jak gdyby bali się jej obecności.

W minutę później Adrianna Cardoville weszła do salonu swej ciotki.

## ROZDZIAŁ VII

### UTARCZKI

Wchodząc do księżny, Adrianna nie okazywała hardości, lecz swobodną naturalność.

Spostrzegła księdza d’Aigrigny, okazała zdziwienie, uprzejmym skinieniem głowy powitała doktora i przeszedłszy przed baronem Trippeaud nie patrząc na niego, przywitała księżnę ukłonem, wykwinutym i pełnym powagi. Chociaż ruchy i ułożenie panny Cardoville były doskonałe, a nade wszystko odznaczały się wdziękiem prawdziwie dziewczęcym, jednak znać w nich było coś niezależnego i wyniosłego, jej ruchy były otwarte i swobodne jak jej charakter, czuć w nich było życie i młodość.

Rzecz dziwna, pan d’Aigrigny, jakkolwiek był człowiekiem światowym, umiejącym panować nad sobą, zachować powagę i nakazać dla siebie szacunek, jednak w obecności panny Cardoville mimowolnie tracił odwagę i opanowywało go jakby jakieś odrętwienie... Zakło-

potany, nie wiedział, co ma począć wobec młodej dziewczyny, odznaczającej się zarówno śmiałością jak dowcipem i dotkliwą ironią...

Od dawna już i wbrew zwyczajowi, nie chciał próbować na Adriannie owego uroku wymowy, której zwykle zawdzięczał ten powab, jakiemu prawie nie można się było oprzeć, mówił z nią sucho, nie wykraczał poza sferę zimnej wyniosłości i surowości, która zupełnie paraliżowała jego ujmujące przymioty.

Pozostali też czuli się jakby nieco speszeni.

Pani Saint-Dizier siedziała w wielkim krześle przed kominkiem.

Margrabia d'Aigrigny stał obok niej.

Doktor Baleinier, siedząc przy biurku, zaczął przerzucać kartki z biografią barona Trippeaud.

A baron przypatrywał się z wielką uwagą biblijnemu obrazowi na ścianie.

– Wezwalaś mnie, ciotko, dla pomówienia o ważnym interesie – zagadnęła Adrianna, przerywając kłopotliwe milczenie.

– Tak, moja panno, chodzi o bardzo ważną rozmowę.

– Jestem na rozkazy ciotki...

Wszyscy usiedli wokół stołu gabinetowego.

– A w czym nasza rozmowa obchodzić ma tych panów? – zapytała panna Cardoville.

– Ci panowie to dawni przyjaciele naszego domu, obchodzi ich wszystko, co ciebie dotyczy, powinnaś słuchać ich rad i przyjąć je z uszanowaniem...

– Moja ciotko, nie wątpię o szczególnej przyjaźni tych panów dla naszego domu, lecz zanim przyjmę ich za świadków czy powierników naszej rozmowy, chciałabym wiedzieć, o czym mamy mówić...

– Niech i tak będzie – odrzekła księżna Saint-Dizier oschłym tonem – od dawna już przywykłam do kaprysów twego niesforenego umysłu, sądzę więc, że będąc śmiałą, jak sama przyznajesz, nie powinnaś się obawiać wypowiedzenia wobec tak szanownych osób tego, co powiedziałaś mi sam na sam...

– A więc mam być formalnie przesłuchana, a w jakim przedmiocie?

– Nie jest to żadne śledztwo, ale ponieważ mam prawo do czuwania nad tobą... Chcę położyć kres temu, co już zbyt długo trwa, chcę wobec przyjaciół naszego domu przedstawić ci moje stanowcze postanowienie co do twojej przyszłości... A najpierw, miałaś dotąd bardzo mylne i niepełne wyobrażenie o mojej władzy nad tobą.

– Moja ciotko, zapewniam cię, że nie miałam żadnego, ani dostatecznego, ani błędnego wyobrażenia, bo nigdy o tym nie myślałam.

– To moja wina, powinnam była, zamiast pobłażać twoim kaprysom, dać ci mocniej poznać moją władzę, lecz nadeszła chwila, w której masz się dostosować; rady i uwagi mych przyjaciół oświeciły mnie, spostrzegłam swój błąd... Twój charakter jest niepokorny, zbyt śmiały, czas, żeby się zmienił, rozumiesz mnie? I zmienić się musisz dobrowolnie lub dzięki przemocy, zapewniam cię.

Na te słowa, wymówione ostro, wobec obcych osób, Adrianna dumnie podniosła głowę, jednakże hamując się, rzekła z uśmiechem:

– Moja ciotko, mówisz, że się odmienię, nic dziwnego; mało to bywa odmian, niekiedy nadzwyczaj dziwnych...

Księżna przygryzła usta.

– Szczera odmiana w postępowaniu... Nigdy nie jest dziwna – odrzekł zimno ksiądz d'Aigrigny – przeciwnie, chwalebna i daje zbawienny przykład.

– Zbawienny? – podchwyciła Adrianna – nie zawsze... Jeżeli, na przykład, ktoś zamienia swoje wady... Na występki...

– Co chcesz przez to powiedzieć?... – zapytała księżna.

– Ja, moja ciotko, mówię o sobie, zarzucasz mi, że nie jestem uległa, zbyt śmiała... Wiem przynajmniej, czym jestem... A kto wie, czym bym się stała, gdyby mi przyszło do głowy zmienić się! Chciałabym, moja ciotko, znać powód i cel tego zebrania.

– Dowiesz się, moja panno, wytłumaczę ci jasno i krótko, poznasz plan postępowania, jakiego masz się odtąd trzymać, a gdybyś nie chciała z należnym uszanowaniem być posłuszną moim rozkazom, będę wiedziała, co mi pozostaje zrobić...

– Ależ to prawdziwe wypowiedzenie wojny, to zabawne...

– Nie chodzi tu o wypowiedzenie wojny – odparł surowo pan d’Aigrigny, urażony szyderczym tonem panny Cardioville.

– A! Mości księżę – podchwyciła Adrianna – pan byłeś niegdyś pułkownikiem, jesteś więc bardzo surowy wobec żartów... Pan, co tyle winien jesteś wojnie... Pan, co z łaski wojny dowodziłeś pułkiem francuskim, walcząc wprzód przeciw Francji... Ma się rozumieć, aby poznać słabą stronę i jej nieprzyjaciół.

Na te słowa, które przywiodły mu na myśl przykre wspomnienia, margrabia zbladł, miał już odpowiedzieć, gdy księżna zawołała:

– Zapominasz się, moja panno, takiej nieprzyzwoitości nie można znieść spokojnie.

– Tak, wyznaję mój błąd, nie powinnam była mówić, że to zabawne, to raczej ciekawe... – może nawet bardzo śmiałe, a śmiałość podoba mi się... Ponieważ jednak mam być posłuszną, pod karą – potem przerywając i zwracając się do ciotki dodała – pod jaką karą, ciociu?

– Dowiesz się...

Adrianna uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała.

Kilka chwil milczenia i kilkakrotna wymiana spojrzeń księżny z pozostałymi gośćmi wskazywały, że, po tych wstępnych utarczkach nastąpić miała poważniejsza batalia.

## ROZDZIAŁ VII

### BUNT

– Moja panno – odezwała się księżna zimnym, surowym tonem, – Pół roku temu, kiedy się kończyła żałoba po twoim ojcu, miałaś wtedy osiemnaście lat... Zażądałaś ode mnie, abym ci pozwoliła rozporządzać swym majątkiem i żebym cię usamowolniła... Byłam na tyle słaba, że na to pozwoliłam... Od tego czasu zaczęły się bezustanne, zbyt wysokie wydatki. Zamiast poprzestać na jednej lub dwóch pokojówkach, wybranych z ludu, zachciało ci się dobierać kobiety, z klasy średniej i stroić je równie dziwacznie jak kosztownie... Twoje płocze fantazje, nierozsądne dziwactwa były bez granic, bez hamulca, nawet w jednym pokoju pawilonu urządziłaś jakąś pogańską świątynię i widać tam marmurową grupę, wyobrażającą młodzieńca i dziewczę... Są to wprawdzie dzieła sztuki, ale dzieła najnieprzyzwoitsze, jak tylko wyobrazić sobie można. Przepędzałaś całe dnie, zamknięta u siebie, nie chcąc nikogo przyjąć. Chciałaś zawsze wychodzić sama, nie zdając nikomu sprawy ze swych postępów, działałaś przeciw mej woli, aby usuwać się spod mej władzy... Nieprawdaż?...

– Tak, to obraz przeszłości... Choć trochę skrzywiony – rzekła z uśmiechem Adrianna – ale poznać go można.

– A więc – wtrącił d’Aigrigny – przyznajesz pani, że wszystkie czyny, które wymieniła księżna, są prawdziwe?

– Tak, nie ma wątpliwości i zwyczajem moim jest żyć tak otwarcie, iż to pytanie jest niepotrzebne.

– A więc sprawa skończona – rzekł d’Aigrigny, zwracając się do doktora i do barona.

– Nie ulega wątpliwości, własne zeznanie ważniejsze jest nad wszelkie dowody – odparł baron stanowczym tonem.

– Ależ, moja ciotko, czy mogłabym dowiedzieć się, do czego zmierza ten długi wstęp?

– Ten długi wstęp, moja panno – rzekła księżna z powagą – posłużyć ma wyjaśnieniu przeszłości i uzasadnieniu przyszłości.

– Czy będziesz lubiła, czy będziesz szanowała moje rozkazy, o to mniejsza – ciągnęła księżna ostrym tonem – wszelako winnaś od dziś, od tej chwili, ulegać ślepo mej woli, słowem, nic nie uczynić bez mego pozwolenia, tak chcę i tak będzie...

Adrianna najpierw wlepiła oczy w ciotkę, potem zaczęła się śmiać.

Margrabia i baron z gniewem wzruszyli ramionami. Doktor wzniosł oczy w niebo i załamał ręce z politowaniem.

– Panno Cardoville, takie śmiechy nie bardzo przystoją – rzekł pan d'Aigrigny – słowa jej ciotki są poważne, nader poważne i należałoby przyjąć je inaczej.

– Przebóg, mości księżo – odrzekła Adrianna – a któż temu winien, że muszę śmiać się. Jak mam zachować zimną krew, kiedy słyszę, jak ciotka mówi o ślepym poddaniu się jej rozkazom?... Czy motyl, przywykły bujać po otwartym powietrzu... Igrać pod gołym niebem, zdolny jest żyć w jamie kreta?...

Na tę odpowiedź margrabia spojrział wymownie na innych członków owej rady rodzinnej.

– A więc, moja panno – rzekła księżna, udając, że podziela zdanie innych osób – to twoja odpowiedź?

– Ależ tak, bez wątpienia – odrzekła Adrianna, zdziwiona, że obecni udawali, jakoby nie rozumieli porównania.

– To nieszczęście, że Adrianna nie pojmuje wielkiej doniosłości tej narady – wtrąciła księżna ostrym tonem. – Może zrozumie wreszcie, gdy jej oznajmię moje rozkazy...

– Jakież to rozkazy?

– Od jutra – rzekła księżna – odprowadzisz swoje pokojówki... Opuścisz pawilon, w którym mieszkasz... Zajmiesz tu dwa pokoje, do których wchodzić będzie można tylko przez mój pokój... Nie wyjdiesz nigdzie sama, a z powodu twej rozrzutności, znowu ustanowiona będzie nad tobą opieka... Ja sama zajmę się wszelkimi twymi wydatkami, wreszcie aż do czasu dojścia do pełnoletności, nie dostaniesz do rąk żadnych pieniędzy, którymi mogłabyś rozporządzać... Taka jest moja wola...

Baron i margrabia przytaknęli słowom księżny, Adrianna przybrała ironiczną minę, jednak nie bez pewnego oburzenia.

Wstała nagle, oczy jej zabłysły, podniosła dumnie głowę i po chwili milczenia odezwała się do ciotki:

– Mówiłaś pani o przeszłości i ja też nieco o niej powiem, bo mnie do tego prowokujesz. Opuściłam twoje mieszkanie, gdyż niepodobna mi było żyć dłużej w tej obłudzie...

– Panno Adrianno – wtrącił margrabia d'Aigrigny – zastanów się, co mówisz.

– Ponieważ mi pan przerywa, powiem więc parę słów i do pana – rzekła żywo Adrianna, patrząc na margrabiego. – Jakież to widziałam przykłady u mej ciotki?

– Najlepsze, moja panno.

– Najlepsze?... Czy dlatego, że pan, połączywszy się z ciotką, nie wiem, dla jakich celów, oszukujecie swoją obłudą ludzi i chcielibyście oszukać Boga?

– Zapominasz się, moja panno – odrzekła księżna, blednąc z wściekłości.

– O! Pani... Nie zapominam, owszem, pamiętam... Jak wszyscy... Nie miałam krewnej, przy której mogłabym znaleźć przytułek... Chciałam żyć sama... Chciałam używać mych dochodów, bo lepiej, żebym ja sama ich używała, aniżeli pan Trippeaud.

– Moja panno! – krzyknął baron. – Nie pojmuje, jak możesz pozwalać sobie...

– Dosyć, mój panie! – rzekła Adrianna, rzuciwszy mu spojrzenie pełne pogardy – o panu mówię... Ale nie do pana...

I ciągnęła dalej:

– Chciałam więc rozporządzać dochodami według mojego gustu, upiększałam mieszkanie, które sobie obrałam. Zamiast brzydkich sług, niezdarnych, wolałam wybrać sobie dziewczęta młode, dobrze wychowane; nie służą, ale świadczą mi usługi... Zamiast widzieć je źle lub byle jak ubrane, dałam im suknie stosowne do ich urody, bo lubię wszystko, co jest młode i piękne. Wychodzę sama, bo mi się podoba iść, dokąd mnie prowadzi fantazja. Czczę Boga we wszystkim, co jest piękne, dobre, szlachetne. Odrywając się myślą od wszystkiego, co mi terażniejszość czyni tak nienawistną i przykrą, uciekałam myślą w przyszłość. Wtedy stawały mi przed oczami wspaniałe widziadła, tak urocze, iż czułam się zachwycona trudnym do opisanania, szczytnym uniesieniem... Że już nie należę do ziemi...

– A to dlatego – mówiła dalej z coraz większym uniesieniem – że wtedy oddychałam czystym, zdrowym, niezawisłym powietrzem... Tak jest, widziałam, że moje siostry już nie jeźdźły pod jarzmem samolubnego panowania, upokarzającego, grubiańskiego... Ach, siostry... Moje siostry... Czuję – są to nie tylko pocieszające marzenia, ale tak błogie, chociaż niespełnione nadzieje!

Mimowolnie zatopiona w myślach, Adrianna na chwilę umilkła, aby łatwiej wrócić do przedmiotu i nie spostrzegła, że aktorzy tej sceny spoglądali na siebie z dziwną radością.

– Ależ... To, co mówi... Jest wyborne... – szepnął doktor do ucha księżny – gdyby chciała mówić zgodnie z naszym życzeniem, nie mówiłaby inaczej...

– Trzeba było doprowadzić ją naszym postępowaniem do takiego stanu, w jakim życzymy sobie ją widzieć – dodał pan d'Aigrigny.

Rzec można, że gniew Adrianny rozpraszał się przy zetknięciu ze szlachetnymi, wzniosłymi uczuciami.

Wreszcie, zwracając się do ciotki, dodała:

– Objawiłaś mi swoją wolę, chciej teraz usłyszeć moją: najdalej za tydzień opuszczę pawilon, w którym mieszkam, przeniosę się do domu, który urządzić kazałam według mego gustu i będę w nim żyła, jak mi się podoba. Nie mam ani ojca, ani matki, nie jestem obowiązana przed nikim zdawać sprawy ze swych czynów.

– Doprawdy, moja panno – odrzekła księżna, wzruszając ramionami – mówisz od rzeczy... Zapominasz o tym, że społeczeństwo ma prawa moralne, których nie wolno przekraczać, a których my przestrzegać jesteśmy obowiązani i bądź pewna, że nie zaniedbamy dopełnić tego obowiązku.

– A więc ty, ciotko, pan d'Aigrigny i pan Trippeaud, jesteście przedstawicielami moralności społecznej... To bardzo dowcipne... Czy nie dlatego, że pan Trippeaud uważa mój majątek za swój własny?...

– Ależ, moja panno!... – zawołał baron.

– Zaraz, pani – rzekła Adrianna do ciotki, nie odpowiadając baronowi – ponieważ zdarza się sposobność, żądać będę wyjaśnień co do części mego majątku, którą, jak mi się zdaje, ukrywano dotąd przede mną...

Na te słowa margrabia i księżna struchleli. Oboje spojrzeli na siebie niespokojnie.

Adrianna nie spostrzegła tego i mówiła dalej:

– Lecz żeby raz położyć kres wymaganiom pani, oto moje ostatnie słowo: Będę żyła, jak mi się spodoba... Gdybym była mężczyzną, nie narzucano by mi, w moim wieku, tak przykrej, poniżającej opieki za to, iż żyję uczciwie, niezależnie, szlachetnie, w oczach wszystkich.

– To nierozsądne, to niedorzeczne! – zawołała księżna. – Oznacza to posuwać zepsucie, zapomnienie wszelkiego wstydu aż do ostatecznych granic, chcąc żyć w takich warunkach.

– To niezależne życie – wtrącił oschle margrabia – jakie zamierzasz prowadzić, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, miałyby na przyszłość najzgubniejsze skutki, gdy krewni zechcą cię wydać za mąż.



– Oszczędzę tej troski moim krewnym, jeśli zechcę pójść za męż... Sama się wydam... – co nie jest nierozsądnym, jak mniemam... Obawiacie się, aby mój niezależny sposób bycia nie odstraszał konkurentów. Ja zaś pragnę nade wszystko przestraszyć ich, dać im najgorsze o sobie wyobrażenie, a nie ma lepszego sposobu, jak pokazać, że się żyje tak jak oni żyją... Dlatego też liczę na moje dziwactwa, na moją płochosć, na moje ukochane wady, że dzięki nim uchronię się od wszelkich nudnych natarczywości.

– W tym względzie, Adrianno, będziesz zupełnie zadowolona – odezwała się księżna Saint-Dizier – jeśli prawda... Iż wróciłaś dzisiaj do domu o ósmej rano, jak mi powiedziano... Lecz nie śmiem wierzyć takiej szkaradzie...

– Zbyteczna powściągliwość, księżno, gdyż to prawda...

– A więc... Przyznajesz się!... – zawołała pani Saint-Dizier.

– Przyznaję się do wszystkiego. Wróciłam dziś rano o godzinie ósmej.

– Słyszycie, panowie! – zawołała księżna.

– A więc... To prawda – dodała – O! Moja panno, przyzwyczaiłaś mnie już do tego, że się niczemu nie dziwię... Ale wątpiłam jeszcze w taki postępek... Trzeba było twej zuchwałej odpowiedzi, aby mnie zupełnie przekonać...

– Kłamać, według mego przekonania, było zawsze większym bezwstydem niż wyznać prawdę.

– A skądże to panna wracałaś i po co chodziłaś?....

– Pani – zawołała Adrianna, przerywając ciotce – ja nigdy nie kłamię... ale nigdy nie mówię tego, czego mówić nie chcę, zresztą uważam za podłość usprawiedliwiać się z tak oburżającego zarzutu. Nie mówmy więc o tym... Twoje w twej mierze nalegania byłyby daremne, skończmy krótko. Pani chcesz mi narzucić okrutną i poniżającą opiekę, ja chcę opuścić pawilon, w którym mieszkam i żyć, gdzie mi się podoba, według mej fantazji... Kto z nas ustąpi, pani czy ja?... Zobaczmy, teraz mówmy o czym innym... Ten pałac jest mój... Jest mi obojętne, czy pani w nim mieszka, gdyż opuszczam go, ale parter nie jest zajęty... Zawiera on, prócz sali do przyjmowania gości, dwa apartamenty, rozporządziłam nimi na jakiś czas.

– Doprawdy? – rzekła księżna, spoglądając na margrabiego z wielkim zdziwieniem i dołączyła ironicznie: – A komu przeznaczyłaś to mieszkanie?

– Trzem osobom z mej rodziny.

– Co to znaczy? – rzekła pani Saint-Dizier, coraz bardziej zdziwiona.

– To znaczy, że chcę tu ofiarować gościnę młodemu księciu indyjskiemu, mojemu krewnemu po matce, przybędzie za dwa lub trzy dni, i chcę, aby zastał mieszkanie gotowe na jego przyjęcie.

– Wybornie! – zawołała księżna. – Nie mogę wzbronić ci najniedorzeczniejszych fantazji... Po takim wstępie domyślać się można z pewnością, że nie zatrzymasz się na tak pięknej drodze. Czy to już wszystko?

– Jeszcze nie, dziś właśnie z rana dowiedziałam się, że dwie moje krewne, również po matce... Dwie piętnastoletnie panienki, sieroty, córki marszałka Simona przybyły wczoraj z dalekiej podróży i znajdują się u żony poczciwego żołnierza, który z dalekiego wschodu przyprowadził je do Francji.

Na te słowa Adrianny margrabia i księżna zadrżeli i spojrzeli na siebie z przestachem, gdyż nie spodziewali się, aby panna Cardoville tak prędko dowiedziała się o przybyciu córek marszałka Simona; ta wiadomość była dla nich szokująca.

– Dziwicie się zapewne, że tak dobrze jestem poinformowana – rzekła Adrianna – tymczasem spodziewam się, że niebawem jeszcze bardziej was zadziwię... Lecz co do córek marszałka Simona, pojmujesz pani, niepodobna mi pozostawiać je u biednych ludzi, u których chwilowo znalazły schronienie, udam się więc po nie, aby je umieścić w tym drugim apartamencie na dole... Wraz z żoną żołnierza, która będzie dla nich najwłaściwszą opiekunką.

Na te słowa margrabia i baron spojrzeli po sobie, a ten ostatni zawołał:

– Nie ma wątpliwości... W głowie jej się pomieszało!

Adrianna dodała, jakby nie zwracając uwagi na szorstkie odezwanie się barona:

– Marszałek Simon niezawodnie lada chwila przybędzie do Paryża! Rozumiesz, pani, jak mi będzie przyjemnie, gdy będę mogła przedstawić mu jego córki i pokazać, że były podejmowane jak się należy. Zaraz jutro sprowadzę modniarki i szwaczki, aby im niczego nie brakowało...

– Teraz, spodziewam się, że to już wszystko? – rzekła księżna sarkastycznym tonem, tłumiąc gniew, gdy tymczasem margrabia, na pozór spokojny i obojętny, zaledwie mógł ukryć dręczące go myśli.

Księżna ciągnęła dalej, patrząc szyderczo na Adriannę:

– Lecz pomyśl jeszcze... Może znajdziesz jeszcze kogoś z krewnych, dla powiększenia tej ciekawej kolonii rodzinnej?... Prawdziwa królowa nie postąpiłaby wspanialej od ciebie!

– W rzeczy samej, chcę dla mej rodziny przygotować królewskie przyjęcie... Takie, jakie należy się królewskiemu synowi, córkom księcia i marszałka Francji... Czy nie jest miło ze zbytkiem gościnności połączyć inne zbytki!

– Zaiste, szlachetna to zasada – rzekła księżna, coraz bardziej niespokojna – szkoda tylko, że dla wykonania jej nie masz kopalni Potozy.

– Właśnie w porę mowa o kopalni... Chciałam pomówić z panią o pewnej kopalni, jak słychać, nadzwyczaj bogatej, nie mogłam znaleźć lepszej sposobności. Jakkolwiek znaczny jest mój majątek, byłby on szczupły w porównaniu z tym mieniem, które ma się dostać naszej rodzinie... A gdy to nastąpi, wybaczysz mi, pani, moją królewską hojność.

Margrabia d'Aigrigny czuł się jak na torturach.

Sprawa medalionów była tak ważna, że ukrywał ją nawet przed doktorem Baleinier, chociaż żądał jego pomocy, również baron Trippeaud nie był o niej zawiadomiony, gdyż księżna sądziła, że według jej życzenia, zniszczone zostały przez Rodina w papierach ojca Adrianny wszelkie ślady, które mogłyby wskazać jej drogę do tego odkrycia. Dlatego nie tylko ze strachem usłyszał margrabia, że Adrianna de Cardoville wie o tej tajemnicy, ale nadto obawiał się, aby jej nie rozgłosiła.

Księżna podzielała obawy margrabiego, zawołała więc, przerywając siostrzenicy:

– Są interesy rodzinne, które należy zachować w tajemnicy i dlatego, nie wiedząc dokładnie, ku czemu zmierzasz, proszę cię, abyś zaniechała tego przedmiotu rozmowy...

– Jak to, pani... Alboż nie jesteśmy tu w gronie rodzinnym... Inaczej nie powiedziałybyśmy sobie tylu uprzejmości.

– Mniejsza o to... O sprawach pieniężnych nie wypada mówić, gdy się nie ma w rękach dowodów.

– A o czym mówimy już od godziny, jeśli nie o interesach? Nie pojmuję waszego zdziwienia... Waszego zakłopotania...

– Nie jestem ani zdziwiona, ani zakłopotana... Lecz od dwóch godzin zmuszasz mnie do słuchania rzeczy tak nowych, tak szalonych, że doprawdy jest się czemu dziwić.

– Przepraszam, pani, że powiem, iż jesteś w wielkim kłopotcie – rzekła Adrianna, patrząc ciotce w oczy – również pan d'Aigrigny... Co, połączone z pewnymi podejrzeniami, których nie miałam czasu sprawdzić i wyświecić...

– Adrianno, rozkazuję ci, abyś zamilkła! – krzyknęła księżna, niezdolna zapanować nad sobą.

– A! Pani – odparła Adrianna – jak na osobę, która zwykle tak doskonale umie panować nad sobą, wielce się kompromitujesz.

Na pomoc księżnej i margrabiemu przybyło nieoczekiwane zdarzenie. Wszedł lokaj a jego przerażona mina zwiastowała coś niezwykłego.

– Co ci jest, Dubois, co się stało? – zapytała żywo księżna.

– Przepraszam jaśnie panią, że pomimo wyraźnego zakazu śmiem przerywać, lecz przybył komisarz i chce koniecznie i bezzwłocznie widzieć się z księżną panią, przy tym cały pałac otoczyło wojsko i policja.

Chociaż wiadomość ta zaniepokoiła ją cokolwiek, księżna, chcąc jednak skorzystać z tego zdarzenia dla porozumienia się natychmiast z margrabią co do poczynionych przez Adriannę tyłu i tak ważnych zeznań, rzekła wstając:

– Księżę d'Aigrigny, bądź łaskaw mi towarzyszyć, gdyż nie bardzo wiem, co może znaczyć obecność komisarza w moim domu.

## ROZDZIAŁ IX

### ZDRADA

Wyszedłszy z margrabią księżna Saint-Dizier zatrzymała się w pokoju przyległym do gabinetu.

– Gdzie jest komisarz? – zapytała lokaja, który oznajmił jego przybycie.

– W błękitnym pokoju.

– Proś go, aby był łaskaw chwilkę zaczekać na mnie.

Skoro lokaj odszedł, księżna przystąpiła do margrabięgo, którego twarz, zwykle spokojna i dumna, w tej chwili była posępna i blada.

– Jak widzisz – zawołała szybko. – Adrianna wie o wszystkim. Cóż teraz robić?... Co począć?

– Nie wiem – odrzekł zamyślony d'Aigrigny – ta wiadomość jest dla nas okropnym ciosem.

– Czy rzeczywiście wszystko stracone?

– Byłby jeszcze jeden środek ocalenia, a tym środkiem., jest doktor.

– Ale czyż to tak zaraz?... Jeszcze dzisiaj?

– Za dwie godziny będzie za późno, ta przeklęta dziewczyna zdołałaby do tego czasu zobaczyć się i porozumieć z córkami generała Simona.

– Przebóg!... Fryderyku... To niemożliwe... Baleinier nie będzie mógł nigdy... Potrzeba czasu, aby przygotować do tego...

– Nic nie szkodzi – odrzekł margrabia – na wszelki wypadek warto, aby doktor spróbował.

– Ale pod jakim pozorem?

– Postaram się wynaleźć jakiś...

– Przypuściwszy, Fryderyku, że ci się uda wynaleźć jakiś powód, jeśli wypada działać jeszcze, dzisiaj, tam nie będzie do tego nic przygotowane.

– Bądź spokojna, tam na wszelki wypadek wszystko jest w pogotowiu.

– Ale jak uprzedzić o tym doktora? – zapytała księżna.

– Wywołać go... Mogłoby to obudzić podejrzenia i domysły twej siostrzenicy, czego przede wszystkim należy unikać.

– Bez wątpienia, całe szczęście, że ona nic nie podejrzewa.

– Jest sposób – zawołał żywo pan d'Aigrigny – napiszę do doktora kilka słów, lokaj mu je zanieś, jak gdyby list pochodził od kogo innego, od pacjenta, wzywającego spiesznej pomocy.

– Wyborna myśl... Dobrze mówisz... Tam, na biurku, jest wszystko, czego potrzeba... Spiesz się... Spiesz. Lecz czy uda się doktorowi?

– Prawdę mówiąc, nie można mieć pewności – odrzekł margrabia, siadając do biurka. – Dzięki tej rozmowie, która zresztą wypadła nad nasze spodziewanie, a którą ukryty za firanką stenograf spisał dosłownie, dzięki gwałtownym scenom, które niechybnie jutro musiałyby nastąpić, doktor, postępując ostrożnie, mógłby działać na pewno... Lecz żądać tego jeszcze dzisiaj... Natychmiast... Wiesz, Herminio, byłoby szaleństwem myśleć o tym.

I margrabia rzucił pióro, które trzymał w ręku, a potem dodał z gniewem:

– W chwili, kiedy się już wszystko miało udać, widzieć wszystkie nasze nadzieje zniszczone... A skutki!... Skutki będą okropne... Twoja siostrzenica... Wiele nam zaszkodzi... Za wiele!

– Fryderyku! – zawołała pani Saint-Dizier, współczując udrękom pana d'Aigrigny i chwytając go śpiesznie za rękę – zaklinam cię, nie rozpaczaj jeszcze... Umysł doktora jest tak płodny, a on tak nam oddany ... Spróbujmy jednak...

– Masz słuszość, przynajmniej należy spróbować – odrzekł margrabia, nieco spokojniejszy, pomyślawszy, że jeżeli Adrianna jeszcze dziś pójdzie do córek generała Simona, to i tak... Może już ich nie zastanie.

– Nie należy się ludzi przesadną nadzieją, niepodobna spodziewać się, aby zlecenie Rodina tak szybko zostało wykonane... Gdyby tak było, już byśmy o tym zostali powiadomieni.

– To prawda... Więc pisz do doktora... Bądź dobrej myśli, Fryderyku, w jakikolwiek bądź sposób, poradzimy sobie z tą piekielną dziewczyną... A potem dodała z wściekłością: – Oj, Adrianno, Adrianno... Zapłacisz ty drogę za twe zuchwałe pomysły i nasz niepokój.

## ROZDZIAŁ X

### ZASADZKA

Po wyjściu ciotki i margrabiego panna Cardoville, usłyszawszy o przybyciu komisarza, poczuła pewien niepokój, gdyż nie wątpiła, że komisarz przybywa, jak się tego obawiał Agrykola, aby zażądać upoważnienia do poszukiwań wewnątrz pałacu, wobec podejrzeń, że ukrywa się tam kowal.

Choć miejsce, w którym Agrykola był ukryty, uważała za dobre schronienie, jednak całkiem spokojna nie była, a przewidując niebezpieczne skutki, sądziła, iż nadarza się dobra sposobność, aby polecić swego protegowanego doktorowi, który pozostawał w bliskich stosunkach z jednym z bardzo wpływowych ministrów.

Zbliżyła się więc do doktora, rozmawiającego półgłosem z baronem i rzekła przymilnie:

– Kochany panie Baleinier... Chciałabym pomówić z panem...

– Jestem na pani rozkazy – odrzekł doktor.

– Drogi doktorze, jesteś moim przyjacielem i byłeś przyjacielem mojego ojca... A nawet w tej chwili, mimo przykrego położenia, okazałeś się moim jedynym stronnikiem.

– Racz pani nie wspominać o tym – rzekł doktor, udając obrażoną skromność. – Uchowaj Boże! Mogłabyś mnie pani nabawić kłopotu...

– Bądź pan spokojny – odrzekła, uśmiechając się – ja pana nie narażę, ale pozwól mi tylko przypomnieć, że nieraz ofiarowywałeś mi swoją pomoc, gdybym jej od ciebie zażądała...

– Chciej pani spróbować... A przekonasz się, czy umiem dotrzymać słowa.

– Dobrze więc! Daj mi pan dowód natychmiast – rzekła żywo.

– Bardzo dobrze, tak to lubię... Cóż mogę uczynić dla pani?

– Czy jeszcze jesteś pan w przyjaźni z ministrem?

– Bez wątpienia... A nawet leczę go na zapalenie gardła...

– Mam więc nadzieję – przerwała Adrianna – że uzyska pan u niego łaskę, ważną dla mnie.

– Dla pani?... A jakież możesz mieć do niego interes?

Wszedł lokaj księżny i wręczył doktorowi list, mówiąc:

– Przyniósł to jakiś posłaniec, powiedział, że list jest bardzo pilny...

– Co to znaczy być znakomitym doktorem – odezwała się z uśmiechem Adrianna – nie dają panu chwili spokoju.

– Nie wspominaj pani o tym – odrzekł doktor, nie mogąc ukryć zdziwienia, gdy poznał pismo margrabiego – do stu katów z tymi chorymi... Doprawdy, myślą sobie, że jesteśmy z żelaza i że mamy nadmiar zdrowia, którego im brakuje...

List margrabiego był krótki, doktor przeczytał go jednym spojrzeniem; a mimo zwykłej roztropności wrzucił ramionami i żywo zawołał:

– Dziś jeszcze... Ależ to niepodobna... Ten człowiek zwariował!

– Idzie zapewne o biednego chorego, który pokłada w panu całą swoją ufność... Który cię wzywa... Nie możesz zawieść jego zaufania, doktorze.

Był to szczególny zbieg okoliczności, a zarazem nadzwyczajna sprzeczność między treścią listu, napisanego przez najzaciętszego wroga Adrianny a słowami jej współczucia; sprzeczność ta nie uszła uwadze doktora i sprawiła na nim pewne wrażenie.

Spojrzał na pannę Cardoville z miną prawie zakłopotaną i rzekł:

– W rzeczy samej... Idzie o pacjenta, który bardzo na mnie liczy... Bodaj czy nie za bardzo... Gdyż żąda ode mnie rzeczy niemożliwych... Ale dlaczego ujmuje się pani za nieznanym?

– Jeżeli jest biedny... To go znam... Mój protegowany, dla którego proszę pana o opiekę ministra, jest mi prawie także nieznanym... A teraz zajmuje mnie mocno, bo muszę wyznać, jest on synem owego żołnierza, który przyprowadził tu córki marszałka Simona.

– Jak to?... – Pani protegowany jest...

– Rzemieślnikiem... Podporą rodziny... Lecz muszę opowiedzieć panu wszystko po kolei...

Zwierzeniom Adrianny przeszkodziła pani Saint-Dizier, która poprzedzając margrabiego, gwałtownie otworzyła drzwi gabinetu.

Margrabia d'Aigrigny, wchodząc za nią, spojrzał na doktora pytającym, niespokojnym wzrokiem.

Doktor odpowiedział odmownym potrząśnięciem głowy.

Margrabia przygryzł wargi z wściekłością, ostatnią nadzieję pokładał w doktorze, musiał więc uważać swe projekty za pogrzebane, mimo nowego ciosu, jaki księżna miała wymierzyć Adriannie.

– Panowie – rzekła księżna szybko, przerywanym głosem, gdyż zadyszała się ze złośliwej radości – panowie, raczcie usiąść... Gdyż mam zakomunikować panom nowe i bardzo ciekawe rzeczy o tej... pannie.

I spojrzeniem wskazała Adriannę.

– A, moje dziecko, cóż to takiego? Co znowu wymyślono na ciebie? – zawołał doktor, z nim odszedł od okna, przy którym stał z Adrianną – w każdym razie zawsze polegaj na mnie.

Na gwałtowną zaczepkę ciotki panna Cardoville podniosła głowę. Rumieniec wystąpił jej na czole, zagrożona nowymi napaściami straciła cierpliwość, zbliżyła się do stołu, przy którym siedziała księżna i spokojnie rzekła do doktora Baleinier:

– Będę czekać na pańskie przybycie u siebie, doktorze, wiesz, o czym chcę z tobą pomówić jak najspieszniej.

Mówiąc to, zbliżyła się do kanapki, na której leżał jej kapelusz.

Księżna zerwała się nagle i rzekła:

– Cóż to ma znaczyć, Adrianno?

– Odchodzę... Oznajmiła mi pani swoją wolę, ja powiedziałam, co zamierzam zrobić, a więc poprzestańmy na tym, a swoje interesy powierzę komu innemu.

Księżna Saint-Dizier, widząc, że jej zdobycz może się wymknąć, podbiegła do siostrzenicy i z pogwałceniem wszelkiej przyzwoitości, chwyciła ją konwulsyjnie za rękę, mówiąc:

– Zostań!!!

– Pani! – odparła Adrianna, zdziwiona. – Co czynisz? Co to ma znaczyć?

– Chcesz się wymknąć... Boisz się!... – zawołała księżna sarkastycznie.

Na wyraz „boisz się” Adrianna de Cardoville rzuciłaby się w ogień. Dumnym ruchem wyrwała się z rąk ciotki, rzuciła na krzesło kapelusz, który już miała w ręku i wracając do stołu rzekła:

– Mimo wstrętu do tego, co się tu dzieje, zostaję... Nie chcę, aby mnie posądzono o tchórzostwo, mów pani... Słucham.

Wtedy księżna zaczęła kropla po kropli sączyć truciznę, którą była przepelniona, aby jak najdłużej przeciągnąć męczarnie ofiary, pewna już, że się jej nie wymknie.

– Panowie – wyrzekła przytłumionym głosem – powiem wam, co się stało... Gdy dano mi znać, że komisarz chce się widzieć ze mną, udałam się do niego. Grzecznie się usprawiedliwiał, że mnie niepokoi, lecz musi spełnić swą powinność... Podejrzanego mężczyznę, którego kazano aresztować, widziano dziś z rana wchodzącego do pawilonu...

Na te słowa Adrianna poruszyła się, gdyż nie było wątpliwości, że chodzi o Agrykolę.

Wnet jednak odzyskała przytomność, przekonana, że miejsce, w którym się ukrył Agrykola, jest bezpieczne.

– Komisarz – mówiła dalej księżna – żądał ode mnie pozwolenia na poszukiwanie tego mężczyzny w pałacu i pawilonie... Miał do tego prawo. Prosiłam go, aby zaczął od pawilonu i towarzyszyłam mu... Pomimo niepojętych dziwactw i ekscentrycznego postępowania tej panny, ani mi przez głowę nie przeszło, aby chciała się mieszać do spraw politycznych... Tymczasem myliłam się...

– Co pani przez to rozumie? – zapytała Adrianna.

– Zaraz się dowiesz – odparła księżna triumfująco. – Przyszła i na ciebie kolej... Na ciebie, któraś przed chwilą była tak szydercza i dumna... Idę więc z komisarzem policji... Wchodzimy do pawilonu... Możecie sobie panowie wystawić jego zdziwienie, gdyśmy zastali tam trójkę dziewcząt, ubranych jak komediantki...

Komisarz – mówiła dalej – zaczął od badania dziewcząt, pytał je, czy nie wiedzą, gdzie się ukrył młody rzemieślnik, którego widziano, jak wchodził do pawilonu, zajmowanego przez moją siostrzenicę... Odpowiedziały bezczelnie, że o niczym nie wiedzą...

– Dzielne dziewczęta! – pomyślała Adrianna – kowal ocalony, a protekcja doktora Baleinier dokona reszty...

– Na szczęście była ze mną jedna z moich pokojówek, Grivois; ta poczciwa kobiecina, przypomniawszy sobie, że widziała pannę Adriannę wracającą do domu rano, o ósmej godzinie, rzekła naiwnie do urzędnika, iż człowiek, którego szukają, wyszedł przez małą furtkę ogrodową, którą panienka zostawiła otwartą... Wracając do domu.

– Ten postępek mej siostrzenicy, który tak zgorszył komisarza, jest niczym w porównaniu z tym, co jeszcze mam do powiedzenia – prawda dalej księżna – przebiegliśmy więc cały pawilon, nic nie znalazłszy. Już mieliśmy wyjść z sypialnego pokoju tej panny – rzuciła pogardliwym wzrokiem na Adriannę – gdyż ten pokój przeglądaliśmy na ostatku, gdy Grivois szepnęła mi, że złocone listwy fałszywych drzwi niezupełnie przystają... Zwracamy na to uwagę komisarza, jego policjanci węszą, próbują... aż tu otwierają się drzwi... i wtedy... zgadnijcie, co znajdują?... Nie... Nie... Rzecz tak szkaradną, tak oburzającą... Iż nie śmiałybym nigdy...

– A więc ja panią wyęcę i oszczędzę jej wstydlności – przerwała szyderczo Adrianna, domyślając się z ciężkim sercem, że wysłedzono kryjówkę Agrykoli – lecz to, co powiem, nie oznacza bynajmniej chęci usprawiedliwiania się z mej strony...

– A jednak rzecz byłaby tego warta – wtrąciła księżna z pogardliwym uśmiechem – mężczyzna, któregoś ukryła w swej sypialni...

– Mężczyzna ukryty w jej sypialni! – zawołał margrabia, podnosząc głowę z oburzeniem, które ledwie pokrywało piekielną radość.

– Ale ten mężczyzna – z obłudną miną wtrącił doktor – to pewnie był złodziej? To się tłumaczy samo przez się, wszelkie inne podejrzenie... Nie ma podstaw.

– Mylisz się pan – zaprzeczyła księżna – ambicja tej panny nie sięga tak wysoko, ona stara się dowieść, że błąd może być nie tylko występny, ale i nikczemny... Tym się tłumaczy jej sympatia, jaką okazuje dla gminu... Sympatii tej dowodzi czynem, gdyż mężczyzna, ukryty w jej pokoju, miał na sobie bluzę.

– Ten młody mężczyzna jest kowalem, sam to wyznał – objaśniła księżna – ale oddać mu trzeba sprawiedliwość, że jest bardzo przystojnym chłopcem, i pewno ta panna, powodowana namiętnością do wszystkiego, co jest piękne...

– Dostyc tego, pani, dostyc!... – przerwała Adrianna, która, nie chcąc się usprawiedliwiać, słuchała ciotki z coraz bardziej wzrastającym oburzeniem – miałam zamiar odeprzeć wyjaśnieniem te nikczemne potwarze... lecz nie dopuszczę się tej słabości... O jedno tylko zapytam panią... Czy ten człowiek został aresztowany?

– Tak, został aresztowany i odprowadzony do więzienia... To rozdziera ci serce, prawda? Twoja czułość dla tego zajmującego kowala musi być bardzo wielka, skoro cię pozbawia iro nicznego zuchwalstwa?

– Nie mylisz się, pani, bo cóż mogę zrobić innego, jak drwić z tego, co jest haniebne i nie dorzeczne – odparła Adrianna, a łzy stanęły jej w oczach na myśl o wielkim niepokoju w domu uwięzionego Agrykoli. Włożywszy kapelusz na głowę i zawiązawszy wstążki, zwróciła się do doktora:

– Panie Baleinier, przed chwilą obiecywałeś mi protekcję u ministra...

– Tak, pani... I z przyjemnością będę u niego pośrednikiem dla pani.

– Bądź tak dobry i zawieź mnie do ministra... Gdy zostanę mu przedstawiona, nie odmówi mi łaski, a raczej sprawiedliwości, o którą go zamierzam prosić.

– Jak to! – krzyknęła księżna – poważasz się, moja panno, bez mego pozwolenia, i to po tym, co zaszło?... Ależ to niesłychana zuchwałość!

– Można nad tym ubolewać – dodał baron Trippeaud – ale teraz można się spodziewać wszystkiego.

W chwili, gdy Adrianna pytała doktora, czy ma swój powóz, d'Aigrigny zadrżał...

Promień niespodziewanej radości zabłysnął mu w oczach i ledwo powściągnąć mógł wzruszenie, gdy szybko i nieznacznie rzuciwszy okiem na doktora, poznał z poruszeń jego powiek i skinienia głowy, że rozumie go i zgadza się z nim.

Dlatego, gdy księżna odezwała się z gniewem do siostrzenicy:

– Zakazuję ci oddalać się stąd!

Margrabia zwrócił się do księżny ze szczególną intonacją głosu:

– A ja sędzę, że można powierzyć pannę Adriannę opiece pana doktora.

D'Aigrigny wymówił te słowa w sposób znaczący, co księżna zrozumiała, spojrzała kolejno na doktora i na margrabiego i twarz jej wypogodziła się.

Jednakże nie chcąc pokazać, że łatwo zezwała, na uwagę margrabiego odpowiedziała:

– Chociaż pan doktor, jak widzę, okazuje dużą pobłażliwość dla mej siostrzenicy, jednakże nie uważam za niestosowne powierzyć ją jego opiece... Ale pod warunkiem, że nie będzie to precedensem na przyszłość, gdyż odtąd Adrianna nie będzie miała innej woli prócz mojej.

– Nie sędzę, abym był zbyt pobłażliwy dla panny Adrianny – odparł doktor, udając, że czuje się nieco urażony słowami księżny – jestem tylko sprawiedliwy... Jestem gotów przedstawić ją ministrowi, jeśli sobie tego życzy. Nie wiem, czego pragnie, lecz nie przypuszczam, aby była zdolna nadużyć mego zaufania i wymagać poparcia w nieprzyzwoitym żądaniu.

Adrianna, wzruszona tymi słowami, wyciągnęła rękę do doktora i rzekła:

– Bądź spokojny, zacny przyjacielu... Działamy oboje w słusznej sprawie.

Księżna postąpiła ku siostrzenicy i rzekła dobitnie, wymawiając każde słowo z przyciskiem:

– Jeszcze mam ci coś powiedzieć... Będzie to ostatnie słowo wobec tych panów... Powiedz mi, czy mimo ciążących na tobie zarzutów, ciągle trwasz w zamiarze nieszanowania mej władzy?

– Tak, pani.

– Czy to już twoje ostatnie słowo?

– Tak jest, ostatnie...

– Zastanów się... Bo to bardzo ważne... Strzeż się!

– Powiedziałam pani moje postanowienie, a to, co powiedziałam... Wykonam.

– Panowie... słyszycie – rzekła księżna – robiłam, co tylko można, aby doprowadzić do zgody, lecz usiłowania moje okazały się daremne, Adrianna sama sobie więc przypisze skutki, które będą musiały nastąpić.

– Nie dbam o to – odrzekła Adrianna – czyń pani, co ci się spodoba.

A potem, zwracając się do doktora, dodała z żywością:

– Chodźmy... Chodźmy, drogi doktorze, gdyż umieram z niecierpliwości, prędko... Każda stracona minuta wyciśnie gorzkie łyzy całej rodzinie.

I śpiesznie wyszła z salonu z doktorem.

Lokaj księżny przywołał powóz doktora i pomógł Adriannie wsiąść; nie dostrzegła, że doktor coś szepnął lokajowi.

Gdy doktor zajął przy niej miejsce, lokaj przymknął drzwiczki, a potem rzekł głośno do stangreta:

– Do pałacu ministra, małą furtką.

Konie szybko ruszyły z miejsca.

## ROZDZIAŁ XI

### FALSZYWY PRZYJACIEL

Była już noc, ponura i ciemna.

Niebo pogodne, czyste aż do zachodu słońca, coraz bardziej okrywało się chmurami, wiatr dał gwałtownie i wznosił tumany śnieżnej zawiei.

Latarnie rzucały słabe światło do powozu, w którym siedział doktor z Adrianną de Car-doville.

Powóz toczył się już od kilku minut. Adrianna po cichu ocierając łyzy, ku wielkiemu zdziwieniu doktora nie przemówiła jeszcze słowa.

– Cóż to, panno Adrianno? – odezwał się Baleinier, zdziwiony na widok rozrzewnienia dziewczyny – cóż to?... Niedawno tak odważna, teraz płacze pani?

– Tak – odpowiedziała Adrianna – płaczę przed panem... Przed przyjacielem... Lecz przed moją ciotką... O! Nigdy.

– Jednak... Podczas tej długiej rozmowy... Ironia pani...



– Ach! Mój Boże.. Sądzi pan, że chętnie występuję w tej wojnie na słowa?... Niczego mniej nie lubię nad takie utarczki, uszczypliwe szyderstwa, do czego zmusza mnie potrzeba bronięcia się przed tą kobietą i jej przyjaciółmi... Mówi pan o mojej śmiałości... Zapewniam cię jednak, że nie chodziło mi o to, aby się okazać złośliwą... Ale raczej przytłumić, pokryć to, co cierpiałam, gdy się ze mną obchodzono tak po grubiańsku... Wobec ludzi, którymi się brzydzę, którymi pogardzam... Ja, co im nigdy nic złego nie zrobiłam, ja, co pragnę żyć sama, niezależna i mieć wokół siebie ludzi szczęśliwych.

– Droga panno Adrianno – rzekł doktor wzruszony – uspokój się. Wszystko to już przeszło... Masz przecież i we mnie prawdziwego przyjaciela... I wymawiając te słowa, zarumienił się, mimo całego swego sprytu.

– Wiem o tym, jesteś moim przyjacielem – odpowiedziała Adrianna – nie zapomnę nigdy, że ujmując się za mną, naraziłeś się dziś na zemstę mej ciotki, a wiadomo, jakie ona posiada wpływy...

– Co do tego – mówił doktor, udając obojętność – my, lekarze niczego się nie lękamy, trudno nam zaszkodzić.

– O! Kochany panie Baleinier, pamiętaj, że pani Samt-Dizier i jej przyjaciele nie przebaczą – tu Adrianna wzdrygnęła się. – Potrzeba było mojej nieprzewycięzonej odrazy, mego wrodzonego wstrętu do wszystkiego, co podłe, wiarołomne i złośliwe, aby przywieść mnie do otwartego z nią rozbratu. Lecz choćby szło... Mam ci szczerze wyznać?... O życie, nie bałabym się... A jednak – dodała z wdzięcznym uśmiechem, który dodawał jej tyle powabu – bardzo lubię życie i jeżeli mam sobie coś do wyrzucenia... To chyba, że lubię je zbyt doskonale... Zbyt piękne... Lecz, jak panu wiadomo, lubię moje wady...

– Mnie się zdaje, że księżna chciała tylko panią nastraszyć... I spodziewa się działać drogą przekonania... Wiesz, że namiętnie lubi nawracać ludzi na prawą drogę – mówił złośliwie doktor, chcąc uspokoić Adriannę – ale nie myślmij już o tym... Powinna pani pamiętać, aby jej oczy jaśniały blaskiem, abys oczarowała ministra, do którego jedziemy...

– Masz słuszność, doktorze... Należałoby zawsze unikać zmartwienia, gdyż największym jego złem jest to, że się zapomina o cudzych zmartwieniach... Ale widzi pan, ja ci ufam, korzystam z pańskiej dobroci a jeszcze nie powiedziałam, w czym jest mi potrzebna pańska pomoc...

– Mam dość czasu, gdyż minister mieszka daleko.

– Powiem krótko, o co chodzi – rzekła Adrianna – mówiłam już panu, dlaczego zajmuję się tym rzemieślnikiem... Dziś rano przyszedł do mnie i wyznał, że ma być oddany pod sąd za pieśni, które napisał (jest bowiem poetą), że zagrożony jest aresztowaniem, choć jest niewinny, ale gdyby go uwięziono, jego rodzina, którą utrzymuje, nie miałaby z czego żyć, przyszedł więc do mnie z prośbą, abym za niego dała kaucję, by mu pozwolono dalej pracować. Przyrzekłam mu, licząc na pańskie stosunki z ministrem, ponieważ go ścigano, postanowiłam ukryć go u siebie, a wiadomo panu, jakie znaczenie ciotka przypisała memu postępkowi... A teraz, powiedz pan, czy uzyskamy u ministra to, o co zamierzam prosić – uwolnienie tego człowieka za kaucją?

– Nie sądzę, aby wzbraniał się przed tym, zwłaszcza, gdy mu pani przedstawi rzecz z właściwą ci wymową.

– Drogi doktorze, czy wiesz, dlaczego chwyciłam się tego, może niezwykłego pomysłu i prosiłam cię, abys przedstawił mnie ministrowi?

– Żeby... Polecieć swego protegowanego.

– Tak jest... A także, żeby przeciąć bieg potwarzom, których księżna nie zaniecha rozsiewać... A które, jak panu wiadomo, kazała już zapisać do protokołu komisarzowi policji... Wolę więc udać się osobiście do człowieka, mającego wielkie wpływy. Wyznam mu wszystko szczerze, a on mi uwierzy, bo prawda ma swój właściwy oddźwięk, na którym nie można się zawieść.

– Wszystko to, droga pani, mądrze obmyślałaś... Za jednym zamachem załatwisz dwie ważne sprawy: uniemożliwisz potwarze i uzyskasz wolność dla biednego młodzieńca.

– To właśnie wraca mi dobre samopoczucie, ta nadzieja...

– W życiu – odrzekł filozoficznie doktor – wszystko zależy od punktu widzenia rzeczy.

Adrianna tak była nieświadoma spraw, dotyczących rządu i władzy, tak ślepią pokładała ufność w doktorze, iż ani na chwilę nie wątpiła w to, o czym mówił.

Dlatego też rzekła z radością:

– Co za szczęście!... Więc będę mogła potem pojechać do córek marszałka Simona i pocieszyć biedną matkę młodzieńca, która może zadręcza się, nie mogąc się doczekać jego powrotu.

– Tak, będzie pani miała tę satysfakcję – odrzekł Baleinier z uśmiechem – bo będziemy prosić i działać tak, żeby biedna matka dowiedziała się od pani, że jej syn jest zwolniony, zanim jeszcze dowie się o jego aresztowaniu.

– Ileż w tym dobroci i uczynności z pańskiej strony. Gdybym nie była zmuszona tak ważnymi pobudkami, wstydziłabym się zabierać panu tyle drogiego czasu, ale znam pańskie serce...

– Całym moim życzeniem jest udowodnić pani moją życzliwość dla niej – mówił doktor, zażywając tabaki.

Zarazem jednak rzucił niespokojne spojrzenie, gdyż powóz przejeżdżał właśnie przez plac Odeonu i pomimo zamieci widać było oświetlony fronton teatru. Adrianna, która spojrzała w tę samą stronę, mogła się zdziwić, że ją wiozą tą drogą.

Aby odwrócić jej uwagę, doktor zawołał nagle:

– O mało nie zapomniałem!... Gdzie ja mam głowę?...

– Cóż to... O co chodzi? – spytała Adrianna.

– Przypomniałem sobie o ważnej rzeczy, potrzebnej, aby nasza prośba zakończyła się powodzeniem.

– Cóż to takiego?... – spytała niespokojnie Adrianna.

– Wszyscy ludzie mają swoje słabości, a minister ma ich więcej niż inni; mój przyjaciel, człowiek zresztą bardzo rozsądny, niezmiernie lubi swój tytuł i przyjąłby panią dosyć oschle... Gdybyś go nie powitała tytułem: panie ministrze.

– Mniejsza o to, doktorze, jeśli trzeba, tytułować go będę Eksceleńcją – rzekła Adrianna z uśmiechem. – O ile wiem, tak się zwraca do ministrów.

– Nie, teraz zaniechano już tego tytułu, ale tym lepiej, tym przyjemniej mu będzie, jeśli tak będzie go pani tytułować.

– Bądź pan spokojny, będę się starała pochlebić próżności pańskiego przyjaciela.

– Polecam go pani, a protegowany pani dostanie się w dobre ręce – mówił doktor, widząc z zadowoleniem, że powóz przejeżdżał przez ciemne ulice, prowadzące z placu Odeon w okolice Panteonu – teraz rad jestem z tej drobnej słabości mego przyjaciela, gdyż może nam pomóc.

– Zresztą ten mały podstęp jest niewinny – dodała panna Cardoville – i wyznam panu, że nie mam co do tego skrępułów.

Potem, nachyliwszy się do okna, mówiła dalej:

– Mój Boże, jakże te ulice są czarne i smutne... Co za wiatr, jaki śnieg... W jakiej jesteśmy okolicy?

– Jak to, nie poznajesz swej ulubionej okolicy, przedmieścia Św. Germana?

– Myślałam, żeśmy je już dawno minęli.

– I ja tak sądziłem – odparł doktor – jednak jesteśmy jeszcze na tym przedmieściu. Biedny stangret, oślepiiony śniegiem, który go siecze po twarzy, musiał zabłądzić, ale już wjeżdżamy na właściwą drogę. Tak... Teraz poznaję, jesteśmy właśnie na ulicy Św. Wilhelma, mówiąc

nawiasem nie bardzo wesołej, zresztą za dziesięć minut staniemy przed gmachem ministra, przed poufnym wejściem, dokąd przyjaciele, tacy jak ja, mają przywilej wstępu.

Panna de Cardoville tak mało знаła niektóre dzielnice Paryża i zwyczaje ministerialne, iż bynajmniej nie wątpiła w to, co jej powiedział Baleinier, w którym zresztą pokładała pełne zaufanie.

Od wyjazdu z pałacu Saint-Dizier, doktor miał na ustach pytanie, które jednak wahał się zadać, obawiając się, aby ciekawość nie skompromitowała go w oczach panny de Cardoville.

Gdy mówiła o ważnych interesach finansowych, które przed nią ukrywano, doktor, zręczny obserwator, zauważył od razu zakłopotanie i niepokój pani Saint-Dizier i margrabiego d'Aigrigny

Nie wątpił, że spisek, wymierzony przeciwko Adriannie, któremu ulegał przez posłuszeństwo, dotyczy owych interesów i dlatego pałał żądzą poznania ich, gdyż jak każdy członek tajnego stowarzyszenia, czuł rozwijające się w nim wady, nieoddzielne od każdego współnictwa, to jest zawiść, podejrzliwość i ciekawość.

Łatwo pojąć, że doktor Baleinier, choć gotów służyć zamiarom margrabiego d'Aigrigny, ciekawy był jednak dowiedzieć się, co przed nim ukrywano, przewyciężywszy więc wahanie i znajdując dogodną, a nade wszystko nagłą sposobność, rzekł:

– Chciałbym, chociaż może to będzie niedelikatne z mej strony, zadać pani pewne pytanie. Jednak, jeśli uzna je pani za niedelikatne... Nie odpowiadaj na nie.

– Mów pan... Bardzo proszę...

– Niedawno... Na kilka minut przedtem, gdy dano znać księżnie o przybyciu komisarza, mówiła pani o wielkiej wagi interesach, które ukrywano przed tobą.

– Tak, w istocie...

– Słowa pani wywarły na księżnie wielkie wrażenie...

– Wrażenie tak wielkie, iż moje niepewne domysły zamieniły się w przekonanie.

– Nie mam potrzeby mówić pani, droga przyjaciółko, że jeśli wspominam o tej okoliczności, to jedynie dlatego, aby ofiarować pani moje usługi, jeśli osądzisz, że się mogą przydać; w przeciwnym razie, gdybyś pani z jakiegoś powodu nie chciała zwierzyć się przede mną... To nie krępuj się moim pytaniem.

Adrianna zamyśliła się i po chwili odpowiedziała:

– Są rzeczy, o których ja sama nie wiem... Inne zaś mogę panu wyjaśnić... Wreszcie są i takie, o których muszę milczeć... Pan jest dla mnie tak dobry, iż czuję się szczęśliwa, że mogę mu okazać nowy dowód zaufania.

– A więc nie chcę wiedzieć – rzekł doktor tonem szczerości – gdyż wyglądałbym na przyjmującego wynagrodzenie... Gdy uważam się za stokrotnie nagrodzonego przyjemnością służenia pani...

– Posłuchaj pan – mówiła Adrianna, chcąc okazać, że nie zważa na skrupuły doktora – mam ważny powód, aby sądzić, że wkrótce ogromny spadek ma być podzielony między członków mojej rodziny... A ja nie znam ich wszystkich... Gdyż po odwołaniu edyktu nantejskiego nasi przodkowie rozproszyli się po obcych krajach i ulegli różnym losom, tak że jedni ich potomkowie należą do klas najwyższych, inni zaś do najniższych.

– Doprawdy? – zawołał doktor z wielką ciekawością. – Gdzież jest ta spuścizna? Po kim. ten spadek? W czyim jest ręku?...

– Tego nie wiem.

– A jak dowieść swoich praw do tego spadku?

– Wkrótce dowiem się o tym.

– A skąd pani wie o nim?

– Tego nie mogę powiedzieć – odpowiedziała Adrianna z melancholią, która wydała się dziwna przy jej zwykłym ożywieniu. – To tajemnica... Niepojęta tajemnica... I w chwilach egzaltacji, w jakich mnie pan czasami zastawał... Myślałam o osobliwych, nadzwyczajnych

okolicznościach, mających związek z tą tajemnicą... Tak jest... A wtedy budziły się we mnie wielkie i wzniosłe myśli.

Panna de Cardoville zamilkła, zatopiona w myślach.

Baleinier nie chciał jej przerywać.

Adrianna, zadumana, nie zwracała uwagi na to, gdzie się znajduje; doktor zaś był zadowolony z tego, co usłyszał, że zwykłą przebiegłością domyślił się, że margrabiemu d'Aigrigny chodzi o spadek, postanowił więc użyć tę informację za materiał do tajemnego raportu. Istniały dwie możliwości: albo margrabia działał podług zleceń, otrzymanych od zakonu, albo też z osobistych pobudek; w pierwszym przypadku tajemny raport doktora przekonywałby tylko o jego troskliwości o dobro stowarzyszenia, w drugim zawiadomiłby kogo należy o nieznanach okolicznościach.

Mimo zdradzieckiej przebiegłości i bezczelności, mimo zaślepienia oszukanej, doktor nie był jeszcze pewien skutków swego planu, zbliżała się krytyczna chwila, a najmniejsze podejrzenie, wzbudzone niezręcznie w Adriannie, mogło obalić jego plan.

Adrianna, znużona doznanymi wzruszeniami, drżała co chwila, bo zimno było coraz bardziej przejmujące, a zapomniała wziąć jakieś okrycie.

Od pewnego czasu powóz toczył się obok długiego i wysokiego muru, który biał wśród śniegu podczas ciemnej nocy.

Naokoło była ponura, głucha cisza.

Powóz zatrzymał się.

Lokaj pobiegł do bramy, aby zapukać w szczególny sposób: najpierw uderzył prędko dwa razy, raz po raz, a po małej przerwie trzeci raz.

Adrianna nie zauważyła tego wcale, bo uderzenie nie było głośnie, a zresztą doktor zaraz zaczął mówić, aby zagłuszyć te znaki porozumiewawcze.

– Nareszcie przyjechaliśmy – zawołał wesoło – staraj się pani być jak najpowabniejszą, taka jaką bywasz zawsze, kiedy jesteś w dobrym humorze.

– Bądź pan spokojny, starać się będę wszelkimi siłami – rzekła Adrianna z uśmiechem, po czym dodała, drżąc z zimna – O! Jak zimno!... Przyznam się panu, że skoro tylko odwiedzę moje biedne sieroty, co żywo śpieszyć będę do mego saloniku, który jest taki ciepły i jasny, aż miło, bo nie cierpię zimna i ciemności.

– Naturalnie – odparł doktor przymilnie – najpiękniejsze kwiaty rozkwitają tylko w ciepłe i słońcu.

Podczas gdy oboje zajęci byli rozmową, ciężka wjazdowa brama zaskrzypiała w zawiasach i powóz wjechał na dziedziniec.

Doktor wyszedł pierwszy, aby podać Adriannie rękę.

## ROZDZIAŁ XII

### GABINET MINISTRA

Powóz zatrzymał się przed małym gankiem, który prowadził po kilku stopniach do sieni oświetlonej lampą.

Adrianna, wchodząc na śliskie schody, wsparła się na ramieniu doktora.

– Ach! Jak pani drży – odezwał się Baleinier.

– Tak – rzekła – okropnie mi zimno. W pośpiechu wyszłam bez szala... Ale jakże ten dom smutnie wygląda! – dodała.

– Jest to, jak go nazywają, mały pałacyk ministerialny, prywatne mieszkanie, gdzie minister kryje się przed zgiełkiem światowym i natręctwem petentów – rzekł, uśmiechając się Baleinier. – Racz pani wejść.

I otworzył drzwi do obszernej, pustej sieni.

– Prawdę mówiąc – dodał, ukrywając pod powierzchowną wesołością pewien niepokój – nasi ministrowie... Niezbyt okazale mieszkają, w przedpokoju ani jednego lokaja. Ale na szczęście – mówił dalej, otwierając drzwi do pokoju przyległego do sieni – znam tu wszystkie zakamarki.

Panna de Cardoville została wprowadzona do salonu, wyklejonego zielonym obiciem i skromnie umeblowanego mahoniowymi stołami i krzeselkami, pokrytymi żółtym aksamitem. Widząc to mieszkanie, zbyt skromne jak dla ministra, choć nie miała żadnego podejrzenia, nie mogła przecież powściągnąć zdziwienia i zatrzymała się chwilę w progu.

Baleinier, prowadzący ją pod ramię, odgadł przyczynę jej zdziwienia i rzekł z uśmiechem:

– Mieszkanie to wydaje się pani zbyt ubogie jak na ministra, prawda? Ale gdyby pani wiedziała, co to jest oszczędność konstytucyjna! Wreszcie zobaczy pani, że i sam minister nie wygląda na znamienitego człowieka... Ale racz pani zaczekać chwilkę... Pójdę go uprzedzić. Zaraz wrócę.

I usuwając ramię spod ręki Adrianny, otworzył małe boczne drzwi i znikł.

Panna de Cardoville została sama.

Chociaż nie mogła wytłumaczyć sobie przykrego wrażenia, wzdrygnęła się jednak na widok dużego, zimnego pokoju z oknami bez firanek, potem, powoli spostrzegając w jego umeblowaniu wiele osobliwości, które zrazu nie wpadły jej w oko, poczuła niepokój...

Zbliżywszy się do kominka, na którym ogień wygasł, spostrzegła ze zdziwieniem żelazną kratę, otaczającą komin, szczypcę oraz łopatkę, przykute na łańcuszkach. Zdziwiona tą osobliwością, chciała przysunąć do siebie krzesło stojące przy ścianie. Krzesła nie można było ruszyć.

Wtedy spostrzegła, że poręcz tego jak i innych krzeseł przymocowana była żelaznymi hakami do ściany.

Nie mogła wstrzymać się od śmiechu i pomyślała:

– Czyż obawiają się, aby minister nie zabrał z sobą mebli, gdy się będzie wyprowadzał?

Zazartowała trochę z przymusu, aby móc nieco rozerwać się w przykrym położeniu, które tym bardziej pogarszało się, że w domu panowało ponure, smutne milczenie, nic tu nie znamionowało ruchu, czynności, które zwykle panują pośrodku mnóstwa interesów.

Niekiedy słyszała tylko gwałtowny świst wiatru na dworze.

Upłynął kwadrans, a doktor Baleinier nie wracał.

Zniecierpliwiona, niespokojna chciała kogoś zawołać, aby zapytać o pana Baleinier i o ministra, obejrzała się wkoło, czy nie ma sznurka od dzwonka, lecz nie znalazła go, dostrzegła tylko, że to, co w półmroku uważała dotąd za zwierciadło, był to wielki arkusz wypolerowanej blachy. Zbliżywszy się, chciała wziąć lichtarz, lecz i on był przytwierdzony do marmuru nad kominkiem.

Przy pewnym stanie umysłu okoliczności mało znaczące stają się częstokroć przerażające, lichtarz, którego nie mogła ruszyć z miejsca, meble, przykute do ścian, blacha zamiast zwierciadła, głucha cisza oraz dłuższa nieobecność doktora, takie sprawiły na Adriannie wrażenie, iż zaczęła drzeć cała.

Choć usiłowała uspokoić się, powodowana jednak przestraczem, odważyła się na krok, którego nigdy by przedtem nie zrobiła; podchodząc do małych bocznych drzwi, nadstawiła ucho.

Wstrzymała oddech, słuchała... i... nic nie słyszała.

Nagle nad jej głową rozległ się głuchy i ciężki odgłos, jakby spadającego człowieka, zdawało się jej nawet, że słyszała przytłumiony jęk. Podniósłszy oczy do góry, spostrzegła odpadający tynk, który pewno oderwał się od wstrząśniętego mocno sufitu.

Nie mogąc już dłużej oprzeć się strachowi, pobiegła do drzwi, którymi weszła z doktorem, aby kogoś przywołać.

Jakież było jej przerażenie, gdy zastała drzwi zamknięte.

A przecież od przyjścia nie słyszała najmniejszego szelestu klucza w zamku, który zresztą był na zewnątrz.

Coraz bardziej przerażana, pobiegła do małych bocznych drzwi, za którymi znikł doktor. I te były również zamknięte...

Jednakże, chcąc jeszcze walczyć z przestraczem, który coraz bardziej ją opanowywał, przywołała na pomoc męstwo swego charakteru i usiłowała się uspokoić.

– Przywidziało mi się – pomyślała – słyszałam tylko upadek, a co do jęku, może mi się tylko przestęszczało... Ale co znaczą te pozamykane drzwi?... Może nikt nie wie, że tu jestem, sądzą może, że nikogo nie ma w tym pokoju?

I Adrianna oglądała się wkoło, ciągle niespokojna, po czym, zdobywając się na odwagę, rzekła sama do siebie:

– Precz ze słabością, nie łudzić się, ale przeciwnie, starać się trzeba poznać rzeczywistość. To pewne, że nie jestem u ministra... Wszystko mnie o tym przekonuje... Baleinier zwiódł mnie... Ale pytanie, w jakim celu? Po co mnie tu sprowadził?... Gdzie się znajduje?...

Ostatnie pytania wydawały się Adriannie niemożliwe do rozwiązania, wiedziała tylko, że jest ofiarą zdrady doktora.

– Ach, ta słabość i strach doprowadzają częstokroć do niesprawiedliwych przywidzeń, przecież niepodobna przypuścić tak piekielną zdradę.

Małą, delikatną rączką kilka razy zapukała do drzwi.

Po głuchym odgłosie można było poznać, że drzwi są bardzo grube.

Nikt się nie odezwał.

Pobiegła do drugich drzwi. Zapukała, ale i tu ta sama cisza, nikt się nie odezwał... Tylko szumiał wiatr na dworze.

– Nie jestem wprawdzie tchórzem – pomyślała, drżąc cała – nie wiem jeszcze, czy tu tak zimno... Ale nie mogę wstrzymać się od dreszczy i zdaje mi się, że każdy, podobnie jak ja, poczułby tu... Zgrozę... Przeważenie.

Wtem z góry doleciały krzyki, a raczej dzikie, straszne wycia i wkrótce potem słyszeć się dało głuche tupanie, jakiś straszny tętent, pod którym ugiął się sufit, jakby kilka osób toczyło z sobą walkę.

Przerażona krzyknęła z całej siły, zbladła jak płótno, przez chwilę nie mogła ruszyć się z miejsca, potem rzuciła się do okna i szybko je otworzyła.

Gwałtowna zawierucha śnieżna zasypała jej oczy, zaczęła dać do pokoju i swym powiewem rozwiała płomień lampy a potem zgasiła go zupełnie.

Równoległe i niedaleko od tego, w którym się znajdowała, wznosił się inny, wysoki budynek. Pośród ponurej ciemności widać było obszerne, jaskrawo oświetlone okno... Przez nie zasłonięte firankami szyby Adrianna spostrzegła ludzką postać, białą, wynędzniałą, wyschlą, za którą wlokło się jakieś prześcieradło; postać ta bezustannie przechadzała się przed oknem.

Wlepiwszy wzrok w to błyszczące w ciemności okno, Adrianna stała jak osłupiała, jakby zaczarowana tym osobliwym widokiem. Kiedy wreszcie przerażenie jej doszło do najwyższego stopnia, krzyknęła z całych sił:

– Ratunku!

I trzymała się kraty, przy której stała, nie śmiać i nie mogąc poruszyć się. Po kilku chwilach, gdy wciąż wołała ratunku, do pokoju weszły dwie baby, tak cicho, że ich nie spostrzegła. Kobiety te, w wieku od czterdziestu do pięćdziesięciu lat, czerstwe, silne, odziane były

jak wiejskie dziewczki, ale brudno i niedbale, na wierzchu odzieży miały wielkie niebieskie fartuchy, które sięgały aż do stóp.

Jedna, trzymająca w ręku lampę, miała szeroką, czerwoną twarz, duży pokryty krostami nos, małe, bure oczy i włosy koloru pakuł, rozczochrane, pokryte brudnym czepkiem. Druga była chuda, koścista, miała na głowie żałobny czepek, spod którego ledwie widać było długą, trupa twarz, pokrytą dziobatą cerą koloru pergaminu, szczególny wyraz nadawały twarzy duże czarne brwi i siwawy gęsty meszek, pokrywający górną wargę. Trzymała w ręku jakąś odzież z szarego płótna, osobliwego kroju.

Obie weszły po cichu małymi drzwiczkami w chwili, kiedy Adrianna, trzymając się kraty, wzywała ratunku.

Skinieniem pokazały sobie młodą dziewczynę i kiedy jedna stawiała lampę na kominie, druga zbliżywszy się do okna, oparła kościstą rękę na ramieniu panny de Cardoville.

Adrianna, nagle się obracając, znów krzyknęła ze strachu na widok tej przerażającej postaci.

Gdy pierwsze wrażenie minęło, prawie się uspokoiła; jakkolwiek odrażająca była ta kobieta, przynajmniej można było do niej przemówić, zawołała więc zmieszonym głosem:

– Gdzie jest pan Baleinier?

Kobiety spojrzały na siebie i nie odpowiedziały.

– Pytam panią – powtórzyła Adrianna – gdzie jest doktor Baleinier, który mnie tu przywiózł... Chcę się z nim natychmiast widzieć.

– Odjechał – odpowiedziała tłusta kobieta.

– Odjechał?... – zawołała Adrianna. – Odjechał beze mnie... Co to znaczy?

Potem, zastanowiwszy się nieco, dodała:

– Sprowadźcie mi powóz.

Kobiety znowu spojrzały po sobie i wzruszyły ramionami.

– Proszę cię, pani – rzekła Adrianna powściągliwym głosem – poszukaj mi powozu, skoro pan Baleinier odjechał beze mnie, nie mam co tu dłużej robić.

– Dobrze, dobrze – odpowiedziała otyła kobieta, którą nazywano Tomaszowa, nie okazując nawet, że słyszy, co Adrianna mówi do niej – późno już... Czas iść spać.

– Czas spać! – krzyknęła z przestachem panna de Cardoville. – Przebóg! Tu można oszaleć!

Potem, zwracając się do kobiet, zapytała:

– Co to za dom?... – Gdzie ja jestem?... Powiedzcie mi.

– Jesteś w domu – mówiła Tomaszowa, chrapliwym głosem – gdzie nie wolno krzyczeć przez okno...

– I nie wolno także gasić lamp... Bo inaczej – dodała druga kobieta o imieniu Gerwaza – pogniewamy się z sobą...

Adrianna nie mogła słowa wymówić, drżąc ze strachu, ze zdziwieniem spoglądała kolejno na te okropne baby, starając się odgadnąć, co to wszystko znaczy. Nagle zdało się jej, że zgadła, zawołała więc:

– Widzę, że zaszła pomyłka... nie mogę jej sobie wytłumaczyć... Ale koniec końców to pomyłka... Bierzecie mnie za kogo innego... Czy wiecie, kto ja jestem? Nazywam się Adrianna de Cardoville!... Słyszycie?... Adrianna de Cardoville!... Widzicie więc, że mi wolno wyjść stąd, nikt nie ma prawa zatrzymywać mnie tu przemocą... A więc, proszę was... Abyście natychmiast poszły poszukać mi powozu... Jeśli go nie ma tu, w pobliżu, dajcie mi kogoś, kto poszedłby ze mną i odprowadził mnie na ulicę Babilońską do pałacu Saint-Dizier. Hojnie wynagrodzę tego człowieka i was także...

– Oj, tak, tak, kiedy to skończymy? – rzekła Tomaszowa – Na co to się przyda gadać nam takie rzeczy?

– Strzeżcie się – mówiła dalej Adrianna, chwytając się wszelkich środków – gdybyście poważyły się zatrzymać mnie tu przemocą... Byłoby bardzo źle... Nie wiecie, co czekałoby was za to.

– Czy pójdziesz spać, czy nie? – odezwała się Gerwaza brutalnie i z niecierpliwością.

– Słuchaj pani – rzekła prędko Adrianna – pozwól mi wyjść, a ja wam obydwu dam po dwa tysiące franków... Czy to nie dosyć?... Dam wam po dziesięć... Po dwadzieścia... Ile zechcecie, jestem bogata... Niech tylko wyjdę.. nie chcę tu pozostać... Boję się... – wołała nie-szczęśliwa, głosem rozdzierającym serce.

– Dwadzieścia tysięcy franków!... Słyszysz, Tomaszowo?... Nastaw kieszeń.

– Daj jej pokój, Gerwazo, to zwykła śpiewka ich wszystkich...

– A! Ponieważ przekonywania, prośby i groźby są daremne – rzekła Adrianna, zdobywając się na wielką energię w swym rozpaczliwym położeniu – oświadczam wam, że pójdę... natychmiast i zobaczymy, kto zechce użyć siły przeciwko mnie!...

I śmiało ruszyła ku drzwiom.

Lecz w tejże chwili przeraźliwy, chrapliwy krzyk, jaki poprzedził łoskot i szamotanie, który tak przstraszył Adriannę, rozległ się znowu.

– A, co to za krzyk? – rzekła, zatrzymując się i zbliżając do dwóch kobiet. – Słyszycie ten krzyk?... Tam, tam... Widzicie?... Co to jest?...

– Co ma być – odparła Tomaszowa – są to osoby, co tak jak ty nie były posłuszne i nie chcą siedzieć spokojnie...

– Co mówisz? – zawołała panna de Cardoville z uczuciem zgrozy... – Na litość boską, co to za dom?... Co im taśm robią?

– Robią im to, co i tobie robią, jeśli będziesz uparta i nie zechcesz pójść spać – odpowiedziała Gerwaza.

– Kładą na nie to – dodała Tomaszowa, pokazując trzymany pod pachą przedmiot – tak, kładą na nie kaftan.

– Ach! – krzyknęła Adrianna, z przerażenia zakrywając twarz rękami.

Okropna myśl zabłysła w jej głowie.

Zrozumiała wszystko.

Po dotkliwych przejściach, ten ostatni cios dobił ją, zaczęła mdleć, ręce jej opadły, twarz okropnie zbladła, ciało wstrząsnął dreszcz i ledwie zdołała wymówić słabnącym głosem, padając na kolana i wskazując przygasłym okiem straszny kaftan:

– Ależ, nie... Przez litość... Przebaczenie... Zrobię, co zechcecie...

Potem już sił jej zabrakło, zaczynała upadać i... Gdyby kobiety nie podbiegły i nie podtrzymały ją, upadłaby na posadzkę.

– Zemdląca, to nie szkodzi... Z tego nie umrze – rzekła Tomaszowa – zanieśmy ją na łóżko... Rozbierzmy ją... A jak się prześpi, to jak ręką odjął.

– Ty ją zanieś – rzekła Gerwaza – ja wezmę lampę.

I Tomaszowa, potężna baba, wzięła pannę de Cardoville jak rozespiane dziecko i poniosła, idąc za towarzyszką.

Stancjyka, do której weszły, była czysta, ale zupełnie pusta, zielonkawy papier pokrywał ściany, w kącie stało małe, żelazne łóżeczko, piecyk w kominku otoczony był kratą, która wzbraniała do niego dostępu, stół przytwierdzony był do ściany, wreszcie komoda mahoniowa i krzeselko, słomą wyplatane, przytwierdzone do posadzki – takie to było smutne umeblowanie; dodać jeszcze należy, iż okno bez firanek było zakratowane, dla ochrony szyb od rozbicia.

Kiedy jedna z dozorczyń podtrzymywała pannę de Cardoville, druga tymczasem rozpięła i zdjęła jej suknię, dziewczyna bezsilnie schyliła głowę na piersi.



Przy rozsznurowaniu atlasowego gorsetu, który więził świeże, różowe jak alabaster ciało, gdy wstrętna baba dotknęła chropowatą ręką obnażonych ramion, Adrianna, niezupełnie przy-szedłszy do przytomności, drgnęła mimo woli pod tym szorstkim, brutalnym dotknięciem.

– Ho, ho! Jakie ma małe nogi! – mówiła baba, która, przyklękawszy, zdejmowała Adriannie trzewiki – obie razem zmieściłyby się w mojej dłoni.

– A włosy? Jakie długie! – rzekła Tomaszowa. – A jakie miękkie!... Mogłaby, chodząc, nogą je nadepnąć... szkoda je będzie ucinać, gdy wypadnie przykładać lód na głowę.

Czy to skutkiem instynktownego wstrętu, udzielającego się podświadomie podczas omdlenia, czy to skutkiem zimnej nocy... Wkrótce Adrianna znowu zadrżała i powoli wróciła do przytomności. Niepodobna opisać jej przerażenia, gniewu, obrażonej wstydlivosti, gdy odgarnawszy obu rękami włosy, które zakrywały jej twarz i łzami zalane oczy, odzyskawszy zupełnie przytomność, ujrzała się na wpół obnażoną, w obecności dwóch strasznych megier. Uczuciem wstydu i trwogą przejęta, krzyknęła, potem, chcąc uniknąć wzroku tych kobiet, ruchem szybkim jak myśl, przewróciła lampę, stojącą na półce, która upadając, stłukła się i zgasła.

Wtedy, nieszczęśliwa, okrywszy się kołdrą, zaczęła głośno płakać...

Ten raptowny ruch tudzież płacz z przeraźliwym krzykiem dozorczyńnie przypisały napa-dowi szału.

– Ha! Już zaczynasz gasić i tłuc lampy... Już zaczynasz dokazywać – rzekła rozgniewana Tomaszowa, idąc po omacku w ciemności – dobrze... Ostrzegałam cię... Dostaniesz jeszcze tej nocy kaftan, jak tamta wariatka na górze.

– Tak, tak – odezwała się druga – trzymaj się, Tomaszowo, a ja pójde po światło... Przecież we dwie damy jej radę.

– Tylko wracaj prędko... Bo, pomimo jej słodziuchnej minki, zdaje się, że to gwałtowna furiatka... I zapewne trzeba będzie pilnować jej całą noc.

Adrianna de Cardoville spędziła okropną noc w towarzystwie dwóch megier.

Jakież było jej zdziwienie, gdy nazajutrz rano ujrzała wchodzącego do pokoju doktora Baleinier, jak zawsze uśmiechniętego, pełnego ojcowskiej troskliwości.

– I cóż tam, moja droga? – odezwał się czułym głosem. – Jak przepędziliśmy noc?

## ROZDZIAŁ XIII

### ODWIEDZINY DOKTORA

Dozorczyńnie panny de Cardoville na jej prośbę, nade wszystko na jej przyrzeczenie, że będzie posłuszna, zostawiły na niej kaftan tylko przez noc, za dnia wstała i ubrała się sama, bez pomocy. Na widok doktora Baleinier, który skinieniem kazał oddalić się kobietom, panna de Cardoville osłupiała. Przypomniała sobie bezczelność tego człowieka... I on śmiał się pokazać! Lecz gdy doktor słodkim głosem i tonem wielkiej życzliwości powtórzył:

– I cóż, moja droga... Jak przepędziliśmy noc?...

Adrianna podniosła ręce do rozpalonego czoła, jak gdyby sama siebie chciała zapytać, czy to dzieje się we śnie, czy na jawie. Potem, spoglądając na doktora, otworzyła usta... Ale tak jej drżały, iż nie mogła wymówić słowa.

Oburzenie, wzgarda, a nade wszystko bolesne uczucie, jakie w szlachetnych sercach budzi wspomnienie zdradzonego zaufania, tak zmieszały Adriannę, iż nie mogąc wyrzec słowa, czuła jakiś ciężar i nie potrafiła przerwać milczenia.

– No! No!... Widzę, o co chodzi – rzekł doktor, smętnie kiwając głową – gniewasz się na mnie... Prawda? Nie dziwi mnie to, moja droga, tego się spodziewałem.

Adrianna zerwała się, jej blade lica zaogniły się, wielkie czarne oczy zabłysły, podniosła piękne czoło, wargi uniosły się pogardliwym uśmiechem, potem milcząc, przeszła przed doktorem Baleinier i szybko puściła się ku drzwiom.

Drzwi były zamknięte.

Adrianna zwróciła się ku doktorowi, wskazała mu drzwi rozkazującym gestem i rzekła:

– Otwórz pan!

– Powoli, moja kochana panno! – odpowiedział. – Uspokój się... Pomówmy po przyjacielsku... Bo, pani wiesz... Jestem jej przyjacielem.

– A więc... – rzekła Adrianna drżącym od gniewu głosem – nie wyjdę stąd jeszcze dziś?

– Niestety! Nie... W takim stanie... Gdybyś pani wiedziała, jak jej twarz jest rozogniona... I puls pani pewno uderza z osiemdziesiąt razy na minutę... Zaklinam cię, moja droga, nie pogarszaj swego stanu tym nieszczęsnym wzburzeniem...

Spojrząwszy bystro na doktora, wróciła powolnym krokiem i usiadła na krawędzi łóżka.

– Moje dziecko, chcę, abyś mi kiedyś była tak samo wdzięczna, jak dziś jesteś oburzona... Przewidziałem to... Lecz, jakkolwiek przykre są niektóre obowiązki, spełniać je trzeba – rzeki Baleinier tonem tak przekonującym, iż Adrianna nie mogła powstrzymać zdziwienia...

Potem smutnie uśmiechnęła się i rzekła:

– Talk!... Istotnie... Wszystko to dla mojego dobra...

– Niewątpliwie, moja droga, czyż miałem kiedy na celu co innego niż być użytecznym?

– Mój panie! Nie wiem, czy twoja bezczelność nie jest jeszcze haniebniejsza niż twa podła zdrada!...

– Zdrada? – odparł doktor tonem politowania, wzruszając ramionami – zdrada?... Ależ zastanów się, moje dziecko... Czy sądzisz, że gdybym nie działał uczciwie, w twoim interesie, przyszedłbym dziś z rana, aby narażać się na twój gniew, którego powinienem był się spodziewać? Jestem naczelnym lekarzem tego domu, który należy do mnie...

Adrianna spokojnie słuchała doktora, a potem spojrzała nań i rzekła:

– Mój panie! Co panu płacą za to... Żebyś uważał mnie za obłąkaną?

– Panno Adrianno... – zawołał doktor Baleinier, udając obrażonego.

– Jestem bogata... Wie pan o tym! – rzekła tonem najwyższej pogardy. – Dam dwa razy więcej niż to, co panu dają... No... Panie Baleinier, w imię... Przyjaźni, jak mówisz... Pozwól mi przynajmniej skorzystać z tego pierwszeństwa.

– Dozorczyni doniosły mi, że taką samą propozycję i im uczyniłaś – odrzekł Baleinier, z właściwą sobie zimną krwią.

– Wybacz pan... Ofiarowałam im tyle, ile ofiarować można prostym, ubogim kobietom. Lecz pan... Człowiek światowy, posiadający wiele wiedzy... To co innego: wszystko to znacznie więcej kosztuje, są zdrady za różne ceny... A więc, nie chciej mi odmawiać z powodu... Niskiej ceny, ofiarowanej tamtym... Powiedz, ile pan żadasz?

– Dozorczyni doniosły mi także, że im groziłaś – rzekł Baleinier oziębło – czy i mnie również zechcesz grozić?... Moje dziecko, wierz mi, wyczerpmy od razu środki przekupstwa i pogroźek... A pomówmy rozsądnie.

– Sądzi pan, że moje groźby będą płonne? – zawołała panna de Cardoville, puszczając cugle dotąd powstrzymanyemu oburzeniu. – Sądzisz, że gdy wyjdę stąd, bo ten gwałt przecież skończy się prędzej czy później... Że przemilczę o twej zbrodniczej zdradzie!... O niegodziwej spółce z panią Saint-Dizier!... Sądzisz, że przemilczę, jak okrutnie obchodzono się ze mną? Jakkolwiek jestem nieświadoma, wiem jednak, że są prawa i domagać się będę pełnego zadośćuczynienia dla siebie, a przykładnej i surowej kary dla pana i pańskich współników... Bo teraz między nami... Wieczna nienawiść... Wojna na śmierć... A ja na poparcie jej użyję wszystkich sił, rozumu i...

– Pozwól, Adrianno, że ci przerwę – rzekł doktor, wciąż spokojny i łagodny – nic nie byłoby dla twego wyleczenia szkodliwsze jak niedorzeczne nadzieje, utrzymywałyby cię ciągle

w stanie nieszczęsnej egzaltacji, trzeba ci więc bez ogródek i dokładnie wyjaśnić całe położenie: 1) niepodobna, abys stąd wyszła, 2) nie możesz mieć żadnych kontaktów na zewnątrz, 3) do tego domu wchodzi tylko tacy ludzie, których jestem zupełnie pewny, 4) od twych pogroźek i zemsty zasłonięty jestem całkowicie dlatego, że wszystkie okoliczności i wszystkie prawa są za mną.

– Wszelkie prawa!... Aby mnie więzić tutaj...

– Nie przystąpiono by do tego bez mnóstwa powodów...

– Proszę... więc są powody?

– Na nieszczęście jest ich bardzo wiele.

– Czy zechce mi je pan wyjawić?

– Niestety! Aż nadto są ważne i jeżelibyś udała się kiedyś do sądu, byłibyśmy zmuszeni wymienić: bardziej niż dziwaczny sposób pani życia, jej manię fantastycznego ubierania pokojówek, wygórowaną hojność, historię z księciem indyjskim, któremu ofiarowałaś królewskie przyjęcie, awanturę z rzemieślnikiem, ukrytym w sypialnym pokoju... Wreszcie protokół z odbytego z tobą wczoraj badania, które zostało wiernie spisane przez stenografa.

– Jak to... Wczoraj? – zawołała Adrianna z oburzeniem.

– A tak!... Aby być przygotowanym na wszelki wypadek, gdybyś pogardziła naszą troskliwością o twoje dobro, kazaliśmy stenografowi, ukrytemu w alkowie za firanką, spisać wszystkie twoje odpowiedzi... I niewątpliwie, z czasem, kiedy będziesz spokojniejsza i odczytasz uważnie ten protokół... Nie będziesz się dziwiła środkiem, jakich musiano się chwycić... Środkiem niemiłym, ale niezbędnym.

– Mów pan, mów dalej – odrzekła z pogardą panna de Cardoville.

– Widzisz więc pani, że odpowiedzialność tych, którzy cię kochają i dobrze ci życzą, jest zabezpieczona, musieli starać się, aby wyleczyć to nadwężenie umysłu, które wprawdzie teraz objawia się tylko w nieszczęsnej manii, a które jednak zgubiłoby cię w przyszłości, gdyby się mocniej rozwinęło... Jednakże, moim zdaniem, jest nadzieja wyleczenia cię za pomocą kuracji, fizycznej i moralnej... Pierwszym warunkiem zaś jest, aby cię usunąć od dziwnego towarzystwa, które tak szkodliwie podnieca twoją wyobraźnię, gdy zaś pobędziesz tu jakiś czas w odosobnieniu, w zaciszu, mam nadzieję, że moje usilne i – zapewnić cię mogę, ojcowskie starania, powoli, powoli, zupełnie cię ulecą...

– A więc, panie doktorze – rzekła Adrianna z gorzkim uśmiechem – umiłowanie niezależności, wspaniałomyślność, upodobanie w tym, co piękne, a odraza do tego, co bezecne, nikczemne, to są choroby, z których masz mnie pan wyleczyć? Wątpię, czy będę uleczona, gdyż od dawna moja ciotka próbowała tej kuracji.

– Może się nam uda, spróbujemy przynajmniej. Widzisz więc, pani, że dla mnóstwa ważnych pobudek mieliśmy zupełne prawo, a raczej obowiązek wykonania postanowienia, jakie zapadło na radzie rodzinnej; widzisz również, że jestem zabezpieczony od jej pogroźek i o tym właśnie chciałem panią przekonać. Człowiek w moim wieku, na takim stanowisku, nigdy, a zwłaszcza w takich okolicznościach, nie działa lekkomyślnie, pojmujesz więc pani teraz, co powiedziałem, słowem, nie spodziewaj się, że wyjdiesz stąd przed pełnym wyleczeniem i bądź przekonana, że jestem i zawsze będę bezpieczny wobec jej pogroźek... Ponieważ działałem dla pani dobra... Skoro więc to nie ulega wątpliwości... Pomówmy teraz o pani obecnym położeniu.

– Przyznaję... Że jeżeli jestem wariatką, mówi pan bardzo rozsądnie.

– Pani wariatką!... Dzięki Bogu, moja droga, jeszcze do tego nie doszło... I mam nadzieję, że przy moich staraniach nigdy do tego nie dojdzie... Właśnie, żeby cię od takiego stanu uchronić, należy wcześniej przedsięwziąć środki zaradcze... A wierz mi, że nie ma czasu do stracenia... Patrzysz na mnie ze zdziwieniem... Zastanów się tylko... Jakiż miałbym interes wmawiania w panią?... Czy sądzisz, że dogadzam pani ciotce? Przypuśćmy, że ona cię nienawidzi... Lecz w jakim celu bym to robił? W tej chwili nie myślę o niej ani lepiej, ani gorzej

niż wczoraj. Alboż ja do pani inaczej i co innego mówię teraz, aniżeli dawniej? Czyż nie mówiłem pani jeszcze wczoraj o niebezpiecznych skutkach jej egzaltacji, o jej dziwacznych maniach?... Użyłem podstępny dla sprowadzenia pani tutaj... To prawda! Skorzystałem ze sposobności, jaką mi sama nastreczyłaś... To również prawda... Bo pewno byś nie przyszła tu dobrowolnie; prędzej czy później... Wypadałoby uciec się do podstępu, dla sprowadzenia cię tutaj... I wyznaję... Pomyślałem sobie; jej dobro przede wszystkim... Co będzie, to będzie, a ty czyń, coś powinien...

Słyszając tego człowieka, przemawiającego w sposób, na pozór tak naturalny i szczerzy, słyszając go tak przekonany, Adrianna poczuła większą niż dotąd obawę. Haniebna zdrada, przybrana w takie formy, przerażała ją sto razy więcej aniżeli jawna nienawiść księżny Saint-Dizier... Wreszcie ta beczelna obłuda wydawała się jej tak szkaradna, iż prawie nie mogła w nią uwierzyć. Tak mało znała sztukę maskowania uczuć, iż doktor, biegły i głęboki fizjonomista, od razu spostrzegł wrażenie, jakie sprawiły na, niej jego słowa.

– Dobrze – pomyślał – to wielki krok naprzód... Po wzgardzie i gniewie nastąpił strach... Wątpliwość już niedaleko... Nie odejdę stąd, aż powie: Wracaj prędko, mój kochany panie Baleinier.

Mówił więc dalej głosem smutnym, wzruszonym, jakby pochodzącym z głębi serca:

– Widzę... Że jeszcze mi nie ufasz... Że sądzisz ciągle, iż-wszystko, co mówię, jest kłamstwem, oszustwem, obłudą, prawda?... Ciebie miałbym nienawidzić... Ja... Ja... A za cóż?... Przez. Boga żywego! Cóż mi zawiniła? Albo jaki mógłbym mieć interes w tym, aby cię nienawidzić?... Pani, która chorujesz, iż tak powiem, na zbytek pięknych przymiotów... Zważ, kochane dziecko... To źle... Bardzo źle i widzę, że niezależny umysł okazać może tyle samo niesprawiedliwości i nietolerancji jak najbardziej-ograniczony. To mnie nie obraża... Nie... To mnie martwi...

I tu otarł ręką wilgotne oczy.

Niepodobna opisać akcentu głosu, spojrzenia, fizjonomii doktora, gdy to mówił. Słowem, czuł całą ohydę swego wiarołomstwa, ale wiedział również, że Adrianna nie jest zdolna uwierzyć w istnienie takiego potwora, zdarzają się bowiem tak obmierzłe postęпки, iż dusze prawe przypuścić ich nawet nie mogą.

Adrianna znajdowała się teraz w tak okrutnym położeniu, iż-niepodobna przypuścić, aby doktor nie czuł litości dla tej nieszczęsnej dziewczyny. Zaciągnięty od dawna obowiązek okazywania jej przywiązania, pokładana w nim zawsze jej ufność, stały się dla niego miłymi nałogami... Lecz przywiązanie i przyzwyczajenie musiały ustąpić przed nieubłaganą koniecznością. Z takich względów margrabia d'Aigrigny, chociaż ubóstwiał swą matkę, chociaż konająca wzywała go do siebie... Musiał jechać do Rzymu. Po takim przykładzie, jakże doktor Baleinier nie miał poświęcić Adrianny?

W chwili, kiedy kończył swą żarliwą przemowę do Adrianny, deseczka w drzwiach odsunęła się powoli i dwoje oczu patrzyło z uwagą, co się dzieje w pokoju.

Baleinier nie spostrzegł tego.

Adrianna nie mogła oderwać wzroku od doktora, który jakby ją oczarował; milcząca, udęczona, przejęta jakąś trwogą, nie mogąc przeniknąć ciemnych głębi duszy tego człowieka, wzruszona mimowolnie szczerością na wpół zmyśloną, na wpół prawdziwą czulego, ubolewającego głosu... zaczęła powątpiewać.

Pierwszy raz przyszło jej na myśl, że Baleinier może dopuścić się strasznej pomyłki... w dobrej wierze.

– Nie, nie... Nie chcę... Nie mogę panu wierzyć... Zbyt wiele masz wiedzy, zbyt wiele doświadczenia, abys mógł popełnić taki błąd...

– Błąd... – rzekł Baleinier poważnym, smutnym tonem – błąd... Pozwól mi pani mówić, w imię tej wiedzy, tego doświadczenia, posłuchaj mnie przez chwilę, a potem... Odwoływać się będę... Do ciebie samej...

– Do mnie samej? – odpowiedziała zdumiona – chcesz mnie przekonać, że... – potem przyrywając, dodała z konwulsyjnym uśmiechem: – brak jeszcze pańskiemu triumfowi, abys mnie mógł zniewolić do wyznania, że jestem w obłądnie... Że to jest odpowiednie dla mnie miejsce... Że winna ci jestem...

– Wdzięczność... Tak, winnaś mi ją, pani, jak to już powiedziałem... Posłuchaj mnie tylko, moje słowa będą okrutne, bo są rany, które tylko żelazem i ogniem można zagoić. Zaklinam cię, moje kochane dziecko... Zastanów się... A przełkniesz się... Przypomnij sobie owe chwile wybujałej egzaltacji, w których, jak mówiłaś, zdawało ci się, że nie jesteś już z tego świata... A więc, czemu przypisać twój sposób życia, tak osobliwy, tak nieodgadniony? Czy zdołasz kiedyś przekonać siebie samą, że jest rozsądny? O! Moje dziecko, strzeż się!... Dotąd jeszcze same piękne, miłe dziwactwa... Poetyczne osobliwości... Miłe, nic nie znaczące przywidzenia... Ale śliska to droga, na której zatrzymać się trudno... Dotąd jeszcze poniekąd zdrowa... Ale choroba gwałtownie i szybko rozwija się... Mogą nastąpić nie wybryki, dziwactwa, ale szaleństwa, śmieszne, brudne, obmierzłe.

– O! Boję się – zawołała nieszczęśliwa dziewczyna, przykładając drżącą rękę do rozpalonego czoła.

– Wtedy to – mówił dalej Baleinier – wtedy gasną ostatnie promyki rozumu, wtedy... Szaleństwo... Trzeba nareszcie wymówić to straszne słowo... Szaleństwo bierze górę i wybucha we wściekłych, dzikich uniesieniach...

Jak u kobiety... Tam na górze – pomyślała Adrianna i mimo woli podniosła wzrok ku sufitowi.

– Już to – mówił dalej doktor, sam przerażony skutkiem swoich słów, lecz ulegając nieubłaganej potrzebie – już to szalą bywa głupi, bydlęcy, ulegająca mu nieszczęsna istota, prócz postaci nic już nie ma w sobie ludzkiego... Pozostaje jej tylko zwierzęcy instynkt, jak bydlę... Je chciwie, a potem jak bydlę ciągle chodzi wzdłuż i w szerz po zagrodzie, w której trzeba ją zamykać... Na tym tylko polega jej życie... Całe...

– Jak u tej kobiety...

I Adrianna z coraz bardziej obłąkanym wzrokiem wskazała, okno w przyległym budynku.

– O! Tak!... Tak!... – zawołał Baleinier – tak samo jak pani, te nieszczęśliwe kobiety były także młode, piękne, dowcipne, lecz również jak pani, miały w sobie, niestety, ten nieszczęsny zaród pomieszania, który, nie będąc wcześniej zniszczony, wzmagał się... Wzmagał... I na zawsze przytłumił ich rozum.

– O! Zmiłuj się pan – zawołała panna de Cardoville, tracąc głowę z przestachu – ulituj się... Nie mów mi o tym... Raz, jeszcze mówię ci... Lękam się... Proszę cię, wyprowadź mnie stąd... Mówię panu, wyprowadź mnie stąd! – krzyknęła przeraźliwym, głosem. – Bo, jak mówiłeś... Ja tu dostanę obłądu.

Potem, dręcząc się strasznymi myślami, mówiła dalej:

– Nie, och! Nie! Nie spodziewaj się! Ja nie zwariuję, ja mam zupełnie zdrowy rozum, czyż jestem tak ograniczona, abym miała wierzyć temu, o czym mówisz?... Prawda, że nie tak żyję jak inne, inaczej myślę jak inni, oburzają mnie rzeczy, które innym są obojętne, ale czego to dowodzi?... Że nie jestem podobna do innych, niczego więcej... Czy mam złe serce? Czy jestem zazdrosna, samolubna? Dziwne bywają moje wyobrażenia, zgadzam się; ależ, panie Baleinier, dobrze wiesz, że cel ich jest szlachetny, wzniosły!

Głos Adrianny stał się wruszający, błagalny, obfite łzy płynęły z oczu, ale mówiła dalej:

– W całym moim życiu nie dopuściłam się złego czynu, jeśli zblądziłam, to w dobrej wierze, chciałabym widzieć wkoło siebie wszystkich szczęśliwymi, ale przecież nie jestem wariatką... A wreszcie samej można wyczuć, czy się jest wariatką czy nie, a ja tego bynajmniej nie czuję... Jeszcze coś... Czy wiesz... Mówisz mi tak straszne rzeczy o tych tam kobietach... Musisz przecież lepiej niż ja znać się na tym... Lecz w takim razie – dodała tonem przerażającej rozpaczki – dlaczego czekałeś tak długo?... Nie mogłeś zlitować się nade mną wcześniej? A co najstraszniejsze, ja nie wiem, czy mam panu wierzyć... Bo to może zasadzka... Ale nie...

Nie... Płaczesz, a więc to miałyby być prawda, a więc... Ponieważ płaczesz... – dodała, patrząc na doktora, który mimo bezczelności i nieczułości nie mógł się wstrzymać od łez. – Płaczesz nade mną... A więc to prawda?... Ale, przebóg, wypada więc coś przedsięwziąć, prawda? O! Zrobię wszystko, co zechcesz... Tak, wszystko... Bylebym nie była taka jak te kobiety... Jak owe kobiety z zeszłej nocy... A gdyby było za późno?... Och, nie... Nie jest jeszcze późno... Prawda, drogi panie Baleinier?...

Po tych krótkich, przerywanych łkaniem słowach, nastąpiło milczenie.

Adrianna zakryła twarz rękami, potem podniosła głowę, na twarzy jej widać było nieco więcej spokoju, choć przebiegał jeszcze po niej konwulsyjny dreszcz.

– Panie Baleinier – rzekła z tkliwą godnością – nie wiem, co panu przed chwilą powiedziałam, zdaje mi się, że strach ogarnął mnie, jestem w twojej mocy, wiem o tym, nic mnie wyrwać nie zdoła.... Ale czy jesteś moim nieprześląganym wrogiem?... Czy, przeciwnie, moim przyjacielem? Tego nie wiem... Pomimo mojej odwagi, przyznaję sama, że jestem zwyciężona. Cokolwiek bądź będą żądać ode mnie... rozumie pan? Cokolwiek bądź... z góry zgadzam się na wszystko... Daję na to słowo, a moje słowo jest pewne, pan o tym wie... Nie będziesz więc miał żadnego powodu trzymać mnie nadal tutaj... Jeżeli, przeciwnie, jesteś szczerze przekonany, że mój rozum zagrożony jest niebezpieczeństwem, a wyznaję panu, żeś obudził we mnie niewyraźną wprawdzie, ale przerażającą wątpliwość... Powiedz mi, a uwierzę ci... Jestem sama, na twojej łasce, nie mam przyjaciół, nie mam się kogo poradzić... A więc, ślepo polegam na tobie... Czy błagam o litość mego zbawcę, czy kata?... Tego nie wiem... Ale mówię mu, masz moją przyszłość... Moje życie... Bierz... Już nie mam siły bronić się przed tobą.

Te słowa rezygnacji, rozdzierającej serce, zadały ostatni cios wahaniom doktora.

Niezmiernie wzruszony tą sceną, nie myśląc o skutkach tego, co zamierzał uczynić, chciał przynajmniej uspokoić nieszczęśliwą Adriannę co do strasznej a bezzasadnej obawy, którą w niej zdołał wzbudzić. Obudził się w nim szczerzy żal i życzliwość dla tej dziewczyny.

W chwili, gdy zbliżał się do Adrianny, piskliwy, ostry głos dał się słyszeć za drzwiami:

– Panie Baleinier!...

– Rodin... – mruknął przestraszony doktor – on mnie podsłuchiwał!

– Kto pana woła? – spytała Adrianna.

– Osoba, której wyznaczyłem tu spotkanie, dziś rano... Aby pójść razem do klasztoru Panny Marii, który jest niedaleko – odrzekł zmartwiony doktor.

– A teraz co mi pan odpowiesz? – zapytała Adrianna, dręczona niepewnością.

Po chwili milczenia, podczas którego doktor spoglądał ku drzwiom, rzekł wzruszony:

– Jestem... Zawsze byłem... Twoim przyjacielem... Niezdolnym oszukać cię...

Adrianna zbladła jak śmierć.

Potem wyciągnęła rękę do doktora, mówiąc głosem, któremu starała się nadać jak największej mocy:

– Dziękuję... Będę spokojna... A czy długo to potrwa?

– Może miesiąc... Samotność... Zastanowienie, stosowna dieta, moje usilne starania; uspokój się, pani, wszystko będzie ci dozwolone, co nie jest szkodliwe w twoim położeniu, będziesz otoczona wszelkimi należnymi ci względami... Jeśli ten pokój nie podoba ci się, możesz otrzymać inny...

– Nie... Nie, ten czy inny... Wszystko jedno – odpowiedziała Adrianna, przejęta ponurą udręką.

– Może pan mnie tylko pociesza? – rzekła Adrianna z bolesnym uśmiechem, a potem dodała: – A więc niedługo, drogi panie Baleinier! Cała moja nadzieja teraz tylko w panu.

I schyliła głowę na piersi, ręce opadły jej na kolana, pozostała siedząc na krawędzi łóżka, blada, nieruchoma, udręczona...

– Wariatka... – wyrzekła, gdy doktor się oddalił – może i wariatka...

## Część siódma

### PORWANIE SIEROT

#### ROZDZIAŁ I

#### STRASZNE PRZECZUCIE

Kiedy rozgrywały się powyżej opisane sceny, prawie w tym samym czasie przy ulicy Brise-Miche, u Franciszki Baudoin zaszły inne wypadki.

Godzina siódma rano wybiła na wieży kościoła Saint-Merry. Dzień był pochmurny, szron osiadł na oknach w smutnej izdebce żony Dagoberta.

Nie wiedząc jeszcze o aresztowaniu syna, Franciszka oczekiwała go wczoraj do późnej nocy z wielkim niepokojem, wreszcie, znużona, koło godziny trzeciej położyła się na materacu obok Róży i Blanki. Z nadejściem dnia wstała i poszła do izdebki Agrykoli, sądząc, że wrócił.

Róża i Blanka również wstały i ubrały się. Były same w smutnej, zimnej izdebce. Niewiele śpiąc w nocy, spostrzegły, jak niespokojna była żona Dagoberta. Widziały ją to chodzącą i coś do siebie mówiącą, to przysłuchującą się najmnijszemu szelestowi na schodach, to kłęczącą przed krucyfiksem stojącym w rogu izby.

– Siostró – rzekła Róża do Blanki, gdy Franciszka wyszła z izby – żona Dagoberta jest bardzo niespokojna: Czy widziałas tej nocy... Jej zmartwienie? Jak ona płakała, jak się modliła!...

– Mnie tak samo jak ciebie poruszyło jej zmartwienie i rada bym wiedzieć, czym się tak martwi...

– Boję się odgadnąć, może to my jesteśmy przyczyną jej niepokoju?

– Z jakiego powodu, siostró?

– Posłuchaj, moja droga, wczoraj Franciszka chciała pracować nad tymi workami z grubego płótna... Które leżą tu na stole...

– Tak... I w pół godziny potem rzekła ze smutkiem, że nie może szyć... Bo nie widzi dobrze... Bo już straciła wzrok.

– A więc nie może już zarobić na utrzymanie.

– Nie o to idzie, jej syn... Agrykola utrzymuje ją... On jest taki dobry, taki szczerzy, szczęśliwy, że może się poświęcać dla matki... O! Tak, on jest godnym bratem naszego Gabriela... Dagobert wyznał nam, że gdy tu przybył, pozostało mu tylko kilka franków.

– To prawda...

– A on, również jak jego żona, nie jest w stanie zarobić na utrzymanie, biedny stary żołnierz, cóż by on robił?

– Agrykola musi więc także pracować na utrzymanie ojca... Gdyż Gabriel, będąc ubogim księdzem i sam nic nie mając, nie może pomagać tym, którzy go wychowali... Widzisz więc, że Agrykola sam jeden musi zarabiać na utrzymanie całej rodziny.

– Bez wątpienia... Idzie tu o jego matkę... O jego ojca... I to jego obowiązek, chętnie go też wypełnia...

– Tak, siostró... Lecz wobec nas nie ma żadnych obowiązków...

– O czym ty mówisz. Blanko?

– Musi także pracować na nas, bo my nic nie mamy na tym świecie.

– To mi nie przyszło na myśl, a tak jest w istocie.

– Bo widzisz, moja droga, chociaż nasz ojciec jest księciem i marszałkiem Francji, jak mówi Dagobert... Chociaż spodziewamy się wiele, dzięki tym medalionom, dopóki ojciec tu nie przybędzie, pozostaniemy biednymi sierotami, będziemy ciężarem dla tej biednej rodziny, której winniśmy tyle, a której zresztą jest przykro... Że...

– Dlaczego przerywasz... Co chciałaś powiedzieć?

– To, co ci powiem, kogo innego pobudziłoby do śmiechu, ale ty to pojmiesz: wczoraj żona Dagoberta, widząc, jak biedny Ponury jadł, rzekła smutnie: Ależ on zje za jedną osobę... Sposób, w jaki to wymówiła, pobudził mnie prawie do płaczu, możesz sobie wyobrazić, jak oni są biedni... A teraz i nas jeszcze muszą żywić.

– Rozumiem cię, siostró – rzekła Róża po chwili milczenia. – A więc, nie możemy być nikomu ciężarem... Jesteśmy młode, nie zbywa nam na chęciach... Zanim nasze położenie poprawi się, uważajmy się za córki rzemieślnika... A zresztą, czy nasz dziadek sam nie był rzemieślnikiem? Poszukajmy więc roboty i zapracujmy same na życie...

– Dobrze mówisz, siostrzyczko! – rzekła Blanka. Tak, wczoraj, słysząc żonę Dagoberta tak smutnie narzekającą na utratę wzroku... Spojrzałam na twoje wielkie oczy, wspomniałam o moich i pomyślałam: Zdaje mi się, że jeżeli żona Dagoberta traci wzrok... To panny Róża i Blanka Simon doskonale widzą... Jedno za drugie – dodała z uśmiechem.

– Zresztą panny Simon nie są tak niezręczne – dorzuciła Róża – żeby nie potrafiły szyć worków z grubego płótna, które podrapie im co najwyżej ręce.

– Jak zwykle, myślałyśmy o tym samym.

– Tak, ale mnie jeszcze coś dręczy...

– Co takiego?

– Dagobert i jego żona powiedzą nam, nie jesteście do tego stworzone, wstydzicie się... Córki marszałka Francji, a potem, a potem...

– Cała rzecz, że gdy Dagobertowi przyjdzie coś do głowy... Nic z nim nie można poradzić.

– Mam pewną myśl – zawołała Róża – wyborną myśl. Znasz tę biedną szwaczkę, którą nazywają Garbuską, tak uczynną i dobrą... Trzeba zapytać ją, jak znajduje dla siebie robotę.

– A więc postanowione, siostrzyczko! Skoro tylko będziemy same z Garbuską, zwierzymy się jej i poprosimy o radę. Jestem pewna, że gdy ojciec wróci, pochwali nas za to, żeśmy chciały sobie radzić, jak gdybyśmy były same na świecie...

Na te słowa siostry Róża drgnęła... Jakiś smutek, prawie trwoga odbiła się na jej twarzy i zawołała:

– O, moja siostró, jaka okropna myśl...

– Co ci jest?... Przerażasz mnie...

– Biję mi serce, można by pomyśleć, że spotkać ma nas jakieś nieszczęście.



– To prawda, biedne serce, strasznie bije...  
 – Gdyby tutaj los... Nieszczęście... Odłączyło nas od Dagoberta, gdybyśmy pozostały same... Opuszczone, bez pomocy, w tym wielkim mieście?  
 – Ach, siostrze... Nie mów o tym!... To okropna myśl!... Mój Boże!... Co począć w takim razie?  
 Piękne ich twarzyczki, dotąd ożywione szlachetną nadzieją, poblewały i zasępiły się.  
 Po długim milczeniu Róża podniosła głowę:  
 – Słuchaj... Blanko... Nie myślmy o takich rzeczach... Czy nie jesteśmy u Dagoberta... Pośród uczciwych i dobrych ludzi?..  
 – Niepodobna, alby nas spotkało nieszczęście... Prawda, siostrze?  
 – Niepodobna... – odparła Róża – a czy w dniu poprzedzającym nasz przyjazd do owego miasteczka w Niemczech, gdzie zginął biedny Jowialny, gdyby nam kto powiedział, że będziemy uwięzione... Czy nie powiedziałybyśmy, jak dzisiaj... To niepodobna. Alboż nie ma Dagoberta, który nas obroni?... A przecież, przypomnij sobie... W dwa dni później byliśmy w więzieniu w Lipsku...  
 – O! Nie wspominaj o tym.  
 Siostry przytuliły się do siebie, oglądając się wkoło z mimowolnym przestraszaniem.  
 Córki marszałka Simona były jeszcze pogrążone w smutku, gdy żona Dagoberta wróciła z izby syna, nadzwyczaj strapiona.

## ROZDZIAŁ II

### LIST

Wyraz twarzy Franciszki był tak zmieniony, że Róża spojrzawszy na nią, zawołała:  
 – Na miłość boską, co pani jest?  
 – Niestety! Moje kochane panienki, już dłużej taić przed wami nie będę. Od wczoraj ledwo żyję... Czekałam na syna z wieczerzą, jak zwykle... Czekałam na niego... Bo od dziesięciu lat nie poszedł na górę spać, nie pożegnał się ze mną... Część nocy przepędziłam przy drzwiach, w nadziei, że może usłyszę jego kroki... O trzeciej rano rzuciłam się na materac...  
 – I co?  
 – Nie przyszedł!... – odrzekła biedna matka.  
 Róża i Blanka spojrzały na siebie z niepokojem. Gdyby Agrykola nie wrócił, jak mogłaby żyć ta biedna rodzina? Czy nie stałyby się podwójnym ciężarem?  
 – Może jednak – odezwała się Róża – Agrykola miał jakieś pilne zajęcie?  
 – O! Nie, nie, on by wrócił, choćby najpóźniej, bo wie, ile by mnie nabawił niepokojem... Niestety!... Jakież nieszczęście musiało go spotkać... A jeszcze muszę się kłopotać o tę biedną dziewczynę, co mieszka tu na górze.  
 – A to dlaczego?  
 – Wracając z pokoju syna, wstąpiłam do niej, chcąc jej powiedzieć o moim zmartwieniu, gdyż ona jest dla mnie jak córka... Nie zastałam jej... Jej łóżko nawet nie było posłane... Dokąd poszła tak rano, ona, co prawie nie wychodzi...  
 Róża i Blanka spojrzały na siebie z nowym niepokojem. Szczęściem, po dwukrotnym pukaniu do drzwi, usłyszały głos Garbuski:  
 – Pani Franciszko, można wejść?  
 Róża i Blanka skoczyły ku drzwiom i wprowadziły młodą szwaczkę.

Od wczorajszego dnia prószył bezustannie wilgotny śnieg, perkalowa sukienka wyrobniczy i narzutka na głowę, wszystko było przemoczone, jej ręce posiniały od zimna.

– Przebóg! Co się z tobą dzieje? – zawołała Franciszka.

– Przynoszę pani wiadomość o Agrykoli... Nie widziałam go... Ale wiem, gdzie jest – a spostrzegłszy, że Franciszka zbladła, dodała z pośpiechem: Uspokój się, pani... Jest zdrow i nic mu nie będzie.

Franciszka zaczęła się modlić a siostry zbliżyły się do Garbuski, mówiąc:

– Jak ty zmokłaś!... Musi ci być zimno... Obyś się tylko nie rozchorowała.

Garbuska, wrażliwsza niż ktokolwiek inny na najmniejszy dowód życzliwości, odpowiedziała:

– Dziękuję paniom, jestem tak wzruszona, iż wcale nie czuję zimna.

– A mój syn? – dopytywała się Franciszka, wstając od modlitwy. – Dlaczego nie wrócił na noc do domu?...

– Pani Franciszko, Agrykola jest zdrow, ale jeszcze przez jakiś czas... Proszę się nie obawiać.

– Ach! Mój Boże!... Co się stało?...

– Niestety!... Jest aresztowany.

– Aresztowany? – krzyknęła Róża i Blanka przerażone.

– Niech się stanie wola twoja, Panie! – rzekła Franciszka pobożnie. – Ale za co go aresztowano? Musiała chyba zająć jakaś pomyłka.

– Przedwczoraj – mówiła Garbuska – odebrałam anonimowy list, w którym zawiadomiono mnie, że Agrykola może być lada chwila aresztowany za utwór pod tytułem: Śpiewki robotników. Umówiliśmy się oboje, że pójdzie do tej pani, tak dobrej, bogatej, przy ulicy Babilońskiej, która ofiarowała mu swą pomoc. Agrykola miał ją prosić, aby dała za niego kaucję i tym sposobem uchroniła go od więzienia. Wczoraj rano poszedł do tej pani...

– Wiedziałaś o tym... Po co było taić przede mną?

– Aby nie martwić cię niepotrzebnie, pani Franciszko. Czas upływał, a Agrykola nie wracał... Całą noc czekałam na niego. Dziś rano, jeszcze o świcie, wybiegłam z domu. Ponieważ pamiętałam, jaki jest adres tej pani, więc udałam się do niej...

– O! Dobrze, dobrze – przerwała zmartwiona Franciszka.

Garbuska smutnie pokiwała głową:

– Gdy przyszedłam na ulicę Babilońską, było jeszcze ciemno, zaczekałam więc, aż się rozwidni.

– Biedne dziecko... Biec na taki czas tak daleko... Jesteś dla mnie dobra jak rodzona córka.

– Alboż Agrykola nie jest dla mnie bratem? – rzekła Garbuska, nieco się rumieniąc. – Gdy się rozwidniło, odważyłam się zadzwonić do bramy pawilonu. Śliczna panienka, blada i smutna, otworzyła mi... Spytałam, czy wczoraj nie przychodził do jej pani młody robotnik? Niestety! Tak... Odpowiedziała ta panna – pani miała się zająć tym, o co ją prosił, ale dowiedziawszy się, że go poszukiwano, kazała mu się ukryć u nas, na nieszczęście znaleziono go i wczoraj koło godziny czwartej, aresztowano i odprowadzono do więzienia...

– A ta panna?... – zawołała żona Dagoberta. – Jej protekcja może uratować nas od nieszczęścia.

– Niestety! – rzekła Garbuska z bólem. – Trzeba się wyrzec i tej nadziei.

– Dlaczego?

– Ta pani, jak mi objaśniła pokojówka, została wczoraj odwiedziona do szpitala... Zwariowała...

– Zwariowała?... O! Mój Boże! Mój Boże!

I nieszczęśliwa kobieta zakryła twarz rękami.

Po bolesnym okrzyku Franciszki nastąpiło głębokie milczenie. W istocie położenie było okropne.

Zmartwienie żony Dagoberta rosło, im bardziej zastanawiała się nad sytuacją. Razem z córkami marszałka Simona, cztery osoby znalazły się bez środków do życia, przyznać jej jednak należy, że martwiła się mniej własnym położeniem niż stanem syna.

W tej chwili zapukano do drzwi.

– Kto tam? – spytała Franciszka.

– To ja, pani Franciszko, Lorient.

– Proszę wejść.

Farbiarz a zarazem odźwierny, pokazał się w drzwiach.

– Pani Franciszko – rzekł – przyszedł list od księdza Dubois, bardzo pilny!

– List od mego spowiednika? – zdziwiła się Franciszka.

Farbiarz wyszedł.

– Bądź tak dobra i przeczytaj mi – rzekła Franciszka do Garbuski.

Garbuska czytała:

„Moja droga pani Baudoin.

Pragnąłbym pomówić z panią. Czy nie zechciałabyś zajść do mnie dziś z rana?”

– Bóg miłosierny wysłuchał mej modlitwy – powiedziała Franciszka – jeszcze dziś będę mogła poradzić się godnego człowieka, w sprawie wielkiego niebezpieczeństwa, na jakie mimo waszej woli jesteście wystawione... Biedne sieroty, choć nie z własnej winy...

Róża i Blanka spojrzały na siebie, nie wiedząc, co odpowiedzieć, żona Dagoberta zaś rzekła do szwaczki:

– Moje dziecko, zrób mi jeszcze jedną przysługę.

– Co każesz, pani Franciszko.

– Mój mąż zabrał z sobą na drogę do Chartres całotygodniowy zarobek Agrykoli. Jestem pewna, że biedny chłopiec nie ma przy sobie ani szeląga... Weźmiesz srebrny sztuciec, cztery ostatnie prześcieradła i chustkę jedwabną, którą mi Agrykola dał na imieniny i zanieśiesz to wszystko do lombardu... Postaram się dowiedzieć, w którym więzieniu jest mój syn... I pošlę mu połowę kwoty, jaką przyniesiesz... A reszta... Posłuż nam... Zanim mąż wróci... Lecz nawet jak wróci... Co my pocniemy?... Jaki to cios dla nas wszystkich... A z tym ciosem... Nędza... Boże, Panie mój! – zawołała boleśnie. – Ulituj się nad nimi i ukarż tylko mnie jedną.

– Pani Franciszko, nie smuć się tak bardzo – rzekła Garbuska – Agrykola nie jest winien, więc niepodobna, aby go tam długo trzymali.

– Chodź!... Uściskaj mnie – zawołała rozrzewniona Franciszka – rodzone dziecko nie mogłoby być lepsze od ciebie.

Po czym śpiesznie odeszła.

Róża i Blanka zostały z Garbuską.

## ROZDZIAŁ III

### SPOWIEDNIK FRANCISZKI BAUDOIN

W kościele Saint-Merry odbywał się ubogi pogrzeb.

Przy skromnej trumnie sosnowej stał zarzec z dzieckiem, oboje zalani łzami, w trumnie spoczywała córka starca, a matka dziecka.

Wreszcie wyniesiono trumnę.

Ksiądz Dubois, wysoki mężczyzna, z siwą głową, wyszedł z kościoła. Obok niego szedł przygarbiony człeczyna, w wyszarzałej odzieży.

– Ona ma być u was? – zapytał.

– Tak sędzę – odpowiedział Dubois.

– A więc za dwie lub trzy godziny będę czekać na dziewczęta w klasztorze Panny Marii.

– Postaram się, przynajmniej dla zbawienia ich dusz – odparł ksiądz.

Tym starym, przygarbionym człowiekiem był Rodin, który stąd udał się do szpitala, aby przekonać się, czy doktor Baleinier wiernie i dokładnie wykonał jego polecenia.

Kiedy ksiądz wszedł do domu, już czekała nań Franciszka. Dubois od dwudziestu lat był jej spowiednikiem i miał na nią nieograniczony wpływ.

– Ojcze wielebny, jestem bardzo rada, że mogę pomówić z wami i poradzić się. Mój mąż przyprowadził z dalekich krajów dwie sieroty... Córki marszałka Simona... Wczoraj rano powiedziały im, aby się pomodliły... Co myślisz, ojcze wielebny? Nie umieją żadnej modlitwy... Nie wiem nawet, czy są ochrzczone!

– A więc to poganki? – zawołał Dubois.

– To mnie okrutnie trapi, bo mój mąż i ja, zastępując rodziców tym sierotom, jesteśmy odpowiedzialni za ich grzechy.

– Na pewno... Zastępujecie tych, którzy czuwać powinni nad ich duszami, pasterz odpowiada za swoje owieczki.

– A więc, gdyby one dopuściły się śmiertelnego grzechu i dla nas nie byłoby zbawienia?

– No tak, bo zastępujecie im ojca i matkę.

– Niestety!... Każdy dzień, każda godzina, które te dzieci spędzają w pogaństwie, przyspiesza ich potępienie wieczne, ojcze?

– Bez wątpienia, Niestety.

– O!... Mój Boże, mój Boże!... rozpaczła Franciszka.

– Nie trzeba tak się dręczyć – rzekł Dubois – Bóg jest miłosierny. Biedne dzieci w tobie i w twym mężu znajdują dobre, uczciwe przykłady.

– Ach! Ojcze wielebny, to właśnie najwięcej mnie trapi... Łaska Boża nie dotknęła jeszcze ani mojego męża, ani syna...

– A więc, ani twój mąż, ani syn... Nie chodzą do spowiedzi? To poważna sprawa... Te nieszczęśliwe dzieci mieć będą teraz przed oczyma tak zgubne przykłady... Strzeż się...

– Na litość boską! Ojcze... Udziel mi rady...

– Trzeba, abyś się porozumiała ze swym mężem i umieściła te biedne dzieci w klasztorze... Gdzie je nauczą religii.

– Za ubodzy jesteśmy, żebyśmy mogli za nie płacić i na nieszczęście, mój syn został uwięziony za pieśń, którą ułożył...

– Otóż to, do czego prowadzi bezbożność – rzekł surowo Dubois – patrz na Gabriela... On usłuchał moich rad... I teraz... Jest wzorem wszelkich cnót chrześcijańskich.

– Agrykola ma również wiele zalet, jest bardzo dobrym synem.

– Bezbożnik! – rzekł Dubois jeszcze surowszym głosem – Czy może być w nim cokolwiek dobrego?... Szatan zamieszkuje w duszy bezbożnika!

– Ach! Biedny chłopiec! – Franciszka rozplakała się – Ja modlę się co dzień, aby mądrość boska go oświeciła...

– Mówiłem ci zawsze – odparł ksiądz – byłaś dla niego zbyt pobłażliwa, teraz Bóg cię za to karze, trzeba ci było odejść od bezbożnego syna; kiedy masz członek dotknięty gangreną, mówi Pismo Święte, odetnij go...

– Niestety! Ojcze... Wiesz, że tylko w tym jednym razie nie usłuchałam twych rad... Nie mogłam się nigdy odważyć na porzucenie syna...

– Dlatego też... Niepewne jest twoje zbawienie, ale Bóg jest miłosierny, tylko nie wpadaj w ten grzech po raz drugi. Opatrzność powierzyła ci dwie nieszczęśliwe dziewczyny, abyś je naprowadziła na właściwą drogę... Te biedne dusze nie mają żadnej wiedzy ani o tym, co jest dobre, ani co złe. Ich dusza jest otchłanią zgorzenia i nieczystości... I nie dziw, bo wychował je bezbożny ojciec i matka, która nie myślała o Bogu.

– Co do tego, mój ojciec – rzekła Franciszka naiwnie – bądź spokojny, one są niewinne jak aniołki, a mój mąż, który był ciągle z nimi, od ich urodzenia, powiada, że nie ma na świecie lepszych serc.

– Twój mąż przez całe życie był obciążony grzechem śmiertelnym, nie ma on prawa do sądenia o tym...

– Tak, ojciec, a wczoraj musiał udać się do Chartres, jak mówił, w pilnym interesie, ale w jakim, nie mówił.

– A więc – odezwał się Dubois po chwili milczenia – twego męża nie ma w Paryżu?

– Nie, ojciec, wróci zapewne dziś wieczorem lub jutro z rana...

– Słuchaj – rzekł ksiądz po pewnym namyśle – każda minuta stracona dla nawrócenia tych nieszczęśliwych dziewcząt na drogę prawdy jest nowym krokiem ku ich zgubie... Co chwila dotknąć je może ręka Boska, bo on sam tylko wie o godzinie naszej śmierci, a gdyby umarli w stanie duszy, w jakim się dziś znajdują, byłyby skazane na wieczne męki... Od dziś więc trzeba otworzyć im oczy na światło boskie... I umieścić je w klasztorze u zakonnice...

– Ach! Mój ojciec... Jakież to byłoby szczęście, gdyby to dobrodziejstwo spełniło się dla nich!

– To nie jest niemożliwe... Znam przełożoną pewnego klasztoru, gdzie panienki pobierają wyborne wychowanie... Opłata za nie zostałaby zniżona ze względu na ich ubóstwo, ale przecież wypadaloby jeszcze oporządzić je...

– Niestety! Ojciec... My nic nie mamy.

– Biorąc trochę z nadsyłanych mi pieniędzy na jałmużny i przy pomocy szcudrobliwych osób, mógłbym uzupełnić potrzebną sumkę... Na chrześcijańskie wychowanie tych dziewcząt... Jednak muszę postawić pewne warunki na to, co ci przyrzekam.

– Och, ojciec, twoje rozkazy są dla mnie prawem.

– Najpierw dziś rano jeszcze moja gospodyni zaprowadzi je do klasztoru... Przyprowadzisz je tu natychmiast...

– W nieobecności męża?... Nie mogę się na to odważyć... Muszę się go poradzić...

– Nie tylko nie trzeba radzić się go, ale należy to zrobić w jego nieobecności... Najpierw dlatego, że w zatwardziałej bezbożności zechciałby pewno sprzeciwić się temu, a potem wydaje się konieczne, aby nawet nie wiedział o miejscu, w którym będą się znajdować.

– Ależ, ojciec, wszak mojemu mężowi powierzono te dzieci.

Dubois nie dał dokończyć Franciszce i rzekł surowym tonem:

– Czy one, mieszkając u ciebie, pozostaną w stanie złego? I czy jesteś odpowiedzialna za to?

– Tak, ojciec i strach pomyśleć o tym.

– Czy nie dla zbawienia ich dusz radzę ci umieścić je w klasztorze?

– Tak, ojciec, jestem o tym przekonana.

– A więc dobrze, wybieraj teraz...

– Upraszam cię, ojciec, pozwól jeszcze zadać sobie jedno pytanie: Czy mam prawo rozporządzić nimi bez wiedzy mego męża?

– Prawo! Idzie tu o święty obowiązek. Wszak byłoby twoim obowiązkiem ratować te nieszczęsne pośród ognia, pomimo zakazu twego męża lub w jego nieobecności. A nie idzie tu o samo ciało... Lecz o wyratowanie z wiekuistego ognia ich dusz.

Niepokój biednej Franciszki wzrastał się coraz bardziej:

– Daruj mi, ojciec, że się naprzykrzam, ale czy mogę tak postąpić, zaprzysięgłszy mężowi posłuszeństwo?

– Posłuszeństwo w dobrym... Tak... W złym zaś nigdy!

– Ależ, ojciec, gdy mąż wróci i spyta, gdzie są dzieci?... Mam przed nim kłamać?

– Milczenie nie jest kłamstwem, powiesz mu, że nie możesz odpowiedzieć na jego pytanie.

– Mój mąż jest najlepszym z ludzi, ale taka odpowiedź doprowadzi go do ostateczności...

– Choćby jego gniew był sto razy straszniejszy, nie powinnaś na to zważać, a cieszyć się, że go znosisz dla dobrej sprawy – dowodził Dubois.

– Daruj, ojcze... Daruj – rzekła Franciszka z bólem. – Pozwól mi jeszcze zadać ci jedno pytanie, tylko jedno!... Gdy przybędzie marszałek Simon i będzie się upominał o swoje córki, co mu wtedy odpowiemy?

– Gdy marszałek Simon przybędzie do Paryża, jeśli otrzyma na to zgodę... Zamiast znaleźć je biednymi pogankami, na wpół dzikimi, zostanie dwie dziewice-pobożne, skromne, dobrze wychowane, które miłe Bogu, będą mogły wzywać jego miłosierdzia dla swego ojca, który też bardzo go potrzebuje, gdyż jest to wielki grzesznik...

Ksiądz Dubois był człowiekiem cnotliwym i uczciwym. Jako ślepe narzędzie Rodina nie wiedział, w jakim celu kazano mu tak działać, ale mocno wierzył, że ocala dwie dusze od wiecznej zguby.

Zakon, do którego należał Rodin, zawsze miał w liczbie swych współników ludzi uczciwych, szlachetnych, którzy często bezwiednie służyli za narzędzie do nikczemnych intryg.

Franciszka od dawna już przywykła ulegać we wszystkim woli spowiednika, nie potrafiła mu się oprzeć i tym razem.

Pomyślawszy więc chwilę, rzekła:

– Niech się dzieje wola Boga. Mój ojcze, uczynię tak, jak mi każesz.

– I pan cię nagrodi za to.

– Kiedy mam przyprowadzić sieroty?

– Za godzinę, ja tymczasem napiszę list do przełożonej klasztoru i zostawię u mojej gospodyni. Ona sama zawiezie dziewczęta do klasztoru.

## ROZDZIAŁ IV

### MONSIEUR I PONURY

Franciszka Baudoin wstąpiła do kościoła, pomodliła się i podążyła do domu. Skoro przybyła na ulicę Brise-Miche, dopędził ją odzwierny kościelny i prosił, aby natychmiast wróciła do księdza Dubois, bo chce jej powiedzieć jeszcze coś bardzo ważnego.

W chwili, kiedy Franciszka wracała, przed drzwiami domu, w którym mieszkała, zatrzymał się powóz.

Woźnica, zsiadłszy z kozła, otworzył drzwiczki.

– Przyjacielu – rzekła do niego dosyć otyła, czarno ubrana kobieta, siedząca w powozie, trzymająca na kolanach tłustego mopsa – zapytaj, czy tu mieszka Franciszka Baudoin...

– Dobrze, pani – odpowiedział woźnica.

Każdy pewnie już poznał panią Grivois, pierwszą pokojówkę księżny Saint-Dizier, z jej mopsem Monsieurem.

Farbiarz, któregośmy już widzieli pełniącego obowiązki stróża, zapytany o mieszkanie Franciszki, wyszedł z farbiarni i zbliżył się do powozu, aby odpowiedzieć pani Grivois, że Franciszka Baudoin mieszka w tym domu, ale wyszła i jeszcze nie wróciła.

Ojciec Lorient miał wtedy ręce a po części i twarz pomalowane ślicznym kolorem złocisto-żółtym.

Widok człowieka takiego koloru podrażnił mopsa i w chwili, gdy farbiarz wyciągnął rękę do krawędzi drzwiczek, mops zaczął ujadać i ugryzł go w palec.

– Ach! Wielki Boże! – zawołała zmartwiona pani Grivois. – Byle tylko nie było jakiej trucizny w farbie, którą pan masz na ręku... Mój piesek jest taki delikatny...

Ojciec Lorient rzekł:

– Gdybyś pani nie była kobietą, co mi nakazuje pobbłażanie dla jej mopsa, miałbym ochotę porwać go za ogon i w mgnieniu oka ufarbować na żółto.

– Mego psa ufarbować na żółto!... – krzyknęła pana Grivois, wysiadając z powozu z mopssem na rękę i mierząc ojca Lorient zagniewanym wzrokiem.

– Ależ, powiedziałem pani, że pani Franciszka jeszcze nie wróciła – rzekł farbiarz.

– Zaczekam na nią – odparła oschle pani Grivois. – Na którym piętrze mieszka?

– Na czwartym – odparł Lorient i wrócił do farbiarni.

Wracając, mówił do siebie z uśmiechem:

– Spodziewam się, że duży pies Dagoberta porządnie wygarbuje skórę temu przekłętemu mopsowi!

Pani Grivois z trudem wdrapywała się po krętych schodach, rozglądając się dokoła z odrazą. Nareszcie dostała się na czwarte piętro i zatrzymała przez chwilę przed drzwiami ubogiej izdebki, w której znajdowały się obie sieroty i Garbuska.

Powodem przybycia pani Grivois do Franciszki Baudoin było nowe postanowienie d'Aigrigny i księżny Saint-Dizier: osądzili za rozsądniejsze posłać po dziewczęta powiernicę, której w zupełności ufali i uprzedzić o tym księdza Dubois, który ze swej strony przygotowuje do tego Franciszkę.

Faworyta księżny Saint-Dizier, zapukawszy do drzwi, zapytała o Franciszkę Baudoin.

– Nie ma jej w domu – odpowiedziała nieśmiało Garbuska, zdziwiona tymi odwiedzinami.

– A więc zaczekam na nią – oznajmiła pani Grivois, ciekawie przypatrując się dwom sierotom, które nie odzywały się i nieśmiało pospuszczały oczy.

Pani Grivois usiadła, nie bez pewnej odrazy, na starym krześle, mopsa posadziła na podłodze.

Ale natychmiast dało się słyszeć warczenie zza krzesła.

– Cóż to! Czy tu jest jakiś pies?... – porwała na ręce swego faworyta.

Ponury wylaźł powoli zza krzesła.

Na widok dwóch rzędów strasznych zębów, które podobało się Ponuremu pokazać przy ziewaniu, mops z początku zadrżał ze strachu, lecz czując się bezpieczny na kolanach swej pani, począł wkrótce zuchwale pomrukiwać. Ponury nie raczył jednak zwrócić na to uwagi i poszedł położyć się u stóp sierot, jak gdyby instynktownie przeczuwał, że grozi im niebezpieczeństwo.

– Proszę wypędzić stąd tego psa – rzekła pani Grivois rozkazującym tonem.

– Ponury nie jest zły, kiedy się go nie drażni – odrzekła z uśmiechem Róża.

– Pomimo to – obstawała pani Grivois – może być wypadek. Nie lubię patrzeć na to psisko z łbem ogromnym jak u wilka... A jakie ma straszne kły, aż mnie dreszcz przechodzi... Mówię wam, wypędźcie go...

Nagle w drzwiach pojawiła się nowa osoba.

Był to posłaniec z listem w rękę.

– Do kogo? – zapytała Garbuska.

– Przynoszę pilny list od męża obywatelki.

– List od Dagoberta! – zawołały Róża i Blanka z radością.

– Nie wiem, czy ten obywatel nazywa się Dagobert – ale jest to stary żołnierz z krzyżem na piersiach i z siwymi wąsami, jest parę kroków stąd, w biurze powozów, kursujących na trakcie do Chartres.

– To on!... – zawołała Blanka.

W panią Grivois jakby piorun uderzył, wiedziała, że oddalono Dagoberta, aby ksiądz Dubois bez przeszkody mógł oddziaływać na Franciszkę. Jego niespodziewany powrót niweczył tak pracowicie ukartowaną intrygę i to w chwili, kiedy już tak blisko była celu.

– Ach! Mój Boże! – zawołała Róża, przeczytawszy list.

- Co się stało? – zapytała strwożona Blanka.
- Wczoraj, w połowie drogi do Chartres, Dagobert spostrzegł, że zgubił sakiewkę z pieniędzmi. Nie mogąc dalej jechać, wrócił pocztą, na kredyt i prosi, aby mu żona przysłała pieniądze do biura dylżansów, gdzie oczekuje.
- Tak, to prawda – wtrącił posłaniec – żołnierz powiedział: śpiesz się, bo jestem tu w zastawie.
- A tu ani grosza!... – utyskiwała Blanka.
- Wiadomość ta wzbudziła w pani Grivois otuchę, która wnet ją jednak zawiodła, gdyż Garbuska, wskazując na tylko co ułożoną paczkę, rzekła:
- Uspokójcie się, panie... O dwa kroki stąd jest lombard, dostanę pieniędzy, zaniosę je do biura i pan Dagobert będzie tu za pół godziny!
- Patrz – rzekła Blanka – tu na liście jest adres.
- Garbuska, wzięwszy list, zwróciła się do posłańca ze słowami:
- Proszę powiedzieć panu Dagobertowi, że zaraz przyjdę do biura.
- Przeklęty Garbus – pomyślała pani Grivois – gdyby nie ona, nieprędko by tu wrócił ten żołnierz...
- Podczas gdy Garbuska krzątała się, by przygotować się do wyjścia, pani Grivois głęboko się zamyśliła. Potem nagle zerwała się.
- Ponieważ pani Baudoin nie wraca, załatwię pewien interes tu niedaleko i zaraz wrócę. Wyszła jeszcze przed Garbuską.

## ROZDZIAŁ V

### PODSTĘP

Upominając sieroty, aby spokojnie czekały, Garbuska wyszła, lecz nie tak szybko jak chciała, gdyż wstąpiła najpierw do swej izdebki i dołożyła do zawiniątka i tak już dość sporego, swoją jedyną kołdrę wełnianą, która ją jako tako chroniła od zimna. Żywy wzór cnót chrześcijańskich, myślała tylko o innych, zapominając o sobie.

Już od doby nie jadła, nie spała, naciępiła się zimna podczas ubiegłej nocy, a jednak nie zabrakło jej sił, taką to moc posiada wielkie serce.

Doszła do rogu ulicy Saint-Merry.

Od czasu odkrytego spisku przy ulicy Prouvanes, rozstawiono w tej części miasta więcej posterunków policyjnych.

Młoda szwaczka, choć schylona pod ciężarem sporego zawiniątka, biegła szybko jak tylko mogła. W chwili, kiedy przechodziła obok miejskiego sierżanta, dwie sztuki pięciofrankowe upadły za nią, podrzucone przez otyłą, czarno ubraną kobietę, idącą za nią.

Kobieta ta zwróciła uwagę sierżanta na zgubione pieniądze i wskazała na Garbuskę, po czym szybko znikła.

Sierżant usłyszawszy, co mu zakomunikowała pani Grivois, gdyż ona to była, podniósł pieniądze, a podążając za Garbuską, zawołał:

– Hej, tam! Stój!... Trzymajcie ją!... Trzymajcie!...

Nie wiedząc, że wołanie sierżanta jej dotyczyło, Garbuska przyspieszyła kroku, aby jak najprędzej dostać się do lombardu.

Wtem usłyszała kilka osób goniących za nią i w tej chwili, ciężka ręka oparła się na jej ramieniu.

Równie zdziwiona jak przestraszona, odwróciła się.



I już otaczała ją zgraja, składająca się głównie z owej szkaradnej tłuszczy próżniaków, którzy bezustannie szlifują paryskie bruki.

– Ha! Ptaszku!... Nie słyszysz, choć na ciebie wołają... Milczkiem chciałaś się wymknąć – rzekł policjant i chwycił Garbuskę tak gwałtownie za ramię, iż jej zawiniątko upadło mu pod nogi.

Biedna dziewczyna, widząc się otoczona zuchwałą, grubiańską i złośliwą zgrają próżniaków, którzy patrzyli na nią jak na raroga, gotowi do szyderstw i obelg, struchlała i zbladła jak trup.

Powierzchnowość zawsze silnie działa na ludzi, a nędza jest zawsze podejrzana:

– Zaczekaj no, kochanko!... – mówił policjant drwiącym głosem – musisz bardzo się śpieszyć, kiedy, gubiąc pieniądze, nie raczysz schylić się po nie...

– Pewno je miała w swym garbie – odezwał się ochryply głos przekupnia zapalek.

– Ależ panie... To nie moje pieniądze.

– Kłamiesz – odparł sierżant, zbliżając się – jakaś porządna pani widziała, jak ci wypadły z kieszeni.

– Zapewniam pana, że nie... – odrzekła Garbuska, drżąc ze strachu.

– Sierzancie – odezwał się chrapliwy głos przekupnia zapalek – sierzancie! Nie wierz jej... Pomocaj jeno garb, jestem pewien, że tam schowała buty, płaszcze, parasole.

Nowe śmiechy, nowe szyderstwa i krzyki.

– Pozwólcie zobaczyć, to gratis.

– Nie pchaj się, wszak i ja zapłaciłem za miejsce...

– Postawcie ją na czymś wyższym... Niech i my widzimy.

– Rozerwiemy ją na kawałki, przynajmniej nikt nie będzie pokrzywdzony.

Wystawmy sobie biedną dziewczynę, której umysł był tak wrażliwy, serce tak dobre, charakter tak wstydlivy... Słuchać musiała tych grubiaństw, tego wycia... Sama jedna pośród tej zgrai... Otoczona wraz z sierżantem i agentem policyjnym.

Agent, chwyciwszy węzeł, który podniosła i trzymała drżącymi rękami, rzekł surowo:

– Co tu masz?

Biedna, zalękniona, nie mogła słowa wydusić.

– Acha! Nie umiesz odpowiadać.

Mówiąc to, policjant rozwiązał węzeł.

– Patrzajcie no! Prześcieradła... Kołdra... Sztuciec... Kubek srebrny... Chustka... Jak się to zaopatrzyła! Wyglądasz jak gałganiarka, a masz srebro...

– Te rzeczy nie twoje? – zapytał sierżant.

– Nie, panie... – odpowiedziała Garbuska – .ale ja...

– A, garbaty hultaju! Kradniesz więcej, aniżeliś sama warta.

– Kradniesz!?! – powtórzyła Garbuska, załamując ręce.

– Dawajcie tu straż! – krzyczało naraz kilka głosów.

– Otóż i wojsko idzie!

Ktoś z przechodniów dał znać oficerowi warty o tym zbiegowisku.

– Otóż i warta! Chodź... Chodź do komisarza – rzekł agent policyjny, chwytając Garbuskę za ramię.

– Panie! – zawołała biedna dziewczyna, głosem przerywanym łkaniem. – Pozwól sobie powiedzieć...

– Wy tłumaczysz się na odwachu... Dalej, w drogę.

– Ależ, panie... Ja nie ukradłam... – wołała Garbuska błagalnym głosem – zlituj się nade mną.

W tej chwili kapral z żołnierzami, przedarłszy się przez tłum, zbliżył się do sierżanta policji.

– Kapralu – rzekł sierżant – zaprowadź tę dziewczynę na odwach...

– Ależ, panowie... Zlitujcie się – błagała Garbuska, zanosząc się od płaczu i załamując ręce – ja nie ukradłam, przez Boga żywego! Ja nie ukradłam...

Słaba, skołatana, przerażona dziewczyna została zabrana przez żołnierzy.

Pod mglistym, ponurym niebem, na błotnej, czarnymi domami obstawionej ulicy, brudna, obdarta, rojąca się jak mrowisko tłuszcza przedstawiała widok odrażający: dzieci w łachmanach, pijane kobiety, wstrętnej i podejrzanej postaci mężczyźni, wszystko to tłoczyło się, pchało, przewracało z wrzaskiem, biegnąc za na wół żywą ofiarą... Ofiarą okrutnej pomyłki.

Po haniebnym oskarżeniu, którego ofiarą stała się nieszczęsna Garbuska, pani Grivois wróciła spieszenie na ulicę Brise-Miche.

Wdrapała się jak mogła najprędzej na czwarte piętro... Otworzyła drzwi do mieszkania Franciszki... I co ujrzała? Dagoberta z żoną i sierotami.

## ROZDZIAŁ VI

### KLASZTOR

Wyjaśnijmy pojawienie się Dagoberta.

Na twarzy jego malowało się tyle uczciwości, że dyrektor biura dyliżansów chętnie przestał na jego zapewnieniu, że uiszczy należność. Po powrocie posłańca, gdy dowiedział się, że pieniądze niebawem nadejdą, Dagobert, nie mając wątpliwości, że dotrzyma słowa, podziękował dyrektorowi i pośpieszył do domu. Łatwo więc można sobie wystawić zdziwienie pani Grivois, gdy wszedłszy do izby, ujrzała Dagoberta. Nie mniejsze było zakłopotanie Franciszki, gdy spostrzegła panią Grivois. Łatwo domyśliła się, że przybyła jest ta, która miała odstawić dziewczęta do klasztoru.

Gdy weszła powiernica księżny Saint-Dizier, Dagobert wstał i wzrokiem zdawał się pytać żonę, co znaczy ta wizyta.

Była to chwila krytyczna, lecz pierwsza pokojówka księżny Saint-Dizier nie darmo wychowała się w szkole swej pani, w jednej chwili przybrała rolę, a obracając na swą korzyść pośpiech, z jakim po nikczemnej denuncjacji Garbuski, wgramoliła się na czwarte piętro, odezwała się:

– W tej chwili byłam świadkiem przykrego wypadku...

– Na Boga! Co się stało? – zapytała Franciszka drżącym głosem, bojąc się ciągle jakiejś nieroztropności ze strony pani Grivois.

– Byłam tu niedawno, chcąc pomówić z panią w ważnej sprawie... Kiedy na panią czekałam, ułomna dziewczyna zabrała różne przedmioty w zawiniątko... Widząc, że pani nie wraca, postanowiłam zająć tu w sąsiedztwie na moment... Ale, gdy przybyłam na ulicę Saint-Merry... Ach! Pani!... Spostrzegłszy zbiegowisko... Wypytyję i... Powiadają mi, że policjant aresztował dziewczynę jako złodziejkę.

– Wielki Boże! – zawołała Franciszka.

– Co to było za zawiniątko? – zapytał Dagobert.

– Nie mając w domu ani szeląga... Prosiłam biedną Garbuskę, aby zaniósła do lombardu różne przedmioty.

– A na nią padło podejrzenie, że je ukradła! – zawołał Dagobert – Ona... Najuczciwsza dziewczyna w świecie, to okropne!...

– Ona nie zniesie tego wstydu – podchwyciła Franciszka.

– Co za nieszczęście!... – utyskiwała Blanka, patrząc płacziwie na siostrę.

– Nie mogąc jej w niczym pomóc – mówiła dalej pani Grivois – pośpieszyłam tu, aby zawiadomić państwa o tym przykrym wypadku, który da się chyba naprawić...

Na te słowa Dagobert schwycił czapkę, a zwracając się do pani Grivois, rzekł porywczym tonem:

– Czy wiesz pani, gdzie jest ta dziewczyna?

– Nie wiem, panie, ale jeżeli pan zechce zaraz się pofatygować... będziesz mógł dowiedzieć się...

– Co mi tam pani prawisz o fatydze?... Biedna dziewczyna, przytrzymana jako złodziejka... Pójdę do komisarza policji naszego cyrkułu, muszę ją znaleźć.

Wyszedł spiesznie. Franciszka, uspokojona o los Garbuski, dziękowała Bogu, że oddalił jej męża, którego obecność w tej chwili nabawiła ją straszego kłopotu.

Pani Grivois zostawiła mopsa w dorożce i sama przyszła na górę, bo każda chwila była dla niej droga. Rzucając badawczy wzrok na Franciszkę, gdy jej podawała list od księdza Dubois, rzekła kładąc nacisk na każde słowo:

– Z listu tego wyczytasz pani, jaki jest cel mych odwiedzin.

Róża i Blanka spojrzwały zdziwione.

Franciszka wzięła list z drzeniem, w swej szczerości nie wiedziała, jak powiedzieć dziewczętom, aby się udały z tą panią.

Pani Grivois odgadła jej kłopot, a zwracając się do sierot, rzekła:

– Kochane panienki! Jakże się ucieszy wasza krewna, gdy was zobaczy!

– Nasza krewna? – odezwała się Blanka, coraz bardziej zdziwiona.

– Ależ tak, dowiedziała się o waszym przybyciu, że jednak po długiej chorobie jeszcze nie wychodzi i sama tu przybyć nie może, zobowiązała mnie, abym się tu udała i panienki zaprowadziła do niej... Nie będzie mogła dziś jeszcze zatrzymać panienek u siebie, za godzinę tu wrócicie, lecz jutro lub pojutrze przybędzie tu, aby porozumieć się z panią Franciszką i jej mężem co do zatrzymania panienek u siebie... Gdyż przykro by jej było, gdybyście miały być ciężarem dla osób, które okazały wam tyle życzliwości.

Ostatnie wyrazy pani Grivois sprawiły pożądane wrażenie na dziewczętach, usunęły ich obawę, aby nie być ciężarem dla rodziny Dagoberta. Pani Grivois mówiła tylko o godzinnej wizycie. Nie miały więc żadnych podejrzeń i Róża zwróciła się do Franciszki:

– Wszak możemy odwiedzić naszą krewną, nie czekając powrotu Dagoberta?

– Myślę, że tak – odrzekła Franciszka.

– A więc pożegnajcie się panienki z panią Baudoin i chodźmy – dodała pani Grivois niepokojnie, obawiała się bowiem, aby lada chwila nie wrócił Dagobert.

Róża i Blanka ucałowały Franciszkę, która, ściskając te miłe i dobre dziewczęta, zdradziecko wydawane, ledwie mogła powstrzymać łzy, choć wewnętrznie była głęboko przekonana, że czyni to dla ich dobra.

Siostry wyszły za panią Grivois, nie wiedząc o tym, że Ponury poszedł za nimi, gdyż podczas nieobecności Dagoberta to zmyślne zwierzę nigdy ich nie opuszczało.

Po chwili pani Grivois z sierotami stanęły przy dorożce.

– O! Pani, bez urazy – rzekł woźnica, otwierając drzwiczki – ten pani mops wcale nie jest łaskawy; odkąd go pani wsadziła do powozu, wyje jak opętany, a taki zły, iż zdaje się, że wszystkich chciałby pożreć.

Istotnie, mops, nie cierpiący samotności, cały czas skowyczał, jakby go kto ze skóry obdzierał.

– Cicho, Monsieur, już jestem – rzekła pani Grivois.

Róża i Blanka wsiadły do powozu.

Pani Grivois cichym głosem wskazała stangretowi drogę do klasztoru Panny Marii. Wtem mops zaczął wściekle ujadać.

Przyczyna tego gniewu była bardzo prosta: Ponury, dotąd nie spostrzeżony, jednym susem wskoczył do dorożki.

Mops, rozjątrzony tą śmiałością, uniesiony gniewem, skoczył na pysk Ponurego i tak go ugryzł, iż ten, rozwścieczony, złapał go za kark i uduśli jednym ściśnięciem potężnej paszczy...

Zanim przestraszone dziewczęta zdołały parę razy zawołać: Ponury!... już było po wszystkim.

– Ach, mój Boże! – rzekła pani Grivois. – Znowu to potworne psisko.. On mi skaleczy mego mopsa... Wypędźcie go, panie... nie można go brać ze sobą...

Nie wiedziała jeszcze, jakiej zbrodni dopuścił się Ponury, bo Monsieur leżał już martwy pod ławką w dorożce. Dziewczęta zawołały rozkazująco:

– Ponury, idź precz! Idź precz!...

Wierne zwierzę wahało się, czy usłuchać. Smutny i błagający spojrział na sieroty łagodnym wzrokiem, jak gdyby im przyganiał, że go wypędzają, jego, jedyne go teraz ich obrońcę. Lecz po nowym surowym rozkazie Blanki, wyskoczył powoli z dorożki.

Woźnica wgramolił się na kozioł, ruszył żywo z miejsca, kiedy tymczasem pani Grivois dla ostrożności zapuściła firanki w powozie.

Tak się zabezpieczywszy, mogła zająć się swym mopsiem, którego kochała czułą miłością, jaką ludzie złej natury okazują częstokroć zwierzętom, odmawiając jej człowiekowi. Była namiętnie przywiązana do złośliwego psa, może właśnie dla podobieństwa charakterów, przywiązanie to trwało już od sześciu lat.

Dorożka toczyła się szybko, gdy pani Grivois zawołała mopsa.

Monsieur miał istotny powód, aby się nie odezwać.

– Nuże, złośniku... – rzekła łagodnie. – Nie moja w tym wina, że ten wielki pies wpakował się do dorożki, chodź tu zaraz, pocałuj swoją panią.

Odpowiedziało jej uporczywe milczenie mopsa.

Pani Grivois, bardziej zdziwiona niż zaniepokojona, schyliła się, chcąc go wyjąć spod ławki, lecz jakież było jej przerażenie, gdy położywszy go na kolanach, spostrzegła, że się nie rusza!

– Apopleksja!... – krzyknęła. – Biedny zanadto się objadł... Tego się właśnie obawiałam.

Wtem z rozpaczą spostrzegła pięć czy sześć głębokich ran po silnych kłach i to już wskazało jej niewątpliwą przyczynę tragicznej śmierci mopsa.

Zaczęła rzewnie płakać. Łzy złych ludzi są złowrogie... I pani Grivois, uległszy na chwilę rozczuleniu, zapalała gniewem i głęboką nienawiścią do biednych sierot, mimowolnej przyczyny śmierci jej pieska; nienawiść ta żywo odmalowała się na jej twarzy.

– A, to wasz pies zadusił go...

– Wybacz, pani... Nie nasza w tym wina – odparła Róża.

– Pani piesek najpierw ugryzł Ponurego – dodała nieśmiało Blanka.

Pani Grivois, widząc przerażenie malujące się na twarzach sierot, powściągnęła złość. Pojęła, jak niebezpieczne skutki mógł pociągnąć za sobą jej przedwczesny gniew; rękami zasłoniwszy twarz, głęboko westchnęła i niby zaczęła płakać.

– Biedna pani!... Płacze – z cicha rzekła Róża.

– Tak, niestety! – odpowiedziała Blanka. – My także płakaliśmy, gdy zginął stary Jowialny...

Pani Grivois podniosła głowę:

– Darujcie mi, panie... Nie mogłam wstrzymać się od gniewu, a raczej od gwałtownego żalu w pierwszym uniesieniu... Tak byłam przywiązana do biednej psiny...

– Ubolewam nad pani stratą – odrzekła Róża.

– Dopiero co mówiłam do siostry – dodała Blanka – że i my miałyśmy starego konia, który nas przydzwigał z Polski i którego również oplakiwałyśmy.

– Zresztą, moje panny, nie myślmy już o tym... Sama jestem winna... Nie powinnam była brać go ze sobą... Dlatego odwołuję się do waszej, panie, tkliwości, abyście przebaczyły mi moje uniesienie.

– My, pani, już zapomnialiśmy o tym... Tylko przykro nam, że widzimy panią tak zmar-twioną...

– To minie, kochane panienki... A widok radości, jakiej dozna wasza krewna, gdy was zobaczy, pomoże mi w uspokojeniu się. Jesteście tak miłe!... A przy tym tak do siebie podobne.

– To naturalne – rzekła Róża – od urodzenia nigdyśmy się nie rozstawały, ani w dzień, ani w nocy... Jak więc nasze charaktery nie mają być do siebie podobne?

– Czy to może być... Nie rozstawałyście się ani na chwilę?

– Nigdy, pani.

I siostry ścisnęły się za ręce.

– A więc, mój Boże! Jakże byłybyście nieszczęśliwe, gdyby wam przyszło rozłączyć się!

– O! Pani, to niemożliwe – rzekła z uśmiechem Blanka.

– Jak to?... Niemożliwe?

– Któż byłby tak okrutny, żeby nas rozdzielić?

– Bez wątpienia, kochane panienki, musiałyby to być bardzo zły człowiek.

– Ach, pani – rzekła Blanka z uśmiechem – nawet bardzo złośliwi ludzie... Nie mogliby rozłączyć nas. Trzy miesiące temu byliśmy aresztowane. Nadzorca więzienny wydawał się człowiekiem bardzo nieczułym, rzekł jednak, że chyba pragnąłby ich śmierci ten, co by je rozłączył... Zostałyśmy więc razem i byłyśmy tak szczęśliwe, jak można być w więzieniu.

Dorożka zatrzymała się.

– Acha! Już jesteśmy – odezwała się pani Grivois.

Brama otworzyła się i dorożka wtoczyła się na dziedziniec.

Pani Grivois podniosła firanki, widać było obszerny dziedziniec ogrodzony wysokim mu-rem.

Dalej widniał front wysokiego budynku z ciosanego kamienia.

Blanka odezwała się do pani Grivois:

– Co za piękny dom!

– To jeszcze nic w porównaniu z tym, co panienki wewnątrz zobaczycie – odpowiedziała pani Grivois.

Woźnica otworzył drzwiczki. Jakież gniew ogarnął panią Grivois i jak się dziewczęta zdzi-wiły, gdy ujrzały Ponurego.

– Jak to! – zawołała pani Grivois. – To szkaradne psisko przybiegło aż tu za nami!

– Przeciwnie, to dzielny pies – odpowiedział woźnica – ani na krok nie pozostał w tyle za końmi...

Pani uduszonego Monsieura, podrażniona niewczesnymi pochwałami dla swego wroga, podeszła do przedsionka i zadzwoniła. Wyszła kobieta w zakonnej sukni i ukloniła się nisko.

– Przywiozłam dwie panienki, ksiądz d'Aigrigny i księżna polecili, aby je zamknąć w od-dzielnych celach... Surowych... Rozumiesz mnie, siostro, w surowych celach, o chlebie i wo-dzie, jako zatwardziałe grzeszniczki – rzekła cicho pani Grivois.

– Zamelduję o tym wielebnej matce i tak się zrobi – rzekła, kłaniając się, furtianka.

– Proszę ze mną, panienki – zawołała pani Grivois do dziewcząt, które ukradkiem pieściły się z Ponurym – zaprowadzą was do waszej krewnej, a ja wrócę po was za pół godziny.

A zwracając się do dorożkarza, dodała:

– Woźnico, zatrzymaj tego psa.

Furtianka, w połowie ukryta, stała za drzwiami.

Dlatego dziewczęta dopiero wtedy dostrzegły, że ich przewodniczka ma na sobie suknię zakonną, gdy przeprowadziła je przez próg, którego drzwi zaraz się za nimi zamknęły.

Ponury podbiegł do drzwi.

Pani Grivois rzekła do odźwiernego przy zewnętrznej bramie:

- Dam ci dziesięć franków, jeżeli zaraz zabijesz tego psa...
- Diabła tam, pani, zabić takiego ogromnego psa to nie tak łatwo.
- Dam ci dwadzieścia franków...
- Trzeba by fuzji, a ja mam tylko drag...
- To wystarczy.

Mikołaj poszedł po swoją żelazną pałkę.

- O, gdybym ja miała tyle siły!... – pomyślała pani Grivois.

Odźwierny wrócił ze swym orężem i zdradziecko podchodził do Ponurego, trzymając pałkę schowaną za siebie.

Ponury, zgadując jego złośliwe zamiary, jednym skokiem uniknął i stanął w przyzwoitej odległości.

- Zwąchał, szelma – rzekł odźwierny – nie dowierza.

- Niezdara z ciebie – rzekła zaperzona pani Grivois – przynajmniej wypędź go stąd...

Ponury, ścigany, opuścił dziedziniec, lecz tam, na neutralnym gruncie, mimo groźby stróża, oddalił się od bramy tyle tylko, ile trzeba było dla schronienia się przed jego pałką.

Z właściwą swjej rasie zmyślnością oczekiwał na dwie sieroty.

Tak więc Róża i Blanka zostały zamknięte w klasztorze, który przytykał do lecznicy, gdzie zamknięto Adriannę de Cardoville.

## ROZDZIAŁ VII

### WPLYW SPOWIEDNIKA

Ledwie sieroty opuściły Franciszkę Baudoin, ta uklękawszy, zaczęła się gorąco modlić. Długo wstrzymywane łzy obficie popłynęły jej z oczu.

Po chwili wszedł Dagobert.

Twarz żołnierza była surowa i smutna.

– Biedne dziewczynisko... Widziałem ją, ale w jakim stanie!... Aż serce się krajało, upomniałem się o nią, prosiłem, ale powiedziano mi: Najpierw musi być u komisarza...

Potem spoglądając zdziwiony po izbie:

- A to co... Gdzie są dzieci?...

Franciszkę przebiegł zimny dreszcz.

- Jakżeś ty zbladła! Co ci jest... Czyś słaba?

I ujął czule Franciszkę za rękę.

Wzruszona, pocałowała go w rękę.

Żołnierz, coraz niespokojniejszy, czując łzy, padające na rękę, zawołał:

– Płaczesz... Nie odpowiadasz... Powiedz mi przecież... Czego się martwisz, moja żono. Uspokój się, znasz mnie, przy moim surowym głosie, w gruncie rzeczy jestem dobrym człowiekiem. Zapewne dziewczynki prosiły cię, abyś im pozwoliła przejść się trochę z Ponurym?...

- Nie... Kochany... Ja...

- Jak to nie?... Gdzież się więc podziały i kiedy wrócą?

- Nie wiem... – rzekła stłumionym głosem.

- Nie wiem! Co to znaczy? – krzyknął Dagobert ze zniecierpliwieniem. – Mów wreszcie!

Postanowiła znieść cały ciężar gniewu męża jak pokorna ofiara, ale wierna obietnicy, którą przed Bogiem zaprzysięgła swemu spowiednikowi.

– Zrób ze mną, co chcesz... A nie pytaj, co się stało z dziećmi... Bo nie mogę ci powiedzieć.

Gdyby piorun padł pod nogi żołnierza, nie wywarłoby to na nim większego wstrząsu. Skoczył gwałtownie, chwycił żonę za ramiona i podniósłszy jak piórko, postawił przed sobą:

– Gdzie są dzieci?

– Daruj!... – wyszeptała omdlałym głosem.

– Gdzie dzieci?! – powtórzył Dagobert, wstrząsając silnymi rękoma jej wątłe ciało.

– Zabij mnie... Lub przebacz... Rób, co chcesz... Ja nie mogę ci powiedzieć – odparła nieszczęśliwa.

– Nieszczęsna!... – zawołał żołnierz.

Podniósł żonę, jakby chciał ją rzucić i zdruzgotać o podłogę... Lecz po tym napadzie szafu puścił...

Oslabiona padła na kolana, słabe ruchy ust wskazywały, że się modli...

Dagobert jakby postradał zmysły, nie mógł zebrać myśli. Jego żona, ów anioł dobroci, wiedząc, czym są dla niego córki marszałka, powiedziała:

– Nie pytaj o ich los, nie mogę powiedzieć.

Odzyskawszy nieco spokoju, wziął krzesło, podał drugie żonie, mówiąc:

– Usiądź.

Posłusznie usiadła.

– Słuchaj mnie, żono. Pojmujesz dobrze... Że tak się rzeczy nie mogą skończyć... Wiesz... Że cię bić nie będę... Ale wreszcie... Ja muszę wiedzieć, gdzie są dzieci... Ich matka powierzyła mi je... Nie po te je aż z tak daleka przyprowadziłem... Abyś mi dziś powiedziała: „Nie pytaj... Nie mogę ci powiedzieć, com z nimi zrobiła!...” Pomyśl, że marszałek Simon przybywa w tej chwili i mówi do mnie: „Dagobercie, gdzie są moje dzieci?!” Co mu odpowiem?... Słucham... Jestem spokojny...

– Oskarż mnie przed nim... Ja wszystko zniosę... Powiem wszystko.

– Na nieszczęście nie będę mogła powiedzieć więcej... Ani jemu... Ani tobie... Nie... Choćbym miała umrzeć, nie.

Dagobert podskoczył na krześle.

Franciszka, zalana łzami, wlepiła oczy w krucyfiks.

Dagobert spytał:

– Czy je kto uprowadził?

– Na rany Chrystusa!... Mężu, po co mnie pytasz?... Kiedy ja nic powiedzieć nie mogę.

– Czy wrócą tu?

– Nie wiem.

Dagobert zerwał się; już, już zbraknąć mu miało cierpliwości.

Przeszedł się po izbie i znowu usiadł.

– Posłuchaj mnie uważnie. Jeżeli te dzieci nie zostaną mi zwrócone w wigilię 13 lutego, a widzisz, że czas nagli... Uczynisz ze mnie wobec córek marszałka Simona człowieka, co je okradł, złupił, rozumiesz to, okradł – rzekł żołnierz zmienionym głosem, potem z wyrazem udęczenia, które rozdzierało serce Franciszki, dodał: – A przecież ja zrobiłem wszystko, co tylko zrobić może człowiek uczciwy... Ty pewno nie wiesz, co ja w drodze wycierpiałem... Ile zniosłem trosk, trudów, aby dopełnić przyjętego obowiązku... I gdy sądziłem, że w nagrodę za to wszystko będę mógł powiedzieć ich ojcu: Marszałku, masz swoje dzieci...

Zamilkł i gorzko zapłakał.

Na widok łez, spływających wolno na siwe wąsy Dagoberta, Franciszka rzekła tkliwym głosem:

– Czyż można cię obwiniać o okradzenie dzieci?

– Więc dowiedz się – odrzekł Dagobert – że tu idzie o majątek dla nich, bardzo wielki... I że jeżeli nie stawią się 13 lutego tu... W Paryżu, przy ul. Św. Franciszka... Wszystko przepadnie... I to z mojej winy... Bo ja odpowiadam za to, co ty zrobiłaś!

– Na 13 lutego... Przy ulicy Św. Franciszka – rzekła patrząc na męża ze zdziwieniem – to tak jak Gabriel...

– Co mówisz... Gabriel?

– Kiedym go znalazła... Biedny sierota... Miał na szyi medalion... Brązowy...

– Medalion brązowy – zawołał zdumiony żołnierz – z napisem: Bądźcie w Paryżu 13 lutego 1832, na ulicy Św. Franciszka?

– Tak właśnie... Skąd wiesz o tym?

– Gabriel także! – mówił sam do siebie żołnierz, potem dodał: – A czy Gabriel wie, że miał przy sobie ten medalion?

– Mówiłam mu o tym, miał w kieszeni, gdy go wzięłam do siebie, pugilares, pełen papierów, zapisanych obcym językiem, oddałam go księdzu Dubois, mojemu spowiednikowi, do przejrzenia. Powiedział mi potem, że te papiery są małej wagi. Później, po jakimś czasie, gdy pewien miłosierny jegomość nazwiskiem Rodin podjął się wychowania Gabriela i umieścił go w seminarium, ksiądz Dubois oddał mu te papiery i medalion, potem nic już o nich nie słyszałam.

Gdy Franciszka wspomniała o swym spowiedniku, błysk jakiś ogarnął umysł żołnierza, chociaż daleki był odgadnięcia intryg, knowanych od dawna w stosunku do Gabriela i sierot. Po namyśle rzekł surowo do żony, wpatrując się w jej oczy:

– Ty działasz nie według własnej woli?

– Co przez to rozumiesz?

– Powiadam ci, że to sprawka twojego księdza! – odparł Dagobert. – Dowiem się, gdzie on mieszka... I niech we mnie piorun trzaśnie!... Potrafię po swojemu zmusić go do gadania!

– Boże! – zawołała Franciszka. – Księdza?...

– Ksiądz, który mi cały dom przewraca!... Knują tu jakieś bezceństwa, do których ciebie wciągnięto, choć nic nie wiesz o tym, nieszczęsna...

– Mój mężu – rzekła Franciszka łagodnym głosem – ksiądz Dubois jest czcigodnym starcem.

– To mnie nic nie obchodzi!...

– Boże!... Dokąd ty idziesz?...

– Idę do twego parafialnego kościoła... Spytam, gdzie mieszka ksiądz Dubois...

– Mężu... Błagam cię!

Dagobert wyrwał się jej i już miał wyjść, gdy wtem otworzyły się drzwi.

Wszedł komisarz policji, a za nim Garbuska i agent policyjny, niosąc zawiniątko zabrane młodej szwaczce.

– Komisarz! – zawołał Dagobert. – Ha! Tym lepiej, nie mogłeś pan przyjść w lepszą porę.

## ROZDZIAŁ VIII

### ZEZNANIE

– Franciszka Baudoin? – zapytał komisarz.

– Jestem... Panie – rzekła Franciszka.

A zwracając się do Garbuski, bladej i drżącej, wyciągnęła do niej rękę:

– Ach! Biedne dziecko!... Przebacz... Przebacz... To za nas tyle wycierpiałas...

– Mój panie – komisarz zwrócił się do agenta policyjnego – popełniłeś błąd nie do darowania. Zdam o tym raport do władzy wyższej... Idź precz!

A zwracając się do Garbuski:

– Ubolewam nad tym, coś ucierpiała bez żadnej winy...



Chciał wyjść, lecz Dagobert odezwał się:

– Panie komisarzu, racz mnie wysłuchać... Chcę złożyć zeznanie...

– Słucham pana.

– Przybyłem tu przed dwoma dniami i przyprowadziłem z obcych krajów dwie młode panienki, które mi powierzyła ich matka... Żona marszałka Simona.

– Marszałka, księcia de Ligny? – rzekł zdziwiony komisarz.

– Tak... Wczoraj... Zostawiłem je tu... Otóż wypadła mi pilna potrzeba wyjazdu w nagłym interesie... Dziś rano, podczas mej nieobecności, panienki zniknęły... I jestem prawie pewien, kto jest tego sprawcą...

– Panie – rzekł komisarz – pańskie zeznanie jest bardzo ważne... Porwanie niepełnoletnich... To sprawa kryminalna. Chciej się pan zastanowić, zanim wniesiesz skargę... Przyjąwszy skargę, zmuszony będę przedstawić tę sprawę do rozpoznania sądowi.

– Tego właśnie pragnę...

– Rozumiem, ale powtarzam... gdybyś pomylił się, wynikłyby dla pana bardzo złe skutki...

– Słyszysz, mężu? – odezwała się Franciszka. – Błagam cię... Więcej ani słowa...

Lecz żołnierz, przekonany, że jedynie obcy wpływ na Franciszkę mógł ją zmusić do milczenia, rzekł:

– Oskarżam spowiednika mojej żony, że jest sprawcą lub współnikiem porwania córek marszałka Simona.

Komisarz, słuchając Dagoberta z dużym zdziwieniem, rzekł surowo:

– Być może niesprawiedliwie obwiniasz człowieka nacechowanego świętobliwością... W pańskim wieku... Lekkomyślność byłaby nie do darowania...

– Na Boga! – odparł niecierpliwie Dagobert – w moim wieku ma się rozsądek; rzecz się przedstawia tak: Moja żona jest najlepszą istotą... Ale od dwudziestu lat patrzy na wszystko tylko oczami księdza. Ubóstwia syna, mnie także kocha, ale nad nas... Przedkłada spowiednika...

– Panie, te szczegóły o domowym pożyciu...

– Są niezbędne... Przekona się pan... Wracam – nie ma panienek, pytam żonę, gdzie są?... Ona pada na kolana, szlocha i mówi: Zrób ze mną, co chcesz... a nie pytaj mnie. Nic nie mogę powiedzieć... Otóż ja tak myślę: moja żona nie ma w tym żadnego interesu, aby te dzieci zniknęły, ona jest ślepo posłuszna księdzu...

Komisarz przystąpił do Franciszki:

– Pani... Słyszałaś zeznanie swego męża?

– Tak, panie.

– Cóż powiesz na usprawiedliwienie?

– Ale panie, co pan robi? – zawołał Dagobert. – Ja nie żonę obwiniam... Ja obwiniam księdza Dubois.

– Panie... Zwróciłeś się do mnie z zeznaniem, muszę więc użyć wszelkich środków prawnych dla wykrycia prawdy... Powtarzam – dodał komisarz, zwracając się do Franciszki – co pani powie na usprawiedliwienie?

– Niestety, nic, panie.

– I co? – zawołał Dagobert. – Czy nie miałem racji? Skoro kobieta taka jak ona, zawsze rozsądna, pełna poświęcenia i przywiązania, skoro ona tak mówi... Powtarzam jeszcze raz, że to sprawka księdza.

Komisarz, nie mogąc powściągnąć pewnego wzruszenia, znów zwrócił się do Franciszki:

– Cała ta sprawa jest na tyle ważna, iż będę zmuszony natychmiast zawiadomić o tym prokuratora królewskiego. Przyznaje pani, że dwie panienki były ci powierzone, a nie chcesz wyjawić, gdzie są... Jeżeli nie zechcesz dać wyjaśnienia... Z wielkim żalem, zmuszony będę aresztować panią...

– Mnie?... – zawołała przerażona Franciszka.

– Ją? – krzyknął Dagobert. – Nigdy... Raz jeszcze powtarzam, że nie ją oskarżam, lecz księdza Dubois... Moją żonę, aresztować?

I podbiegł do niej, jak gdyby chciał ją zasłonić.

– Za późno, mój panie – rzekł stanowczo komisarz.

– A ja oświadczam panu, że moja żona stąd nie wyjdzie! – zawołał porywczo Dagobert:

– Panie Baudoin – z zimną krwią odparł komisarz – pojmuję pański żal, ale dla dobra sprawy, usilnie pana proszę... Nie opieraj się temu, do czego za dziesięć minut byłbyś siłą zmuszony.

– Mężu, daj spokój! Nie troszcz się o mnie – rzekła udręczona kobieta z rezygnacją. – Pan Bóg chce mnie doświadczyć, jestem niegodną jego służką...

– Panie komisarzu – próbował perswadować Dagobert – widzi pan, że moja żona nie jest przytomna...

– Nie ma żadnej poszlaki przeciw osobie, którą pan oskarża i którą nawet sam jej status chroni. Pozwól mi zabrać żonę... Przykro mi – dodał z wyrazem współczucia – że muszę dopełnić tego obowiązku... W chwili, gdy zatrzymanie pańskiego syna...

– Co pan mówi?... Mego syna?...

– Jak to!... Nie wiedział pan?...

– Mój syn!... Agrykola aresztowany?

– Aresztowany w sprawie politycznej... zresztą to sprawa małej wagi – uspokajał komisarz.

– A! Tego za wiele... Wszystko się naraz zwała na mnie!... – biadał żołnierz, padając na krzesło. I zakrył twarz rękami...

Odmówiwszy świadczenia przeciw żonie, Dagobert nie chciał iść do prokuratora, siedział przy stole, wsparłszy głowę na dłoniach. Znekany tyłu wstrząsami, zawołał:

– Wczoraj... Miałem przy sobie żonę... Syna... Dwie ukochane sieroty... A teraz... Sam jeden... Sam jeden zostałem!

Głos łagodny i smutny odezwał się za nim lękliwie:

– Panie Dagobercie... Ja tu jestem... Jeśli pozwolisz, ja będę ci służyć... Zostanę z tobą.

Był to głos Garbuski.

## CZEŚĆ ÓSMA

### UWIĘZIENIE JAKUBA RENNEPONTA

#### ROZDZIAŁ I

#### ZAPUSTY

Nazajutrz po doprowadzeniu Franciszki do sędziego śledczego, na placu Chatelet, naprzeciw domu, którego dół i piętro zajmowała oberża pod znakiem: Cielę ssące, odbywała się wesoła zabawa.

Skończył się tłusty czwartek.

Znaczna liczba masek, dziwacznie poubieranych, rozchodziła się z zabaw w okolicach ratusza i hałaśliwie przeciągała przez plac, lecz widząc inną gromadę masek, zdążającą bulwarem, zatrzymała się, aby stoczyć rubaszną, słowną walkę na dowcipy.

Tłum niebawem został pomnożony przez ludzi, którzy z powodu swego zawodu już od świtu muszą krążyć po Paryżu. Wszystko to zatrzymało się na rogu placu, tak iż ułomna dziewczyna, przechodząca tamtędy, została od razu otoczona.

Garbuska, wstawszy bardzo wcześnie, biegła do szwaczki po kilka sztuk bielizny do szycia. Można sobie wyobrazić przestach biednej dziewczyny, gdy została wmieszana w ową hałaśliwą tłuszcę, nie mogła się wyrwać, niesiona tym potokiem tłumu aż przed dom oberżysty.

Ostatnia grupa masek wyglądała pokaźniej, składała się ze studentów, studentek, kupcyków, panien sklepowych, gryzetek itp. wesołej młodzieży. Gromada ta oczekiwała na przybycie szczególnie pożądanej osoby.

Następująca rozmowa między pierrotami, Turkami i sułtankami lub innymi parami da wyobrażenie o ważności oczekiwanej osoby.

Kolacja zamówiona na siódmą rano, powozy już powinny nadejść.

- Tak... Ale Bachantka zechce odprowadzić ostatni kulig z Prado.
- Gdybym wiedział... Zostałbym dla mojej ubóstwianej piękności.
- Gobinet, oczy ci wydrapię.
- Celestyno!... Dajże pokój... Nie szczyp mnie w mój atlas.

– To po co tę Bachantkę nazywasz swoją ubóstwianą pięknnością... Czymże ja będę dla ciebie?

– Ty jesteś moją ubóstwianą, ale nie moją pięknnością...

– A to miłe!... Idź sobie, nicponiu!

– Gobinet mówi prawdę, wygląda pysznie.

– Nigdy nie widziałem jej weselszą.

– A co za strój... Klękajcie, narody!

– Czarujący!

– Tylko ona umie podobny wymyśleć.

– A jak tańczy!

– To... To prawda!... Nie ma na świecie podobnej bajaderki!

– Gobinet, oddaj zaraz mój szal... Już mi go zniszczyłeś, opasując się jak swoim.

– No, no, Celestyno, nie gniewaj się... Jestem przebrany, widzisz, za Turka.

– No i za co tu się gniewać?... – odezwał się ktoś. – Bachantka zachwyca nie tylko twego Gobineta, ale nawet królewskich gwardzistów i miejskich sierżantów.

– Tej nocy, gdy tańczyła sławne pas „Burzliwego tulipana”, jakiś wstydlivy sierżant aż się zaczerwienił.

– Bo też to był kantredans! Leżynago i Bachantka z jednej strony, naprzeciw Róża-Pompon i Nini-Moulin!

– Jak to... On?

– Czy to ten literat, co pisze jezuickie broszury?

– Tak, tak, on u nas zwykle bierze papier. Zły z niego płatnik, ale jaki figlarz!...

– Przed jezuitami udaje bigota, a sam ich obsmarowuje.

– W tym jest mistrzem. Z nimi pokorny jak trusia, a z nami wyskakuje jak diabeł.

– Niczego też i jego dama, ta Róża-Pompon.

– Ale Bachantka do nich, to jak niebo do ziemi.

– Dziś sierżant miejski przystąpił do niej i rzekł: „Hola! Hola! Moja piękna... Tańczysz zakazany taniec”.

A ona na to „Tańcz i ty”!

Sierżant roześmiał się i dał jej spokój.

– Już trzy miesiące nie rozłącza się z Leżynago.

– Nic dziwnego, bo to tęgi chłopak, dziwne, skąd bierze tyle pieniędzy... Zapłacił za trzy powozy czterokonne i za kolację na dwadzieścia osób.

– Jada!... Jada!... – krzyknęła nagle tłuszcza.

Garbuska słyszała całą tę przykrą dla niej rozmowę, gdyż mówiono o jej siostrze, której od dawna nie widziała; nie przychodziła ona do Garbuski, gdyż nadaremnie ofiarowywała jej pomoc, której uczciwa dziewczyna nie chciała przyjąć.

– Powozy!... Powozy!... – wołano znowu. Garbuska mimowolnie została zagarnięta w pierwsze szeregi tłumu, żadnego widowiska.

Mężczyzna na koniu, przebrany za poczytylioną, w błękitnej, srebrem wyszywanej kurtce, poprzedzał pierwszy powóz; trząsał biczem i krzyczał:

– Z drogi przed królową bachantek i jej dworem!

W odkrytym omnibusie, zaprzężonym w cztery konie, wznosiła się istna piramida mężczyzn i kobiet w najdziwaczniejszych ubiorach, niesłychana mieszanina jaskrawych kolorów, kwiatów, wstążek, świecidełek. Lecz ciekawe oczy zwracały się do następnego powozu, w którym siedziała główna bohaterka kawalkady, witana okrzykami:

– Niech żyje królowa bachantek!

W powozie tym siedziała czwórka wykonawców sławnego „Burzliwego tulipana”: Nini-Moulin, Róża-Pompon, Leżynago i Bachantka.

Dumoulin, ów pisarz jezuicki, co usiłował wyrwać panią Sainte-Colombe z chciwych rąk swego patrona Rodina, przezwany Nini-Moulin, był przedziwnym wzorem do karykatur Gawnarniego. W wieku około trzydziestu pięciu lat, miał zsunięty na tył głowy rzymski hełm ze srebrnego papieru z kitą czarnych piór na boku.

Pod tym hełmem uwydatniała się najpocieszniejsza twarz, potężny nos, którego pierwotny kształt zasłaniały czerwono-fioletowe brylanty, grubo wygięte wargi nadawały mu komiczny wygląd.

Patrząc na tego człowieczka z dużym brzuchem, można było dziwić się, że sto razy już nie utopił się w winie jadu, którym przepojone były wszystkie jego paszkwile przeciw wrogom jezuitów i że talent jego wytrzymał wśród pijackich powodzi.

Krzyczał jak opętany: Niech żyje królowa bachantek! – i trąkotał ogromną grzechotką trzymaną w ręku.

Leżnago powiewał jedwabną chorągiewką, na której był napis: Miłość i wesołość dla królowej bachantek!

Leżnago miał koło dwudziestu pięciu lat. Twarz, jego, wycieńczona bezsennością i zbytami, wyrażała mieszaninę niedbalstwa, śmiałości i humoru, namiętność jeszcze nie wycisnęła na niej swego piętna. Przebrany był za tragarza w czarną, aksamitną kurtkę ze srebrnymi guzikami, w szkarłatną kamizelkę, w pantalon w szerokie błękitne pasy, przepasane kaszmirowym szalem.

W głębi powozu stały Róża-Pompon i Bachantka.

Róża-Pompon, siedemnastoletnia ex-fredzlarzka, wyglądała bardzo zalotnie; upudrowana peruka, na niej na bakier pomarańczowa czapeczka obszyta srebrnymi galonami, obcisły kaftanik z zielonego aksamitu, wszystko to bardzo pasowało do jej zgrabnej sylwetki.

Bachantka wspierała się jedną ręką na ramieniu Róży-Pompon, od której była o głowę wyższa.

Siostra Garbuski, w istocie przewodniczyła temu szalowi, który z jej obecności czerpał natchnienie, jej urok miał wpływ na wszystko, co ją otaczało.

Była to piękna dziewczyna lat około dwudziestu, lekka, zgrabna, oczy jej pały nieustannie namiętnością uciech. Pomimo kilku dni spędzonych na zabawach, cera jej była tak świeża, jakby dopiero wstała po dobrze przespanej nocy.

Miała na sobie dziwaczny strój, podobny do ubioru tancerki na linie. Składał się ze stanika z wełnianej materii, przetykanej złotem, pęki czerwonych wstążek zwieszały się na obnażonych ramionach, spódniczka z czerwonego aksamitu, obszyta złotymi blaszkami, pokrywała ledwie do połowy kształtne nóżki, ubrane w jedwabne safianowe cizemki na złotych koreczkach.

Żadna hiszpańska tancerka nie miała zgrabniejszej figury niż ta osobliwa dziewczyna, która wdzięcznym poruszeniem głowy, ramion i małej nóżki zdawała się zgadzać z taktem niewidzialnej orkiestry.

Złocista korona, godło jej powagi, obwieszona dzwoneczkami, wieńczyła czoło, włosy zebrane w dwa duże sploty, związanej były w tyle głowy, w ręku trzymała ogromny bukiet, którym pozdrawiała tłum, zanosząc się od śmiechu.

Szalony obraz, uzupełniony trzecim powozem, zatłoczonym dziwaczными maskami, fantastycznymi!

Pośród radosnej zgrai jedna tylko osoba ze smutkiem przypatrywała się tej scenie – była to Garbuska.

Pierwszy raz ujrzała siostrę w całej okazałości jej osobliwego triumfu.

A jednak oczy biednej szwaczki zaćmiły się łzami, chociaż królowa bachantek jaśniała radością, choć zdawało się, że cieszy się tym blaskiem wątpliwego zbytku, szwaczka jednak szczerze jej współczuła... Ona... Prawie gałganami okryta, biegnąca o świcie szukać roboty...

Zapatrzyła się na siostrę, którą kochała tym serdeczniej, że uważała za godną politowania...

Nagle wesołe oczy, którymi Bachantka wodziła po tłumie, napotkały wzrok Garbuski.

– Moja siostra!... – zawołała Cefiza. (Takie było imię królowej bachantek). – Moja siostra...

Jednym skokiem wydostała się z powozu, podbiegła do Garbuski i serdecznie ją uściskała.

Otoczające Garbuskę zdziwione maski rozstały się, a Garbuska, ucieszona uściskami siostry, nie myślała o jaskrawej między nimi sprzeczności, która mogła wzbudzić śmiech w tłumie.

Cefizie pierwszej przyszło to na myśl. Odezwała się:

– Rózo-Pompon, rzuć mi moją salopę... A ty, Nini-Moulin, otwórz drzwiczki.

Zanim zdumiona Garbuska zdołała się opamiętać, okryła siostrę salopą.

– Chodź... Chodź...

– Ja?... zawołała przestraszona Garbuska.

– Muszę koniecznie pomówić z tobą... Nie upieraj się... Chodź...

Odurzona Garbuska dała się uprowadzić siostrze, a ta szybko wepchnęła ją do powozu.

Okrycie królowej bachantek pokryło ułomność i nędzną odzież Garbuski. Powozy ruszyły dalej i zatrzymały się przed bramą oberży na placu Chatelet.

## ROZDZIAŁ II

### PRZECIWIENSTWA

W kilka chwil później obie siostry znajdowały się w oddzielnym gabinecie.

– Niechże cię jeszcze raz uściskam – rzekła Cefiza do szwaczki – teraz wreszcie jesteśmy same...

Z Garbuski spadła salopa.

Na widok nędznej odzieży, której się przypatrzeć prawie nie miała czasu na placu Chatelet, Cefiza załamała ręce, zbliżywszy się do siostry, wzięła w swoje pulchne rączki wychudłe, zziębnięte ręce Garbuski, przyglądała się biednemu stworzeniu, wynędzniałemu z niedostatku, z niedospania.

– Ach! Moja siostro! W jakimże stanie muszę cię oglądać!

I królowa bachantek rzuciła się na szyję Garbuski, a pośród łkań mówiła:

– Daruj mi... Daruj...

– Kochana Cefizo! – rzekła wzruszona szwaczka. – Żądasz ode mnie przebaczenia?... Za co?

– Za co? – odparła Cefiza, podnosząc twarz zalaną łzami i zarumienioną ze wstydu – nie jest to dla mnie hańbą być ubraną w te świecidełka, kiedy ty może umierasz z nędzy?

– Uspokój się, trochę nie dospałam tej nocy... I dlatego jestem blada.

Garbuska musiała pocieszać królową bachantek!

Z przyległej sali słychać było okrzyki:

– Niech żyje królowa bachantek!

Garbuska zmieszała się, widząc płaczącą siostrę.

– Cefizo – odezwała się – błagam cię... Nie martw się... Zmuszasz mnie, abym żałowała radości z tego spotkania... A ja czuję się tak szczęśliwa...

– Ty może mną pogardzasz?...

– Tobą gardzić?... Mój Boże... Dlaczego?...

- Dlatego, że prowadzę takie życie...
- Garbuska chciała pocieszyć siostrę i podnieść ją nieco w jej własnych oczach.
- Znosząc nędzę przez rok tak mężnie, Cefizo, dokazałaś więcej niż ja, gdybym ją całe życie znosiła.
- Ach, nie mów o tym...
- Mówmy otwarcie. – Jakże może mieć pokusy takie jak ja stworzenie? Jakże mogą być moje potrzeby, niedołącznej istoty?... Najmniejsza drobnostka mi wystarczy.
- A i tego mało...
- To prawda... Lecz są niedostatki, które ja, ułomna i słabowita, mogę łatwiej znieść niż ty... Ty... Taka silna i żywa... Ciebie głód rozjątrza... Czy przypominasz sobie?... Ile to razy... widziałam cię nieszczęśliwą, kiedy w naszym smutnym poddaszu nie mogłyśmy zarobić nawet czterech franków na tydzień... A duma nie pozwalała udać się o pomoc do sąsiadów.
- Ty przynajmniej zachowałeś tę dumę.
- I ty także... Czy i ty nie cierpiałaś, ile tylko człowiek może wycierpieć?... Ale i siły mają swój kres...
- Ale ty... Ty znosiłaś i dotąd znosisz okropny niedostatek.
- Czy możesz mnie porównywać do siebie? – Garbuska zaprowadziła siostrę przed zwierciadło. – Przyjrzyj się... Czy dziewczyna tak piękna, z usposobieniem tak wesołym, mogła przeżyć młodość, zamknięta w zimnym, ciemnym poddaszu, przykuta do stołka, okryta łachmanami, w bezustannej pracy, bez nadziei?... Piękność potrzebuje stroju, młodość – ruchu, zabaw i wesołości. Gdybyś mogła zarobić na strój, jakiego wymaga twoja piękna postać, pewnie niewiele zostałoby ci do życzenia, uległaś więc potrzebie.
- To prawda – odpowiedziała Bachantka – gdybym tylko mogła zarobić na dzień choć pół franka... Z początku... Przyznam ci się, siostró, przykro mi było żyć cudzym kosztem...
- Byłaś zmuszona, Cefizo... Nie wybierałaś swego przeznaczenia, uległaś mu... Jak ja uległam mojemu...
- Biedna siostró, będąc tak nieszczęśliwą, jeszcze mnie uspokajasz...
- Droga Cefizo, Bóg jest sprawiedliwy. Odmówił mi wielu darów, ale dał i mnie pociechy.
- Ty masz pociechy?
- Tak... Bez nich... Życie byłoby dla mnie ciężarem...
- Rozumiem cię, znajdujesz jeszcze sposób poświęcania się dla innych i to ci osładza troski.
- Przynajmniej staram się robić, co mogę, a kiedy mi się uda, jestem szczęśliwa i dumna, jak mrówka, której uda się przynieść duże źdźbło do mrowiska... Ale nie mówmy już o mnie...
- Przeciwnie... mówmy jeszcze i gdybyś się nie obraziła – dodała z uśmiechem Bachantka – zrobię ci jeszcze raz propozycję... Jakub, jak sądzę, ma jeszcze pieniądze... Wydajemy je na głupstwa... Pozwól, abym ci pomogła... Nieustanną pracą niszcysz zdrowie.
- Dziękuję ci... Znam twoje dobre serce, ale niczego nie potrzebuję...
- Odmawiasz mi – odpowiedziała zasmucona Bachantka. – Pojmuję twoje skrupuły... Lecz przyjmij chociaż przysługę od Jakuba... On był wyrobnikiem, podobnie jak my... Przyjmij... Bo będę myśleć, że mną pogardzasz...
- A ja sądziłabym, że ty mną gardzisz, gdybyś nalegała, Cefizo – rzekła Garbuska tonem stanowczym i łagodnym.
- Łzy potoczyły się z oczu Bachantki.
- Garbuska wzięła ją za rękę:
- Zastanów się tylko... A przyznasz mi słuszność...
- Masz rację – rzekła po chwili Bachantka – moje położenie jest tak upokarzające, iż nawet dobrodziejstwo nosi na sobie skazę.
- Cefizo... Nie chciałam cię obrazić...

– Och! – rzekła Bachantka. – Jakkolwiek jestem trzpiotem, miewam chwile zastanowienia... Na szczęście, rzadkie.

– O czym wtedy myślisz?

– Myślę, że życie, jakie prowadzę, nie jest powodem do chwały i postanawiam wtedy prosić Jakuba o małą sumkę, żebym na rok miała utrzymanie, postanawiam udać się do ciebie i przyzwyczaić się znowu do pracy.

– Dobra myśl... Czemu jej nie spełnisz?

– Bo braknie mi odwagi.

– Ale z czego wy żyjecie?

– Wydaliśmy z Jakubem koło dziesięciu tysięcy franków przez cztery miesiące, sprzedałam za paręset franków nieco swoich rzeczy... Zaczęłam grać na loterii, szczęśliwie wygrałam cztery tysiące franków.

– No, a gdy wydacie te pieniądze, co wtedy będzie?

– Wtedy... Fajerka z węglami zakończy wszystko.

– Wielki Boże!... O czym ty mówisz?...

– No, uspokój się... Nie jest jeszcze z nami tak źle... Pewien spekulant odkupił od Jakuba prawa do jakiegoś tam spadku... Za te pieniądze bawimy się... Póki starczy.

– Ale... Co potem będzie?

– Potem... Na co ta myśl! Mnie się zawsze zdaje, że jutro chyba nastąpi za sto lat... Gdyby myśleć o tym, że przyjdzie umrzeć... Nie warto by żyć...

Rozmowę sióstr znowu przerwały krzyki, słychać było przeraźliwą grzechotkę, którą hałasował Nini-Moulin. Aż okna zatrzęsły się od wrzasku:

– Królowa bachantek, królowa bachantek!...

Garbuska struchlała.

– To mój dwór niecierpliwi się – rzekła, śmiejąc się Cefiza.

– Mój Boże! – Żeby tylko nie przyszli po ciebie...

– Nie, nie, bądź spokojna...

– A jeżeli... Słyszysz stapania?... Zrób coś, abym sama mogła stąd odejść...

Cefiza podbiegła do drzwi w chwili, gdy się otwierały.

Zobaczyła na korytarzu delegację, na czele której szli Nini-Moulin, Róża-Pompon i Leżynago.

– Królowo bachantek! W szklance wody się utopię! – wrzeszczał Nini-Moulin.

– Królowo bachantek! Z rozpaczy wyjdę, za mąż za Nini-Moulin – wołała Róża-Pompon.

– Jej dwór powstanie i porwie ją! – wołał inny głos.

– Tak, porwijmy ją!... – krzyczano zewsząd.

– Za dziesięć minut będę z wami, a wtedy... Hulaj dusza!...

– Niech żyje królowa bachantek! – ryczał Dumoulin, machając grzechotką i oddalając się z innymi. Leżynago sam wszedł do stancji.

– Jakubie, to moja siostra – przedstawiła Garbuskę Cefiza.

– Miło mi panią poznać – rzekł Jakub – tym przyjemniej, że dowiem się od pani o Agrykoli... Od czasu, jak gram rolę milionera, nie widzieliśmy się... Ale zawsze lubię tego poczciwego towarzysza... Jakże się ma?

– Niestety... Został aresztowany.

– Uwięziony? – zawołała Cefiza.

– Uwięziony – powtórzył Leżynago – za co?

– Za jakieś polityczne wykroczenie. Spodziewano się uwolnić go za kaucją, 500 franków, ale, na nieszczęście, nie udało się, osoba, na którą liczył...

Cefiza nie dała skończyć Garbusce:

– Jakubie... Słyszysz... Za pięćset franków.



– Słyszę, rozumiem, nie potrzebujesz mi dawać znaków... Biedny chłopiec, sam utrzymuje matkę.

– Położenie ich jest tym gorsze, że jego ojciec wrócił bez środków do życia, a jego matkę...

– Słuchaj – przerwał Leżynago, nie dając dokończyć Garbusce i wręczając jej woreczek – weź to... Tu już wszystko z góry zapłacono, a to mi pozostało, jest tu około trzydziestu luidorów, lepiej nie mogę użyć tych pieniędzy, jak oddając je koledze w nieszczęściu. Oddaj je ojcu Agrykoli, on zrobi, co trzeba i Agrykola jutro będzie w swej kuźni... Wolę raczej, żeby on tam był aniżeli ja.

– Niech cię uściskam – wykrzyknęła Cefiza.

– W to mi graj – odrzekł, oddając jej całusa.

Garbuska zawahała się chwilę, pomyślawszy jednak, że suma ta może wrócić nadzieje rodzinie Agrykoli, przyjęła sakiewkę ze łzami w oczach.

— Przyjmuję, panie Jakubie... Jesteś wspaniałomyślny i dobry... Dziękuję... Bardzo dziękuję...

– Nie ma za co, droga pani.

Tymczasem wrzaski nie ustawały.

– Cefizo... Jeśli tam nie pójdziesz, wszystko potłuką. A teraz nie miałbym czym płacić za szkody!

A zwracając się do Garbuski, dodał z uśmiechem:

– Przepraszamy! Widzisz sama, że i królowa nie jest panią swej woli...

Cefiza, wzruszona, wyciągnęła rękę do Garbuski. Ta rzuciła się w jej objęcia.

– Kiedy cię znowu zobaczę? – spytała.

– Niedługo... Choć nie ma dla mnie nic przykrzejszego jak widzieć cię w nędzy.

– Przyjdziesz... Przyrzekasz?

– Ja za nią przyrzekam – rzekł Jakub – przyjdziemy odwiedzić i panią, i Agrykolę.

– Do widzenia... Wracaj, Cefizo, na zabawę.

Garbuska wymknęła się ukradkiem, śpiesząc zanieść dobrą nowinę Dagobertowi; zamierzała po drodze zajść na ulicę Babilońską, gdzie mieszkała Adrianna de Cardoville.

W chwili, kiedy wychodziła z oberży, trzech mężczyzn jakby się naradzało, spoglądając na dom oberżysty.

Czwarty, zszedłszy ze schodów, pośpieszył do nich.

– I co? – zapytali oczekujący.

– Jest tam! – odparł przybyły.

– Jesteś pewny?

– Alboż to jest dwóch Leżynago na świecie? – Widziałem go, bogato przebrany... Zabawią tu ze trzy godziny.

– A więc... Zaczekasz tam na nas... Uważaj, żeby nie poznano, że... Ja pójdę do naczelnika i interes się załatwi.

To mówiąc, jeden z mężczyzn skręcił w ulicę, wychodzącą na plac i znikł.

W tej samej chwili do sali biesiadnej wchodziła królowa bachantek, a za nią Leżynago; powitano ich wesołym wrzaskiem.

– Teraz – zawołała Cefiza z gorączkowym uniesieniem jakby chciała coś zagłuszyć – teraz, moi przyjaciele, burza, nawałnica, grzmoty, krzyki i wesołość.

A podając swój kieliszek do napełnienia Nini-Moulin, dodała:

– Do kielichów!

– Wiwat, królowa bachantek! – krzyknęli wszyscy.

## ROZDZIAŁ III

### ŚNIADANIE

Bachantka przewodniczyła uczcie, czyli śniadaniu słusznie zwanemu reveille-matin, które Jakub wyprawiał dla towarzyszy zabawy.

Młodzi ludzie już nie pamiętali o trudach balu, rozpoczętego o jedenastej wieczorem a skończonego o szóstej rano, wszystkie pary śmiały się, jadły, piły z zapałem, mówiono mało, słychać było tylko szcęk kieliszków i talerzy.

Bachantka nie tyle co przedtem wesoła, za to bardziej niż zwykle ożywiona, starała się rozerwać, zapomnieć o smutnych wrażeniach rozmowy z siostrą.

Jakub spoglądał na nią co chwila z namiętym uwielbieniem. Ale nie znali jeszcze całej mocy miłości, bo jej dotąd żadne nieszczęście nie mąciło.

Przyjaciel Róży-Pompon, młody student, wyjechał do rodziny, aby dostać pieniądze; Róża-Pompon, nie chcąc być sama, obrała sobie za kawalera Nini-Moulin, na którego żadne podejrzenie paść nie mogło, tak bardzo był brzydki.

Nini-Moulin, zdjawszy hełm, odsłonił łysą głowę, okoloną wieńcem czarnych, kędzierzawych włosów. Wino wprawiło go w dobry humor, twarz zarumieniła się, na czole wystąpiła czerwona pręga.

Róża-Pompon знаła przyczynę tego zjawiska i zawołała ze śmiechem:

– Nini-Moulin, strzeż się, potok wina wzbiera!

– Utonie, jak mu się podniesie do głowy – dodała Bachantka.

– Królowo bachantek! Nie przeszkadzaj mi, bo zajęty jestem ważnymi myślami... – odpowiedział Dumoulin.

– On myśli... – drażniła go z żartobliwą ironią Róża-Pompon. – Nini-Moulin myśli... Nie przeszkadzajcie mu...

– O czymże on myśli? – ktoś zapytał.

– O moim małżeństwie... – odrzekł Dumoulin poważnie.

Na te słowa zerwały się krzyki i śmiechy.

– Słyszycie! Słyszycie! Nini-Moulin żeni się!

Nini-Moulin krzyczał i śmiał się głośniejsz niż inni.

– Tak, panie i panowie, żenię się – oświadczył. – Za zdrowie mojej narzeczonej!

– Za zdrowie przyszłej pani Nini-Mouline! – krzyknęli wszyscy, spełniając kielichy.

– Ale kto jest tą szczęśliwą wybranką? – zapytała Bachantka.

– Jest to dostojna pani, wdowa, Honorata Modesta Messalina Aniela de la Sainte-Colombe...

– Brawo!... Brawo!...

– Ma sześćdziesiąt lat i przeszło tysiąc liwrow dochodu, nie ma jeszcze siwych włosów na wąsach ani zmarszczek na twarzy, jej tusza jest tak okazała, iż ubranie jej mogłoby posłużyć za namiot dla całego szanownego towarzystwa. Spodziewam się, że przedstawię ją państwu w przyszłe zapusty w kostiumie pasterki, która zjadła swoją trzodę. Teraz omal się nie biję o nią z jezuitami; oni ciągną ją do siebie, a ja do siebie. Nie ma się czego bać, nie rozerwiemy jej, jest silna, ale spodziewam się, że wojna wkrótce zakończy się moim zwycięstwem. Dopuszczcie mi wykształcić ją...

– Nauczmy ją tańczyć kankana!

– Zaimponuje sierżantom miejskim starością!

Nagle Bachantka wstała. Jej twarz miała wyraz gorzkiej, sardonicznej radości.

– Mówią, że do Paryża zbliża się cholera... – zawołała. – Piję za zdrowie cholery!

I wypila.

Mimo powszechnej wesołości, słowa te sprawiły przykre wrażenie.

– Ach, Cefizo – odezwał się Jakub tonem nagany.

– Za zdrowie cholery! – powtórzyła z uporem Bachantka – Niech oszczędza tych, którzy mają ochotę żyć... eż niech zmiecie tych, którzy nie chcą się rozłączyć...

Jakub i Cefiza szybko spojrzeli na siebie, nie dostrzegli tego ich towarzysze. Bachantka umilkła zamyślona.

– To co innego!... – ozwała się Róża-Pompon. – Za zdrowie cholery!... Aby sami dobrzy ludzie pozostali na ziemi...

Chcąc rozwiać smutny nastrój, Dumoulin zawołał:

– Precz z umarłymi i cholera, niech żyją żywi!... Wznoszę toast za zdrowie naszego kochanego Amfitriona, na nieszczęście nie znam jego prawdziwego nazwiska, bo dopiero tej nocy miałem zaszczyt go poznać, więc za zdrowie... Leżynago. Imię to bynajmniej nie razi, bo nasz przodek Adam nigdy nie kładł się inaczej.

– Dziękuję – rzekł wesoło Jakub – gdybym zapomniał twego imienia, nazwałbym cię: „Kto chce pić” i pewien jestem, że odpowiedziałbyś: Jestem!

– Jestem... Na usługi – odrzekł Dumoulin, salutując po wojskowemu i nadstawiając spory kielich.

– Kto razem pił – odparł Leżynago – znać się winien gruntownie... Nazywam się Jakub Rennepont.

– Rennepont! – zdziwił się Dumoulin. Choć był pijany, nazwisko to zrobiło na nim wrażenie. – Nazywasz się Rennepont?

– Tak, czemu to cię tak dziwi?

– Istotnie, starożytny ród o tym nazwisku... Hrabiów Rennepontów.

– Doprawdy? – zapytał Leżynago z uśmiechem.

– Hrabiowie Rennepont, którzy są także książętami de Cardoville – dodał Dumoulin.

– Cóż znowu, mój drogi, przypuszczam, że pochodzę z tej rodziny?... Ja, ubogi wyrobnik...

– Ty... Wyrobnik!... Ależ to zakrawa na historię z „Tysiąca i jednej nocy”!... – zawołał Dumoulin, coraz bardziej zdziwiony – opłacasz nam ucztę Baltazara z towarzyszeniem czterokonných powozów, a jesteś tylko wyrobnikiem?

– Nie wierzysz?... I myślisz może, że jestem fabrykantem fałszywych banknotów lub fałszywej monety? – mówił, śmiejąc się, Jakub.

– O! Koleżko... Takie przypuszczenie... – odparł Dumoulin z wyrzutem.

– Wybaczają się temu, co tak występuje jak ja... Ale uspokoję cię... Tracę schedę.

– Pewno przejadasz i przepijasz stryjaską?

– Jestem poczciwy... Nie wiem...

– Jak to?... Nie wiesz, co przejadasz?...

– Wiem tylko, że mój ojciec był gałganiarzem...

– O! Do diabła – zawołał Dumoulin, nie mogąc ukryć zdziwienia, choć nie był wybredny w wyborze towarzyszy butelki, lecz ochłonawszy, dodał: wszak są i godni gałganiarze...

– Dalibóg, to prawda, mój ojciec był godnym człowiekiem. Mówił po grecku i po łacinie jak prawdziwy uczonec, w matematyce nie miał równego sobie... Bardzo wiele podróżował...

– W takim razie – rzekł Dumoulin, trzeźwiejąc – mógłbyś pochodzić z rodu hrabiów Rennepont.

– Widocznie – wtrąciła Róża-Pompon, śmiejąc się – twój ojciec zbierał gałgany jako amator.

– Nie, nie, w ten sposób zarabiał na życie – opowiadał Jakub – choć za młodu miał się dobrze... Gdy zbiedniał, udał się do bogatego krewnego, który mu powiedział: Niech Bóg opatrzy! Chciał użyć korzystnie swej greki, łaciny i matematyki. Nie udało się. Paryż roił się wtedy od uczonych. Cóż było począć, żeby nie umrzeć z głodu?... Końcem haczyka zaczął

szukać kawałka chleba i... znalazł go, gdyż ja go jadłem przez dwa lata, gdy przyjechałem ze wsi, po śmierci ciotki, u której bawiłem.

– Szanowny twój ojciec był filozofem – zauważył na wpół serio Dumoulin – lecz jeżeli nie znalazł w śmietniku dziedzictwa... Nie rozumiem, skąd spodziewasz się?...

– Czekaj do końca... Mając dwanaście lat, dostałem się na naukę do fabrykanta, pana Trippeaud... Niech diabli porwą jego duszę! W dwa lata potem mój ojciec umarł nagle, zostawiając mi w spuściźnie ruchomości na poddaszu, siennik, stołek i stół, a w starym pudełku od wody kolońskiej jakieś papiery, jak się zdaje, pisane po angielsku, przy tym medalion, który razem z łańcuszkiem, może wart był franka... Nie wspominał mi nigdy o tych papierach, nie wiedząc, na co by się mogły przydać. Zamiast spalić, pozostawiłem je na dnie starego kufierka i dobrze zrobiłem. Za te papiery dano mi teraz dziesięć tysięcy franków.

— Dziesięć tysięcy franków! – zdziwił się Dumoulin. – Ale jak dowiedziano się, że masz te papiery?

– Jeden z tych ludzi, co poszukują dawnych wierzytelności, przyszedł do Cefizy i prosił, aby ze mną o tym pomówiła; przejrzawszy papiery, powiedział, że interes jest wątpliwy, a jednak da mi dziesięć tysięcy franków... Toż to skarb!... Oburącz chwyciłem się tego...

– Winienesz być pomyśleć, że to papiery wielkiej wartości.

– Wątpię... Gdyż mój ojciec skorzystałby z nich, a nie myślał o zbieraniu gałganów... Zresztą, dziesięć tysięcy franków, które z nieba spadają... To się zawsze bierze... Tylko kazał mi podpisać weksel...

– I podpisałeś?

– A czemu nie?... To tylko formalność – mówił agent. – Prawdę mówił, gdyż jak odszedł przed dwoma tygodniami, tak nic już o nim nie słyszałem... Zostało mi jeszcze u niego tysiąc franków, bom go sobie obrał za kasjera... U mnie kasy me ma, a kieszeń dziurawa. Otóż od tego czasu hulam od rama do nocy, kontent, że się wyrwał ze szponów przeklętego Trippeaud!

Gdy mówił te słowa, twarz jego zachmurzyła się. Cefiza patrzyła nań niespokojnie, wiedziała bowiem, jak oburzało go to nazwisko.

– Pan Trippeaud – mówił dalej Leżynago – to człowiek, który dobrych zrobił złymi, a złych jeszcze gorszymi. Mówią: Jaki majster, taki czeladnik... Och! Gdy wspomnę...

I gwałtownie uderzył pięścią w stół.

– Jakubie! Mów o czym innym – uspokajała go Bachantka – Rózo-Pompon, postaraj się go rozerwać...

– Nie mam ochoty śmiać się – odpowiedział Jakub – gdy wspomnę o tym człowieku... Nigdy inaczej nie mówił o nas, tylko: łajdaki, bydłeta, robotniki!... A dzieci w jego fabryce... Biedne stworzenia... Pracowały jak dorośli ludzie... Niewielka szkoda – mówił – poumierają, można wziąć drugie... To nie konie, kupować ich nie trzeba.

– Nie ma wątpliwości, że nie lubisz swego dawnego pryncypała – rzekł Dumoulin.

– Nie... Nie lubię pana Trippeaud – odpowiedział Leżynago – nienawidzę go, a wiesz za co? On jest w części przyczyną, że się stał birbantem. Będąc uczniem u niego, byłem tak chętny do roboty, że rozbierałem się, aby lepiej pracować, właśnie dlatego przezwano mnie Leżynago. I cóż! Nie usłyszałem nigdy słowa zachęty, przychodziłem pierwszy do warsztatu, ostatni wychodziłem... Pewnego razu zraniłem się przy maszynie... Zanoszą mnie do szpitala... Wyszedłem stamtąd bardzo osłabiony, biorę się do roboty...

Nie leniłem się... inni, którzy znali pryncypała, mówili o mnie: „Co za głupiec z niego, że się tak wysila!... Rób tyle tylko, ile koniecznie trzeba”. Jednak nie ustawałem. Pewnego dnia pocziwy starzec, którego zwano ojcem Arsenem, został wypędzony, gdyż był coraz słabszy. Był to dla niego cios śmiertelny, miał chorą żonę, nie mógł gdzie indziej znaleźć miejsca... Płakał z rozpacz.

Przechodził Trippeaud... Ojciec Arsen błagał go, aby go zatrzymał na połowie zapłaty. – Acha!... Tak!... – odpowiedział Trippeaud – Myślisz, że moja fabryka jest domem inwalidów?!... A obróciwszy się, rzekł: Zrobić z nim obrachunek i niech idzie precz! Arsen poszedł precz... A wieczorem on i jego stara żona szczelnie zamknęli izdebkę, zapalili węgle na fajercie i odeszli na tamten świat. Byłem wtedy małym chłopcem, wypadek ten wywarł na mnie okropne wrażenie.

Kiedy Jakub zajęty był przykrymi wspomnieniami, inni w milczeniu porozumieli się, a na znak dany przez Bachantkę, która wskoczyła na stół, wywracając nogami butelki, wszyscy powstali i krzyknęli:

– „Burzliwy tulipan”!... Żądamy „Burzliwego tulipana”!

Jakub wzdrygnął się, spojrzawszy na biesiadników. Potarł ręką czoło, jakby dla odpędzenia niedorzecznych myśli i zawołał:

– Dobrze mówicie... Naprzód... Niech żyje wesołość!

Odstawiono stół. Zastępując orkiestrę, zaintonowano chórem piosenkę, aby wściekłego kadryla zatańczyć mogli Leżynago z Bachantką i Nini-Moulin z Różą-Pompon.

Dumoulin, powierzając grzechotkę jednemu ze współbiesiadników, nadział swój ogromny hełm z piórami.

Róża-Pompon, w czapeczce na bakier, stanęła w parze z Nini-Moulin.

Dano im rześiste oklaski, chociaż to dopiero był słaby, początek „Burzliwego tulipana”. Nagle drzwi się otworzyły, wpadł zafrasowany garson, a dostrzegłszy Leżynago, podbiegł do niego i coś szeptał mu do ucha.

– Ja? – zawołał Jakub, śmiejąc się głośno. – Co za farsa!

Garson znowu coś szeptał, na twarzy Leżynago nagle objawił się niepokój i rzekł:

– Dobrze... zaraz pójdę.

I postąpił ku drzwiom.

– Co się stało, Jakubie? – spytała Bachantka.

– Zaraz wrócę... Niech mnie tu kto zastąpi, tańczcie dalej – rzekł Leżynago.

I śpiesznie wyszedł.

– Pewnie coś zapomniano umieścić w rachunku – rzekł Dumoulin – zaraz wróci.

– Pewno nic innego – dodała Cefiza. – A teraz, kawaler naprzód! – i sama zaczęła tańczyć.

Nini-Moulin chwycił Różę-Pompon prawą ręką, Bachantkę lewą, tańcząc z obydwoma. Ale kiedy drzwi się otworzyły, wszedł znowu garson, sam – podszedł wystraszony do Cefizy i szepnął jej coś do ucha.

Bachantka zbladła, krzyknęła przeraźliwie, skoczyła ku drzwiom i wybiegła bez słowa, zostawiając biesiadników, w osłupieniu.

## ROZDZIAŁ IV

### POŻEGNANIE

Bachantka zbiegła ze schodów.

Przed bramą stała dorożka.

Zobaczyła w niej Leżynago i owych mężczyzn, którzy przed dwiema godzinami stali na placu przed oberżą.

Widząc Cefizę, mężczyzna wysiadł i spojrzawszy na zegarek, rzekł do Jakuba:

– Daję ci kwadrans czasu, przyjacielu, więcej nic dla ciebie nie mogę zrobić... Potem... Ruszamy... Na próżno próbowałbyś uciekać.

Cefiza jednym skokiem znalazła się w dorożce.

- Co to znaczy?... Czego chcą od ciebie?
- Aresztują mnie za długi... – odrzekł Jakub ponuro. – Za ów weksel, który mi agent kazał podpisać, mówiąc, że to są tylko formalności... Rozbójnik!
- Ależ, na Boga! Ty masz u niego pieniądze, biegnijmy błagać go, aby cię zostawił na wolności, on pierwszy zaproponował, że ci pożyczy pieniędzy. Ulituj się.
- Ulituj się... Agent... Lichwiarz... Nie marz o tym.
- Lecz w takim razie co... Co robić? – lamentowała Cefiza – Nie ma żadnej nadziei? Ale przecież należy coś zrobić... On ci obiecał...
- Jego obietnice! Widzisz, jak ich dotrzymuje – odparł Jakub z goryczą. – Podpisałem, nie wiedząc nawet, co podpisuję, termin minął, ma prawo...
- Ale nie mogą cię długo trzymać w więzieniu!
- Pięć lat... Jeśli nie zapłacę... A ponieważ; nie będę mógł zapłacić nigdy, więc sprawa jest jasna...
- Co za nieszczęście! – desperowała Cefiza. – I nic nie można poradzić?...
- Słuchaj, Cefizo – rzekł Jakub wzruszonym głosem – od chwili, jak tu siedzę, myślę o jednym, co się z tobą stanie?...
- Nie troszcz się o mnie.
- Nie troszczyć się o ciebie!... Cóż poczniesz beze mnie? Rzeczy nasze nie warte są nawet dwustu franków. Marnowaliśmy pieniądze, nie zapłaciliśmy komornego. Winni jesteśmy za trzy kwartały... Zostawiam cię bez grosza... Ja przynajmniej w więzieniu dostanę jeść... Ale ty... Z czego będziesz żyła?
- Sprzedam moje ubranie, rzeczy, połowę pieniędzy tobie prześlę, resztę zatrzymam, to wystarczy na jakiś czas.
- A potem?... Co potem?
- Potem?... Sama nie wiem, zobaczę...
- Cefizo! Teraz dopiero poznaję, jak cię kocham. Czy wiesz, co nas zgubiło?... Oto zawsze mówiliśmy: jutro jeszcze daleko, a teraz widzisz, że jutro nie za górami. Niezdolna do pracy, co poczniesz? Zapomnisz o mnie i...
- Ze łzami, rzucając mu się na szyję, zawołała:
- Ja? Miałabym cię zapomnieć... Nigdy!
- Ale z czego będziesz żyć?... Moja Cefizo!
- Pomyślę... Będę się starała, pójdę do siostry, i z nią będę mieszkała... Będę pracować... Nie wyjdę nigdzie, chyba tylko odwiedzić ciebie. Za kilka dni agent, zastanowiwszy się, zażąda, aby cię wypuszczono, ja tymczasem przywyknę znowu do pracy... Zobaczysz!... Ty także weźmiesz się do roboty, będziemy żyli, ubogo wprawdzie, ale spokojnie... Jeżeli mnie kochasz, nie troszcz się, powtarzam ci, wołałabym sto razy umrzeć aniżeli zapomnieć o tobie.
- Uściskaj mnie – rzekł Jakub ze łzami w oczach. – Wierzę ci... Wierzę... Przywracasz mi otuchę... I na teraz, i na później...
- Jeden ze świadków komornika, zapukawszy do drzwi dorożki, rzekł do Jakuba:
- Spiesz się, panie.
- A więc, moja kochana... Nie wrócisz na górę?
- Och! Nie, nie! – odrzekła Cefiza. – Czuję odrazę do zabawy.
- Słusznie... Skończyłabyś tak, jak wiele nieszczęśliwych istot...
- Rozumiem cię – Cefiza zarumieniła się – ale wołałabym sto razy umrzeć, niż dalej żyć w ten sposób.
- I miałabyś słusność... Bo w takim razie – pomógłbym ci... Umrzeć.
- Otrzyj teraz oczy – dodał na pożegnanie.

W kilka minut później dorożka potoczyła się w kierunku mieszkania Jakuba, w którym miał zmienić ubranie przed udaniem się do więzienia.

## CZEŚĆ DZIEWIĄTA

### DAREMNE WYSIŁKI

#### ROZDZIAŁ I

#### FLORYNA

W chwili, kiedy Leżynago i Bachantka tak smutnie kończyli najweselszy okres swego życia, Garbuska stanęła przed drzwiami pawilonu przy ulicy Babilońskiej, do niedawno zamieszkałego przez Adriannę de Cardoville.

Zanim sięgnęła ręką do dzwonka, otarła łzy; przed chwilą spotkało ją nowe zmartwienie.

Wyszędłszy z restauracji, wstąpiła do kobiety, która zawsze dawała jej robotę, ale ta odmówiła, utrzymując, że tę samą robotę zrobią jej kobiety w więzieniu o trzecią część taniej. Można sobie wyobrazić rozpacz nieszczęśliwej szwaczki, z braku roboty trzeba chyba żebrać lub umrzeć z głodu.

Garbuska zadzwoniła nieśmiało do furtki; wkrótce wyszła Floryna, aby jej otworzyć.

Pokojówka nie była już teraz tak gustownie ubrana jak za czasów Adrianny, przeciwnie, w ubiorze jej widać było przesadną prostotę, ale mimo to blada twarz dziewczyny wyglądała wcale powabnie.

Powiedzieliśmy już, że wpadłszy w zależność od Rodina i margrabiego d'Aigrigny, Floryna służyła im jako donosicielka, szpiegując Adriannę, mimo zaufania i dobroci, którymi ta ją obdarzała. Floryna w gruncie rzeczy nie była zła, dlatego odczuwała wyrzuty sumienia, gdy przypominała sobie hańbiące rzemiosło, do którego została zmuszona.

Na widok Garbuski cofnęła się o krok, tak bardzo przeraziła ją zmieniona fizjonomia biednej szwaczki. Ze współczuciem ujęła jej rękę.

– Wejdz, panienko, wejdz... Odpocznij chwilę.

Wprowadziła Garbuskę do przedsiionka z kominkiem i posadziła na krześle przy ogniu.

– Może panienka zechce się czymś posilić?...

– Bardzo pani dziękuję – odpowiedziała Garbuska ze wzruszeniem – wystarczy mi tylko odpocząć, gdyż przychodzę z daleka...

– Odpoczywaj tak długo jak zechcesz... Jestem sama w tym pawilonie od chwili wyjazdu mojej pani. – Tu Floryna zarumieniła się i westchnęła – Mój Boże! Jak panienka zamoczyła nogi... Oprzyj je tu, na taborecie.

Ośmielona szwaczka poczuła zaufanie do Floryny.

– Jaka pani jest łaskawa!

– Zapewniam cię, że moja życzliwość dla ciebie chętnie wyjdzie poza wskazanie ci miejsca przy kominku.

– Ach! Pani, jak miło ogrzać się przy takim ogniu! – dziękowała Garbuska.

Potem dodała:

– A teraz muszę powiedzieć, co mnie tu sprowadza... Wczoraj raczyła mi pani wyjaśnić, że młody czeladnik kowalski, Agrykola Baudoin, został zatrzymany w tym pawilonie...

– Niestety!

– Agrykola... Którego jestem przybraną siostrą – mówiła Garbuska, czerwieniąc się – napisał do mnie z więzienia, przekazując, aby jego ojciec zgłosił się do panny Cardoville z wiadomością, że on, Agrykola, musi jej lub zaufanej osobie przekazać niezwykle ważne informacje. Z obawy przed przeczytaniem przez kogoś niepożądanego, nie może o tym napisać w liście.

– Jak to?... Agrykola ma dla panny Adrianny cenne informacje?

– Tak, gdyż nie wie jeszcze o strasznym nieszczęściu, jakie spotkało pannę de Cardoville.

– To prawda... napad szału nastąpił tak raptownie – rzekła Floryna, spuszczać oczy – iż nikt go nie mógł przewidzieć.

– Dziś rano – mówiła dalej Garbuska – gdy stosownie do polecenia Agrykoli, poszłam do jego ojca, ten już wyszedł z domu... Ale list wydał mi się tak pilny i jak się zdaje – ważny dla panny de Cardoville, która okazała mu tyle dobroci... Iż uważałam za swój obowiązek przyjść tu jak najszybciej.

– Masz szlachetne serce, panienko – rzekła wzruszona Floryna.

– Chciałam spytać, czy nie ma kogoś z jej rodziny, z kim osobiście mogłabym pomówić albo też przez panią zawiadomić, że Agrykola pragnie przekazać bardzo ważne wiadomości?

– To dziwne – odezwała się Floryna – I panienka nie wie, co to była za wiadomość?...

– Nie wiem.

– Ach! Floryna zastanowiła się. – Teraz sobie przypominam; pan Agrykola, zanim został aresztowany w kryjówce, gdzie go pani kazała ukryć, powiedział mi po cichu: „Powiedz swej pani, że jej dobroć zostanie wynagrodzona i że mój pobyt tutaj nie będzie bezużyteczny”. Ta kryjówka już od dawna nie była przez nikogo zamieszkała, może Agrykola znalazł w niej coś takiego, co mogło zainteresować pannę de Cardoville.

Jak wszyscy, którzy nie są do gruntu zepsuci i w których instynkt dobroci budzi się czasami, Floryna czuła pewną pociechę w dobrym uczynku, kiedy spełnić go mogła bezkarnie, bez narażenia się na gniew tych, od których była zależna.

Wydawało się, że teraz ma okazję wyświadczenia swej pani przysługę.

– Słuchaj, panienko... Udzielę ci rady, jak mi się zdaje, korzystnej dla mojej pani, ale ta rada mogłaby być zgubna dla mnie, gdyby się o niej dowiedziano.

– Jak mam to rozumieć?... – zapytała zdziwiona Garbuska.

– W interesie mej pani... Pan Agrykola nikomu nie powinien powierzać owych ważnych wiadomości, tylko jej osobiście.

– Ale ponieważ nie może widzieć się z panną Adrianną, dlaczego nie udać się do kogoś z jej rodziny?

– Właśnie przed osobami z jej rodziny powinien ukrywać wszelkie dotyczące jej wieści... Moja pani może odzyskać zdrowie... Gdyby jednak, na nieszczęście, nie została uleczona, to powiedz swemu bratu, że lepiej zrobi, jeżeli tę wiadomość zatrzyma dla siebie na zawsze, niż gdyby miał ją wyjawiać wrogom panny Adrianny.



– Rozumiem – rzekła zmartwiona Garbuska – Rodzina panny de Cardoville nie lubi jej i może nawet ją prześladować?

– Nic ci więcej nie mogę powiedzieć; co do mnie, zaklinam cię, abyś przyrzekła wymóc na panu Agrykoli, aby nikomu w świecie nie mówił o próbie skontaktowania się ze mną ani o radzie, jaką ci dałam... Mój spokój zależy także od twojej ostrożności i dyskrecji.

– Bądź pani spokojna!

– Dziękuję... Bardzo ci dziękuję.

– Dziękuję mi pani... Za co?

– Tak... Winnam ci chwilę szczęścia... Czystego szczęścia...

– Pani jest nieszczęśliwa?

– Dziwisz się?... A jednak wierz mi, że jakiegokolwiek jest twoje położenie, chętnie zamieniłabym się z tobą.

– Och! Pani – odparła Garbuska – jesteś tak dobra, że nie życzyłabym ci tego, szczególnie dzisiaj...

– Jeśli jesteś bez pracy... Może będę mogła wystarać ci się o robotę...

– Sama prosić o to nie ośmieliłabym się, ale dobroć pani tak mnie ośmiela, że szczerze wyznam, iż właśnie dziś rano straciłam pracę, która dawała mi cztery franki na tydzień...

– Cztery franki na tydzień! – powtórzyła Floryna, głęboko poruszona taką nędzą. – Otóż polecę cię takim osobom, co zapewnią ci najmniej dwa franki na dzień...

– Ja mogłabym zarobić dwa franki dziennie?... Czy to możliwe?

– Tak, bez wątpienia... tylko trzeba by codziennie chodzić do pracy.

– A więc muszę się wyrzec tej nadziei – stwierdziła ze smutkiem Garbuska – nie dlatego, abym nie chciała chodzić codziennie, ale od szwaczki wymagają, aby była ubrana przyzwoicie... A ja muszę pani wyznać, nie mogę być lepiej ubrana niż jestem.

– To wcale nie będzie przeszkodą... – rzekła Floryna – dadzą ci możliwość ubrania się lepiej.

Garbuska patrzyła na Florynę z coraz większą ciekawością.

– Rozumiem, że moja propozycja tak dalece przewyższająca twój zarobek zaskoczyła cię, powinnam ci jednak wyjaśnić, że jest to zakład dobroczynny, którego celem jest zapewniać pracę lub służbę kobietom, które na to zasługują i potrzebują jej.

Zakład ten znajduje się przy klasztorze Panny Marii.

– Teraz pojmuje wysoką zapłatę za pracę, tylko że nie mam możliwości być poleconą osobom, zarządzającym zakładem, aby się chciały mną opiekować.

– Jesteś biedna, pracowita i uczciwa, to ci starczy za protekcję... Zresztą... Spróbuj, co na tym stracisz?

– Przyjmuję pani propozycję i serdecznie za nią dziękuję, ale kto mnie tam przedstawi?

– Ja... jeśli chcesz, jutro. Zajadę po ciebie dorożką... Gdzie mieszkasz?

– Przy ulicy Brise-Miche, nr 3... Kiedy pani jesteś tak łaskawą, poprosisz tylko farbiarza, aby mnie powiadomił... Aby powiadomił Garbuskę.

– Garbuskę? – powtórzyła Floryna ze zdziwieniem.

– Tak – odpowiedziała, uśmiechając się smutnie – jest to przezwisko, którym mnie wszyscy nazywają. Nazywam się Magdalena Saliveau, ale powtarzam: pytaj pani o Garbuskę, bo tylko pod tym nazwiskiem mnie znają.

– A więc jutro w południe będę na ulicy Brise-Miche.

– Ach! Droga pani, w jaki sposób będę mogła ci się odwdzieczyć?

– Nie mówmy o tym. Co do Agrykoli, nie odpowiadaj mu, zaczekaj, aż wyjdzie z więzienia, a wtedy powiesz mu, powtarzam, że jego zwierzenia powinny zostać w sekrecie do czasu, gdy będzie je mógł bezpośrednio zakomunikować mej biednej pani...

– A gdzie ona jest teraz?

– Nie wiem... Nie wiem, dokąd ją wywieziono. A więc do jutra, oczekuj mnie, panienko.

– Do jutra! – odparła Garbuska.

Czytelnik zapewne pamięta, że w klasztorze Panny Marii, gdzie Floryna miała zaprowadzić Garbuskę, znajdowały się córki marszałka Simona, w sąsiedztwie zaś mieścił się zakład leczniczy doktora Baleinier, w którym przebywała Adrianna de Cardoville.

## ROZDZIAŁ II

### MATKA AGRYPINA

Klasztor Panny Marii, w którym zamknięto córki marszałka Simona, był to stary, wielki pałac, którego obszerny ogród wychodził na Bulwar Szpitalny; miejsce to w owej epoce zaliczało się do najodludniejszych przedmieść Paryża.

Sceny, które zamierzamy przedstawić, rozgrywały się 12 lutego, to jest w wigilię dnia, w którym członkowie rodziny Rennepont, ostatni potomkowie po siostrze Żyda-Tułacza, mieli się zebrać przy ulicy Św. Franciszka.

Klasztor Panny Marii utrzymywany był w największym porządku. Rada nadzorcza, składająca się z bardzo wpływowych osób duchownych, na których czele stał ksiądz d'Aigrigny i z kobiet, którym przewodniczyła księżna Saint-Dizier, gromadziła się często, aby obmyślać środki dla rozszerzenia i utrwalenia potężnego wpływu tego tajemniczego zakładu.

Zakład ten utworzony i prowadzony był według bardzo zręcznie i głęboko przemyślanych zasad i posiadał już znaczne nieruchomości i inne dobra.

Klasztor służył tylko za pretekst, lecz dzięki licznym związkom z prowincjami, ściągano tutaj, za pośrednictwem najgorliwszych członków partii jezuickiej, wiele sierot z bogatych rodów, które miały pobierać w klasztorze wychowanie gruntowne, surowe, religijne, nierównie lepsze, jak głosili zwolennicy jezuitów, od wychowania, jakie znalazłyby na modnych pensjach, zarazonych współczesnym zepsuciem. Wdowom lub starym pannom, ale także bogatym, klasztor dawał schronienie od pokus światowych; w tym spokojnym ustroniu mogły żyć osoby wolne od zgiełku miasta, używać bogobojnej ciszy, dla zapewnienia sobie zbawienia, otaczano je tu największą i najuprzejmiejszą troskliwością.

Ale na tym nie koniec; przełożona matka Agrypina podejmowała się także dostarczać pobożnym, co pragnęli uchronić swe domy od światowego zepsucia, bądź to panienki do towarzystwa osób samotnych lub w podeszłym wieku, bądź to służących do gospodarstwa, wreszcie szwaczek i to takich, za których moralność zakład ręczył.

Zdawałoby się, że nie może być nic godniejszego pochwały nad podobny zakład, lecz pod tymi moralnymi i pobożnymi pozorami ukrywała się szeroka i szkodliwa osnowa wszelkiego rodzaju intryg.

Przełożona klasztoru była to kobieta wysoka, około czterdziestu lat. Ubrana była w grubą suknię z długim różańcem u pasa; biały czepek zawiązany pod brodą i czarny welon osłaniały chudą, wybladłą twarz, czoło koloru żółtej kości słoniowej porane było mnóstwem zmarszczek, nos jej był trochę zakrzywiony jak u drapieżnego ptaka, w czarnych oczach wiadać było bystrą przenikliwość. Sprawiała wrażenie osoby mądrej, chłodnej, opanowanej.

W kierowaniu interesami zgromadzenia matka Agrypina nie ustąpiłaby najprzebieglejszemu prawnikowi. Gdy kobiety znają się na tak zwanym duchu interesów i gdy przy tym posiadają tę właściwą im delikatną przenikliwość, niezmordowaną wytrwałość, a nade wszystko szybką orientację, wtedy dochodzą do nadzwyczajnych sukcesów.

Dla matki Agrypiny, kobiety z głową i niezmordowanej, skomplikowana rachunkowość zgromadzenia była igraszką, nikt nie umiał lepiej od niej kupować majątków za bezcen, pod-

nosić ich wartość i korzystniej następnie sprzedać, nie były jej obce kursy każdego rodzaju rent, weksli, bieżąca wartość akcji i rozmaitych przedsiębiorstw, znała się na tym doskonale, nigdy nie pomyliła się w zleceniach giełdowych, gdy chodziło o ulokowanie funduszy, oddawanych przez dobrodusznych ludzi na rzecz zakładu. Zaprowadziła w domu porządek, karność i oszczędność, gdyż głównym jej celem było wzbogacić nie siebie, lecz klasztor, którym rządziła.

Matka Agrypina siedziała przed wielkim biurkiem, stojącym na środku pokoju, umeblowanego z prostotą, ale z wszelkimi wygodami; na marmurowym kominku palił się ogień, posadzka zaś zasłana była miękkim kobiercem.

Przełożona, której co dzień oddawano wszystkie listy, pisane do sióstr zakonnych lub do pensjonarek klasztornych – listy do sióstr otwierała zgodnie z prawem, listy zaś do pensjonarek zręcznie rozpieczętowywała, według prawa, które sama ustanowiła, dla dobra duchowego wychowanek; również te wysyłane z klasztoru, przed oddaniem na pocztę, przechodziły przez jej ręce.

Ślady tej pobożnej i niewinnej ciekawości łatwo niknęły, gdyż dobra matka miała bogaty arsenał wszelkiego kształtu delikatnych instrumentów, na koniec w arsenale matki Agrypiny była nader dowcipnej roboty fajerka, nad której wilgotną parą trzymano listy, skromnie i pokornie pieczętowane opłatkiem, a gdy ten odmiękł, list otwierał się bez najmniejszego uszkodzenia papieru. Przełożona sporządzała z każdego listu mniej lub bardziej obszerny wyciąg.

Te ciekawe badania przerwano jej dwoma zapukaniem do drzwi, starannie zamkniętych na zasuwkę.

Matka Agrypina spuściła natychmiast blat biurka na cały ten arsenał, wstała i z powagą poszła otworzyć drzwi.

Siostra nowicjuszka dała jej znać, że w sali czeka księżna Saint-Dizier i że Floryna, a z nią młoda, ułomna, biednie odziana dziewczyna, które przybyły nieco później, czekają w małym korytarzu.

– Wprowadź najpierw księżnę.

Księżna była ubrana bez zalotnych pretensji, ale wytwornie i gustownie; ramiona i szyję okrywał wielki, błękitny szal z kaszmiru.

– Jakież szczęśliwy traf obdarza mnie zaszczytem twych odwiedzin, moja kochana córko – uprzejmie odezwała się przełożona.

– Bardzo ważny interes, kochana matko, bo bardzo się śpieszę, czekają na mnie u Jego Wysokiej Przewielebności i ledwie kilka minut mogę tu pozostać, idzie jeszcze o te dwie sieroty.

– One ciągle są rozdzielone według twego życzenia, ale to rozłączenie tak im zaszkodziło... Iż byłam zmuszona zawiadomić o tym doktora Baleinier... Orzekł, że mają gorączkę, połączoną z wielkim osłabieniem i rzecz szczególna, oznaki choroby u obydwu sióstr są zupełnie takie same... Badałam znowu biedaczki... Zdziwiłam się... Przelęłam... One nie mają najmniejszego wyobrażenia o religii.

– Dlatego też należało jak najprędzej oddać je tu... Lecz powód mych odwiedzin, kochana matko, jest inny: dowiedziano się o nagłym, niespodziewanym powrocie żołnierza, który przyprowadził dziewczęta tu, do Francji. To człowiek śmiały i przedsiębiorczy. A więc od dzisiejszego dnia, kochana matko, trzeba podwoić środki, aby nikt nie mógł tu się dostać nocą... Ta część miasta jest tak odludna!...

– Bądź spokojna, córko... Jesteśmy dostatecznie strzeżone, nasz odźwierny i nasi ogrodnicy, dobrze uzbrojeni, co noc patrolują od strony bulwaru, mury są wysokie i najeżone ostrymi żelaznymi kolcami... Ale dziękuję ci, moja córko, żeś mnie przestrzegła, podwoimy ostrożność.

– Szczególnie trzeba podwoić ją tej nocy, moja matko!

– Tej więc nocy – oświadczyła matka Agrypina – podwoi się ostrożność... A ponieważ mam przyjemność widzieć cię, córko, skorzystam z tego i powiem ci o zamęściu, które właśnie teraz planujemy.

– Dobrze, matko, pomówmy o tym, bo to rzecz dużej wagi; młody baron de Brisville jest człowiekiem pełnym pobożności w obecnych bezbożnych czasach, chętnie słuchają go w izbie, może więc wyświadczyć nam wielkie usługi, zawsze z zapałem mówi o sprawach wiary i nie oszczędza swych przeciwników, co szczęściem, w obecnych okolicznościach nie jest niebezpieczne; jest nam zupełnie oddany, my więc nawzajem winniśmy jego małżeństwo koniecznie doprowadzić do skutku, wiesz zresztą, matko, że przyrzekł zapisać sto tysięcy franków instytutowi Marii, zaraz w dniu, w którym posiadzie majątek panny Baudricourt.

– Nie wątpiłam nigdy o zacnych chęciach pana Brisville względem zakładu, który zasługuje na poparcie wszystkich pobożnych ludzi – odpowiedziała skromnie przełożona – ale nie spodziewałam się napotkać tylu przeszkód ze strony panny.

– Jak to?

– Ta dziewczyna, o której dotąd sądziłam, że jest uosobieniem uległości i bezwolności, że jest głupkowatą gąską... Zamiast, jak się spodziewałam, ucieszyć się z zaproponowanego jej małżeństwa... Żąda, aby zostawić jej czas do namysłu.

– Litować się trzeba!

– Nie sprzeciwia się jawnie, ale też nie zgadza się, daremnie mówię jej, że nie mając ani rodziców, ani przyjaciół, oddana zupełnie pod moją opiekę, powinna widzieć moimi oczyma, słyszeć moimi uszami i że kiedy jej mówię, iż to małżeństwo jest ze wszech miar odpowiednie dla niej, powinna zgodzić się na nie, bez najmniejszego namysłu.

– Bez wątpienia...

– Ona na to, że chciałyby najpierw widzieć pana Brisville i poznać jego charakter.

– To niepotrzebne... Skoro ręczysz za jego moralność i uważasz to małżeństwo za stosowne.

– Zresztą dziś rano uświadomiłam pannie Baudricourt, że dotąd używałam wobec niej łagodnych perswazji i starałam się przekonać ją, że gdyby się opierała, byłabym zmuszona dla jej własnego dobra... Użyć surowszych środków dla przełamania jej oporu, odłączyć ją od towarzyszek, zamknąć w celi, trzymać w ukryciu... Aby wreszcie namyśliła się być szczęśliwą... Zaślubić zacnego mężczyznę.

– I co? Te groźby podziały na nią?

– Spodziewam się, że odniosą skutek... Na prowincji utrzymywała listowny związek z dawną przyjaciółką z pensji... Przerwałam tę korespondencję, teraz jest więc wyłącznie pod moim wpływem...

– Pewna też jestem, że pan de Brisville nie poprzestanie na pierwszym przyrzeczeniu i ręczę, że jeżeli zaślubi pannę Baudricourt...

– Wiesz, córko – przerwała przełożona – że gdyby tak na mnie trafiło, odmówiłabym, lecz ofiara dla naszego zakładu jest czynem miłym Bogu, nie mogę więc przeszkadzać panu de Brisville powiększać liczby jego dobrych uczynków, a poza tym bardzo by się to przydało.

– O cóż idzie, matko?

– Inne zgromadzenie konkuruje z nami w nabyciu pewnej nieruchomości, która dla nas byłaby wielce przydatna... Są wprawdzie ludzie nienasyceni, a wreszcie otwarcie powiedziałam o tym przełożonej.

– Istotnie, mówiła mi o tym, lecz zwała winę na ekonoma – odpowiedziała księżna.

– Acha!... Widziałaś się z nią, moja córko? – spytała przełożona z pewnym zdziwieniem.

– Spotkałam się z nią u Jego Przewielebności – odpowiedziała księżna z pewnym wahaniem, czego matka Agrypina zdawała się nie dostrzegać.

– Naprawdę nie wiem – rzekła – dlaczego nasz zakład wzbudza tyle zazdrości u tamtych sióstr, rozsiewają o nas tyle nedorzecznych bredni, widać boli je nasze powodzenie.

– Nie to, matko – uspokajała księżna – spodziewać się można, że zapis pana de Brisville pozwoli wam uprzedzić tamten klasztor w kupieniu nieruchomości, małżeństwo to więc byłoby podwójnie korzystne, gdyż oddałoby wielki majątek w ręce przychylnego nam człowieka, który użyłby go należycie... Suma około stu tysięcy franków rocznego dochodu, w trójnasób polepszyłaby położenie naszego obrońcy. Będziemy wreszcie mieli organ naszej sprawy i nie będziemy już zmuszeni powierzać naszej obrony takim ludziom jak ten Dumoulin.

– Niemniej w jego pismach jest wiele zapału i nauki. Widać, że to człowiek cnotliwy, którego oburza bezbożność naszych czasów.

– Niestety! Moja matko, gdybyś wiedziała, jaki to jest człowiek... Ale nie chcę obrażać twych uszu... Tyle ci tylko powiem, że tacy obrońcy zaszkodzić mogą najświętszej sprawie. Bądź zdrowa, droga matko, do widzenia... A nade wszystko podwój ostrożność tej nocy...

– Bądź spokojna, moja córko... Ach!... Zapomniałam... Floryna prosiła mnie, żebyś ją przyjęła do posługi.

– Kochana matko, skoro ty o to prosisz, wezmę ją do siebie... A zresztą będzie mi potrzebna.

– Stokrotnie dziękuję ci, córko, za twoją dobroć, spodziewam się, że wkrótce się zobaczymy... Pojutrze będziemy mieli naradę u Jego Przewielebności, nie zapomnij o tym...

– Nie, matko, będę niezawodnie... Ale pamiętaj podwoić ostrożność tej nocy, aby nie dopuścić do jakiegoś zgorzenia ze strony tego przeklętego żołnierza...

Z uszanowaniem pocałowała przelożoną w rękę, księżna oddaliła się.

W kilka minut później bocznymi drzwiami weszła do przelożonej Floryna, zbliżając się z bojaźliwą nieśmiałością.

– Nie spotkałaś księżny Saint-Dizier? – spytała matka Agrypina.

– Nie, matko wielebna, czekałam na korytarzu, którego okna wychodzą na ogród.

– Księżna bierze cię do posług, od dzisiejszego dnia – oświadczyła przelożona.

Floryna, okazując zdziwienie, odezwała się po chwili:

– Mnie?... Wielebna matko... Wszak...

– Prosiłam ją o to w twoim imieniu... Zgadzasz się? – odpowiedziała przelożona rozkazującym tonem.

– Ale... Wielebna matko... Ja prosiłam, aby nie...

– Mówię ci, że się zgadzasz! – powtórzyła przelożona tak wymownie, że Floryna spuściła oczy i odpowiedziała cichym głosem:

– Przystaję... Nie śmiem opierać się twojej woli, matko.

– Ten rozkaz daję ci w imieniu pana Rodina...

– Tak się spodziewałam... Wielebna matko – smutnie odpowiedziała Floryna – a pod jakimi warunkami... Wejdę w służbę... Do księżny?

– Pod tymi, co u jej bratanicy.

Floryna wzdrygnęła się i zapytała:

– A więc będę musiała składać tajemne raporty o księżnej?

– Będziesz uważała, będziesz pamiętała i zdasz potem rachunek...

– Dobrze, wielebna matko...

– Szczególnie będziesz dawać baczenie na odwiedziny przelożonej Sacre-Coeur, będziesz je sobie notowała i starała się podsłuchiwać, o czym rozmawiają...

– Będę posłuszna, wielebna matko.

– Postarasz się także dowiedzieć, dlaczego zostały tu przyprowadzone dwie sieroty, dziewczęta, z zaleceniem jak największej wobec nich surowości.

– Dobrze, matko wielebna.

– A poza tym nie zaniedbasz uważać i zapamiętać wszystko, co uznasz za godne uwagi.

– Dobrze, wielebna matko.

— Zresztą, jeżeli będziesz postępować jak należy, zwolnię cię od księżny i umieszczę jako szafarkę u młodej mężatki, będzie to dla ciebie wyborne miejsce i służba na długo... Tak więc wchodzisz na służbę do księżny Saint-Dizier na skutek swej własnej prośby.

– Rozumiem, wielebna matko... Będę o tym pamiętała.

– Cóż to za ułomna dziewczyna, którą z sobą przyprowadziłaś?

– Jest to biedna dziewczyna bez środków do życia, bardzo roztropna, jest to szwaczka, za-  
brakło jej roboty i przywieziona została do ostateczności. Dowiedziałam się o niej dziś rano,  
kiedy poszłam po nią.

Przełożona wykazała pewne zainteresowanie i po chwili namysłu rzekła:

– I wydaje się roztropna?

– Bardzo.

– I bez środków do życia?

– Żadnych.

– Mniejsza o to – pomyślała przełożona – jeśli jest roztropna, to wystarczy.

I odezwała się głośno:

– Czy jest zręczna w pracy?

– Tak mówią, matko wielebna.

Przełożona wstała, podeszła do biurka, wzięła jakiś spis, szukała w nim jakiś czas, potem,  
kładąc go z powrotem, rzekła:

– Zawołaj tę dziewczynę... Potem pójdziesz do garderoby i tam będziesz czekać na mnie.

– Ułomna... Roztropna... Zręczna robotnica – rozważała przełożona... – można spróbować.

– Po chwili Floryna wprowadziła Garbuskę i przedstawivszy ją przełożonej, oddaliła się.

Młoda szwaczka była mocno zmieszana, gdyż nie mogła uwierzyć temu, co dostrzegła  
podczas nieobecności Floryny. Nie bez obawy pozostała sam na sam z przełożoną klasztoru  
Panny Marii.

## ROZDZIAŁ III

### POKUSA

Przyczyna zmieszania Garbuski była następująca:

Floryna, odchodząc do przełożonej, zostawiła ją na wąskim korytarzu, służącym za przed-  
pokój do sali na pierwszym piętrze, przy oknach stały ławki. Zostawszy sama, Garbuska zbli-  
żyła się do okna, wychodzącego na ogród klasztorny, ogrodzony z tej strony na wpół zwal-  
nym murem.

Na parterze tego domu, w oknie za kratami, Garbuska spostrzegła młodą dziewczynę, któ-  
ra, patrząc na budynek klasztorny, kiwała ręką jakby kogoś wołała do siebie.

Garbuska nie mogła rozpoznać, komu dawane były te znaki, podziwiała tylko rzadką urodę  
tej dziewczyny. Wyglądało zresztą na to, że ktoś odpowiadał na te znaki.

Błady promień słońca oświetlił w tej chwili włosy dziewczyny, której biała twarz jakby  
przyklejona do okna, zdawała się niejako błyszczeć połyskiem złocisto-żółtych włosów.

Na widok tej zachwycającej twarzy Garbuska zmieszana się mimowolnie, natychmiast  
przyszła jej na myśl panna de Cardoville i zdawało się jej, a nie myliła się, że widzi opiekun-  
kę Agrykoli.

Widząc tam, w tym nieszczęsnym domu obłąkanych, tę młodą damę, przypominając sobie  
dobroć, z jaką przed kilkoma dniami przyjmowała w swym pałacyku Agrykolę, Garbuska

poczuła wzruszenie. Sądziła, że Adrianna cierpi na pomieszanie zmysłów, przypatrując się jednak uważnie, stwierdziła, że rozum i wdzięk nie przestały ożywiać jej pięknej twarzy.

Nagle panna de Cardoville dała wymowny znak: przyłożyła palec do ust, przesłała dwa całusy w stronę, gdzie patrzyła i prędko znikła.

Garbuska żałowała, że nie może dostać się do niej.

Zajęta tymi myślami spostrzegła Florynę, która zaprowadziła ją do przełożonej.

Matka Agrypina byстрыm okiem zmierzyła fizjonomię szwaczki, a widząc ją przestraszoną, skromną i łagodną, osądziła, że może zawierzyć temu, co o niej opowiadała Floryna.

– Moja córko – odezwała się. – Prawda to... Że nie masz pracy?

– Niestety, tak, pani.

– Nazywaj mnie matką... Moja córko, miłsze to imię... I taki jest zwyczaj tego domu... Nie mam chyba potrzeby pytać o twoje zasady?

– Zawsze uczciwie utrzymywałam się z pracy... Moja matko – odparła Garbuska z godną i skromną prostotą.

– Wierzę ci, moja córko i mam słuszne powody wierzyć ci... Winnaś dziękować Bogu, że cię zachował od pokus, ale powiedz mi, czy jesteś biegła w swoim zawodzie?

– Robię jak mogę najlepiej, wszyscy zawsze byli zadowoleni z mojej roboty... Zresztą, jeżeli wielebna matka zechce przyjąć mnie do pracy, będzie mogła przekonać się.

– Wystarczy mi twoje zapewnienie, córko... Wolisz chodzić codziennie do roboty... – prawda?

– Panna Floryna uprzedziła mnie, że nie mogę spodziewać się, abym dostała robotę do domu.

– Przynajmniej w tej chwili, moja córko, jeżeli później coś się trafi, będę o tym pamiętać. Teraz zaś posłuchaj, co mogę dla ciebie uczynić. Pewna starsza, bardzo szanowana dama prosiła mnie o szwaczkę, mogącą przychodzić codziennie; spodobaś się, skoro cię przedstawię, zakład weźmie na siebie obowiązek ubrania cię jak należy, po trosze będzie się to odtrącać z twego zarobku, gdyż u nas będziesz opłacana... Zapłata będzie wynosić dwa franki dziennie... Jak ci się zdaje, starczy?

– Ach! Matko wielebna... To dużo więcej aniżeli mogłam się spodziewać.

– Przede wszystkim powinnam ci powiedzieć, u kogo zakład zamierza cię umieścić. Jest to pewna wdowa, pani Bremont, osoba wielkiej pobożności... W jej domu, spodziewam się, znajdziesz same dobre przykłady... Gdyby zaś było inaczej, zaraz powiadomisz mnie o tym.

– Jak to... Wielebna matko?

– Słuchaj mnie uważnie, moja córko – ciągnęła przełożona coraz życzliwszym tonem – Instytut założony przy naszym klasztorze ma cel święty, dwojaki... Wszak rozumiesz, że jeżeli naszym obowiązkiem jest dawać pracodawcom pewność co do moralności osób, które umieszczamy w ich domach, powinniśmy także upewnić te osoby o moralności państwa, u których je umieszczamy.

– Nic sprawiedliwszego i przezorniejszego, wielebna matko...

– Prawda, moje dziecko?... Bo równie jak sługa złych obyczajów może wnieść zgorzenie do zanego domu... Tak samo pan lub pani złych obyczajów mogą wywierać gorszący wpływ na osoby usługujące im. Dawanie więc wzajemnej rękojmi ma na celu nasz zakład.

– Ach, pani – odezwała się naiwnie Garbuska – ci, którzy powzięli taką myśl, zasługują na błogosławieństwo...

– I nie brak im tego błogosławieństwa, moja córko, bo instytucja nasza dotrzymuje swych obietnic. I tak np. poczciwa szwaczka jak ty, moje dziecko... Umieszczona bywa u osób nie-nagannych według nas, gdyby jednak dostrzegła, czy to u swych państwa, czy też nawet w ludziach, bywających w domu, jakieś uchybienie przeciwko dobrym obyczajom, natychmiast przychodzi i opowiada nam szczegółowo o wszystkim, co może jej się nie podobać. Nic roz-tropniejszego... Prawda?

– Tak, matko – odpowiedziała nieśmiało Garbuska, gdyż dziwić ją zaczynały te wszystkie ostrożności.

– Wtedy – mówiła dalej przełożona – jeśli uznamy tego potrzebę, zobowiązujemy naszą protegowaną, aby dawała większe baczenie, aby się przekonała, czy jej obawy były słuszne... Komunikuj nam dalsze spostrzeżenia, a jeśli te potwierdzą obawy, odbieramy natychmiast naszą protegowaną z tak nieprzyzwoitego domu... Ale większość z nich, jakkolwiek dobre i cnotliwe, nie ma dostatecznego pojęcia, co może być szkodliwe dla ich duszy; wolimy zatem, aby co tydzień poufnie się nam zwierzały, czy to ustnie czy na piśmie, tak jak córka zwierza się swej matce, ze wszystkiego, co się dzieje w ciągu tygodnia w domu, gdzie zostały umieszczone, wtedy decydujemy, czy mają tam nadal pozostać, czy też należy odwołać je. Już blisko sto osób, panien do towarzystwa, szwaczek, garderobianych, sług itd. umieściliśmy na takiej zasadzie w różnych domach i ciągle przekonujemy się, że to bardzo pożyteczne, dla zachowania dobrych obyczajów... Rozumiesz mnie, moje dziecko... Prawda?

– Tak... tak... Wielebna matko – potakiwała Garbuska coraz bardziej zakłopotana – rozumiem.

– Moja córko – oświadczyła wreszcie matka Agrypina, uznając milczenie Garbuski za przyzwolenie. – Na przykład pani de Bremont, do której cię posyłam, prowadzi dom nabożny. Mówią tylko, czemu nie wierzę, że jej córka, pani Noisy, zamieszkała od niedawna przy matce, jest niezupełnie przykładnych obyczajów, że nie dość ściśle wypełnia obowiązki chrześcijańskie i że podczas nieobecności swego męża, który jest w Ameryce, przyjmuje odwiedziny, na nieszczęście zbyt częste, niejakiego pana Hardy, bogatego fabrykanta.

Na wspomnienie imienia opiekuna i pryncypała Agrykoli Garbuska nie mogła powstrzymać się od okazania zdziwienia, a twarz jej pokryła się rumieńcem.

Przełożona uznała ten rumieniec za dowód wstydlivosti młodej szwaczki i mówiła dalej:

– Osądziłam za rzecz potrzebną powiedzieć ci o tym, córko, abyś wiedziała, czego się strzec i na co dawać baczenie... Bo skoro zostaniesz przyjęta pod opiekę zakładu, będę obowiązana starać się o twoje szczęście, a ponadto, gdyby twoje skrupuły zmusiły cię do opuszczenia domu pani de Bremont, ponieważ wtedy pozbawiona byłabyś przez jakiś czas roboty, wówczas zakład nasz, jeśli byłby zadowolony z twej gorliwości, dawać ci będzie po franku dziennie, dopóki cię znowu nie umieści w jakim zacnym domu...

Biedna Garbuska znajdowała się w kłopotliwym położeniu, nie wierzyła swoim uszom, nie wiedziała, co ma myśleć. To rumieniła się, to bladła.

Matka Agrypina była zbyt przenikliwa, aby nie odgadnąć, co się działo w duszy Garbuski, rzekła więc:

– Zresztą możesz obejść się bez naszego nadzoru i bez naszych rad zdolna będziesz sama ocenić wszystko, co mogłoby szkodzić twemu dobru. Przeto niczego od ciebie nie żądam i proszę tylko, abyś nie zapomniała, że zawsze w razie potrzeby gotowa jestem udzielić ci rad macierzyńskich.

– Ach, matko... Jakże jesteś dla mnie łaskawa, nie wiem sama, jak mam dziękować – wyjąkała biedna Garbuska, nie wiedząc, że w tym ukrywa się wybieg i sądząc, że już teraz w uczciwy sposób pozyska przyzwoite utrzymanie.

– Jeszcze jedno pytanie, córko, ile razy na miesiąc spowiadasz się?

– Niestety, matko – odpowiedziała Garbuska – nie spowiadałam się ani razu, od czasu mej pierwszej komunii, to jest od ośmiu lat. Zaledwie bowiem, pracując co dzień od rana do nocy mogę zarobić na wyżywienie, kiedy więc...

– Ach! Przebóg! – zawołała przełożona, przerywając Garbusce i składając ręce z oznakami bolesnego zdziwienia – Czyżby to było prawdą... Nie chodzisz więc do kościoła... Córko; cóż mam począć... Staramy się umieszczać nasze protegowane tylko w domach pobożnych, od nas więc także żądają tylko pobożnych osób, jest to nieodzowny warunek. A więc mocno



żałuję, że nie mogę ci pomóc... Chociaż, gdybyś porzuciła tę wielką obojętność dla chrześcijańskich obowiązków... Jeślibyś poprawiła się... Wtedy zobaczymy...

– Matko – odezwała się Garbuska, przejęta żalem, gdyż musiała wyrzec się swej błogiej nadziei – przepraszam matkę, że jej bezużytecznie tyle czasu zabrałam.

– To ja, moja córko, żałuję mocno, że nie mogę cię przyjąć pod opiekę naszego zakładu... Ale nie tracę nadziei... Jestem pewna, że i pod tym względem staniesz się z czasem godna opieki pobożnych osób... Bądź zdrowa, córko... Idź z Bogiem, oby Bóg miał cię w swej świętej opiece.

To mówiąc, wstała i przeprowadziła Garbuskę aż do drzwi.

– Idź korytarzem, moja córko, zapukaj do drzwi po prawej stronie, tam jest gardebroba; zastaniesz tam Florynę, która cię wyprowadzi....

Skoro Garbuska wyszła od przełożonej, z oczu popłynęły jej łzy, dotąd wstrzymywane; nie śmiać się pokazać tak zapłakana Florynie stanęła na chwilę przy oknie na korytarzu.

Niechcący spojrzała w okno domu położonego naprzeciw, gdzie zdawało się jej, że widziała Adriannę de Cardoville, gdy wtem ta wybiegła i zbliżyła się do parkanu, dzielącego dwa ogrody.

W tej samej chwili z wielkim zdziwieniem ujrzała jedną z dwóch sióstr, Różę Simon, wybladłą, osłabioną, podchodzącą do parkanu, który ją oddzielał od panny de Cardoville. Sierota oglądała się wkoło, jak gdyby bała się, aby jej kto nie zobaczył.

## ROZDZIAŁ IV

### GARBUSKA I PANNA DE CARDOVILLE

Nachyliwszy się do okna, Garbuska śledziła z przejęciem ruchy panny de Cardoville i Róży Simon, których w tym miejscu nie spodziewała się zobaczyć.

Sierota, zbliżywszy się do parkanu, dzielącego klasztor od domu doktora Baleinier, powiedziała coś do Adrianny, na której twarzy pojawiło się zdziwienie, oburzenie i litość.

W tej chwili wbiegła do ogrodu zakonnica, rozglądając się na wszystkie strony jakby kogoś szukała, spostrzegła Różę, która przelękną przycisnęła się do parkanu, chwyciła ją za rękę, zgromiła i uprowadziła z sobą.

Biedna sierota zdołała tylko jeszcze dwa lub trzy razy obejrzeć się na Adriannę, która mówiąc jeszcze coś do niej, pośpiesznie odeszła.

Korytarz, gdzie znajdowała się Garbuska, znajdował się na pierwszym piętrze klasztoru, sprytna szwaczka powzięła myśl, by zejść na dół, dostać się do ogrodu i pomówić z żółtowłosą, piękną dziewczyną.

Dzień się kończył i niedługo miało zająć słońce, Garbuska śpieszyła się z wykonaniem swego zamiaru. Idąc po cichu i przysłuchując się co chwila, stanęła na końcu korytarza, trzy stopnie schodów prowadziły do przedsionka garderoby, potem, wąsko i się zakręcając, wiodły na dół.

Usłyszawszy jakiś głos, zbiegła prędko i znalazła się na długim korytarzu, pośrodku którego były szklane drzwi prowadzące do części ogrodu, przeznaczonej wyłącznie dla przełożonej. Długą aleję zasłaniał z jednej strony wysoki bukszpanowy szpaler, tak że Garbuska nie mogła być zauważona.

O kilka kroków przed sobą spostrzegła pannę de Cardoville, siedzącą na ławce, z głową wspartą na dłoni.

Owej strasznej nocy, w której Adrianna została uprowadzona do domu obłąkanych, jej charakter, z powodu nie spodziewanych zdarzeń, gwałtownego wzruszenia, przestachu i rozpaczy zachwiał się na chwilę; wreszcie doktor, z szatańską chytrą korzystając z przerażenia i osłabienia młodej dziewczyny, dokazał tego, iż na pewien czas sama o sobie zaczęła powątpiewać.

Lecz cisza, jaka nastąpiła po przykrych i gwałtownych przeżyciach, rozwaga i zastanowienie wywiodły ją szybko z obaw, które doktor na chwilę zdołał w niej wzbudzić. Nie wierzyła nawet w błąd uczonego doktora, wreszcie, niestety, za późno, poznała w nim ślepe narzędzie pani Saint-Dizier.

Od tego czasu zamknęła się w sobie, uzbroiła w ciche uczucie godności, najmniejszy żal, najmniejszy zarzut nie wyszedł z jej ust... Postanowiła czekać cierpliwie... Jednakże, chociaż pozwolono jej przechadzać się i robić, co jej się podoba, prócz wychodzenia poza obręb zakładu, położenie Adrianny było nieznośne, szczególnie dla niej, tak namiętnie lubiącej otaczać się wszystkim, co piękne. Czowała jednak, że takie położenie nie może trwać długo.

Mniemanie takie, słuszne czy nie, było dostateczne do dodania jej siły i odwagi.

Mimo to nie mogła dociec przyczyny gwałtu dokonanego na niej, za dobrze znała panią Saint-Dizier, aby przypuszczać, że działa bez pewnego celu i że chce tylko chwilowo ją udęczyć... I nie myliła się, Margrabia d'Aigrigny i księżna byli przekonani, że Adrianna wie więcej niż wiedziała w istocie, że zależało jej na tym, aby 13 lutego znaleźć się przy ulicy Świętego Franciszka i dochodzić swoich praw.

Jakakolwiek była przyczyna tego okrutnego postępu wobec niej, w każdym razie nie mogła jej nie oburzać.

Zdawałoby się, że postępek taki wywoła śmiertelną nienawiść i nieprzeblaganą zemstę, tymczasem Adrianna obiecywała sobie nie zemstę, ale świetne zadośćuczynienie. Postanowiła ściagać, gnębić bez wytchnienia, bez litości, ową chytrą, owe okrucieństwo, nie przez zemstę za doznane krzywdy, lecz aby uchronić inne ofiary od podobnych cierpień.

Adrianna, zapewne jeszcze pod wpływem przykrego spotkania z Różą Simon, siedziała wsparta o poręcz ławki. Kapelusz położyła przy sobie, a z powodu pochylenia głowy bujne loki prawie całkiem zasłoniły jej bladą twarz. Piękna, jasnozielona suknia podkreślała jej zgrabną kibić.

Na widok tej dziewczyny, której strój i postawę Garbuska niemal nabożnie podziwiała, ząpominając o okrywających ją łachmanach i własnej szpetnej ułomności, biedna dziewczyna trafnie osądziła, że niepodobna, aby wariatka potrafiła się ubrać tak gustownie, myślała jednak, iż może nieszczęsna miewa tylko chwile przytomności. Chcąc się przekonać o tożsamości Adrianny, odezwała się bojaźliwym, cichym głosem:

– Panno de Cardoville!

– Kto mnie woła? – zapytała żywo Adrianna.

Biedne, ułomne, nędznie odziane, niespodzianie zjawiające się stworzenie musiało w panie de Cardoville, tak bardzo lubiącej wdzięk i piękno, wzbudzić pewien przestach i może nawet odrazę.

Garbuska, nie dostrzegając, jakie sprawiła wrażenie, niewzruszona, z wlepionymi oczyma, złożywszy ręce z pewnym podziwem przypatrywała się niezwyklej piękności Adrianny, którą widziała tylko przez kraty w oknie. Wszystko, co powiedział Agrykola o jej urodzie, wydawało się nie dorównywać rzeczywistości.

Szczególnym trafem zbliżyły się do siebie dwie istoty, przedstawiające krańcowe sprzeczności: jedna była uosobieniem piękna i bogactwa, druga zaś szpetności i ubóstwa.

– Czego chcesz? – zawołała panna de Cardoville, wstając z pewną niechęcią, co nie uszło uwagi szwaczki.

– Wybacz pani, że osmielam się zbliżyć do ciebie, lecz czas mój jest drogi, a przychodzę... od Agrykoli...

Przestrach Adrianny jakby znikł po usłyszeniu imienia Agrykoli.

Zbliżyła się do parkanu i przyglądała z zajęciem Garbusce.

– Przychodzisz od Agrykoli Baudoin? – rzekła – A kto ty jesteś?

– Jego przybrana siostra... Szwaczka, zamieszkała tam, gdzie i on mieszka.

– To ty namówiłaś Agrykolę, aby udał się do mnie po kaucję, prawda?

– Jak to... Pani sobie to przypomina?...

– Nigdy nie zapominam tego, co jest piękne. Ale jak dostałaś się do tego klasztoru?

– Powiedziano mi, że może dostanę tu pracę. Na nieszczęście, przełożona odmówiła mi.

– A jak mnie poznałaś?

– Po niezwyklej piękności, o której mówił Agrykola...

– A któż ci poddał myśl przyjść tu, aby mówić ze mną?

– Nadzieja wyświadczenia pani przysługi. Pani raczyła okazać tyle dobroci Agrykoli, iż ośmielałam się dzielić jego wdzięczność dla pani...

Adrianna odparła z wdziękiem:

– Odbieram więc podwójną nagrodę... Choć dotąd tylko dobrą chęcią mogłam okazać pomoc panu Baudoin.

Podczas tej rozmowy Adrianna i Garbuska spoglądały na siebie z coraz większym zainteresowaniem.

Garbuska nie pojmowała, aby obłąkana mogła tak mądrze mówić, potem sama sobie dziwiła się, że tak swobodnie i przytomnie odpowiada pannie de Cardoville.

Panna de Cardoville z kolei była głęboko poruszona i zarazem zdziwiona, słysząc tę dziewczynę z gminu, ubraną jak żebraczka, a tak dobrze się wyrażającą. Im dłużej przypatrywała się Garbusce, tym bardziej doznane na jej widok nieprzyjemne wrażenie ustępowało miejsca wprost przeciwnemu. W wyrazie jej twarzy pojętej i roztropnej, a przy tym łagodnej, dostrzegła tkliwy i smutny wdzięk, skromną godność, przy których można było zapomnieć o jej brzydocie.

Będąc obdarzona bystrym umysłem, szlachetną duszą i czułym sercem, Adrianna umiała ocenić piękność moralną, jaką czasami dostrzec można w niepozornej, cierpiącej twarzy.

Po chwili milczenia, podczas którego piękna arystokratka i biedna szwaczka przypatrywały się sobie wzajemnie, Adrianna odezwała się:

– Zdaje mi się, że łatwo odgadnąć przyczynę naszego obopólnego zdziwienia: ty uważasz zapewne, że jak na wariatkę, mówię dość rozsądnie, ja zaś uważam, że twój delikatny sposób obejścia i wysławiania tak są sprzeczne z twoim, jak się zdaje, smutnym położeniem...

– Ach! Pani – przerwała Garbuska z uczuciem takiego uszczęśliwienia, iż łyzy radości stanęły jej w oczach, a więc zgadłam?... A więc jest nieprawdą, co mówiono?... Ależ... jakim sposobem doszło do tego, że jest pani w tym domu?...

– Och! Moja panienko – rzekła Adrianna – A jakim sposobem stać się mogło, że ty, przy tylu zaletach serca i duszy, jesteś tak biedna?... Lecz uspokój się, moja droga, nie pozostanę tu na zawsze... Mówię ci, że obie odzyskamy należne nam miejsca.

A potem mówiła dalej:

– Ale zanim pomówimy o mnie, pomówmy najpierw o innych; Agrykola zapewne jest jeszcze w więzieniu?

– W tej chwili, pani, pewno jest już wolny, dzięki wspaniałomyślności jednego z jego kolegów. Wczoraj właśnie jego ojciec chodził, by złożyć za niego kaucję i przyrzeczone mu, że syn ma być dziś zwolniony... Ale jeszcze w więzieniu pisał do mnie, że ma przekazać pani bardzo ważną wiadomość.

– Ma coś do przekazania... Mnie? – powtórzyła zdziwiona panna de Cardoville. – Próżno myślę, co by to mogło być, póki jednak jestem zamknięta w tym domu, nie mam kontaktu ze światem i Agrykola ani myśleć może, aby mógł spotkać się ze mną, musi więc zaczekać, aż

stąd wyjde; ale to nie wszystko, trzeba wydostać z klasztoru dwoje biednych dzieci, bardziej jeszcze niż ja godnych litości... Córki marszałka Simona trzymane są tu wbrew ich woli.

– Czy pani je zna?

– Mówiąc o ich przybyciu do Paryża, Agrykola powiedział, że mają po piętnaście lat i że są do siebie ogromnie podobne... I właśnie wczoraj, podczas przechadzki, spostrzegłam dwie biedne, zapłakane istoty, zbliżające się co chwila do okien cel, w których były osobno zamknięte, jedna na dole, druga na pierwszym piętrze. Jakieś dziwne przecucie mówiło mi, że są to pewnie dwie nieszczęśliwe sieroty, o których mówił Agrykola, a które od owej chwili mocno mnie zajęły, bo są to moje krewne.

– One są pani krewnymi?

– Tak... Dlatego, nie mogąc więcej uczynić, usiłowałam przynajmniej dać im poznać na migi, jak mnie obchodzi ich los... Ich łzy i cierpienia przekonały mnie, że biedne sieroty tak samo są więzione w klasztorze jak ja w tym domu.

– Ach, pani... Rozumiem teraz, że pewnie stałaś się ofiarą jakiejś intrygi!...

– Jakikolwiek jest mój los, bardziej na współczucie zasługuje los tych dzieci, zwłaszcza ich rozłąka, którą tak ciężko znoszą; domyślałam się, że podobnie jak ja są ofiarami piekielnej intrygi... Ale przy twojej pomocy można będzie je uwolnić... Nie dano mi ani pióra, ani atramentu, nie mogłam więc pisać... Teraz chciej mnie uważnie wysłuchać, a będziemy mogły położyć kres tej niegodziwości.

– O! Mów pani, słucham...

– Czy żołnierz, który przyprowadził sieroty do Francji, ojciec Agrykoli, jest teraz w Paryżu?

– Tak, pani, jest w domu... Ach! Gdybyś pani widziała jego rozpacz, jego oburzenie, gdy po powrocie do domu nie zastał dzieci, które powierzyła mu ich matka!...

– Konieczne jest przede wszystkim, aby się wystrzegął wszelkiej gwałtowności, inaczej wszystko byłoby stracone... Weź ten pierścień – Adrianna zdjęła pierścionek z palca – i oddaj mu go. Niech się uda natychmiast... Ale czy jesteś pewna, że zapamiętasz nazwisko i adres?

– Zapamiętam... zapamiętam na pewno... Bądź pani spokojna, Agrykola raz mi tylko powiedział pani nazwisko... a nie zapomniałam go, serce także ma pamięć...

– Pamiętaj więc nazwisko hrabiego Montbron...

– Hrabiego Montbron... nie zapomnę.

– Jest to mój stary przyjaciel, mieszka na placu Vendome, pod numerem siódmym...

– Na placu Vendome, numer siódmy... Będę pamiętała.

– Niech ojciec Agrykoli uda się do niego zaraz dziś, jeśli go nie zastał, niech zaczeka. Wtedy niech powie, że przychodzi ode mnie, a na dowód niech mu odda ten pierścień. Gdy się z nim zobaczy, niech mu opowie o porwaniu dwóch dziewcząt i gdzie się znajdują, niech powie, że i ja, pod pozorem obłąkania, zostałam uwięziona w domu doktora Baleinier... Prawda ma swój głos, który pan Montbron zrozumie... Jest to człowiek mający wiele doświadczenia i rozsądku i posiada znaczne wpływy. Spiesz się więc, moja droga...

– Chciałabym cię ucałować jak siostrę... Lecz gdy jesteśmy przedzielone, podaj mi przynajmniej rękę, niech ją uściskam... – rzekła panna de Cardoville, mając łzy w oczach, potem między żerdzie parkanu wyciągnęła rękę do Garbuski.

– Odwaga... Pamięć... I ufność!...

Wszystko to stało się tak szybko, iż biedna Garbuska kroku jeszcze postąpić nie zdążyła, łzy, ale tym razem łzy radosnego wzruszenia, puściły się po jej białych licach. Dzięki słowom panny Adrianny de Cardoville poczuła na chwilę swoją wartość...

Wyszedłszy z ogrodu nie spostrzeżona, wróciła na pierwsze piętro i zapukała z wolna do drzwi garderoby.

Otworzyła je zakonnica.

– Siostró, czy nie ma tu panny Floryny, która mnie przyprowadziła? – zapytała.

– Nie mogła doczekać się; zapewne, panienko, byłaś u naszej wielebnej przełożonej?  
– Tak, siostró – odpowiedziała Garbuska, spuszczać oczy – bądź łaskawa powiedzieć, którądy mogę wyjść.

Garbuska szła za zakonnicą, bojąc się spotkania przełożonej, która nie zaniedbałaby pewnie zapytać ją o przyczynę tak długiego pobytu w klasztorze.

Wreszcie wyszła za furtkę klasztorną.

Przebiegła obszerny dziedziniec a zbliżając się do budki odźwiernego, usłyszała wymówione ostrym tonem słowa:

– Podobno, Hieronimie, wypadnie tej nocy podwoić baczność. Co do mnie, dołożę jeszcze dwie kule do fuzji, przełożona rozkazała, aby nie raz jak zwykle, ale dwa razy odbyć patrol tej nocy.

– Ja, Mikołaju, nie potrzebuję fuzji – odezwał się drugi głos – mam chwacką kosę, osadzoną na porządnym kiju... Jest to broń ogrodnicza, a jednak nie najgorsza.

Niespodzianie strapiona tymi słowami, przypadkiem usłyszany, Garbuska zbliżyła się do budki i zażądała, aby jej otworzono.

– A skąd to panna idziesz? – zapytał odźwierny, trzymając w ręku fuzję, którą właśnie nabijał i podejrziwym okiem przyglądając się dziewczynie.

– Byłam u matki przełożonej – odpowiedziała z pewnym lękiem.

– Czy to tylko prawda? – odparł grubiańsko odźwierny – jakoś nie bardzo dobrze patrzy ci z oczu... Wreszcie, mniejsza o to... Idź, tylko prędko.

Furtka uchyliła się i Garbuska wyszła.

Ledwie zrobiła parę kroków, aż oto spostrzegła biegnącego ku niej Ponurego, a nieco dalej śpieszącego za nim Dagoberta.

– Hej! Hej!... Garbusko! – odezwał się głos z przeciwnej strony.

Dziewczyna obejrzała się i zobaczyła zbliżającego się Agrykolę.

## ROZDZIAŁ V

### SPOTKANIE

Na widok Dagoberta i Agrykoli Garbuska zdumiała się i stanęła.

Żołnierz jeszcze nie dostrzegł Garbuski, biegł śpiesznie za Ponurem, który, choć miał wychudłe, zapadłe boki, sierść najeżoną, uwalany był błotem, wydawał się nie posiadać z radości i co chwila zwracał zmyślny łeb ku swojemu panu, do którego przybiegł, połasiwszy się Garbusce.

– Tak, tak, rozumiem cię, mój biedny staruchu – ty jesteś wierniejszy ode mnie... Ty ich nie odstąpiłeś ani na chwilę, poszedłeś za dziećmi... Czekales dzień i noc, nic nie jedząc... Przy drzwiach domu, do którego je wprowadzono i wreszcie, nie mogąc się doczekać... Przybiegłeś po mnie do domu... O! Kiedy ja nie wiedziałem, co począć w rozpacz, jak obłąkany... Ty tymczasem robiłeś to, co ja powinienem był robić... Ty wyszukałeś miejsce ich pobytu... I czegoż to dowodzi? Że zwierzęta są lepsze od ludzi!... Nareszcie... Muszę je widzieć... Kiedy pomyślę, że to jutro 13 i że gdyby nie ty, mój stary Ponury, wszystko byłoby stracone... Aż mrowie po mnie przechodzi... Ach! Tylko czy prędko dojdziemy?... Jakaż to bezładna okolica! A noc tuż, tuż.

Dagobert, przemawiając do Ponurego, szedł szybko, nie spuszczać z oka wiernego pioska, które sunęło przed nim. Widząc nagle, jak pocziwe zwierzę opuściło go z radosnym

podskokiem, podniósł oczy i spostrzegł, jak o kilka kroków Ponury witał Garbuskę i Agrykolę, którzy tylko co spotkali się nie opodal klasztornej bramy.

– Garbuska! – zawołali ojciec i syn.

– Bądź dobrej myśli, panie Dagobercie – rzekła z trudną do opisanego radością – znalazłam Różę i Blanę. Dobra nowina, Agrykolo... Panna de Cardoville nie jest obłąkana... Widziałam się z nią.

– Nie jest obłąkana!... Jakie to szczęście! – zawołał kowal.

– Dzieci!!! – wykrzyknął Dagobert, chwytając w swoje drżące z radości dłonie ręce Garbuski. – Widziałaś je?

– Tak, dopiero co widziałam... Bardzo smutne... Ale nie mogłam mówić z nimi.

– Ach! – rzekł Dagobert, ledwie chwytając oddech po usłyszeniu tej nowiny i przykładając ręce do piersi. – Nigdy nie myślałem, ażeby moje stare serce tak jeszcze mogło bić! A przecież... Dzięki Ponuremu, byłem prawie pewny, że tak się stanie, jak się rzeczywiście stało...

– Widzisz ojcze, mamy pomyślny dzień – mówił Agrykolo, z wdzięcznością spoglądając na szwaczkę.

– Chodź, niech cię ucałuję, droga córko – dodał Dagobert, ściskając Garbuskę. – Chodźmy jak najszybciej po dzieci!

– Ach! Droga Garbusko – rzekł wzruszony kowal – wracasz spokoj, a może i życie ojcu... A panna de Cardoville... Jak się dowiedziałas o niej?

– Ponury stanął i szczeka – rzekł Dagobert, niecierpliwiając się.

Rzeczywiście pies, równie niecierpliwy jak jego pan, pobiegł przed bramę klasztorną i zaczął szczekać.

Żołnierz zrozumiał zamiar psa i rzekł do Garbuski, dając jej znaczące skinienie:

– Na pewno dzieci tam są?

– Tak, panie Dagobercie.

– Byłem tego pewny... Oj, tak, zwierzęta są lepsze od ludzi, z wyjątkiem ciebie, moja kochana, gdyż lepsza jesteś od ludzi i zwierząt... Przecież nareszcie... Biedne dzieciśka!... Nie zginęły, przecież je zobaczę i... Odzyskam.

Mówiąc to, zaczął biec w stronę psa.

– Agrykolo – zawołała Garbuska – wstrzymaj ojca, żeby nie pukał do bramy... wszystko by popsuł.

Kowal dopędził ojca, kiedy żołnierz wyciągnął rękę, chcąc zapukać do bramy.

– Ojcze, nie pukaj – zawołał kowal.

– Co ty mi znowu mówisz?

– Garbuska powiedziała, że gdybyś zapukał... Wszystko stracone.

– Jak to?

– Ona ci wytłumaczy.

Garbuska, mniej szybka niż Agrykolo, zbliżywszy się jak mogła najprędzej, rzekła do żołnierza:

– Nie stójmy tu przed bramą, mogliby otworzyć i zobaczyć nas, to obudziłoby podejrzenie.

– Podejrzenie?... – rzekł zdziwiony weteran.

– Zaklinam cię, panie, na wszystko... Nie stój tu! – prosiła Garbuska. Kowal dodał:

– Kochany ojcze... Jeżeli Garbuska tak mówi... Musi mieć powód. Posłuchajmy jej...

– Niech mnie kaci porwą, jeśli rozumiem choć słowo z tego, co mówicie! Dzieci są w tym domu, znajdę je i wyprowadzę, to się skończy w dziesięć minut.

– O! Nie wierz temu... Panie Dagobercie – odparła Garbuska. – To sprawa nie tak prosta, jak sobie wyobrażasz. Ale chodźmy stąd... Słyszycie?... Na podwórzu rozmawiają.

– Chodź... Chodź... Ojcze... nalegał Agrykolo, prawie przemocą odciągając Dagoberta.

Była godzina piąta wieczorem, dał silny wiatr, gęste, sine chmury przesuwały się po niebie. Bulwar Szpitalny, ciągnący się w tym miejscu wzdłuż klasztornego ogrodu, był prawie bezludny. Tam więc nasza trójka mogła się naradzić bez przeszkody.

Żołnierz nie ukrywał niecierpliwości, ledwie też skręcił za róg ulicy, odezwał się do szwaczki:

– Słucham cię, jakbym był w ukropie.

– Panie Dagobercie, dom, w którym zamknięto córki marszałka Simona, jest klasztorem.

– Klasztor! – wykrzyknął żołnierz. – Tegom się powinien był spodziewać. Potem dodał: – No!... Cóż dalej?... Pójdę po nie do klasztoru.

– Ależ, panie Dagobercie, zamknięto je tam wbrew ich i twojej woli, więc ci ich nie wydadzą.

– Jak to? Nie wydadzą mi ich? Zobaczymy...

I postąpił krok w stronę klasztoru.

– Ojcie – wstrzymał go Agrykola.

– Niczego nie chcę słuchać... Jak to! Biedne dzieci są tu zamknięte... O parę kroków ode mnie... I miałbym nie uwolnić ich natychmiast... Na Boga żywego! Puśćcie minie!

– Panie Dagobercie, błagam, posłuchaj mnie – prosiła Garbuska, ująwszy żołnierza za rękę – jest inny sposób uwolnienia tych biedaczek.

– Ha! Jeśli jest inny sposób... Tym lepiej.

– Oto pierścień, który panna de Cardoville...

– Któż to jest ta panna de Cardoville?

– Kochany ojcie, jest to ta sama młoda, zacna panna, która chciała złożyć za mnie kaucję...

– Dobrze, dobrze – przerwał Dagobert. – No, i coż dalej z tym pierścieniem, Garbusko?

– Weźmiesz go, panie Dagobercie i pójdziesz natychmiast do hrabiego Montbron, na placu Vendome, pod numer siódmy. On jest przyjacielem panny de Cardoville, a ten pierścień posłuży ci za dowód, że przychodzisz od niej. Powiesz mu, że zamknęli ją w szpitalu wariatów, przytykającym do klasztoru i że w tym klasztorze zamknięto również córki marszałka Simona.

– Dobrze... A co potem...?...

– Wtedy hrabia Montbron postara się o uwolnienie panny de Cardoville i córek marszałka i to najdalej jutro lub pojutrze...

– Jutro lub pojutrze! – krzyknął Dagobert – Ależ one muszą być wolne dziś, natychmiast!... Pojutrze... Byłoby już po czasie... Dziękuję ci, Garbusko, zatrzymaj sobie ten pierścień... Wolę sam zająć się moją sprawą...

– Ależ, ojcie... Co chcesz zrobić – perswadował Agrykola – to klasztor... Zastanów się!

Pamiętać trzeba, że Dagobert był starym żołnierzem napoleońskim, całe życie spędził na wyprawach wojennych.

– Rekrut jestem, czy co?... Ja znam na palcach żeńskie klasztory. Powiem ci, co będzie i jak będzie... Pukam, otwiera furtianka i pyta, czego chcę, ja nie odpowiadam, ona chce mnie zatrzymać, bez skutku. Skoro wejdę do klasztoru, krzyczę z całych sił o moje dzieci...

– Ależ, panie Dagobercie, zakonnice... – usiłuje zreflektować go Garbuska.

– Zakonnice gonią za mną i krzyczą jak sroki spłoszone z gniazd, znam to wszystko. Raz w Seville poszedłem po Andaluzjankę, którą Beginki gwałtem trzymały zamkniętą w klasztorze... Ale co tam, nie będę zważał na ich krzyki, będę biegał po korytarzach, wołając Róży i Blanki... Usłyszą mnie i odezwą się. Jeśli będą zamknięte, chwytam, co mi się nadarzy i wybijam drzwi.

– Ależ, panie Dagobercie, zakonnice, zakonnice!...

– Zakonnice nie przeszkodzą mi wybić drzwi, zabrać dzieci i odejść; jeśli zamknięto zewnętrzną bramę, i tę wyważę... Tak więc – dodał żołnierz, wyrывая się z rąk Garbuski – zaczekajcie tu na mnie, za dziesięć minut wrócę... Tymczasem ty, synu, poszukaj dorożki.

Agrykola, bardziej rozważny, niż ojciec, a nade wszystko lepiej obeznany z kodeksem karnym, przeląkł się skutków, jakie mogłyby wyniknąć z postępku weterana. Dlatego, zastępując mu drogę, zawołał:

– Ojcze, błagam cię, jeszcze słowo, posłuchaj...

– Przez Boga żywego! Co znów takiego, mów prędko.

– Jeśli chcesz się dostać do klasztoru przemocą, wszystko zniszczysz.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, panie Dagobercie – wyjaśniła Garbuska – w klasztorze są mężczyźni... Kiedy wychodziłam, widziałam, jak odźwierny nabijał fuzję, ogrodnik mówił coś o kosie i o patrolu...

– Śmieję się z fuzji odźwiernego i z kosy ogrodnika.

– Możliwe, ale błagam cię na wszystko, posłuchaj nas jeszcze chwilę... Ty pukasz, prawda?... Brama się otwiera, odźwierny pyta, czego chcesz...

– Mówię, że mam interes do przełożonej... I ruszam do klasztoru...

– Ależ, na Boga, panie Dagobercie – wmieszała się Garbuska – kiedy przejdziesz podwórze, znajdziesz drugie drzwi, zamknięte na zasuwę, tam wychodzi zakonnica, patrzy, kto dzwoni i spyta, po co przychodzisz?

– Powiem, że chcę się widzieć z przełożoną...

– A wtedy, ponieważ nie znają cię w klasztorze, pójdą zawiadomić przełożoną.

– Dobrze... I co potem?

– Ona wyjdzie...

– Co dalej?

– Zapyta, czego chcesz?

– Czego ja chcę?... Dziwni jesteście... Moich dzieci...

– Jeszcze chwilę cierpliwości, drogi ojcze... Nie ma wątpliwości, że po tylu przedsięwziętych ostrożnościach, kiedy dziewczęta trzymają tam przemocą, na pewno nie wydadzą ci ich, choćbyś nie wiem jak się o nie upominał.

– Nie wątpię... Jestem tego pewien.

– A więc, przełożona odpowie, że nie rozumie, czego chcesz i że panien Simon nie ma w klasztorze.

– A ja jej powiem, że są świadkiem Garbuska, świadkiem Ponury.

– Przełożona odpowie, że cię nie zna, że nie ma potrzeby ci się tłumaczyć i zamknie drzwi.

– Wtedy wyłamie drzwi... Widzisz więc, że zawsze jest sposób... Puść mnie... Mówię ci, puść mnie.

– A co się stanie z twoimi dziećmi, panie Dagobercie? – dodała Garbuska.

Stary żołnierz miał dość rozsądku, aby ocenić trafność spostrzeżeń Garbuski i Agrykoli, ale wiedział także, że należy użyć wszelkich środków, aby uwolnić dziewczęta przed jutrem. Ciężkie to było dla niego zadanie, tak ciężkie, iż przyłożywszy ręce do gorącego czoła, rzucił się na kamienną ławkę.

Agrykola i Garbuska, wzruszeni do żywego jego niemą rozpaczą, spojrzeli na siebie ze smutkiem.

– Ale wspomnij, ojcze, co powiedziała Garbuska, gdy pójdziesz z pierścieniem panny de Cardoville do tego hrabiego, który, jak słyszałeś, ma wielkie wpływy, córki marszałka Simona mogą być jutro wolne... Przypuśćmy nawet, że dopiero pojutrze...

– Czy chcecie, żebym zwariował – krzyknął Dagobert, podnosząc się z ławki i spoglądając na syna i Garbuskę tak dzikim wzrokiem, z taką rozpaczą, iż oboje odskoczyli z przestraszeniem.

Po czym, przychodząc do siebie, po długim milczeniu, żołnierz dodał:

– Niesłusznie się unoszę, nie możemy się zrozumieć... Słuszne jest, co mówicie... Ale i ja mam rację... Posłuchajcie mnie... Ty Agrykolo, jesteś dobrym chłopcem, z ciebie, Garbusko,



wspaniała dziewczyna... Mogę więc mówić z wami otwarcie... Przyprowadziłem tu dzieci z dalekiej krainy, wiecie po co? Aby jutro znalazły się przy ulicy Św. Franciszka... Jeżeli tam nie staną, zdradzę przysięgę, jaką złożyłem ich umierającej matce...

– Przy ulicy Św. Franciszka nr 3 – zawołał Agrykola, przerywając ojcu.

– Tak... Skąd wiesz o tym numerze? – zapytał zdziwiony Dagobert.

– Przecież ta data i numer znajdują się na brązowym medalu!

– Tak... – przyznał Dagobert, coraz bardziej zdziwiony – kto ci o tym powiedział?

– Chwilkę... Ojciec... – odparł Agrykola. – Pozwól mi tylko zastanowić się. Zdaje mi się, że zgadnę... Tak... I ty, Garbusko, powiedziałaś mi, że panna de Cardoville nie jest obłąkana...

– Nie... Trzymają ją mimo jej woli... I nie pozwalają z nikim kontaktować się... Powiedziała mi nadto, iż sądzi, że podobnie jak córki marszałka, jest ofiarą obmierzłej intrygi.

– Nie ma wątpliwości – powiedział kowal. – Teraz wszystko rozumiem... Dla panny de Cardoville podobnie jak dla córek marszałka Simona jest bardzo ważne, aby się jutro znalazły przy ulicy Sw. Franciszka... A one może nawet nie wiedzą o tym.

– Nie rozumiem...

– Słuchaj dalej, Garbusko. Czy panna de Cardoville powiedziała ci, że jej bardzo zależy na tym, aby jutro być wolną?

– Nie... Gdyż, dając mi pierścień do hrabiego Montbron, powiedziała: z jego łaski ja i córki marszałka będziemy wolne w najbliższych dniach.

– A ty co miałeś powiedzieć? – odezwał się zniecierpliwiony żołnierz do syna.

– Zaraz – odparł kowal – gdy przyszedłeś po mnie do więzienia, powiedziałem ci, że muszę dopełnić świętego obowiązku i że przyjdę do ciebie do domu.

– Tak... Ja zaś poszedłem spróbować nowych środków, o których zaraz ci powiem.

– Pobiegłem więc natychmiast do pawilonu przy ulicy Babilońskiej, nie wiedząc o tym, że panna de Cardoville dostała pomieszania zmysłów, przynajmniej tak mi powiedziano... Możecie sobie wystawić, jak mnie to zmartwiło... Pytam, gdzie jest, odpowiadają mi, że tego nie wiedzą, pytam więc dalej, czy mogę mówić z kimkolwiek z jej krewnych?... Ponieważ miałem na sobie roboczą bluzę, odpowiadają mi, że nie ma nikogo z jej krewnych, co mnie jeszcze bardziej zmartwiło, jednak przyszło mi na myśl... Pomyślałem sobie tak: ponieważ dostała pomieszania, jej doktor powinien coś wiedzieć. Pytam więc służącego, jak się nazywa doktor, który leczył pannę de Cardoville. Dał mi adres: doktor Baleinier, ulica Taranne nr 12. Biegnę do niego, nie zastaję, mówią, że koło piątej będzie w swoim szpitalu, dom ten sąsiaduje z klasztorem, więc tym sposobem zesłiśmy się.

– Ale co wiesz o medalu? – pytał niecierpliwie Dagobert.

– Słuchaj, ojciec: poszedłem do niej z prośbą o kaucję, policja udała się tam za mną. Panna de Cardoville, aby zapobiec aresztowaniu, kazała zaprowadzić mnie do kryjówki w pawilonie; jest to pokój, do którego światło dochodzi kanałem w rodzaju komina, rozglądałem się, gdzie jestem, mury pokryte boazerią, wejście do kryjówki zamykają drzwiczki, obracające się na dwóch zawiasach; przyglądałem się wszystkiemu ciekawie, badając kółka i sprężynki, zrozumiałem cały mechanizm, z wyjątkiem jednego mosiężnego kółeczka, daremnie pociągałem je do siebie, nie działało to na sprężyny; wtedy przyszło mi do głowy, że należy je nacisnąć. Ledwie to zrobiłem, usłyszałem lekkie szcęknięcie i zobaczyłem opadającą klapę w kształcie szufladki, po otwarciu wypadł z niej mały medal brązowy z łańcuszkiem.

– Na którym zobaczyłeś adres... Ulicy Św. Franciszka – zawołał Dagobert.

– Tak, a razem z medalem wypadła duża, zapieczętowana koperta. Podniósłszy ją, przeczytałem:

Panna de Cardoville. Ma te papiery poznać w chwili, gdy je do rąk dostanie. Pod tymi słowami mieściły się litery B i C, a pod kreską data: W Paryżu 12 listopada 1830 roku, na pieczętce też litery a nad nimi hrabiowska korona. Pieczęć była nie naruszona. Nie ma więc wąt-

pliwości, że panna de Cardoville nic nie wie o tych papierach, koperta leży nie naruszona już blisko dwa lata.

– To jasne – zakonkludował Dagobert – a cóż z tym wszystkim zrobił?

– Włożyłem wszystko z powrotem do skrytki i zamknąłem ją, tymczasem w kilka chwil później odkryto moją kryjówkę, potem panny de Cardoville już nie widziałem, zdążyłem tylko jednej z jej pokojówek szepnąć parę słów o moim odkryciu...

– Ale ten medal – mówił Dagobert – jest podobny do medalionu córek marszałka Simona, jakim sposobem?

– Nic naturalniejszego, panna de Cardoville wspomniała mi, że jest ich krewną.

– A więc teraz – rzekł Dagobert, spoglądając niespokojnie na syna – pojmujesz, dlaczego chcę mieć dzieci jeszcze dziś? Jak mi objaśniła ich umierająca matka, jeden dzień zwłoki może wszystko zgubić! Nie mogę poprzestać na owym: może jutro... Przychodzę z tymi dziećmi z daleka, aby je jutro zaprowadzić na ulicę Św. Franciszka... Ja te dzieci dziś muszę mieć, choćby ani przyszło spalić klasztor!

– Ale powtarzam ci jeszcze raz, to gwałt...

– A hrabia Montbron, do którego panna de Cardoville kazała się udać – dodała Garbuska – przyśpieszy kroki sprawiedliwości i dzieci dziś jeszcze będą wolne.

– Ojczy... Idź do hrabiego, ja biegnę do komisarza powiedzieć mu, że teraz już wiadomo, gdzie przetrzymują dziewczęta. Dagobert zamyślił się a potem rzekł:

– Niech i tak będzie. Posłucham waszej rady... Ty, synu, śpiesz do komisarza, ty, Garbusko, wracaj do domu i czekaj na nas, ja idę do hrabiego... Daj mi pierścień... A adres?

– Plac Vendome 7. Idź tam... Prawo zawsze broni uczciwych ludzi...

– Tym lepiej – odparł żołnierz – bo inaczej uczciwi ludzie byliby zmuszeni bronić się sami... Tak więc, moje dzieci, wkrótce spotkamy się przy ulicy Brise-Miche.

Gdy się rozchodzili, było już zupełnie ciemno.

## ROZDZIAŁ VI

### SCHADZKA

Jest ósma godzina wieczorem, deszcz siecze w okna izdebki Franciszki Baudoin a gwałtowny wicher miota drzwiami i nie domkniętym oknem.

Zabłocona podłoga i pokryte kurzem ubogie sprzęty niedawno jeszcze odznaczały się nie-naganną czystością. Od czasu aresztowania Franciszki łóżko nie było posłane...

Przy bladym blasku świecy, stojącej na małym, zimnym piecyku żelaznym, bo zapas węgla dawno już się wyczerpał, widać Garbuskę, drzemiącą w fotelu, ze zwieszoną głową.

Po całodziennym trudzie, po tylu zmartwieniach, biedna istota nie miała kawałka chleba w ustach i ani centyma, za który mogłaby kupić jedzenie. Czekając na Dagoberta i Agrykołę, zdrzemnęła się, lecz nie był to sen pokrzepiający. Niespokojna, co chwila otwierała oczy i rozglądała się wkoło.

Nareszcie słycać ciężkie stąpanie w sieni.

Wszedł Dagobert a z nim Ponury.

Zerwała się co żywo.

– I cóż, panie Dagobercie, dobre nowiny? Czy...

Nie śmiała mówić dalej, tak ją przeraził smutny wyraz twarzy żołnierza. Rzucił się na krzesło i zasłonił twarz rękami.

Półgłosem mówił do siebie:

– Trzeba koniecznie... Trzeba koniecznie...

Rozejrzał się po izbie jakby czegoś szukając, a dostrzegłszy żelazny pręt służący za po-  
grzebacz, podniósł go, zważył w rękę i z zadowoleniem położył na komodzie.

Garbuska obserwowała wszystkie jego ruchy; zlekła się, gdy zobaczyła, jak żołnierz, roz-  
łożywszy na stole swoją walizkę, wyjął z niej parę kieszonkowych pistoletów.

– Na Boga!... Panie Dagobercie... Co pan chce zrobić?

Żołnierz spojrział na dziewczynę jak gdyby dopiero ją spostrzegł.

– Dobry wieczór, która godzina?

– Ósma... Dopiero co wybiła na kościele Saint-Merry.

– Ósma... Dopiero ósma!...

I kładąc pistolety przy żelaznym pręcie, znowu się zamyślił.

– Panie Dagobercie – odezwała się nieśmiało Garbuska – nie udało się panu nic załatwić?

– Nie... – odpowiedział żołnierz.

Nie śmiać pytać dalej, Garbuska usunęła się w kąt i tam siadła w milczeniu. Ponury pod-  
szedł do niej i oparł łeb na jej kolanach, i jak ona śledził ruchy swego pana.

Dagobert tymczasem, namyśliwszy się, zbliżył się do łóżka, zdjął z niego prześcieradło i  
mierzył wzrokiem jego długość i szerokość, wreszcie zawołał krótko:

– Nożyczki!

Garbuska podała mu nożyczki.

– Teraz przytrzymaj, moje dziecko, za drugi koniec prześcieradła i mocno je naciągnij...

Dagobert rozciął prześcieradło na cztery części, potem mocno je skręcił i w ten sposób  
powstały jakby cztery powrozy. Związał je mocno.

– Teraz potrzeba mi jeszcze haka...

I znowu zaczął przeglądać kąty izdebki.

Garbuska, coraz bardziej przestraszona zamiarami żołnierza, odezwała się nieśmiało:

– Ale, panie Dagobercie, Agrykola jeszcze nie wrócił... Z dobrymi wiadomościami...

– Tak – odparł z goryczą – z wiadomościami tak dobrymi jak moje... Potrzebny mi ko-  
niecznie jakiś mocny hak.

Zobaczył worek z grubego płótna, rozłożył i rzekł do Garbuski:

– Moje dziecko, włóż tu żelazny pręt i powróż, tak będzie wygodniej nieść...

– A więc, niestety! Panie Dagobercie, straciłeś wszelką nadzieję?

– Przeciwnie... Mam pewną nadzieję... Ale w sobie samym.

– Zaczekaj przynajmniej na powrót Agrykoli.

– Zaczekam... Jeśli zjawi się przed dziesiątą...

– O, Boże! Więc zdecydował się pan stanowczo?

– Nieodwołalnie... A jednak, gdybym był zabobonny i wierzył w złe wróżby...

– Czasami, panie Dagobercie, wróżby nie zawodzą – stwierdziła Garbuska, dodając: – A  
co takiego pan widział?...

– Mogę ci opowiedzieć, dziecko... Czy to nie wpół teraz wybiło?

– Tak, wpół do dziewiątej.

– Jeszcze półtorej godziny – rzekł żołnierz cicho – Wiesz, co widziałem? Przechodząc ja-  
kąś tam ulicą, niechcący skierowałem wzrok na ogromny czerwony afisz, na którym widać  
było czarnego rysia, pożerającego białego konia... Na ten widok krew we mnie zawrzała, bo  
właśnie czarny ryś pożarł mi białego konia, który wraz z Ponurem był moim towarzyszem...  
nazywał się Jowialny...

Na to imię Ponury, leżący u stóp Garbuski, podniósł łeb i spojrział bystro na swego pana.

– Widzisz... i zwierzęta mają pamięć – rzekł żołnierz z westchnieniem.

A zwracając się do Ponurego dodał:

– To ty przypominasz sobie Jowialnego?

Ponury parę razy zaszczekał jakby chciał potwierdzić, że pamięta swego towarzysza podróży.

– Wyobrażam sobie, jak ten widok musiał być przykry dla pana.

– To jeszcze nic... Podchodzę bliżej i czytam, że Morok, przybyły z Niemiec, pokazywać będzie w menażerii oswojone przez siebie drapieżne zwierzęta, między innymi pysznego lwa, wspaniałego tygrysa i czarnego rysia z Jawy, zwanego Śmiercią.

– Straszna nazwa – stwierdziła Garbuska.

– A jeszcze cię bardziej przerazi, moje dziecko, to, że właśnie ten ryś przed czterema miesiącami zadusił mi konia, niedaleko Lipska.

– To straszne, co pan mówi – rzekła Garbuska, wzdrygnąwszy się.

– Na tym nie koniec. Przez tego Moroka ja i moje dziewczynki zostaliśmy aresztowani w Lipsku.

– I ten niegodziwiec jest w Paryżu... trzeba się mieć na baczności, to zła wróżba...

– Tak... dla tego łotra... jeśli go tylko spotkam – mówił sam do siebie Dagobert – bo od dawna mamy ze sobą na pieńku...

– Ktoś biegnie po schodach – odezwała się szwaczka, nadstawiając ucha – to kroki Agrykoli...

Rzeczywiście był to Agrykola. Garbuska, ledwie rzuciła nań badawczym wzrokiem, przekonała się, niestety, że nadzieje, które pokładała w jego powrocie, również zawiodły...

– No i co? – zapytał Dagobert.

– Ach, ojczy, oszaleć można!... Jakby się wszystko sprzysięgło – rzekł wzburzony kowal – A ty widziałeś się z hrabią Montbron?

– Hrabia przed trzema dniami wyjechał do Lotaryngii. Takie są moje dobre nowiny – odparł żołnierz z gorzką ironią – a jakie są twoje?...

– Komisarz powiedział: Więc te dziewczęta umieszczone są w poważnym miejscu... W klasztorze... Nie ma pilnej potrzeby, aby je stamtąd zabrać... Zresztą nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za najście klasztoru. Jutro złożę raport, gdzie należy.

– Tłumaczyłem mu: Jeżeli te dziewczęta nie znajdą się jutra przy ulicy Św. Franciszka, poniosą niepowetowaną stratę. – Bardzo żałuję – odpowiedział komisarz – ale wymiar sprawiedliwości odbywać się musi według formalności, od których nie wolno zbaczać.

– Czy mówiłeś mu także o panie de Cardoville?

– Tak, ale tak samo mi odpowiedział: Skargi swojej nie popierasz pan żadnym dowodem, nie mogę czynić gwałtu wobec zakładu doktora, niemniej przekażę raport.

– Kiedy niedawno chciałem działać – przypomniał żołnierz – czy nie przewidywałem tego wszystkiego? A więc nie można marzyć o tym, aby na drodze prawa dziś, nawet jutro z rana, Róża i Blanka zostały mi zwrócone?

– Nie, ojczy, ta sprawa nie może być wcześniej rozstrzygnięta niż za dwa, trzy dni. Jednak – ciągnął dalej – nie poprzestałem na tym. Pełen rozpaczy, nie mogąc uwierzyć, aby sprawiedliwość była głucha wobec oczywistego przestępstwa... Pobiegnę do pałacu sprawiedliwości... W nadziei, że może tam znajdę sędziego lub jakiegoś urzędnika...

Powiedziano mi, że kancelarię prokuratora zamyka się o piątej po południu, a otwiera o dziesiątej rano. Chciałem spróbować jeszcze jednego, poszedłem na odwach, gdzie wojsko trzyma wartę pod dowództwem oficera... Panie poruczniku – prosiłem – wyświadczyć mi tę łaskę, daj mi podoficera i dwóch żołnierzy, abym w ten sposób uzyskał prawny wstęp do klasztoru. Zażądamy widzenia z córkami marszałka Simona, pozostawimy im do wyboru: albo zostać w klasztorze, albo wrócić do mego ojca, który je przyprowadził do Paryża... A przekonamy się, czy są tam dobrowolnie trzymane...

– Młodzińcze – odpowiedział – to, czego żądasz, jest nierealne, nie mogę podjąć takiego kroku na własną odpowiedzialność. Dostałbym dymisję... Więc co mam począć?... Na Boga, można oszaleć z rozpaczy...

– Doprawdy, nie wiem – rzekł ze współczuciem porucznik. – Najpewniejszy środek to czekać...

Wtedy, ojciec, sądząc, że zrobiłem wszystko, wróciłem do domu... W nadziei, że może ty miałeś więcej szczęścia, niestety, ty również nic nie wskórałeś.

Po tym sprawozdaniu Agrykoli, które zniszczyło ostatnie nadzieje całej udęczonej trójki, zapadło głuche milczenie. Rozpacz zwiększyło jeszcze nowe zdarzenie.

## ROZDZIAŁ VII

### WYZNANIE

Drzwi mieszkania otworzyły się i na progu ukazała się Franciszka Baudoin, blada, ledwie trzymając się na nogach. Postąpiwszy kilka kroków, padła na kolana, złożyła ręce jak do modlitwy i odezwała się słabym głosem:

– Mój mężu... Przebacz mi!...

Na te słowa Agrykola i Garbuska obejrzeni się, Dagobert podniósł głowę.

– Matko!... Ty, na kolanach – odezwał się Agrykola, schyliwszy się z czułością do Franciszki – Wstań!

– Nie, dziecko – odparła Franciszka – nie podniosę się, dopóki ojciec... Nie przebaczy mi...

– Przebaczyć... Biedna żono – rzekł żołnierz wzruszony, podnosząc strapioną. – Alboż ja cię obwiniałem... Więc zwolniono cię?... Wczoraj nie mogłem się dowiedzieć, gdzie cię osadzono... Usiądź, moja droga!

– Matko... Jakaś ty blada... Jak zziębnięta... – Agrykola uklęknął przed matką. – Drzysz cała... – a zwracając się do Garbuski, dodał: – Moja kochana, rozpal prędko w piecyku.

– Myślałam o tym, lecz nie ma już ani węgla, ani drzewa.

– A więc, bądź tak dobra, zejdź i pożycz od ojca Lorient... Jest tak dobry, że nie odmówi...

Ledwie to wymówił, a Garbuski już nie było. Kowal wstał, wziął koldrę z łóżka i otulił nią nogi matce.

Dagobert, niemniej troskliwy od syna, wziął z łóżka poduszkę i rzekł:

– Pozwól, że ci ją podsunę pod plecy.

– Jak niezasłużenie mnie rozpuszczacie! – rzekła Franciszka, usiłując się uśmiechnąć – szczególnie ty, mężu... Jaki ty jesteś dobry... Po takim moim postępku, jaki wyrozumiały!

Ujęła dłoń Dagoberta, przycisnęła do ust, a skrapiając ją łzami, rzekła:

– Będąc w więzieniu, bardzo żałowałam... A potem jeszcze bardziej, gdy zobaczyłam się z Gabrielem.

– A Gabriel? Jakże się ma mój poczciwy braciszek?

– Od czasu, jak przyjechał – mówiła Franciszka, otarłszy łzy – trzymany jest na pokucie... Jego przełożeni surowo zakazali mu wychodzić z domu... Szczęściem, że mu pozwolili przyjąć moje odwiedziny... Bo jego rady otworzyły mi oczy, on dopiero oświecił mnie, jak dalece zawiniłam wobec ciebie, kochany mężu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Dagobert.

– Ale winienesz być przekonany, że choć naraziłam cię na straszne zmartwienie, jednak nie w złych zamiarach... Widząc twą rozpacz, bolałam z tobą, lecz nie śmiałam wyznać prawdy, aby nie złamać przysięgi... Chciałam jej dochować, sądząc, że czynię dobrze... Jednak coś mi szeptało w środku, że nie miałam prawa cię narażać na taki cios. Uklękałam więc w więzieniu i mimo naigrawań innych kobiet, błagałam stwórcę, aby mnie oświecił... Kiedy modliłam się tak gorąco, Bóg wysłuchał mojej prośby i natchnął mnie myślą, abym udała się do naszego

Gabriela... Boże, będę ci posłuszna – mówiłam w duchu – Gabriel jest jakby moim dzieckiem, jest księdzem, cierpiał za wiarę – Skoro wyjdę z więzienia, pójde do niego poradzić się.

– Ach! Biedna kobieto! – odezwał się Dagobert z goryczą – Gdybyś ty miała innego spowiednika...

– Myślałam już o tym, nim Gabriel wyjechał w podróż – odparła naiwnie – Ale obawiałam narazić się księdzu Dubois, a przy tym bałam się, aby Gabriel nie był zanadto pobłażliwy dla moich grzechów.

– Twoich grzechów?... Droga matko! – zawołał kowal.

– No i co ci powiedział Gabriel? – spytał Dagobert.

– Niestety! Czemu nie mówiłam z nim wcześniej? To, co mu powiedziałam o księdzu Dubois, obudziło w nim pewne podejrzenia; pytał mnie o wiele szczegółów... Otworzyłam mu moje serce, on mi także otworzył swoje i dowiedzieliśmy się o wielu nieszczęsnych rzeczach, dotyczących osób, które dotąd darzyliśmy takim zaufaniem... A które przecież oszukiwały nas cały czas.

– W jaki sposób?

– Jemu mówiono w sekrecie o rzeczach, niby pochodzących ode mnie, a mnie, również w zaufaniu o rzeczach, które niby miały pochodzić od niego. Otóż... Wyznał mi, iż początkowo nie czuł powołania do stanu duchownego. Zapewniono go jednak, że nie czułabym się pewna zbawienia, gdyby nie wstąpił do jezuitów, że jednak nie śmiałabym żądać od niego takiej ofiary, pomimo że wzięłam go z ulicy jako sierotę... A wtedy... Biedne, kochane dziecko, sądząc, że musi dogodzić moim najgorętszym życzeniom, poświęcił się dla mnie. Wstąpił do seminarium.

– Ależ to podstęp! – krzyknął kowal – To budzi zgrozę!

– Tymczasem – mówiła dalej Franciszka – mnie zupełnie inaczej to przedstawiono. Powiedziano mi, że Gabriel chciałby zostać księdzem, ale nie śmie o tym mówić, aby nie wzbudzić we mnie zazdrości ze względu na Agrykołę, który gotując się na rzemieślnika, nie miał na widoku takich korzyści, jakie Gabrielowi mógł zapewnić stan duchowny... Dlatego, kiedy prosił mnie o pozwolenie wstąpienia do seminarium (a uczynił to z niechęcią, sądząc jedynie, że mnie tym uszczęśliwi), ja, zamiast go odwozić od tego, upewniałam go, że nic lepszego nie mógłby uczynić i że mnie to bardzo cieszy...

– Co za haniebne intrygi! – krzyknął oburzony kowal – Niegodziwym sposobem skorzystano z waszego wzajemnego przywiązania.

– Jednak – opowiadała dalej Franciszka – ponieważ Gabriel jest człowiekiem wyjątkowej dobroci, powoli obudziło się w nim powołanie... Czemu się zresztą nie można dziwić; pocieszać cierpiących, poświęcać się dla nieszczęśliwych, on jakby się do tego urodził... Nie wspomniałby o tym nigdy, gdyby nie dzisiejsza rozmowa... Gdy się jednak o tym wszystkim dowiedział, bardzo się oburzył, szczególnie na pana Rodina, i na inną jeszcze osobę... Mówił mi, że już miał do nich uraz, ale to odkrycie dopełniło miary.

Dagobert zerwał się z krzesła i potarł ręką czoło jakby chciał sobie coś ważnego przypomnieć. Od kilku już minut słuchał ze zdziwieniem i prawie z lękiem o tych piekielnych intrygach.

Franciszka mówiła dalej:

– Na koniec... Kiedy wyznałam Gabrielowi, że za radą księdza Dubois wydałam obcej osobie dzieci, które powierzono memu mężowi... Córki marszałka Simona... Zganił to, powiedział, że powinnam była najpierw poradzić się męża, który sam tylko odpowiedzialny jest przed Bogiem i ludźmi za to, co mu zostało powierzone... Mocno ganił postępek księdza Dubois, pocieszał mnie ze swą anielską dobrocią, zobowiązując, abym po powrocie do domu wszystko ci wyznała... Chciał przyjść tu ze mną, ale przełożeni surowo zakazali mu wychodzić z seminarium i dlatego...

Dagobert przerwał żonie:

– Jedno słowo, Franciszko... Pośród tylu zmartwień, tylu szatańskich spisków, człowiek traci głowę... W dniu, w którym znikły dzieci, wspominałaś, że, gdyś Gabriela zabrała z ulicy, miał na szyi medal brązowy, a w kieszeni pugilares pełen papierów, zapisanych obcym językiem.

– Tak, mężu.

– Te papiery i medal oddałaś spowiednikowi?

– Tak.

– A Gabriel nigdy potem ci nie wspominał o tych papierach i medalu?

– Nie, nigdy.

Agrykola zawołał:

– A więc Gabriel ma taki sam powód, jak córki marszałka Simona i panna de Cardoville, aby znaleźć się na ulicy Św. Franciszka.

– Zapewne – wtrącił Dagobert – i teraz przypominam sobie, co powiedział, że za kilka dni będzie potrzebował naszej pomocy.

– Prawda, ojcze.

– I zatrzymują go jak więźnia w seminarium! Powiedział matce, że przełożony obszedł się z nim niedobrze!

– Że nie mówiłby inaczej, gdyby szło o śmiertelny pojedynek – przerwał Agrykola. – A przecież on jest odważny tak jak ty, musi więc istnieć wielkie niebezpieczeństwo, skoro tak się boi przełożonych.

– Rozumiem już wszystko... – odezwał się żołnierz. – Gabriel jest tak samo jak Róża i Blanka, jak panna de Cardoville... Jak twoja matka, a może nawet i my, ofiarą intryg jezuitów... Kiedy teraz poznałem ich niegodziwe metody, ich straszną chytrość i zawziętość, widzę – dodał – że trzeba być bardzo mocnym, aby stanąć z nimi do walki...

– Masz rację, ojcze... Jezuiti, przy całej swej obłudzie i złośliwości, mogą uczynić tyle złego, ile dobry wśród nich, tacy jak Gabriel, czynią dobrego... Nie można ich nie doceniać.

– Tak, to prawda... I to mnie przeraża, bo moje biedne dzieci są w ich rękach. Czyż można je opuścić? O, nie, nie... Precz ze słabością... A jednak... Od chwili, jak twoja matka odkryła nam ich szatańskie zmywy, nie wiem... Ale ogarnia mnie strach... Okropne wydaje mi się to wszystko, co dzieje się wokół nas. Porwanie tych dzieci jest fragmentem rozgałęzionego spisku, który nas otacza i zagraża... Zdaje mi się, że ja i ci, których kocham, chodzimy w ciemnościach... Pośród węży... Pośród nieprzyjaciół i zasadzek... Których ani widzieć, ani zwalczyć nie można... Nie jestem tchórzem... Ale powiem otwarcie... Ja się boję jezuitów.

Agrykola zadrżał, gdyż podzielał to wrażenie.

Ludzie otwartego charakteru, dzielni, śmiali, przywykli walczyć i działać jawnie, tylko tego się obawiają, żeby ich nie usidlili, nie uderzyli znienacka niewidzialni nieprzyjaciele.

Milczenie przerwał powrót Garbuski.

Zapukała lekko, zatrzymując się za drzwiami z ojcem Lorient.

– Pani Franciszko, można wejść? – zapytała – Ojciec Lorient niesie drzewo.

– Prosimy... Prosimy! – odparł Agrykola, gdy tymczasem ojciec ocierał zimny pot z czoła.

Drzwi otworzyły się i wszedł poczciwy farbiarz, którego ręce tym razem ubarwione były na amarantowo.

– Dobry wieczór państwu – rzekł – Dziękuję pani, Franciszko, żeś sobie o mnie przypomniała, że mój sklep jest na twoje usługi... Sąsiedzi wzajemnie powinni się wspierać, pani byłaś zawsze tak dobra dla mej nieboszczki żony!...

Złożywszy drzewo w kącie farbiarz zapytał:

– Czy nie potrzeba państwu jeszcze czegoś?

– Dziękujemy ci, zacny ojciec Lorient.

– Dobranoc państwu.

A zwracając się do Garbuski, dodał:

– Nie zapomnij, moje dziecko, o liście do pana Dagoberta... Nie śmiałem go dotknąć, aby nie zostawić .na nim śladu swoich palców... Dobranoc państwu.

I ojciec Lorient wysunął się z izby.

– Oto list, panie Dagobercie – rzekła Garbuska.

I zajęła się rozniecaniem ognia, gdy tymczasem Agrykola przysunął bliżej pieca krzesło z matką.

– Zobacz chłopcze, co tu piszą – rzekł Dagobert – Mam głowę tak skołotaną, że ledwie widzę światło.

Agrykola wziął list i czytał:

*Na morzu, 25 grudnia 1831 r.*

„Korzystam ze spotkania i krótkiego zetknięcia ze statkiem, płynącym prosto do Europy. Piszę do ciebie, mój stary towarzyszu, te kilka słów napędce i spodziewam się, że cię dojdą przez Havr prędzej aniżeli mój list, pisany z Indii... Powinieneś już być w Paryżu z moimi...

Nie mogę skończyć, bo łódź odpływa... Jeszcze tylko słowo: przybywam do Francji... Nie zapomnij o 13 lutego... Zależy od tego przyszły los mojej żony i syna... Lub córki...

Bądź zdrow, przyjacielu, wdzięczny na wieki.

Simon”.

– Agrykolo!... Co z twoim ojcem?... Prędko... – krzyknęła Garbuska.

Słuchając pierwszych słów listu Dagobert zbladł jak trup... Jakby go z nóg ścięły.

Syn skoczył do ojca i przytrzymał go w ramionach. Wkrótce napad słabości minął, Dagobert wstał, oczy jego zaiskrzyły się, surowa twarz przybrała wyraz niezachwianego postanowienia. Krzyknął:

– Nie, nie, zdracą nigdy nie będę! Już nie boję się jezuitów i jeszcze tej nocy Róża i Blanka Simon będą wolne.

## ROZDZIAŁ VIII

### PRAWO KARNE

– Która godzina, Agrykolo? – zapytał Dagobert.

– Dopiero wybiła dziewiąta.

– Musisz mi natychmiast zrobić mocny hak żelazny... Tak mocny, żeby wytrzymał ciężar ciała, a tak rozwarty, żeby go można było założyć na daszek na murze.

Mówiąc to, wziął stojące przy piecu grube szczypce, podał je synowi i dodał:

– Pośpiesz się, chłopcze, rozdmuchaj ogień i kuj żywo...

Na te słowa Franciszka i Agrykola spojrzeli na siebie ze zdziwieniem, kowal osłupiał.

– Ojciec... Hak... A to do czego?

– Żeby go uwiązać do powrozu, który tu mam.

– Ależ, do czego ten powróż, ten hak?

– Do dostania się na mury klasztoru, jeśli nie można będzie wejść bramą,

– Ależ, ojciec... To niemożliwe, ani marzyć o tym.

– O co chodzi, moje dziecko – zapytała niespokojnie Franciszka – Dokąd ojciec chce iść?

– Chce tej nocy dostać się do klasztoru, w którym zamknięte są córki marszałka Simona i chce je stamtąd wydostać.

– Wielki Boże!... Mężu... To świętokradztwo!



Żołnierz odpowiedział surowo, niemal uroczyście:

– Słuchaj, moja żono, i ty, synu, w moim wieku, kiedy się ktoś na coś odważa, pewno już wie, dlaczego to czyni. Robię, com powinien, zaniechajcie więc próżnej gadaniny. Tego wieczora chcę być panem swej woli.

– Ojczel!... – rzekł Agrykola. – Nie chcę obalać twego postanowienia, chcę tylko dowieść, że nie wiesz, na co się narażasz...

– Wiem dobrze o wszystkim – odparł żołnierz. – Krok, na który się ośmielam, jest wielkiej wagi.

– Zastanów się, na jakie wystawiasz się niebezpieczeństwo!

– No, mówmy o niebezpieczeństwie, mówmy o fuzji odźwiernego i o kosie ogrodnika – rzekł Dagobert, wzruszając ramionami. – No! I co dalej? Przypuśćmy, że położę głowę w tym klasztorze? Alboż ty nie pozostaniesz dla matki? Dwadzieścia lat obywaliście się beze mnie... Poniesiecie niewielką stratę...

– Ach! Boże! I to ja, ja jestem przyczyną tych wszystkich nieszczęść! – zawołała Franciszka.

– Pani Franciszko, uspokój się – szepnęła Garbuska – Agrykola nie pozwoli ojcu narażać się na takie niebezpieczeństwo.

Kowal rzekł wzruszony:

– Zanadto znam cię, ojczel, żebym cię miał wstrzymywać obawą przed śmiercią.

– A o jakim niebezpieczeństwie chcesz mówić?

– Przestraszysz się go... Choć jesteś odważny...

– Agrykolo – rzekł ostro Dagobert – obrażasz mnie... – Jest podłą rzeczą chcieć odwieść człowieka postrachem od spełnienia powinności...

– Przebacz mi, ojczel... Ale choćbym miał ściągnąć na siebie twą nienawiść, dowiedz się, na co się narażasz, wchodząc przez mur do klasztoru, i to jeszcze w nocy...

– Dość już, ani słowa więcej!... – krzyknął żołnierz z gniewem.

– Uprzedzam cię, że za to grożą prawie niezawodnie galery – rzekł kowal, błędąc z przejęcia.

– Nędzniku! – wrzasnął Dagobert – Czy nie lepiej było ukryć to... Anizeli wystawiać mnie na to, abym się okazał zdrajcą i tchórzem! – Potem, chwyciwszy się oburącz za głowę, powtórzył: – Galery!...

I spuścił głowę, zdruzgotany tym piorunującym słowem.

– Tak, tak, zakradać się do cudzego domu w nocy, przez mur, gwałtem... Za to czekają galery! – powtórzył Agrykola. – Jeżeli zostaniesz schwytyany na gorącym uczynku, a można postawić dziewięć przeciw jednemu, że tak się stanie. Klasztor jest mocno strzeżony, gdybyś poważył się uprowadzić dziewczęta w ciągu dnia, zostałbyś aresztowany, lecz przynajmniej krok ten miałby cechę odwagi, za którą może sąd by cię uniewinnił... Lecz napadać w nocy, dostawać się gwałtem przez mury... Za to czekają galery... Zatem... Ojczel, namyśl się... Co zrobisz, ja pójdę z tobą... Nie pozwolę ci iść samemu... Powiedz tylko słowo... A ukuję ci hak... Ruszymy za godzinę.

Głębokie milczenie przerywały ciche tkania Franciszki, która z rozpaczą powtarzała:

– To ja, ja... Jestem winna wszystkiemu.

Daremnie Garbuska usiłowała ją uspokoić.

Dagobert pograżył się w myślach. Przerażające słowa syna uświadomiły mu niebezpieczeństwo i jego następstwa, pozostawało mu albo zdradzić zaufanie marszałka i złamać przysięgę, złożoną umierającej matce sierot, albo też narazić siebie, a zwłaszcza syna, na straszną hańbę... Syna! I to jeszcze bez całkowitej pewności, czy zdoła uwolnić sieroty.

Wtem Franciszka, jakby natchniona, zawołała:

– Mój Boże! Może znajdzie się sposób wydostania tych dzieci bez gwałtu.

– Jakież to sposób, matko?

– Przecież to ksiądz Dubois kazał je tam zaprowadzić, a mój spowiednik działał z namowy pana Rodina.

– A jeśli nawet, na próżno udalibyśmy się do pana Rodina, nic byśmy nie wskórali.

– U niego nie, ale może u tego księdza, który jest przełożonym Gabriela i który zawsze się nim opiekował.

– Co to za ksiądz?

– Ksiądz d’Aigrigny.

– D’Aigrigny! – zawołał Dagobert ze wstrętem. – Więc do tych matactw należy człowiek, który był kiedyś wojskowym, nim został księdzem?

– Tak, ojczu, margrabia d’Aigrigny... Dawniej, jeszcze za czasów Napoleona, służył w jakimś obcym wojsku... A w roku 1815 Burbonowie dali mu pułk francuski...

– To on! – rzekł Dagobert przytłumionym głosem. – Wszędzie on! Jak zły duch... Kiedy idzie o matkę, o ojca lub dzieci.

– O czym mówisz, ojczu?

– Margrabia d’Aigrigny! – mówił dalej Dagobert. – Wiecie wy, co to za człowiek? Nim został księdzem, dręczył swą miłością matkę Róży i Blanki, walczył przeciwko swemu krajowi i dwa razy potykał się z generałem Simonem. Tak, kiedy generał, okryty ranami, był w niewoli w Lipsku, on tymczasem pod Waterloo, w obcym wojsku, walczył przeciwko nam. Za Burbonów, ten renegat, okryty zaszczytami, spotkał się znowuż z napoleońskim generałem, który był wówczas w nieszczęściu. Wtedy to doszło między nimi do pojedynku... Margrabia został ranny, ale generał Simon, skazany na śmierć, musiał uciekać z Francji... Powiadacie, że ten renegat jest księdzem... A więc jestem zupełnie pewny, że to on kazał porwać Różę i Blankę z nienawiści do ich rodziców... I ten niegodziwiec trzyma je w swej mocy!... A więc nie tylko muszę bronić majątku tych dzieci... Ale i ich życia!... Słyszycie? Ich życia... Bo on je zechce zabić!

– Uważasz go za zdolnego do...

– Człowiek, który zdradził swój kraj, a potem został jezuitą... Zdolny jest do wszystkiego, może w tej chwili pastwią się nad tymi dziećmi... Bo rozłączyć je to już to samo, co zacząć je zabijać!... Córki marszałka Simona są w mocy margrabiego d’Aigrigny i jego bandy... A ja będę się wahał ocalić je... Z obawy przed galerami!... Cóż znaczą, zwłaszcza dla mnie, galery? Jeśli moja ostatnia próba nie uda się, myślicie, że będę żył? Kładź w ogień żelazo, chłopcze... Prędko, czas nagli...

– Ale, syn... Pójdzie z tobą – zawołała Franciszka głosem macierzyńskiej rozpaczony i rzuciła się do nóg Dagoberta. – Jeśli zostaniesz zatrzymany... To i on także...

– No, to co?... Mam dwa pistolety, wystarczą dla nas obu.

– A ja... – zawołała matka.

– Masz rację... Pójdę sam.

– Nie pójdziesz sam... Ojczu...

– Ale twoja matka!... Agrykolo... Nie pójdziesz ze mną... Zakazuję ci! – rzekł żołnierz, przyciskając syna do piersi.

– Ja... Pokazawszy ci niebezpieczeństwo... Mam się cofnąć?... Pójdę z tobą, ojczu, jest to moim prawem, moją powinnością, wreszcie taka jest moja wola!

– O! Mój Boże! Zlituj się nad nami! – modliła się biedna matka na klęczkach.

– Nie płacz, matko, bo mi serce rozdierasz – prosił Agrykolo. – Gdy będziemy działać roztropnie, możemy dopiąć swego, prawie na nic się nie narażając, prawda, ojczu?... – rzekł kowal, mrugnawszy na żołnierza. – Uwolnimy córki marszałka i pannę de Cardoville... Garbusko, podaj mi kleszcze i młotek z dolnej szuflady.

– Oto twoje narzędzia – rzekła Garbuska zmienionym głosem, drżącą ręką podając kowalowi kleszcze i młotek.

Dagobert ujął Franciszkę za rękę:

– Znasz swego syna: przeszkodzić mu teraz, aby udał się ze mną, nie sposób... Ale, bądź spokojna... Dokażemy swego... Jestem pewien... Jeżeli zaś nie uda się, gdybyśmy zostali zatrzymani... Precz z samobójstwem, ojciec i syn pójdą spokojnie do więzienia jak uczciwi ludzie. Gdy nadejdzie dzień sądu... Wyznamy wszystko... Powiemy, że doprowadzeni do ostateczności... Zmuszeni byliśmy chwycić się ostatecznego środka... Dalej, chłopcze, kuj żwa-wo! – dodał, zwracając się do syna – Kuj... Kuj... Nie bój się, sędziowie są uczciwymi ludźmi i uwolnią uczciwych ludzi.

– Tak, tak, ojcze, mądrze mówisz, sędziowie ocenią różnice między złoczyńcami a starym żołnierzem i jego synem, którzy z narażeniem swej wolności chcieli oswobodzić biedne ofiary.

– A jeżeli tego nie uwzględnią – dodał Dagobert – ani twój syn, ani mąż nie będą zhańbieni w oczach uczciwych ludzi... Jeżeli poślą nas na galery... Jeżeli tyle okażemy mocy, iż zachowamy życie, to dobrze! Stary i młody zbrodniarz z chlubą będą dźwigać kajdany... Nie my będziemy zhańbieni, ale podły renegat... Nikczemny jezuita, który wstyd przynosi swemu powołaniu... Dalej, dalej, kuj żelazo, mój synu!

– Teraz parę słów do ciebie, Garbusko, czas zbliża się. Będąc w ogrodzie, czy zwróciłaś uwagę, jak wysokie są piętra klasztoru?

– Nie bardzo wysokie, panie Dagobercie, szczególnie od strony domu obłąkanych, w którym zamknięta jest panna de Cardoville.

– Jakim sposobem udało ci się zbliżyć i mówić z tą panną?

– Była za parkanem, dzielącym ogrody.

– Doskonale... – rzekł Agrykolo, nie przestając kuć – będziemy mogli dostać się z jednego ogrodu do drugiego, może zresztą łatwiej będzie dostać się przez dom obłąkanych... Ale nie wiesz, gdzie jest pokój panny de Cardoville?

– Zaraz... – odrzekła Garbuska, przypominając sobie – ona mieszka w kwadratowym pawilonie, a nad jej oknem jest daszek, pomalowany w białe i niebieskie pasy.

– Bardzo dobrze... Zapamiętam to.

– A mniej więcej, gdzie są cele moich biednych dzieci? – zapytał Dagobert.

Po chwili namysłu Garbuska stwierdziła:

– Cele te znajdują się naprzeciw okna panny de Cardoville, gdyż już od dwóch dni dawała im znaki, a teraz przypominam sobie, iż wspomniała, że te cele są jedna nad drugą, na dole i na piętrze.

– A czy okna są zakratowane? – zapytał kowal.

– Mniejsza o to, dziękujemy ci, moje dziecko, po tym wyjaśnieniu możemy ruszać – rzekł Dagobert. – Co do reszty, mam swój plan.

– Garbusko, podaj wody – rzekł kowal – aby ostudzić żelazo. – A zwracając się do ojca, zapytał: – Dobry będzie ten hak?

– Doskonały, chłopcze.

Franciszka Baudoin gorąco modliła się na klęczkach; błagała Boga o miłosierdzie dla męża i syna, prosiła, aby tylko na nią samą zesłał karę, gdyż to ona była przyczyną rozpaczliwego kroku Dagoberta i Agrykoli.

Ojciec z synem w milczeniu kończyli przygotowania, bladzi i w uroczystym nastroju, rozmawiali o niebezpieczeństwie wyprawy.

Na wieży kościoła Saint-Merry wybiła godzina dziesiąta.

Bicie zegara z powodu silnego wiatru i deszczu, który nie przestawał padać, słychać było bardzo słabo.

– Dziesiąta! – zawołał Dagobert – Nie mamy już minuty czasu do stracenia; Agrykolo, bierz worek.

– Zaraz, ojcze.

Kowal podszedł do szwaczki, która ledwie trzymała się na nogach i rzucił jej po cichu:

– Jeżeli nie wrócimy do jutra rana... Polecam ci moją matkę... Pójdiesz do pana Hardy, może już wrócił z podróży. Pocałuj mnie, siostró i bądź dobrej myśli...

I serdecznie uściskał Garbuskę, która o mało nie zemdląła,

– Chodź, Ponury... Dalej w drogę – rzekł Dagobert – będziesz nam służył za pikietę.

Potem, podchodząc do żony, która przyciskała do piersi głowę syna, rzekł spokojnym tonem:

– No, kochana żono, dopilnuj, aby ogień nie wygaśł... Za dwie lub trzy godziny przyprawimy ci moje sieroty i piękną pannę... Ucałuj mnie... Na szczęście.

Rzuciła się mężowi na szyję. Niema rozpacz, objawiająca się tylko łkaniem, rozdzierała jej serce. Dagobert zmuszony był wyrwać się z jej objęć i rzekł zmienionym głosem:

– Chodźmy już, chodźmy, ona mi serce rozdziera... Czuwaj nad nią, Garbusko.

I wsunąwszy pistolet do kieszeni surduta, ruszył ku drzwiom, a za nim Ponury.

– Synu!... Niech cię raz jeszcze uściskam... Może ostatni! – zawołała biedna matka.

Kował o mało nie rozplakał się.

– Bądź zdrowa! Wkrótce się zobaczymy.

Żywo pośpieszył za ojcem.

Franciszka padła na krzesło, podtrzymywana przez Garbuskę.

Dagobert z Agrykołą, dręczeni niepokojem, wyszli bulwarami szpitalnymi, a za nimi Ponury.

## ROZDZIAŁ IX

### WTARGNIĘCIE DO KLASZTORU

Zegar w pobliżu wydzwonił wpół do dwunastej, kiedy Dagobert z Agrykołą stanęli na bulwarze.

Wiatr dał gwałtownie, deszcz rześisty nie przestawał padać, mimo przeciągających chmur noc była stosunkowo jasna, gdyż była pełnia.

Przy świetle tym można było ujrzeć ciemne drzewa i mury, okalające klasztorny ogród. Z dala nad błotnistym bulwarem wiatr powiewał latarnią, której czerwone światło przedzierało się przez mgłę. Niekiedy, w oddali, słychać było turkot karety.

Po wyjściu z domu Dagobert z synem prawie nie rozmawiali. Szli zamyśleni. Agrykoła niósł na plecach worek, w którym był powróż, hak i kawał żelaza, Dagobert wspierał się na ramieniu syna. Stary żołnierz odezwał się wreszcie:

– Dopiero wpół do dwunastej, trzeba poczekać do północy. Usiądziemy na tej ławie i naradzimy się.

Zatrzymali się.

– Agrykolo... Kochany... Jeszcze czas... Proszę cię... Puść mnie samego... Im bardziej zbliża się ta chwila, tym bardziej lękam się, że wplącesz się w tę niebezpieczną sprawę.

– A ja, ojczec... Im bliżej czynu, tym bardziej jestem, przekonany, że ci się na coś przydam... Uważasz za swą powinność spłacić ten honorowy dług, połowę tej spłaty biorę na siebie. Nie mówmy już o tym... Lepiej naradzimy się, jak działać.

– Ha! Widzę, że muszę cię wziąć z sobą.

– Trzeba tak zrobić, ojczec, żeby uwolnić dziewczęta i nie wpaść w biedę. Zauważyłem, że tam, w rogu, przy ogrodzie, jest szopa... Przez tę szopę dostaniemy się do środka. Ale, zapomniałem; gdy dostaniemy się do szopy, czy weźmiemy Ponurego?

– Naturalnie. Jeśli tam jest jakiś pies, on się z nim rozprawi, uprzedzi nas także o zbliżaniu się nocnych stróżów. A poza tym... On jest tak zmyślny i tak przywiązany do Róży i Blanki, że może nam ułatwi ich odszukanie.

W tej chwili dał się słyszeć uroczysty dźwięk, zegar wybijał północ. Zadrżeli obaj, w milczeniu uścisnęli sobie ręce. Serca ich odpowiedziały biciem dźwiękom zegara, rozlegającym się wśród ponurego milczenia nocy. Dagobert odezwał się:

– Północ... Uściskaj mnie i... Naprzód!

Chwila była uroczysta, decydująca.

– Teraz, ojcze, należy działać z taką przezornością i odwagą jak złodzieje.

Z łatwością znaleźli szopę, wydawała się całkiem zrujnowana.

– W porządku – rzekł kowal do ojca.

Krzepki młodzieniec oparł się plecami o szopę i mocno odsadził się nogami; lecz w tej chwili Ponury zawarczał. Dagobert schwycił syna za rękę:

– Cyt!... Nie ruszaj się. Ponury kogoś czuje w ogrodzie...

Przez chwilę stali w milczeniu, nie ruszając się. Pies, posłuszny panu, przestał warczeć, ale jego niepokój i niecierpliwość stawały się coraz wyraźniejsze. Nic jednak nie było słyhać.

– Pies pewnie pomylił się, ojcze.

– O, nie... nie ruszaj się.

Ponury mocno wciągnął powietrze.

– Idą! – szepnął Dagobert.

– Uciekajmy więc.

– Nie... Poczekajmy... Będzie czas.

Słyhać było ciężkie stapanie i niewyraźną rozmowę.

– To pewno stróże, o których wspominała Garbuska.

– Tym lepiej... Teraz nieprędko tutaj wróca...

Stapanie coraz bardziej oddalało się, nareszcie zupełnie ucichło.

– No, teraz synu, nie traćmy czasu... Muszą już być daleko... Trzeba co prędzej wyjąć deski.

Agrykola z całej siły oparł się o szopę, która mimo starości, mocno się trzymała.

– Do licha! – rzekł. – Musi tu być żelazny rygiel! Inaczej te stare deski nie wytrzymałyby. Daj mi, ojcze, powróż i hak, wleżę na mur i otworzę drzwi od środka.

Dagobert oparł się o mur i skrzyżował ręce, syn wdrapał mu się na szerokie plecy, a czepiając się powrozu i korzystając z nierówności muru, dostał się na jego szczyt.

Wierzchołek muru był posypany tłuczonym szkłem. Pokaleczył sobie kolana i ręce, lecz, aby nie przestraszyć ojca, stłumił krzyk bólu, przełożył hak i spuścił się po powrozie do ogrodu.

Szopa była blisko, zamek był tak lichy, że Agrykola złamał go od razu, drzwi otworzyły się i Dagobert wszedł do ogrodu, a z nim Ponury.

– No, dzięki tobie, chłopcze, najważniejsza rzecz zrobiona. Teraz panna de Cardoville i moje sieroty mają przynajmniej któreś wyjście. Idzie teraz o to, jak je odnaleźć. Ponury pójdzie naprzód. No, marsz stary, tylko nie szczekaj.

Ponury wysunął się do przodu i węsząc, przysłuchiwał się. Doszli do małego placyku, otoczonego wysokimi drzewami. Agrykola rzekł:

– Chodźmy dalej, wzdłuż muru.

– Dobrze, lecz pójdziemy nie po ścieżce, ale po trawie, żeby nie było słyhać kroków.

Jakiś czas szli długą, krętą aleją, niekiedy zatrzymywali się przysłuchując lub przypatrywali dziwnym kształtom, jakie przybierały drzewa przy słabym świetle księżyca. W pół do pierwszej wybiło, gdy zbliżali się do żelaznej kraty, opasującej oddzielny ogród przełożonej.

– Ten tam pawilon – szeptał Agrykola – powinien być tym, w którym mieszka panna de Cardoville.

– A naprzeciwko gmach – dodał ojciec – w którym trzymają biedne sieroty, ale stąd go nie widać... Drogie dzieci są tak blisko od nas i pewnie martwią się i płaczą – szeptał stary żołnierz.

– Byle by tylko ta żelazna krata nie była zamknięta.

Krata nie była zamknięta na klucz, Dagobert chciał ją otworzyć.

– Uważaj, ojcze, żeby nie skrzypiała.

– To jak otwierać, powoli czy prędko?

– Puść mnie, ja otworzę.

I otworzył drzwi kraty tak zręcznie, że ledwie skrzypnęły.

Zatrzymali się przez chwilę i niespokojnie nadśluchiwali. Wszędzie panowała cisza. Zdecydowali się wejść do ogrodu przelóżonej.

Tu Ponury wesoło podniósł oczy, z zadowoleniem machał ogonem, wreszcie popędził wprost ku drewnianym sztachetom, gdzie rano Róża rozmawiała z panną de Cardoville. Zatrzymał się, potem zaczął wachać, szukając zgubionego śladu.

Dagobert z Agrykolą z uwagą śledzili jego ruchy.

– Pewno Róża tu była, kiedy Garbuska ją widziała – domyślił się Dagobert. – Ponury wpadł na jej trop.

Po krótkiej chwili pies obejrzał się na Dagoberta i co tchu poleciał ku drzwiom gmachu, leżącemu naprzeciwko pawilonu Adrianny.

– Teraz już nie ma wątpliwości, sieroty muszą tu być – szeptał Dagobert.

– Sprawdźmy, czy są kraty w oknach.

Podszedł do Ponurego.

– No i co, stary – pytał Dagobert – czy są tu twoje panie?

Ponury odpowiedział radosnym skomleniem i cichym szczeknięciem. Dagobert chwycił go oburącz za pysk.

– Zgubi nas! – zawołał Agrykola.

W tej chwili żelazne kraty, przez które weszli i które Agryteola zostawił otwarte, zatrzasnęły się z łoskotem.

– Zamknięto nas! – zawołał kowal. – Siedzimy w pułapce!...

Z przerażeniem spojrzeli na siebie, wreszcie Agrykola rzekł:

– Może same się zamknęły albo wiatr... Pójdę zobaczyć i jeśli można, znowu je otworzę.

– Spiesz się!... Ja tymczasem obejrzę okna.

Agrykola szybkim krokiem podszedł do kraty, Dagobert zaś, skradając się wzdłuż muru, zbliżył się ku dolnym oknom. Było ich cztery, przy czym dwa nie okratowane.

Spojrzał w górę, pierwsze piętro było niewysokie a okna bez krat. Ta więc z sióstr, którą umieszczono na piętrze, mogłaby przywiązać prześcieradło do okna i spuścić się po nim na dół, ale tu zachodziła nowa trudność: są cztery okna; w które więc zapukać?

Agrykola szybko wrócił.

– To pewno wiatr zatrzasnął drzwi – wyjaśnił. – Otworzyłem je i założyłem kamieniem...

– Lecz jak tu poznać ich okna? – pytał niespokojny żołnierz. – Zawołać na chybił trafił?... Jeśli nie trafimy we właściwe okna, zrobi się hałas.

– Boże mój, Boże! – utyskiwał kowal.

– A czas ucieka – przerwał Dagobert – trzeba ryzykować... Zawołam głośno Różę albo Blanę, zrozpaczone dziewczęta pewno nie śpią... Usłyszawszy mój głos, zerwą się... Ta, która mieszka na piętrze, spuści się po prześcieradle i za pięć minut tu będzie... A ta, która mieszka na dole, jeśli w jej oknie nie ma kraty, zaraz będzie z nami... A jeśli jest krata, wyłamiemy ją...

– Ależ, ojcze, głośno wołać?! Jak usłyszą, wszystko przepadnie!

– Zanim sprowadzą stróżów i pootwierają kilkoro drzwi... Dzieci wydostaną się.

– Mam, ojczy, sposób!... – zawołał nagle Agrykola – i to pewny... Garbuska mówiła, że panna Adrianna rozmawiała z Różą i Blanką na migi... Musi więc wiedzieć, w których oknach mieszkają.

– Mądrze mówisz... Trzeba najpierw iść do niej...

Parkan był niedaleko, Agrykola wyjął trzy deski i zrobił przejście.

– Zostań tu, ojczy i pilnuj – rzekł, przełaząc do ogrodu doktora Baleinier.

Okno, o którym mówiła Garbuska, łatwo było poznać. Szerokie i wysokie, miało nad sobą mały daszek. Okno było zakratowane.

Zbliżywszy się do okna, widział, że w pokoju było ciemno, lecz w tylnej ścianie, przez drzwi, na wół otwarte, widać było światło. Domyślając się, że panna de Cardoville jeszcze nie śpi, lekko zapukał. W kilka sekund drzwi drugiego pokoju otworzyły się. Panna de Cardoville wyszła z pokoju... Świeca, którą trzymała w ręku, oświetlała jej piękną twarz, malowały się na niej zdziwienie i niepokój... Postawiła lichtarz na stole i zbliżywszy się do okna, przysłuchiwała się... Nagle zadrżała. Dostrzegła, że ktoś patrzy w okno.

– To ja, Agrykola Baudoin.

Adrianna usłyszała głos i poznała go. Zrozumiawszy, podeszła do okna i ostrożnie je otworzyła.

– Panno de Cardoville! Hrabiego Montbron nie ma w Paryżu, przyszedliśmy z ojcem oswobodzić panią.

– O! Jakże ci jestem wdzięczna, panie Baudoin, lecz najpierw pomyślcie o pannach Simon.

– Przychodzę zapytać, gdzie są ich okna?

– Jedno na dole, ostatnie od ogrodu, drugie wprost nad nim na piętrze.

– Teraz je ocalimy – rzekł kowal.

– Zaczekaj pan... Do pierwszego piętra wysoko... Przy budującej się kaplicy są długie deski do rusztowania, to ci się przyda.

– Posłużą mi zamiast drabiny...

– Myślcie tylko o tych biednych sierotach... Byle je tylko uwolnić jeszcze tej nocy, o mnie mniejsza, czy dzień lub dwa tu jeszcze zostaną...

– Nie, pani – przerwał kowal – niezmiernie zależy nam, abyś i pani wyszła stąd jeszcze tej nocy... Idzie o ważną sprawę.

– O czym pan mówi?

– Nie pora teraz to tłumaczyć, zaklinam panią, abyś pośpieszyła za mną... Mogę wyrwać dwa pręty z tej kraty...

– To niepotrzebne. Łatwiej będzie złamać zamek i będę mogła swobodnie wyjść, gdyż mieszkam sama.

– Za dziesięć minut będziemy na bulwarze. Tylko prędko ubierz się, pani i weź szal, gdyż noc bardzo chłodna...

– Panie Agrykolo, wiem, na co się naraziłeś dla mnie... Lecz nie wracaj po mnie przed uwolnieniem córek marszałka.

– Dzięki otrzymanym od pani wskazówkom nie będzie to zbyt trudne.

Posłuszny wskazówkom panny de Cardoville Agrykola pobiegł do budującej się kaplicy, chwycił długą żerdź i pośpieszył z nią do ojca.

Ledwie minął parkan, biegnąc w stronę kaplicy, Adriannie wydało się, że widzi czyjąś postać wychodzącą z gęstwiny ogrodu klasztornego, szybko przebiegającą aleję i znikającą za wysokim szpalerem bukszpanowym. Przestraszona na próżno cichym głosem wołała Agrykolę, chcąc go przestrzec. Już jej nie mógł słyszeć, już dobiegł do ojca, który, gorejąc z niecierpliwości, biegał, podsłuchując, od jednego do drugiego okna, dręczony coraz większą niecierpliwością.

– Wszystko pójdzie dobrze – rzekł Agrykola po cichu – to okna sierot.

– Nareszcie! – zawołał żołnierz i pobiegł obejrzeć wskazane okna.

Po czym dodał zadowolony:

– I nie ma w nich krat.

– Najpierw trzeba przekonać się, czy jest w celi – mówił kowal – postawię żerdź przy murze, wejść po niej na piętro.

– Dobrze, synu, skoro się tam dostaniesz, zapukaj w szybę i wołaj Róży i Blanki, jak ci odpowiedzą, zleżesz na dół, a wtedy biedne dziecko spuści się, one są zręczne i śmiałe.

Podczas gdy Agrykola ustawiał żerdź i zamierzał wchodzić, Dagobert zapukał w dolne okna, wołając po cichu:

– To ja... Dagobert.

Róża Simon rzeczywiście zajmowała tę celę. Biedna dziewczyna, zrozpaczona, że ją rozłączono z siostrą, dręczona gorączką nie spała i zalewała się łzami. Zrazu, usłyszawszy pukanie, złękła się, gdy jednak usłyszała głos żołnierza, głos tak jej znany i miły, podniosła się. Siedząc jeszcze na łóżku, przyłożyła rękę do czoła, jakby chcąc się upewnić, czy to nie sen, potem szybko skoczyła do okna...

Lecz w tej chwili... Zanim jeszcze zdążyła otworzyć okno, rozległy się dwa wystrzały, a po nich krzyki:

– Złodzieje!... Złodzieje!... Na pomoc!... Ratunku...

Róża, zdrętwiała ze strachu, patrząc oknem, widziała niewyraźnie, przy świetle księżyca, jak kilku ludzi walczyło z sobą zawzięcie...

Krzyki o ratunek stawały się coraz głośniejsze. Jednak całą tę wrzawę i krzyki zagłuszało zapamiętałe ujadanie Ponurego.



## Część dziesiąta

### OSTATNIA NARADA

#### ROZDZIAŁ I

#### WIGILIA WIELKIEGO DNIA

Mniej więcej dwie godziny przed opisanymi tu wypadkami Rodin i ksiądz d'Aigrigny znajdowali się w gabinecie przy ulicy Ursynów, gdzieśmy już ich poprzednio widzieli. Rodin, ubrany jak zwykle brudno, niechlujnie, siedział skromnie przy biurku i pisał, jako uniżony sekretarz, chociaż jego obowiązki były daleko ważniejsze, był socjuszem, a w istocie miał obowiązek nie odstępować swego przełożonego ani na chwilę, pilnie uważać, śledzić najdrobniejsze jego działania i o wszystkim donosić do Rzymu.

Mimo pozornej obojętności okazywał widoczny niepokój, odpowiadał krócej niż zwykle na rozkazy i zapytania księdza d'Aigrigny, który zjawił się zaledwie przed chwilą.

– Cóż zaszło nowego podczas mej nieobecności? – zapytał margrabia. – Czy zawsze nadchodziły pomyślne wieści?

– Bardzo pomyślne.

– Zatem słucham.

– Zanim zdam z nich sprawę Waszej Wielbności – rzekł Rodin – winienem uprzedzić, że Morok jest tutaj już od dwóch dni.

– Morok? – zdziwił się d'Aigrigny. – Sądziłem, że opuściwszy Niemcy i Szwajcarię, otrzymał z Freburga rozkaz udania się na południe. Teraz właśnie w Linie i Awininie mógłby być bardzo użytecznym pośrednikiem... Gdyż protestanci burzą się, zachodzi obawa wystąpienia przeciw katolikom.

– Nie wiem, czy Morok nie miał jakiś szczególnych powodów do zmiany kierunku podróży. Powiedział, że chce tu dawać przedstawienia.

– Jakie przedstawienia?

– Podczas przejazdu przez Lugdun, agent dramatyczny zobowiązał go, aby za bardzo korzystnym wynagrodzeniem dawał ze swą menażerią przedstawienia w teatrze Porte-Saint-Martin.

– Niech i tak będzie – rzekł d’Aigrigny, wzruszając ramionami – lecz rozpowszechnianiem broszur, sprzedażą różańców i obrazków, jak też przez wpływ, jaki pewno wywierałby na mniej oświecony lud południowego departamentu i Bretanii, mógłby oddać daleko większe usługi niż swymi występami w Paryżu.

– Jest tu, na dole, wraz z jakimś olbrzymem, który mu zawsze towarzyszy. Jako dawny sługa Waszej Wielebności, Morok spodziewa się, że dostąpi zaszczytu ucałowania jeszcze dziś ręki Waszej Wielebności.

– Niech o tym nie marzy. Wiesz przecież, ile nam jeszcze pozostało pracy na dzisiejszy wieczór. Czy ktoś poszedł na ulicę Św. Franciszka?

– Wysłałem... Stary Żyd już został powiadomiony przez notariusza. Jutro, o szóstej rano, murarze wybiją zamurowaną bramę i tak dom, po stu pięćdziesięciu latach, zostanie otwarty.

D’Aigrigny zamyślił się, po czym zwrócił do Rodina:

– Dziś, przed tak ważnym dniem, trzeba o wszystkim pamiętać i niczego nie zaniedbać. Odczytaj mi kopię owej noty, dotyczącej pana Rennepont’a, wciągniętej do archiwum zgromadzenia przed 150-ciu laty.

Sekretarz wyjął notę z szafy i czytał:

„Dziś, dnia 19 lutego 1682 roku. Przewielebny ojciec Aleksander Bourdon nadesłał zawiadomienie z tymi słowy: Niezmiernie ważne na przyszłość.

Niedawno powzięto wiadomość, z zeznań umierającego, o rzeczy zachowanej w wielkiej tajemnicy.

Pan Mariusz Rennepont, jeden z najczynnieszych i najniebezpieczniejszych przywódców wyznania reformowanego, jeden z najzawziętszych wrogów naszego świętego zgromadzenia, wrócił był, jak się zdawało, na łono świętej matki naszego kościoła, a to jedynie w tym celu, aby uchronić swój majątek przed konfiskatą za karygodne, niereligijne postępowanie. Gdy jednak wiele osób z naszego towarzystwa dostarczyło dowodów, że nawrócenie się Mariusza Rennepont’a jest pozorne tylko, ogłoszono go za odczepieńca, z rozkazu króla Ludwika XIV skonfiskowano mienie, on zaś sam skazany został na dożywotnie galery. Dla uniknięcia tej kary dopuścił się samobójstwa, za taką haniebną zbrodnię ciało jego włączono po ulicy, a w końcu oddano psom na pożarcie.

Po tej wstępnej wiadomości, przystępujemy do rzeczy tajnej, niezmiernie ważnej w przyszłości dla naszego towarzystwa.

Jego Królewska Mość Ludwik XIV, w swej ojcowskiej i katolickiej miłości dla kościoła, a szczególnie dla naszego towarzystwa, w nagrodę za to, żeśmy się przyczynili do wykrycia, iż Rennepont był haniebnym i świętokradczym heretykiem i odczepieńcem, darował nam jego skonfiskowane dobra.

Dowiedzieliśmy się, że przy tej konfiskacie, a zatem, a zatem z uszczerbkiem naszego towarzystwa, zatajono dom w Paryżu, przy ulicy Św. Franciszka Nr 3 i sumę pięćdziesięciu tysięcy talarów w złocie.

Dom sprzedany został przed konfiskatą, podstępny sposobem, pewnemu przyjacielowi panu Rennepont’a, na nieszczęście dobremu katolikowi, którego przeto nie można ścigać z przyzwoitą surowością.

Dom ten, wskutek nagannego porozumienia się tegoż przyjaciela z wydziedziczonym, którego to przyjaciela jednak do odpowiedzialności pociągnąć nie można, został zamurowany i ma być otworzony nie prędzej jak za sto pięćdziesiąt lat, a to stosownie do ostatniej woli pana Rennepont’a.

Co się tyczy owych pięćdziesięciu tysięcy talarów, powierzone one zostały osobie, na nieszczęście dotąd nieznaney, na procent składany, z tym, aby po upływie stu pięćdziesięciu lat rozdzielone były pomiędzy wówczas żyjących potomków pana Rennepont’a.

Suma ta, w ten sposób pomnażana, stanie się z czasem olbrzymią i wyniesie, mniej więcej, od czterdziestu do pięćdziesięciu milionów liwrów tulońskich.

Z niewiadomych dotąd powodów, objaśnionych w testamencie, pan Rennepont zataił przed swą rodziną, którą ustawy przeciw heretykom wypędziły z Francji i rozproszyły po Europie, zataił, mówię, istnienie wspomnianej sumy, wezwał tylko krewnych, aby z pokolenia na pokolenie zalecali następcom, iżby pozostali przy życiu potomkowie, po stu pięćdziesięciu latach zebrali się w Paryżu, przy ulicy Św. Franciszka Nr 3, dnia 13-go lutego 1832 r. Aby zlecenie owo nie zostało zapomniane, zobowiązał niewiadomego człowieka, którego jednak ry-sopis nam dostarczono, ażeby sporządził z brązu medale, na których to zlecenie i ta data były oznaczone, i ażeby rozesłał je po jednym egzemplarzu członkom jego rodu. Był to środek tym potrzebniejszy, że z innych, również niewiadomych pobudek, które zapewne będą wyjaśnione w testamencie, spadkobiercy obowiązani będą stawić się owego dnia, przed południem, osobiście a nie przez zastępców, gdyż w ostatnim razie utraciliby prawo do spadku.

Człowiek nieznan, który udał się dla rozdania tych medalionów członkom rodziny Rennepont'a, jest mężczyzną około trzydziestu sześciu lat, miny wyniosłej, wysokiego wzrostu, każe nazywać się Józefem. Pada mocne podejrzenie, że ten podróżny jest czynnym i niebezpiecznym emisariuszem owych zbrodniczych, nienawistnych Bogu republikanów i reformatorów siedmiu zjednoczonych prowincji!

Z powyższego wynika, że suma, powierzona przez owego odczepieńca niewiadomym ręką, sposobem ukradkowym, wymknęła się spod zapewnionej nam przez króla konfiskaty, ogromny to więc uszczerbek, szkaradny podstęp, który koniecznie wypada nam powetować, jeśli nie teraz, to przynajmniej w przyszłości.

Ponieważ nasze towarzystwo trwać będzie aż do skończenia wieków, łatwo więc będzie, dzięki związkom naszym na całej kuli ziemskiej, za pomocą misji i innych instytucji, śledzić odtąd rozgałęzienia tej rodziny Rennepont'ów, od pokolenia do pokolenia, nigdy ich z oka nie spuszczać, aby za sto pięćdziesiąt lat, w chwili podziału tego ogromnego majątku, towarzystwo nasze wejść znowuż mogło w jego posiadanie, od którego tak zdradziecko zostało odsunięte. Wrócić zaś powinno jakim bądź sposobem, choćby nawet podstępem lub gwałtem, gdyż nasze towarzystwo nie jest obowiązane postępować inaczej przeciwko przyszłym przywłaszczycielom naszych dóbr, tak złośliwie, łotrowsko zdefraudowanych przez tego niegodziwego odczepieńca. Bo wszystkim i każdemu wiadomo, że dozwolone jest prawnie bronić, zachowywać i odzyskiwać swoją własność wszelkimi sposobami.

Ta więc rodzina Rennepont'ów, aż do chwili zupełnej restytucji wydartego naszemu towarzystwu majątku, uważana ma być za potępioną i odrzuconą, jako przeklęte pokolenie Kaina odczepieńca, dobrze więc będzie nie tylko dawać na nią ustawiczne baczenie, ale nadto, w miarę możliwości, prześladować ją.

Dlatego trzeba koniecznie, poczynając od dnia dzisiejszego aż do wyżej oznaczonego terminu, prowadzić rokrocznie śledztwo, co do stanu członków tej rodziny”.

Rodin przestał czytać i rzekł:

– Następują z kolei coroczne sprawozdania o stanie tej rodziny od 1682 roku, aż do ostatnich dni. Sądzę, iż zbyteczną rzeczą byłoby czytać Waszej Wielebności te sprawozdania.

– Nie trzeba – odpowiedział d'Aigrigny – ta nota dokładnie wszystko przedstawia. – Następnie dodał z triumfem:

– Jakże wielką jest potęga stowarzyszenia, opartego na podaniu i wieczności!... Dzięki tej nocy, zachowanej przez półtora wieku w naszym archiwum, rodzina ta była śledzona z pokolenia na pokolenie. Nareszcie jutro odzyskamy tę wierzytelność, początkowo niewielką, ale w ciągu stu pięćdziesięciu lat urosła do ogromnego majątku. W tym wszystkim jeszcze jedna okoliczność bardzo mnie interesuje.

– Jakaż to? – zapytał Rodin.

– Myślę o informacjach, które daremnie usiłowano wydobyć od starego Żyda, stróża domu przy ulicy Św. Franciszka... Czy próbowano jeszcze raz, jak poleciłem?

– Próbowano...

– No i co?

– Tym razem, tak jak poprzednio, niepodobna było dowiedzieć się czegokolwiek od tego skrytego Żyda, zresztą on już prawie zupełnie zdzieciniał, a jego żona też nie więcej warta od niego.

– Kiedy pomyślę – mówił d’Aigrigny – że od półtora wieku dom przy ulicy Św. Franciszka był zamurowany i zamknięty, że jego pilnowanie z pokolenia na pokolenie pozostawało przy tej samej rodzinie Samuela, nie mogę uwierzyć, iż oni nie wiedzą, kto był i jest depozytariuszem sum, które stanowią teraz ogromny kapitał.

– Wiedziałeś, Wasza Wielbność – odparł Rodin – z noty, załączonej do naszych akt o tej sprawie, że w różnych epokach usiłowano zdobyć od nich wiadomości w tym przedmiocie, którego nota ojca Bourdon nie wyjaśniła. Pomimo tych usiłowań ta rasa stróżów – Żydów zawsze była niemą, z czego należy wnosić, że rzeczywiście o niczym nie wiedzieli.

– Otóż to właśnie uważam za rzecz nieprawdopodobną... Bo przecież... Pradziad tych wszystkich Samuelów, przed stu pięćdziesięciu laty, był obecny przy zamykaniu domu... Był on, jak mówią akta, powiernikiem czy też służącym pana Rennepont’a. Niepodobna, żeby nie wiedział o wielu rzeczach, o których podanie na pewno przechowało się – dowodził d’Aigrigny.

– Jeśli mi wolno wtrącić uwagę... – rzekł pokornie Rodin.

– Mów... Proszę...

– Parę lat temu powzięto wiadomość, że kapitał istnieje i że doszedł do ogromnej sumy...

– Tak jest – odpowiedział d’Aigrigny. – Osoba, która powiedziała o tym swemu spowiednikowi, że wszecch miar zasługuje na wiarę... Niedawno jeszcze ponowiła to zeznanie... Lecz mimo nalegań w tej mierze przewodnika jej sumienia, nie chciała wyjawić, w czyim są ręku, zapewniając jednocześnie, że nie można było złożyć ich w pewniejsze ręce. Jednak, kto wie, czy obecny posiadacz tej ogromnej sumy stawi się jutro, mimo że tak wychwalają jego prawość? Co do mnie, im bardziej zbliża się ta decydująca chwila, tym bardziej jestem niespokojny... Bo też idzie tu o rzecz tak wielkiej wagi, że gdyby się udała, skutki jej byłyby nieobliczalne!... Zresztą, przynajmniej... Zrobiło się wszystko, co tylko można było zrobić.

Socjusz nic nie odpowiedział.

D’Aigrigny spojrział nań ze zdziwieniem i dodał:

– Czy nie podzielasz mego zdania?... Można było uczynić coś więcej?...

Rodin skłonił się nisko, lecz nie rzekł ani słowa.

– Jeżeli sądzisz, że pominięto jakąś ostrożność – zawołał d’Aigrigny – mów!... Jest jeszcze czas... Co można jeszcze zrobić? Wszak wszyscy potomkowie zostali usunięci, skoro więc Gabriel stawi się jutro przy ulicy Św. Franciszka, będzie jedynym przedstawicielem rodziny Rennepont’ów, a zatem jedynym spadkobiercą tego ogromnego majątku. A stosownie do jego pisemnego zrzeczenia się według naszych ustaw, nie on, ale nasz zakon stanie się jego posiadaczem. Można było działać lepiej?

– Nie śmiem wyrazić w tej mierze żadnego zdania – rzekł pokornie Rodin – dobry lub zły skutek okaże, czy użyte środki były dobre czy złe.

D’Aigrigny wzruszył ramionami i żałował, że pytał o radę tej maszyny do pisania, która służyła mu za sekretarza i która, według niego, miała tylko trzy zalety: pamięć, ostrożność i akuratność.

## ROZDZIAŁ II

### DUSICIEL

Po krótkim milczeniu d' Aigrigny mówił dalej:

– Przeczytaj mi ostatnie raporty o każdym z tego rodu.

Rodin czytał, co następuje:

„Jakub Rennepont, zwany Leżynago, widziany był w więzieniu za długi, gdzie go osadzono, dziś o godzinie ósmej wieczorem”.

– Z jego strony nie musimy obawiać się niczego... Jeden wiec zostaje na boku... Czytaj dalej.

„Przełożona klasztoru Panny Marii, na żądanie księży Saint-Dizier, zamknęła jeszcze ściślejszą Różę i Blanę Simon. Zbrojna straż czuwać będzie przez noc wokół klasztoru”.

– I z tej strony nie ma obawy – dodał d' Aigrigny. – Czytaj!

„Doktor Baleinier, również na żądanie księżny Saint-Dizier, nie przestaje mieć pod ścisłą strażą panne de Cardoville, trzy kwadransy na dziewiątą brama do jej pawilonu została zaparta i zamknięta na klucz”.

– Bardzo dobrze, znów o jeden kłopot mniej.

Co do pana Hardy – mówił dalej Rodin – odebraliśmy dziś rano z Tuluzy bilet od pana Bressac, jego przyjaciela, któremu tak szczęśliwie udało się wyświadczyć nam przysługę, oddalając stąd tego fabrykanta na kilka dni. Przy bilecie jest list pana Hardy, pisany do zaufanej osoby; pan Bressac uznał za wskazane nie dopuścić, aby ten list doszedł do adresata i nam go przesłał jako dowód jego zabiegów, które tak mu się udały, a za które, jak się spodziewa, okażemy mu wdzięczność, gdyż, jak mówi, aby nam skutecznie służyć – w sposób najniegodziwszy zdradza swego serdecznego przyjaciela, odgrywając haniebną komedię. Pan Bressac nie wątpi, że po usługach, jakie nam oddał, zwrócimy mu listy, uzależniające go od nas, gdyż mogłyby zgubić zameżną kobietę, którą namiętnie kocha. Mówi, że należałoby się ulitować nad jego okropnym położeniem.

– Te lamenty, że przeszkadzamy jego występnyemu związkowi miłosnym, wcale nie zasługują na politowanie – odrzekł ze wzgardą d' Aigrigny. – Zresztą, pomyśli się o tym... Pan Bressac może być jeszcze użyteczny. Ale zobaczmy list pana Hardy, tego republikanina i bezbożnika, godnego potomka przekłętą rodu, którego bardziej wypadało usunąć aniżeli pozostałych.

– Oto list pana Hardy – rzekł Rodin – jutro prześle się go osobie, do której jest pisany.

I czytał, co następuje:

*Tuluza, dnia 10 lutego.*

„Znalazłem przecież chwilę czasu dla napisania do ciebie, kochany przyjacielu i wyjaśnienia ci przyczyny tak nagłego odjazdu, który, jeśli cię nie zaniepokoił, to przynajmniej musiał wprawić w zadziwienie; piszę również do ciebie z prośbą o wyświadczenie mi przysługi, krótko mówiąc, sprawa jest taka: Mówiłem ci nieraz o Feliksie Bressac, towarzyszu moich lat dziecięcych, ale młodszym ode mnie, zawsze kochaliśmy się i daliśmy sobie nawzajem wiele dowodów szczerą przywiązania. Jest on dla mnie jak brat. Przed kilkoma dniami napisał do mnie z Tuluzy następujący list:

«Jeżeli mnie kochasz, przybywaj, jesteś potrzebny... Przyjeżdżaj natychmiast... Pocięcha, udzielona przez ciebie, może wzbudzić we mnie chęć do życia... Jeślibyś przybył za późno... przebac mi i wspomnij czasem o tym, który do zgonu nie przestanie być twym najwierniejszym przyjacielem».

Możesz sobie wyobrazić mój żal i przerażenie, zażądałem natychmiast koni. Zarządzający moją fabryką starzec, którego poważam i szanuję, ojciec generała Simona, dowiedziawszy się, że wyjeżdżam na południe, prosił, abym go zabrał z sobą, miałem zostawić go na kilka dni w departamencie Creuse, gdzie chciał zwiedzić niedawno otwarte zakłady. Tym chętniej zgodziłem się na jego podróż, że przynajmniej miałem przed kim uzalić się ze smutkiem, jakiego nabawił mnie list mego przyjaciela.

Po przyjeździe do Tuluzy powiadają mi: Bressac wyjechał wczoraj w największej rozpacz, zabrawszy z sobą pistolety.

Z początku trudno mi było dowiedzieć się, dokąd pojechał. Dopiero po dwóch dniach i to z wielką trudnością, zdołałem uzyskać słabe wskazówki, wreszcie odnalazłem go w nędznej mieścinie. Nigdy nie widziałem podobnej rozpacz, żadnych gwałtownych objawów, ale jakieś nieszczęśliwe osłabienie i uporczywe milczenie, z początku prawie odpychał mnie od siebie, w kwadrans może, gdy jego straszna rozpacz nieco uśmierzyła się, rzucił mi się z płaczem w objęcia... Miał przy sobie nabitą broń... Gdybym o jeden dzień się spóźnił, może... Byłoby już po nim. Nie mogę ci wyjawiać przyczyny tej rozpacz, jest to tajemnica nie moja... Ale nie dziwiłem się jej... Co mogę powiedzieć?... On potrzebuje radykalnego leczenia. Na teraz, trzeba zagoić to biedne, okrutnie zranione serce... Namówiłem go na kilkudniową wycieczkę, ruch, rozrywka, wiele w tej mierze mogą dopomóc. Jadę z nim do Nizy, jutro wyjeżdżamy. Jeśli się zgodzi, przedłużymy wycieczkę, gdyż moje interesy w Paryżu nie wymagają powrotu wcześniej niż pod koniec marca.

Co się tyczy przysługi, o której wspomniałem, wyświadcysz mi ją pod pewnymi warunkami... Rzecz tak się przedstawia:

Podług papierów rodzinnych mej matki, zdaje się, że zależałoby mi na tym, abym znajdował się w Paryżu 13 lutego, przy ulicy Św. Franciszka Nr 3. Dowiadywałem się, o co chodzi, ale niczego dowiedzieć się nie mogłem, chyba tylko, że dom ten od stu pięćdziesięciu lat był zamknięty przez śmieszna dziwaczność jednego z przodków mej matki i że ma być otwarty 13 bieżącego miesiąca, w obecności współspadkobierców, którzy, choćbym ich miał, nie są mi znani.

Nie mogąc sam być obecny, napisałem do ojca generała Simona, zarządzającego moją fabryką i posiadającego moje pełne zaufanie, którego zostawiłem, jak już nadmieniałem, w departamencie Creuse, aby się udał do Paryża i był obecny przy otwarciu tego domu, nie jako mój pełnomocnik, bo to na nic by się nie przydało, tylko po prostu przez ciekawość i żeby doniósł mi do Nizy o wszystkim, co by się okazało z tego romantycznego testamentu mego pradziada. A ponieważ, być może, stary Simon przybędzie za późno i nie będzie mógł wypełnić mego zlecenia, przeto wielce zobowiązesz mnie, jeśli dowiesz się u mnie, w Plessis, czy wrócił, a w przeciwnym razie, zastąpisz go na ulicy Św. Franciszka.

Jak sądzę, niewiele poświęcam dla przyjaźni Bressaca, nie będąc osobiście w Paryżu w wskazanym dniu, lecz choćby ta ofiara była jak największa, żałować jej nie będę, moje starania i moja przyjaźń potrzebne są dla tego, który dla mnie jest bratem.

Tak więc, proszę cię, bądź obecny przy otwarciu tego domu i chciej napisać do mnie, do Nizy, na poste restante, o ciekawych szczegółach, jakich będziesz świadkiem.

*Hardy*”.

– Chociaż obecność starego Simona nie byłaby dla nas szkodliwa, jednak byłoby lepiej, gdyby nie znalazł się jutro przy otwarciu tego domu – rzekł d’Aigrigny. – Ale mniejsza o to, pan Hardy jest daleko stąd, idzie jeszcze tylko o młodego Hindusa. Co do niego – mówił dalej, zamysłony – postąpiono mądrze, pozwalając jechać Norvalowi z podarkami i listem od panny de Cardoville do tego księcia. Lekarz, towarzyszący panu Norval, wybrany przez doktora Baleiniera, nie wzbudzi przecież najmniejszego podejrzenia...

– Żadnego – odpowiedział Rodin.

– Tak więc co do indyjskiego księcia też nie ma się czego obawiać – stwierdził z zadowoleniem d’Aigrigny.

– Co do Gabriela – objaśniał dalej Rodin – pisał znowu dziś rano, prosząc, aby mu było wolno pomówić z Waszą Wielbnością i tego domaga się usilnie już od trzech dni. Wielce go trapi surowa kara, którą mu wyznaczono, aby przez pięć dni nie ważył się wyjść z domu.

– Jutro... Prowadząc go na ulicę Św. Franciszka, wysłucham go... Będzie jeszcze czas... A więc – mówił d’Aigrigny z triumfem – wszyscy potomkowie, których obecność mogłaby zniweczyć nasze plany, w żaden sposób nie będą mogli znajdować się jutro przed południem przy ulicy Sw. Franciszka, gdy tymczasem Gabriel będzie tam obecny i tylko on sam. Tak więc nareszcie osiągniemy nasz cel.

Lekkie pukanie do drzwi przerwało księdzu d’Aigrigny.

– Proszę wejść! – zawołał.

Wszedł stary lokaj i oznajmił:

– Na dole jest jakiś człowiek i w bardzo pilnym interesie chce się zaraz widzieć z panem Rodinem.

– Jak się nazywa? – zapytał ksiądz.

– Nie powiedział swego nazwiska, lecz oświadczył, że przybywa od pana van Daela... Kupca батаwskiego.

D’Aigrigny i Rodin spojrzeli na siebie zdziwieni.

– Zobacz, co to za człowiek – rzekł d’Aigrigny do Rodina, nie ukrywając niepokoju – i przyjdiesz mi powiedzieć.

A zwracając się do służącego, dodał:

– Wprowadź go tu.

Zamienił z Rodinem znak porozumienia i wyszedł bocznymi drzwiami.

W minutę potem Faryngea, były przywódca sekty dusicieli, stanął przed Rodinem, który od razu poznał w nim człowieka, spotkanego w zamku Cardoville. Rodin struchlał, ale nie chciał okazać, że go sobie przypomina. Pochylony nad biurkiem, udając, że nie widzi Faryngei, napisał naprędce kilka słów na leżącym przed nim arkuszu papieru.

– Czy mam zaczekać? – zapytał służący, zdziwiony milczeniem sekretarza.

Rodin złożył zapisany papier i oddając go służącemu, rzekł:

– Oddaj to pod podany adres... Odpowiedź przyniesiesz mi natychmiast.

Lokaj uklonił się i wyszedł.

Rodin, nie wstając z krzesła, wlepił oczy w Faryngeę i rzekł przymilnie:

– Z kim mam zaszczyt mówić?

## ROZDZIAŁ III

### DWAJ BRACIA DOBREGO UCZYNKU

Faryngea, urodzony w Indiach, wiele podróżował i miał stosunki z wieloma europejskimi domami handlowymi w różnych częściach Azji, mówił dobrze po angielsku i francusku, przenikliwy, przezorny, roztropny, doskonale się ucywilizował. Zamiast odpowiedzieć na pytanie Rodina, wpatrywał się weń przenikliwym okiem.

Rodin, zniecierpliwiony tym milczeniem i przeczuwając, że przybycie Faryngei ma jakiś związek z Dźalmą, powtórzył tonem udanej obojętności:

– Z kim mam zaszczyt?

– Nie poznaje mnie pan?

– Nie przypominam sobie, abym miał szczęście widzieć pana – odpowiedział chłodno Rodin.

– A ja pana poznaję, widziałem pana w zamku Cardoville w dniu rozbicia parowego statku i trzymasztowego okrętu.

– W zamku Cardoville?... Być może... Rzeczywiście, byłem tam podczas tego wypadku.

– W owym dniu zawołałem pana po nazwisku. Pan zapytał mnie, czego żądam... Ja zaś odpowiedziałem: Teraz niczego nie żądam... Bracie... Później wiele żądać będę... Nadszedł czas... Przychodzę żądać od pana wiele...

– Drogi panie, pragnąłbym wiedzieć wprzód, z kim mam przyjemność?... Wszedł pan tu pod pozorem posłannictwa od pana Jozue van Daela, czcigodnego negocjanta w Batawii, i...

– Zna pan pismo pana Jozue?

– Znam je bardzo dobrze.

– Przypatrz się pan...

Faryngea wyjął z kieszeni długą depeszę, zabraną Mahalowi, jawajskiemu przemytnikowi, którego zadusił pod Batawiał i podsunął ją pod oczy Rodina.

– Istotnie jest to pismo pana van Daela – odezwał się Rodin i sięgnął ręką po list, który jednak Faryngea szybko i zręcznie cofnął.

– Mój panie, masz dziwny sposób wypełniania danych ci zleceń – rzekł Rodin. – Ponieważ list ten jest adresowany do mnie, i ponieważ powierzył ci go pan Jozue...

– Ten list bynajmniej nie był mi powierzony przez pana Jozue.

– Jakim więc sposobem dostał się do twoich rąk?

– Pewien jawajski przemytnik zdradził mnie, pan Jozue wyrobił temu człowiekowi przejazd do Amsterdamu i dał mu ten list. Ja zadusiłem zdrajcę, zabrałem mu list, popłynąłem tym samym statkiem... i stanąłem tutaj.

Dusiciel mówił chełpliwym tonem, jego dziki, nieustraszony wzrok nie zmieszał się pod przenikliwym wzrokiem Rodina.

Faryngea sądził, że zadziwi lub przestraszy Rodina tymi zbójceckimi przechwałkami, lecz mocno się zdziwił, kiedy Rodin, jak zawsze obojętny, zimny, odezwał się ze spokojem:

– Acha!... Czy tak bezkarnie duszą ludzi w Indiach?

– I gdzie indziej podobnie... – odparł Faryngea z szyderczym uśmiechem.

– Nie chce mi się wierzyć... Ale wydajesz się dziwnie szczerym człowiekiem... Jak się nazywasz?

– Faryngea.

– A więc, panie Faryngea, co zamierzasz zrobić?... Zabrałeś przez haniebną zdradę list... Wahasz się mi go oddać... Co to znaczy?

– To, że go czytałem... I że może mi się przydać.

– Jak to! Czytałeś go? – zawołał zmieszany na chwilę Rodin. – I cóż użytecznego dla siebie wyczytałeś w liście pana van Daela?

– Wyczytałem, mój bracie... Że jesteś, podobnie jak ja, synem Dobrego Dzieła.

– O jakim to dobrym dziele mówisz?

Faryngea odpowiedział tonem szyderczej ironii.

– van Dael pisze do ciebie:

„Posłuszeństwo i odwaga, sekret i cierpliwość, dostęp i śmiałość, zgoda i wzajemne poświęcenie między nami, oto nasze przymioty i nasze cnoty; naszą ojczyzną jest cały świat, naszą rodziną nasi bracia, a królową Rzym”.

– Być może, ale co z tego wynika?

– Że nasze dzieło podobnie jak wasze, mój bracie, ma świat za ojczyznę, podobnie jak wy, za rodzinę uważamy naszych braci, a za królową Bohwanę.

– Nie znam tej świętej – rzekł Rodin uniżenie.



– Jest to nasz Rzym – objaśnił dusiciel i mówił dalej: – Jozue pisze do ciebie o członkach waszego dobrego dzieła, którzy rozproszeni po całej kuli ziemskiej, pracują dla chwały Rzymu, waszej królowej. Nasi bracia także pracują w różnych krajach dla chwały Bohwanii.

– A kim oni są, panie Faryngea?

– Ludzie śmiali, odważni, cierpliwi, podstępni, zdradliwi, którzy dla powodzenia dobrego dzieła, poświęcają swój kraj, swego ojca, matkę, siostrę i brata i którzy uważają za wrogów wszystkich, nie należących do ich towarzystwa!

– Zdaje się, że musi być wiele dobrego w duchu wyłącznie religijnym waszego dzieła... Tylko trzeba by poznać jego cel i środki.

– Podobnie jak wy, bracie... My robimy trupy.

– Trupy? – zawołał Rodin.

– van Dael pisze w swym liście – odrzekł Faryngea – że wasi zwierzchnicy robią z was trupy. My także robimy z ludzi trupy. Śmierć ludzka jest miła Bohwanii.

– Ależ, panie, pan Jozue mówi zapewne o duszy... O wolnej woli, którą nasze prawa powinny zatrzeć.

– To prawda. Wy, podobnie jak my, jesteście łowcami ludzi.

– My zabijamy nie ciało, ale wolne myśli.

– A czymże są ciała pozbawione duszy, woli, myśli, jeżeli nie trupami?... Daj więc pokój, bracie, umierający od naszego stryczka są nie bardziej zimni jak umarli przez wasze prawa. Spróbuj tylko dotknąć ich, mój bracie... Rzym i Bohwania to są rodzeni brat i siostra.

Im bardziej zaniepokojony stawał się Rodin, tym mocniej usiłował okazać się spokojnym. Rzekł więc:

– To porównanie Rzymu do Bohwanii jest bardzo oryginalne... – Ale cóż z tego wnosisz, mój panie?

– Mój bracie, chcę ci pokazać, co mogę, aby cię przekonać, że lepiej jest mieć mnie za przyjaciela aniżeli za wroga.

– Należysz do zbójeckiej sekty indyjskiej. Na twoje alegorie zrobię ci skromną uwagę, że tu się nikogo nie dusi. Gdyby napadła cię chęć przemienić kogoś w trupa dla miłości Bohwanii, zdejmę ci głowę z karku przez miłość dla innego bóstwa, zwanego sprawiedliwością.

– A co by mi zrobiono, gdybym spróbował kogoś otruć?

– Panie Faryngeo, nie mam czasu wyklądać ci prawa karnego. Ostatnie słowo: chcesz czy nie oddać listy pana Jozuego?

– Listy, dotyczące księcia Dżalmy?

Bystro wpatrywał się w Rodina.

– Nie znam treści listów, które pan zatrzymujesz. Proszę ostatni raz, abyś oddał te listy... Albo żebyś się stąd oddalił.

– Za chwilę będziesz prosił, abym został.

– Wątpię.

– Kilka słów dokaże tego cudu... Mój bracie, jeśli wspomniałem ci o otruciu, to dlatego, że wysłałeś doktora... Do zamku Cardoville dla otrucia... Księcia Dżalmy.

Rodin struchlał. Zapanował jednak nad zmieszaniem.

– Nie rozumiem...

– Wiem z listów Jozuego, że bardzo wam zależy, aby księżę Dżalma nie znalazł się tu... Jutro, wiem, coście zrobili. Rozumie mnie pan?

– Nie mam dla pana żadnej odpowiedzi.

Dwa lekkie pukania do drzwi przerwały rozmowę.

– Proszę wejść! – zawołał Rodin.

List doręczono według adresu – rzekł stary sługa, kłaniając się nisko – oto odpowiedź.

Rodin wziął podany sobie papier i przed rozpieczętowaniem go rzekł uprzejmie do Faryngei:

– Raczy pan pozwolić?

– Proszę nie zwracać na mnie uwagi – odrzekł mieszaniec.

Rodin przeczytał list, napisał na nim kilka słów i oddając służącemu, rzekł:

– Odeślesz to tej samej osobie. Służący nisko się skłonił i wyszedł.

– Mogę mówić dalej? – zapytał Faryngea.

– Bardzo proszę.

– Przedwczoraj, gdy księżę, mimo że jest ranny, wybierał się w podróż do Paryża, zajął piękny powóz z pysznymi poduszkami od nieznanej osoby. W powozie było dwóch mężczyzn, jeden przysłany przez nieznanego przyjaciela, drugim był doktor, przysłany przez ciebie, aby miał staranie o Dżalmę i towarzyszył mu do Paryża.

– Mów pan dalej.

– Dżalma wyjechał wczoraj... Doktor oświadczył, że rana księcia pogorszyłaby się niebezpiecznie, gdyby odbywał podróż nie położywszy się w powozie. W ten sposób pozbył się towarzystwa przysłanego przez nieznaną osobę jegomościa, który pojechał osobno. Doktor chciał mnie także oddać, ale Dżalma tak się uparł, iż jechaliśmy razem, doktor, księżę, i ja. Wczoraj wieczorem przebyliśmy połowę drogi, doktor radził, aby przenocować w oberży, mówiąc, że będziemy mieli dosyć czasu, aby stanąć dziś wieczór w Paryżu, a to wskutek oświadczenia księcia, że 12 lutego wieczorem musi tu być. Doktor nalegał, aby samemu jechać z księciem. Z listu Jozuego wiedziałem, że wam niezmiernie zależy na tym, aby Dżalma nie znalazł się w Paryżu 13 lutego, powziąłem więc podejrzenie. Po przyjeździe do oberży, kiedy doktor był przy Dżalmie, poszedłem do jego pokoju i przejrzałem pudełko z licznymi flaszeczkami, w jednej z nich było opium... Domyśliłem się...

– Czego się pan domyślił?

– Zaraz wyjaśnię... Doktor, oddalając się od chorego, rzekł mi: Pańska rana jest w dobrym stanie, ale trudy podróży mogłyby spowodować zaożnienie, dobrze więc będzie jutro, podczas dnia, zażyć lekarstwo łagodzące, którego przyrządzeniem zajmę się dzisiaj, aby było w pogotowiu. Rachuba doktora była prosta: nazajutrz, czyli dziś, księżę wypiłby opium, o czwartej lub piątej po południu... Wkrótce potem zasnąłby głęboko. Doktor, niespokojny, kazałby się zatrzymać... I oświadczyłby, że byłoby niebezpiecznie jechać dalej... Spędziłby noc w oberży, przy księciu, którego sen miał trwać akurat do tej godziny, jaka wam była potrzebna. Taki był wasz zamiar, postanowiłem z niego skorzystać.

– Wszystko, co pan opowiada, jest historią o żelaznym wilku.

– Zawsze nie dość jasno się tłumaczę... Ale powiedz mi, czy znasz arrainę.

– Nie.

– Tym gorzej, jest to wyborny produkt wyspy Jawy, tak płodnej w różne trucizny. My, synowie Bohwanii, brzydzimy się rozlewem krwi, lecz chcąc dogodniej zarzucić stryczek na szyję naszych ofiar, czekamy, aż zasną... Kiedy sen ich jest nie dość mocny, powiększamy go według woli, jesteśmy biegli w naszej sztuce, waż nie jest od nas roztropniejszy ani śmielszy... Dżalma doświadczył tego na sobie... Arraina jest to mialki proszek, dając go odrobinę powąchać śpiącemu albo dodając do tytoniu temu, co pali fajkę, jesteśmy w stanie wprawić nasze ofiary w taki sen, iż nic ich z niego wyrwać nie zdoła. Gdyby zachodziła obawa zadać go na raz za dużo, dajemy wachać po trosze, kilka razy i tym sposobem przedłużamy sen według upodobania, tak długo, jak człowiek bez pokarmu może wytrzymać... Trzydzieści do czterdziestu godzin... Opium jest niedołącznym środkiem w porównaniu z tym narkotykiem. Przywiozłem go z sobą z Jawy... Jedynie dla ciekawości... Ale nie zapomniałem i o antidotum.

– A więc jest i antidotum? – spytał Rodin niechętnie.

– Podobnie jak ludzie przeciwni takim, jakimi my, synowie Bohwanii, jesteśmy... Jawajczycy nazywają sok tego korzenia tuboe, on tak rozprasza sen, odrętwienie jak słońce rozprasza chmury... Wczoraj więc, będąc pewny zamiaru twego posłańca, zczekałem, aż doktor

uśnie... Zakradłem się, czołgając, do jego stacji... I dałem mu powąchać proszku arrainy taką dozę... Iż dotąd jeszcze śpi.

– Nieszczęsny! – krzyknął Rodin przerażony tym opowiadaniem, gdyż Faryngea niszczył wszystkie jego plany. – Ależ mogłeś go otruć!

– Mój bracie... Tak samo, jak on mógł otruć księcia Dżalmę. Dziś rano wyjechaliśmy, zostawiając twego doktora pogrążonego we śnie. Byłem w powozie sam z Dżalmą. On palił fajkę jak prawdziwy Hindus, odrobina proszku, dodana do tytoniu, sprowadziła zaraz lekki sen. Druga porcja dana do powąchania głęboko go uspiła, teraz leży w oberży, do której zajechaliśmy. Ode mnie zależy, czy pozostawić Dżalmę we śnie, który przeciągnie się aż do jutra, do wieczora... Czy też natychmiast obudzić go. Zależec to będzie od tego, czy mnie zadowolisz, czy nie.

Faryngea wydobył z kieszeni medalion Dżalmy:

– Widzisz, że mówię prawdę... Podczas snu zdjąłem z niego ten medal, jedyny znak, po którym trafiłby do miejsca, gdzie powinien być jutro... Kończę więc na tym, od czego zacząłem, mówiąc ci: „Bracie, przychodzę żądać od ciebie bardzo dużo!”

Od kilku minut Rodin, swoim zwyczajem, kiedy go palił wściekły, niemy gniew, gryzł do krwi paznokcie.

U budki odźwiernego ozwał się po trzykroć dzwonek.

Rodin zdawał się nie zwracać na to uwagi, a przecież jego małe, jaszczurcze oczy zaiskrzyły się nagle. Faryngea, założywszy ręce na krzyż, z triumfującą, pogardliwą miną, śmiało patrzył mu w oczy.

Rodin spuścił je, umilkł, wziął od niechcienia pióro i gryzł przez chwilę. Nagle rzucił je i rzekł pogardliwym tonem:

– Cóż to, panie Faryngea, chcesz sztydzić z ludzi?

Zdumiony Metys cofnął się o krok.

– Co to ma znaczyć, mój panie? – zaatakował Rodin. – Przychodzisz do uczciwego domu, z przechwałkami, żeś skradł cudzą korespondencję, zadusił tego, otruł tamtego!... To już trzeba być szalonym. Tylko najbezczelniejszy złoczyńca mógłby się chępić tak okropnymi zbrodniami... Chętnie uwierzyłbym, że takie zbrodnie istnieją tylko w twojej wyobraźni...

– Strzeż się, bracie...

– Ocho! Chyba tylko człowiek z antypodów mógłby mniemać o Francuzach, że tak łatwo dadzą się wywieść w pole. Jak sam mówiłeś, masz roztropność węża i odwagę lwa. Czy jesteś lwem, nie wiem, ale co do roztropności węża... Tej ci muszę zaprzeczyć. Jak to? Masz przy sobie list od pana Jozue, list, który może mi szkodzić, książę Dżalma pogrążony jest w odrętwieniu, z którego ty sam tylko możesz go wyprowadzić! Mówisz, że możesz zadać straszny cios moim interesom.

A nie pomyślałeś, że chodzi mi tylko o zyskanie dwudziestu czterech godzin czasu? Przybywasz do Paryża z głębi Azji. Jesteś cudzoziemcem, nikomu nieznanym, a nie zastanawiasz się, że tutaj jesteś w mojej mocy, że ta ulica jest odludna, dom odosobniony, że mogę natychmiast mieć trzech, czterech ludzi, którzy mogliby w mgnieniu oka związać cię, mimo że jesteś dusicielem?... Wystarczyłoby mi pociągnąć za dzwonek – dodał, rzeczywiście biorąc do ręki sznurek od dzwonka.

– Ale nie bój się – ciągnął dalej z szatańskim uśmiechem. – Nie uprzedzałbym cię, gdybym naprawdę zamierzał to zrobić... Teraz więc, odpowiedz... Gdybyś został związany i na dwadzieścia cztery godziny ukryty, jak mógłbyś mi zaszkodzić? Czy trudno byłoby mi wtedy odebrać ci papiery Jozuego i medalion Dżalmy?

– Widzisz więc, że próżne są twoje pogroźki... A więc... Odejdź stąd i pamiętaj, że mnie niełatwo oszukasz.

Słowa te wprowadziły Faryngeę w osłupienie, wszystko, co usłyszał, było możliwe, a na dodatek Rodin kazał mu wyjść, jemu, Faryngei, który uważał się za tak groźnego.

Kiedy zastanowił się, wydało mu się, że Rodin, mimo pokazanych dowodów, nie wierzył, aby Dżalma był w jego mocy.

Odezwał się po chwili:

– Jeszcze słowo... Może sądzisz, że kłamię?...

– Jestem tego pewien. Zostaw mnie samego.

Jeszcze minutę... Jak widzę, człowiek z ciebie, przed którym nic nie da się ukryć. Czego mogę się spodziewać od Dżalmy... Chyba jałmużny i wzgardy. Potrzeba mi złota, dużo złota... Ty jeden możesz mi je dać, płacąc za zdradę. Nie chcesz mnie wysłuchać, bo myślisz, że kłamię... Wziąłem adres oberży, w której stanęliśmy, proszę. Poślij kogo, aby przekonać się, czy mówię prawdę, a wtedy uwierzysz, ale cena mej zdrady będzie wielka...

– Weź ten adres... I przekonaj się, że nie kłamię – mówił dalej, podając go Rodinowi.

– He... Cóż to jest? – odparł Rodin, ukradkiem spojrzawszy na adres, który natychmiast zapamiętał.

– Przeczytaj ten adres...

– Doprawdy, mój panie – odparł Rodin, odpychając ręką adres – twoja bezczelność zadziwia mnie. Powtarzam, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego... Nie znam żadnego księcia Dżalmy i znać go nie chcę... Mówisz, że możesz mi szkodzić, zrób to, ale, na miłość boską, idź już stąd.

Mówiąc to, gwałtownie zadzwonił.

Faryngea poruszył się, jakby chciał przygotować się do obrony-

Stary, dobroduszny sługa wszedł natychmiast.

– Lapière... Poświęć temu panu – rzekł Rodin.

– A więc, panie – rzekł Faryngea – odrzucasz moją ofertę? Strzeż się... Jutro będzie za późno.

– Uniżony sługa pański.

I Rodin skłonił się grzecznie.

Dusiciel wyszedł.

Drzwi zamknęły się za nim.

Natychmiast w drzwiach od bocznego pokoju pokazał się ksiądz d'Aigrigny. Twarz miał bardzo bladą.

– Cóżś zrobił? – zawołał do Rodina. – Słyszałem wszystko... Nędznik ten, na nieszczęście, mówił prawdę... Dżalma jest w jego mocy, teraz pójdzcie do niego.

– Może nie dojdzie – odpowiedział Rodin.

– A to jakim sposobem?

– Daruj mi, Wasza Wielbność... Poznałem natychmiast tego zbrodniarza, dlatego, nim przystąpiłem do rozmowy z nim, napisałem kilka słów do Moroka, który z Goliatem czeka w dolnej sali, później, gdy przyniesiono mi odpowiedź Moroka, dałem mu nową instrukcję.

– I po co, kiedy ten człowiek wyszedł z domu?

– Wasza Wielbność! Nie prędzej wyszedł, aż podał mi adres kwatery, gdzie mieszka Hindus. Wprawdzie i bez tego wpadłby w ręce Moroka i Goliata, ale bylibyśmy w kłopotcie, gdyż nie wiedzielibyśmy, gdzie zamieszkał Dżalma.

– Znowu gwałt! – rzekł ksiądz d'Aigrigny z niechęcią.

– Prawda, że to przykre... Bardzo przykre... Lecz należało trzymać się dotąd przyjętego systemu.

– Czy przez tę uwagę chcesz mi przyganić?

– O tym nie śmiałym pomyśleć – odparł Rodin, kłaniając się niemal do ziemi. – Chodzi tylko o to, aby zatrzymać tego człowieka na dwadzieścia cztery godziny.

– A potem?... A jego skargi?...

– Taki bandyta nie ośmieli się skarżyć, zresztą wyszedł stąd dobrowolnie i swobodnie... Morok z Goliatem, pochwyciwszy go, zawiązą mu oczy. Dom ten ma wyjście na ulicę Starą-

Urszulańska. O tej godzinie, podczas takiej zawieruchy, nikt nie przechodzi tędy. Przeprowadzenie przez to odludzie zupełnie go obłąka, zaprowadzą go do piwnicy budującego się domu, a jutro, w nocy, wypuszczą go z taką samą ostrożnością... Co do Hindusa, wiemy teraz, gdzie mieszka... Wystarczy tylko posłać do niego osobę, zasługującą na zaufanie, a jeżeli przebudzi się ze snu.. W łatwy sposób uda się zatrzymać go jutro przez cały dzień z dala od ulicy Św. Franciszka.

Sługa z dobroduszną miną wszedł znowu do gabinetu, w rękę trzymał zamuszowy trzos, a oddając go Rodinowi, rzekł:

– To przyniósł pan Morok.

Służący oddalił się.

Rodin otworzył worek i rzekł:

– Oto medalion i list Jozuego... Morok spisał się znakomicie.

– A więc uniknęliśmy jeszcze jednego niebezpieczeństwa – rzekł margrabia – choć przykra to rzecz chytać się takich środków.

– Czyja w tym wina, jeśli nie tego łotra, który zmusza nas do tego?... Idę natychmiast wysłać kogoś do hotelu Dżalmy.

– A ja jutro z rana udzielię posłuchania Gabrielowi, o co upomina się już od trzech dni.

– Już go o tym zawiadomiłem.

– Wreszcie – mówił z zadowoleniem d’Aigrigny – po tylu staraniach, tylu przeprowadkach, już tylko kilka godzin dzieli nas od chwili, tak dawno oczekiwanej i tak upragnionej...

## **CZEŚĆ JEDENASTA**

### **TRZYNASTEGO LUTEGO**

#### **ROZDZIAŁ I**

#### **DOM PRZY ULICY ŚW. FRANCISZKA**

Przy wejściu na ulicę Św. Gerwazego znajdował się niezmiernie wysoki mur z czarnej cegły, pokryty pleśnią czasu; mur ten, ciągnący się niemal przez całą długość ulicy, służył za podporę tarasu, ocienionego stuletnimi drzewami. Przez gęstwą drzew widać było kamienny fronton, wysoki dach i wielkie ceglane kominy starego domu, do którego wchodziło się od strony ulicy Św. Franciszka nr 3, niedaleko ulicy Św. Gerwazego.

Nie było nic posepniejszego nad wygląd tego domu, z drugiej strony także wznosił się wysoki mur, w nim trzy małe okienka, okute kratami. Wrota bramy z grubego dębowego drzewa, okute żelaznymi sztabami, najeżone ćwiekami, których koloru próżno chciałby się kto dopatrzyć pod warstwą nagromadzonego przez czas kurzu, zawieszono były w głębokim łukowatym zagłębieniu, podobnym do głębokiej arkady, gdyż mury były niezmiernie grube, w połowie tych wrót była mała furtka, która służyła za wejście Żydowi Samuelowi, dozorca tej ponurej siedziby.

Przestąpiwszy próg, wchodziło się pod sklepienie frontowego budynku. W tym budynku urządzone było mieszkanie dla Samuela. Okna wychodziły na obszerne podwórze, przegrodzone sztachetami, za którymi widać było ogród. W środku ogrodu wznosił się duży dom piętrowy z ciosanego kamienia, tak dziwnie podniesiony, iż trzeba było przejść gankiem schody o dwudziestu stopniach, by dostać się do drzwi zamurowanych od stu pięćdziesięciu lat.

Okiennice zastępowały szerokie i grube blachy ołowiane, szczelnie zalutowane i osadzone w żelaznych ramach, wmurowanych w kamień. Przy tym, aby nie dopuścić powietrza i światła, dach był pokryty grubą blachą ołowianą jak górne otwory kominów, które również zamurowano.

W ten sam sposób zamknięto mały, czworoboczny taras na szczycie domu, okrywając jego szklane ściany oponą ołowianą, przymocowaną do dachu. W wyniku jakiejś dziwnej fantazji,

w każdej z czterech blach ołowianych, okrywających ściany tarasu, zwrócone na cztery strony świata, zrobiono po siedem małych, okrągłych otworów, rozmieszczonych w kształcie krzyża.

Przy takiej ochronie, przy trwałej budowie tego domu, wymagał on tylko małych reperacji z zewnątrz, pokoje zaś, przy zamkniętym dostępie powietrza, miały pozostać przez półtora wieku w takim stanie, w jakim znajdowały się w chwili zamknięcia.

Widok rozwalonych murów, spróchniałych i połamanych okiennic, na pół zapadłego dachu, okien zarosłych mchem i chwastem, był nieco mniej smutny niż wygląd tego kamiennego domu, naszpikowanego żelazem, zalanego ołowiem i jak grób zachowanego.

Ogród, całkiem zaniedbany, do którego, aby dokonać okresowego przeglądu, tylko raz na tydzień wchodził stróż Samuel, przedstawiał, zwłaszcza w lecie, dziwną mieszaninę dzikich roślin i krzaków. Drzewa, pozostawione same sobie, rozrosły się na wszystkie strony, tu i ówdzie bujne winorośle, powstałe z odrostów, czołgając się od ziemi aż do pni drzew, wspinały się na nie, okrążały je a sięgnąwszy najwyższych gałęzi, rozrastały się tam w niepodobne do rozwikłania sieci.

Przebyć ten nietknięty gąszcz można było tylko idąc ścieżką, którą wydeptał stróż.

Ciągnęła się wzdłuż muru, a po ścieżce odbywały nocną straż dwa lub trzy duże psy rasy pirenejskiej, które w tym domu utrzymywano od półtora wieku.

Tak wyglądało mieszkanie, przeznaczone na spotkanie potomków rodziny Rennepont'ów.

Wkrótce miała minąć noc, dzieląca 12 od 13 lutego.

Po burzy nastąpiła cisza, deszcz ustał, niebo było pogodne, gwiazdziste, księżyc rzucał łagodne światło na to ponure i opuszczone domostwo, w którego progach od tylu lat nie postąpiła noga ludzka.

Jasne światło w oknach mieszkania wskazywało, że Żyd Samuel nie spał jeszcze.

Wyobraźmy sobie obszerną izbę, pokrytą boazerią, której brązowy kolor szedł od starości, duże głównie dopalają się w kominku, na kamiennym gzymsie widać żelazny lichtarz z cienką świecą, przy nim szczytce, para pistoletów i myśliwski kordelas z XVII wieku, w kącie staroświecki karabin.

Cztery drewniane stołki, dębowa szafa i stół na kręconej nodze były jednymi sprzętami. Na boazerii porozwieszano klucze, do ich pierścieni przyczepiono różne etykiety.

Wpuszczona w mur sekretna skrzynia żelazna zwracała uwagę dziwnym mechanizmem florentyńskiego zamku z XVI wieku. Duża szkatułka z cedru, wyjęta z tej skrzyni i postawiona na stołku, zawierała mnóstwo papierów.

Stary stróż Samuel, przy świetle miedzianej lampy zajęty był spisywaniem rejestru, który mu żona Jezabel dyktowała z czytanej notatki.

Samuel miał koło osiemdziesięciu dwóch lat, las siwych włosów pokrywał mu głowę, był niski, chudy i żyłasty; rześkie ruchy dowodziły, że zachował jeszcze sporo energii, chociaż wobec obcych udawał, że już prawie dziecięciniał.

Postać starca okrywał stary szlafrok barankowy.

W rysach Samuela widać było czysty typ jego rasy, cerę miał brązowo-żółtawą, nos orli, brodę spiczastą, kości policzkowe rzucały ostry cień na zapadłe i pomarszczone lica. W jego fizjonomii widniały dowcip i przenikliwość. Wysokie czoło oznaczało szczerą i siłą charakteru, czarne, błyszczące oczy rzucały spojrzenie przenikliwe, lecz miłe.

Jego żona Jezabel, młodsza o piętnaście lat, ubrana była na czarno, gładki czepek holenderski osłaniał jej bladą, surową twarz rzadkiej niegdyś piękności, kilka zmarszczek na czole świadczyło, że trapił ją smutek.

W tej nawet chwili na twarzy Jezabel widać było wielkie zmartwienie; ścisnęła konwulsyjnie duży splot czarnych jak heban włosów. Nosła go na szyi wraz z doczepionym złotym medalionem.

Samuel odczytał głośno to, co napisał:

– 5.000 obligacji pożyczki austriackiej po 1.000 złotych, a data 19 października 1826 roku. Czy tak, Jezabel? Czy porównałaś z kartką?

Żydówka nic nie odpowiedziała.

Samuel spojrział na nią tkliwie:

– Co ci jest?... Ach, mój Boże!

– Co?... 19 października... 1826... – rzekła wolno, mając wzrok ciągle zwrócony na jeden przedmiot i jeszcze mocniej ściskając splot czarnych włosów. – Jest to nieszczęsna data... Samuelu, bardzo nieszczęsna... W tym dniu odebraliśmy ostatni list od...

Dalej nie mogła mówić.

– Ach!... Rozumiem cię – odparł starzec – ojciec może w roztargnieniu zapomnieć, kiedy ma na głowie ważne sprawy, ale serce matki zawsze pamięta.

Odkładając pióro, wsparł smutnie czoło rękami.

Jezabel, jak gdyby z upodobania w bolesnym wspomnieniu, mówiła dalej:

– Tak... 19 października 1826 to ostatni dzień, w którym nasz syn, Abel, napisał do nas z Niemiec, donosząc, że według twego polecenia postąpił z sumą, którą stąd zabrał... I że miał udać się do Polski. Biedak nie dojechał... W drodze zabito go... Jeden z naszych braci znalazł go w lesie ciężko rannego, umierającego, zawiózł do wioski i tam pogrzebał... Oto wszystko, co po nim zostało – dodała, całując splot włosów i medalion.

– Niestety – rzekł Samuel, ocierając łzy – przynajmniej Bóg zabrał nam syna wtedy, gdy już skończyć się ma obowiązek, który nasz ród od półtora wieku wiernie wypełnia... Alboż ta szkatułka nie zawiera królewskiej fortuny? Alboż ten dom zamurowany przed stu pięćdziesięciu laty, nie będzie dziś rano otwarty dla potomków dobroczyńcy mego dziada?...

Mówiąc to, Samuel smutnie spojrział na dom, który widniał za oknem.

Księżyc zaszedł, teraz również i kominy odbijały się czarno na ciemnym błękicie.

Nagle zbladł:

– Jezabel!... Siedem punktów świetlnych, podobnie jak przed trzydziestu laty... Patrz... Patrz!...

Rzeczywiście, siedem otworów rozłożonych w kształcie krzyża zabłysło światłem, jak gdyby ktoś wszedł do środka ze świecą.

## ROZDZIAŁ II

### MA I WINIEN

Samuel i Jezabel wpatrywali się jak wryci w siedem świecących punktów. Bładoróżowe światło oznajmiało wschodzącą jutrzenkę.

Samuel pierwszy przerwał milczenie:

– W tym, co tu widzimy, nie ma nic złego dla nas. Czy mój ojciec nie opowiadał, że i on, i mój dziad widzieli kilka razy podobne światelka?

– Tak, Samuelu, ale tak jak my teraz, tak i oni nie mogli sobie wytłumaczyć, co te światelka znaczą.

– Jakąś nieznaną nam drogą dostają się tam jakieś osoby dla spełnienia tajemniczych powinności. Mój ojciec ostrzegał mnie, abym nie trwożył się tymi osobliwymi widziadłami... Które po trzydziestu latach znowu się ukazały...

– A przecież mnie to przeraża, jak coś nadprzyrodzonego.

– Mineły czasy cudów – ileż to dawnych domów w tej okolicy ma podziemne przejście do dalekich katakumb i do Sekwany... Bez wątplenia i ten dom musi mieć podobne połączenia.



– Ale skąd ten taras jest tak oświetlony?

– Według opisu przy planie tej budowli, taras stanowi szczyt tak zwanej „sali żałobnej”. Z powodu pozamykanych i zabitych okien, jest tam zupełnie ciemno, trzeba więc mieć z sobą światło, chcąc się dostać do tej sali, w której znajdować się mają nadzwyczajne rzeczy.

Jezabel, podobnie jak mąż, ciekawie przypatrywała się owym siedmiu świetlanym punktom.

– Dzisiejszy dzień jest tak ważny dla rodziny Rennepont’ów, iż zjawisko to nie powinno nas dziwić. A jeśli pomyśleć – mówił Samuel – że światło to od półtora wieku pokazywało się kilka razy, należy przypuszczać, że jest jeszcze inna rodzina, która, podobnie jak nasza, z pokolenia na pokolenie dopełnia święcie przyjętego na siebie obowiązku. Przed ósmą trzeba uporządkować szkatułkowe sprawy i poklasyfikować ogromne sumy, aby mogły być oddane tym, którym prawnie się należą. A czyż Bóg nie był dla nas łaskaw, chociaż dotknięci jesteśmy ciężkim ciosem przez śmierć naszego syna? Czyż nie z jego łaski trzy pokolenia mojego rodu mogły zacząć, prowadzić i dokończyć to wielkie dzieło?

– Tak, Samuele – odrzekła czule Jezabel – gdy wybije dwunasta, uwolnisz się od ciężkiej odpowiedzialności.

– To prawda – odpowiedział starzec – wolałbym widzieć już te ogromne skarby w rękach osób, do których należą aniżeli być ich depozytariuszem...

Wziął pióro i zaczął z wielką uwagą sprawdzać swoje rachunki.

Przypomnijmy pokrótce prostą, choć na pozór bardzo romantyczną historię owych 50.000 talarów, które dzięki pomnażaniu się i roztropnemu zarządzaniu, zamieniły się w ciągu półtora wieku w sumę daleko większą od czterdziestu milionów, jak ją szacował ksiądz d’Aigrigny.

Historia tego majątku łączy się ściśle z historią rodziny Samuela.

Około 1670 roku Mariusz Rennepont, na kilka lat przed śmiercią, podczas swej podróży do Portugalii, miał sposobność ocalić życie nieszczęsnemu Żydowi, skazanemu przez inkwizycję na spalenie. Żydem tym był Izaak Samuel, dziad opiekuna domu przy ulicy Św. Franciszka.

Pan Rennepont, przekonawszy się, że Izaak jest człowiekiem uczciwym i roztropnym, zaproponował mu, aby udał się z nim do Francji i objął zarząd jego dóbr. Izaak, wdzięczny panu Rennepont, przysiągł sobie, że poświęci się całkiem na usługi tego, który, ocaliwszy mu życie, zaufał jego uczciwości, uczciwości Żyda, należącego do rasy tak powszechnie wówczas znieawidzonej, pogardzanej i prześladowanej. Pan Rennepont nie zawiódł się. Jego majątek pod zarządem Samuela znajdował się w kwitnącym stanie.

Nadeszła chwila prześladowania i upadku pana Rennepont’a, dobra jego zostały skonfiskowane i oddane jezuitom, jego oskarżycielom. Na kilka dni przed śmiercią, do kryjówki, w której schronił się przed ścigającymi, wezwał Izaaka Samuela i powierzył mu 150.000 franków w złocie, resztkę znacznego majątku. Wierny sługa miał operować tą sumą, pomnażać procentami, starać się o pewną lokatę i obowiązek ten przekazać synowi, w braku syna wybrać uczciwego krewnego i zobowiązać go do spełnienia tego obowiązku, z którym związane było odpowiednie wynagrodzenie, zarząd miał przechodzić z pokolenia na pokolenie przez półtora wieku. Nadto Rennepont zobowiązał Izaaka, aby przyjął na siebie dozór domu przy ulicy Św. Franciszka, gdzie będzie miał bezpłatne mieszkanie, i żeby obowiązek ten przekazał następcom.

W kilka lat po śmierci pana Rennepont’a Izaakowi urodził się syn.

Ten syn, Lewi Samuel, urodzony 1689 roku, nie doczekawszy się dzieci z pierwszej żony, ożenił się powtórnie, mając lat blisko sześćdziesiąt. W roku 1750 urodził mu się syn, Dawid Samuel, stróż domu przy ulicy Św. Franciszka, który w 1832 roku miał lat osiemdziesiąt dwa i zdawał się zapowiadać równie długie życie jak jego ojciec, który umarł mając lat dziewięćdziesiąt trzy. Dodajmy wreszcie, że Abel Samuel, tak opłakiwany przez matkę, urodził się w roku 1790 i zginął w drodze do Polski, mając lat dwadzieścia sześć.

Dziedziczna długowieczność tych trzech członków rodu Samuela, która połączyła niejako wiek XVII z wiekiem XIX, uprościła spełnienie ostatniej woli pana Rennepont'a, który wyraźnie oświadczył dziadowi Samuela, że życzeniem jego jest, aby pozostawiona suma powiększyła się przez kapitalizację procentów po pięć od sta, a majątek doszedł do jego potomków bez plamy nieczystej spekulacji.

Współwyznawcy Samuela, Żydzi, pierwotni wynalazcy weksli, które w średnich wiekach służyły im do tajnego przenoszenia znacznych sum z jednego końca świata na drugi, do ukrywania majątków, do chronienia przed drapieżnością nieprzyjaciół, wiele dopomagali do umów i działań handlowych rodziny Samuela, która prawie aż do roku 1820 umieszczała znaczne sumy, z czasem niezmiernie pomnożone, w bankach i kantorach najbogatszych Żydów w Europie.

Ten pewny i potajemny sposób działania pozwolił obecnemu stróżowi z ulicy Św. Franciszka, bez niczyjej wiedzy, jedynie pod nazwą depozytu lub za pomocą weksli, wypożyczać ogromne sumy, gdyż głównie pod jego zarządem kapitalizowana suma doszła do ogromnych rozmiarów.

Pieniądze ani jednego dnia nie leżały bez procentu. Jednak trzeba było wielkich zdolności finansowych, aby osiągnąć cel; gdy przyszło już do obracania pięćdziesięcioma milionami, tę zdolność Samuel, zaprawiony w szkole ojca, rozwinął do wysokiego stopnia.

Nic szlachetniejszego, godniejszego szacunku nad postępowanie członków tej rodziny, którzy przez tyle lat pracowali, równie bezinteresownie jak roztropnie nad powolnym pomnżaniem fortuny, w której nie spodziewali się mieć udziału.

Nic wreszcie zaszczytniejszego tak dla dotkniętego banicją, który powierzył sumę, jak i dla Żyda, który ją przyjął, bez żadnej innej rękojmi, prócz wzajemnej ufności i szacunku, gdy chodziło o skutek, który miał się okazać dopiero za sto pięćdziesiąt lat.

Przeczytawszy z największą uwagą bilans i sprawdziwszy go z papierami wartościowymi, złożonymi w szkatułce z drzewa cedrowego, Samuel rzekł:

– Wszystko w porządku. Jest więc w kasie do rozporządzenia spadkobierców rodziny Rennepont'a suma dwustu dwunastu milionów stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy franków.

– To nie do wiary! – zawołała Jezabel. – Wiedziałem, że w twoich rękach są ogromne skarby, ale nigdy bym nie uwierzyła, że 150.000 f r. złożonych przed stu pięćdziesięciu laty, były jedynym zaczątkiem tego olbrzymiego majątku.

– A przecież tak jest, Jezabel... Nie ma wątpliwości, że mój dziad, ojciec i ja zawsze równie wiernie jak dbale zarządzaliśmy tym funduszem, lecz ani moi przodkowie, ani ja, nigdy nie dopuściliśmy się pożyczki lichwiarskiej... To zastrzegło wyraźne polecenie pana Rennepont'a... Gdybyśmy nie byli tak sumienni, suma dwustu milionów byłaby może dużo większa.

– Ach, mój Boże! Czy to możliwe?

– Nic prostszego, Jezabel... Wiadomą jest rzeczą, że kapitał z procentem składanym po pięć od sta, podwaja się w ciągu czternastu lat, zwróć teraz uwagę, że w stu pięćdziesięciu latach mieści się dziesięć razy po czternaście lat... W dwanaście lat po śmierci mojego ojca, to jest w roku 1794, kapitał ten przedstawiał 38.400.000 franków, w 1808 roku dochodził do 76.800.000 franków, w 1822 roku do 153.600.000 franków, a dziś, doliczywszy do tej sumy procenty składane za ostatnie dziewięć lat, powinna by ona wynosić około 225 milionów. Lecz straty, których rachunek jest ściśle prowadzony, zmniejszyły ją do 212.175.000 franków.

Już całkiem się rozwidniło, wybiła siódma.

Samuel, wstawiając z powrotem cedrową szkatułkę w żelazną skrzynię, ukrytą za dębową szafą, rzekł:

– Tak... Ciekaw jestem, komu się to wszystko dostanie.

Dwa czy trzy silne uderzenia w bramę rozległy się na dziedzińcu. Psy odpowiedziały na nie głośnym szczekaniem.

Samuel rzekł do żony:

– To są pewno murarze z dependentem.

Zszedł szybko po schodach i zbliżył się do bramy, przez okienko zobaczył trzech rzemieślników w murarskich fartuchach i młodzieńca w czarnym stroju.

– Czego chcecie, panowie? – zapytał, zanim otworzył.

– Przychodzę od pana Dumesneil, notariusza, aby być obecny przy otwarciu zamurowanych drzwi; oto list od mego przełożonego do Samuela, dozorca.

– To ja jestem – rzekł Żyd – zechciej pan wrzucić ten list do skrzynki.

Dependent zastosował się do polecenia, ale wzdrynął ramionami; śmieszna wydała mu się podejrzliwość starca.

Stróż otworzył skrzynkę, wyjął list, starannie porównał jego podpis z podpisem na innym liście notariusza, potem poszedł uwiązać swe brytany, wreszcie otworzył bramę.

– Cóż, u kata! – zawołała dependent. – Gdyby mi przyszło wejść do obronnego zamku, nie spotkałbym tylu ceregieli.

Żyd skłonił się, ale odpowiadając.

– Czy jesteś głuchy, przyjacielu?

– Nie, panie – odparł Samuel, łagodnie się uśmiechając. – A oto zamurowane drzwi, które należy otworzyć, trzeba także odpieczętować i otworzyć ramy drugiego okna po prawej stronie.

– A czemu nie otworzyć wszystkich okien?

– Bo takie odebrałem rozkazy jako stróż tego domu.

Kiedy murarze zabierali się do roboty, przed bramą stanął powóz. Samuel znów poszedł otworzyć.

*Koniec tomu pierwszego*